

**Clive Barker**

# **Everville**

*Everville*

Tłumaczenie  
Robert Lipski



*Mary Read*

*Wspomnienia, przepowiednie i fantazje,  
przeszłość, przyszłość  
i moment śmierci pomiędzy nimi  
są jednością w krainie,  
gdzie trwa nie kończący się dzień.*

*Świadomość tego jest Wiedzą,  
umiejętność wykorzystania - Sztuką.*

# **CZEŚĆ PIERWSZA**

**Było, jest i będzie**

# Rozdział I

## 1

Zniszczyła ich nadzieja. Nadzieja i przekonanie, że Opatrzność zesłała na nich dość cierpień, za marzenia, które pielęgnowali w sercach. Tak wielu z nich odeszło na szlaku - dzieci, uzdrowiciele, przywódców - toteż pozostali nie bez kozery żywili przekonanie, że Bóg uchroni ich przed kolejnymi zgonami, nagradzając smutek i trudy pielgrzymki, pozwalając dotrzeć do krainy płynącej mlekiem i miodem.

Kiedy pojawiły się pierwsze oznaki burzy śnieżnej, chmury, przy których skłębione, czarne opary Wyoming ponad odległymi szczytami wydawały się małe i niegroźne, a wiatr jął przynosić ze sobą drobiny lodu, mówili jeden drugiemu: „Oto ostami sprawdzian. Jeżeli teraz zawrócimy, pozwolimy się zastraszyć chmurom i lodowi, śmierć tych, co odeszli na szlaku, pójdzie na marne, podobnie jak ich i nasze cierpienie. Musimy podążać dalej. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek dotąd, musimy wierzyć w marzenia o Zachodzie. Bądź co bądź, to dopiero pierwszy tydzień października. Może podczas przeprawy przez góry spadnie trochę śniegu, ale nim zima rozszaleje się na dobre, pokonamy masyw i znajdziemy się wśród żyznych pastwisk po drugiej stronie.

Naprzód więc, aby spełniły się nasze marzenia!”

Teraz było już za późno, aby zawrócić, nawet jeśli śnieg, co spadł w zeszłym tygodniu, nie zasypał przełęczy, którą przybyli pionierzy - konie były zbyt wycieńczone; osłabiło je mozolne posuwanie się pod górę i ciężar topornych wozów, jakie ciągnęły.

Wędrowcy nie mieli innego wyjścia, jak tylko iść naprzód, aczkolwiek zagubili się już dawno temu i brnęli na oślep, pośród bieli równie nieprzeniknionej jak najmroczniejsza czarna noc.

Czasami wiatr na krótko rozgarniał chmury, ale niebo i słońce wciąż pozostawały niewidoczne. Pomiędzy nimi a Ziemią Obiecaną unosił się kolejny niedostępny szczyt; śnieg unoszony wiatrem opadał z wierzchołka na stoki, które musieli pokonać, jeżeli chcieli przeżyć.

A nadzieje słabły z dnia na dzień. Z osiemdziesięciu trzech natchnionych optymizmem dusz, które wiosną 1848 roku opuściły Independence w stanie Missouri (w drodze narodziła się nowa szóstka dzieci) pozostało przy życiu trzydzieści jeden. Podczas trzech miesięcy

wędrówki przez Kansas do Nebraski, a potem przez Wyoming nastąpiło sześć zgonów. Trzy osoby utonęły, dwie oddaliły się i najprawdopodobniej zginęły z rąk Indian, jedna się powiesiła. Latem jednak, kiedy nadeszły upały, trudy wędrówki zaczęły dawać o sobie znać. Pierwsi umarli najmłodszy i najbardziej podeszli wiekiem, głównie wskutek picia niezdrowej wody lub jedzenia zepsutego mięsa. Mężczyźni i kobiety, którzy zaledwie przed pół rokiem byli odważni, hardzi i nieugięci podupadli na zdrowiu, wychudli i osłabli w miarę jak kurczyły się ich zapasy żywności; a kraina, która, jak im mówiono, miała okazać się opływającym we wszelkie dostatki rajem, wciąż pozostawała w sferze marzeń. Mężczyźni opuszczali karawanę wozów na całe dni w poszukiwaniu pożywienia, ale nieodmiennie powracali przybici, zgorzkniali, z podkrążonymi oczyma i pustymi rękami. Wtedy też wędrowcy - i tak już wynędzniali - zmuszeni zostali stawić czoło chłodom. To okazało się zabójcze w skutkach. Na przestrzeni trzech tygodni odeszło czterdzieści siedem osób, uśmierconych przez mróz, śnieg, wyczerpanie, głód i kompletną utratę nadziei.

Zadaniem Hermana Deale'a, który od czasu śmierci doktora Hoddera był najbardziej spośród ocalałych związany z profesją lekarską, stało się rejestrowanie poszczególnych zgonów. Kiedy dotarli do Oregonu, radosnej krainy Zachodu, powiedział tym, co pozostali, aby modlili się za tych, co odeszli, i jak należy pożegnali dusze wszystkich, których zgony odnotował w swoim notesie. Aż do owych szczęśliwych chwil żyjący niezbyt przejmowali się zmarłymi. Bądź co bądź tamci odchodzili na Łono Abrahama, do lepszego życia, i nie winili tych, co ich grzebali, za płytkość grobów ani skromność modlitw odmawianych podczas pochówku.

- Będziemy mówić o nich z miłością - oznajmił Deale - kiedy nadejdą dla nas lepsze czasy.

W dzień po obietnicy danej umarłym sam dołączył do ich grona, gdyż jego ciało nie wytrzymało trudu przedzierania się przez śnieżne zaspę. Pozostawiono jego zwłoki nie pogrzebane, pozwalając, by zajęła się nimi natura. Śnieg sypał tak gęsty, że nim jeszcze rozdzielono skąpy dobytek zmarłego pomiędzy tych, co pozostali, stygnące ciało przykryła już cienka warstwa białego puchu.

Tamtej nocy umarli we śnie Evan Babcock i jego żona Alice Mary Willcocks, która przeżyła pięcioro swych dzieci i widziała, jak jej mąż usycha ze smutku i tęsknoty; oddała ducha przy wtórze cichego szlochu, co wciąż jeszcze odbijał się echem od stoku góry, podczas gdy umęczone serce kobiety przestało już pracować.

Nadszedł dzień, nie przyniósł im wszelako pocieszenia. Śnieg sypał równie gęsty jak dotychczas. Wśród chmur nie było widać najdrobniejszej szczeliny, która ujawniłaby

panionom, co znajduje się przed nimi. Szli z pochylonymi głowami, zbyt zmęczeni, by mówić, a co dopiero śpiewać, jak to zwykle czynili w upalne letnie miesiące, zanosząc do niebios w podzięcie hosanny za przygodę, co stała się ich udziałem. Kiloro z nich modliło się bezgłośnie, prosząc Boga o siły na przetrwanie. Być może niektórzy w modłach zawarli również obietnice, przyrzekając, że jeżeli dana im będzie ta siła, jeżeli przebrną przez to białe pustkowia i dotrą do oazy zieleni, ich wdzięczności nie będzie końca i aż do śmierci będą zaświadczać, że mimo wszelkich trudów, znojów i udręk tego życia nikt nigdy nie powinien odwracać się od Boga, bowiem Bóg jest Nadzieją i to Wieczną.

## 2

Na początku wędrówki na Zachód w taborze było ogółem trzydziścioro dwoje dzieci. Obecnie pozostało już tylko jedno, dziewczynka. Nazywała się Maeve O'Connell. Była to pospolita dwunastolatka, której chude ciało zadawało kłam hartowi ducha, zaskakując tych wszystkich, co wiosną kręcili głowami i mówili owdowiałemu ojcu, że mała nie przeżyje podróży. „To sama skóra i kości, powiadali. Słaba w nogach i słaba brzuchem”. Po kryjomu twierdzili, że również słaba na umyśle, jak jej ojciec Harmon, który na spotkaniach jeszcze w Missouri z entuzjazmem wypowiadał się o czekającej ich wędrówce. „Oregon może być rajem, mawiał, ale to nie lasy ani góry są dowodem, iż miejsce to stanowi żywy przykład ludzkiego triumfu” - będzie nim ogromne, lśniące, chwalebne miasto, które zamierzał tam wybudować. Wielu twierdziło, iż to słowa idioty, zwłaszcza że padały z ust Irlandczyka, który widział w swym życiu jedynie Dublin i zaułki Liverpoolu oraz Bostonu. Co mógł wiedzieć o wieżach i pałacach?

Podczas wędrówki ci, którzy między sobą wydrwiwali Harmona, porzucili konwenanse i dyskrecję, toteż już wkrótce O'Connell przekonał się, że najlepiej będzie, jeśli o szczegółach własnych ambicji jako założyciela miasta będzie rozmawiał ze swoją córką. Jego towarzysze podróży żywili bardziej umiarkowane nadzieje wobec krainy, do której zmierzali. Potrzebowali jedynie drzew, z pni których mogliby zbudować chaty dla siebie, żyznej ziemi oraz zdrowej, słodkiej wody. Z podejrzliwością odnosili się do każdego, kto objawiał bardziej wygórowane ambicje.

Nie można powiedzieć, że skromność oczekiwań okazała się dla nich wybawieniem, nie uchroniła ich do śmierci. Wielu mężczyzn i kobiet spośród żyjących najgłębszą pogardę wobec Harmona opuściło ten padół, pogrzebano ich daleko od żyznych ziem i słodkiej wody, podczas gdy szaleniec i jego chuda jak patyk córeczka wciąż żyli. Czasami nawet, w owych

desperackich dniach rozpaczy, Maeve i Harmon szeptali do siebie, idąc ramię w ramię obok wozu. A kiedy wiatr zmieniał kierunek, bywało, że przynosił strzępki słów do uszu tych, co znajdowali się najbliżej. Mimo iż wyczerpani, ojciec i córka wciąż rozmawiali o mieście, które zbudują, gdy dotrą do końca tej zmudnej wędrówki, o cudzie, który przetrwa, podczas gdy wszystkie chaty w Oregonie przegniją i rozpadną się w proch, podobnie jak wspomnienia o tych, co je pobudowali.

Mieli nawet nazwę owego, mającego oprzeć się zębowi czasu metropolis.

Będzie się nazywało Everville.

Ach, Everville!

Przez ileż nocy Maeve słuchała słów ojca o tym mieście; jego oczy wpatrzone były w ognisko, ale duchem przebywał gdzie indziej, oglądając ulice, place i wytworne domy, które miały znajdować się w owym cudownym miejscu.

- Czasami mam wrażenie, jakbyś już tam był - powiedziała którejś majowej nocy.

- Bo byłem, najdroższa - odrzekł, wpatrując się w zachodzące słońce. Nawet w czasach gdy na niczym im nie zbywało, był drobnym, chudym mężczyzną, o wąskim czole i ustach, lecz niezwykle rozmach i rozległość jego wizji rekompensowały z powodzeniem ów skromny wygląd. Maeve kochała go bez zastrzeżeń, jak wcześniej jej matka, a jeszcze bardziej uwielbiała, kiedy mówił o Everville.

- Kiedy tam byłeś? - spytała zuchwale.

- Och, w snach. - Zniżył głos do szeptu. - Pamiętasz Owena Buddenbauma?

- Och, tak.

Jak ktokolwiek mógłby zapomnieć niesamowitego pana Buddenbauma, z którym na krótko zaprzyjaźnili się w Independence? Brązowa, siwiejąca z lekka broda, wypomadowany wąsik, sterczący niemal równolegle do linii ust. Najbardziej wytworne futro, jakie Maeve kiedykolwiek widziała. I ten melodyjny głos, sprawiający, że nawet najbardziej niejasne rzeczy, o których mówił Buddenbaum (czyli prawie cała treść wszystkich jego wypowiedzi, przynajmniej w rozumieniu Maeve), brzmiały niczym niebiańskie mądrości.

- Był cudowny - powiedziała.

- Wiesz, dlaczego nas odnalazł? Usłyszał, jak cię wołałem i wiedział, co znaczy twoje imię.

- Mówiłeś, że „radość”.

- Właśnie - odrzekł Harmon, nachylając się nieco bardziej w stronę córki. - Ale jest to również imię irlandzkiego ducha, który odwiedza mężczyzn we snach.

Nigdy wcześniej o tym nie słyszała. Jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

- To prawda?

- Przecież nigdy bym cię nie okłamał - odparł - nawet dla zabawy. Tak, dziecko, to prawda. A gdy usłyszał, jak cię wołam, podszedł, wziął mnie za rękę i rzekł: „Sny są drzwiami, panie O’Connell”. To były jego pierwsze słowa, jakie do mnie skierował.

- A potem?

- Potem rzekł: „Gdybyśmy mieli odwagę przestąpić próg...”

- Mów dalej.

- Reszta innym razem.

- Tato! - zaprotestowała Maeve.

- Bądź dumna, dziecino. Gdyby nie ty, nigdy nie spotkalibyśmy pana Buddenbauma, a ja wierzę, że z tą chwilą zmieniły się nasze losy.

Nie chciał kontynuować dłużej tego tematu, lecz skierował rozmowę na gatunki drzew, jakie miały zostać zasadzone przy głównej ulicy w Everville. Maeve nie naciskała, ale od tej pory częściej rozmyślała na temat snów. Czasami budziła się w środku nocy ze strzępami snów wirującymi wokół jej głowy i leżała, obserwując gwiazdy i rozmyślając: Czy znalazłam się u tych drzwi? Czy po drugiej stronie było coś pięknego, o czym już zapomniałam?

Postanowiła za wszelką cenę zachować te fragmenty, aby jej nie umknęły i z czasem, po odpowiednim treningu, nauczyła się je przechwytywać, a potem przypominała je sobie głośno na jawie. Stwierdziła, że, aczkolwiek szczątkowo, potrafi zatrzymać je w słowach. Kilka sylab to wszystko, czego potrzebowała, aby powstrzymać sen przed zapomnieniem.

Trenowała ową zdolność, zachowując ją dla siebie (nie powiedziała nawet ojcu) i była to przyjemna odskocznia podczas długich, pylistych dni lata, kiedy siedząc na wozie zszywała zapamiętane fragmenty snów w jedną całość, by utkać z nich kilim bardziej osobliwy, aniżeli jakakolwiek z historii opisywanych w książkach.

Co się tyczy zaś pana Buddenbauma, przez dłuższy czas żadne nie wspomniało o nim choćby słowem. Kiedy to jednak nastąpiło, stało się w okolicznościach na tyle dziwacznych, że Maeve nie zapomni owych chwil aż do końca życia.

Dotarli do Idaho i zgodnie z obliczeniami doktora Hoddera (który co trzeci wieczór zwoływał ogólne zgromadzenie, by wszyscy mogli dowiedzieć się, jak im idzie) istniały spore szanse, że pokonają Góry Błękitne, a żyzne doliny Oregonu znajdą się w zasięgu ich wzroku przed nastaniem jesieni. Mimo iż słabo stali z zapasami, wciąż mieli w sobie potężnego ducha i wtedy właśnie, poruszony doniosłością chwili ojciec Maeve powiedział coś o Everville. Przypadkowa wzmianka mogłaby nawet przejść niezauważona, gdyby nie jeden z



pielgrzymów, kłótlivy mężczyzna nazwiskiem Goodhue, tęskniący za whisky i pragnący, z braku trunku, zabawić się w inny sposób. Dojrzał swą szansę i nie omieszkął wykorzystać.

- To twoje cholerne miasto nigdy nie zostanie zbudowane - oświadczył Harmonowi. - Nikt z nas tego nie chce.

Mówił głośno i wielu ludzi wyczuwających sprzeczkę, a może nawet bójkę, w oczekiwaniu odrobiny dobrej zabawy podeszło bliżej, aby się temu przyjrzeć.

- Nie zwracaj na niego uwagi, tato - szepnęła do ojca Maeve, sięgając ręką po jego dłoń. Widziała jednak, po jego złączonych brwiach i zaciśniętych ustach, że nie zamierzał odrzucić tego wyzwania.

- Dlaczego to mówisz? - odezwał się do Goodhue'a.

- Bo to głupie - odparł pijaczyna. - A ty jesteś głupcem.

Mówił bełkotliwie, ale nuta pogardy w jego głosie była aż nadto słyszalna.

- Nie przybyliśmy tu, by żyć w twojej małej klatce.

- To nie będzie klatka - odrzekł Harmon. - To będzie nowa Aleksandria, nowe Bizancjum.

- Nigdy o nich nie słyszałem - rozległ się trzeci głos.

Słowa te padły z ust potężnego jak byk Pottrucka. Na jego widok nawet bezpiecznie stojąca u boku ojca Maeve zadygotała trwożliwie.

Goodhue tylko dużo i głośno gadał, ogólnie był jednak niegroźny. Pottruck natomiast okazał się typem spod ciemnej gwiazdy, o silnych rękach, który raz pobił żonę tak mocno, że rozchorowała się i o mało nie wyzionęła ducha.

- To były wielkie miasta - wyjaśnił Harmon, wciąż zachowując spokój - gdzie ludzie żyli w pokoju i dobrobycie.

- Gdzieś ty wygrzebał całe to gówno? - burknął Pottruck. - Widzę, że czytasz sporo książek. Gdzie je trzymasz? - Podeszedł do wozu O'Connellów.

- Wyciągniesz je, czy ja mam to zrobić za ciebie?

- Ani się waż tknąć naszych rzeczy! - rzucił się Harmon, zastępując drogę osiłkowi.

Pottruck, nie zwalniając kroku, zamachnął się i jednym ciosem powalił Harmona na ziemię. Potem, z towarzyszącym mu Goodhue'em wspiął się na wóz i ściągnął brezent.

- Złaż stamtąd! - warknął Harmon, podrywając się i ruszając chwiejnie w stronę wozu.

Dzieliło go odeń jeszcze kilka kroków, kiedy Goodhue odwrócił się energicznie. W rękę trzymał nóż. Uśmiechnął się kretyńsko do Harmona.

- Uhm-hm - wybełkotał.

- Tato... - zaczęła Maeve, ze łzami w oczach - proszę, nie.

Harmon spojrzał na córeczkę.

- Nic mi nie jest - powiedział.

Nie podszedł bliżej, stał tylko i patrzył jak Goodhue wgramolił się na wóz i wraz z Pottruckiem jął przetrząsać ich dobytek.

Hałas, jaki przy tym czynili, przyciągnął gapiów, jednak żaden z nich nie pokwapił się, by przyjść z pomocą Harmonowi i jego córce. Niewielu lubiło Pottrucka bardziej niż O'Connellów, ale dobrze wiedzieli, co mogłoby im zaszkodzić.

Z wnętrza wozu dobiegło nagle zadowolone chrząknięcie i spod plandeki wyłonił się Pottruck z kuferkiem z ciemnego, tekowego drewna, błyszczącego jak wypolerowane, i spuścił go bezceremonialnie na ziemię. Zeskoczywszy z wozu przed kompanem, Goodhue jął zabierać się do podważania wieka nożem. Stawiało mu opór, toteż zirytowany zaczął dźgać je ostrzem na chybił trafił.

- Nie niszczyć go - westchnął Harmon. - Sam je otworzę.

Zdjął noszony na szyi kluczyk i przyklęknął, by otworzyć skrzyneczkę. Pottruck również zeskoczył z wozu i odepchnąwszy Harmona, kopniakiem otworzył wieko. Maeve wiele razy widziała zawartość. Dla ludzi nie wykształconych nie przedstawiała większego znaczenia - ot, kilka zwojów papieru, przewiązanego skórzanymi rzemieniami, ale dla niej i dla jej ojca były to prawdziwe skarby. Everville czekało, by się narodzić, na tych właśnie pergaminowych zwojach: były tu skrzyżowania, parki, ulice, bulwary i budynki składające się na to miasto.

- Co ja powiedziałem? - burknął Pottruck.

- Powiedziałeś: książki - odparł Goodhue.

- Powiedziałem: gówno, właśnie tak - rzekł Pottruck, przetrząsając zwoje i rozrzucając je na prawo i lewo, jakby szukał wśród nich czegoś, co uznałby za wartościowe.

Maeve wychwyciła spojrzenie ojca. Dygotał od stóp do głów, twarz miał szarą jak popiół. Wyglądało, że fatalizm przemógł jego gniew - z czego się w gruncie rzeczy cieszyła. Papiery można zastąpić innymi. Ale nie jego.

Pottruck zaprzestał poszukiwań i sądząc po znudzonym wyrazie twarzy gotów był powrócić do obijania żony. I pewnie tak by się stało, gdyby Goodhue nie dojrzał czegoś, co leżało na dnie skrzynki.

- Co to takiego? - spytał, pochylając się i sięgając w głąb. Na jego nie ogolonej gębie wykwitł uśmiech. - To mi nie wygląda na gówno.

Wydobył znalezisko na światło dzienne, wysuwając ze zwoju, w który było włożone i unosząc w górę, by wszyscy mogli je ujrzeć.

Było to coś, czego dotąd Maeve nie widziała i zdumiona dziewczynka aż przymrużyła powieki. Wyglądem przypominało to krzyż, ale nie taki, jaki nosili chrześcijanie.

Podeszła do ojca i spytała szeptem: - Co to jest, tatusiu?

- To prezent... - odparł - ...od pana Buddenbauma.

Marsha Winthrop, zawsze życzliwa wobec Maeve, podeszła, by przyjrzeć się znalezisku Goodhue'a. Była potężną kobietą o ostrym i ciętym języku i na moment wszyscy gapie umilkli.

- Wygląda mi to na jakąś biżuterię - powiedziała, zwracając się do Harmona. - Należała do twojej żony?

Maeve często się później zastanawiała, co w owej chwili wstąpiło w jej ojca - czy to upór, czy może jakaś perwersja powstrzymała go przed powiedzeniem gładkiego kłamstwa. Tak czy inaczej, zrezygnował z wszelkich wykrętów.

- Nie - odrzekł - To nie należało do mojej żony.

- W takim razie co to jest"? - dopytywał się Goodhue.

Odpowiedź nie padła z ust Harmona, ale ze strony tłumu.

- To jeden ze znaków Szatana - powiedział jakiś silny głos.

Głowy odwróciły się, uśmiechy przybladły, gdy z kręgu gapiów wystąpił Enoch Whitney. Nie był duchownym, ale wedle jego własnych słów, okazał się najbardziej bogobożnym spośród nich, był duszą, której Bóg nakazał czuwać nad pozostałymi owieczkami i wspominać raz po raz, że Zły bez przerwy krąży i działa pośród nich. Było to żmudne i bolesne zajęcie, a on rzadko miał okazję napomknąć swym podopiecznym, jak bardzo cierpiał wskutek ich nieczystych występków. Niemniej jednak czuł się w obowiązku potępić na forum publicznym każdego, kto zamiarem, słowem lub uczynkiem występował przeciwko jednemu z przykazań - rozpustnika, cudzołożnika czy oszusta. Lub, jak w tym przypadku, wyznawcę oddającego cześć bluźnierczym przedmiotom. Stał przed zbłąkanymi owieczkami - ojcem i córką, przepelniony gniewem. Był wysokim, szczupłym mężczyzną, a jego oczy tak pałały gorliwością, że nie potrafił przez chwilę zatrzymać spojrzenia na jednym miejscu.

- Zawsze wydawałeś mi się winny, O'Connell - mruknął, wodząc wzrokiem od oskarżonego, przez Maeve, do przedmiotu w palcach Goodhue'a. - Ale nie byłem w stanie dotrzeć do korzeni twojej winy. Teraz już je widzę.

Wyciągnął rękę. Goodhue podał mu krzyż i wycofał się.

- Niczemu nie jestem winien - rzekł Harmon.

- To ma być „nic”? - spytał Whitney, podnosząc głos. Miał bardzo silny głos, który przy

każdej nadarzającej się okazji próbował ćwiczyć. - To ma być nic?

- Już mówiłem, niczemu nie...

- Powiedz mi, O'Connell, jaką posługę wykonałeś dla Złego, że obdarował cię czymś równie bluźnierczym?

Zebrani zaczęli szemrać. Rzadko równie otwarcie mówiono o Szatanie, rozmowy o Złym prowadzono zwykle szeptem, aby nie kusić licha. Whitney nie lękał się podejmowania tego tematu. Mówił nawet o Diablu z pewnym rozmiłowaniem w głosie.

- Nie wypełniałem żadnej posługi - odrzekł Harmon.

- A więc to był podarunek.

- Tak. - Znowu szepty. - Ale nie od Szatana.

- To dzieło Diabła! - wykrzyknął Whitney.

- Wcale nie! - odkrzyknął Harmon. - Nie jestem z Nim w zмовie. To ty, Whitney, przez cały czas gędzisz o piekle! To ty widzisz Złego, gdzie tylko nie spojrzysz. Nie wierzę, żeby Diabeł zbytnio się nami interesował. Wydaje mi się, że ma co innego, dużo ciekawszego do ro...

- Diabeł jest wszędzie! - odparował Whitney. - Tylko czeka, abyśmy popełnili błąd i upadli. - Nie było to skierowane do Harmona, lecz do zgromadzonych, których liczba od pojawienia się Whitneya znacznie zmalała. - Nawet w najgłębszej dziczy nie ma takiego miejsca, gdzie nie śledziłyby nas jego ślepiaki!

- Mówisz o Szatanie tak, jak prawdziwi chrześcijanie mówią o Wszechmogącym Bogu - zauważył Harmon. - Zastanawiam się czasami, komu ty naprawdę służysz.

Ta odpowiedź doprowadziła Whitneya do białej gorączki.

- Jak śmiesz kwestionować moją prawość - zaperzył się - skoro tu, w ręku mam przecież jawny dowód, że maczałeś palce w jakichś diabelskich sztuczkach! Paktowałeś ze Złym! - Zwrócił się do tłumu gapiów. - Nie zdzierzymy obecności tego człowieka pośród nas! - zawołał. - On przyniesie nam zgubę, ten czarci pacholek! - Pokazał zgromadzonym dokoła niego medalion. - Czyż to nie jest wystarczającym dowodem? Oto groteskowa parodia Pana Naszego na krzyżu! - ponownie odwrócił się do Harmona, wskazując na niego oskarżycielsko palcem. - Pytam raz jeszcze - jaką posługę wypełniłeś w zamian za to coś?

- A ja po raz ostatni powiadam ci, że jeżeli nie przestaniesz wypatrywać ręki Złego w naszych żywotach, staniesz się jego największym sojusznikiem. Harmon mówił teraz wolno i łagodnie, jak do przerażonego dziecka

- Twoja ignorancja, Whitney, przynosi diabłu radość. On uśmiecha się za każdym razem, gdy drwisz z czegoś, czego nie pojmujesz. Śmieje się za każdym razem, gdy

zasiewasz ziarno strachu przed nim tam, gdzie go nie ma. On nie kocha mnie, Whitney, lecz ciebie. To tobie dziękuję w swej wieczornej modlitwie.

Sytuacja odwróciła się tak płynnie, gładko, że Whitney jeszcze nie zdawał sobie sprawy z porażki. Patrzył na oponenta z zaszępioną miną, podczas gdy Harmon zwrócił się do tłumu gapiów:

- Jeżeli nie chcecie, byśmy ja i moja córka dalej z wami wędrowali - odezwał się - jeżeli wierzycie w te oszczerstwa, powiedzcie to tu i teraz, a natychmiast się od was odłączymy. Bądźcie jednak pewni, że w moim sercu i głowie nie ma nic, prócz nauki naszego Pana i Boga...

Skończył łamiącym się głosem, a Maeve, by ojca pocieszyć, ujęła jego dłoń. Stali obok siebie, na wprost tłumu gapiów, oczekując na werdykt. Nastąpiła krótka cisza. Przerwał ją nie Whitney, ale Marsha Winthrop.

- Nie widzę powodu, byście mieli wędrować sami - stwierdziła - Wyruszyliśmy na wędrowkę wspólnie. Wydaje mi się, że tak też ją powinniśmy zakończyć.

To zdroworozsądkowe rozumowanie sprawiło zebrany niejaką ulgę po całej tej dyspucie na temat Boga i Szatana. Tu i ówdzie rozległy się pomruki aprobaty, kilkoro osób odłączyło się od tłumu. Mieli co robić - trzeba było naprawić uszkodzone koła, przygotować strawę. Ale prawy Whitney nie zamierzał pozwolić, by jego trzódka rozpierzchła się bez ostatniego ostrzeżenia.

- To niebezpieczny człowiek! - warknął. Cisnął medalion na ziemię i przydeptał obcasem. - Wszystkich nas zaciągnie ze sobą do piekła!

- Nigdzie nas nie zaciągnie, Enochu - odrzekła Marsha. - Ochłoń już, dobrze?

Whitney rzucił Harmonowi kwaśne spojrzenie.

- Będę miał cię na oku - ostrzegł dobitnie.

- Cieszy mnie to - odparł Harmon, a Marsha roześmiała się, słysząc te słowa. Whitney odszedł pospiesznie, jakby ten śmiech go przeraził. Przedzierając się przez tłum, mamrotał coś pod nosem.

- Miej się lepiej na baczności - powiedziała kobieta do Harmona, zanim odeszła. - Masz niewyparzony język, przez co możesz napytać sobie biedy.

- Okazałaś nam dziś ogromną życzliwość - odrzekł Harmon. - Dziękuję.

- Zrobiłam to dla małej - wyjaśniła Marsha. - Nie chcę, by myślała, że cały świat jest szalony.

I już jej nie było. Harmon zaczął zbierać porozrzucone pergaminy i wkładać na powrót do skrzyni. Podczas gdy jej ojciec był odwrócony, Maeve odnalazła wzrokiem medalion,

schyliła się, podniosła go i obejrzała uważnie. Wszystko to, co usłyszała przed paroma zaledwie minutami, wydawało się jej wiarygodne. Było to bez wątpienia piękne cacuszko. Lśniło jak srebro, ale w połysku dostrzec można było całą gamę barw, drobinki szkarłatu i niebiańskiego błękitu. Każda kobieta, nie tylko żona, byłaby szczęśliwa, mogąc go nosić. Ale było to niewątpliwie coś więcej, aniżeli zwykła ozdoba. Pośrodku znajdowała się postać ludzka, rozciągnięta jak Jezus na krzyżu, tyle że ten Zbawiciel był zupełnie nagi, a jego ciało nosiło przymioty zarówno kobiece, jak i męskie. Z pewnością nie był to wizerunek Szatana. Nie był on w żaden sposób przerażający, nie miał kopyt, ogona ani rogów. Z jego dłoni, głowy i spomiędzy nóg wypływały jakieś sylwetki; niektóre z nich rozpoznała (była tam mała, błyskawica, dwoje oczu ułożonych jedno nad drugim), inne nie. Żadne wszelako nie wydawały się złe czy bluźniercze.

- Lepiej nie patrzeć na to za długo - usłyszała głos ojca.

- Dlaczego? - spytała, nie odrywając wzroku od przedmiotu. - Może mnie zaczarować?

- Szczerze mówiąc, nie wiem co mogłoby ci zrobić - odrzekł ojciec.

- Pan Buddenbaum ci nie powiedział?

Harmon sięgnął ręką i delikatnie wyłuskał medalion z jej palców.

- Och, oczywiście, że mi powiedział - odrzekł, wracając i wkładając medalion do skrzyni - tylko że nie za bardzo go zrozumiałem.

Następnie zamknął wieko ponownie pełnej skrzyni i podniósłszy ją, ruszył w stronę wozu.

- Poza tym wydaje mi się, że nie powinniśmy już więcej wymawiać głośno jego imienia.

- A to czemu? - dopytywała się Maeve, pragnąc uzyskać od ojca jak najwięcej odpowiedzi. - Czy to zły człowiek?

Harmon wstawił kufer na wóz.

- Nie wiem, jaki jest - odparł ściszym głosem. - Prawdę mówiąc, nie wiem nawet czy jest w ogóle człowiekiem. Może... - westchnął.

- Co, tato?

- Może go tylko wyśniłem.

- Ale ja też go widziałam.

- Wobec tego może oboje go wyśniliśmy. Może to wszystko, czym jest lub będzie kiedykolwiek Everville - sen, który dzielimy oboje.

Ojciec powiedział Maeve, że nigdy by jej nie okłamał i nawet teraz wierzyła mu. Ale jakież sen potrafi wytworzyć przedmioty równie rzeczywiste jak medalion, który miała przed

chwilą w rękach?

- Nie rozumiem - odpowiedziała.

- Pomówimy o tym innym razem. - Harmon przesunął dłonią po zmarszczonym czole. -

Wystarczy na dzisiaj.

- Powiedz tylko, kiedy - poprosiła Maeve.

- We właściwym czasie - odparł Harmon, wsuwając kufer pod brezentowy dach, gdzie nie było go już widać. - Tak to już bywa z tymi rzeczami.

## Rozdział II

### 1

Te rzeczy, te rzeczy; właściwie czym one są? Przez kilka następnych tygodni, kiedy tabor wozów przemierzał Idaho, podążając szlakiem wytyczonym przez trwające od pół dekady pielgrzymki na zachód, Maeve zastanawiała się nad zagadką tego wszystkiego, co widziała i usłyszała tamtego dnia. W gruncie rzeczy owo zastanawianie się, przesycone zakłopotaniem, stanowiło odskocznnię, podobnie jak zszywanie strzępków snu, które urozmaicało jej nudną, monotonną wędrówkę. Koniec czerwca był upalny i nikt nie miał w sobie dość energii na jakiegokolwiek gierki czy zabawy.

Dorosłym jest łatwiej, pomyślała Maeve. Mieli mapy, nad którymi ślęczeli, i wojny zaprzatające ich myśli. Poza tym między mężczyznami a kobietami były jeszcze inne sprawy, których umysł dwunastoletniej Maeve nie do końca pojmował, a które dziewczynka usilnie starała się zrozumieć. Z jej obserwacji jasno wynikało, że młodzi mężczyźni gotowi byli uczynić wiele dla dziewczyny, która wiedziała, jak ich oczarować. Będą szli za nią jak psy za suką, skłonni zaspokoić każdą jej zachciankę, a jeśli będzie trzeba, zrobią z siebie głupców. Nie pojmowała owych rzeczy do końca, ale szybko się uczyła, a to - w przeciwieństwie do enigmatycznego pana Buddenbauma - było zagadką, którą (święcie w to wierzyła) zdoła kiedyś rozwikłać.

Co się tyczy jej ojca, po starciu z Whitneyem bardzo się wyciszył, mniej niż dotychczas stykał się z innymi wędrowcami, a jeżeli już, to tylko po to, by zamienić parę słów na najbardziej ogólne tematy. W sekretnym, bezpiecznym zaciszu wozu natomiast wciąż snuł plany wybudowania Everville, koncentrując na nich większą uwagę niż kiedykolwiek dotąd. Maeve tylko raz próbowała oderwać go od nich. Skarcił ją srodze, nakazując, by zostawiła go w spokoju. Jego zadaniem było - jak sam stwierdził - całym sercem wchłonąć ideę Everville, gdyby bowiem zdarzyło się, że Pottruckowi, Goodhue czy im podobnym uda się unicestwić plany metropolii, zawsze mógłby odtworzyć świetliste miasto z pamięci.

- Bądź cierpliwa, złotko - rzekł i nagle nie wydawał się już jej srogi. - Jeszcze tylko kilka tygodni i przebrniemy przez góry. Potem znajdziemy dolinę i odpoczniemy.

Ufała mu, tak w tym, jak we wszystkim innym i pozwoliła, by nadal ślęczał nad planami. Cóż znaczyło tych kilka tygodni? Ona tymczasem zajmie się potrójną zagadką snów,



niedomówień i tego, co łączy mężczyzn oraz kobiety.

Już wkrótce będą w Oregonie. Już niedługo. Nic nie było bardziej pewnego ponad to.

## 2

Zanim jednak skończył się sierpień, cały świat wychłódl i w trzecim tygodniu tego miesiąca, kiedy w zasięgu najbardziej bystrych oczu nie widać było Gór Błękitnych, raczej żywnościowe zostały zmniejszone tak drastycznie, że niektórzy wskutek osłabienia nie mogli wręcz ustać na nogach. Przy ogniskach zaczęły pojawiać się plotki, jakoby zaprzyjaźnieni rdzenni mieszkańcy tych ziem mówili o nadchodzących od gór nienaturalnych, srogich jak na tę porę roku, śnieżycach.

Sheldon Sturgis, który dotąd prowadził tabor dość lekką ręką (niektórzy mówili, że taki już miał styl, inni zaś, że był zwyczajnie słaby i czuł nadmierny pociąg do butelki), jął nagle poganiać i karcić tych, co opóźniali wędrówkę. W miarę wszelako jak rosła liczba osłabionych i chorych, zaczęły zdarzać się coraz częstsze wypadki i omyłki, opóźniające podróż, jako że przypadki w rodzaju zgubionego koła, zatarasowanego szlaku czy okulawień zwierząt były nieodłącznym elementem tego typu wypraw.

Z początkiem września do taboru dołączył jeszcze jeden wędrowiec - śmierć - a przynajmniej tak właśnie pojmowała to Maeve. Początkowo go nie dostrzegła, ale wyczuwała jego obecność. Był w tej krainie dokoła, zabijając żywe istoty swym dotykiem bądź tchnieniem. Drzewa, które o tej porze roku winny rodić owoce, zrzuciły już liście i stały nagie i opuszczone.

Przy szlaku dostrzec można było najróżniejsze padłe, większe i mniejsze zwierzęta. We wrześniu tamtego roku jedynie żerujące na padlinie muchy wciąż były najedzone, ale śmierć jest wszak przyjacielem much, czyż nie?

Wieczorami przed zaśnięciem słyszała, jak w pobliskich wozach ludzie modlą się, prosząc Boga, by nie pozwolił śmierci na złożenie im ostatniej wizyty.

Nic to jednak nie dało. Posępny Żniwiarz przychodził raz po raz. Do małego synka Marshy Winthrop, Williama, który narodził się w Missouri zaledwie na dwa tygodnie przed rozpoczęciem wędrówki. Do ojca Jacka Pottrucka, zwierzęcia w ludzkiej skórze, jak jego syn, który nagle utracił siły i oddał ducha w środku nocy (choć nie cicho i spokojnie jak mały Winthrop, lecz krzycząc i zlorzecząc na całe gardło). Do sióstr Brendy i Meriel Schonberg, dwóch starych panien, których odejście odkryto, kiedy tabor zatrzymał się o zmierzchu, a ich wóz jechał dalej, gdyż obie siedzące na koźle kobiety już nie żyły.

Maeve zastanawiała się nieustannie, dlaczego śmierć wybrała akurat te dusze. Rozumiała, czemu zabrała jej matkę - była wszak bardzo piękna, pełna wdzięku i kochająca. Zabierając ją, Żniwiarz chciał uczynić ten świat uboższym, na swoją korzyść. Ale po co byli mu niemowlę, starzec i dwie wysuszone kobiety?

Nie zawracała ojcu głowy tymi pytaniami - i tak miał już mnóstwo kłopotów. Mimo iż ich wóz trzymał się nieźle, a koń był zdrowy jak żaden inny w całym taborze, jeden rzut oka w podkrążone, zapuchnięte oczy Harmona wystarczył, aby zorientować się, iż on również zdawał sobie sprawę z niemilego im wszystkim towarzystwa Posępnego Żniwiarza nie odstępującego na krok ich karawany. Zaczęła uważniej wypatrywać Błędego Jeźdźca w nadziei, że poprawi ojcu humor, identyfikując wroga i mówiąc mu na przykład: „Wiem, jakiej maści jest jego koń, jakiego koloru nosi kapelusz i jeśli zbliży się do nas, rozpoznam go i odstraszę modlitwą albo pięścią”. Niejeden raz wydawało się jej, że go dostrzeże, lawirującego między jadącymi w przedzie wozami, mrocznymi kształtami pośród tumanów kurzu. Nigdy wszelako nie była pewna tego, co dostrzegła, toteż trzymała język za zębami, wybierając milczenie zamiast dzielenia się z ojcem nie do końca sprawdzoną informacją.

Dni mijały, robiło się coraz chłodniej, a kiedy w końcu w zasięgu wzroku pojawiły się Góry Błękitne, ich zbocza poniżej linii drzew były białe, a chmury daleko za nimi czarne i napęczniałe od śnieżnego brzemienia.

Pewnego ranka znaleziono Abilene Welsh i Billy’ego Baxtera, których letnie figle były tematem wielu plotek (i wymownych cmoknięć Marshy Wintrop) zamarzniętych, objętych czule ramionami; śmierć odwiedziła ich, kiedy cieszyli się sobą wzajem z dala od zbawczego żaru ogniska. Podczas pogrzebu, gdy doktor Hodder mówił, że tych dwoje na zawsze połączy się w Królestwie Bożym, a ich grzechy, które mogli popełnić w imię miłości, będą im wybaczone, Maeve uniosła wzrok ku szaremu niebu i ujrzała opadające spiralnie w dół pierwsze płatki śniegu.

I to był początek końca.

### 3

Po tym przestała wypatrywać Jeźdźca Śmierci. Jeżeli nawet wcześniej faktycznie towarzyszył im konno - jak podejrzewała - obecnie najwyraźniej zmienił wygląd. Stał się prostszy. Był lodem.

W błyskawicznym tempie uśmiercił wielu wędrowców, a tych, których nie zabił,

zadręczał wizjami tego, co wkrótce stać się miało ich udziałem. Spowalniał pracę mózgu i przepływ krwi, powodował drętwienie palców i stóp, sztywnienie ścięgien, wdzierał się do płuc, by bezlitośnie je zmrozić.

Czasami nawet teraz, kiedy tylu już ludzi umarło, a pozostali dogorywali, Maeve słyszała swego ojca mówiącego: „To nie powinno tak być” - jakby złożono mu jakąś obietnicę, która została potem złamana. Nie wątpiła, kto był autorem tej obietnicy - pan Buddenbaum. To on napełnił serce jej ojca nadziejami, podarował mu prezenty i nakazał wyruszyć na zachód i budować. To on jako pierwszy wyszeptał słowo „Everville”. Zastanawiała się, czy Whitney nie miał racji. Może diabeł faktycznie zjawił się, by kusić ojca pod postacią pana Buddenbauma i napełnił jego ufne serce marzeniami, by potem z lubością patrzeć, jak będzie pękało. Ten problem nurtował Maeve w dzień i w nocy, a jeszcze bardziej, kiedy podczas silnej śnieżycy ojciec nachylił się ku niej i rzekł:

- Musimy być silni, kochanie. Nie możemy umrzeć, bo Everville umrze wraz z nami!

Głód i wyczerpanie doprowadziły ją nieomal do skrajnego delirium. Czasami wyobrażała sobie, że znajduje się na statku płynącym z Liverpoolu, z palcami przywierającymi do skutego lodem pokładu; czasami była na powrót w Irlandii, gdzie jadła trawę i korzonki, aby uniknąć bólu brzucha - w chwilach pełnej świadomości jednakże zastanawiała się, czy to wszystko nie jest czasem jednym wielkim sprawdzianem, testem, dzięki któremu Buddenbaum przekonywał się, czy człowiek, któremu powierzył marzenie o Everville, okaże się dostatecznie silny, aby przetrwać. Odczucie to stało się tak silne, że Maeve nie mogła zachować go tylko dla siebie.

- Tatusiu? - odezwała się, ciągnąc go za połą płaszcz.

Ojciec spojrzał na nią; jego twarzy, przesłoniętej kapturem, prawie nie było widać. Dostrzegła tylko jedno oko, ale jak zawsze patrzył na nią z miłością.

- Słucham, dziecino - odpowiedział.

- Wydaje mi się, że może m i a ł o tak być.

- O czym ty mówisz?

- Może pan Buddenbaum obserwuje nas, aby przekonać się, czy zasługujemy, by wybudować to miasto. Może kiedy uznamy, że to już koniec, że dalej już nie dotrzemy, zjawi się i powie, że to wszystko było tylko próbą, sprawdzianem, i wskaże nam drogę do doliny.

- To nie jest sprawdzian, dziecino. Na świecie tak po prostu bywa. Marzenia umierają. Nie wiadomo skąd pojawia się zima i zabija je. - Objął córkę ramieniem i przytulił do siebie, mimo że nie miał już wiele sił.

- Nie boję się, tato - powiedziała.

- Nie boisz się?

- Wcale. Przeszliśmy razem długą drogę.

- O, tak.

- Pamiętasz, jak to było w domu? Jak wydawało się nam, że pomrzemy z głodu? Ale nie umarliśmy. A potem na statku fale zmywały ludzi z pokładu na prawo i lewo od nas, już myślałam, że lada moment utoniemy. Ale dopłynęliśmy aż tutaj. Mam rację?

Jego spękane, zbiegłe wargi wykrzywiły się w słabym uśmiechu.

- Zgadza się, dziecinko.

- Pan Buddenbaum wiedział, co przeszliśmy - rzekła Maeve. - Wiedział, że czuwają nad nami anioły. I mama... - Poczowała, że jej ojciec nagle zadygotał.

- Śniła mi się zeszłej nocy - powiedział.

- Była piękna?

- Jak zawsze. Unosiliśmy się, jedno przy drugim, na falach spokojnego, niesamowicie spokojnego morza. I gotów jestem przysiąc, że i ty tam byłaś, dziecino, czekałaś na mnie...

Nie dokończył tej myśli. Z oślepiającej bieli przed nimi dobiegł nagle dźwięk, jak pojedynczy ryk trąby, nuta triumfu, na odgłos którego w wozach przed i za nimi zapanowało zamieszanie.

- Słyszeliście to?

- Ktoś jest tu z nami!

Kolejny dźwięk i jeszcze jeden, i jeszcze, każdy coraz silniejszy, coraz głośniejszy, rozbrzmiewał od echa poprzedniego, aż cały ogarnięty bielą świat wypełniły harmonijne, grzmiące tony.

Wóz Sturgisów, który jechał przed O'Connellami, stanął, a Sheldon zaczął biec wzdłuż taboru, zwołując wszystkich mężczyzn.

- Stratton! Whitney! O'Connell! Weźcie broń!

- Broń? - zastanawiała się Maeve. - Tatusiu, po co im broń?

- Wejdz do wozu, dziecino - polecił Harmon - i nie wychodź, póki nie wrócę.

Hałas trąb ucichł na chwilę, ale zaraz rozbrzmiał na nowo, jeszcze donośniej i dostojniej niż dotychczas. Gramoląc się do wozu, Maeve poczuła, że jej ciało od tych dziwnych dźwięków przechodzą zimne ciarki, zupełnie jakby te tony przeszywały ją na wskroś, aż do szpiku kości. Zaczęła płakać, widząc jak jej ojciec ze strzelbą w dłoni rozplywa się pośród bieli. Nie dlatego, że obawiała się o niego, ale dlatego, że sama chciała pójść i zobaczyć ową trąbę, wywołującą w niej tak osobliwe i głębokie reakcje. Była ponadto ciekawa, kim był człowiek, który na niej przygrywał. A może to wcale nie byli ludzie, skonstatowała

oszołomiona. Może to aniołowie, o których paplała zaledwie przed paroma minutami, zstąpili na ziemię, a te dźwięki zwiastowały ich chlubne nadejście.

Wychyliła się z wozu, nieoczekiwanie i dogłębnie przekonana, że jej przypuszczenia są prawdziwe. To niebiańscy Aniołowie Stróże przybyli, by ich ocalić. Najprawdopodobniej była też z nimi mama. Jeśli wyteży wzrok, już wkrótce ujrzy ich w złocie, błękicie i purpurze. Stała na koźle, przywierając do brezentu, aby móc lepiej widzieć poprzez tumany śniegu otaczające ją ze wszystkich stron. Jej wysiłki zostały nagrodzone. W chwili kiedy trąby zaczęły grać trzecie alleluja, kurtyna śniegu rozchyliła się na chwilę. Ujrzała góry wznoszące się z lewej i prawej strony niczym szczęki potrzasku, a na wprost pojedynczy, gigantyczny szczyt, którego niższe stoki porastał gęsty las. Skraj linii drzew znajdował się nie dalej niż sto jardów od wozu i stamtąd właśnie płynęła osobliwa muzyka. Dziewczynka była o tym przekonana. Nigdzie nie dostrzegła ojca ani mężczyzn, którzy mu towarzyszyli, niemniej jednak na pewno weszli oni do lasu. Mogła pójść ich śladem, to nie powinno być specjalnie niebezpieczne, a poza tym tak bardzo pragnęła być przy ojcu, gdy ponownie połączy się z mamą. Czyż to nie będzie cudowne, całować mamę pośród kręgów aniołów, podczas gdy Whitney i wszyscy inni, którzy drwili i szydzili z jej ojca, będą przyglądać się temu w niemym napięciu?

Kurtyna śniegu opadła ponownie, ale nim to nastąpiło, Maeve zeskoczyła z wozu i pomaszerowała w stronę drzew. W kilka chwil śnieg przesłonił sznur wozów za jej plecami, podobnie jak rozciągającą się przed nią połąć lasu. Szła „na pamięć” poprzez pustkę, potykając się co krok. Zaspy były zwodniczo głębokie i kilka razy o mało nie została pogrzebana żywcem, kiedy jednak przemarznięte kończyny zaczęły odmawiać posłuszeństwa, ponownie dał się słyszeć ryk trąb, a muzyka wlała nową porcję życia do omdlewających ścięgien dziewczynki, jej głowę zaś przepelniła wszechogarniająca błogością. Gdzieś tam przed nią rozciągał się skrawek raj, z aniołami, mamą i kochającym ojcem, z którym wybuduje miasto - stanie się ono cudem świata.

Nie umrze, była tego pewna. Nie dziś i nie w ciągu wielu najbliższych lat. Miała do wypełnienia ważne zadanie. Aniołowie nie pozwolą, by umarła w śniegu, wiedząc jak daleko dotarła, by zrealizować swoją wielką misję.

Wreszcie ujrzała drzewa; sosny, większe niż jakikolwiek dom, wznosiły się na wprost niej niczym wartownicy. Pobieгла ku nim, nawołując ojca, nie zwracając uwagi na chłód, sińce i zawroty głowy.

Trąby były już blisko. Kątem oka dostrzegła eksplozję barw - jakby tłum aniołów, którzy nie wzięli swych instrumentów, wirując otoczył ją dokoła, a jedynie, co pozwolono jej

dojrzyć, to koniuszki ich falujących skrzydeł.

Unoszona przez niewidzialne dłonie została przeniesiona pod baldachim z konarów drzew, gdzie nie docierał śnieg. Tutaj ziemia zasłana była miękką warstwą sosnowych igieł. Maeve osunęła się na kolana i zaczerpnęła głęboko tchu trzy razy, podczas gdy dźwięk trąb przeniknął każdy zakamarek jej ciała.

## Rozdział III

Ostatecznie to nie muzyka poderwała ją z ziemi i nie były to również ręce niewidzialnego tłumu. Był to krzyk, który przebił się poprzez najdonioślejsze echo trąb i ogromnie ją zaniepokoił.

- Niech cię licho O'Connell! - Znała ten głos. To był Whitney. - Boże w Niebiosach, cóżeś uczynił? - zakrzyknął.

Wstała i ruszyła w stronę, skąd dochodziło wołanie. Oczy Maeve nie przywykły jeszcze do półmroku po bieli śnieżycy i im bardziej oddalała się od skraju lasu, tym robiło się ciemniej, ale gniew w głosie Whitneya nakazywał jej iść przed siebie, niezależnie od tego, co miałyby napotkać na swej drodze. Trąby ucichły. Być może aniołowie usłyszeli te wrzaski, pomyślała, i nie chcieli, by harmonijne dźwięki ich melodii rozbrzmiewały w skalanym powietrzu, a może po prostu zwyczajnie się przyglądali nie wiedząc, jak właściwie wygląda u ludzi wybuch gniewu.

- Ty wiedziałeś! - wrzeszczał Whitney. - Sprowadziłeś nas do piekła!

Maeve widziała go teraz, jak przesuwał się pośród drzew, wrzeszcząc donośnie do swojej ofiary ukrywającej się gdzieś pośród cieni.

- O'Connell? O'Connell? Spłoniesz za to w jeziorze ognia! Będziesz płonął i płonął i...

Przystanął i odwrócił się, a jego oczy z przeraźliwą szybkością odnalazły Maeve. Zanim zdążyła się wycofać, ryknął:

- Widzę cię! Wyłaż, ty mała dziwko!

Maeve nie miała wyboru, trzymał ją na muszce. A kiedy podeszła do Whitneya, uświadomiła sobie, że nie był sam. O kilka jardów dalej stali Sheldon, Sturgis i Pottruck. Sturgis kulił się pod drzewem, przerażony czymś, co znajdowało się wśród gałęzi powyżej, i w co celował z karabinu.

Pottruck obserwował wyglupy Whitneya z wyrazem rozbawienia na tępej, topornej twarzy.

- O'Connell? - zawołał Whitney. - Mam tu twoją małą. - Przymierzył się i zmrużył jedno oko. - Jeśli naciśnę spust, dostanie dokładnie między oczy. I wiedz, że to zrobię. Słyszysz mnie, O'Connell?

- Nie strzelaj - rzekł Sturgis. - Bo jeszcze ściągniesz to z powrotem.

- I tak wróci - mruknął Whitney. - O'Connell sprowadził to coś, aby nasyciło się

naszymi duszami.

- Jezu Chryste Przenajświętszy! - Sturgis zaczął pochlipywać.

- Nie ruszaj się! - rzucił Whitney do Maeve. - Zawołaj ojca i każ mu odwołać tego demona albo cię zabiję.

- On... on nie przywoływał żadnych demonów - odpowiedziała. Nie chciała, by Whitney zorientował się, że się boi, ale nic nie mogła na to poradzić. Łzy same ściekały jej po twarzy.

- Po prostu mu to powiedz - polecił Whitney. - Zawołaj go.

Machnął karabinem w stronę Maeve. Wylot lufy znalazł się nagle o stopę od jej twarzy.

- Jeżeli tego nie zrobisz, zabiję cię. Jesteś potomkiem Szatana, dzieckiem Złego. Zabicie ciebie to żaden grzech. No jazda, zawołaj go.

- Tato?

- Głośniej!

- Tato?

Z cieni nie dobiegła żadna odpowiedź.

- Nie słyszy.

- Słyszę cię, dziecino - odrzekł jej ojciec. Spojrzała w stronę, skąd dobiegł głos i wtedy go ujrzała, wyłaniającego się z ciemności.

- Rzuć strzelbę! - zawołał doń Pottruck.

W momencie gdy to uczynił, ponownie zagrzmiały trąby. Brzmiały teraz donośniej niż dotychczas. Dźwięki schwyciły Maeve za serce, z trudem mogła zaczerpnąć tchu.

- Co się dzieje? - usłyszała głos ojca, a gdy spojrzała w jego stronę, ujrzała, że ku niej biegnie.

- Nie zbliżaj się! - ryknął Whitney, ale ojciec nie przystanął.

Nie było drugiego ostrzeżenia. Whitney po prostu wypalił i to nie raz, ale dwa razy. Jedna kula trafiła w ramię, druga w brzuch. Nawet ranny, nie zatrzymał się, choć po dwóch kolejnych, niepewnych już krokach nogi ugięły się pod nim i upadł.

- Tato! - krzyknęła Maeve i podbiegłaby do niego, ale w tym momencie trąby rozpoczęły kolejny pean i w miarę jak muzyka narastała w jej wnętrzu, oślepiające białe światło przesłoniło dziewczynce cały świat, a kiedy wszystko dokoła niej zawirowało, osunęła się na kolana.

- Słyszę jak to nadchodzi.

- Stul pysk, Sturgis.

- Ale to prawda! To wraca! Whitney! Co my teraz zrobimy?

Piskliwe krzyki Sturgisa przywołały Maeve do rzeczywistości. Otworzyła oczy i ujrzała



ojca leżącego tam, gdzie upadł. Wciąż się poruszał, jego dłonie zaciskały się rytmicznie na brzuchu, nogi podrygiwały spazmatycznie.

- Whitney! - wołał Sturgis. - To wraca!

Nie widziała go z miejsca, gdzie klęczała, ale słyszała szelest kołyszących się gałęzi, jakby nagle zerwał się silny wiatr. Whitney zaczął się modlić:

- „Ojcze nasz, któryś jest w Niebie...”

Maeve leciutko poruszyła głową, w nadziei że dostrzeże trójkę mężczyzn, nie zwracając na siebie ich uwagi. Whitney klęczał, Sturgis kulił się pod drzewem, a Pottruck patrzył na konary drzewa, rycząc wściekle.

- No chodź, łajdaku! Chodź!

Stwierdziwszy, że o niej zapomnieli, Maeve wstała ostrożnie, przytrzymując się drzewa. Przeniosła wzrok na ojca, który unosił głowę kilka cali nad ziemią i patrzył na Pottrucka strzelającego do kołyszących się gałęzi.

- Chryste, nie! - zawołał Sturgis.

Whitney jął podnosić się z klęczek i w tej samej chwili kształt, którego Maeve nie mogła odróżnić od gałęzi - zawierał w sobie bowiem zarówno ich cienie, jak i kołysanie - rzucił się na Pottrucka.

Czymkolwiek to było, na pewno nie było aniołem. Nie miało piór. Nie było błękitne, złote ani purpurowe. Stworzenie było nagie, co do tego Maeve nie miała wątpliwości, a jego skóra błyszczała. Tylko tyle zdołała wychwycić dziewczynka, zanim podźwignęło Pottrucka w górę i uniosło w korony drzew. Pottruck krzyczał, wrzeszczał i wył, a Maeve, mimo iż szczerze go nie znosiła, życzyła mu, by oszczędzono mu tych cierpień, choćby tylko dlatego, aby wreszcie zamilkł. Zakryła uszy dłońmi, ale krzyk przenikał pomiędzy jej palcami, przybierając na sile, z chwilą gdy spomiędzy konarów popłynęły kaskady potwornego deszczu. Najpierw spadła strzelba, potem strugi krwi, następnie jedna ręka i kawałek ciała, którego Maeve nie potrafiła rozpoznać, i jeszcze jeden. Pottruck wciąż krzyczał, mimo iż krwawy kapuśniaczek przerodził się w ulewę, a z drzewa spadł błyszczącą pętlą pokaźny fragment jego wnętrzości.

Nagle Sturgis wyszedł ze swej kryjówki i zaczął strzelać w drzewo. Może uwolnił Pottrucka od cierpień, a może bestia po prostu rozszarpała nieszczęśnikowi gardło - tak czy inaczej, przeraźliwe odgłosy ucichły, w chwilę później zaś z korony drzewa spadły zmasakrowane nie do poznania resztki ciała Pottrucka i legły, buchając parą, na ziemi.

W górze wszystko znieruchomiało. Sturgis, dławiąc szloch, zniknął pośród cieni. Maeve zamarła, modląc się, aby zabrał ze sobą Whitneya, tak się jednak nie stało. Zamiast

tego Whitney ruszył w stronę jej ojca.

- Widzisz, cóżes uczynił, przywołując Złego? - zapytał.

- Ja... nikogo... nie... przywołałem - wykrztusił Harmon.

- Każ mu wrócić w czeluście piekielne, O'Connell. Zrób to!

Maeve spojrzała w stronę, gdzie ostatnio widziała Sturgisa. Mężczyzna uciekł. Naraz jej wzrok padł na karabin Pottrucka, leżący pod zakrwawionymi gałęziami o metr od trupa.

- Okaż skruczę - syknął Whitney do Harmona. - Odeślij tego czarta tam, skąd przybył, albo odstrzelę ci obie dłonie, a potem na dokładkę małego, aż będziesz skamlał, pragnąc odpowiedzieć za swe nieczne czyny.

W sytuacji kiedy Sturgis wziął nogi za pas, a Whitney był odwrócony plecami, Maeve nie musiała zachowywać szczególnej ostrożności. Zerkając ku wysokim konarom, gdzie, jak była pewna, wciąż czaiły się bestie, ruszyła po karabin. Nie udało jej się dostrzec stworzenia, gdyż gałęzie były zbyt gęste, ale czuła na sobie jego wzrok.

- Proszę... - wyszeptła doń cichutko, by nie zwrócić na siebie uwagi Whitneya - nie... rób... mi... krzywdy...

Stwór ani drgnął. Nie poruszyła się nawet jedna gałązka, nie spadła choćby jedna igielka.

Spojrzała na ziemię. Zmasakrowane zwłoki Pottrucka leżały u jej stóp. Widziała już wcześniej trupy w irlandzkich kanałach i liverpoolskich rynsztokach, a także tu na szlaku ku Ziemi Obiecanej. Ten był bardziej od innych okrwawiony, ale to jej nie wzruszało. Przeszła go i sięgnęła po karabin.

W tej samej chwili usłyszała, jak stworzenie powyżej wypuściło powietrze z westchnieniem. Zamarła, serce zakolało jej w piersi; czekała, aż szpony pochwyć ją i podźwigną w górę. Ale tak się nie stało. Usłyszała tylko kolejne, prawie smutne westchnienie. Wiedziała, że nieroztropnie jest pozostawać tam choćby chwilę dłużej, niż to konieczne, ale ciekawość wzięła górę. Wyprostowała się i uniosła wzrok. I wtedy kropla krwi spadła na jej policzek, a druga wpadła między rozchylone wargi. Kiedy tylko poczuła ją na języku, wiedziała, iż nie była to krew Pottrucka. Kropla nie była słona, lecz słodka niczym miód i mimo iż Maeve wiedziała, że to krwawi bestia (najwyraźniej Pottruck wcale nie był takim złym strzelcem) głód przewyciężył wszelkie opory. Rozchyliła usta szerzej, oczekując na dalsze krople i nie rozczarowała się, gdyż drobny deszczyk zrosił jej uniesioną ku górze twarz, a niektóre wpadły do ust. Ślina napłynęła jej do ust i mimo woli westchnęła, rozkoszując się smakiem krwi.

Stworzenie na drzewie poruszyło się i przez moment mogła je zobaczyć. Skrzydła

rozpostarło szeroko, jakby lada moment miało spaść na nią, a głowę - jeżeli Maeve dostatecznie dobrze zdołała przeniknąć cienie - trzymało lekko pochyloną.

Krew wciąż płynęła, krople nie omijały już jej ust, lecz spadały wprost na język i dziewczynka wiedziała, że to nie przypadek. Stwór karmił ją, wyciskając krew z rany niczym miód z nasączonej nim gąbki.

Dopiero jęk ojca wyrwał ją z tego dziwnego odrętwienia. Odwróciła wzrok od swego żywiciela i spojrzała w drugą stronę. Whitney przykucnął obok ciała Harmona, mierząc strzelbą w jego głowę.

Ruszyła w ich kierunku, dużo zwawszym i lżejszym krokiem niż w ciągu wielu ostatnich tygodni. Nie czuła już bólu brzucha.

I nie kręciło jej się w głowie.

Whitney nie zauważył Maeve, nim nie znalazła się o sześć czy siedem jardów od niego. Wymierzyła weń z okrwawionego karabinu Pottrucka. Nigdy nie posługiwała się bronią, ale z takiej odległości trudno byłoby nie trafić. Najwidoczniej dręczyciel doszedł do tego samego wniosku, bo na jej widok zmartwiał.

- Uważaj z tą pukawką, dziecino - powiedział.

- Zostaw tatę w spokoju.

- Nawet go nie dotknąłem.

- Kłamca.

- To prawda Przysięgam.

- Maeve, najdroższa.. - wyszeptał Harmon, nie bez trudu podnosząc głowę - wróć do wozu. Proszę. Tam... tam jest coś strasznego.

- Wcale nie - odparła, wciąż czując na języku słodką krew bestii. - On nas nie skrzywdzi. - Odwróciła się do Whitneya. - Musimy opatrzyć jakoś rany taty, bo może umrzeć. Odłóż broń!

Whitney wykonał polecenie, a Maeve podeszła bliżej, mierząc weń z karabinu i jednocześnie spoglądając na ojca. Wyglądał fatalnie, jego kurtka i koszula od kołnierza po pas były ciemne od krwi.

- Pomóż mu wstać - rzekła do Whitneya. - Którędy do wozów?

- Idź sama, dziecino - odezwał się półgłosem Harmon. - Nie zostało mi już wiele czasu.

- To nieprawda. Zabierzemy cię do obozu, a pani Winthrop obandażuje te rany jak należy...

- Nie - rzekł Harmon. - Już za późno.

Maeve podeszła do ojca i spojrzała mu prosto w oczy.

- Musisz wyzdrowieć - powiedziała. - W przeciwnym razie, co się stanie z Everville?

- Miałem piękny sen - szepnął, wznosząc w jej stronę drżącą dłoń. Ujęła ją. - Ale ty jesteś ode mnie lepsza, dziecino. - Ty jesteś moim najwspanialszym snem. Nie jest mi tak ciężko umrzeć, wiedząc, że zostajesz na tym świecie.

Ogniki w jego oczach zgasły, a powieki opadły.

- Tatusiu? - rzuciła się doń Maeve. - Tato?

- Już smaży się w piekle - burknął Whitney.

Spojrzała na ojca i uśmiechnęła się. Łzy, które dotąd powstrzymywała, napłynęły falą goryczy... smutku... i gniewu... Osunęła się na kolana obok ojca, przywierając twarzą do jego zimnego policzka.

- Posłuchaj mnie - rzekła.

Czy rzeczywiście poczuła drżenie w jego ciele, jakby wciąż trzymał się ostatniej resztki życia, wsłuchując się z ciemności w głos swego dziecka?

- Zbuduję je, tato - szepnęła. - Zrobię to. Przyrzekam! To nie będzie tylko sen. Ani tylko marzenie.

Kiedy zamilkła, poczuła na policzku delikatne muśnięcie - jakby drżenie powietrza - i wiedziała, że ją usłyszał. A kiedy ją usłyszał, mógł wreszcie odejść. I odszedł.

Radość z tego przekonania była jednak krótkotrwała.

- Niczego nie wybudujesz - powiedział Whitney.

Uniosła wzrok i spojrzała na niego. Znow był uzbrojony; kiedy na niego nie patrzyła, podniósł strzelbę i mierzył teraz prosto w jej serce.

- Wstań! - rozkazał. Kiedy to uczyniła, wytrącił jej z rąk karabin Pottrucka. - Twoje łzy nie robią na mnie wrażenia - ciągnął. - Zaraz dołączysz do swego kochanego tatusia.

Uniosła obie ręce przed siebie, jakby dłońmi mogła odbić kule.

- Proszę - szepnęła, cofając się.

- Ani kroku dalej! - zawołał i pociągnął za spust, a kula trafiła w śnieg tuż obok jej stóp.

- Idziesz ze mną, na wypadek gdyby ten czarci pomiot, przywołany przez twojego ojczulka, powrócił.

Ledwie to powiedział, gdy gałęzie kilka jardów za nim zaszeleściły gwałtownie.

- Panie Przenajświętszy! - wydyszał Whitney i podbiegłszy do Maeve, odwrócił ją i przyciągnął do siebie.

Plakała i błagała, by jej nie krzywdził, ale mężczyzna schwycił ją brutalnie za włosy i podciągnął w górę, tak że musiała stanąć na palcach. Zaczął się wycofywać, oddalając się od miejsca, gdzie szeleściły gałęzie; Maeve musiała dostosować kroki do kroków Whitneya.

Przeszli kilka kroków, kiedy głośny szelest ucichł. Najwyraźniej ranna bestia nie zamierzała ryzykować zarobienia jeszcze jednej kulki. Przyspieszony oddech spanikowanego Whitneya nieco się uspokoił.

- Wszystko będzie w porządku - powiedział - Pan czuwa nade mną.

Ledwie wyrzekł te słowa, kiedy bestia zaatakowała, przemykając pośród drzew w górze nad nimi z taką szybkością i gwałtownością, że na ziemię spadły całe oberwane konary. Maeve zaryzykowała. Sięgnęła ręką i wbiła paznokcie w dłoń Whitneya, jednocześnie skręcając całe ciało w bok. Jej przetłuszczone włosy wyslizgnęły się z garści mężczyzny i nim zdołał schwycić ją ponownie, była już poza zasięgiem jego rąk, chroniąc się za najbliższym drzewem.

Zdążyła zrobić nie więcej niż trzy ludzkie kroki, kiedy tuż przed nią poruszyło się coś, co wzięła za dwie opadające gałęzie. Zrozumiała swój błąd w chwili, gdy uniosła ręce, aby zasłonić twarz. Pochwyciły ją czyjeś dłonie; palce były dostatecznie długie, by objąć ją w pasie.

Maeve straciła oddech i w tej samej chwili została podźwignięta i uniesiona ku górze.

Whitney wypalił raz i drugi, ale ranny wybawiciel wycofał się równie szybko, jak opuścił się w dół, aby ją porwać.

- Trzymaj się - powiedział, obejmując dziewczynkę gorącymi dłońmi i zanim jeszcze zdążyła mocniej go złapać, przebił się przez baldachim drzew. Jego skrzydła odcinały gałęzie niczym dwa wielkie sierpy, gdy poruszając się niestrudzenie, unosiły bestię wraz z jej brzemieniem ku niebu.

## Rozdział IV

Zapomniała o trąbach. Teraz jednak, kiedy jej wybawiciel unosił ją w górę, muzyka powracała, wspanialsza niż kiedykolwiek.

- Fani nadchodzi - rzekł stwór z niepokojem w głosie i bez ostrzeżenia ją obniżał lot tak gwałtownie, że Maeve o mało go nie puściła i nie wyslizgnęła mu się z rąk.

- Jaka pani? - zapytała, lustrując cienie, które ukrywały przed nią jego oblicze.

- Lepiej, żebyś nie wiedziała - odparł. W oddali było już widać cienie. - Nie patrz na mnie - ostrzegł, kiedy pokonali zaporę z dolnych gałęzi - bo będę musiał wyłupić ci oczy.

- Nie zrobiłbyś tego.

- Czyżby? - odparł, unosząc dłoń ku twarzy dziewczynki z taką szybkością, że nie zdążyła nabrać powietrza, zanim wielkie palce nie zacisnęły się na jej ustach, nosie i oczach. Łyknęła resztkę powietrza uwieczoną między jej twarzą a jego dłonią. Pachniała tak, jak jego krew - słodko i smakowicie. Rozchylając usta, dotknęła językiem jego skóry.

- Sądzę, że gdybyś mogła, pożarłabyś mnie żywcem - powiedział. Po tonie jego głosu można było wywnioskować, że ta myśl nieźle go rozbawiła

Maeve poczuła pod stopami twardy grunt. Stwór ponownie przemówił, nieomal przytykając usta do jej ucha, aż połaskotały ją włoski jego brody lub wąsów.

- Masz rację, dziecino, nie mogę cię oślepić. Ale błagam, kiedy odsunę dłoń od twojej twarzy, zamknij oczy i nie otwieraj ich, a ja natychmiast się stąd ulotnię. Kiedy nie będziesz mnie już słyszeć, otwórz oczy. Jednak na wszystko, co jest ci drogie, dopiero wtedy. Zrozumiałaś?

Pokiwała głową, on zaś odsunął dłoń od jej twarzy. Miała zamknięte oczy i nie otworzyła ich, podczas gdy odezwał się ponownie.

- Wróć do swej rodziny - powiedział.

- Mój tato nie żyje.

- A mama?

- Ona również. A Whitney zabije mnie, gdy tylko mnie zobaczy. Uważa, że jestem dzieckiem Szatana. Sądzi, że ty jesteś demonem, przywołanym z piekła przez mojego ojca.

Stwór roześmiał się w głos.

- Nie pochodzisz z piekła, prawda?

- Nie.

- Czy jesteś zatem aniołem?

- Nie, nie jestem.

- Czym wobec tego jesteś?

- Już ci powiedziałem; lepiej, abyś tego nie wiedziała. - Znów zagrały trąby. - Właśnie. Zaraz zacznie się ceremonia. Muszę lecieć. Chciałbym uczynić dla ciebie coś więcej, dziecino, ale nie mogę. - Delikatnie dotknął palcami jej powiek. - Nie otwieraj oczu, dopóki nie odejdę.

- Nie otworzę.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Odsunął palce i zaczął pogwizdywać jakąś lekką, wesołą melodyjkę, przerywając tylko na chwilę, aby dodać:

- Nikomu o tym nie mów - i odszedł, zabierając ze sobą dźwięki melodii.

Obietnica złożona ze skrzyżowanymi palcami nie liczy się, jak powszechnie wiadomo. Maeve wiedziała o tym, odkąd skończyła pięć lat. Rozluźniła palce i odczekała, aż odgłos skrzydeł nieznacznie się oddali, po czym otworzyła oczy. Musieli odlecieć na sporą odległość od góry, bowiem zbocza wokół skały, na której stwór ją pozostawił, były całkiem strome. Rosło tu znacznie mniej drzew, a co za tym idzie, było znacznie jaśniej. W górze, ponad głową widziała niebo - śnieg przestał padać, szczeliny pomiędzy rozpraszającymi się chmurami okolone były różową poświatą zachodzącego słońca, a kiedy podążyła wzrokiem za swym muzycznym wybawcą, odnalazła go bez trudu. Z tej odległości prawie nie była w stanie dojrzeć szczegółów jego wyglądu, ale postanowiła sobie, że już wkrótce to naprawi. Zsuwając się z głazu, ruszyła śladem skrzydlatego nieznajomego.

Droga była trudna. Ziemia i przegniłe igliwie osypywały się spod dłoni i stóp Maeve, kiedy pięła się pod górę, a kilka razy, by nie osunąć się w dół zbocza, musiała uchwycić się wystającego korzenia lub kamienia. Dystans między nią a bestią stopniowo się powiększał i kiedy zaczęła obawiać się, że całkiem straci go z oczu, ta sama różowa poświata, która obmywała chmury na niebie, jęła prześwitywać między drzewami, a wraz z nią pojawiło się rześkie, balsamiczne powietrze, jakiego nie czuła na swej twarzy od miesięcy, a może nawet dłużej. Drzewa rosły tu rzadziej niż gdzie indziej, pomiędzy nimi zaś majaczyła stromizna zbocza. Wznosiło się ośnieżoną krzywizną ku wierzchołkowi, gdzie chmury rozproszyły się zupełnie i szczyt góry odcinał się wyraźnie na tle rozgwieżdżonego czystego nieba. Ich blask wszelako nie mógł się równać ze światłem oblewającym sporą połać śniegu poniżej, źródło którego Maeve odkryła dopiero znalazłszy się na skraju lasu.

Nad zboczem unosiło się kilka mglistych, świetlistych kształtów, roztaczających swój łagodny blask na scenę tak przepiękną, że Maeve stanęła pośród drzew jak obrócona w kamień. Była poruszona do żywego. Mimo iż jej wybawiciel zaprzeczał, jakoby był aniołem, nie ulegało wątpliwości, że tu właśnie musiało znajdować się niebo.

Z jakiegoż innego miejsca mogły pochodzić istoty zamieszkujące to miejsce? Choć tylko kilka z nich miało skrzydła, wszystkie były na swój sposób cudowne. Tuzin, a może nawet więcej spośród nich, przypominało ptaki (miały bowiem lśniące oczy i dzioby) i stało pod jedną ze świetlistych kul. Inny klan, przyodziany w szkarłatne jedwabie, schodził w dół zbocza z wystudiowaną ostentacją, by koniec końców wchłonąć ich blask w głąb swoich ciał i zawisnąć w powietrzu niczym obdarte ze skóry węże. Jeszcze inna grupa miała torsy, które rozchylając się szeroko jak wachlarz, osłaniały znajdujące się wewnątrz, wielkie, pulsujące serca.

Nie każdy ze zgromadzonych tu był do tego stopnia dziwaczny. Niektórzy byli prawie ludźmi, skądinąd obojga płci - i różnili się od nich tylko barwą skóry albo długim, ciągnącym się z tyłu ogonem.

Inni byli tak eteryczni, że wydawali się nieomal zjawami; przechodząc po śniegu nie zostawiali na nim śladów, podczas gdy kolejna grupa, zapewne spokrewniona z wybawcą Maeve, wyglądała aż nadto cieleśnie w tym wielce uduchowionym mistycznym miejscu, dumając ponuro w cieniu swych wielkich skrzydeł i jawnie trzymając się na uboczu nawet pośród swoich.

Natomiast stwór, który bezwiednie przyprowadził ją tutaj, siedł właśnie utykając pomiędzy zgromadzonymi w stronę wierzchołka góry, gdzie rozstawiony był namiot o barwie ciemniejszego nieba. Naturalnie dziewczynka natychmiast zaczęła się zastanawiać, jakie cudowności mogły znajdować się wewnątrz. Czy odważy się wyjść spomiędzy drzew i pójść za swym wybawcą, aby poznać prawdę? Dlaczego nie? - skonstatowała. Nie miała nic do stracenia. Nawet gdyby zdołała zejść ze szczytu tej góry i odnaleźć tabor, Whitney z pewnością już tam na nią czekał, wraz ze swą strzelbą i swoją prawością.

I oto jeszcze jedna ciekawostka. Mimo iż Maeve wyszła spomiędzy drzew i ruszyła w górę zbocza, mijając około setki zebranych tu istot, żadna o nic jej nie zapytała ani nie zastąpiła drogi. Kilka spojrzało w jej stronę, to fakt, niektóre zaszeptały coś między sobą, niewątpliwie na jej temat. Ale to było wszystko. Pośród takich dziwadeł dziewczynka, ze swym wzrostem i wyglądem, musiała prezentować się doprawdy okazale.

Kiedy tak pięła się pod górę, przyszło jej na myśl, że być może to wszystko jest tylko snem, że zemdlała na piersi ojca i już wkrótce ocknie się, czując pod sobą jego zimne ciało.



Istniały jednak sposoby, aby zweryfikować tego typu wątpliwości. Najpierw uszczypnęła się w ramię, potem zaś końcem języka dotknęła spróchniałego zęba. W obu przypadkach zabolęło, i to bardziej niż trochę. Nie śniła. Może zatem straciła zmysły i wymyśliła sobie wszystkie te cuda, tak jak wędrowcom na pustyni jawią się studnie z wodą i drzewa owocowe? Nie, to też nie miało sensu. Skoro to tylko wytwór jej wyobraźni, to gdzie podzieli się rodzice? Gdzie stoły uginające się pod ciężarem ciast i mleka?

Te wizje, mimo całej swej niezwykłości, były prawdziwe.

Światła, rodziny, migocący namiot, wszystko to było równie rzeczywiste jak Whitney, wozy i zmarli w ich grobach.

Myśląc o tym, co zostawia za sobą, Maeve przystanęła na chwilę i obejrzała się za siebie. Noc nadchodziła szybko i las pogrążał się w mglistych ciemnościach. Nie widziała ani śladu wozów czy też ognisk płonących daleko w dole. Albo śnieg pogrzebał wszystkich wędrowców lub też, co bardziej prawdopodobne, uznali, że już po niej i przenieśli się bliżej góry, kiedy furia śnieżycy nieco osłabła.

Była zagubiona. To fakt. Sierota błądząca pośród obcych niezliczone mile od miejsca, gdzie się urodziła. Nie można wyobrazić sobie bardziej zbłąkanej duszy. Nie czuła jednak smutku, kiedy o tym wszystkim myślała (no, może odrobinę, na wspomnienie ojca leżącego gdzieś tam, w mroku, poniżej). Miast tego przepelniała ją dziwna radość. Była jedną z nich, należała do jednego z tutejszych plemion i jeśli ktoś zechce spytać ją, jaką magię przynosi do tego świętego miejsca, każe wszystkim tym cudownym i cudacznym ludziom usiąść, a potem opowie im o Everville, opisz je, ulica po ulicy, plac po placu, a oni osłupieją z wrażenia. A kiedy skończy, nie będzie bynajmniej zbłąkana ani zagubiona, jako że to Everville było jej prawdziwym domem i tak jak było bezpieczne na dnie jej serca, tak ona będzie bezpieczna w swoim mieście.

# Rozdział V

## 1

Whitney bez trudu przekonał czekających przy wozach, że powinni dać sobie spokój z poszukiwaniem małej O'Connell - bo na pewno jest już po niej - i ruszyć w dalszą drogę. Zapadał zmrok. Sturgis wracał właśnie z lasu, bełkocząc niezrozumiałe i mętne historie o jakimś potworze, który w brutalny sposób rozprawił się z Pottruckiem. To wciąż tu jest, ostrzegał Whitney, i choć ten, co je tu sprowadził, nie żyje, z nadejściem nocy pragnienie krwi i ludzkich dusz szatańskiego stwora jeszcze bardziej się nasili. Poza tym burza śnieżna nieco osłabła. W ten to sposób Bóg dziękował pielgrzymom za to, że przyczynili się do unicestwienia O'Connellów i nie powinni zmarnować danej im szansy.

Nikt, nawet Marsha Winthrop, nie próbował protestować przeciwko wyruszeniu w dalszą drogę. Whitney bardzo wyraziście opisał porwanie dziewczynki. Nie miała szans, aby przeżyć.

Mimo że tumany śniegu ustąpiły miejsca mgłom, a księżyc, który pojawił się na niebie, był jasny i pełny, wędrowka szła mozolnie i po godzinie, gdy ostępy leśne pozostały w bezpiecznej odległości, wędrowcy rozbili obozowisko na resztę nocy.

Whitney śpiewał hymny, rozpalając ognisko, by słać swym niemelodyjnym głosem chwałę Pana i dziękować Mu za wybawienie ze szponów Złego.

- Pan ma nas w Swoich rękach - mówił Whitney do swych owieczek, między wersami Biblii. - Nasza pielgrzymka prawie dobiegła już końca.

Za jego namową wdowa po Everecie Immendorfie, Ninnie, miała przyrządzić gulasz z resztek żelaznych racji zebranych od wszystkich uczestników wyprawy.

- To będzie ostatnia wieczerza, jaką spożyjemy podczas tej długiej wędrowki - rzekł Whitney - jutro bowiem Bóg wprowadzi nas do Ziemi Obiecanej.

Gulasz był cieniutki, ale ogrzał ich, gdy tak siedzieli skuleni wokół ogniska. Pojadając go odważyli się, choć niezbyt głośno, rozmawiać o wybawieniu. Podczas tej właśnie rozmowy otrzymali dowód, że Whitney miał rację. Kiedy ogień zaczął przygasać, spoza kręgu światła dobiegły jakieś odgłosy - ktoś bardzo kulturalnie i uprzejmie chrząknął kilka razy.

Sturgis, który od powrotu z lasu nie przestał dygotać, pierwszy poderwał się na nogi,

dobrywając rewolweru.

- To nie będzie potrzebne - rozległ się miły głos. - Przybywam jako przyjaciel.

Whitney wstał.

- Zatem ukaz się, przyjacielu - powiedział.

Obcy posłuchał zaproszenia i stanął w świetle bijącym z ogniska. Był niższy od każdego z mężczyzn siedzących przy ogniu, ale nosił się ze swobodą, jak ktoś, komu lepiej nie wchodzić w drogę. Wysoki kołnierz futrzanej kurtki miał postawiony i uśmiechał się promiennie, jakby widział przed sobą twarze dobrze odżywionych przyjaciół, którzy zaprosili go na suty poczęstunek. Jedyne śnieg na butach świadczył, że musiał się trochę wysilić, aby tutaj dotrzeć. Cały jego wygląd świadczył, iż był to człowiek dobrze ułożony, o manierach estety i pedanta; mówiły o tym wypomadowany wąsik, przycięta starannie broda, rękawiczki z cielecej skóry oraz laska ze srebrną gałką.

Jego pojawienie się poruszyło wszystkich zebranych przy ognisku pielgrzymów. Sheldon Sturgis zawstydził się, poruszony własnym tchórzostwem, święcie przekonany, że ten oto człowiek nigdy w życiu nie sfajdał się w spodnie. Żołądek Alvina Goodhue'a gwałtownie zaprotestował, gdyż przybysz używał mocnej wody toaletowej, i po krótkiej walce wewnętrznej pielgrzym zwrócił skwapliwie cały spożyty przed chwilą posiłek. Ninnie Immendorf, która przyrządzała gulasz, nawet tego nie zauważyła. Była zbyt zajęta dziękowaniem Bogu za uczynienie jej wdową.

- Skąd przybywacie? - dopytywała się Marsha.

- Od przełęczy - odparł przybysz.

- Gdzie wasz wóz?

Mężczyzna uśmiechnął się lekko.

- Wędruję pieszo - wyjaśnił krótko. - Do doliny jest stąd nie więcej niż dwie mile.

Wokół ogniska rozległy się pomruki radości i niedowierzania.

- Jesteśmy uratowani! - Cynthia Fisher chlipnęła. - O Panie Boże Przenajświętszy, jesteśmy uratowani!

- Miałeś rację - rzekł Goodhue do Whitneya - dziś wieczorem byliśmy w rękach Boga.

Whitney dostrzegł cień uśmiechu przemykający po twarzy obcego.

- To naprawdę wspaniałe wieści - powiedział. - Czy możemy wiedzieć, kim jesteście?

- To żadna tajemnica - odparł mężczyzna. - Nazywam się Owen Buddenbaum. Przybyłem tu, by spotkać się z kilkoma przyjaciółmi, ale nie widzę ich pośród was. Mam nadzieję, że nie spotkało ich nic złego?

- Straciliśmy wielu dobrych ludzi - wtrącił Sturgis. - Kogo szukacie?

- Harmonia O'Connella i jego córki - odparł Buddenbaum. - Czy nie było ich z wami?  
Uśmiechy wokół ogniska przygasły. Zapanowała krótka, nieprzyjemna cisza, po czym Goodhue rzucił bezceremonialnie:

- Oni nie żyją.

Buddenbaum zdjął z lewej dłoni rękawiczkę, a gdy mruknął: - Czyżby? - jego głos nie zdradzał żadnych emocji.

- To prawda - powiedział Sturgis. - O'Connell zgubił się, gdy pokonywaliśmy górę.

- A dziecko?

- Poszła go szukać. Jest tak, jak on mówi, oboje nie żyją.

Buddenbaum uniósł dłoń do ust i zaczął leniwie obgryzać paznokiec kciuka. Miał przynajmniej po jednym pierścieniu na każdym palcu. Na serdecznym aż trzy.

- Bardzo mnie to dziwi... - mruknął.

- Co takiego? - zapytał Whitney.

- Że tak bogobojni ludzie pozostawiają niewinne dziecko, aby zamarzło na śmierć - odrzekł Buddenbaum. Wzruszył ramionami. - Cóż, robimy to co musimy. - Ponownie nałożył rękawiczkę. - Wybaczcie, ale zmuszony jestem was opuścić.

- Zaczekajcie - poprosiła Ninnie. - Nie zjecie z nami? Mamy co prawda niewiele, ale...

- Dziękuję, nie.

- Zostało mi jeszcze trochę kawy - oświadczył Sheldon. - Moglibyśmy zaparzyć kubek.

- Jesteście bardzo mili i gościnni - rzekł Buddenbaum.

- A więc zostańcie z nami - zaproponował Sheldon.

- Może innym razem - odparł Buddenbaum. Zlustrował bacznie siedzących przy ognisku pielgrzymów i powiedział: - Jestem pewien, że nasze drogi w przyszłości jeszcze się skrzyżują. Podążamy wieloma drogami, ale w gruncie rzeczy wciąż tylko się cofamy i cofamy, czyż nie? Ale i tak nimi wędrujemy. Nie mamy jednak wyboru.

- Moglibyście wrócić z nami - zaproponował Sheldon.

- Ja nie wracam - padła odpowiedź. - Zamierzam wspiąć się na tę górę.

- Chyba straciliście rozum - stwierdziła Marsha z typową dla siebie otwartością. - Ani chybi tam zamarzniecie.

- Mam przecież płaszcz i rękawiczki - odrzekł Buddenbaum. - A jeśli małe dziecko może przeżyć na zimnie, to i mnie się uda.

- Ile razy...? - zaczął Goodhue, ale Whitney, który usiadł po drugiej stronie ogniska, naprzeciw Buddenbaumowi i przyglądał mu się poprzez dym, bezceremonialnie go uciszył.

- Jeżeli chce iść, nie powstrzymuj go - powiedział.

- Właśnie - burknął Buddenbaum. - No to dobrej nocy.

Kiedy jednak odwrócił się od ogniska, Ninnie wykrztusiła:

- Trąby.

Buddenbaum spojrział w jej stronę.

- Że co proszę?

- Na górze słyszeliśmy trąby... - Powiodła wzrokiem po twarzach pozostałych, poszukując w nich wsparcia, ale nikt nie odezwał się słowem. - W każdym razie JA słyszałam - dodała z wahaniem. - Słyszałam.

- Trąby?

- Tak.

- Dziwne.

- Tak. - Utraciła całą wiarę w swoją historię. - Oczywiście to mógł być... no, sama nie wiem...

- Grzmot - odpowiedział Whitney.

- Grzmot, który brzmi jak trąby? To ci dopiero. Będę nadstawiał ucha. - Buddenbaum uśmiechnął się do Ninnie. - Jestem pani wielce zobowiązany - powiedział z taką kurtuazją, że miała wrażenie, iż lada moment zemdleje.

Nie odezwawszy się więcej ani słowem, odwrócił się do pielgrzymów plecami i opuścił krąg światła.

Ciemność pochłonęła go żarłocznie.

## 2

Wszyscy, którzy zebrali się tamtej nocy przy ognisku, przeżyją ostatni etap podróży i każdemu na swój sposób się poszczęści. To były na Zachodzie czasy, gdy liczyła się prawdziwa dzielność i w następnych latach ludzie ci będą mężnie budować, osiągać zyski i płodzić potomków, odsuwając w mrok niepamięci ogrom cierpień, jakie musieli przetrwać, aby dotrzeć do celu. Nie będą mówić o zmarłych, mimo złożonych wspólnie obietnic. Nie będą się starali odszukać kości tych, którym musieli odmówić należytego pochówku. Nie będą opłakiwać tych, co odeszli. Nie będą przelewać daremnych żali.

Będą jednak pamiętać. A spośród wszystkich wydarzeń wspominanych w zaciszu domowych pieleszy najczęściej powtarzającym się będzie owa pamiętna noc i człowiek, który odwiedził ich przy ognisku.

Sheldon Sturgis, parząc kawę, zawsze będzie myśleć o Buddenbaumie i wspominać

swoje zawstydzenie. Ninnie Immendorf za każdym razem, gdy do jej drzwi zapuka jakiś konkurent (a pojawiło się ich paru, gdyż w owym czasie trudno było o żonę - Ninnie zaś robiła nie najgorszy gulasz), podchodząc do drzwi, będzie modlić się, aby to nie był... Charlie czy Burke, ale Buddenbaum. Owen Buddenbaum.

Wielebny Whitney natomiast, podchodząc do kazalnicy i wygłaszając kazania na temat działalności Szatana na świecie, będzie przywoływał w myślach obraz mężczyzny z laseczką, a jego głos przesycony wewnętrznym przekonaniem sprawi, iż wszyscy parafianie mimo woli zadrżą w swoich ławkach. Zupełnie jakby ich pastor zetknął się ze Złym twarzą w twarz - będą mówić wychodząc z kościoła - nie opowiadał bowiem o potworze z nogami kozła, ale o człowieku, który znalazł się w ciężkiej sytuacji, bez konia oraz zgubiwszy swych towarzyszy i wyruszył w świat w poszukiwaniu dzieci, zabłąkanych owieczek ze swej owczarni.

## Rozdział VI

### 1

Zanim Maeve dotarła do szczytu zbocza, straciła z oczu swego wybawcę i jako że wokół namiotu nie paliły się żadne światła, miała trudności z dostrzeżeniem tych, którzy znajdowali się w jego pobliżu. Po części ludziła się, że go nie spotka - bądź co bądź złamała daną obietnicę i udała się za nim na miejsce ceremonii - inna jej część wszelako, ta, która nasyciła się jego słodką krwią, gotowa była za cenę bliższego poznania wybawiciela zaryzykować nawet wybuch jego gniewu. Niezależnie od tego, jak by się zdenerwował - tłumaczyła sobie - przecież i tak mnie nie skrzywdzi. Stało się, co się stało. Odkryła jego tajemnicę.

Naturalnie nie widziała tych, które kryło wewnątrz namiotu, ale wkrótce pozna również i te sekrety. O kilka metrów od miejsca, gdzie stała, znajdowały się drzwi, były jednak zamknięte. Maeve podeszła więc do namiotu z boku, gdzie nikt nie mógł jej zobaczyć, i uniosła brzeg płótna, aby móc prześlizgnąć się pod nim.

Wewnątrz panowała tak głęboka cisza, że w pierwszej chwili lękała się nawet oddychać, a mrok był tak gęsty, że zdawał się przywierać do jej twarzy niczym badające jej ciało dłonie ślepeca. Nie wzbraniała się przed tym z obawy, że mogłaby zostać stąd wydalona, i po kilku chwilach badawczy dotyk stał się delikatniejszy, prawie figlarny. Naraz poczuła, że ciemność unosi ją nad ziemię i odsuwa od ściany. Musiała zaufać temu czemuś, choć w gruncie rzeczy nie było to szczególnie trudne. Była pewna, że nic jej tu nie grozi i jakby w nagrodę za tę ufność mrok jął rozkwitać pod nią, a kolejne pąki kwiatów rozwierały się, kiedy się zbliżała. Ciemność nie przejaśniała, ale w miarę jak dziewczynka szła, jej wzrok coraz wyraźniej wychwytywał ukryte dookoła szczegóły; ujrzała kształty i postacie, których dotąd nie dostrzegała. Była tu jedną z setek osób, skostatowała, członków rodzin, które widziała na zewnątrz, na śniegu, szczęśliwych lub dostatecznie godnych, by przybyć do tego uświęconego miejsca. Na niektórych twarzach dostrzegła lzy rozkoszy, na innych błogie uśmiechy. Kilko osób spojrzało w jej stronę, gdy prowadzono ją poprzez tłum, większość jednak patrzyła na coś, czego czarne kwiaty do tej pory jej nie objawiły. Spragniona ujrzenia tych cudowności, dziewczynka skoncentrowała uwagę na tajemniczym powietrzu.

I wreszcie zaczęła widzieć. Przed nią w oddali zaczęła majaczyć postać, niczym owoc

tej kwitnącej czerni. Nie przypominała niczego, co Maeve mogłaby nazwać, ale miała giętkość i kształty węża, a raczej wielu węży splecionych ze sobą w węzeł poruszających się bez przerwy, śliskich, wijących się zwojów. Węzeł ów wchodził sam w siebie i wylaniał się odtworzony. Dzielił się i spajał, rozszczepiał, łączył, rozwierał niczym oko; rozbijał jak woda o kamień. Od czasu do czasu gdzieś spomiędzy tych splotów wytryskiwała struga mroku. Częstość zrzucała ona wylinkę cieni, która natychmiast rozszczepiała się, a fragmenty jej, unosząc się w powietrze niczym porwane wiatrem nasiona dmuchawca, zasiewały się same w żyznym półmroku.

Maeve obserwowała jeden taki zasiew, kiedy jej wzrok padł na postacie siedzące poniżej tego widowiska. Byli to mężczyzna i kobieta, zwrócenii twarzami do siebie, trzymający się za ręce, z głowami pochylonymi jak do modlitwy. Widząc tych dwoje tak blisko siebie, pomyślała o Abilene Welsh i Billym Baxterze, choć nie do końca wiedziała, dlaczego. Z całą pewnością tych dwoje nie zamarzyło na śmierć, szukając miejsca, gdzie mogliby trzymać się za ręce i posiedzieć obok siebie, lecz po to, by odbyć rytuał, który niejednokrotnie widziała w wykonaniu zwierząt. Czyż jednak ów zmundny rytuał, owa ciężka praca nie miała na celu wydania na świat potomstwa? I czy kształt unoszący się nad tą parą nie był czasem wytworem ich połączonych jaźni, które wypływały spomiędzy ich ust niczym kłęby dymu i przeplatały się, już połączone, pomiędzy ich czołami?

- To dziecko - powiedziała na głos.

Albo ciemność była zbyt powolna i nie zdołała wychwycić jej słów, zanim przebrzmiały, a może wydawane przez nią dźwięki były zbyt śliskie, by można je było zatrzymać. Tak czy inaczej ujrzała je, wypływające z jej własnych ust w postaci turkusowo-pomarańczowego płomienia, nader jaskrawych barw, zważywszy na okoliczności. W mgnieniu oka podpłynęły ku mrocznemu dziecku i zostały wplecione w to dzieło, rozjaśniając jego zwoje ze wszystkich stron.

Kobieta otworzyła oczy i z wyrazem bólu na twarzy uniosła głowę. Jej małżonek poderwał się z krzesła, wypuszczając z ust chmurę eteru, po czym uniósł wzrok i spojrzał na istotę, której stał się ojcem.

Był to istny chaos, konfiguracje zmieniające się jeszcze szybciej, jakby barwy Maeve dodały nowego paliwa, by poszerzyć jego inwencję. Być może zrobiło się tego trochę za dużo. Pośród ekstazy przemian kształty stawały się jeszcze bardziej dziwaczne, a powielając się syciły się własnymi wytworami.

Maeve poczuła, że ogarnia ją dojmująca zgroza. Cofnęła się chwiejnie o kilka kroków, po czym odwróciła i jęła się przedzierać przez tłum. Wokół niej zapanowała panika, ciemność



była zbyt poruszona, aby uciszyć głosy tłumu, toteż ze wszystkich stron raz po raz rozbrzmiewały okrzyki przerażenia. Maeve kluczyła to w jedną, to w drugą stronę, aby nikt jej nie pochwycił, aczkolwiek mało kto zdawał sobie sprawę, co się stało, a jeszcze mniej osób rozpoznało winowajczynię, dzięki czemu, nie zatrzymana przez nikogo, dotarła do ściany namiotu. Pochyliwszy się, aby przepelznąć na drugą stronę, obejrzała się przez ramię. Dziecko było w stanie rozkładu, jego kształty pękały przejrzałe i gniły w powietrzu. Małżonkowie się rozdzielili. To, co się stało, znacznie ich osłabiło. Było to dla nich wielkim wstrząsem. Teraz oboje leżeli bezwładnie na ziemi, dogładani przez członków ich rodzin. Maeve zauważyła, że kobieta doznała tak silnego ataku, że cała gromada pocieszycieli nie była w stanie jej przytrzymać.

Zatykając usta dłonią, aby stłumić szloch, dziewczynka prześlizgnęła się pod płachtą namiotu i znalazła się na śniegu. Wieści o fatalnym wydarzeniu doszły już do tych, którzy czekali na zewnątrz, i tutaj też zaczął rozprzestrzeniać się chaos. W dolnej części zbocza rozgorzały zacięte walki i ktoś padł właśnie z ostrzem wbitym w serce. Ludzie zewsząd zbiegali się w stronę namiotu, podczas gdy inni wybiegali na zewnątrz, krzycząc wniebogłosy.

Maeve usiadła na śniegu, przykładając dłonie do oczu, które paliły ją z powodu tego, co właśnie ujrzała, i łzami, które miały dopiero nadejść.

- Dziecko.

Uniosła głowę i zaczęła rozglądać się wokół.

- Co mi obiecałaś?

Już nie musiała się dłużej rozglądać.

- To nie była moja wina - zaczęła się tłumaczyć, ocierając nos wierzchem dłoni. - Powiedziałam tylko...

- To byłaś ty? - uciął krótko stwór. - Panie, mój Panie, cóżem uczynił?

Poczuła na swoim ciele dłonie bestii i odwróciła się bez ostrzeżenia.

Wreszcie zobaczyła, jak wyglądał - miał pociągłą spokojną twarz, złote oczy, sierść gęstniejącą w długą grzywę pośrodku czaszki i gładką jak futro bobra na czole, podbródku i policzkach. Zęby szczękały mu cichutko.

- Zimno ci?

- Nie, do licha!

Zaczęła pochlipywać.

- No dobrze, jest mi zimno - powiedział. - Zimno mi.

- Nie. Nieprawda. Boisz się.

W jego oczach zalśniły złote plamki.

- Jak masz na imię? - zapytał.

- Maeve O'Connell.

- Powiniennem cię zabić, Maeve O'Connell.

- Cieszę się, że tego nie zrobiłeś - odparła. - A kim ty jesteś?

- Coker Ammiano. Już niebawem infamis. Gdybym cię zabił, nie popełniłabyś tego strasznego czynu.

- Co było w tym takiego strasznego?

- Odezwałaś się podczas ceremonii zaślubin. Teraz zacznie się wojna. Rody będą oskarżać się wzajemnie. Poleje się krew. A kiedy uświadomią sobie, że to nie stało się z ich winy, zaczną szukać prawdziwego sprawcy i zabiją nas oboje. Ciebie, za to, co tam zrobiłaś; mnie, bo cię tu sprowadziłem.

Maeve zastanawiała się przez chwilę nad tym łańcuchem nieszczęść.

- Nie zabiją nas, jeżeli nas nie znajdą - powiedziała w końcu. Spojrzała na to, co działo się na zboczu. Zgodnie z przewidywaniami Cokera, walki przybrały na sile. Jeszcze nie była to wojna, ale już wkrótce nią będzie.

- Czy mamy jakieś inne wyjście? - zapytała.

- Jedno - odpowiedział.

Wstała.

- Niech będzie - powiedziała krótko.

## 2

Przez całe dziesięciolecie Buddenbaum zebrał dość imponującą listę książek beletrystycznych, w których się pojawiał. Jak dotąd wiedział o dwudziestu trzech postaciach, dla których stanowił bezpośrednią inspirację (to znaczy, że gdyby znała go osoba czytająca daną książkę lub oglądająca dane przedstawienie, musiałaby natychmiast zorientować się, kto był ich pierwowzorem) a oprócz nich jeszcze dziesięć czy jedenaście pomniejszych, obdarzonych przymiotami jego charakteru dla uzyskania komicznego bądź tragicznego efektu. Świadectwem licznych wariantów jego osobowości było, iż mógł w jednym dziele pojawiać się jako sędzia, w drugim zaś jako przestępca i oba te portrety byłyby jak najbardziej wierne.

Nie czuł urazy, że wykorzystywano go w ten sposób, niezależnie jak skandaliczne było dzieło, czy jak plugawą przeznaczono mu rolę. Łechtało go mile, że stał się nasieniem dla tylu

odmian tworzenia, zwłaszcza iż sam pozostawał bezdzielny. Ponadto bawiło go ogromnie, że artyści owi, osiągnąwszy sukces w ramach przemówień i podziękowań, nieodmiennie powtarzali, jak wielkie odkryli w nim pokłady surowych ludzkich prawd. Podejrzewał, że było na odwrót.

Świadomie lub nie (a w jego mniemaniu, wynikającym z doświadczenia, artyści wiedzieli bardzo niewiele) inspirowały ich dokładne przeciwieństwa tego, o czym mówili. Nie był surowy. Nie był prawdą. A pewnego dnia, jeżeli wykaże się odpowiednim sprytem, ostrożnością i roztropnością, nie będzie nawet człowiekiem. Był fałszywy do szpiku kości, przewędrował całe Stany, zmieniając tożsamość jak rękawiczki i nim skończy to, co sobie zamierzył, przyjdzie mu skorzystać z wielu jeszcze innych wcieleń.

Nie miał twórcom za złe, że byli wobec niego tak ufni: każda sztuka z wyjątkiem jednej była grą iluzji. Ale droga, och droga prawdziwej Sztuki była twarda i trudna; cieszył się, że dysponował listą swych *alter ego*, mogących zwieść go z obranego szlaku. Znał na pamięć niektóre dialogi, które rzekomo mu przypisywano i w przypływie zadowolenia recytował je w głos, kiedy w pobliżu nie było akurat nikogo, kto mógłby go usłyszeć.

Na przykład tak jak teraz, kiedy piął się mozolnie pod górę, tą cholerną górską ścieżką, wygłaszając monolog z pseudohistorycznej tragedii zatytułowanej „Serenissima”:

- Nie mam nic prócz ciebie, najśłodsza Serenissimo. Jesteś moim rozsądkiem, moimi zdrowymi zmysłami, mą duszą. Jeśli teraz odejdziesz, zagubię się w wielkim mroku pomiędzy gwiazdami i nawet nie będę mógł tam szczeznąć, muszę bowiem żyć, dopóki mieć cię będę w swym sercu. Och wstrzymaj się, moje serce. Przestań bić, błagam cię i spraw, bym uwolnił się od tego cierpienia.

Przerwał w połowie monologu. O uwagę drzew, poza nim, ubiegał się jeszcze jeden dźwięk, ale nie był równie melodyjny ani przyjemny jak jego głos. Buddenbaum wstrzymał oddech, aby móc lepiej go usłyszeć. Dochodzący z wierzchołka góry lub z okolic szczytu gwar głosów sugerował, iż zebrała się tam spora gromada osób. Nietrudno było się domyślić, jaki rozgrywał się tam dramat. Głośne jęki i zawodzenia mówiły same za siebie. To była tragedia.

Cicho i ostrożnie, w milczeniu, Buddenbaum jał ponownie piąć się pod górę. Dźwięki, im głośniejsze, tym stawały się potworniejsze. Jedynie w powieściach ból nadaje umieraniu poetycki wyraz. W życiu umierający szlochali, błagali i skowycieli jak zwierzęta, roniąc łzy i smarki. Widział podobne widowiska nieskończoną ilość razy i bynajmniej nie miał szczególnej ochoty być świadkiem kolejnego.

Jednak też nie miał wyboru. Gdzieś tam, na górze, mogło znajdować się dziecko o

imieniu bogini przynoszącej sny. Wtedy, tamtej słonecznej wiosny w Missouri, instynkt podpowiedział mu, że imię to ma dużo głębsze, ukryte znaczenie. W konsekwencji ulokował maleńki fragment swoich snów i marzeń u O'Connella, co, jak w głębi serca przypuszczał, mogło okazać się poważnym błędem.

Czy był to błąd kardynalny, miało okazać się za mniej więcej godzinę. Teraz wszakże niepokoiła go zagadka tajemniczych głosów. Czy były to przedśmiertne krzyki pionierów, którzy zagubili się wysoko na górskich stokach? Raczej nie. Przynajmniej on tak nie uważał. Pośród tej kakofonii wychwycił pewne dźwięki, które nigdy nie wydobyłyby się z ludzkiego gardła ani, należy również dodać, z gardzieli żadnego zwierzęcia zamieszkującego ten zakamarek rzeczywistości. Fakt ów sprawił, że pomimo zimna ciała Buddenbauma zrosił pot. Był to pot niepokoju, napięcia i wyczekiwania, zrodzony z nadziei, że być może impulsywne przekazanie Harmonowi O'Connellowi pewnego szczególnego daru nie było w gruncie rzeczy posunięciem błędnym, i że być może córka Irlandczyka zgoła nieświadomie poprowadzi go już wkrótce ku granicom jego własnej Ziemi Obiecanej.

## Rozdział VII

W niebie powstała szczelina, taka myśl jako pierwsza nasunęła się Maeve. Szczelina, a po jej drugiej stronie inne niebo, jaśniejsze niż noc, która otaczała dziewczynkę. Widziała wiele cudów niebios - błyskawice, huragany, gradobicia, tęcze - były one wszakże niczym w porównaniu z falami barw, przetaczającymi się po niebie za szczeliną. Podmuch wiatru odnalazł ją - był ciepły, a wraz z nim nadeszła również fala regularnych, głośnych łoskotów.

- To morze! - powiedziała Maeve, ruszając w kierunku szczeliny.

Nie była ani szeroka, ani stabilna, falowała w powietrzu, migocząc jak płomień lampy na silnym wietrze. Maeve nie obchodziło to, w jaki sposób i dlaczego pojawiła się owa szczelina, tej nocy ujrzała nazbyt wiele, aby mogła o cokolwiek pytać. Chciała jedynie przekroczyć ten próg, choć nie dlatego, iż lękała się konsekwencji swego wcześniejszego czynu. Pragnęła tego, ponieważ tam, po drugiej stronie, było niebo i morze, którego nigdy dotąd nie widziała.

- Nie będzie już powrotu - ostrzegł ją Coker.

- Dlaczego?

- Do powstania tych drzwi potrzeba było wielkiego Błogosławionego, a kiedy znów się zamkną, nie będzie łatwo ich otworzyć. - Obejrzał się w stronę pola bitwy, a to, co ujrzał, sprawiło, że aż jęknął. - Rety, spójrz na to. Idź, jeżeli chcesz. Ja nie mogę z tym żyć. - Uniósł dłoń przed twarzą dziewczynki i z jego serdecznego palca wyłonił się pojedynczy, lśniący szpon.

- Co robisz?

Przyłożył szpon do gardła.

- Nie! - zawołała Maeve i schwyciła go za rękę. - Tyle zabijania, tylko dlatego, że powiedziałam coś, czego nie powinnam była powiedzieć. To głupie.

- Nic nie rozumiesz - mruknął rozgoryczony, choć nie próbował już zadać sobie śmiertelnej rany.

- A ty? - odparła Maeve.

- Niezupełnie. Wiem, że między rodzinami istnieją ogromne waśnie, zatargi tak poważne, że rody wyrzynają się bezlitośnie od pokoleń. To małżeństwo miało przypieczętować pokój między nimi. A dziecko stanowiło tego dowód.

- O co były te waśnie? - spytała.

Wzruszył ramionami.

- Wiedzą o tym jedynie członkowie rodu. A po tym wszystkim... - spojrzał na usłane trupami zbocze - tych, co znają przyczynę, zostanie ledwie garstka.

- Moim zdaniem to głupie - powtórzyła Maeve. - Zabijać się z powodu jakiejś zadawnionej waśni, skoro tyle jest powodów, dla których warto żyć. - Wciąż trzymała Cokera za rękę; ten schował już szpon. - Dzisiejszej nocy straciłam ojca - wyjaśniła posępnym tonem - nie chciałabym utracić również ciebie.

- Znałem Błogosławionych, którzy dysponowali mniejszą siłą perswazji niż ty - zauważył Coker. W jego głosie pobrzmiwał niepokój. - Jakiej jesteś narodowości, dziecko?

- Pochodzę z Irlandii - odrzekła Maeve. - To co, idziemy?

Obejrzała się w stronę szczeliny. Grunt u jej podstawy zmieniał się; kamienie i zdeptany śnieg, stopione w żarze mocy, która otworzyła przejście, przepływały na drugą stronę i przelewały się z powrotem. Dziewczynka bez trwogi ruszyła w kierunku otworu, gdy nagle Coker położył jej rękę na ramieniu.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz? - spytał.

- Tak - odrzekła z lekkim zniecierpliwieniem.

Chciała wejść na ten falujący grunt. Chciała to poczuć. Ale Coker nie skończył jeszcze udzielać jej ostrzeżeń.

- Quiddity to morze snów - tłumaczył - tamtejsze krainy są wielce osobiwe.

- Tak jak i Ameryka.

- Dziwniejsze. Rodzą się z tego, co kryje się tutaj. - Postukał się palcem w skroń.

- Ludzie mogą wyśnić całe krainy?

- Więcej. Mogą wyśnić zwierzęta, ptaki, miasta, książki, księżycy, gwiazdy.

- Czy oni wszyscy śnią o tych samych książkach i ptakach? - zapytała.

- Kształty są różne - odrzekł z pewnym wahaniem Coker - ale dusze tych rzeczy pozostają jednakowe.

Maeve spojrzała na niego zdezorientowana.

- Skoro tak twierdzisz - burknęła.

- Posłuchaj, istotne jest, żebyś to zrozumiała - powiedział z naciskiem. Przerwał na chwilę i zasępił się, szukając oświecenia. Wreszcie nadeszło. - Mój ojciec mawiał: „Każdy ptak jest jednym ptakiem, każda książka jest jedną książką, a każdy ptak i każda książka jest również jedną rzeczą tylko przyobleczoną w słowa lub pióra” - dokończył kwieście, jakby znaczenie jego wywodu było oczywiste. Maeve tylko pokiwała głową bardziej zdezorientowana niż kiedykolwiek.

- Czy chcesz powiedzieć, że ty jesteś czyimś snem? - spytała.

- Nie - odrzekł Coker. - Jestem dzieckiem intruza!

Dopiero teraz zaczęła cokolwiek pojmować.

- Quiddity nie miało być miejscem rzeczywistym - ciągnął.

- Ale ludzie przedostali się i tutaj?

- Garstka. Magicy, poeci, magowie. Niektórzy z nich umarli. Inni potracili rozum. Kilku zakochało się w rzeczach, które tu napotkali, i tak oto pojawiły się dzieci, które po części są, a po części nie są ludźmi. - Rozłożył ramiona i skrzydła. - Tak jak ja.

- Nic to - uśmiechnęła się do niego. - I tak cię lubię.

On jednak zachował śmiertelną powagę.

- Chcę, abys wiedziała, co robisz, przechodząc na drugą stronę tej szczeliny.

- Nie chcę, nie zamierzam być intruzem.

- Przyjdzie ci żyć w miejscu, gdzie ludzie mogą dotrzeć jedynie w snach i jedynie trzy razy w życiu: W noc, gdy się rodzą, w noc, gdy się zakochują i w noc swojej śmierci.

Maeve pomyślała o tacie, który mówił o tym, jak pływał z mamą w falach spokojnego morza. Czy to było Quiddity?

- Chcę tam iść - oznajmiła, bardziej zdecydowanym tonem.

- Jeżeli tylko rozumiesz - mruknął Coker.

- Rozumiem - zapewniła go. - Czy możemy już ruszać?

Skinął głową i jedno uderzenie serca później lekkim krokiem przeszła po falującym gruncie.

Jeżeli Buddenbaum nauczył się czegokolwiek w ciągu swej wieloletniej wędrówki, to tego, iż rzeczy doczesne i rzeczy cudowne, wbrew temu, co nakazywał zdrowy rozsądek, wcale nie są definitywnie rozdzielone, a wręcz przeciwnie. Mimo iż cały kontynent wymierzono wzdłuż i wszerz i znalazł się w posiadaniu umysłów nie obdarzonych magiczną mocą, mimo iż święte miejsca zajęto, a ich strażników rozpito i doprowadzono do skrajnej rozpacz, w krainie tej zasiano takie mnóstwo osobliwości, że starczyło ich dla nieulekłego, gotowego na wszystko pioniera.

Dowód na to znajdował się tuż przed nim, na górskim zboczu. - Istoty spoza granicy snu, oddychające tym samym powietrzem, co dzielni pionierzy, przybyli, by podbić te ziemie, umierające pod tymi samymi gwiazdami.

Krążąc pośród trupów, poczuł gwałtowne pragnienie, by zejść w dół szlaku i sprowadzić kilku pionierów, aby pokazać im, że nie są tu jedynymi wędrowcami i że żadne

prawo, Bóg czy ułożona starannie droga nie powstrzyma tych bestii, gdyby zechciały powrócić.

Mógł to uczynić, gdyby nie dziewczynka. Była gdzieś tutaj żywa - tak podpowiadał mu instynkt. Niezależnie, co spowodowało tę straszliwą masakrę, ona zdołała ująć cało. Ale gdzie jest teraz?

Piął się w górę po zboczu, przystając raz po raz, gdy jego oko wychwyciło jakąś szczególną osobliwość. Parał się okultyzmem dostatecznie długo, by nie mieć wątpliwości co do źródła pochodzenia przedstawicieli tego gatunku. Ich domeną był Metakosmos, świat Quiddity. Sam Buddenbaum nigdy nie zdołał odnaleźć drogi do tego miejsca, lecz przez ostatnie dekady zgromadził kilka wnikliwych dzieł na temat jego geografii i zoologii, z których większą część znał obecnie na pamięć. Odnalazł nawet i przesłuchał grupkę kobiet i mężczyzn - głównie pochodzących z Europy i parających się sztukami magicznymi - którzy twierdzili, jakoby odnaleźli drogę pomiędzy tym światem, Helter zwanym Incendo, a tamtym, drugim. Udowodnił, że niektórzy z nich wyłącznie oszukiwali samych siebie, aczkolwiek pewna trójka wędrowców przekonała go ponad wszelką wątpliwość, że faktycznie dotarli oni nad brzegi Morza Snów. Jeden nawet po nim pływał i prowadził na jednej z wysp Efemeryd żywot sybaryty, dopóki kochanka w zdradziecki sposób nie pozbawiła go mocy i nie odesłała na powrót do Kosmosu.

Żaden z wędrowców wszelako nie zyskał nic na swych podróżach - wszyscy powrócili ogarnięci boleścią, smutkiem i melancholią. Słodka prostota Boga i dobra nie miała już dla nich żadnego znaczenia, a stosunki seksualne przestały przynosić im radość i pociechę. Życie jest bez sensu, skonstatowali, zarówno w tym, jak i w tamtym świecie.

Buddenbaum słuchał wszystkiego z uwagą, wychwytyjąc maksimum informacji, po czym pozostawiał ich własnym cierpieniom. Gdyby dane mu było pławić się w morzu pospołu z duchami - powiedział sobie - lub stąpać po brzegu, gdzie sny przybierają cielesną postać, nie będzie z pewnością skarżył się na Boga. Poprowadzi owe duchy i ucieleśni sny, zyskując wiedzę i władzę, aż przestrzeń i czas zaczną uginać się przed nim. Możliwe, iż był bliższy realizacji tych ambicji, niż mu się wydawało.

Otworzyły się drzwi, przez które przedostały się tutaj te istoty i jeżeli wciąż pozostają uchylone, można by zaryzykować, mimo iż nie był przygotowany, aby odwiedzić inny świat.

Ukląkł obok jakiejś żalostnej, śmiertelnie rannej kobiety i spytał szeptem:

- Słyszysz mnie?

Cętkowane oczy skierowały się ku niemu.

- Tak - powiedziała istota.



- Jak się tu dostaliście?
- Statki - wyjaśniła.
- Później. Jak dostaliście się do Kosmosu?
- Błogosławiony otworzył dla nas przejście.
- Gdzie ono jest?
- Kim jesteś?
- Powiedz mi...
- Czy jesteś z dzieckiem?

Sposób, w jaki zadała to pytanie, wzbudził w Buddenbaumie ostrożność.

- Nie - odparł. - Nie jestem z dzieckiem. W rzeczy samej - mówiąc te słowa przypatrywał się uważnie twarzy kobiety, usiłując ją przejrzeć - przybyłem tu, by je zabić.

Umierająca skrzywiła się mimo bólu.

- Tak - powiedziała. - Tak, tak, zrób to. Zarznij tę małą sukę i daj jej serce Błogosławionemu.

- Najpierw muszę ją odnaleźć - odrzekł spokojnie Buddenbaum.

- Droga. Tam ją odnajdziesz. - Umierająca kobieta odwróciła głowę i powiodła wzrokiem w górę zbocza. - Widzisz namiot?

- Tak.

- Z tyłu za nim po prawej są skały, zgadza się? Czarne skały.

- Widzę je.

- Z drugiej strony.

- Dziękuję. - Buddenbaum zaczął się podnosić.

- Błogosławiony... - powiedziała kobieta, kiedy się wyprostował. - Powiedz, by odmówił za mnie modlitwę.

- Uczynię to - zapewnił Buddenbaum. - Jak masz na imię?

Kobieta otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale śmierć okazała się szybsza. Umarła bezimiennie. Buddenbaum zamknął jej oczy - denerwował go widok szklistych oczu umarłych - po czym pomaszerował w górę, ku skałom i ukrytemu pomiędzy nimi przejściu.

Przestępując próg, Maeve raz jeszcze obejrzała się na świat, w którym się urodziła. Jeżeli Coker miał rację, już nigdy go nie zobaczy. Jeszcze godzina i będzie dzień. Gwiazdy, te mniej wyraźne, zgasły zupełnie, a te jaśniejsze właśnie przygasają. Na wschodzie pojawiła się już słaba poświata; to dzięki niej Maeve zdołała dostrzec mężczyznę pomiędzy skałami, wspinającego się pod górę krokiem człowieka, który najchętniej, gdyby tylko mógł,

popędziłby na szczyt galopem. Mimo sporej bądź co bądź odległości rozpoznała go po płaszczu i lasce.

- Pan Buddenbaum - szepnęła.

- Znasz go?

- Tak, oczywiście. - Cofnęła się o krok, ale Coker schwycił ją za ramię.

- Ściągnął na siebie uwagę - powiedział.

I rzeczywiście; za idącym podążało dwóch ocalałych z pogromu - jeden jakiś tuzin, drugi dwa tuziny kroków w tyle. Sądząc po stanie szat i ostrzy, drogo cenili swoją skórę.

Buddenbaum nie zauważył ich w pośpiechu, mimo iż doganiali go bardzo szybko. Zaniepokojona Maeve odsunęła się od Cokera i przestąpiwszy próg wyszła na zewnątrz. Niestabilny grunt, poruszony jej nagłym cofnięciem, ochlapał jej nogi aż do kolan.

Coker ponownie ją zawołał, lecz zignorowała go i ruszyła w dół, między skały, nawołując Buddenbauma. Gdy ten ujrzał Maeve, jego oblicze rozpromienił szeroki uśmiech.

- Dziecko! - Coker był tuż za nią i krzyczał: - Szybko! Szybko!

Obejrzała się przez ramię na płomień szczeliny. Migotał zaciekle, jakby lada moment miał zgasnąć. Coker stał, nie przestępując progu, przy samym wejściu, nawołując i machając do niej. Tylko że ona nie mogła jeszcze odejść, chciała najpierw usłyszeć wyjaśnienia Buddenbauma. Jej ojciec cierpiał i umarł z powodu marzenia, które Buddenbaum wzbudził w jego sercu. Pragnęła dowiedzieć się dlaczego. Chciała wiedzieć, czym było olśniewające Everville dla tego człowieka, skoro zadał sobie tyle trudu, by zainspirować jego powstanie.

Dzieliło ich jeszcze kilka jardów.

- Maeve... - zaczął mówić.

- Za panem! - krzyknęła i gdy się obejrzał, zobaczył skrytobójców wybiegających spomiędzy skał.

Zanim pierwszy z napastników zdołał go dopaść, Buddenbaum przeszedł do ataku i smagnął laską, trafiając w ostrze i wybijając je z dłoni mężczyzny. Uderzenie rozłupało laskę na dwie części, lecz mimo to nie odrzucił jej. Kiedy napastnik pochylił się, by podnieść upuszczony miecz, Buddenbaum dźgnął go w twarz złamaną laską. Mężczyzna runął w tył, wyjąc przeraźliwie, a zanim drugi zdążył ominąć kompana i rzucić się na bezbronną teraz ofiarę, Buddenbaum pognał już w kierunku szczeliny.

- Cofnij się, dziecko! - zawołał do Maeve, która zamarła w bezruchu, nie mogąc podejść bliżej ani zrejterować.

- Na bok! - warknął, podbiegając do niej.

Coker wrzasnął gniewnie, a Maeve obejrzawszy się ujrzała, jak wracał po falującym

gruncie; nie wiedziała, czy zamierzał jej pomóc, czy zagrozić drogę Buddenbaumowi. Przez chwilę, gdy przypomniała sobie wygłodniały wyraz twarzy Buddenbauma, kiedy odpychał ją na bok, lękała się o bezpieczeństwo Cokera. Buddenbaum wiedział, dokąd prowadzi przejście, to nie ulegało wątpliwości, i najwyraźniej nie zamierzał zrezygnować z ujrzenia cudów, oczekujących po drugiej stronie. Uderzył Cokera cztery czy pięć razy, na tyle silnie, by złamać mu nos i rozciąć brew. Coker ryknął wściekle i schwyciwszy Buddenbauma za gardło odrzucił go w stronę, skąd ów przyszedł.

Maeve zaczęła się podnosić, lecz gdy już wstała, ziemię przeniknęło silne drżenie. Kiedy dziewczynka uniosła wzrok, ujrzała, jak szczelina wygina się konwulsyjnie z boku na bok. Ogień zaczynał gasnąć.

- Coker! - zawołała, przerażona, że ugrzęźnie w zamykającym się przejściu.

Spojrzał w jej stronę z twarzą przepelnioną smutkiem, po czym cofnął się o krok lub dwa, dopóki nie znalazł się w bezpiecznej odległości od progu. Skrawek Quiddity widoczny przez szczelinę zwężał się z każdą chwilą coraz bardziej, ale obecnie Maeve nie zaprzętała sobie głowy myślami o podróżach, których nigdy nie zrealizuje po tamtej stronie. Myślała o Cokerze, którego знаła ledwie pół nocy, ale który w tym czasie zdążył ocalić jej życie, stając się jej przyjacielem i mentorem. Zerknął teraz przez zamykającą się bramę jak zbity pies, tak smutny i żaloszny, że wręcz nie mogła na niego patrzeć. Czując łzy napływające do oczu, odwróciła wzrok i ujrzała Buddenbauma, z twarzą zbryzganą krwią Cokera.

- Nigdy! - krzyczał. - Nigdy! Nigdy!

Unosząc pięści, niepewnym krokiem podszedł do zwężającej się szczeliny, jakby chciał otworzyć ją na nowo serią ciosów. W całkowitym zaciętrzewieniu zapomniał o drugim skrytobójcy. Mężczyzna przestąpił nad leżącym na ziemi kompanem i kiedy Buddenbaum stanął na spornym gruncie, pomiędzy zboczem a brzegiem, rzucił się na niego, i wbił mu nóż w plecy.

Rana sprawiła, że Buddenbaum znieruchomiał. Jęknął, bardziej chyba z frustracji niż z bólu, i sięgnąwszy za siebie, ujął wbitą w plecy broń i wyszarpnął ją z rany. Jednocześnie odwrócił się, działając z taką szybkością, że niedoszły zabójca nie zdążył uniknąć ciosu zadanego własnym ostrzem. Rozplatało mu brzuch z boku na bok jednym płynnym cięciem i mężczyzna runął bez słowa na twarz, w kałużę własnych, parujących wnętrzności.

Maeve nie oglądała jego ostatnich chwil. Powróciła wzrokiem do szczeliny, nie mogąc powstrzymać się, by po raz ostatni spojrzeć na Cokera i ku swemu zdziwieniu ujrzała, jak rzuca się naprzód i blokuje obiema rękami otwór, aby nie zamknął się do reszty. Następnie jął przesuwac się do przodu i rozpychać przesmyk łokciami, usiłując powiększyć go chociaż

odrobinę, aby precyzyjnie z powrotem najpierw głowę, następnie grubą szyję, mocno umięśniony kark i na początek jedno ramię.

Sprawiło mu to nie lada ból, lecz cierpienie tylko dodawało sił i zapału do dalszego działania. Wydawało się, iż ogarnął go szal. Przedzierając się przez otwór, miotał się jak ryba; cał po cału z mozołem i bólem przeciskał ciało na drugą stronę, dopóki nie doszło do skrzydeł. Mimo iż były zwinięte i ciasno przylegały do jego ciała, okazały się zbyt duże, aby mógł przeciągnąć je przez otwór.

Wydał z siebie żalony, przejmujący ryk i odszukał wzrokiem Maeve.

Ruszyła w jego stronę, ale zatrzymał ją ruchem ręki.

- Tylko... bądź... gotowa... - wykrztusił.

To rzekłszy, wziął jeszcze jeden potężny oddech, pracując każdym ścięgnem swego ciała i znów zaczął napierać.

Rozległ się przeraźliwy trzask i z pleców Cokera popłynęła krew, zalewając barki. Maeve wzdrygnęła się ze zgrozy, ale nie mogła odwrócić wzroku. Przez cały czas patrzył jej w oczy, jakby w obecnej próbie cierpienia stanowiła jedyną jego więź z tym światem. Zakołysał się w przód i w tył, rozdzierając mięśnie łączące skrzydła z torsem; potężne, konwulsyjne skurcze targwały całym jego ciałem, kiedy poddawał je coraz silniejszym i brutalniejszym torturom.

Koszmar zdawał się trwać wieki - setki lat miotania się, kołysania, szarpania i rozdzierania, ale wysiłek i ból zostały zakończone sukcesem. Po ostatnim skręceniu tułowia zdołał w końcu oddzielić plecy od przydatków pozwalających mu na szybowanie w powietrzu, precyzyjnie zmaltretowane, umęczone ciało przez otwór i upadł na ziemię, brocząc obficie z potwornych, buchających krwią ran.

Maeve zrozumiała teraz, co miał na myśli, mówiąc, aby była gotowa. Potrzebował jej pomocy, aby zatamować upływ krwi, zanim wykrwawi się na śmierć. Podeszła do ciała napastnika Buddenbauma i zaczęła drzeć jego ubiór. Materiał był gruby i mocny, idealny dla jej celów. Powracając do Cokera, który leżał twarzą do ziemi tam, gdzie upadł, delikatnie acz stanowczo przycisnęła złożony kilkakrotnie skrawek materiału do ran ciągnących się od obu łopatek do pasa i półgłosem powtarzała, iż była to najodważniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziała. Ale ona go uleczy, powiedziała, i będzie czuwać nad nim tak długo, jak Coker sobie tego zażyczy.

Szlochał, z twarzą wciśniętą w śnieg - wysoko nad nimi szczelina zamknęła się zupełnie i poprzez lzy odpowiedział na jej żarliwe zapewnienia:

- Zawsze - oznajmił krótko.

Buddenbaum był już wcześniej ranny, aczkolwiek tylko raz równie poważnie jak teraz. Dźgnięcie nożem nie mogło go zabić - jego opiekuni obdarzyli go nieludzkimi siłami witalnymi w zamian za usługi, jakie im świadczył - ale powrót do zdrowia zajmie mu trochę czasu, a góra nie wydawała się odpowiednim miejscem po temu. Przystanął przy skałach, by ujrzeć, jak zamyka się przejście, po czym, powłócząc nogami, ruszył w dół zbocza, pozostawiając na szczycie dziewczynkę O'Connellów i jej pożałowania godnego mężczyznę, aby mogli wspólnie płakać i przelewać gorącą krew. Postanowił, że kiedy indziej spróbuje dowiedzieć się, jakim sposobem niewinna mała Maeve zdołała doprowadzić do tak wielkiej tragedii. Nie wszyscy naoczni świadkowie wydarzeń ponieśli śmierć - widział kilkoro z nich, jak uciekają przez pole, kiedy wspinał się na szczyt góry. W swoim czasie odnajdzie ich i wypyta, aby lepiej zrozumieć więź, jaka łączy losy jego i Maeve O'Connell.

Jednego był pewien - owa więź istniała. To instynkt nakazał mu nadstawić ucha tamtego kwietniowego dnia, kiedy usłyszał imię bogini wymawiane w miejscu, gdzie królowały kurz, brud i smród niemytych ciał. Ale instynkt go nie zawiódł. I dobrze. W tej nowo odkrywanej krainie rzeczy cudowne i doczesne istniały obok siebie, a w osobie Maeve O'Connell były one nierozdzielne.

# Rozdział VIII

## 1

Coker i Maeve leżeli przez kilka godzin ukryci za dwiema skałami, pozwalając odpocząć ciałom, kościom i duszom, srodze nadwerężonym wypadkami ubiegłej nocy. Od czasu do czasu dziewczynka przykładła rannemu kompresy ze szmatek namoczonych w wilgotnym śniegu i systematycznie oczyszczała zranione miejsca, podczas gdy Coker, leżąc z głową na jej podołku, pojękiwał cichutko. Czasami po prostu oboje drzemali, pochlipując przez sen.

Tego ranka nie padał śnieg. Silny wiatr przyniósł ze sobą kłębiaste białe chmury z południa, rozszarpując je na strzępy na wierzchołkach gór.

Słońce świeciło zbyt słabo, aby ogrzać śpiących, niemniej jego promienie przyniosły obojgu ukojenie.

Ścierwa na stoku nie pozostały nie zauważone. Mniej więcej godzinę lub dwie po wschodzie słońca nad zboczem zaczęły krążyć pierwsze ptaki, zwabione wonią padliny. Ich liczba stale się zwiększała, a Maeve, przerażona, że któryś może wydłubać jej lub Cokerowi oko podczas snu, uparła się, aby przenieśli się oboje kilka jardów dalej w głąb rozpadliny, między skały, gdzie raczej nie będą się zapuszczać padlinożercy.

Około południa obudziła się nagle z bijącym sercem, słysząc dochodzący z oddali przeraźliwy warkot. Podniosła się i wyjrzała zza skały. Sfora wilków zwęszyła trupy i rozdzierała je lub walczyła między sobą o co smaczniejsze kęski.

Ich obecność nie była bynajmniej jedyną złą nowiną tego dnia. Chmury zgęstniały, zapowiadając nadejście nowej śnieżycy.

- Musimy iść - rzekła do Cokera dziewczynka.

Spojrzał na nią oczami przesłoniętymi mgiełką bólu.

- Dokąd?

- Na dół - odrzekła - zanim tu zamarzniemy albo pomrzemy z głodu. Niedługo zrobi się ciemno.

- Co to za hałas?

- Wilki.

- Dużo ich?

- Może z piętnaście. Nie zainteresują się nami, gdy na stoku mają tyle świeżego mięsa. - Przykucnęła obok niego. - Wiem, jak cierpisz, i chciałabym ci pomóc. Gdybyśmy jednak zdołali wrócić do wozu... wiem, gdzie są bandażę... mogłabym...

- Tak - wykrztusił. - I co wtedy?

- Już mówiłam. Zejdziemy w dół zbocza. Opuścimy tę górę.

- A co potem? - zapytał cichszym, żalonym tonem. - Nawet jeżeli zdołamy odnaleźć resztę twoich, wiedz, że zabiją nas, gdy tylko nas zobaczą. Uważają cię za dziecko Szatana, a ja., cóż, sam nie wiem już, czym jestem.

- Nie są nam potrzebni - odrzekła. - Sami znajdziemy miejsce, w którym będziemy mogli zamieszkać. Gdzieś, gdzie będziemy mogli zacząć budowę.

- Budowę?

- Jeszcze nie teraz, dopiero kiedy wyzdrowiejesz. Może przez pewien czas przyjdzie nam mieszkać w jakiejś norze, kraść żywność i co tylko, ale z całą pewnością nie umrzemy.

- Jesteś bardzo pewna siebie.

- O, tak - odrzekła półgłosem - Ty i ja, we dwoje wybudujemy wspaniałe, olśniewające miasto.

Spojrzał na nią nieomal z żalem.

- O czym ty mówisz? - wykrztusił.

- Powiem ci po drodze - mruknęła, ujmując Cokera pod ramię, aby pomóc mu wstać.

Nie pomyliła się, jeżeli chodziło o wilki. Miały dość mięsa, aby nie zainteresować się parą wędrowców. Tylko jeden basior, weteran wielu walk, z cielskiem pokrytym bliznami, bez jednego ucha, węsząc ruszył ich śladem. Maeve uzbrojona w krótki miecz, zabrany jednemu z zabitych, rzuciła się na drapieżcę z mrozącym krew w żyłach rykiem. Zwierzę uciekło, podkuliwszy ogon i już więcej nie zbliżyło się do nich.

Kiedy dotarli do lasu, zaczął sypać śnieg, ale gdy znaleźli się wśród drzew, przestali się tym przejmować. Gorzej było z orientacją. Mimo iż, sądząc po nachyleniu terenu, przez cały czas posuwali się w dół zbocza, większość niższego stoku porastał gęsty zagajnik i gdyby nie wrodzony zmysł orientacji Cokera, Maeve z pewnością zgubiłaby drogę wśród drzew i tym samym przypieczętowała los ich obojga.

Po drodze mówili bardzo niewiele, ale Coker, który mimo obrażeń okazał się zdumiewająco wytrzymały, podjął temat Buddenbauma. Czy był Błogosławionym? - zapytał.

- Nie wiem, kim jest Błogosławiony.

- Kimś, kto współdziała z duchami.

- Jak kapłan?

- I czyni cuda.
- Kapłani nie czynią cudów.
- Co wobec tego robią'?
- Odmawiają modlitwy. Łamią chleb, mówią ludziom, co powinni robić, a czego nie.
- Ale cudów nie czynią?
- Nie.

Coker zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- W takim razie chodziło mi o coś innego - rzekł.
- Czy Błogosławieni są dobrzy, czy źli?
- Ani jedno, ani drugie. Są badaczami, odkrywcami.
- To pasowałoby do Buddenbauma - stwierdziła.
- Cóż, kimkolwiek jest - ciągnął Coker - dysponuje potężną mocą. Ta rana powinna

była uśmiercić go na miejscu.

Kiedy mówił te słowa, Maeve przypomniała sobie Buddenbauma, wyrwijącego ostrze z rany w plecach.

- To było niezwykle - rzekł Coker.

Mimo iż nie odezwała się słowem, wiedziała, że chodzi mu o to samo, co przed chwilą oglądała oczyma duszy.

- Jak to zrobiłeś? - zapytała.

Spojrzał na nią ze skruchą.

- Przepraszam - mruknął - to nieuprzejme. Tylko że to było takie wyraziste.

- Widziałeś to samo, co ja?

Pokiwał głową.

- Co jeszcze widziałeś? - dopytywała się Maeve.

- Niewiele.

- Co? - nalegała.

- Kiedy mówiłaś o budowie - odrzekł. - Ujrzałem miasto.

- To Everville - wyjaśniła. - Miał je zbudować mój tato... - Przerwała na chwilę, po czym dorzuciła: - Jak wyglądało?

- Było olśniewające - odrzekł krótko.

- To dobrze - westchnęła.

Zanim dotarli do wozu, zrobiło się już ciemno, ale śnieg, który wyżej zalegał wielkimi zaspami, u podnóża góry był ledwie widoczny.

Coker przygotował sobie posłanie, Maeve zaś myszkowała dookoła w poszukiwaniu



jakichś okruchów i resztek stawy. Zjedli posiłek razem. Potem od razu zasnęli, podczas gdy wiatr kołysał i szarpał wozem; Maeve obudziła się gwałtownie, gdyż tej nocy nawiedziły ją sny tak osobliwe i dziwaczne, jak nigdy dotąd. Coker również się rozbudził.

- Co się stało? - zapytał.

Usiadła.

- Znów byłam w Liverpoolu - wyjaśniła. - Po ulicach krążyły wilki, chodziły na tylnych łapach, ubrane w dziwaczne stroje.

- Po prostu usłyszałaś przez sen ich skowyt - rzekł Coker. Wiatr wciąż niósł wilcze echo w dół górskiego zbocza. - I tyle.

Uniósł dłoń do jej twarzy i pogłaskał delikatnie.

- Nie bałam się - powiedziała. - Byłam szczęśliwa. - Wstała i zapaliła lampę. - Przechadzałam się ulicami - ciągnęła, odgarniając koce - a wilki kłaniały mi się w pas. Wyjęła tekową skrzynię i uniosła wieko.

- Czego szukasz?

Nie odpowiedziała, ale przegarniała zawartość kufierka, dopóki nie znalazła na dnie złożonego kawałka papieru. Zamknęła wieko i rozłożyła na nim kartkę. Mimo słabego oświetlenia przedmiot zaśnił, spowity migotliwym, żółtym blaskiem.

- Co to takiego? - dopytywał się Coker.

- Tato nigdy nie wytłumaczył mi tego konkretnie - odrzekła Maeve. - Ale to było... - Głos jej się załamał i uniosła papier do światła, aby lepiej mu się przyjrzeć.

Ujrzała dziesięć słów, pieczołowicie wygrawerowanych w metalu:

„Zakop to na Rozstajach, w miejscu, gdzie zacznie się Everville”.

- Teraz już wiemy - powiedziała.

## 2

Następnego dnia również padał śnieg, lecz już nie tak gęsty. Przygotowali dwa tobołki z prowiantem, ubrali się najcieplej, jak mogli, i rozpoczęli ostatni etap wędrówki. Ślady taboru wciąż jeszcze były widoczne i podążali za nimi jeszcze przez jakieś pół mili, coraz bardziej oddalając się od góry.

- Wystarczy. Szliśmy za nimi dostatecznie daleko - uznała po pewnym czasie Maeve.

- Nie mamy wyboru - odrzekł Coker.

- Owszem, mamy - zaprzeczyła, prowadząc go ku poboczu szlaku, gdzie porośnięty drzewami stok opadał stromo w głąb spowitego oparami mgieł wąwozu.

- Oni nie mogli tam zejść, ze względu na wozy, ale my możemy.
- Z dołu dochodzi jakiś szum - zauważył Coker.
- To rzeka! - Maeve uśmiechnęła się. - Rzeka!

Bez dalszych dyskusji ruszyli w dół parowu. Nie było to proste. Im dalej w dół, tym śniegu było mniej, a skały coraz hojniej porastał gęsty, zielony mech, widoczny również na drzewach, tych zdrowych i tych obumarłych. Dwukrotnie dotarli do miejsc nazbyt stromych, by mogli je sforsować, i musieli zawracać w poszukiwaniu łatwiejszego zejścia, ale mimo wyczerpania nie przystanęli ani razu, by odpocząć. Kusił ich szum, a teraz widok rzeki, podobnie jak otaczające ich oznaki życia - paprocie, jeżyny i rozbrzmiewający dokoła śpiew ptaków.

Kiedy w końcu dotarli na dno parowu i pomaszerowali w stronę rzeki, nagle znikąd pojawił się wiatr i mgła, która dotąd utrudniała im widoczność, rozproszyła się.

Nie rozmawiali między sobą, ale stojąc o kilka jardów od białych fal, patrzyli w osłupieniu na to, co rozpościerało się po drugiej stronie. Ciemne, wiecznie zielone krzewy otoczone były drzewami w ich jesiennej chwale; liście mieniły się czerwienią, brązem i oranżem, na gałęziach było wręcz czarno od ptaków, a w chaszczach poniżej przemykały drobne zwierzęta, spłoszone wonią intruzów. Jedzenia będzie tu pod dostatkiem - owoców, miodu, ryb i ptactwa.

A za drzewami, gdzie rzeka toczyła swe migocące wody, rozciągała się zielona kraina. Miejsce początku.

Na górze, która przejdzie do historii jako Harmon's Heights żywioty rozpoczęły powolny proces usuwania zmarłych oraz pozostałości po nich. Odarty truchła z resztek tkanek pozostawionych przez wilki i padlinożerne ptaki. Rozbijały kości, aż w końcu je rozłupały, a następnie roztarły potrzaskane szczątki na miazgę. Porwały na strzępy namioty i ubrania trupów, pokryły rdzą ostrza mieczy i metalowe sprzączki. Usunęły, poza najdrobniejszymi oznakami, wszelkie ślady bitwy, jaka rozegrała się tutaj, a jakie mogliby ujrzeć ci, co powędrują tym szlakiem w następnych latach.

Ostał się wszakże jeden ślad, którego moce żywiołów nie były w stanie unicestwić; ślad, który zapewne szczelby z czasem, gdyby nie opiekowała się nim ostatnia pozostała przy życiu dusza.

Istota owa miała wiele imion, była bowiem synem wielkiego rodu, ale wszyscy, którzy ją kochali (a było ich sporo) nazywali ją na cześć legendarnego przodka - Noe.

Przybył na górę z sercem przepelnionym tak wielkimi nadziejami, że kilkakrotnie o

mało nie przybrał ich w słowa, by podzielić się nimi z najbliższymi. Obecnie zaczął wierzyć, że owo pragnienie słów było przynajmniej po części przyczyną całej katastrofy. Czyż wszakże to nie słowa dziecka zniweczyły całą ceremonię i doprowadziły do krwawego zerwania rozejmu?

Na wpeł oszalały umknął z pola bitwy i ukrył się w lesie, gdzie długo opłakiwał odejście żony, która zmarła na jego oczach; jej czułe serce nie wytrzymało szoku, gdy rozplotły się węzły duchowego dziecka. On natomiast był dużo twardszy, pochodził wszakże z rodu niezłomnych.

Jego umysł stanowił część większego wzorca i choć nic nie przyniosłoby mu większej radości aniżeli zapomnienie, nie był w stanie złamać rodowego prawa zakazującego popełniania samobójstw. Nie mógł również liczyć na śmierć głodową. Gdyby tego zapragnął, mógł nasycić się do woli samym tylko księżycowym blaskiem.

Tak oto, kiedy w końcu wypłakał się do woli, powrócił na miejsce tragedii. Padlinożercy dokonali już niszczycielskiego dzieła i w gruncie rzeczy był im za to wdzięczny. Nie mógł rozróżnić jednych zwłok od drugich, teraz były to tylko zapasy mięsa dla drapieżników mięsożernego świata.

Wszedł po zboczu i prześlizgnął się pomiędzy konarami do miejsca, gdzie płonęło przejście wiodące nad brzegi Quiddity. Naturalnie już go nie było, zamknęło się. Nie mógł liczyć, że niebiosy otworzą się ponownie, wątpił czy kiedykolwiek to nastąpi, wszak większość tych, którzy znali odpowiednie rytuały, znajdowała się po tej stronie szczeliny, martwa.

Błogosławiony Filigree, który otworzył przejście, stanowił chlubny wyjątek (czy należał do organizatorów tego spisku?), ale zważywszy, że jego czyn był zbrodnią karaną ciężkimi niewolniczymi robotami i uwięzieniem, z całą pewnością po tragedii umknął na Efemerydy, gdzie przyczaiwszy się gdzieś, w jakimś zaciszu, będzie chciał przeczekać dochodzenie.

Nagle, kiedy Noe stał w progu między Kosmosem a Metakosmosem, tuż nad ziemią ujrzał jakieś migocące światełko. Najwyraźniej brama nie zamknęła się do końca. Pozostała wąska szczelina - nie więcej niż cztery do pięciu cali. Dotknął jej; zafalowała, jakby lada chwila miała zgasnąć. Następnie ostrożnie położył się na brzuchu i przysunął oko do otworu. Ujrzał plażę i morze, ale nie było na nim statku. Widocznie kapitanowie wyczuli zagrożenie i zawinęli do jakiejś zatoki, gdzie mogli przeliczyć swe zyski i nakłonić załogi do milczenia.

Wszystko stracone.

Wstał i wbił wzrok w ołowiane niebo. Co teraz? Czy powinien opuścić górę i wejść do

świata Sapas Humana? Tylko po co? To miejsce było domeną fikcji i iluzji. Lepiej zostać tutaj, gdzie przynajmniej czuł rześkość powietrza Quiddity i mógł widzieć drobny skrawek jego wybrzeża. Znajdzie sposób, by podtrzymać ogień i dopilnować, aby nie zgasł. A potem będzie czekać i modlić się, by ktoś pojawił się któregoś dnia w tym zakątku plaży, ujrzał szczelinę i podszedł do niej. Opowie mu całą swą smętną historię, przekona, by znalazł Błogosławionego, który przybędzie i ponownie otworzy przejście. I Noe wróci do swego świata. Takie było w każdym razie założenie. Nie mógł liczyć na więcej - szanse na to były zbyt nikłe. Brzeg ów wybrano z uwagi na to, iż znajdował się na odludziu, przychodziło tu niewielu amatorów morskich kąpiei. Skoro jednak Noe nie miał innego wyjścia, musiał być cierpliwy. Przyszło to mu z łatwością. Czekał przeto, a czekając nadawał gwiazdom na nowym nieboskłonie imiona zmarłych, aby mieć się komu zwierzać podczas swego długiego czuwania.

W miarę upływu czasu coraz więcej do oglądania było w dole, aniżeli w górze, jako że wkrótce do doliny w cieniu wielkiego szczytu jęli zjeżdżać się ludzie. Noe wiedział, że ich żywoty są nie warte uwagi, ale mimo to przyglądał się im tak przenikliwym wzrokiem, że ze swego punktu obserwacyjnego na szczycie był w stanie rozróżnić kolor oczu upatrzonej kobiety. Na początku w dolinie było wiele kobiet, krzepkich, twardych i dobrze wyglądających. Niektóre wydawały się nawet całkiem urodziwe. Stwierdziwszy zaś, że ten skrawek ziemi jest równie dobrym miejscem na osiedlenie się, jak każdy inny, ich adoratorzy pobudowali domy, oświadczyli się swym wybrankom, poślubili je i stworzyli rodziny.

I tak oto, w miarę upływu czasu, w dolinie powstało, by rozrastać się i prosperować w najlepsze, dumne małe miasteczko o nazwie Everville.

# **CZEŚĆ DRUGA**

## **Zgromadzenie**

# Rozdział I

*Przebacz mi, Everville.*

Słowa te napisane były wyblakłym atramentem o barwie sepii na papierze koloru brudnych prześcieradeł, ale w ciągu szesnastu lat zajmowania się testamentami i wypełnianiem ostatniej woli mieszkańców Everville Erwin odcyfrowywał znacznie mniej czytelne teksty. Na przykład ostatnie zalecenie Evelyn Morris „Uśpijcie psy i pochowajcie ze mną”, nabazgrane jedynie na lampce nocnej przy łóżku, gdzie skonała; lub też kodycył Dwighta Hansona nagryzmolony na marginesach książki o wabikach na kaczki. Erwin wyczytał gdzieś, że w Oregonie było, *per capita*, więcej heretyków aniżeli w jakimkolwiek innym stanie. Więcej aktywistów, więcej gorliwców, więcej speców w dziedzinie przetrwania - każdy z nich wydawał się szczerze zadowolony, że od siedziby rządu dzieli go trzy tysiące mil. Tu, na uboczu, w stosunkowo odludnym i zacisznym stanie mogli wieść żywot na swoją modłę, a czyż istnieje lepszy sposób na wyrażenie własnej indywidualności, aniżeli ostatnie słowa skierowane do reszty świata?

Jednak nawet uwzględniając najgroźniejsze przejawy ekscentryczności, z jakimi Erwin się zetknął, prowadząc praktykę adwokacką, ten testament bił pozostałe na głowę. Była to nie tyle ostatnia wola, co raczej wyznanie, spowiedź, której nie czytał nikt od czasu jej napisania, czyli od trzydziestu z okładem lat, od marca 1965 roku. Autorem dokumentu był niejaki Lyle McPherson, a jego dobra i ruchomości musiały mieć doprawdy znikomą wartość, skoro po śmierci testatora nikt z ewentualnych spadkobierców nie zabijał się o jak najszybszy podział majątku. Albo tak miały się sprawy lub też jedyny syn nieboszczyka Frank, którego nagle zejście oddało owo wyznanie w ręce Erwina, odkrywszy je i przeczytawszy, uznał, że najlepiej będzie ukryć je przed resztą świata. Jedynie zmarły wiedział, czemu po prostu nie zniszczył swego wyznania. Można tylko się domyślać, że gdzieś w głębi duszy McPherson młodszy w perwersyjny sposób szczycił się czynami opisanymi przez ojca i igrał sam ze sobą, że może któregoś dnia publicznie je ujawni.

Tak czy inaczej, owe rewelacje przez dobrych parę tygodni zajmowałyby pierwsze strony *Everville Tribune* i kto wie, być może uczyniłyby z McPhersona, wiodącego prawy, choć nudny żywot pracownika jedynej w mieście firmy kanalarsko-hydraulicznej, sławną personę.

Jeżeli faktycznie Frank miał takie plany, pokrzyżowała mu je śmierć. McPherson

młodszy pożegnał się z tym światem, zasłużony na krótki siedmiolinijkowy nekrolog w *Tribune* (z czego pięć zajmowały wyrazy żalu i niepokoju z powodu odejścia jedyne miejscowego hydraulika). Życie i zbrodnie McPhersona starszego czekały tymczasem na ujawnienie i obecnie ich odkrywca, prażąc się w upale sierpniowego słońca, zastanawiał się nad sposobem podzielenia się nimi ze światem.

Była to idealna okazja, aby znaleźć chętnych słuchaczy. Każdego roku w ostami weekend sierpnia w Everville odbywał się festyn, który sprawiał, że na puste z reguły ulice wylegały tłumy ludzi, a liczba ludności miasta (według obliczeń z listopada ubiegłego roku wynosząca 7 403 osoby) się podwajała. Każdy hotel, motel i zajazd czy też dom z kwaterami w tej części Willamette Valley, od Aurory i Moliny na północ po Sublimity i Aumsville na południe, pękał w szwach, większość sklepów zaś w ciągu festynowego weekendu miała utarg równy trzymiesięcznemu. Co się tyczy atrakcji festynu, były one różne. Miejska orkiestra, w której grało kilku muzyków aż z Wilsonville była nader zdolna, a sobotnia parada z udziałem orkiestry, platformy na kółkach i żeńskiej drużyny werblitek stanowiła ukoronowanie weekendu. Na drugim końcu skali można by umieścić wyścigi prosiąt czy zawody w rzucaniu frisbee, które były zwykle źle zorganizowane i od kilku lat kończyły się nieodmiennie mordobiciem.

Jednakże tłumy, które zjeżdżały do Everville co roku, pod koniec sierpnia nie przybywały na występy orkiestry czy wyścigi prosiąt. Zjawiały się tu, gdyż nadarzała się okazja, by wypić, potańczyć i nacieszyć się końcem lata, zanim liście zaczną zmieniać barwę i opadać. Tylko raz, odkąd Erwin mieszkał w Everville, podczas festynu padało. Tego roku, jeśli wierzyć meteorologom, najbliższy tydzień miał być pogodny i ciepły. Idealna pogoda na festyn. Dorothy Bullard, która kierowała biurami Izby Handlowej, zbierała gotówkę za przewozy drogą wodną dla biura turystycznego, a poza tym flirtowała z kapitanem policji Jedem Gilhollym, *Tribune* w najnowszym wydaniu donosiła, że w bieżącym roku festyn ma być najokazalszy i najliczniejszy ze wszystkich, jakie urządzono. Jeżeli ktoś chciałby rzucić bombę, nadarzała się idealna okazja.

Erwin, mając to na uwadze, powrócił do stronic, które ułożył na kolanach i przekartkował je po raz czwarty.

*Przebacz mi, Everville - tak zaczął swą spowiedź McPherson starszy.*

*Nie mam bynajmniej ochoty opisywać wydarzeń, które tu streszczę, ale muszę wyznaczyć prawdę, póki jeszcze mogę to uczynić, gdyż prócz mnie nie ma już nikogo innego, kto mógłby to zrobić.*

*Faktem jest, że wszyscy mieszkańcy miasta wiedzieli, co uczyniliśmy owej nocy, i byli z tego zadowoleni. Ale tylko ja, Verl Nordhoff i Richie Dolan znaleźliśmy całą prawdę, a teraz Verl nie żyje, Richie stracił rozum, że tylko patrzeć, kiedy targnie się na siebie, toteż pozostają wyłącznie ja. Nie piszę tego, by ocalić duszę, nie wierzę w niebo i piekło. To tylko słowa. Po śmierci pójdę do piachu i nigdzie indziej. Pragnę po prostu opowiedzieć to wszystko, jeden jedyny raz, choć historia ta nie ukaże Everville w pozytywnym świetle.*

*A wydarzyło się co następuje. W nocy 21 sierpnia 1929 roku ja, Nordhoff i Dolan powiesiliśmy na rosnącym na górze drzewie troje ludzi. Jeden z nich był kaleką i to, co z nim zrobiliśmy, przysporzyło mi więcej wstydu i hańby niż w przypadku pozostałej dwójki. Ale wszyscy troje byli w to zamieszani, a powodem kalectwa była zła krew płynąca w jego żyłach...*

Zadzwonił telefon i Erwin, pochłonięty lekturą, drgnął odruchowo. Czekał, aż automatyczna sekretarka odbierze telefon, ale urządzenie nie było przesłuchiwane od tygodni i nie zadziało. Nie podniósł słuchawki, czekając aż dzwoniącemu się znudzi, po czym wrócił do wyznania. Na czym to skończył? A tak, chodziło o złą krew.

*...a to, jak miotał się na sznurze, jak wierzgał i wyl, nie mogąc już oddychać, sprawiło, że uwierzyłem we wszystko, co ludzie mówili o nim, jego żonie i ich zwierzęcym bachorze. Wbrew naszym przypuszczeniom nie natrafiliśmy w domu na ludzkie kości, ale ujrzelśmy inne dziwaczne rzeczy, malowidła na ścianach i rzeźby wykonane przez kalekę. Dlatego podpaliśmy dom, aby nikt nigdy nie oglądał więcej tych świństw. Nie żałuję niczego, co uczyniłem, jako że bachor ewidentnie zagiął parol na niewinne dzieci, a jego matka od lat była ladacznicą. Wszyscy o tym wiedzieli. Miała w mieście swój zamtuz, lecz zamknięto go w latach dwudziestych i w tym też okresie postradała rozum, by zamieszkać później w domu nad strumieniem, wraz ze swą nienormalną rodziną.*

*Dlatego też, kiedy zaginęła Rebeka Jenkins, a jej ciało odnaleziono później w zbiorniku z wodą, nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, co się wydarzyło. To byli oni. Porwali ją, kiedy wracała ze szkoły, zrobili z nią co chcieli, a potem wrzucili zwłoki do strumienia, skąd trafiły do zbiornika wodnego. Niestety, nie było żadnych dowodów. Ludzie mówili między sobą, twierdzili, że to żenujące, iż policja nie może dostać się do dziwki, jej synka i jej cholernego mężusia, bo przecież wszyscy widzieli ich z dziećmiakami wyszukiwanymi w Portland i przywożonymi do domu w środku nocy; a jeżeli teraz znów wszystko ujdzie im płazem - jako że tym razem była to dziewczynka stąd, z Everville - odtąd niczyje dziecko nie*



*będzie już bezpieczne.*

*Dlatego też my trzej postanowiliśmy wymierzyć im sprawiedliwość. Dolan znalazł dziewczynkę Jenkinsów bo zaglądała do jego sklepu, a kiedy uświadomił sobie, co z nią zrobili, coś go naszło i był gotów powiesić tę dziwkę mamuszkę na miejscu, bez żadnych ceregieli. Richie, który też miał córeczkę mniej więcej w wieku Rebeki, powtarzał, że jeżeli nie zapewnimy naszym dzieciom bezpieczeństwa, to nie jesteśmy warci funta kłaków. I dlatego zrobiliśmy to, co zrobiliśmy. Poszliśmy nad strumień, spaliliśmy dom, a potem zabraliśmy tych troje na górę i powiesiliśmy.*

*Wszyscy wiedzieli o naszym czynie. Dom spłonął prawie do fundamentów, ale nikt nie przyszedł, aby gasić ogień. Wszyscy trzymali się na uboczu, aż zrobiliśmy swoje i wróciliśmy do miasta.*

*Ale to nie koniec owej historii. W rok później policja ujęła faceta ze Scotts Mills, który zamordował w Sublimity dziewczynkę i przyznał się również do zamordowania Rebeki.*

*Kiedy się o tym dowiedzieliśmy, upiłem się w sztok i ruszyłem w ciąg, który trwał aż tydzień. Przedtem ludzie patrzyli na mnie inaczej, jak na bohatera, teraz zaś stałem się dla nich zwyczajnym mordercą.*

*Dolan zniósł to jeszcze gorzej i zaczął się wściekać, twierdząc, że wina spoczywa na wszystkich, bo przecież wszyscy wiedzieli, i w pewnym sensie miał rację. Everville ponosiło za to odpowiedzialność w równym stopniu co my i mam nadzieję, że jeżeli te słowa kiedykolwiek zostaną przeczytane, będzie mi wybaczone, że postanowiłem je spisać, wszystko to bowiem jest prawdą. Przysięgam na grób mojej matki.*

I równie gwałtownie jak się zaczynało, wyznanie McPhersona kończyło się, rodząc więcej pytań, aniżeli udzielało odpowiedzi, dzięki czemu było jeszcze bardziej intrygujące.

Po kolejnej lekturze tekstu Erwin był bardziej poruszony niż kiedykolwiek od lat. Wstał i jął krążyć po gabinecie, zastanawiając się, co powinien zrobić. Nie ulegało wątpliwości, że jego obowiązkiem było wydobyć ten sekret na światło dzienne. Tyle że gdyby uczynił to podczas tygodnia festynu, kiedy miasto lśniło, doprowadzone do stanu perfekcji, wprowadziłoby dużo liczniejsze grono słuchaczy, ale też narobiłoby sobie mnóstwo wrogów spośród dotychczasowych przyjaciół i klientów.

I co z tego? - odpowiedział jakiś głos w jego umyśle. Czy nie uważał, że powinien zmienić klimat, skoro był wciąż młody i mógł to zrobić? A czyż mógł liczyć na lepszą opinię i referencje niżli miano człowieka, który zdemaskował spisek McPhersona? Druga jego połowa, ta która zdołała już zadomowić się w tym zakątku świata, perswadowała: nie

troszczysz się o uczucia innych. Jeżeli puścisz tę informację podczas tygodnia festynu, ludzie cię znienawidzą.

Krążył i rozmyślał, aż w końcu uznał, że przynajmniej na razie nie podejmie ostatecznej decyzji. Najpierw trzeba sprawdzić fakty i upewnić się, czy to wyznanie nie było wymysłem imaginacji McPhersona. Przekonać się, czy Reбекę Jenkins rzeczywiście wyłowiono ze zbiornika wodnego, czy istniał dom nad potokiem, a jeśli tak, to co się stało z zamieszkującymi go ludźmi.

W biurze Bettijane (dał jej dzień wolny, aby mogła wybrać się do matki do Portland) skserował wyznanie McPhersona, po czym włożył do koperty oryginał, zakleił ją i schował w sejfie. To uczyniwszy, złożył kopię na pół, wsunął do kieszeni marynarki i poszedł na lunch do Kitty's Diner. Nie należał do ludzi poświęcających czas na analizy samych siebie, ale przemierzając Main Street mimowolnie zastanawiał się nad paradoksem swego obecnego nastroju. Jego głowę zaprzętały myśli o morderstwie, samobójstwie i trojgu niewinnie straconych ludziach, a jednak nie pamiętał, kiedy ostatni raz był równie szczęśliwy jak teraz.

## Rozdział II

### 1

Wśród pacjentów doktora Powella, którzy przyszli doń tego ranka, byli tacy, którzy widzieli już ten wyraz twarzy u Phoebe Cobb i z doświadczenia wiedzieli, że powinni zachować daleko posuniętą ostrożność. Biada pacjentowi, który zgłosił się do recepcji z pięciominutowym opóźnieniem lub, co gorsza, próbował usprawiedliwić swą opieszałość jakąś tanią, głupią wymówką. Nawet gdyby któregoś przywieziono do poczekalni w sześciu kawałkach, jego widok nie wywołałby obecnie u Phoebe współczującego uśmiechu.

U doktora było tego dnia dwoje stałych pacjentów: pani Converse, po nowy zapas pigułek na nadciśnienie, i Arnold Heacock, po czopki, i ci dostatecznie znali Phoebe, by móc domyślić się, co było powodem jej posępnego nastroju. Mieliby rację.

Ponad dwa kilo. Jak to możliwe? Przecież od trzech tygodni nie tknęła batona ani pączka, nie zbliżała się do smażonych kurczaków nawet na wyciągnięcie ręki. Czy to możliwe, aby przybrała na wadze ponad dwa kilogramy, gdy praktycznie wszystkiego sobie odmawiała? Czyżby w Everville ostatnio tyło się nawet od łykania powietrza?

Właśnie weszła Audrey Laidlaw, trzymając się za brzuch.

- Muszę się zobaczyć z doktorem Powellem - powiedziała, zanim jeszcze doszła do stołu recepcyjnego.

- Czy to nagły wypadek? - rzuciła uprzejmie Phoebe, usiłując starannie ukryć zawartą w pytaniu pułapkę.

- Tak. Jak najbardziej!

- Wobec tego może ktoś powinien zawieźć panią do Silverton - odparła Phoebe. - Tam przyjmują nagłe przypadki.

- Nie jest aż tak nagły - ucięła Audrey.

- W takim razie trzeba będzie umówić panią na wizytę - Phoebe zajrzała do notesu. - Może jutro o dziesiątej czterdzieści pięć?

Audrey Laidlaw zmrużyła powieki.

- Jutro? - spytała.

Phoebe wciąż się uśmiechała, co było dość irytujące i z prawdziwą przyjemnością ujrzała, jak tamta zgrzytnęła zębami. Zaledwie dwa miesiące temu w podobnych

okolicznościach chuda, neurotyczna panna Laidlaw wymaszerowała z poczekalni, mrucząc pod nosem „tłusta krowa”, na tyle głośno, by można ją było usłyszeć. Phoebe pomyślała wtedy: „Poczekaj, jeszcze zobaczysz”.

- Czy powiadomi pani doktora Powella, że tutaj czekam? - spytała Audrey. - Na pewno mnie przyjmie.

- Ma teraz pacjenta - odpowiedziała Phoebe. - Zechce pani może usiąść...

- To nie do pomyślenia - mruknęła kobieta, ale nie miała wyboru.

Przegrawszy tę rundę, usiadła sarkając na krześle przy oknie. Phoebe nie spojrzała w tym kierunku, aby nie dobić jej triumfalnym uśmiechem, i zabrała się na powrót do sortowania poczty.

- Gdzie byłaś przez całe moje życie?

Uniosła wzrok i ujrzała Joego, który pochylał się nad kontuarem; jego słowa brzmiały jak szept. Spojrzała ponad jego szerokimi barkami, by stwierdzić, że wszyscy w poczekalni gapią się w tę samą stronę, a w ich wzroku zawarte jest jedno i to samo pytanie: Co też czarny facet w brudnym kombinezonie może szeptać mężatce w typie Phoebe Cobb?

- O której kończysz? - spytał półgłosem.

- Masz farbę na włosach.

- Wezmę prysznic. O której?

- Nie powinno cię tu być!

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się. I to jak!

- Około trzeciej - odparła.

- Jesteśmy umówieni.

To rzekłszy wyszedł, a Phoebe napotkała pół tuzina spojrzeń skierowanych w swoją stronę. Nie odwróciła wzroku, to nie byłoby słuszne - zostałyby odebrane jako przejaw poczucia winy. Zamiast tego uśmiechnęła się i odpowiedziała gapiom tak piorunującym spojrzeniem, że w jednej chwili wszyscy pospuszczali oczy. Dopiero wtedy powróciła do sortowania poczty; dłonie Phoebe drżały tak silnie, że przez następną godzinę robota szła jej jak po grudzie, ale poweselała na tyle, że znalazła nawet kilka minut dla Audrey Laidlaw, aby doktor przepisał jej lekarstwo na niestrawność.

Joe to potrafił - przychodził i zmieniał jej nastrój w ciągu kilku minut. Było to naturalnie wspaniałe, ale i niebezpieczne. Prędzej czy później Morton spojrzy na nią znad

talerza z klopsikami i zapyta, co wprawiło ją w tak dobry nastrój, a Phoebe nie będzie w stanie ukryć przed nim prawdy.

- Joe - odpowie - Joe Flicker. Wiesz, kim on jest. Musisz go pamiętać.

- I co z tym Joem? - zapyta Morton, zaciskając wąskie wargi. Nie lubił Czarnych.

- Spędzam z nim sporo czasu - odrzeknie.

- A to po kiego? - burknie, a ona spojrzy mężowi w twarz, w tę twarz, którą kiedyś kochała i gdy będzie zastanawiać się, od kiedy stał się tak zaciekle smutasem, Morton zacznie krzyczeć.

- Nie chcę, żebyś rozmawiała z jakimś czarnuchem!

A ona powie na to: - Ja nie tylko z nim rozmawiam, Mortonie. - O tak, nie mogła się już doczekać, kiedy to powie. - My się całujemy, rozbieramy do naga, a potem...

- Phoebe?

Wyrwana z zamyślenia ujrzała przy swoim biurku doktora Powella z plikiem kart pacjentów.

- Och, przepraszam...

- W porządku. To tyle na dziś. Nic ci nie jest? Masz rumieńce.

- Nie, nic mi nie jest. - Wzięła od niego karty, a Powell zaczął przeglądać pocztę. - Nie zapomnij, że masz spotkanie w związku z festynem.

Spojrzał na zegarek.

- Wezmę tylko kanapkę i już tam jadę. Cholerny festyn. Odetchnę z ulgą, kiedy już będzie po... och, poleciłem Audrey Laidlaw specjalistce z Salem.

- To coś poważnego?

Rzucił listy na stół.

- Być może tak - mruknął.

- O Boże.

- Zamkniesz?

To się zdarzało. I to nierzadko. Ludzie przychodzili do lekarza z bólem głowy, brzucha albo pleców, a okazywało się, że w ich ciałach rozwijała się śmiertelna choroba. Naturalnie usiłowano z nią walczyć - pigułkami, naświetlaniem, zastrzykami. Od czasu do czasu odnoszono zwycięstwo. Najczęściej jednak Phoebe była świadkiem powolnej agonii pacjenta, umierania na raty, tydzień po tygodniu i nawet po siedmiu latach pozostało to dla niej strasznym przeżyciem. Przygnębiało ją obserwowanie, jak siły, nadzieje i wiara ludzi zamierały w nich, kawałek po kawałku. Im bliżej końca, tym większe było uczucie pustki, gorycz widniejąca na ich twarzach, jakby zostali w jakiś sposób oszukani i nie bardzo

wiedzieli jak ani co im odebrano. Widziała to spojrzenie nawet u najbardziej pobożnych, u tych, którzy co roku stali w kościele tuż pod choinką, śpiewając kolędy.

Bóg przywoływał ich do siebie, ale oni nie chcieli opuszczać tego padołu, przynajmniej dopóki nie zrozumieją mechanizmów rządzących światem.

A gdyby założyć, że to, co dzieje się wokoło, nie ma sensu? Phoebe wierzyła w to coraz bardziej, miała wrażenie, że pewne rzeczy po prostu się zdarzają, bez żadnej konkretnej, sensownej przyczyny. Ludzie nie byli poddawani próbom ani nagradzani, po prostu byli. Istnieli. Tak było z tobą, ze wszystkimi innymi rzeczami, w tym także z rakiem czy zawałem. One po prostu były. Zdarzały się.

Prostota tego wyjaśnienia wydała się Phoebe dziwnie uspokajająca i pocieszająca; uczyniła zeń swoją religię.

I wtedy wynajęto Joe Flickera, aby pomalował korytarz przed salą operacyjną, a kopułą świątyni, którą Phoebe z trudem wznosiła, obróciła się w perzynę.

To nie miłość, mówiła sobie od samego początku. W gruncie rzeczy nie było to nic ważnego. Był oportunistą, który zainteresował się nią dla kaprysu, a Phoebe odpowiedziała na jego awanse, ponieważ jej pochlebiały, latem zaś zawsze czuła się bardziej seksownie, czemu więc nie miałyby pozwolić sobie na mały flirt? Tylko że ten flirt przerodził się w coś poważniejszego i sekretnego i niebawem zaczęła z całego serca pragnąć, aby ją wreszcie pocałował. W końcu to zrobił, a ona zapragnęła z całego serca, aby pójść z nim na całość. To również się stało; powróciła wtedy do domu ze śladami farby na piersiach i brzuchu, a potem bitą godzinę siedziała w wannie i płakała, czuła bowiem, iż było to dla niej nagrodą, sprawdzianem i karą zarazem.

I ten związek trwał nadal. Miała dwadzieścia sześć lat, dwadzieścia funtów nadwagi (jej zdaniem, a nie Joego), okrągłą twarz o delikatnych rysach, bladą skórę, na której pod wpływem słońca pojawiały się piegi, rude włosy (z kilkoma pasemkami siwizny) i wredny charakter odziedziczony po matce. Innymi słowy nie była szczególnie atrakcyjną partią. To przekonanie wyrobiła sobie już dawno temu. W Mortonie znalazła męża, który nie miał pojęcia ani nie przejmował się tym, kogo poślubił, dopóki nie był głodny i póki telewizor był na chodzie. Ten człowiek, skończywszy trzydzieści lat stwierdził, że najlepsze ma już za sobą i że tylko głupiec przejmowałby się, co będzie pojutrze, a na dodatek coraz bardziej poddawał się zzerającej go bigoterii i od trzynastu miesięcy nie dotknął jej między nogami.

Jak zatem - jak, jak - udało się jej uzyskać obecne łaski? Czy to możliwe, że ten człowiek z Północnej Karoliny, ten Joe wiodący awanturnicze życie, który podczas służby wojskowej stacjonował w Niemczech i przez pewien czas mieszkał w Waszyngtonie,

Kentucky i Kalifornii, stał się jej aż tak bardzo oddany?

Kiedy rozmawiali, a rozmawiali sporo, Phoebe zastanawiała się niekiedy, czy wypytywał o szczegóły z jej życia, jak ona jego, ponieważ i jego nurtowało to samo pytanie, jakby rozpaczliwie poszukiwał oznak tego, co ją w niej tak bardzo pociągało. A może wynikało to jedynie z czystej ciekawości?

„Wciąż nie mam cię dosyć” - powtarzał raz po raz, całując ją w takie miejsca i taki sposób, że z pewnością przeraziłoby to Mortona.

Wchodząc do domu, myślała o jego pocałunkach. Była za sześć trzecia. Zawsze przychodził punktualnie (wynik przeszkolenia wojskowego - jak kiedyś stwierdził), jeszcze sześć minut i zaraz tu będzie. Kilka tygodni temu Phoebe przeczytała w jakimś piśmie, że naukowcy twierdzą, iż czas przypomina plastelinę, można go rozciągać i zwijać. Mogłabym im coś powiedzieć na ten temat, pomyślała. Sześć minut oczekiwania wydłużało się do sześciu godzin, zwłaszcza gdy czekało się przy tylnym wejściu do domu (Joe nigdy nie wchodził od frontu, był zbyt ostrożny, nie lubił rzucać się w oczy; jej dom stał ostatni w rzędzie, dalej rozciągało się pasmo lasu, toteż od tamtej strony łatwo było mu przedostać się niezauważonym), wypatrując sylwetki mężczyzny, wyłaniającej się spomiędzy drzew, ze świadomością, że kiedy się tylko zjawi, czas zacznie płynąć niewiarygodnie szybko i godzina czy półtorej minie jak z bicia trzasnął.

I nagle się pojawił, wyszedł zza kępy krzewów, odnalazł Phoebe spojrzeniem i ani na chwilę już nie odwrócił wzroku. Zegar w salonie należący do matki Mortona, który od dnia jej śmierci nigdy nie chodził punktualnie, wybił właśnie trzecią. Wszystko było w porządku i o to właśnie chodziło.

Weszli na piętro, rozbierając się już na schodach. Zanim doszli do drugiej sypialni (nigdy nie kochali się w małżeńskim łóżu) piersi Phoebe były już obnażone, a on idąc za nią zaczął pieścić je delikatnymi muśnięciami dłoni. Uwielbiał to robić, dotykać twarzą jej karku i nagą piersią jej pleców, wtedy ich uścisk był wręcz doskonały. Sięgnęła za siebie, aby rozpiąć mu rozporek. Jak zawsze wyczuła pełną erekcję.

- Tak mi tego brakowało! - westchnęła, wodząc dłonią po jego członku.

- To już całe trzy dni! - odpowiedział. - Dostawałem świra.

Odwrócił się i usiadł na brzegu łóżka, przyciągając ją do siebie, a gdy na nim usiadła, rozsuwając nogi, rozchylił jej uda. Jego dłoń wślizgnęła się w nią z niesamowitą łatwością.

- Och, maleńka - rzekł - tego mi było trzeba. - Bawił się z Phoebe, to wchodząc w nią, to znów się wysuwając. - Masz najgorętszą cipkę, maleńka. Najgorętszą pieprzoną cipkę.

Uwielbiała, jak mówił do niej w ten sposób, używał wulgarnych określeń, kiedy ją brał;

te słowa sprawiały, że była wilgotna i gotowa.

- Będę cię pieprzył, aż zwariujesz. Chcesz tego?

- Tak...

- Powiedz mi to.

- Chcę, żebyś mnie pieprzył... - westchnęła.

- No i?

- Aż...

- Ta-a...

- Aż zwariuję.

Zaczęła rozpinać mu pasek, ale Joe odsunął ją i przewrócił na brzuch, wciskając twarz w koc, po czym zdarł jej sukienkę i energicznym szarpnięciem zsunął do połowy majtki. Z wypiętymi pośladkami i rozchylonymi udami sięgnęła dłonią za siebie, a słowa padły z jej ust dużo łatwiej, niż się tego spodziewała.

- Daj mi swojego kutasa.

A on znalazł się w jej dłoniach, jak na zawołanie, śliski, rozpalony, pulsujący. Przycisnęła go do swojej szparki. Odsunął się od niej na kilka sekund, a potem wszedł w nią cały aż do rozporka, z którego nadal wystawał.

### 3

W małej sali obrad nad Izbą Handlową Larry Powell patrzył, jak Ken Hagenaner przegląda listę spotkań weekendowych, nie słysząc jego słów, pochłonięty rozmyślaniami o czekającym go za dwa tygodnie powrocie do rodzinnej Montany.

W biurze poniżej Erwin Toothaker oczekiwał wyników działań Dorothy Bullard, wydzwanającej, gdzie się dało, z zapytaniem, czy ktoś mógłby wpuścić mecenasa do gmachu starej szkoły, gdzie znajdowały się zbiory Towarzystwa Historycznego. Musi w nich trochę pobuszować, ma do przeprowadzenia poważne badania. Erwin umiał sobie oczekiwanie, przyglądając się żółtej taśmie na framugach okien, z których zwieszał się kawałek choinkowego sreberka oraz wyblakłym fotografiom przedstawiającym burmistrza obejmującego ramieniem bliźniaki Bethany w dniu ich szesnastych urodzin. Myślał przy tym: Nienawidzę tego miejsca. Nie zdawałem sobie z tego sprawy aż do teraz. Nienawidzę go.

Na zewnątrz, na Main Street, chłopak nazwiskiem Seth Lundy, który właśnie skończył siedemnaście lat i nigdy z nikim się nie całował, przystanął pośrodku chodnika przed Pizza Place i wsłuchał się w dziwny dźwięk, którego nie słyszał od Wielkiej Niedzieli, grzmiący



łoskot młotów uderzających w nieboskłon od strony Niebios.

Uniósł wzrok, spoglądając pionowo w górę, ponieważ zwykle tam pojawiały się właśnie szczeliny, ale niebo wydawało się nieskalane i nie tknięte. Zakłopotany lustrował nieboskłon przez jakieś piętnaście minut, w którym to czasie spotkanie w sali obrad dobiegło końca. Erwin postanowił wyznać prawdę największemu gronu słuchaczy, jakie uda mu się znaleźć, w domu zaś na skraju miasta, za szczelnie zaciągniętymi zasłonami, Phoebe Cobb zaczęła cichutko pochlipywać.

- Co się stało?

- Nie przestawaj.

- Maleńka, ty płaczesz!

- Nic mi nie jest, naprawdę. - Sięgnęła za siebie, oparła dłonie na jego pośladkach, wciągając go w siebie, a gdy to się stało, pomiędzy jej warg wymknęły się dwa słowa. - Kocham cię.

Boże, co ona powiedziała? Teraz Joe na pewno odejdzie. Ucieknie i znajdzie sobie jakąś inną desperatkę, która nie wyzna mu miłości w sytuacji, gdy jemu chodziło tylko o dobry, szybki popołudniowy seks. To będzie młodsza i szczuplejsza od niej kobieta.

- Przepraszam - powiedziała.

- Ja też - odrzekł Joe.

No i masz, czego chciałaś! Koniec balu! Wyjdzie z niej i zostawi ją samą.

- To, co dzieje się między nami, może spowodować mnóstwo różnych problemów.

Mówiąc to, przez cały czas ją brał, równym, nie zmienionym rytmem i czuła przy tym taką rozkosz, że w zapamiętaniu o mało nie puściła jego słów mimo uszu. Nie chodziło mu chyba o...

- Ja też cię kocham. Maleńka, kocham cię i to bardzo. Czasami nie jestem wręcz w stanie myśleć logicznie. Zupełnie jakbym błdził we mgle, do chwili, gdy znajdę się tutaj. Z tobą. Właśnie tak.

Kłamstwo z jego strony byłoby nazbyt okrutne, a on nie miał okrutnej natury. Wiedziała o tym, a to znaczyło, że mówił prawdę.

Boże, jakże on ją kochał, kochał ją, a gdyby nawet mieli przez tę miłość napytać sobie biedy, Phoebe ani trochę tym się nie przejmowała.

Zaczęła się odwracać, aby móc ujrzeć twarz Joego. Było to dość trudne, ale w jego ramionach jej ciało było inne, bujniejsze, bardziej podatne i sprężyste. Teraz zaczną się pocałunki, które będzie czuć na swoich wargach nawet nazajutrz, pocałunki od których jej

usta zapłoną żywym ogniem i język będzie bolał, po których jej ciało ogarną spazmatyczne, niepohamowane dreszcze, a powietrze przeszyją jęki rozkoszy przypominające krzyki opętanego. Dopiero dziś oboje zdecydowali się na wzajemne wyznania i obietnice. Dreszcze zaś, kiedy się pojawiły, brały się z miejsca, którego nie ma w żadnym atlasie anatomicznym; niewidzialnego, nie nazwanego miejsca, do którego nie mają dostępu Bóg ani złośliwe rakowate twory.

- Och, prawie zapomniałem... - rzekł, kiedy się ubierał i zaczął gmerać w górnej kieszeni kombinezonu. - Chciałem ci to dać, a po dzisiejszym naszym spotkaniu... wydaje mi się to ważniejsze niż kiedykolwiek.

Wyjął fotografię i podał Phoebe.

- To moja mama, mój brat Ron, najmłodszy w rodzinie, i moja siostra Noreen. No i, tak, to ja. - Na zdjęciu był w mundurze i uśmiechał się z dumą. - Nieźle wyglądam, co?

- Kiedy je zrobiono?

- W tydzień po tym, jak skończyłem podstawowe przeszkolenie.

- Dlaczego nie zostałeś w wojsku?

- To długa historia - mruknął. Już się nie uśmiechał.

- Nie musisz... - Przerwał jej dźwięk telefonu. - Kurczę! Nie odbiorę, nie ma mowy!

- To może być coś ważnego.

- Owszem, ale równie dobrze może dzwonić Morton - odrzekła Phoebe. - A ja nie mam ochoty teraz z nim rozmawiać.

- Nie chcemy, żeby zaczął coś podejrzewać - tłumaczył Joe - przynajmniej dopóki nie zadecydujemy, co zrobimy dalej z tym wszystkim.

Westchnęła, pokiwała głową i podeszła do telefonu.

- Musimy o tym porozmawiać. I to niedługo.

- Może jutro? O tej samej porze? - Przytaknęła, po czym podniosła słuchawkę. Nie dzwonił Morton, lecz Emmeline Harper z Towarzystwa Historycznego, przemęczona, rozdrażniona kobieta cierpiąca na przerost ambicji i poczucia własnej wartości.

- Phoebe.

- Emmeline?

- Chciałabym, abyś wyświadczyła mi przysługę. Właśnie zadzwoniła do mnie Dorothy, najwyraźniej ktoś chce się dostać do gmachu szkoły i poszperać w archiwum. Ja nie mogę, więc może ty, kochaniutka? - Phoebe miała chęć rzucić jej krótkie, stanowcze: nie! Nagle Emmeline dodała: - To ten miły pan Toothaker, mecenas. Znasz go?

- Spotkaliśmy się przed kilkoma laty. - Facet był jak zimna ryba, o ile Phoebe dobrze

pamiętała. Ale może byłoby dobrze porozmawiać z facetem znającym się na prawie. Może zdołałaby wypytać go o szczegóły procedury rozwodowej i dowiedzieć się czegoś, co mogłaby później wykorzystać.

- Wiesz, to poważny człowiek, rozsądny, godny zaufania, nie podejrzewałabym go ani przez chwilę o to, że mógłby podwędzić jakiś eksponat z tamtejszych zbiorów, ale potrzebny jest ktoś, kto wpuściłby go do budynku i pokazał, co jest co.

- W porządku.

- Czeka w Izbie Handlowej. Mogę zadzwonić i powiedzieć, że przyjedziesz za dwadzieścia minut?

# Rozdział III

## 1

Od czasu założenia w 1972 roku Towarzystwo Historyczne Everville gromadziło wszelkie pamiątki związane z przeszłością miasta. Jedne z pierwszych i najcenniejszych pochodziły od Huberta Nordhoffa, którego rodzina posiadała i prowadziła obecnie nieczynną fabrykę przy Molina Road, trzy czwarte mili za miastem. W ciągu trzydziestu pięciu lat pomiędzy rokiem 1880 a 1915 fabryka Nordhoffów dawała zatrudnienie wielu prawym obywatelom Everville, właścicielom zaś zapewniała niemałą fortunę. Nordhoffowie kupili w Salem posiadłość, drugą zaś w Oregon City, zanim wycofali się z przemysłu tekstylnowłókienniczego i włożyli kapitał w przemysł drzewny oraz nieruchomości (głównie w Portland), a także, jak głosiły plotki, w handel bronią. Dar Huberta Nordhoffa w postaci około tysiąca zdjęć z życia i pracy w zakładzie oraz wiele innych drobiazgów uznano powszechnie za spóźniony akt skruchy za nagłą dezercję swego przodka; lata bezpośrednio po zamknięciu fabryki były najczarniejszym okresem w ekonomicznej historii Everville.

Spuścizna Nordhoffów wywołała małą lawinę darów. Siedemnaście lokalnych pejzaży, uroczych, choć odrobinę pretensjonalnych, namalowanych przez żonę pierwszego dentysty z Everville, oprawionych w ramy wisiało obecnie w gmachu szkoły (za którego remont zapłacił H. Nordhoff). Kolekcja lasek ozdobionych główkami fantastycznych zwierząt wyrzeźbionych przez jednego z największych lokalnych ekscentryków Miliusa Biggsa prezentowana była za szkłem w gabinecie dyrektora.

Większą część ekspozycji stanowiły jednak prostackie przedmioty codziennego użytku, należące do szarych mieszkańców Everville. Cenzurki szkolne, zaproszenia ślubne, klepsydry, albumy rodzinne, zbiór wycinków z *The Oregonian* ze wzmianką na temat miasta (zebrane przez bibliotekarza Stanleya Sharpa, który przez całe sześćdziesiąt jeden lat życia jękał się paskudnie, lecz na łożu śmierci wyrecytował gładko z pamięci cały *Raj utracony* Milтона) i rzecz jasna, setki rodzinnych listów.

Samo zgromadzenie i segregowanie tak wielkiej ilości zbiorów posuwało się powoli, jako że wszyscy pracownicy Towarzystwa byli ochotnikami. W dwóch z pięciu sal szkoły wciąż stały sterty pudeł z nie posortowanymi darami, lecz dla gości zainteresowanych dawnym Everville trzy pozostałe pomieszczenia oferowały całkiem miłe, choć może nieco

nadmiernie schludne i starannie utrzymane *rendez-vous* z przeszłością.

Znajdujące się tu przedmioty zostały skrzętnie wybrane, lecz tak to zwykle bywa, podobnie jak z lekcjami historii. Nie było tu miejsca na odrobinę wszechobecnej i popularnej w Everville mrocznej strony - wizji ubóstwa, samobójczych śmierci czy jeszcze gorszych rzeczy. Nie było również miejsca dla wszystkich, którzy nie pasowali w jakiś sposób do powszechnie przedstawianej wersji dawnych wydarzeń. Znalazły się zdjęcia z wczesnego okresu miasta i wzmianki o tym, jak budowano tutejsze drogi oraz poszczególne budynki. Po Maeve O'Connell wszelako, która dotarła nad skraj innego świata i powróciła, aby urzeczywistnić marzenia ojca, nie pozostał żaden ślad. I w owym pominięciu i wydziedziczeniu tkwiło ziarno zagłady Everville.

## 2

Phoebe trochę się spóźniła na spotkanie z Erwinem, ale ten okazał się uprzejmy i cierpliwy. Przeprosił za zakłócenie spokoju, lecz, jak stwierdził, powodowały nim wyjątkowo ważne i pilne sprawy. Nie mógł powiedzieć konkretnie, o co chodziło, lecz już wkrótce cała sprawa zostanie podana do wiadomości publicznej, a on sam na łamach prasy podziękuje Phoebe za życzliwość i wsparcie. Upierała się, że to nie jest konieczne, niemniej dodała, iż byłaby wdzięczna, gdyby w przyszłym tygodniu znalazł dla niej chwilę czasu i zechciał służyć poradą prawną w pewnej złożonej sprawie. Przystał na to z radością. Czy zamierzała sporządzić ostatnią wolę?

- Nie - odparła Phoebe - planuję rozwieść się z mężem.

Odrzekł, iż rozwody nie są jego specjalnością, lecz z przyjemnością o tym porozmawia.

- Ma to być poufna rozmowa - dodała.

- Oczywiście - zapewnił Erwin.

Zajrzy do niego do kancelarii w poniedziałek rano.

W szkole wciąż panował potworny upał, mimo iż dochodziła już szósta i podczas gdy Phoebe podnosiła po kolei żaluzje i otwierała wszystkie okna, Erwin przechodził od jednej sali do drugiej, spoglądając na zdjęcia.

- Może pan powiedzieć mi, czego właściwie szuka? - spytała Phoebe. - To znaczy, przynajmniej tak ogólnie.

- Po pierwsze, dawnych wydań *Tribune* - odparł Erwin. - Najwyraźniej w redakcji nie mają pomieszczeń magazynowych, więc przechowują je tutaj.

- I czego jeszcze?

- Cóż, nie wiem, co jest w tych zbiorach. Czy eksponaty są ułożone chronologicznie?

- Nie jestem pewna. Chyba tak. - Poprowadziła Erwina do innego pomieszczenia, gdzie sześć stołów zavalonych było aktami. - Przychodziłam tu i pomagałam sortować te rzeczy - wyjaśniła. - Ale ostatni rok był taki nerwowy... - Przewertowała akta z jednej ze stert. - Te są oznaczone od 1940 do 45. - Podeszła do następnej. - A te od 45 do 50.

- Czyli są układane w stosy po pięć lat.

- Właśnie.

- To już coś wiemy. A gazety?

Phoebe wskazała na sąsiednie drzwi.

- Są uporządkowane. Wiem, bo sama się tym zajmowałam.

- Cudownie. To biorę się do dzieła.

- Chce pan, abym została tu, aż pan skończy?

- To zależy, czy jest pani cierpliwa.

- Nie za bardzo - odparła z chichotem. - Może zapiszę panu mój numer i jak pan już skończy...

- Zadzwoń, a pani będzie mogła przyjść i zamknąć budynek.

- Zgadza się.

- W takim razie umowa stoi. - Podeszła do biurka, zapisała na jednej z broszur numer i podała mu. Mężczyzna grzebał już w jakiejś teczce.

- Odłóż pan wszystko na miejsce, prawda? - spytała ponurym tonem Phoebe.

- O tak, będę bardzo ostrożny - zapewnił Erwin. Wziął od niej broszurkę. - Zadzwoń, kiedy skończę - powiedział. - Mam nadzieję, że niezbyt późno.

Wsiadając do samochodu, Phoebe pomyślała: Co by się stało, gdybym w ogóle nie wróciła do domu? Gdybym pojechała teraz do Joego i jeszcze tej nocy opuściła miasto? Był to kuszący pomysł - nie musieć wracać do domu, gotować obiadów i wysłuchiwać, jak Morton sarka na wszystko - niemniej oparła się pokusie. Jeżeli przyszłość z Joem miała mieć szansę powodzenia, Phoebe musiała ją zaplanować - ostrożnie, systematycznie. Nie byli nastolatkami przeżywającymi szczenięcą miłość. Jeżeli mieli opuścić Everville na zawsze (a nie wyobrażała sobie, aby mogła tu pozostać, kiedy wszystko wyjdzie na jaw), musieli rozliczyć się ze wszystkim i pożegnać się, z kim trzeba. Nie będzie tęsknić do domu Mortona ani do cuchnących popielniczek, które po sobie zostawiał, ale będzie jej brakować doktora Powella i niektórych z jego stałych pacjentów. Potrzebowała czasu, by wytłumaczyć się przed tymi, których ceniła najbardziej, aby wiedzieli, że powodem jej wyjazdu jest miłość, a nie zwykły kaprys czy chęć odwetu.

I dlatego zostanie, by wziąć udział w swym ostatnim festynie w Everville. Już sama taka myśl nadawała w mniemaniu Phoebe szczególnej rangi temu wydarzeniu. To była okazja do świętowania, jaka nie zdarzyła się od lat. W ten weekend będzie się bawić na całego, ze świadomością, że w sierpniu przyszłego roku znajdzie się Bóg wie gdzie, w jakimś innym zakątku świata.

Głód zawsze wprawiał Mortona w fatalny nastrój, toteż aby mąż nie musiał czekać, gdy ona będzie przyrządzać jedzenie, zajrzała do Kitty's Diner po hamburgera z frytkami. Minęły już trzy lata od śmierci Kitty Cowhick i pomimo że ekonomicznie czasy nie były pomyślne, jej zięć Bosley zmienił podrzędny bar we wspaniale prosperującą restaurację. Należał do Odrodzonych i wykorzystywał swe ściśle określone, surowe zasady moralne w kierowaniu jadłodajnią. Zabronił na przykład lektury książek, które uznawał za nieprzyzwoite, i to zarówno przy ladzie, jak i przy stolikach, a wszystkich przyłapanych na łamaniu tego prawa osobiście zmuszał do opuszczenia lokalu. Prośbą lub groźbą. Widziała go w akcji. Chce, aby to było takie miejsce, do którego mógłby przyjść nawet sam Pan Bóg - powiedział jej któregoś razu - gdyby przyszła mu ochota na kawałek placka. Kupiwszy hamburgera dla Mortona, Phoebe pojechała do domu, a gdy tam dotarła, okazało się, że jej mąż się ulotnił. Był w domu - na kuchennym stole leżała jego robocza bluza i kilka pustych puszek po piwie, ale najwyraźniej zmęczył się czekaniem na jej powrót i wyszedł, aby coś przekąsić. Ucieszyła się - miała dzięki temu więcej czasu na przemyślenia.

Siedziała przy kuchennym stole, pojadając tłuste frytki i na bloczku, gdzie zwykle zapisywała sprawunki, sporządziła listę rzeczy, które chciała zabrać ze sobą, gdy będzie wyjeżdżać. Nie było tego wiele. Ot, parę drobiazgów o emocjonalnym znaczeniu: krzesło odziedziczone po matce, kilka makatek jej babci, kołdra z drugiej sypialni.

Myśląc o kołdrze, przerwała układanie listy i skoncentrowała się na tym, co zrobiła tego popołudnia. Albo raczej na tym, co zaszło w tym pokoju. Nie zawsze będzie tak wspaniale - upominała samą siebie - żar uczuć między nimi w miarę upływu czasu mocno przygaśnie. Jeżeli jednak i gdy już to się stanie, obojgu, pozostaną jeszcze inne uczucia. I wspomnienia wydarzeń takich jak to dzisiejsze, które będzie powracać do niej w myślach, ilekroć przyłoży twarz do miękkiej kołdry.

Po wpół do dziesiątej, kiedy zaczęło burczeć mu w żołądku, przeszukując kolejne akta, Erwin natknął się na dziwaczną broszurkę pisarza Raymonda Merkle'a. To nazwisko nie było

mu całkiem obce. Mężczyzna ów zyskał sobie pewną sławę jako kronikarz małych miasteczek Oregonu. Erwin widział podobne teksty w księgarni w Wilsonville. Tekst stanowił osobliwe kompendium faktów dotyczących Everville, spisanych wymęczonym stylem człowieka z aspiracjami pisarskimi, lecz kompletnie pozbawionego wyczucia językowego.

Tytuł - „Owe wzgórza ze snów” - okazał się cytatem z kiepskiego wiersza (nazwiska poety nie podano, toteż Erwin przypuszczał, że był nim Merkle) o fatalnych rymach, wydrukowanego na pierwszej stronie broszury. Naraz, w połowie owej broszury Erwin natrafił na następujący tekst:

*To, że plugawe i ohydne siły zła naznaczyły swym piętnem tak wspaniałe i cudowne miasto jak Everville, nie powinno dziwić tych z nas, którzy mieli okazję ujrzeć kawałek większego świata. Ja, wasz autor, którym przybył z żyznych terenów naszego wychwalanego stanu w 43. roku tego stulecia, by wypełnić me obowiązki - jako Amerykanin w South Pacific zabiorę ze sobą do grobu sceny okrucieństwa i ludzkiego upodlenia, jakich tam byłem świadkiem, na tle jednego z najwspanialszych spośród rajskich zakątków na tej ziemi.*

*Nie zdziwiło mnie natomiast odkrycie, podczas prac przygotowawczych przy sporządzaniu niniejszego woluminu, plotek o diabelskich czynach, jakie miały miejsce w Everville i których dopuścili się jego spokojni mieszkańcy.*

*Powszechnie znana jest smutna historia śmierci Rebeki Jenkins. Była córką tego pięknego miasta, dzieckiem uwielbianym, chwalonym i podziwianym. Mając lat osiem została zamordowana, jej zwłoki zaś odnaleziono w zbiorniku wodnym. Zabójcą jej okazał się człowiek pochodzący z Sublimity, który zmarł później w więzieniu, gdzie odsiadywał karę dożywocia. Na tym wszelako nie kończy się tajemnica osnuwająca tragedię biednej Rebeki.*

*Zbierając opowieści o jeszcze dziwniejszych incydentach związanych z Everville, dowiedziałem się poufnie o zagadkowej śmierci niejakiego Richarda Dolana. Jak mi powiedziano, był on właścicielem sklepu ze słodyczami, a jako że Rebeka należała do jego stałych klientek, wiadomość o jej zamordowaniu okazała się dlań wyjątkowo bolesnym ciosem. Pojmanie i późniejsze skazanie na dożywotnie więzienie jej okrutnego mordercy nie zdołały w żaden sposób ukoić głębokiego niepokoju owego mężczyzny. Stawał się on coraz bardziej melancholijny i w nocy 19 września 1975 roku wyznał żonie, iż słyszał głosy dochodzące z Harmon Heights. Stwierdził, że ktoś go wzywał, a kiedy zapytała, kto go przywoływał, nie odpowiedział, lecz sposepniały wymaszerował w noc. Nie powrócił; następnego dnia na szczyt góry wyruszyła grupka ludzi mających go odnaleźć.*

*Po dwóch dniach poszukiwań odnaleziono mającego Richarda Dolana*



*zaklinowanego w szczelinie skalnej na północno-wschodnim zboczu góry. Podczas upadku mocno się poturbował, ale nie umarł. Jednak twarz i tors miał w takim stanie, że na ów widok żona Dolana zemdlala i nigdy już nie odzyskała zdrowych zmysłów. Richie zmarł w Silverton Hospital trzy dni później, ale nie skonał bez słowa. W ciągu tych siedemdziesięciu dwóch godzin bredził jak oszalały, mimo środków uspokajających aplikowanych mu przez lekarzy.*

*O czym mówił w tych ostatnich, pełnych udręki godzinach żywota? Nie znalazłem na ten temat żadnych pisemnych śladów, lecz informacje powtarzające się w zasłyszanych plotkach pozwalają mi stwierdzić, iż musi być w nich choć ziarno prawdy. Dowiedziałem się mianowicie, iż człowiek ów bredził, jakoby z Harmon Heights przyzywali go umarli. Powtarzał to raz po raz, aż do samego końca, a lekarze nie mogli nadziwić się, z jakim uporem trzymał się wątlej nici żywota, błagając o wybaczenie...*

Tekst miał jeszcze kilka akapitów, ale Erwin pominął je w lekturze, zerkając tylko pobieżnie. Znalazł to, czego szukał - dowód, choćby tylko szczątkowy, że w tym, co napisał McPherson, było jednak trochę prawdy. A skoro jedna część okazała się prawdziwa, czemu podawać w wątpliwość resztę?

Zadowolony, że jego poszukiwania nie spełzły na niczym, na ten wieczór zarządził sobie przerwę i zadzwonił do Phoebe Cobb; czy mogłaby przyjść i zamknąć budynek? - zapytał. Naturalnie - odparła. Gdyby tylko był tak uprzejmy i pozamykał drzwi; postara się przyjść jak najszybciej i zamknie frontowe wejście.

Uznał, że głos kobiety był odrobinę bełkotliwy, ale może tak mu się tylko wydawało. Miał za sobą długi dzień i czuł się zmęczony. Pora wracać do domu i do jutra rana wyrugować ze swego udręczonego umysłu wyznanie McPhersona.

Wiedział, od czego zacznie poszukiwania - od strumienia. Mimo iż minęły już trzy dekady od wydarzeń opisywanych przez McPhersona, jeżeli dom, który rzekomo miała spalić trójka wybrańców, rzeczywiście istniał, Erwin powinien natrafić na jakieś pozostałości. Jeżeli to się potwierdzi, a tym samym kolejna część wyznania okaże się prawdziwa, trudno mu będzie oprzeć się pokusie, by nie wydobyć całej historii na światło dzienne, aby cały stan i cały kraj poczuł, jak bardzo cuchnie ta sprawa.

Phoebe otworzyła butelkę brandy mniej więcej za kwadrans ósma, mówiąc sobie, że pragnie uczcić zbliżające się wyzwolenie, ale tak naprawdę chciała zabić dręczący ją

niepokój. Do tej pory, kiedy Morton wybrał się gdzieś na kolację, wracał do domu w przeciągu godziny, aby zająć swe stałe miejsce przed telewizorem. Dokąd wyszedł tego wieczoru? I co więcej - dlaczego ona się tym przejmowała?

Zabijała swój niepokój kolejnymi łykami brandy. Sztuczka udała się głównie dlatego, że Phoebe piła na pusty żołądek. Zanim zadzwonił mecenas, czuła się już błogo, zbyt błogo, by mogła prowadzić. Nieważne. Uznała, że pójdzie pieszo do szkoły.

Noc była spokojna, powietrze przesyciła woń sosen, a przechadzka okazała się przyjemniejsza, niż Phoebe się tego spodziewała. O innej porze roku, zwłaszcza w środku lata, późnym wieczorem na ulicach było pusto i cicho, ale dziś w wielu sklepach przy Main Street wciąż paliły się światła - ich właściciele dekorowali wystawy lub zapelniali półki w związku ze zbliżającym się festynem. Zjawilo się już nawet kilkoro gości, którzy przybyli wcześniej, by napawać się spokojem doliny.

Na rogu Main i Watson Phoebe przystanąła na chwilę. Skręcając w prawo, dotarłyby do szkoły, idąc zaś w lewo, mijając targowisko i park, a potem przechodząc wzdłuż Donovan doszłyby do domu, gdzie mieszkał Joe. Wystarczy lekki skręt ciała i ruszy w lewo, zamiast w prawo. Walczyła ze sobą; pragnienie było silne, ale pokonała je. Niech to, co się wydarzyło i co powiedzieli sobie tego popołudnia, okrzepnie przez kilka godzin, niż mieliby znowu podsycać ten ogień. Poza tym zwykle upijała się na smutno, a od łez zawsze miała podpuchnięte oczy. Zobaczą się jutro, a dziś jeszcze będzie o nim śniła.

Skręcając w prawo, pokonała lekkie wzniesienie Watson, minęła nowy supermarket (który wciąż był jeszcze otwarty i całkiem nieźle prosperował jak na tak późną porę) i dotarła do gmachu szkoły.

Sprawdzenie okien, opuszczenie żaluzji i zamknięcie budynku zajęło jej pięć minut. Ruszyła w drogę powrotną.

Kawałek dalej od Main Street ktoś idący chodnikiem z przeciwka wyszedł na jezdnię. Znała chłopaka z widzenia. Był najmłodszy z klanu Lundy - Stan, Steve czy...

- Seth.

Mimo iż wypowiedziała jego imię szeptem, usłyszał ją. Nie ruszając się z miejsca, spojrzał na nią błyszczącymi oczyma i przypomniała sobie, jak spotkała go po raz pierwszy. Matka przyprowadziła go do doktora Powella jakieś pięć czy sześć lat temu; mały stał w poczekalni z tak beznamiętnym i bezosobowym wyrazem twarzy, że Phoebe pomyślała, iż jest upośledzony umysłowo. Teraz jego spojrzenie nie było puste. Płonął w nim ogień.

- Czy ty to słyszysz? - zapytał.

Nie podszedł bliżej, ale było w nim coś, co ją przeraziło. Przystanąła, oglądając się

przez ramię w stronę jasno oświetlonego supermarketu. Na parkingu, kiedy go mijala, stało sporo aut, wkrótce ktoś stamtąd wyjdzie, a ona wykorzysta tę okazję, aby pójść dalej.

- Nie słyszysz, prawda? - dopytywał się melodyjnym głosem.

- Czego nie słyszysz?

- Dudnienia.

- Dudnienia? - Przysłuchiwała się przez chwilę. - Nie, nie słyszysz.

- Hmm. - Powrócił wzrokiem do rozgwieżdżonego nieba - Pracowałaś u lekarza?

- Nadal tam pracuję.

- Już niedługo - oświadczył.

Poczuła zimny dreszcz, przenikający ją od stóp do głów.

- Skąd wiesz?

Uśmiechnął się do nieba.

- Jest takie głośnie - mruknął. - Na pewno tego nie słyszysz?

- Już mówiłam... - zaczęła.

- Nic nie szkodzi - odrzekł łagodnie. - Tyle że czasami w nocy inni ludzie również je słyszą. Za dnia nigdy się to jeszcze nie zdarzyło. - W dzień tylko ja słyszysz...

- Przepraszam...

- Nie ma za co, nie musisz... - powiedział i uśmiechnął się do niej, zamiast do gwiazd. - Przywykłem do tego.

W tej samej chwili zrobiło się jej głupio, że się go przestraszyła. Był tylko samotnym, odrobinę dziwnym chłopcem. Może miał trochę nie po kolei w głowie, ale wydawał się chyba raczej niegroźny.

- Co miałaś na myśli mówiąc, że już niedługo będę pracować u doktora? - zapytała.

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem - odrzekł. - Czasami mówię różne rzeczy, choć właściwie nie wiem, co one znaczą. Przerwał na chwilę. - Prawdopodobnie nic - dodał i powrócił wzrokiem ku niebu.

Nie czekała, aż z parkingu ruszy jakiś samochód, lecz różnym krokiem pomaszerowała ku Main Street.

- Baw się dobrze - rzuciła, mijając go.

- Ta-a - mruknął. - Nie omieszkam.

Zdarzenie to wciąż nurtowało Phoebe, nawet gdy dotarła do domu, i postanowiła, że jutro w pracy zajrzy do karty Lundy'ego, aby sprawdzić, co przywiodło jego i jego matkę do lekarza owego dnia i dlaczego więcej już się nie pojawili. Kiedy wróciła, Morton siedział przed telewizorem, pochrapując z puszką piwa na brzuchu i kolejnymi czterema ustawionymi

przy nogach krzesła. Postanowiła go nie budzić. Weszła do kuchni i zrobiwszy sobie kanapkę z szynką i serem, zjadła ją opierając się o zlew i wyglądając na spowite mrokiem podwórze. Chmury zakryły gwiazdy, lecz Phoebe nie uważała, aby mogło to w jakiś sposób przeszkodzić małemu Lundy'emu. Skoro słyszał dochodzący z nieba łoskot, parę chmur na pewno nie mogło popsuć mu zabawy.

Zjadłszy kanapkę, położyła się do łóżka w nadziei, że zaśnie, zanim Morton przebudzi się z pijackiej drzemki. Kiedy poczuła w łóżku oddech męża na swych plecach i jego ciało wierzące się obok, fosforyzujące wskazówki zegarka wskazywały trzecią. Pomrukując pod nosem, Morton pociągnął koc do siebie i po chwili już chrapał.

Ponowne zaśnięcie zajęło jej trochę czasu; spała niespokojnie. Rankiem, siedząc przy stole w kuchni (Morton wyszedł do pracy, zanim wstała), usiłowała przypomnieć sobie fragmenty snu, kołaczące się jej po głowie i stwierdziła, że w jednym z nich Joe przedstawiał ją ludziom z fotografii, którą jej pokazywał. Całą piątką siedzieli, nie wiedzieć czemu, w samochodzie, a brat Joego pytał: Gdzie my jesteśmy? Gdzie jesteśmy, u licha? To nie był spokojny sen. O czym myślała? Że wszyscy oni są już praktycznie zgubieni? Wzięła trzy aspiryny, popiła czarną kawą i wyruszyła do pracy, usilnie starając się zapomnieć o niepokojącym widzeniu.

Szkoda. Gdyby podumała nad nim jeszcze przez chwilę, może doszłaby do tego, dlaczego i gdzie powstało owo zdjęcie, a tym samym oszczędziłaby sobie, Joemu i Mortonowi więcej żalu i smutku, aniżeli każde z nich mogło się spodziewać czy choćby na to zasługiwało.

## Rozdział IV

Kobieta na motocyklu wyglądała na wytrawną podróżniczkę. Skórzane spodnie, kurtka i buty, które miała na sobie, były zakurzone i powycierane, włosy zaś - kiedy zdjęła kask - okazały się krótko przycięte i wyblakłe od słońca, a twarz, która prawdopodobnie nigdy nie grzeszyła urodą, wyglądała na zmęczoną i surową. Na szczęście miała pokaźny siniak, wokół oczu i ust głębokie bruzdy - żadna z tych zmarszczek nie pojawiła się na jej obliczu od nadmiaru śmiechu.

Nazywała się Tesla Bombeck i właśnie dzisiaj wracała do domu. Nie do miejsca, gdzie się urodziła (czyli do Filadelfii) ani nawet do tego, gdzie dorastała (czyli do Detroit), lecz do miasta, gdzie zaczęła się owa przemiana, wskutek której przeobraziła się w surową, wytrawną wędrowniczkę o zmęczonym, poźłobionym zmarszczkami obliczu.

A raczej do tego, co z owego miasta pozostało. W okresie swej największej prosperity miasto o nazwie Palomo Grove określone zostało jako idealna kalifornijska przystań. W przeciwieństwie do Everville, które rozrastało się przez z górą półtora wieku, Grove zaistniało w ciągu zaledwie trzech lat, stworzone przez planistów i potentatów od nieruchomości, dla których inspiracją był znaczący przyrost demograficzny. Prosperowało całkiem nieźle przez pewien czas, ukryte w objęciach Doliny Śmierci, o dobrych parę kilometrów od autostrady, po której każdego poranka sunęły sznury samochodów z ludźmi zdążającymi do pracy i wieczorem równie szybko powracającymi do domów.

Obecnie ruch na autostradzie był większy niż kiedykolwiek, ale ze zjazdu do Grove prawie już nie korzystano. Od czasu do czasu zjawiał się tam turysta pragnący dołączyć Miasto, Które Umarło z Dnia na Dzień do listy atrakcji i osobliwości kalifornijskich, aby obejrzeć żalosny widok, lecz wizyty takie także należały do rzadkości.

Nikt również nie starał się odbudować Grove, pomimo że zarówno tamtejsi mieszkańcy, jak i właściciele gruntów ponieśli wskutek upadku miasta ogromne straty. Tesla nie była tym zdziwiona. Była recesja; ludzie nie wierzyli już w nieruchomości jako trwałe inwestycje, zwłaszcza zaś gdy tak jak w tym przypadku już raz okazały się one zawodne.

Palomo Grove bowiem nie umarło ot tak, po prostu, ono samo się pogrzebało, jego ulice ziały niczym otwarte groby dla stojących przy nich niebrydkich domów. Wiele z tych ulic wciąż było zabarykadowanych, co miało powstrzymać gapiów o lepkich rękach, ale Tesla od dzieciństwa, gdy mówiono jej „nie”, zawsze słyszała „tak” i bez wahania prześlizgnęła się

przez barykadę, by podążyć tam, gdzie uszkodzenia były największe.

Wielokrotnie myślała o powrocie tutaj podczas swej pięcioletniej podróży przez Ameryki, jak nazywała Środkowe Stany. Niejeden raz tłumaczyła Grillo, iż nie jest to jeden spójny kraj. Bynajmniej. Tylko dlatego, że w Luizjanie podawano taką samą colę jak w Idaho i że w Nowym Meksyku puszczano w telewizji te same seriale, co w Massachussetts, nie oznaczało, że istniał jednolity twór określany mianem Ameryki. Kiedy prezydenci i luminarze mówili o głosie i woli amerykańskiego narodu, wywracała oczami. To fikcja - wyłożył jej to bardzo jasno żółty pies, który przez półtora tygodnia chodził za nią krok w krok podczas jej transu halucynacyjnego; pojawiał się w barach i pokojach motelowych, by dyskutować z nią w tak przyjazny sposób, że zaczęła za nim szczerze tęsknić, kiedy zniknął.

Jeżeli dobrze pamiętała (bo nie miała pewności), to chyba właśnie pies pierwszy zaproponował jej powrót do Grove.

- Prędzej czy później będziesz musiała wetknąć nos w swoje własne gówno - rzucił, odchylając się do tyłu w starym, zdezelowanym fotelu. - To jedyny sposób, abyś weszła w kontakt.

- Z czym? - dopytywała się Tesla.

- Z czym? Z czym? - burknął, przysiadając w nogach łóżka. - Nie jestem twoim analitykiem! Sama się dowiedz.

- A jeżeli nie ma czego się dowiadywać? - odparowała.

- Nie gadaj bzdur - warknął. - Nie obawiasz się tego, że możesz się przekonać, iż niczego się nie dowiesz. Boisz się, że dowiesz się tak wiele, że doprowadzi cię to do szaleństwa.

Zszedł z łóżka i usiadł na niej tak, że znaleźli się teraz nos w nos.

- Ale wiesz co, panno Bombeck? Przecież już jesteś szalona. Cóż więc masz do stracenia?

Nie pamiętała, czy odpowiedziała jakąś ciętą ripostą, czy zwyczajnie zemdlą. Prawdopodobnie to drugie. Podczas tej fazy mdlała wielokrotnie w motelowych pokojach. Tak czy inaczej żółty pies zasiał w jej umyśle swe ziarno. Mijały miesiące, a Tesla stopniowo odyskiwała coś, co od biedy można było uznać za rozum i od czasu do czasu, zerkając na mapę albo na znak drogowy myślała sobie: może dziś powinnam to zrobić. Może powinnam wrócić do Grove.

Kiedy jednak już miała to zrobić, odzywał się w niej inny głos, głos osobowości, która przez ostatnie pół dekady rezydowała wewnątrz jej czaszki.

Nazywał się Raul i przyszedł na świat jako mała, nie pozostał nią jednak długo. W

wieku czterech lat ewoluował z małpy do człowieka za sprawą magicznego płynu, który jego wynalazca nazwał „Nuncjo”, czyli zwiastun. Płyn nie był owocem czystej nauki, lecz mieszaniną wielu sztuk - po części biogenetyki, po części alchemii - i okazało się, że posiada on zdolność przemieniania wszystkich, z którymi się zetknie (Tesli również to się zdarzyło, aczkolwiek trwało krótko) poprzez ujawnienie i podwyższenie poziomu ich popędów, wskutek czego powstały dwie przeciwstawne siły, które urządziły z Palomo Grove swoje pole bitewne. Jedną z nich był twórca Nuncjo, uzależniony od meskaliny wizjoner o nazwisku Fletcher, który pod opieką zwiastuna stał się orędownikiem transcendencji. Drugą był jego mecenas, Randolph Jaffe, który sfinansował owe badania w nadziei, że dzięki nim osiągnie duchowo i fizycznie stan bliski boskości. Nuncjo nie spełniło tych jego oczekiwań, ale zrobiło zeń dzaffa, istotę tak pochłoniętą marzeniem o władzy, że jego duch uległ przyspieszonej atrofii. Zanim wygrał wojnę z Fletcherem (niszcząc przy tym Grove) i był gotowy do odebrania nagrody, jego psyche okazała się za słaba, aby znieść brzemień triumfu. W pogoni za boskością utracił rozum. A wkrótce potem również życie.

Nic więc dziwnego, że Raul tak gorączkowo protestował przeciwko pragnieniu Tesli dotyczącemu powrotu do Grove.

*Nie cierpię Kalifornii - powtarzał wielokrotnie. - Nawet jeśli nie wrócimy tam nigdy to i tak będzie zbyt szybko.*

Nie spierała się z nim na ten temat. Mimo iż w pełni panowała nad swoim ciałem i mogła wyruszyć na Zachód, a Raul nie byłby w stanie uczynić niczego, aby ją powstrzymać, jego obecność dawała jej często pocieszenie w tych trudnych chwilach po zniszczeniu Palomo Grove, a ponieważ spodziewała się, że już wkrótce czekają ją chwile jeszcze gorsze i bardziej przerażające niż kiedykolwiek, pragnęła, aby stosunki pomiędzy nimi były możliwie jak najlepsze.

Paradoks całej tej sytuacji - a ściślej mówiąc fakt, że wątłe resztki jej normalności zostały ocalone przez coś, co większość ludzi doprowadza do szaleństwa (głosy w głowie), nie uszedł bynajmniej uwadze Tesli. Nie zapomniała również, że współlokator zazwyczaj skrupulatnie respektujący granice pomiędzy jej a własnymi myślami, również przeżywał kryzysy, wtedy zaś ona starała się być jego powiernicą i pocieszycielką. Niekiedy budziła się, słysząc w głowie jego szlochanie i przeciągłe jęki; użalał się nad utraconym podczas wojny ciałem, mając świadomość, że nigdy już nie odzyska postaci, którą mógłby nazwać swoją własną. Tesla pocieszała go najlepiej jak umiała, mówiła, że znajdzie kiedyś sposób, aby go uwolnić, a tymczasem nie powinien się skarżyć - czyż tak nie jest lepiej? Bądź co bądź mieli siebie nawzajem.

I tak też było; kiedy wątpiła we wszystko, co widziała, on mówił: - *To prawda*. Kiedy lękała się ogromu brzemienia, które dźwigała, był zawsze na miejscu proponując: - *Poniesiemy je razem, póki czegoś z tym nie zrobimy*.

Ach, zrobić coś z tym! Na tym polegał cały problem, na znalezieniu sposobu, by przenieść brzemień objawień na czyjeś silne i godne zaufania barki, aby mogła powrócić do życia, które wiodła wcześniej, zanim w ogóle usłyszała o Palomo Grove. Była z zawodu scenarzystką i choć minęło już sporo czasu, odkąd po raz ostatni zasiadła przy maszynie, nie utraciła swych pisarskich zdolności. Nawet w najgorszym okresie nie było tygodnia, żeby nie pomyślała: To byłaby niezła scena. To niebo, te barwy, walka psów, jej własny płacz, wszystko to mogło stanowić początek czegoś cudownego, osobliwego.

Ostatnio jednak coraz częściej miała wrażenie, że wszystko to było zaledwie początkiem - było tak, gdy wjeżdżała na nieznaną autostradę, albo zaczynała rozmowę z kimś nieznanym - i jak dotąd nie doczekała się drugiego aktu. Jeśli bolesna farsa jej obecnego życia miała mieć jakieś zakończenie, musiała rozwinąć tę historię. A nie mogło się to stać, o czym Tesla doskonale wiedziała, dopóki nie wróci do Grove i nie stawi czoła tamtejszym upiorom.

Później zaczęła dostrzegać oznaki synchronizacji i wierzyć, że pora jej wyjazdu nie została wybrana przypadkowo. Że jej podświadomość lub działające poprzez nią siły w stanie uśpienia do tego stopnia nękały ją wspomnieniami o Grove, iż jedyną nadzieją na uwolnienie się od nich okazał się powrót do miasta właśnie w tym szczególnym tygodniu w sierpniu, kiedy tyle innych rzeczy czekało, by móc się wydarzyć. Nawet Raul, który całymi latami opierał się temu, przyjął wieść o nieuchronności podróży bez słowa skargi, kiedy powiadomiła go o tym.

*Zróbmy to, miejmy to już za sobą* - powiedział. - *Chociaż Bóg jeden wie, co zamierzasz tam znaleźć*.

Teraz wiedziała. Stała w środku czegoś, co było niegdyś Pasażem Handlowym Palomo Grove i stanowiło jego geograficzne i emocjonalne jądro. Ludzie spotykali się tutaj, by poplotkować, zakochać się i (nieomal na marginesie) robić zakupy. Teraz większość stoisk zmieniła się w stertę gruzów, a te, które ocalały, były pustymi, martwymi skorupami - towary, które tu proponowano, zostały zrabowane, zniszczone albo zwyczajnie zgniły.

*Tesla?* - wymamrotał Raul w jej głowie.

Odpowiedziała mu jak zawsze nie ustami i językiem, lecz w myślach.

- Co?



*Nie jesteśmy sami.*

Rozejrzała się; nie zauważyła żadnych oznak życia, ale to o niczym nie świadczyło. Raul był bliższy zwierzęciu niż ona, bardziej wyczulony na drobniutkie znaki, które bombardowały jej zmysły, a których ona nie umiała już interpretować. Skoro twierdził, że mieli towarzystwo, to zapewne tak właśnie było.

- Gdzie? - pomyślała.

*Na lewo od nas - odparł. - Za tą stertą gruzów.*

Ruszyła w tę stronę, próbując równocześnie odzyskać orientację. Po prawej miała to, co zostało ze sklepu zoologicznego, a więc znajdująca się przed nią sterta stali, belek i gruzów była podzwonnym dla dawnego supermarketu. Tesla przeszła po niej, promienie słońca omiotły jej twarz i nagle ktoś zastąpił jej drogę - długowłosego chłopaka w podkoszulku i dżinsach, z najbardziej zielonymi oczami, jakie kiedykolwiek widziała.

- Nie możesz tu wchodzić - rzekł miękko; zbyt miękko, aby zabrzmiało to groźnie.

- A ty możesz? - spytała Tesla.

Z drugiej strony sterty dobiegł kobiecy głos.

- Z kim rozmawiasz, Lucien?

Lucien zwrócił się do Tesli:

- Kim jesteś?

Zamiast udzielić odpowiedzi, Tesla znów zaczęła się wspinać, aż dotarła na drugą stronę, by spojrzeć na swego tajemniczego rozmówcę. Dopiero wtedy się odezwała:

- Nazywam się Tesla Bombeck. A nawiasem mówiąc, nic ci do tego.

Kobieta siedziała na ziemi w kręgu miseczek wypełnionych kadzidełkami. Ich zapach był słodki, przyprawiał o mdłości. Na widok Tesli zaczęła się podnosić, na jej twarzy malowało się zdumienie.

- Boże... - jęknęła, odwracając się w stronę drugiego z towarzyszących jej mężczyzn, grubaska około czterdziestki, wciśniętego w mocno rozchwierutany fotel. - Edwardzie - powiedziała - spójrz, kto przyszedł.

Mężczyzna popatrzył podejrzliwie na Tesłę:

- Słyszeliśmy, że nie żyjesz - mruknął.

- Czy ja pana znam? - zwróciła się doń Tesla.

Mężczyzna pokręcił głową.

- Ale ja znam ciebie - stwierdziła kobieta, wychodząc z kręgu kadzideł. Tesla była w połowie sterty gruzów i mogła już dostrzec, jak chuda i wynędzniała jest tamta.

- Jestem Kathleen Farrell - odrzekła. - Mieszkałam tu, w Grove.

Nazwisko Tesli nic nie mówiło, ale nie zdziwiło jej to. Być może obecność Raula w jej głowie spowodowała wykasowanie części wspomnień (a może to wina wieku), tak czy inaczej ostatnimi czasy coraz częściej zapominała nazwiska i twarze ludzi, których kiedyś знаła.

- Co cię tu sprowadziło? - zapytała Tesla.

- Zostaliśmy...

Edward przerwał jej, podnosząc się z fotela.

- Uważaj Kate - ostrzegł. - Bądź ostrożna.

- Ale ona...

- Nie możemy nikomu ufać - powiedział. - Również jej.

- Ale przecież inaczej nie byłoby jej tutaj - rzekła Kate i spojrzała na Teslę. - Prawda? - Przeniosła wzrok na Edwarda. - Ona wie, co się dzieje. - Znowu spojrzała na Teslę. - Wiesz, prawda?

- Oczywiście - skłamała Tesla.

- Widziałas go? - spytał Lucien, podchodząc do niej z tyłu.

- Nie, przez ostatnich parę miesięcy nie - odrzekła Tesla, gorączkowo przeszukując w myśli. - O kim oni mówili do cholery?

- Ale widziałas go? - dopytywała się Kate.

- Tak - potwierdziła Tesla. - Oczywiście.

Na zmęczonej twarzy Kate pojawił się uśmiech.

- Wiedziałam - mruknęła.

- Nikt nie ma wątpliwości, że on żyje - wtrącił Edward, nie odrywając wzroku od Tesli.

- Ale dlaczego, u licha, nie ukazał się jej?

- Czy to nie jest oczywiste? - zapytała Kate. - Powiedz mu, Tesla.

Na twarzy Tesli pojawił się zbolący wyraz, jakby temat był zbyt delikatny, aby mogła o nim mówić.

- To trudne - szepnęła.

- Rozumiem - westchnęła Kate. - Bądź co bądź, to ty go podpaliłaś.

Tesla usłyszała, jak Raul w jej głowie wydał przeciągły jęk. Nie musiała pytać go, co było tego powodem. Tylko raz kogoś podpaliła i zrobiła to tu, w Pasażu Handlowym, może właśnie w tym miejscu, gdzie siedziała teraz Kate Farrell.

- Byłaś tu?

- Nie. Ale Lucien był - odrzekła Kate.

Lucien stanął tak, by Kate mogła go zobaczyć i jednocześnie podjął przerwany wątek.

- Wciąż widzę to tak wyraźnie - powiedział. - Jak oblewa się benzyną, a potem ty strzelasz z rewolweru. Sądziłem, że chcesz go zabić. Wszyscy tak myśleliśmy, jestem pewien że...

*To kompletnie bez sensu* - bąknął Raul w jej myślach. - *Oni mówią o...*

- Fletcherze, pomyślała. - Tak, wiem.

*Ale zachowuj się tak, jakby sądzili, że on wciąż żyje.*

- Nie zrozumiałem, co chciałaś zrobić - mówił Lucien.

- Ale teraz już wiesz? - spytała Tesla.

- Oczywiście. Zabiłaś go, aby znowu mógł żyć.

Kiedy Lucien mówił, ujrzała w myślach ostatnie chwile Fletchera. W ciągu tych paru lat widziała to setki razy. Jego ciało skąpane od stóp do głów w benzynie. Ona, celująca w ziemię u jego stóp, modląca się o iskry. Wypaliła raz. Nic. Spojrzał na nią z rozpaczą w oczach, jak wojownik, który w walce z wrogiem wykorzystał wszystkie swe siły i umiejętności, aż nie pozostało mu nic oprócz ducha uwięzionego w zranionym, kruchym ciele. Uwolnij mnie - mówiło jego spojrzenie - W przeciwnym razie przegramy tę bitwę.

Wystrzeliła ponownie i tym razem jej modlitwa została wysłuchana Iskra zapaliła opary i buchnął słup ognia, by pochłonąć nuncjata Fletchera

- Czy to tutaj zmarł? - Tesla spojrzała na krąg miseczek. Kate pokiwała głową i odsunęła się, aby Tesla mogła podejść do tego miejsca. Po pięciu latach palącego słońca i siekających deszczów, w miejscu, gdzie zginął, asfalt wciąż był ciemniejszy - widniała na nim plama, powstała na skutek działania ognia i tłuszczu. Wzdrygnęła się.

- Czyż to nie cudowne? - spytała Kate.

- Co?

- Cudowne. Że znów jest wśród nas.

- To znaczy, że koniec jest już bliski - dodał Lucien.

Tesla powróciła wzrokiem do plamy na asfalcie.

- Czego koniec?

Uśmiechnął się do niej ciepło.

- Koniec okrucieństwa i trywialności - odpowiedział. - Nadchodzi pora, byśmy przenieśli się na drabinie o szczebel wyżej. Ale ty to już wiesz. Zostałaś dotknięta przez Nuncjo, prawda?

- Nie powiem, aby to było miłe - zaproponowała.

- Na początku zawsze jest ból - wtrąciła łagodnie Kate. - Rozmawialiśmy z szamanami w całym kraju.

Ponownie wtrącił się Edward.

- Wydaje mi się, że panna Bombeck usłyszała już stanowczo zbyt wiele. Na dobrą sprawę nie wiemy przecież, komu służy...

- Nikomu - odrzekła krótko i rzeczowo Tesla.

- Czy to miało mnie uspokoić? - spytał Edward.

- Nie.

- To dobrze. Bo wcale nie uspokoiło.

- Edwardzie - powiedziała Kate - nie jesteśmy na wojnie.

- Powoli - wtrąciła Tesla. - Minutę temu ten tu - wskazała palcem na Luciena - mówił, że wybieramy się wszyscy do raju, a teraz ty wspominasz o jakiejś wojnie. Zdecydujcie się na coś.

- Ja już zdecydowałem - stwierdził Edward. Odwrócił się do Kate. - Odłóżmy to na później - rzekł, wskazując na krąg glinianych miseczek. - Kiedy ona sobie stąd pójdzie.

- Nigdzie się nie wybieram - burknęła Tesla, siadając na stercie gruzu. - Mogę tu tak siedzieć przez cały dzień.

Edward uśmiechnął się z tryumfem.

- Widzisz? - rzucił gniewnie. - Ona oznacza kłopoty. Chce powstrzymać nas przed...

- Przed czym? - wtrąciła Tesla.

- Przed odnalezieniem Fletchera - dokończyła Kate.

- Zamknij się, do licha! - uciął Edward.

- Dlaczego? - spytała Kate, najwyraźniej wcale nie wzruszona. - Skoro jest tu, aby nas powstrzymać, to doskonale wie, co robimy. A jeżeli nie wie, może gdy się dowie, zechce nam pomóc.

Wymiana zdań uciszyła Edwarda na kilka sekund. Tesla zdążyła powiedzieć:

- Jeżeli uważacie Fletchera za mesjasza, rozczarujecie się. Możecie mi wierzyć.

Mówią, jakbym sądziła, że on żyje - pomyślała przy tych słowach, a Raul wymamrotał:  
- *Bo może on faktycznie żyje.*

- Nie wierzę, że jest mesjaszem - oznajmił Lucien - zbyt wielu ich już było. Nie potrzeba nam jeszcze jednego faceta mówiącego, co się stanie. Albo co stanie się z nami, jeżeli przegramy.

Jego słowa najwyraźniej przypadły Tesli do gustu; Lucien zauważył to, bo przykucnął przed nią i kontynuował, patrząc jej prosto w oczy.

- Fletcher powraca, bo chce być tutaj, kiedy my wszyscy powstaniemy, powstaniemy i staniemy się czymś nowym.

- Ale czym konkretnie?

Lucien wzruszył ramionami.

- Gdybym wiedział, musiałbym się zabić.

- Dlaczego?

- Ponieważ byłbym prorokiem. - Roześmiali się oboje.

Lucien wstał i wzruszył ramionami.

- To wszystko, co wiem - dokończył.

Tesla spojrzała nań z wyrzutem. Słodka prostota Luciena ją oczarowała - miała w sobie coś urzekającego, coś zmysłowego, niemal seksualnego.

- Posłuchajcie - oświadczyła. - Skłamałam, kiedy powiedziałam, że widziałam Fletchera. Nie widziałam go.

- Wiedziałem - prychnął Edward.

- Nie, nie wiedziałeś - ucięła lekko znużonym tonem Tesla. - Nie miałaś o tym pojęcia. - Spojrzała na Luciena. - Nawiasem mówiąc, czemu odnalezienie go jest dla was takie ważne, skoro ma zjawić się tu tylko jako widz?

- Ponieważ musimy bronić się przed naszymi wrogami - wyjaśniła Kate. - A Fletcher może nam pomóc.

- Jeżeli chcecie wiedzieć - mruknęła Tesla - ja nie należę do waszych wrogów. Wiem, że Eddie mi nie wierzy, ale to prawda. Nie jestem po niczyjej stronie, z wyjątkiem swojej własnej. Może brzmi to egoistycznie, ale tak właśnie to wygląda. - Wstała. - Czy masz jakieś konkretne dowody na to, że Fletcher żyje? - zwróciła się do Luciena.

- Kilka - odrzekł.

- Ale nie powiesz mi, jakie?

Spojrzał na jej obute w sandały stopy.

- Nie sądzę, aby to miało teraz jakieś znaczenie.

- Chociaż jedna szczerza odpowiedź - Tesla ruszyła z powrotem na drugą stronę gruzów.

- Chyba już sobie pójdę. Możecie kontynuować. Jak go zobaczycie, pozdrówcie go ode mnie, dobrze?

- To nie jest żart! - zawołał za nią Edward.

Tych słów nie mogła puścić mimo uszu. Przystanęła i odwróciła się w jego stronę.

- Ależ oczywiście, że tak - mruknęła, - Przecież to wszystko nic innego jak jeden wielki, pieprzony żart.

# Rozdział V

## 1

Pomijając to spotkanie, wyprawa do Grove okazała się pomysłem chybionym. Tesla nie doznała objawienia, nie spotkała się z duchami (prawdziwymi czy wyimaginowanymi), co pomogłoby jej lepiej zrozumieć przeszłość. Chaos, w którym żyła, nie został przełamany.

Wróciła do Los Angeles, do swego mieszkania w West Hollywood, które opłacała przez cały pobyt w trasie. Spała w nim może ze dwadzieścia razy przez ostatnie pięć lat, ale było tanie jak barszcz, a właścicielka miała chyba nie wszystko w porządku z głową, bo cieszyła się, że jedna z jej lokatorek (mimo iż rzadko widywana) jest prawdziwą scenarzystką. W tej sytuacji Tesla zatrzymała mieszkanie, nazywając je, aczkolwiek ironicznie, swoim domem. Prawdę mówiąc, miała z nim dość mroczne i ponure skojarzenia, chociaż tej nocy, kiedy zasiadła przed telewizorem, aby zjeść tofuburgera i obejrzeć wiadomości, cieszyła się, że przebywa w znajomym miejscu. Minęło kilka tygodni odkąd interesowała się tym, co się dzieje na świecie, ale nie, nic specjalnie się nie zmieniło. Tu wojna, tam plaga głodu; wypadek na autostradzie, wypadek w metrze. I jak zawsze ludzie kręcili głowami, zarówno świadkowie jak dygnitarze, powtarzając, że ta tragedia w ogóle nie powinna się była wydarzyć. Po dziesięciu minutach znudzona wyłączyła telewizor.

*Czy to byłoby takie złe?... szepnął Raul.*

- Co byłoby takie złe? - burknęła, wlepiając wzrok w czarny ekran.

*Mieć mesjasza.*

- Naprawdę uważasz, że Fletcher zmartwychwstał?

*Wydaje mi się, że może on w ogóle nie umarł.*

To było jakieś rozwiązanie, skądinąd całkiem prawdopodobne; może scena śmierci Fletchera w Palomo Grove stanowiła jedynie część jakiegoś większego schematu, była sposobem na „zniknięcie” na kilka lat, dopóki nie będzie gotowy, by stawić czoło Nuncjo i jego konsekwencjom.

- Dlaczego teraz? - zastanawiała się głośno.

*Spytaj Grillo - zaproponował Raul.*

- Czy muszę?

Grillo zachowywał się dziwnie, kiedy ostatnio do niego dzwoniła: był dziwnie oschły,

bezosobowy i opryskliwy. Kiedy rozmawiali jakieś pięć czy sześć tygodni temu, miała wrażenie, jakby był na twardych narkotykach, jego głos brzmiał diabło dziwnie. O mało nie wybrała się do Nebraski, żeby go sprawdzić, ale była dostatecznie mocno wystraszona bez wchodzenia do jego mieszkania. Raul miał rację; jeżeli ktokolwiek wiedział, co się działo w miejscach, o których nigdy nie wspomniano w wieczornych wiadomościach, to właśnie Grillo. Niechętnie zadzwoniła do niego. Był w lepszym nastroju niż ostatnio, choć wydawał się zmęczony. Przeszła do rzeczy - powiedziała mu o powrocie do Grove i spotkaniu z dziwną trójką.

- Kate Farrell, co? - spytał Grillo.

- Znasz ją?

- Była matką jednej ze Stowarzyszenia Dziewic, Arleen Farrell. Oszalała.

- Matka czy córka?

- Córka. Zmarła w zakładzie dla obłąkanych. Zagłodziła się na śmierć.

To zabrzmiało jak typowa relacja Nathana Grilla, do którego Tesla zdążyła już przywyknąć. Krótkie, rzeczowe przedstawienie faktów, okraszone minimalną dozą sentymentów. Przed Palomo Grove był dziennikarzem. Miał nosa do wyborczych historii.

- Co, u licha, Kate Farrell robi w Palomo Grove? - spytał.

Wyjaśniła mu najlepiej, jak umiała. Opowiedziała o kręgu miseczek z kadzidełkami, rozstawionych wokół miejsca, gdzie zmarł (lub w każdym razie nader przekonująco odegrał własną śmierć) Fletcher, o objawieniach, o rzekomym proctwie i prorokach.

- Słyszałeś coś o tym? - zapytała na koniec.

Nastąpiła chwila ciszy. I nagle odpowiedział:

- Pewnie.

- Słyszałeś?

- Wiesz, że jeżeli o czymś się mówi, zwykle coś o tym wiem.

To nie były czcze przechwałki. W Omaha, mieście zbudowanym na amerykańskich Rozstajach Grillo zaczął gromadzić i weryfikować wszelkie informacje, które nawet pośrednio były związane z wypadkami w Palomo Grove. W ciągu roku zdobył sobie szacunek i zaufanie wśród szerokich kręgów ludzi, począwszy od fizyków atomowych, poprzez zwyczajnych gliniarzy, polityków, po kapłanów, którzy wszyscy bez wyjątku mieli jedną wspólną cechę - ich życie zostało naznaczone przez tajemnicze, przerażające wręcz siły w najróżniejszy sposób, lecz o szczegółach owych doświadczeń ludzie ci nie chcieli rozmawiać ze swymi sąsiadami, znajomymi ani krewnymi.

W kręgach, gdzie schodzili się ludzie, którzy za sprawą tego, w co wierzyli i czego

doświadczyli, zostali zepchnięci na margines, bardzo szybko rozeszły się pewne plotki, pogłoski o niejakim Grillo, który postrzegał rzeczy takimi, jakimi były i chciał dowiedzieć się od innych o tym, co stało się ich udziałem; o człowieku, który łączył poszczególne elementy układanki, jeden po drugim, by uzyskać pełen jej obraz.

To właśnie ta ambicja (praktyczna czy nie) sprawiła, że po wydarzeniach w Grove, Grillo nie stracił kontaktu z Teslą. Mimo że ona sporo podróżowała, a on rzadko opuszczał swe mieszkanie, oboje byli zaangażowani w poszukiwanie tego samego, czyli związków. Tesla nie znalazła ich w Amerykach - panował tu tylko chaos - i wątpiła, aby Grillovi bardziej sprzyjało szczęście; wciąż jednak łączyły ich poszukiwania. Stale zdumiewała ją jego umiejętność łączenia dwóch z pozoru nie związanych ze sobą informacji i wyciągania na tej podstawie trzeciego, jeszcze bardziej prowokacyjnego wniosku. Plotka z Boca Raton potwierdziła na przykład list samobójcy, znaleziony w Denver, a to z kolei udowodniało tezę o cudownym dziecku z New Jersey, mówiącym obcymi językami.

- A więc co słyszałeś?

- W ciągu ostatnich pięciu lat wielu ludzi mówiło, że widziało Fletchera - powiedział. - On jest jak Wielka Stopa albo Elvis. Nie ma miesiąca, żeby ktoś nie przysłał mi jego zdjęcia.

- Czy choć jedno z nich jest autentyczne?

- Nie wiem, do cholery. Myślałem że... - Umilkł na chwilę, jakby stracił wątek.

- Grillo?

- Taa?

- Co myślałeś?

- Nieważne - odparł z pewnym znużeniem.

- Przeciwnie, bardzo ważne.

Westchnął ciężko.

- Kiedyś sądziłem, że ważne jest, czy rzeczy są prawdziwe czy nie. Teraz nie jestem już tego pewien. - Znowu zamilkł. Tym razem nie ponaglała go, lecz zaczęła, aż sam zbierze myśli.

- Może wyimaginowani prorocy są ważniejsi niż te realne rzeczy. Przynajmniej nie krwawią, kiedy się ich krzyżuje.

Z jakiegoś powodu mocno go to rozbawiło; Tesla odczekała, aż minie mu atak śmiechu.

- Czy o to chodzi? - spytała, wyraźnie poirytowana. - Twoim zdaniem nie jest ważne, czy rzeczy są prawdziwe czy nie, toteż powinnam przestać się przejmować? Nie powinno mi zależeć?

- Ależ ja się przejmuję. Bardziej niż ci się wydaje. - Jego ton stał się nagle lodowaty.



- Co jest z tobą nie tak, Grillo? Co się z tobą dzieje, u licha?

- Daj temu spokój, Tes.

- Może powinnam do ciebie przyjechać...

- Nie!

- Dlaczego nie, do cholery?

- Bo ja... dobra, dość tego. - Westchnął. - Muszę kończyć - dodał. - Zadzwoń do mnie jutro. Zobaczą, czy uda mi się wygrzebać coś konstruktywnego o Fletcherze. Ale wiesz co, Tes, wydaje mi się, że już czas, abyśmy dorośli i przestali szukać tych pieprzonych wyjaśnień.

Zaczerpnęła tchu, by odpowiedzieć, ale połączenie zostało już przerwane. W przeszłości mieli zwyczaj kończyć rozmowę w połowie pożegnania - głupia gierka, ale zabawna. Powrót do cięjących lat albo do wątpliwości, jakie go wówczas nurtowały.

*Cóż, warto było spróbować, zauważył Raul.*

*Zamierzam się z nim spotkać, pomyślała Tesla.*

*Dopiero tu przyjechaliśmy, czy nie możemy spędzić w jednym miejscu choć kilku dni? Odpocząć trochę? Zrelaksować się?*

Otworzyła przesuwane drzwi i wyszła na balkon. To był istny raj dla podglądacza. Z miejsca, gdzie stała, mogła zajrzeć do pół tuzina pokojów i sypialni. Okna mieszkania naprzeciwko były otwarte na oścież, ludzie bawili się tam, dobiegły do niej śmiech i dźwięki muzyki. Nie знаła gospodarzy - wprowadzili się tu mniej więcej rok temu, po śmierci Rossa, który mieszkał tam wcześniej dobrych dziesięć lat. Pochłonęła go choroba, podobnie jak wielu innych w okolicy - zanim jeszcze Tesla wyruszyła na wędrowną. A przyjęcie trwało dalej, śmiech nie cichł ani na chwilę.

*Może masz rację, pomyślała do Raula, może już czas, abym...* Usłyszała pukanie do drzwi. Czyżby ktoś zauważył ją nasłuchującą na balkonie i przyszedł, by zaproponować przyłączenie się do zabawy?

- Kto tam? - zawołała, przechodząc przez pokój.

Głos zza drzwi nie był głośniejszy niż szept:

- Lucien - usłyszała.

Przyszedł bez Kate Farrell i jej koleś, wszechwiedzącego Eddie'ego; powiedział im, że zanim przyłączy się do wspólnych poszukiwań Fletchera, chciałby odnaleźć w L.A. jakichś

znajomych.

- Dokąd pojechała Kate? - spytała Tesla.

- Do Oregonu.

- A co jest w Oregonie?

Lucien wypił wódkę, którą poczęstowała go Tesla, i wydawało się, że jest lekko zażenowany.

- Nie wiem, czy powinienem ci to mówić - mruknął - ale mam wrażenie, że dzieje się dużo więcej, aniżeli Kate się wydaje. Mówi o Fletcherze, jakby uważała, że on zna wszystkie odpowiedzi...

- Fletcher jest w Oregonie?

Lucien pokiwał głową.

- Skąd wiecie?

- Kate ma duchowego przewodnika. Nazywa się Friederika. Zaczęła przez nią przemawiać, odkąd Kate straciła córkę. Kate właśnie miała się z nią połączyć, kiedy przysłaś. I złapała trop.

- Rozumiem.

- Wielu ludziom wciąż trudno uwierzyć...

- Wierzyłam w dużo dziwniejsze rzeczy - odrzekła Tesla. - Czy Friederika powiedziała coś konkretnego, czy po prostu, że on jest gdzieś w Oregonie?

- Ależ nie. Jest bardzo konkretna.

- I pojechali go szukać?

- Właśnie. - Wziął głęboki oddech, dopił wódkę i oznajmił. - A ja przyjechałem po ciebie. - Spojrzał na nią wodnistymi oczami. - Czy źle zrobiłem?

Rzadko coś zbijało Tesłę z tropu, ale tym razem kompletnie ją zamurowało.

- Cholera - rzucił, krzywiąc się. - Myślałem, że może dzieje się coś... - Zamilkł i wzruszył ramionami.

- Może jeszcze jedną wódkę - zaproponowała.

- Nie, lepiej już pójść.

- Zostań - powiedziała, chwytając go za ramię, nieco gwałtowniej niż zamierzała. - Chcę, żebyś wiedział, w co się pakujesz.

- Jestem gotowy.

- I strzel sobie jeszcze kielicha. Przyda ci się.

Powiedziała mu wszystko. A przynajmniej wszystko, co jej otumaniony oparami alkoholu mózg był w stanie pamiętać. O tym, jak wybrała się do Palomo Grove, ponieważ

był tam Grillo, który pisał reportaż, i o tym, jak okoliczności wybrały ją - wbrew jej woli - na zabójczynię lub wyzwolicielkę Fletchera - a może jedno i drugie. O tym, jak po śmierci Fletchera wybrała się do jego laboratorium w Misji Świętej Katarzyny, aby zniszczyć resztki Nuncjo, gdzie postrzelił ją syn dżaffa, Tommy-Ray. O tym, jak została ocalona i przemieniona za sprawą płynu, który zamierzała unicestwić, a potem wróciła do Grove z Raulem, zahaczając o mieszkanie, w którym się obecnie znajdowali, by stwierdzić, że o mało nie zostało zniszczone.

Tu przerwała. Dotarcie do tego miejsca zajęło jej trzy godziny i wciąż miała do opowiedzenia najbardziej problematyczną część tej historii. Odgłosy prywatki naprzeciwko mocno przycichły, rockandrollowe rytmy zastąpiły ckiwe wolno tańczone ballady. Od biedy można je było uznać za adekwatny podkład muzyczny do tego, co Tesla miała do powiedzenia

- Naturalnie wiesz o Quiddity - powiedziała.

- Wiem to, co powiedziała Friederika.

- To znaczy?

- Że istnieje coś jakby morze snów i odwiedzamy je w swoim życiu trzykrotnie. Edward mówi, że to metafora...

- Pieprzyć metaforę - ucięła Tesla - Ono istnieje.

- Byłaś tam?

- Nie. Ale znam ludzi, którzy tam byli. Widziałam jak dżaff wrywa dziurę między tym światem a Quiddity; uczynił to gołymi rękami.

To nie do końca prawda Nie było jej wtedy w pokoju, kiedy dżaff tego dokonał. Ta wersja brzmiała jednak bardziej prawdopodobnie.

- I jak to wyglądało?

- Powiedzmy, że nie chciałabym przeżyć tego ponownie.

Lucien nalał sobie jeszcze jedną wódkę. Przez ostatnie kilka minut stał się dziwnie niespokojny, jego twarz poszarzała i pokryła się kropelkami potu - skoro jednak potrzebował alkoholu, aby przełknąć to, co mu mówiła, czyż mogła mu zabronić?

- Kto w takim razie zamknął drzwi? - spytał Lucien.

- Nieważne - odparła. - Drzwi się otwierają i zamykają. Musisz dowiedzieć się o tym, co jest po drugiej stronie.

- Już mówiłaś. Quiddity.

- Poza Quiddity - dopowiedziała, zdając sobie sprawę, że w tych słowach czaiło się wyraźne zagrożenie. Spojrzał na nią zielonymi, obecnie przekrwionymi oczyma, oddychając

niewiele zbyt szybko przez otwarte usta.

- Może nie chcesz tego wiedzieć? - spytała.
- Chcę - zapewnił beznamiętnie.
- Nazywają ich Iad Uroboros.
- Uroboros - powtórzył, wymawiając to słowo niemal z rozmarzeniem.
- Widziałaś te istoty?
- Z daleka.
- Są podobne do nas? - zapytał.
- Ani trochę.
- Wobec tego, czym są?

Przypomniała sobie bez trudu słowa, których użył dżaff, aby opisać Iadów, i powtórzyła je teraz Lucienowi, choć wiedziała, że niewiele to pomoże.

- Góry, pchły - powiedziała. - Góry, pchły.
- Wybacz... - Lucien poderwał się nagle.
- Chcesz...?
- Chyba będę...

Pobiegł do łazienki, unosząc dłoń do ust. Tesla podniosła się, by mu pomóc, ale machnął ręką, że sobie poradzi i zniknąwszy w łazience, zamknął za sobą drzwi. Nastąpiła chwila ciszy, a potem dały się słyszeć odgłosy strugi wymiocin wlewającej się do sedesu.

Nie podeszła bliżej. Woń torsji sprawiła, że jej również żołądek podszedł do gardła.

Spojrzała na szklankę z wódką, uznała że dość już wypła i wyszła na balkon. Nie nosiła zegarka (złoty pies kazał jej zakopać jej imitację rolexa na pustyni), toteż mogła tylko się domyślać, która jest godzina. Na pewno dobrze po północy, w pół do drugiej, może druga. Było trochę chłodno, ale powietrze przesyciła słodkawa woń kwitnącego jaśminu. Jutro będzie miała potwornego kaca, ale co tam, do cholery... Podobała jej się ta historia, opowiadała ją tyleż dla Luciena, ile dla siebie.

*On ma na ciebie ochotę* - odezwał Raul.

- Myślałam, że śpisz.

*Balem się, że zrobisz coś głupiego.*

- Na przykład, że będę się z nim pieprzyła? - Spojrzała w głąb mieszkania. Drzwi łazienki wciąż były zamknięte. - Wątpię, abym tej nocy mogła liczyć na coś więcej...

*Tej nocy ani żadnej innej.*

- Nie bądź tego taki pewien.

*Mieliśmy umowę* - przypomniał jej Raul. - *Dopóki jestem tu z tobą, nici z seksu.*

*Zgodziliśmy się na to oboje. Nie jestem homo.*

- To moje ciało - przypomniała mu Tesla.

*Oczywiście, gdybyś chciała przespać się z kobietą, prawdopodobnie mógłbym naciągnąć trochę warunki umowy...*

- Równie dobrze mógłbyś spojrzeć na to z innej perspektywy - odrzekła Tesla. - Mam wrażenie, że okres mego celibatu dobiega końca.

*Nie rób tego.*

- Na miłość boską, Raul, to tylko seks.

*Mówię poważnie.*

- Jeżeli mi to spieprzysz - ostrzegła - pożałujesz, że kiedykolwiek dostałeś się do mojej głowy. Przysięgam.

Raul milczał.

- Tak lepiej - powiedziała Tesla i wróciła do mieszkania. Z łazienki dobiegał szum prysznic.

- Jak tam, nic ci nie jest? - zawołała, ale szum wody zagłuszył jej słowa. Pozwoliła mu doprowadzić się do porządku i ruszyła do kuchni, aby oszukać czymś głód. Ssała ją w żołądku. Znalazła jedynie pudełko Shredded Wheat, sprzed roku, ale płatki były lepsze niż nic. Jadła je i czekała. Kilka minut później wróciła pod drzwi łazienki, zapukała i zawołała: - Lucien? Nic ci nie jest?

Wciąż bez odpowiedzi. Nacisnęła klamkę. Drzwi były otwarte, pomieszczenie wypełniała para tak gęsta, że Tesla prawie nic nie widziała.

Na podłodze leżało jego ubranie, zasłona prysznicowa była zaciągnięta. Znów zawołała Luciena i tym razem również nie doczekała się odpowiedzi. Zaniepokojona - bo przecież musiał ją słyszeć, mimo płynącej wody - szarpnęła zasłonę. Leżał w wannie nagi, woda rozlewała mu się po brzuchu, oczy miał zamknięte, usta rozchylone.

*To ci dopiero kochanek* - rzekł Raul.

- Stul dziób - warknęła, przykucając obok wanny i podnosząc Luciena do pozycji siedzącej. Zakasłał, wypluwając sporą porcję rozwodnionych wymiocin.

*Pięknie!*

- Ostrzegam cię, małpo...

„Małpa” było zakazanym słowem - zawsze wpadał przy nim w szal.

*Nie nazywaj mnie małpą!*

Nie odpowiedziała, by nie dać mu satysfakcji, więc zamilkł. Za każdym razem działało to idealnie, niczym zaklęcie.

Zakręciła prysznic, po czym delikatnie, poklepując Luciena po policzkach, zmusiła go, by otworzył oczy. Spojrzał na nią oszołomiony, jakby zaspany, mamrocząc pod nosem, że głupio się czuje.

- Nie będziesz już rzygał? - spytała.

Pokręcił głową, że nie, toteż wzięła czysty ręcznik i na tyle, na ile była w stanie, wytarła go, gdy leżał bezwładnie na dnie wanny. Nie wyglądał źle. Może trochę zbyt chudy, ale mięsisty tam, gdzie trzeba. Choć był bliski śpiączki, jego członek stwardniał, kiedy go wycierała i nie mogła się oprzeć, by nie pogłaskać go kilkakrotnie, posuwistymi ruchami, dzięki czemu osiągnął pełną erekcję. To było piękne. Gdyby tylko wiedział, jak go użyć, mógłby być całkiem niezły w łóżku.

Wytarła Luciena, jak mogła najlepiej, a ponieważ nie miała siły, by wyciągnąć mężczyznę z wanny, postanowiła zostawić go tam, by się przespał.

Przyniosła poduszkę i koc i otuliła go troskliwie. Kiedy przykrywała Luciena kocem, wykrztusił:

- A co z jutrzejszym dniem?

- To znaczy? - spytała.

- Czy... jutro... moglibyśmy to zrobić?

- Cóż, to zależy - odparła. - Myślałam o wyjeździe do Oregonu...

- Oregonu... - bąknął.

- Właśnie.

- Fletcher...

- Właśnie.

Nachyliła się nad nim i wyszeptała mu nieomal wprost do ucha:

- On tam jest, prawda? W... w...

- Everville.

- Everville - powtórzyła półgłosem.

*Czy ty nie masz wstydu?* - wymamrotał Raul.

Roześmiała się, a Lucien na moment otworzył oczy.

- Śpij - powiedziała. - Jutro ruszamy w podróż.

Mimo iż był pijany, to stwierdzenie wyraźnie go ucieszyło.

Uśmiechnął się jeszcze, gdy zgasiła światło, pozostawiając go sam na sam z sennymi marzeniami.

# Rozdział VI

## 1

Grillo nazywał zebrane w ciągu pięciu lat kompendium wiedzy Rafą, po części dlatego, że tak jak koral powiększało się ono poprzez ciągłe, nieuchwytne narastanie (zwykle martwej materii) po części zaś, ponieważ morskie porównanie wydawało się adekwatne dla informacji dotyczących tajemnic morza snów. Ostatnio jednak ta nazwa wydawała mu się ironiczna, jak gdyby kpila zeń. Nie czuł się jak właściciel i strażnik Rasy, lecz raczej jak jej więzień.

Rafa mieściła się w banku pamięci czterech połączonych komputerów, przekazanych na rzecz osobliwej sprawy Grillowi przez pewnego człowieka w Bostonie, który w zamian za swą szczodrość żądał tylko jednego - kiedy Grillo zdoła w końcu przekonać komputery, by zestawily wszystkie informacje i wypuły z siebie odpowiedź na najskrytsze tajemnice Ameryki, chciał mieć pierwszeństwo do rozpowszechniania tych rewelacji, jak kraj długi i szeroki. Grillo przystał na ów warunek. Kiedy otrzymał ów dar, wierzył nawet, że taka chwila może kiedyś nadejść. Teraz utracił tę wiarę. Strzępki i puste panczerzyki, które udało mu się zebrać i które badał całymi latami, nie zawierały prawdy o tajemnicach wszechświata. Były bezwartościowym śmieciem, pozbawionym sensu i znaczenia, a już wkrótce jego życie również utraci znaczenie i sens.

Jego ciało, które tak dobrze mu służyło przez czterdzieści trzy lata, w ciągu ostatnich sześciu miesięcy straszliwie się zmieniło. Początkowo ignorował upuszczanie kubków z kawą, zaś bolący kręgosłup i zamglony wzrok składał na karb przepracowania. Po pewnym czasie ból stał się jednak nie do zniesienia i Grillo wybrał się do lekarza, aby coś na to zaradzić. Dostał środki przeciwbólowe i dużo, dużo więcej - wizyty u specjalisty, narastającą paranoję, a w końcu usłyszał hiobową wieść.

- Masz stwardnienie rozsiane, Nathanie.

Przymknął na chwilę oczy, nie chcąc widzieć przepelnionego współczuciem oblicza przed sobą, ale ciemność pod powiekami była jeszcze gorsza. Ten mrok był niczym loch i cuchnął jego własnym smrodem.

- To nie wyrok śmierci - wyjaśnił lekarz. - Wielu ludzi cierpiących na tę chorobę prowadzi długie, owocne życie. - Nie widzę powodu, abyś i ty nie miał się do nich zaliczać.

- Jak długo? - zapytał.

- Nie chciałbym niczego prorokować. U każdego człowieka ta choroba rozwija się inaczej. Może nawet trzydzieści lat...

Siedząc w małym, miłym gabinecie, czuł, że nie ma przed sobą trzech dekad życia. Nic z tych rzeczy. Choroba, która go trawiła, miała zęby i pochwyciwszy go będzie szarpać i tarmosić, aż go zabije.

Mimo smutnych okoliczności, nie utracił żądy informacji. Skrzętnie poznał naturę zżerającej go dolegliwości, nie w nadziei, że ją pokona, lecz po prostu, aby wiedzieć, co dzieje się wewnątrz jego ciała. Wyglądało na to, że włókna nerwowe w jego mózgu i kręgosłupie były obdzierane ze swej powłoki. Mimo iż wielu naukowców starało się odkryć, dlaczego tak się dzieje, nie sformułowano żadnych konkretnych i jasnych odpowiedzi. Jego choroba była tajemnicą równie nie zbadaną, jak inne zawarte w Rafie i dużo bardziej oczywistą. Czasami, kiedy Nathan siedział przed monitorami, wpatrując się w przychodzące informacje, wyobrażał sobie bestię S.R. krążącą w jego ciele, pożerającą je kawałek po kawałku, nerw po nerwie. Słowa na ekranie, relacje z obserwacji i odwiedzin zaczynały jawić się mu jako jeszcze jedna manifestacja choroby. Zdrowa psycha nie potrzebowała takich fantazji. Ona żyła w świecie tego, co możliwe i była zadowolona. Czasami, w napadzie rozpacz, wyłączał ekran i bawił się myślą o odłączeniu całego systemu; pozostawieniu opowiadających, by kontynuowali swe historie w ciszy i ciemności. Zawsze jednak po pewnym czasie wracał na fotel; czuł się uzależniony. Z poczuciem winy ponownie włączał monitory, by dowiedzieć się, jakie osobliwości zarejestrowała Rafa pod jego nieobecność.

Wczesną wiosną bestia S.R. stała się nagle ambitna; w przeciągu miesiąca Nathan poczuł, jakby postarzał się o dwadzieścia lat. Przepisano mu silniejsze leki, które skrzętnie przyjmował, lekarza zaś, z jego poradami na temat postawy wobec postępującej choroby, równie skrzętnie ignorował. Nigdy nie usiadł na wózku inwalidzkim, postanowił. Po prostu pewnej nocy przedawkuje i odpłynie w niebyt - tak będzie łatwiej. Nie miał żony, w której znalazłby oparcie, ani dzieci, których dorastanie mógłby obserwować. Miał tylko monitory i historie, które opowiadały - i będą je snuć aż do końca świata, z nim czy też bez niego.

Aż tu nagle na początku czerwca stało się coś dziwnego. Nastąpiła nagła eskalacja, wzrost liczby raportów, systemy pracowały każdego dnia po dwadzieścia cztery godziny na dobę, ludzie za wszelką cenę chcieli podzielić się z kimś swymi sekretami. Ten napływ wiadomości był dość chaotyczny, ale skala tego zjawiska kazała mu zastanowić się, czy owo szaleństwo nie dążyło do osiągnięcia masy krytycznej.

Mniej więcej w tym czasie Tesla zadzwoniła doń z Nowego Meksyku i Grillo



powiedział jej, co się działo. Była w jednym ze swych posępnych nastrojów (podejrzał, że to od nadmiaru peyotlu) i niezbyt ją owe wieści zainteresowały. Kiedy zadzwonił do Nowego Jorku do Harry'ego D'Amoura, reakcja była całkiem inna. D'Amour, pracujący niekiedy jako detektyw, którego sprawy nieodmienne stawały się wyprawami w krainę zjawisk paranormalnych, był żądny informacji. Przez trzy tygodnie rozmawiali co najmniej dwa razy dziennie, jako że D'Amour domagał się dokładnych relacji na temat wszystkiego, co miało związek z demonami i satanizmem, zwłaszcza jeśli pochodziło z terenu Nowego Jorku. Grillo uważał za absurdalną wiarę D'Amoura w przypisywane tym zjawiskom katolickie określenia, ale wypełnił jego żądanie. I, to fakt, istniało kilka raportów, które pasowały do powyższego kryterium. Dwa morderstwa z okaleczeniami zwłok w Bronxie (ofiary miały dłonie i stopy poprzybijane gwoździami), potrójne samobójstwo na konwencie w Brooklynie (D'Amour zajmował się już tą sprawą), jak również szereg pomniejszych osobliwości, o których nie mógł wiedzieć, a które potwierdzały wyraźnie pewne tezy.

D'Amour nie chciał, nawet ogólnikowo, wyjawić założeń owych tez, aż do ostatniej rozmowy z Nathanem. Wtedy to z powagą wyjaśnił, że ma powód, by wierzyć, że w Nowym Jorku uknuty został spisek w celu ponownego sprowadzenia na ziemię Antychrysta. Grillo nie zdołał ukryć do końca rozbawienia, jakie wzbudziło w nim to stwierdzenie.

- Nie podobają ci się niektóre słowa, prawda? - odrzekł D'Amour. - Jeżeli chcesz, mogę użyć innych określeń. Nazwij to Iadem. Albo Wrogiem. Równie dobrze możemy nazywać to Szatanem albo Diabłem.

Odtąd już więcej nie rozmawiali, mimo iż Grillo kilkakrotnie próbował skontaktować się z detektywem. Każdego dnia napływały nowe raporty i wiele z nich dotyczyło aktów coraz większej i coraz okrutniejszej brutalności. Kilkakrotnie Grillo zastanawiał się, czy któreś z gnijących ciał znalezionych gdzieś na obrzeżach miasta nie należało do Harry'ego D'Amoura. Zastanawiał się również, jakim imieniem mógłby nazwać diabła, gdyby ten przybył, aby odnaleźć informatora D'Amoura tu, w Omaka. Może Stwardnienie Rozsiane.

Teraz do tego wszystkiego doszedł jeszcze niedawny telefon Tesli pytającej o raporty dotyczące obserwacji Fletchera, a ta wymiana zdań sprawiła, że czuł się tak pusty i wyeksploatowany psychicznie, że mało brakowało i zdecydowałby się właśnie wtedy na przedawkowanie leków. Dlaczego nie mógł znieść myśli, iż mogłaby do niego przyjechać? Ponieważ wyglądał teraz jak swój własny ojciec - nogi chude niczym patyki, włosy kruche,

rzadkie i posiwiiałe? Ponieważ obawiał się, że mogłaby odwrócić się od niego, że nie byłaby w stanie na niego spojrzeć? Nie zrobiłaby tego. Nawet w szalonym okresie (który w jej przypadku trwał dłużej niż przeciętnie) nie pozwoliła sobie nigdy na utratę kontroli nad łączącymi ich uczuciami.

Nie, bał się jej współczucia czy litości. Obawiał się, że spojrzawszy na niego mogłaby zapytać:

- Dlaczego nie pozwoliliśmy, aby to, co było między nami naprawdę, rozkwitło? Czemu nie radowaliśmy się tym, co było w naszych sercach, zamiast wszystko ukrywać? Bał się, że mogłaby powiedzieć, iż było już za późno na cokolwiek, mimo iż przecież doskonale o tym wiedział.

Raz jeszcze Rafa ocaliła Grilla przed popadnięciem w czarną rozpacz. Po telefonie Tesli na pewien czas oddał się rozmyśleniom, myślał o pigułkach, o swoich głupich błędach - potem zaś, kiedy był już zbyt zmęczony, ale zarazem zbyt poruszony, aby spać, wrócił na swój fotel przed monitorami, by sprawdzić, czy zarejestrował jakieś przekonujące raporty dotyczące Fletchera.

Ale to nie jego odnalazł. Przeszukując notatki zalogowane w ciągu ostatnich kilku tygodni, natknął się na historię, której dotychczas nie przeczytał. Pochodziła ze stałego i jak sądził, wiarygodnego źródła - od kobiety z Illinois, wykonującej zdjęcia z miejsc zbrodni dla miejscowego biura szeryfa. Miała huk potwornej roboty.

W końcu lipca została zaatakowana para młodych ludzi; kobietę, która była w siódmym miesiącu ciąży, napastnik zabił na miejscu i rozpruwszy jej brzuch, co nawiasem mówiąc uczynił bardzo wolno i z rozmysłem, na oczach jej rannego kochanka, wyjął z łona płód i zniknął z nim. Ojciec dziecka zmarł w dzień później, ale nim skonał, przekazał policji opis sprawcy i całego zdarzenia, które jednak nie znalazło się w prasie z uwagi na swą osobliwość, a które informatorka Grilla czuła się w obowiązku przekazać zainteresowanym. Umierający mężczyzna powiedział, że zabójca nie był sam. Twierdził, że otaczała go chmura kurzu „pełnego krzyków i twarzy”.

- Błagałem go - mówił - błagałem, by nie robił krzywdy Louise, ale powtarzał, że musi to zrobić, po prostu musi. Stwierdził, że jest Chłopcem Śmierci, a tak właśnie postępują Chłopcy Śmierci.

I to w zasadzie był cały raport. Przeczytawszy go, Grillo siedział przez pół godziny przed ekranem, tyleż zakłopotany, co zaintrygowany. Co wydarzyło się tam, w realnym świecie? Fletcher zginął w Pasażu Handlowym w Palomo Grove. Został skremowany, spalony żywcem, jego ciało i dusza zginęły w pożarze. Tommy-Ray McGuire, syn dzaffa,

Chłopiec Śmierci, zginął w kilka dni później w Nowym Meksyku, w miejscu zwanym Trinity. On również spłonął, lecz pochłonął go dużo potworniejszy ogień aniżeli ten, który spopielił Fletchera.

Obaj byli martwi, ich role w pogmatwanej historii ludzkości i morza snów dobiegły końca. A w każdym razie wszyscy tak właśnie przypuszczali. Czy to możliwe, aby wszyscy się mylili? Czyżby jakimś cudem udało się im uniknąć zagłady i powrócili, by podjąć przerwane dzieło? Jeżeli tak, można to było wyjaśnić w jeden tylko sposób. Obaj za życia zostali dotknięci działaniem Nuncjo. Być może informacja ewolucyjna była wspanialsza, niż się wszystkim wydawało, i umieściła ich daleko poza zasięgiem śmierci.

Wzdrygnął się, ośmielając się tylko o tym pomyśleć. Znaleźć się poza zasięgiem śmierci - to była obietnica, dla której warto żyć.

Zadzwonił do Kalifornii. W słuchawce rozległ się zaspany głos Tesli.

- Tes, to ja.

- Która godzina?

- Nieważne. Przeczesałem Rafę, szukając informacji o Fletcherze.

- Wiem, dokąd on zmierzał - odpowiedziała. - A przynajmniej tak mi się wydaje.

- Dokąd?

- W Oregonie jest miasto Everville. Czy masz w Rafie coś na jego temat?

- Nazwa nic mi nie mówi, ale to o niczym nie świadczy.

- Czemu więc dzwonisz? Jest środek pieprzonej nocy.

- Tommy-Ray...

- Co?

- Co słyszałaś o Tommym-Rayem?

- Nic. Zginął w Pętli.

- Czy aby na pewno?

Z drugiej strony dal się słyszeć cichy szep. Wreszcie Tesla odpowiedziała:

- Tak.

- Ale ty się wydostałaś. I Jo-Beth, i Howie...

- Co chcesz powiedzieć?

- Znalazłem w Rafie raport o zabójcy nazywającym siebie Chłopcem Śmierci...

- Grillo - mruknęła Tesla. - Budzisz mnie...

- Był otoczony chmurą kurzu. I ten kurz krzyczał.

Tesla wzięła długi oddech i z wolna wypuściła powietrze.

- Kiedy to było? - spytała półgłosem.

- Niecały miesiąc temu.
  - Co zrobił?
  - Zabił dwoje ludzi w Illinois. Kobiecie wyrwał z łona dziecko. Faceta zostawił ciężko rannego, żeby skonał.
  - Kompletna beztroska. Czy to jedyny raport?
  - Jedyny, na jaki natrafiłem, ale jeszcze poszukam.
  - Skontaktuję się z tobą w drodze do Oregonu...
  - Myślałem, że... - zaczął Grillo.
  - Powinieneś pomówić z Howie'em i Jo-Beth.
  - Ta-a. Zrobię to. Myślałem o Fletcherze.
  - Kiedy ostatni raz z nimi rozmawiałaś?
  - Kilka tygodni temu.
  - I? - dopytywała się Tesla.
  - Wszystko było u nich w porządku - odrzekł Grillo
  - Wiesz, że Tommy-Ray miał na nią chętkę. Są bliźniakami.
  - Wiem...
  - Jedno jajo, jedna dusza. Powiadam ci, miał bzika na jej punkcie...
  - Fletcher - rzekł Grillo.
  - Co z nim?
  - Jeżeli jest w tym Everville, przyjadę, aby się z nim zobaczyć.
  - Po co?
- Nastąpiła krótka chwila ciszy. Wreszcie Grillo odpowiedział.
- Po Nuncjo.
  - O czym ty mówisz? Nuncjo już nie ma. Zniszczyłam to, co zostało...
  - Musiał zostawić sobie jakiś zapas.
  - Przecież on sam kazał mi wszystko zniszczyć, na litość boską.
  - Nie. Jestem pewien, że zatrzymał choć odrobinę.
  - O co ci chodzi, u licha?
  - Powiem ci kiedy indziej. Znajdź Fletchera, a ja postaram się wyśledzić Tommy'ego-Raya.
  - Najpierw postaraj się trochę przespać. Masz okropnie zmieniony głos.
  - Ostatnio w ogóle nie śpiam, Tes. To strata czasu.

## Rozdział VII

Howie zaczął pracować przy samochodzie tuż po ósmej, zamierzając skończyć pracę, zanim słońce znajdzie się w zenicie i zrobi się za gorąco. To już piąte upalne lato, odkąd zamieszkali w Illinois i zdecydował, że ostatnie. Myślał, że powrót do stanu, gdzie się urodził i dorastał, będzie dlań pociechą i ukojeniem w tych niepewnych czasach. Pomylił się. Wszystko, co zrobił, przypominało mu, jak radykalnie zmieniło się jego życie w ciągu ostatniej połowy dekady i jak niewiele zmieniło się na lepsze.

Kiedy jednak tracił pogodę ducha - co zdarzało mu się dość często, odkąd w marcu utracił pracę - wystarczyło, by spojrzeć na Jo-Beth tulącą do siebie Amy, i jego nastrój zdecydowanie się poprawiał.

Minęło pięć lat odkąd po raz pierwszy ujrzał Jo-Beth w Palomo Grove; pięć lat, odkąd ich ojcowie stoczyli na ulicach tego miasta wojnę, aby nie dopuścić do połączenia ich obojga. Przez te lata mieszkali pod przybranym nazwiskiem na przedmieściu, gdzie nikt nie interesuje się twoim życiem, bo wszyscy już dawno przestali przejmować się nawet sobą. Na chodnikach wały się śmieci, samochody były brudne, a uśmiechy rzadko pojawiały się na ustach mieszkańców.

Nie było to życie, którego pragnął dla swojej żony i córeczki, niemniej D'Amour wyłożył im to w ten sposób: Jeżeli zamieszkają gdzieś pod swoim własnym nazwiskiem, jako państwo Katz i będą się z tym afiszować, zostaną zamordowani w przeciągu kilku miesięcy. Zbyt dużo wiedzieli o sekretnym życiu świata, by pozostawiono oboje przy życiu. Uciszą ich siły, które poprzysięgły bronić owego życia i czyniąc to, obwołają się bohaterami. To było pewne.

Dlatego właśnie ukryli się w Illinois, a imion Howie i Jo-Beth używali tylko za zamkniętymi drzwiami i przy zaciągniętych zasłonach. Jak dotąd owa sztuczka utrzymywała ich przy życiu. Takie postępowanie wszelako miało swoją cenę. Trudno było żyć w cieniu, nie snuć śmielszych planów na przyszłość i nie żywić zbyt wielkich nadziei. Co kilka miesięcy Howie kontaktował się z D'Amourem i pytał go o sens tego wszystkiego. Ile jeszcze musi minąć czasu, narzekał, zanim zapomną, kim jesteśmy, u licha, i znowu będziemy mogli jak dawniej cieszyć się życiem? D'Amour nie był wielkim dyplomatą i po pewnym czasie Howie zorientował się, że detektyw stara się nieco podkolorować prawdę - znaleźć jakiś sposób, by uchronić ich przed popadnięciem w czarną rozpacz.

Howie tymczasem coraz bardziej tracił cierpliwość. To już ostatnie lato, które spędzą w tej zapomnianej przez Boga dziurze, powtarzał sobie pocąc się pod maską; ostatnie lato, kiedy udaje kogoś, kim nie jest, aby uspokoić paranoję D'Amoura. Może faktycznie on i Jo-Beth odegrali ongiś jakąś rolę w dramacie, który rozegrał się przed pięcioma laty, lecz to niewątpliwie należało już do przeszłości.

Siły wykorzystane przez D'Amoura, by ich zastraszyć - owi zabójcy, którzy bez mrugnięcia okiem wymordowaliby ich we własnych łóżkach, mieli ważniejsze sprawy na głowie, niż ścigać dwoje ludzi, którym dawno temu zdarzyło się pluskać w falach Quiddity.

W domu zadzwonił telefon. Howie przerwał pracę i podniósł szmatkę, by wytrzeć rękę. Otarł sobie kłykcie do żywego i czuł mocne pieczenie. Poszał najbardziej zakrwawiony, kiedy na progu pojawiła się Jo-Beth i mrużąc oczy od słońca rzuciła:

- To do ciebie - by zaraz zniknąć w mrocznym wnętrzu domu.

Dzwonił Grillo.

- Co jest grane? - spytał Howie.

- Nic wielkiego - padła odpowiedź. - Dzwonię, aby sprawdzić czy u was wszystko w porządku.

- Amy przez większość nocy nie daje nam pospać, ale poza tym...

- Wciąż bez pracy?

- Wciąż szukam, ale...

- To trudne.

- Musimy się przeprowadzić, Nathanie. Wynieść się stąd i rozpocząć normalne życie.

- Obawiam się... że to niezbyt odpowiednia pora.

- Chyba idzie ku lepszemu.

- Nie mówię o ekonomii.

- To o czym? - Cisza. - Nathanie?

- Nie chcę was straszyć...

- Ale?

- To prawdopodobnie nic wielkiego.

- Wydusisz to z siebie w końcu, na Boga?

- Chodzi o Tommy'ego-Raya.

- Grillo, on nie żyje.

- Wiem, że wszyscy tak sądziliśmy.

Howie zniżył głos do szeptu.

- Co chcesz mi powiedzieć, do cholery?
- Właściwie nie mamy jeszcze pewności.
- My?
- Tesla i ja.
- Myślałem, że ona zniknęła.
- Tylko na pewien czas. Teraz jest w drodze do Oregonu.
- Mów dalej.
- Twierdzi, że jest tam twój ojciec. - Howie był o jedno uderzenie serca od rzucaenia słuchawki na widelki.

- Wiem, jak to brzmi - zapewnił natychmiast Grillo.  
- Brzmi jak jeden wielki szajs i tyle - skonstatował Howie.  
- Mnie też trudno było uwierzyć. Ale mamy dziwne czasy, Howie.  
- Nie dla nas, na pewno nie - odrzekł Howie. - Dla nas to po prostu zmarnowane lata, rozumiesz? Marnujemy życie, czekając na kogoś, kto powie nam coś sensownego, a ty dzwonisz i... - Nie szeptął już, lecz krzyczał: - ...dowiaduję się od ciebie, że mój ojciec, który nie żyje, Grillo, on jest martwy, krąży gdzieś w okolicy Oregonu, a Tommy-Ray...

Usłyszał, jak stojąca za nim Jo-Beth pochlipuje cichutko.

- Gównno! - warknął. - Nie mieszaj się w nasze życie, Grillo. I przekaz to samo D'Amourowi, jasne? Skończyliśmy z tym gównem raz na zawsze! Rzucił słuchawkę i odwrócił się do Jo-Beth. Stała w drzwiach z tym stroskanym wyrazem twarzy, który ostatnio tak często u niej widział.

- Za kogo oni nas, kurwa, mają? - mruknął, zakrywając oczy dłonią, gdyż strasznie go piekły.

- Powiedziałeś: Tommy-Ray.
- To tylko...
- O co chodzi z Tommym-Rayem?
- Gównno i nic więcej. Grillo pieprzy bzdury.

Spojrzał na nią.

- To nic takiego, słonko - próbował ją uspokoić.
- Chcę wiedzieć, co mówił Grillo - rzuciła ostro Jo-Beth.

Podejrzewał, że jeżeli nie powie, żona będzie martwić się tym jeszcze bardziej. W tej sytuacji przedstawił jej skrót tego, co usłyszał przed chwilą.

- To wszystko? - spytała, kiedy skończył.
- Wszystko - mruknął. - Powiedziałem ci, że to nic takiego.

Skinęła głową, wzruszyła ramionami i odwróciła się.

- To wszystko się zmieni, słonko - dodał. - Przrzekam.

Chciał wstać i podejść do niej, wziąć ją w ramiona i tulić, aż stopi się z nim w jedno. Tyle razy w przeszłości kończyli kłótnię spleceni ramionami. Ale teraz już nie. Teraz, kiedy odwróciła się od niego, trzymał się na dystans, bał się odrzucenia. Nie wiedział, skąd ani dlaczego wzięły się te jego wątpliwości, czy odczytał w jej oczach subtelny sygnał nakazujący mu trzymać się z daleka? Tak czy inaczej sygnał ten był zbyt silny, aby mógł go przezwyciężyć - albo może raczej on, Howie, okazał się za słaby.

- Wszystko popieprzone - wymamrotał do siebie, unosząc raz jeszcze obie dłonie do twarzy.

Słowa Grillo krążyły w mroku.

„Mamy dziwne czasy...”

Howie zdołał je wtedy odeprzeć, niemniej to była prawda. Niezależnie, czy Fletcher był w Oregonie czy też nie, czy Tommy-Ray żył czy też nie, kiedy mężczyzna nie może usnąć w ramionach własnej żony, czasy musiały być naprawdę osobliwe.

Zanim znów wziął się do pracy przy samochodzie, wszedł na górę, by spojrzeć na Amy. Przez ostatnich kilka dni chorowała - swego pierwszego lata na tej planecie przeziębila się - i leżała w łóżeczku wyczerpana, z rączkami rozrzuconymi szeroko i przekrzywioną na bok główką. Wyjął z pudełka przy łóżeczku chusteczkę higieniczną i starł kropelkę śliny z jej podbródka, tak delikatnym ruchem, żeby nie obudzić córeczki. Mimo to, nawet śpiąc wiedziała, że tato był przy niej - a przynajmniej wierzył, że tak jest. Na jej usteczkach pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiech, a na policzkach dołeczki.

Pochylił się nad łóżeczkiem i spojrział na córeczkę. Zrobiło mu się błogo na duszy. Ojcostwo spadło nań tak niespodziewanie - mimo iż często rozmawiali o dzieciach, postanowili zaczekać, aż poprawi się ich sytuacja - niemniej ani przez chwilę nie żalowali, że, niejako przypadkiem, Amy pojawiła się w ich życiu. Była darem, prostym znakiem dobra w Stworzeniu. Cała magia świata - ani ta, którą władał jego ojciec, ani należąca do dzaffa, ani wszelka tajemna moc, o której mówił D'Amour - nie były warte funta kłaków w porównaniu z tym prostym cudem.

Ta chwila spędzona przy swej śpiącej królewnie znacznie Howiego ożywiła. Kiedy ponownie wyszedł z domu w słoneczny skwar, problemy ze szwankującym wozem wydały mu się trywialne i błahe, toteż postanowił natychmiast je rozwiązać. W kilka minut po ponownym rozpoczęciu pracy zerwał się lekki wietrzyk; chłodne poddmuchy omiotły spoconą



twarz Howiego. Podniósł się na chwilę znad maski i zaczerpnął głęboko tchu. Wiatr niósł ze sobą zapach zieleni spoza szarych, brudnych ulic. Już wkrótce tam uciekną - obiecał sobie - i życie stanie się naprawdę dobre i wspaniałe.

Jo-Beth krojąca w kuchni marchewkę przerwała pracę, gdyż widząc, jak wiatr tarłosi zaniedbaną kępę krzewów na podwórku, przypomniała sobie inne podwórze i usłyszała głos Tommy'ego-Raya, wołającego do niej z przeszłości. Tamtej nocy w Grove było ciemno, ale pamiętała wszystkie szczegóły nader wyraźnie: kurz, drzewa, migoczące i wirujące gwiazdy, wszystko to przepełnione było znaczeniem.

- Jo-Beth! - zawołał Tommy-Ray. - Coś cudownego!

- Co? - zapytała.

- Na zewnątrz, chodź ze mną.

Początkowo się opierała. Tommy-Ray bywał niekiedy gwałtowny i gdy ją szarpnął, mocno się zaniepokoił.

- Nie skrzywdzę cię - powiedział. - Przecież wiesz.

Wiedziała. Mimo iż nieprzewidywalny, nigdy nie okazał jej niczego więcej prócz miłości.

- Odczuwamy wszystko wspólnie - rzekł do niej. To chyba prawda, od początku dzielili wspólnie wszystkie uczucia.

- No to chodź - rzucił, ujmując ją za rękę.

Poszła z nim na podwórze, gdzie drzewa szalały na tle wirującego nieba. W jej głowie zaś rozległ się szept, głos, na który czekała przez siedemnaście lat, choć nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Jo-Beth - powiedziało to. - Jestem dżaffem. Twoim ojcem.

I wtedy się pojawił, wyszedł spomiędzy drzew, a ona przypomniała sobie, że wyglądał jak z obrazka z maminej Biblii. Jak prorok ze Starego Testamentu, brodaty i surowy. Był bez wątpienia mędrce, na swój przeraźliwy sposób. Niewątpliwie gdyby tylko mogła z nim porozmawiać i nauczyć się czegoś, nie żyłaby teraz w grobie, nabierając ostrożnie powietrza, z obawy, by nie utracić tej resztki zdrowych zmysłów, jaka jeszcze jej pozostała. Ale została z nim rozdzielona, tak jak rozdzielono ją z Tommym-Rayem i znalazła się w ramionach wroga.

Ten wróg, ten Howie Katz, był dobrym człowiekiem, dobrym, kochającym człowiekiem. A kiedy spali razem po raz pierwszy, oboje śnili o Quiddity, co oznaczało, że był miłością jej życia. I nie doświadczy już silniejszego uczucia. Istniały wszelako doznania, które sięgały głębiej aniżeli odnaleziona przez nich miłość. Były moce, które kształtowały duszę, zanim jeszcze przychodziła ona na świat i nic nie mogło temu zaprzeczyć. Mimo że

był kochającym wrogiem, mimo swej dobroci i prawości, zawsze pozostanie wrogiem.

Początkowo nie zdawała sobie z tego sprawy. Sądziła, że jej niepokój zniknie, podobnie jak odchodziły w cień urazy związane z Grove, a ona uczyła się nowej moralności. Ale to wbrew wszystkiemu narastało. Zaczęła śnić o Tommym-Rayu i świetle zalewającym jego złotą twarz niczym syrop. Czasem, popołudniami, kiedy była najbardziej zmęczona, miała wrażenie, że słyszy głos swego ojca i niesłyszalnym szeptem wypowiadała wówczas to same pytanie, które zadała mu na podwórzu przed domem mamy.

- Dlaczego tu przyszedłeś? Po tylu latach?

- Podejdz bliżej - odpowiedział. - Powiem ci...

Ale ona nie wiedziała, jak ma się zbliżyć, jak przekroczyć dzielącą ich otchłań śmierci i czasu.

I nagle, ni stąd, ni zowąd, pojawiła się nadzieja. Czasami Jo-Beth przypominała sobie bardzo wyraźnie, skąd wzięło się w niej to uczucie i w tym okresie musiała ukrywać się przed Howie'em, aby nie dostrzegł na jej twarzy oznak sekretnej wiedzy.

Innym razem - tak jak dziś, kiedy wiedziała, że cierpiał i jej serce otwierało się dlań podobnie jak na samym początku - wspomnienie stawało się krępujące. Jej myśli stawały się chaotyczne i całymi godzinami wyglądała przez okno lub obserwowała niebo, usiłując wychwycić jakąś ulotną sposobność.

Nieważne, mówiła sobie. To wróci. Do tego czasu będzie kroić marchewkę, zmywać, opiekować się małą i...

Wiatr rzucił na okno jakiś strzęp papieru, który zawisł na chwilę na szybie, trzepocząc niczym jednoskrzydły ptak. Drugi podmuch porwał strzępek w dal.

Ona również już wkrótce odejdzie, z taką samą łatwością. To była część obietnicy. Zostanie uniesiona, hen, w dal, do miejsca, gdzie - jak powiedział jej ojciec - czekały na nią sekrety domagające się ujawnienia i gdzie nie znajdzie jej nigdy kochający wróg.

## Rozdział VIII

### 1

Everville wstało wcześniej w ten czwartkowy ranek, choć ułożyło się na spoczynek później niż zwykle poprzedniej nocy. Trzeba było wywiesić flagi, umyć okna, przystrzyc trawniki i zamieść ulice. Tego dnia nikt nie będzie się lenił. W Izbie Handlowej Dorothy Bullard niepokoiła się chmurami, które pojawiły się tej nocy.

Spiker od pogody zapowiadał słońce, słońce i jeszcze raz słońce, a tu masz, jedenasta dwadzieścia dwie i jak dotąd nie udało się jej dojrzeć ani śladu złotej tarczy. Maskując niepokój uśmiechem, zajęła się swymi obowiązkami. Miała zorganizować dostarczenie broszur festynowych, które przywieziono wczesnym rankiem, do miejsc gdzie je rozdawano, według sporządzonej wcześniej listy. Dorothy z całego serca wierzyła w listy. Bez nich wszelkie działanie stawało się chaosem.

Przed południem na skrzyżowaniu Whittier i Main Frank Carlsen wjechał swoim furgonem w kufer ciężarówce dostawczej, powodując na pół godziny wstrzymanie ruchu na Main Street. Carlsen został odwieziony na komendę, gdzie przyznał, że tego roku zaczął świętować nieco wcześniej - ot, wypił parę piw dla lepszego humoru. Ciężarówka nie została mocno uszkodzona, toteż Ed Olson, który zabrał winowajcę na komendę, zwolnił go po udzieleniu ustnego upomnienia.

- Naginam dla ciebie prawo, Frank - zwrócił się do Carlsena - Dlatego pozostan trzeźwy, żebyś nie wyszedł przez ciebie na durnia.

Piętnaście po dwunastej Main Street znów była przejezdna, wtedy też Dorothy wyjrzała przez okno swego gabinetu, by stwierdzić, że chmury zaczęły się przerzedzać i wyjrzało zza nich słońce.

### 2

Erwin wybrał się nad potok parę minut po dwunastej, zatrzymując się w Kitty's Diner, aby zjeść kilka placuszków z jabłkami i wzmocnić się kawą. Bosley był jak zawsze porywczy i impulsywny, lecz mimo iż czasami jego zachowanie drażniło Erwina, tego dnia na widok właściciela ogarnęło go jedynie szczere rozbawienie.

Zaspokoiwszy apetyt, Erwin udał się nad potok. Zaparkował swój samochód przy Mason Lodge na First Street, stamtąd zaś poszedł dalej pieszo. Cieszył się, że założył wysokie buty i stary sweter. Upalne letnie dni i niedawne deszcze sprawiły, że gąszcz rozrósł się niebywale i zanim Erwin dotarł do potoku, miał podrapaną szyję, twarz, i ręce, a w sweter zaplątało mu się tyle gałązek, że wystarczyłoby ich do rozpalenia ogniska.

Przez stulecia potok wyłobił sobie głębokie koryto, płytki, lecz rwący nurt przysłaniały rosnące nad wodą przedpotopowe paprocie. Nie przychodził tu od sześciu lub siedmiu lat i ponownie zdumiał się, jak odległe wydawało się mu to miejsce. Mimo iż Main Street znajdowała się nie dalej niż kilometr w tyle, bzyczenie komarów nad głową Erwina było głośniejsze niż odgłosy ruchu ulicznego, podczas gdy przed nim, na drugim brzegu gęsto zalesione zbocze pięło się w górę ku Wyżynie, nieujarzmionej, nie znanej i jak podejrzewał, nie zamieszkaney. Był sam i wcale nie czuł się z tym źle. Miał mnóstwo czasu, by odnaleźć dom nad strumieniem i czyniąc to rozmyślał nad własną przyszłością.

### 3

Joe zadzwonił do Phoebe do pracy przed południem i poprosił, aby spotkała się z nim nie po południu, lecz w porze lunchu.

Uprzedziła go, że będą mieli dla siebie zaledwie kilka minut - jazda samochodem z gabinetu do domu zajmowała dziesięć minut w obie strony.

Nawet dłużej, z uwagi na korki. Joe wziął to pod uwagę.

- Przyjedź do mieszkania - zaproponował, to tylko parę minut od ciebie. Obiecała, że przyjedzie.

- Spodziewaj się mnie około wpół do pierwszej - powiedziała.

- Będę czekał - zapewnił, a zarliwość jego głosu wywołała u Phoebe gęsią skórkę.

Przez resztę poranka na jej twarzy widniał nerwowy, niepewny uśmiech, a o dwunastej dwadzieścia osiem Phoebe wyszła z recepcji. Do tej pory tylko dwukrotnie była w mieszkaniu Joego: raz, kiedy Morton miał grypę i leżał w łóżku, a drugi, podczas urlopu. Było to bardziej ryzykowne niż wizyta w jej w domu, ponieważ nie mogła wejść do budynku nie zauważona. Zwłaszcza teraz, gdy na ulice wyległo tyle ludzi. Phoebe nie przejmowała się tym jednak. Zaparkowała na ulicy przed budynkiem i zuchwale podeszła do drzwi mieszkania Joego, nieomal jakby chciała, żeby ktoś ją zauważył. Drzwi otworzyły się, zanim zapukała. Joe miał na sobie tylko szorty i ociekał potem.

- Wentylator jest zepsuty - rzekł, wpuszczając ją do środka. - Ale chyba nie masz nic

przeciwko odrobinie potu?

Jak zwykle w mieszkaniu panował okropny bałagan i było upiornie gorąco. Joe zrobił dla niej miejsce na sofie, ale Phoebe zamiast na niej usiąść, weszła za nim do kuchni, gdzie nalał jej szklaneczkę lodowato zimnej wody. Zostali tam; przez otwarte okno wpływały dźwięki z ulicy.

- Tak sobie myślałem - powiedział - że im szybciej zrobimy z tym porządek, tym lepiej.

- W poniedziałek mam wizytę u adwokata.

- Grzeczna dziewczynka. - Joe uśmiechnął się i położył ręce na jej ramionach, łącząc dłonie z tyłu jej głowy. - Chcesz, abym poszedł tam z tobą?

- Nie, poradzę sobie.

- A potem stąd wyjedziemy najdalej, jak się da.

- Dokąd tylko chcesz.

- W jakieś ciepłe miejsce - zaproponował. - Lubię upały.

- Może być - przytaknęła. Przyłożyła kciuk do jego policzka i potarła. - Farba.

- Pocałuj - poprosił.

- Musimy porozmawiać.

- Porozmawiamy po seksie.

- Joe...

- Dobra, porozmawiamy podczas pieprzenia, co ty na to? Przyłgnął do niej mocno.

- Jest za gorąco, aby odmawiać. - Poczowała strużkę potu wpływającą między jej piersi; miała pot między pośladkami i między udami. Od upału niemal kręciło się jej w głowie.

- Tak? - spytał Joe.

- Tak - odparła i stali tam, czując w głowach oszalamiające wirowanie, podczas gdy on guzik po guziku, haftka po haftce obnażał ją w tym gorącym, parnym mieszkaniu.

Erwin udał się najpierw w dół strumienia, przeświadczony, że dom powinien raczej znajdować się na płaskim gruncie, aniżeli na nierównym terenie niższych zboczy Wyżyny. Okazało się, że albo się pomylił, albo ta część wyznania McPhersona była wierutnym kłamstwem. Po godzinie przerwał marsz na południowy wschód i zawrócił do punktu wyjścia. Zatrzymał się tam na kilka minut, aby wyrzucić papierosa i zastanowić się, co dalej. Placki zaspokoją głód jeszcze przez co najmniej półtorej godziny, ale po przedzieraniu się przez chaszczę i wspinaniu po kamieniach Erwin zaczynał odczuwać coraz większe

pragnienie. Może powinien odłożyć dalszą wędrówkę. Kubek kawy u Kitty, a potem z powrotem nad strumień? Po kilku chwilach postanowił odroczyć przerwę i kontynuować poszukiwania. Poza tym, jeżeli znajdzie ten dom, kawa z pewnością będzie mu bardziej smakowała.

W miarę jak posuwał się dalej w górę strumienia, teren stawał się coraz trudniejszy i po kwadransie przedzierania się przez gęstą roślinność miał dłonie zielone od mchu, kolana poharatane od upadków na kamienie i z każdą chwilą bardziej kusiło go, aby zawrócić. Przerwał, aby zdjąć sweter, w którym powoli zaczynał się gotować - a kiedy ściągnął go przez głowę, pomiędzy drzewami, daleko przed sobą ujrzał jakiś tajemniczy kształt. Ruszył naprzód, uwalniając ramiona z rękawów, a im był bliżej, tym głośniejsz brzmiały dobywające się z jego ust pomruki satysfakcji.

- Och... och... to jest to! To jest to!

Była tam, dokładnie na wprost niego. Ogień i czas strawiły większość desek, ale szkielec i ceglane kominy wciąż stały.

Erwin powiesił sweter na gałęzi, po czym, przedarłszy się przez krzewy, znalazł się przed domem - mimo iż rudera w niewielkim stopniu zasługiwała na tę nazwę - i przestąpił próg.

Pod nogami miał drobne, żalosne ślady świadczące, że kiedyś dom ten był zamieszkanym - zwęglone meble, strzęp spalonego dywanu, kawałki talerzy, starą patelnię. Wszystko to wyglądało nader żalosnie, ale Erwin czuł, jak narasta w nim podniecenie. Teraz nie wątpił już, iż wyznanie McPhersona było prawdziwe. Miał po temu materialne dowody, wystarczające, aby mógł ujawnić całą historię. Nie obawiał się ani nie czuł żadnych oporów. Musiał teraz tylko się zastanowić, jak to zrobić, aby dało mu to możliwie największe korzyści.

Przykucnął i wy dobył z płataniny poszycia odłamek jakiegoś naczynia. Dotknąwszy go po raz pierwszy, poczuł dreszcz niepokoju. Nie wierzył w duchy - umarli byli umarłymi i takimi pozostawali, niemniej panujące w tym miejscu spokój i cisza wydawały się trochę nienaturalne. Najwyższa pora wracać; wypije kubek kawy i być może uczci swe odkrycie kawałkiem placka marchwiowego.

Wycierając odłamek talerza z grudek ziemi, Erwin podniósł się z wolna. W tej samej chwili dostrzegł jakieś poruszenie wśród drzew po drugiej stronie strumienia. Spojrzał w tę stronę i żołądek podszedł mu do gardła. Ktoś stał tam i obserwował go. Odłamek talerza wyslizgnął mu się spomiędzy palców, a włoski na karku się zjeżyły.

Cienie między sosnami były zbyt gęste, aby Erwin mógł przyjrzeć się uważnie

tajemniczemu obserwatorowi, niemniej nie ulegało wątpliwości, że nie jest to zwykły turysta. Miał na sobie coś długiego i ciemnego, jak mnisi habit, a połowę jego twarzy zakrywała gęsta broda; blade dłonie trzymał splecione z przodu.

Uniósł głowę w stronę Erwina, jakby chciał powiedzieć: „Wiem, że mnie widzisz”. Nagle uniósł lewą rękę i machnął nią, przywołując Erwina. Pomiedzy nimi znajdował się potok, bliżej źródła parów był znacznie głębszy niż w dole strumienia. Gwarantowało to wystarczające zabezpieczenie, na wypadek gdyby nieznajomy okazał się szaleńcem, toteż Erwin poczuł się na tyle bezpieczny, że wypełnił polecenie tamtego i podszedł kilka kroków bliżej.

Kiedy dotarł do brzegu, którego strome zbocze miało cztery czy pięć stóp, mężczyzna przemówił. Głos miał cichy, ale mimo to było go słyhać pośród szumu strumienia.

- Co to za miejsce? - zapytał.
- Potok Ungera.
- Chodzi mi o miasteczko.
- To nie miasteczko, lecz miasto. Nazywa się Everville.
- Everville...
- Zgubiłeś się?

Mężczyzna ruszył w dół zbocza pomiędzy drzewami. Erwin zauważył, że tamten jest bosy i z każdym krokiem coraz wyraźniej dostrzegał osobliwość jego szat i rysów twarzy. Zgodnie z wcześniejszym przypuszczeniem Erwina mężczyzna miał na sobie powłóczysty strój, jakby habit o tak ciemnym odcieniu granatu, że wydawał się prawie czarny. Jego twarz zaś łączyła w sobie osobliwą mieszankę srogości i spokoju: brwi zrosnięte, oczy żywe i błyszczące, usta wąskie, lecz wykrzywione uśmiechem.

- Myślałem, że się zgubiłem - powiedział. - Ale widzę, że jednak nie. Jak się nazywasz?
- Erwin Toothaker.
- Erwinie, chciałbym prosić cię o przysługę.
- Najpierw powiedz, kim jesteś.
- Ależ oczywiście. - Obcy dotarł na przeciwległy brzeg i rozłożywszy ramiona rzekł: - Nazywam się Richard Wesley Fletcher. Przychodzę tu, by uchronić cię przed banalnością.

- Joe, ktoś idzie po schodach.

Kochanek oderwał wargi od jej piersi i nasłuchiwał przez chwilę. Z ulicy dochodziły

krzyki dzieci, w mieszkaniu poniżej grało radio. Nie wychwycił jednak odgłosu kroków, skrzypienia, niczego. Znow zaczął ssać jej sutek.

- Przysięgam - wyszeptała Phoebe, kierując wzrok ku drzwiom.

- No dobra - rzekł, podnosząc z podłogi szorty i nałożył je, przyciskając przy tym do płaskiego brzucha swój wiecznie nabrzmiały, sterczący penis.

Przesunęła palcami po piersiach, które z takim zapamiętaniem lizał, po czym ujęła sutek palcami.

- Pokaż mi, co tam masz - mruknął, spoglądając na nią od drzwi.

Opuściła jedną nogę z sofy, na której leżeli, i leciutko uniosła biodra.

Joe spojrzał na jej cipkę.

- Och, maleńka.

- Podoba ci się? - wyszeptała.

- Przekonasz się, jak bardzo.

O mało go wtedy nie zawołała, ale zanim zdążyła to uczynić, wyszedł już do przedpokoju. Przyjrzała się sobie, ujmując palcami fałdki ciała na brzuchu i na bokach. Powiedział, że uwielbia ją taką, ale sama Phoebe za nimi nie przepadała. Obiecała sobie, że zrzuci ze dwadzieścia funtów do Dnia Dziękczynienia. To znaczy...

- Czarnuch! - usłyszała krzyk Mortona. Drzwi trzasnęły w ścianę.

Joe wycofał się przez całą długość przedpokoju, skulony, przykładając obie dłonie do nagiego brzucha.

Sięgnęła do oparcia sofy, aby się podnieść, lecz wcześniej w drzwiach pojawił się Morton. Wbijał wzrok w to samo miejsce, które zaledwie przed chwilą kontemplował Joe, a na jego twarzy pojawił się grymas obrzydzenia.

- Chryste! - ryknął. - Chryste, spójrz na siebie! - i rzucił się w stronę Phoebe z rozłożonymi rękoma. Schwycił ją za nogi i ściągnął z sofy z taką siłą, że aż krzyknęła.

- Nie!

Ale Morton niczego już nie słyszał. Nigdy nie widziała u niego takiego wyrazu twarzy - zaciśnięte, obnażone zęby, oślinione wargi, pot, nabrzmiałe żyły i oczy nieomal wychodzące z orbit. Mimo wysiłku nawet nie poczerwieniał, jego twarz miała taką barwę, jakby lada chwila miał się porzygać albo zemdleć.

Sięgnął w dół i podniósł ją na kolana.

- Ty pieprzona dziwko! - ryknął, wymierzając jej siarczysty policzek. - Podobają mu się? - Tym razem uderzył ją po piersiach, raz i drugi. - Założę się, że tak! - Trzasnął ją mocniej, a potem jeszcze raz; uderzenia były silne, piekące. - Na pewno ssie ci cycki!



Próbowała się zasłonić, ale teraz Morton był górą.

- Świetne cycki!

Okładał Phoebe tak mocno, że w oczach zakręciły jej się łzy.

- Świetne cycki! Super, świetne cycki!

Nie widziała, czy Joemu udało się już podnieść, błagała Mortona, aby przestał ją bić. Nagle Joe pojawił się przy nich, chwycił jej oprawcę za kołnierz i odrzucił w drugi koniec pokoju. Morton był jakieś trzy lub cztery cale wyższy i dobrych pięćdziesiąt funtów cięższy, ale Joe w oka mgnieniu znalazł się przy nim i wbijał go pięściami w ścianę.

Ocierając łzy z oczu, Phoebe sięgnęła po jakąś część garderoby, aby okryć swą nagość. Tymczasem Morton, z nosem ociekającym krwią, ryknął przeraźliwie i ponownie rzucił się naprzód; całym ciałem uderzył w Joego z taką siłą, że po paru krokach znaleźli się pod przeciwległą ścianą.

Joe uderzył w telewizor, który zwałił się ze stolika i po chwili wraz ze szczątkami roztrzaskanego mebla wylądował na podłodze. Morton runął na niego, ale w chwilę później poderwał się, by odpowiedzieć na ciosy Joego kopnięciami. Mierzył w krocze przeciwnika i trafił bezbłędnie pięć, sześć, siedem razy, podczas gdy Joe wił się oszołomiony i pozbawiony tchu wśród potrzaskanego drewna i potłuczonego szkła

Zapominając o swej nagości, Phoebe wstała i usiłowała odciągnąć Mortona od kochanka, ale mąż zacisnął dłoń na jej twarzy, boleśnie wpijając palce w policzki.

- Poczekaj na swoją kolejkę! - mruknął, wbijając obcas w krocze Joego. - Dostaniesz, co ci się należy!

Odepchnął ją niemal ostentacyjnie, by skoncentrować się na systematycznym katowaniu powalonego Murzyna. Phoebe spojrzała na Joego, na jego ciało rozciągnięte pośród szczątków mebli, na krwawą plamę rozlewającą się w kroczu jego szortów - i z przerażeniem uświadomiła sobie, że Morton nie skończy, dopóki Joe nie wyzionie ducha.

Musiała coś zrobić, cokolwiek. Rozejrzała się wokoło, lustrując pokój w poszukiwaniu broni, ale nie dostrzegła niczego, czym mogłaby unieszkodliwić Mortona. Zdesperowana wbiegła do kuchni; przez cały czas w jej uszach rozbrzmiewał upiorny, głuchy odgłos buta uderzającego w ciało i jęki Joego, słabnące z każdą chwilą.

Otwierała szuflady jedną po drugiej, szukając noża do mięsa lub do chleba, czegoś, czym mogłaby zagrozić mężowi. Niestety żaden ze starych noży nie odpowiadał jej potrzebom.

- Już po tobie, czarnuchu - stwierdził Morton. Jęki Joego ucichły zupełnie.

W odruchu rozpaczony Phoebe schwyciła zwyczajny nóż i widelec i biegiem wróciła do

pokoju, aby ujrzeć, jak Morton pochyliwszy się zsuwa Joemu szorty, chcąc ujrzeć rezultaty swych wysiłków.

Ta przyprawiająca o mdłości intymna czynność podsycała gniew Phoebe i rzuciła się na Mortona z uniesioną bronią. Tymczasem mąż odwrócił się nagle i bardziej przez przypadek, niż celowo, wytrącił jej nóż z ręki. Widelec jednak dosięgnął celu, a impet okazał się dostatecznie duży, aby zęby wbiły się głęboko w tors mężczyzny.

Spojrzał w dół na sterczący z jego piersi trzonek, bardziej oszołomiony i zdezorientowany niż oszalały z bólu, i uderzeniem na odlew odrzucił ją w stronę drzwi. Z rany płynęła krew, ale Morton nie tracił czasu, by wyrwać tkwiący głęboko widelec.

- Ty pieprzona kurwo! - warknął, sunąc za nią jak ciężarówka bez kierowcy.

Phoebe wycofała się do przedpokoju. Drzwi wejściowe wciąż były otwarte. Gdyby pobiegła ile sił w nogach, miała szansę mu uciec. To oznaczało jednak, że musiałyby pozostawić tu Joego, a zanim sprowadziłyby pomoc, Morton mógłby zakatować go na śmierć.

- Nie ruszaj się! - rzucił nakazująco, a jego głos zmienił się w ochryply szept. - Doigrałaś się. - Mówił prawie normalnym tonem. - Wiedziałaś, że to cię nie ominie.

Spojrzała w głąb wąskiego korytarzyka, w kierunku łazienki, a kiedy Morton ruszył w jej stronę, wpadła do środka i odwróciła się, by zatrzasnąć drzwi, zanim ich dopadnie. Za późno. Wepchnął rękę przez szparę i schwycił ją za włosy. Napała całym ciałem na drzwi, przygważdżając rękę męża do framugi. Tym razem krzyknął, potok wulgaryzmów zmienił się w skowyt gniewu i bólu. Zaczął napierać na drzwi, uwolnił okrwawione ramię i gdy szczelina była dostatecznie szeroka, wcisnął w nią jedną nogę.

Nagie stopy Phoebe ślizgały się po płytkach; otwarcie drzwi było tylko kwestią czasu. A potem Morton ją zabije, była tego pewna. Zaczęła wrzeszczeć na całe gardło, krzyk wypełnił całe wnętrze małej łazienki. Ktoś powinien tu przyjść, i to szybko, bo będzie za późno.

Teraz w szczelinie pojawiła się jego twarz, biała i zimna jak płytki terakoty.

- Otwieraj - warknął, napierając jeszcze gwałtowniej. - Wiesz, jak to się robi.

I ostatnim pchnięciem sforsował cienką drewnianą przeszkodę. Nie miała dokąd uciec - wiedziała o tym. Stał w progu, okrwawiony i zdyszany, lustrując ją od stóp do głów.

- Jesteś kurwą - burknął. - Tłustą, pieprzoną kurwą. Powyrywam ci cycki gołymi rękami.

- Ej! - zawołał Joe.

Morton zajrzał w głąb korytarzyka. Joe podniósł się i stał, przytrzymując się drzwi do pokoju.

- Jeszcze dychasz? - rzucił Morton - i ruszył w stronę wroga.

Phoebe do końca życia nie dowie się, co właściwie stało się potem.

Rzuciła się za mężem, aby go pohamować albo przynajmniej powstrzymać, dopóki Joe nie wydobędzie się z mieszkania. Kiedy jednak schwyciła Mortona za ramię, zastąpił mu drogę Joe lub może raczej rzucił się nań. Być może uderzył Mortona, może Morton się potknął, osłabiony wpływem krwi, a może ciężar i napór Phoebe wystarczyły, aby się przewrócił. Tak czy inaczej runął do przodu, wyciągając ręce, aby schwycić Joego. Kiedy upadł, rozległ się głuchy trzask, a potem z ust Mortona dobył się zduszony jęk. Nie podniósł się już. Jego nogi drgały przez chwilę konwulsyjnie. Potem znieruchomiały.

- O... Boże... - jęknął Joe i odwróciwszy się od Phoebe, gwałtownie zwymiotował.

Obawiając się wciąż, że Morton jednak wstanie, Phoebe podeszła do niego bardzo ostrożnie. Spod ciała męża wypływała krew. Widelec! Zapomniała o widelcu!

Zaczęła odwracać rannego. Oddychał jeszcze, ale z każdym oddechem podrygiwał konwulsyjnie; skurcze targały całym jego ciałem, od stóp do głów. Widelec ułamał się w połowie. Reszta, około trzech cali, zagłębiła się w piersi Mortona.

Tymczasem Joe wstał, ocierając usta wierzchem dłoni.

- Trzeba sprowadzić lekarza - odezwał się i zniknął w pokoju.

Phoebe podążyła za nim.

- Zaczekaj, zaczekaj - rzuciła. - I co powiemy?

- Prawdę - odparł.

Wydobył spośród szczątków mebli telefon, ale sznur był wyrwany z gniazdka. Krzywiąc się przy każdym ruchu, pochylił się, aby ponownie wetknąć wtyczkę na miejsce, podczas gdy Phoebe zaczęła się ubierać.

- Wsadzą mnie za to, słonko.

- To był wypadek - zaprotestowała.

Pokręcił głową.

- W moim przypadku to nie wypali - tłumaczył. - W przeszłości miałem pewne kłopoty.

- To znaczy? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że jestem notowany - odrzekł. - Powiedziałbym ci...

- Nie obchodzi mnie to - szepnęła.

- A powinno - uciął. - Bo przez to wszystko bierze w łeb. - Znalazł kabel, ale kończył się on nagą końcówką drutu, bez wtyczki. - Nic z tego - rzekł, ciskając aparat wśród resztek potrząskanych mebli i podniósł się ze łzami w oczach. - Tak mi przykro... - jęknął. - Tak bardzo mi przykro...

- Lepiej już idź.

- Nie.

- Zajmę się Mortonem. - Włożyła spódnicę i zaczęła zapinać guziki bluzki. - Wyjaśnię wszystko, zajmę się nim jak należy a potem wyniesiemy się stąd razem.

W jej rozumowaniu były pewne luki i wiedziała o tym, ale nic nie mogła teraz na to poradzić.

- Mówię serio - rzuciła. - Ubieraj się i zmykaj stąd!

Wróciła do drzwi. Morton mamrotał coś pod nosem, co sprawiło, że drgawki przybrały na sile; wulgaryzmy mieszały się z bzdurami, jak dziecięcy, bezsensowny bełkot, tyle tylko, że spomiędzy jego warg zamiast śliny i mleka wypływała krew.

- Wydobrzeje - zwróciła się Phoebe do Joego, który zdezorientowany stał pośrodku obróconego w perzynę pokoju. - Zechciałbyś w końcu stąd wyjść? Dam sobie radę.

A potem ona również opuściła mieszkanie w oślepiającym blasku słońca i zeszła po schodach. Dzieciaki na ulicy przestały się bawić i przyglądały jej się z chodnika naprzeciwko.

- Co się gapiacie? - warknęła tonem, którego używała wobec tych, którzy zjawiali się spóźnieni w gabinecie lekarskim.

Gromadka urwisów rozpierzchnęła się w okamgnieniu, a Phoebe pospieszyła do budki telefonicznej na rogu ulicy; nie obejrzała się za siebie. Bała się, że mogłaby ujrzeć znikającą w oddali sylwetkę Joego.

## Rozdział IX

### 1

- Zapewne myślał pan, że to będzie spokojne, małe miasteczko, co? - zapytał Will Hamrick, przesuwając kolejną szklaneczkę brandy do swego skromnie ubranego klienta.

- A nie jest? - mruknął mężczyzna.

Wyglądał na faceta przy forsie, pomyślał Will, emanował spokojem typowym dla ludzi, którzy nie narzekają na brak gotówki. Ufnie przeznaczył pewną jej część na brandy, przed wyruszeniem w dalszą drogę.

- Dziś po południu w mieście miały miejsce pewne krwawe wydarzenia.

- Co pan powie?

- Facet, który stale tu przychodził i siadywał przy tym stoliku pod ścianą - Will pokazał ręką - został odwieziony do szpitala z widelcem wbitym w serce.

- Z widelcem? - spytał mężczyzna, skubiąc swe doskonałe wąsiki.

- Tak właśnie mówię, z widelcem, w-i-d-e-l-c-e-m, wbitym w serce. Nawiasem mówiąc, to był wielki facet.

- Hmm - mruknął mężczyzna, przesuwając szklankę z powrotem w stronę Willa.

- Jeszcze jedną?

- Czemu nie. Powinniśmy to uczcić.

- To, to znaczy co?

- Choćby nawet rozlew krwi - odrzekł mężczyzna.

Will uznał to za niesmaczne, a owa myśl musiała odzwierciedlić się na jego twarzy, bowiem klient rzekł: - Proszę mi wybaczyć. To nieporozumienie. Czy ten facet, Cobb, to pański przyjaciel?

- Niezupełnie.

- A więc ten zamach na jego życie, którego dokonała jego żona, albo jej kochanek, jej czarny kochanek...

- Słyszał pan.

- Oczywiście, że słyszałem. Ten krwawy, skandaliczny czyn to niewątpliwie coś, czym można się... delektować, nieprawdaż? - Upił łyk brandy. - Czyż nie?

Will nie odpowiedział. Prawdę mówiąc ten człowiek trochę go przerażał.

- Czyżbym pana uraził? - zwrócił się do Willa.

- Nie.

- Jest pan zawodowym barmanem, zgadza się?

- Jestem właścicielem tego lokalu - odparł Will.

- Tym lepiej. Widzi pan, człowiek taki jak pan ma bardzo istotną pozycję. W tym miejscu zbierają się ludzie, a kiedy ludzie się gromadzą, to co robią?

Will wzruszył ramionami.

- Opowiadają różne historie - padła odpowiedź.

- Naprawdę nie...

- Proszę, panie...

- Hamrick.

- Panie Hamrick, bywałem w barach w wielu miastach na całym świecie, w Szanghaju, Sankt Petersburgu, Konstantynopolu. Wielkie bary, te, które osiągnęły miano legendarnych, mają jedną wspólną cechę i nie jest nią doskonała wódka martini. Jest nią człowiek taki jak pan. Siewca.

- Co?

- Ten, który sieje.

- Chyba trafił pan pod zły adres - mruknął Will z lekkim uśmiechem.

- Powinien pan odwiedzić Douga Kenny z Farm Supplies.

Klient nawet się nie uśmiechnął.

- Jeżeli o mnie chodzi - rzekł - mam nadzieję, że Morton Cobb umrze. To uczyniłoby całą historię ciekawszą.

Will wydał wargi.

- No dalej, przyznaj pan sam - mówił dalej mężczyzna - jeżeli Morton Cobb umrze od ciosu widelca, czyż nie będzie pan miał ciekawszej historii do opowiadania?

- No cóż... - mruknął Will. - Myślę, że chyba tak.

- Właśnie. To nie było takie trudne, prawda? - Klient opróżnił swoją szklaneczkę. - Ile jestem winien?

- Dziesięć dolarów.

Mężczyzna wyjął portfel ze skóry aligatora i wyjął zeń nie jeden, lecz dwa nowiutkie banknoty dziesięciodolarowe. Położył je na kontuarze.

- Reszta dla pana - powiedział. - Może jeszcze wpadnę, aby przekonać się czy ma pan jakieś elektryzujące informacje o szczegółach afery Cobba. Głębokości rany, wielkości narządów kochanka i takie tam...

Klient uśmiechnął się i parsknął.

- Niech pan nie mówi, że o tym nie pomyślał. Dobry siewca wie, że liczy się każdy szczegół. Zwłaszcza zaś te, co do których nikt by się nie przyznał, że go interesują. Wystarczy, że zacznie pan opowiadać pikantne, zenujące szczegóły i naprawdę pana za to pokochają. - Wybuchnął śmiechem, a śmiech miał równie dźwięczny i melodyjny jak głos. - Mówię to - zakończył - jako człowiek, który wie, co znaczy być prawdziwie miłowanym.

I to rzekłszy wyszedł, pozostawiając Willa wpatrzonego w dwa dziesięci dolarowe banknoty, pogrążonego w niepewności czy powinien być wdzięczny temu klientowi za jego hojność, czy może natychmiast spalić pieniądze w stojącej tuż obok popielnicze.

## 2

Phoebe spojrzała na twarz męża, i pomyślała: Morton jest bardziej zarośnięty niż wieprz. Miał włosy w nosie i w uszach, krzaczaste brwi i nie dogolony zarost na brodzie.

Czy kochałam go, zanim tak zarósł? - zapytała samą siebie. A potem: czy w ogóle go kochałam?

Jej rozmyślenia były dziwnie bezosobowe, co składała na karb środków uspokajających, jakie zaaplikowano jej przed kilkoma godzinami. Wątpiła, aby bez nich zdołała przebrnąć przez liczne upokorzenia oraz serię przesłuchań i nie załamać się. Zbadano ją dokładnie (miała sińce na piersiach i opuchniętą twarz, ale nie doznała żadnych poważniejszych obrażeń); Jed Gilholly, szef policji z Everville, wypytywał ją o jej stosunki z Joem (kim był; dlaczego to zrobiła), a następnie przewieziono ją ze szpitala w Silverton do mieszkania kochanka i spisano zeznania o wydarzeniach, jakie się tam rozegrały. Kiedy w końcu powiedziała już wszystko, co mogła, zawieziono ją do szpitala, gdzie siedząc przy łóżku Mortona, zastanawiała się obecnie nad tajemnicą tego szczeciniastego zarostu.

Choć lekarz stwierdził, że stan rannego się ustabilizował, Phoebe знаła na pamięć słabe punkty tego pacjenta. Palił, pił, jadł zbyt dużo czerwonego mięsa i jajecznicę. Jego ciało mimo iż potężne, nie było silne. Kiedy zachorował na grypę (co przydarzało mu się prawie każdej zimy) niedomagał całymi tygodniami. Ale on musiał żyć. Nienawidziła go do ostatniego włoska, ale Morton musiał żyć.

Jed Gilholly zjawił się tuż przed piątą i wywołał ją na korytarz. On i jego rodzina (dwie dziewczynki, obecnie nastolatki) byli pacjentami doktora Powella. Żona i dzieci Jeda cieszyły się ogólnie dobrym zdrowiem, on sam jednak miał kłopoty z trawieniem i - jeżeli dobrze pamiętała - zaczął również uskarżać się na prostatę. To, że Phoebe wiedziała o jego

dolegliwościach, znacznie go do niej zbliżyło.

- Mam pewne informacje - zwrócił się do niej. - O twoim... ee.. chłopaku.

Złapali go - pomyślała.

- To przestępca, Phoebe.

Nie, może jednak nie.

- Był zamieszany w wypadek w Kentucky, cztery czy pięć lat temu. Byli ranni. Dostał nadzór. Jeżeli wiesz, gdzie przebywa...

Dzięki Bogu, jednak go nie dopadli.

- Sugeruję, żebyś mi to powiedziała, i to natychmiast, bo cała ta sprawa wygląda dla niego raczej czarno.

- Już ci mówiłam. To Morton zaczął tę rozróbę.

- I również on tutaj leży - odparł Jed. - On mógł umrzeć, Phoebe.

- To był wypadek. I to ja wbiłam mu ten widelec, a nie Joe. Jeżeli zamierzasz kogoś aresztować, to właśnie mnie. Nikogo innego.

- Widziałem, co ci zrobił - mruknął Jed, nieco zakłopotany. - Nieźle cię poobijał. Mamy tu do czynienia z pobiciem żony, napaścią i - spojrzał Phoebe w oczy - facetem, który miał już w przeszłości kłopoty z prawem i być może stanowi zagrożenie dla społeczeństwa.

- To niedorzeczne.

- Ja osądzę, co jest, a co nie jest niedorzeczne - stwierdził Jed. - A teraz pytam raz jeszcze: wiesz, gdzie jest Flicker?

- Już mówiłam i powtórzę to raz jeszcze: nie wiem.

Jed pokiwał głową; nie sposób było określić jego prawdziwe odczucia.

- Powiem ci coś, Phoebe; wiedz, że nie powiedziałbym ci tego, gdybym cię nie znał.

- Tak?

- To bardzo proste. Nie wiem, co było między tobą i tym gościem, Flickerem. Po tym, jak Morton cię potraktował dziś po południu domyśliłem się, że nie jest potulnym barankiem i wzorowym mężem. To pobicie to przestępstwo samo w sobie. Muszę jednak uznać twojego chłopaka za niebezpiecznego, a gdybym miał wybierać pomiędzy jego bezpieczeństwem a bezpieczeństwem moich funkcjonariuszy...

- On nikogo nie skrzywdzi.

- Właśnie to chciałem ci powiedzieć, Phoebe. Nie będzie miał po temu okazji. Nie zdąży.



Bez czterech kółek Joe miał dość ograniczone możliwości wyboru. Mógł ukraść auto i przycząić się w jakimś zacisznym miejscu, a potem po zmroku wrócić po Phoebe. Mógł ukryć się gdzieś w mieście i przeczekać. Albo zdecydować się na wspinaczkę.

Wybrał to ostatnie wyjście. Kradzież samochodu powiększyłaby tylko listę jego ciemnych sprawek, a miasto było zbyt małe i zbyt białe, aby mógł pozostać na ulicach nie zauważony. Postanowił, że ruszy na szczyt góry, wejdzie na tyle wysoko, by znaleźć się poza zasięgiem prześladowców.

Opuścił mieszkanie, zabierając minimum niezbędnych rzeczy - trochę żywności, cieplejszą kurtkę na później i najważniejszą rzecz z uwagi na jego obecny stan - apteczkę pierwszej pomocy. Przed ucieczką zdążył jedynie dokonać pobieżnych oględzin (na tyle, by stwierdzić, że nie grozi mu śmierć z wykrwawienia), ale ból okazał się straszny i Joe musiał zatrzymać się już przy potoku. Ześlizgnął się do koryta, którym płynął strumień i nie zauważony przez nikogo prócz ryb, możliwie najdelikatniej obmył swe okrwawione i posiniaczone krocze. Była to powolna i wyjątkowo bolesna czynność. Nie był w stanie stłumić krzyków, kiedy lodowata woda oblewała jego umęczone ciało i kilkakrotnie musiał przerywać, gdyż z powodu bólu był bliski zasłabnięcia. Wreszcie, niejako wbrew sobie postanowił wziąć dwie tabletki przeciwbólowe, pozostawiając ostatni z dziesięciu percodanów, które przepisano mu, kiedy nabawił się kontuzji kręgosłupa. To był silny środek, sprowadzający stan radosnego otępienia, które w obecnej sytuacji mogło okazać się zgubne.

Joe wąpił jednak, aby bez percodanu zdołał przedostać się dalej niż na drugi brzeg strumienia.

Siedział przez pewien czas na brzegu i odczekawszy aż tabletki zaczną działać, dokończył ablucji, ze spodenkami i pokrytymi skrzepłą krwią gatkami zwisającymi wokół kostek. Upalny dzień miał się ku końcowi, ale słońce nadal znajdowało szczeliny wśród paproci i złościło wartko płynącą wodę. Joe patrzył na fale i czekał, aż ból zacznie słabnąć. Jeżeli tak wygląda śmierć, pomyślał, czując, jak ból odpływa i ogarnia go błogość, to warto będzie poczekać.

Po kilku minutach, mając w głowie zamęt, nieco bardziej niż dotąd niezdarnymi palcami ponownie zaczął obmywać zranione miejsce. Jego jądra w ciągu ostatniej pół godziny powiększyły się dwukrotnie, worek mosznowy był miejscami barwy fioletu, gdzie indziej zaś krwistoczerwony. Dotknął delikatnie genitaliów, przesuważąc je pod palcami. Nawet poprzez mgiełkę percodanu poczuł ból, ale nie stwierdził, żeby coś w nich było poważniej uszkodzone. Może będzie mógł mieć jeszcze dzieci, naturalnie w odległej przyszłości. Co się tyczy jego członka, był w trzech miejscach mocno naddarty, rozerwany

obcasami butów Mortona. Joe skończył przemywać rany wodą z potoku, po czym nałożył na nie sporą dozę maści antyseptycznej.

W pewnej chwili podczas tej delikatnej czynności poczuł, jak narasta w nim fala mdłości - nie tyle na widok ran, ile na wspomnienie tego, jak je zadano - i chcąc nie chcąc musiał przestać, obserwując słoneczne refleksy na wodzie i czekając, aż nieprzyjemne sensacje ustaną. Siedział, rozmyślając o tym i owym. Przeżył dwadzieścia dziewięć lat na tej planecie (za miesiąc będzie trzydzieści) i nie miał się czym pochwalić, oprócz sińców i otwartych ran, ma się rozumieć. To będzie się musiało zmienić, jeżeli zamierzał przeżyć kolejne dwadzieścia wiosen. Jego ciało doznało tego dnia obrażeń, których wystarczyłoby człowiekowi na całe życie. Od tej pory to on będzie kierował swym losem, zamiast pozwalać, aby okoliczności miały nim z miejsca na miejsce. Zostawił przeszłość za sobą, nie wypierając się jej, lecz pozwalając, by z bólem i całą resztą stała się częścią niego samego. Miał szczęście, nieprawdaż? Miłość odnalazła go pod postacią kobiety, która dziś po południu gotowa była za niego umrzeć. Większość ludzi nie doświadczy nigdy czegoś podobnego. Większość ludzi bowiem, jeżeli chodzi o miłość, szła na kompromis, wybierała sobie na towarzyszy lub towarzyszkę życia osoby, które były lepsze niż nic, ale na pewno nie były tym, co najlepsze. Phoebe okazała się kimś więcej. W jej przypadku nie było mowy o pójściu na łatwiznę.

Nie była pierwszą kobietą, która powiedziała, że go kocha ani pierwszą, której odpowiedział tymi samymi słowami. Była natomiast pierwszą, którą obawiał się utracić, bez której jego życie mogło okazać się puste; początkowo sądził, że miłość po okresie pierwszego zaślepienia przeminie, że stanie się to po tym, gdy Phoebe sama lub za jego delikatną namową otworzy przed nim swe serce i szparę.

Ostry ból w kroczu przypomniał Joemu o obecnym stanie. Spuścił wzrok i stwierdził, że nie wszystko stracone. Jego członek na wspomnienie Phoebe zareagował wyraźnym zwzrodem i Joe musiał przez chwilę pomyśleć o czymś innym, czekając aż obolały penis zwiotczeje. Następnie dokończył dezynfekcji ran i dość niezdarnie skorzystał ze znajdującego się w apteczce bandaża. Nadeszła pora, aby ruszyć dalej, zanim grupa poszukiwawcza dotrze do strumienia i zanim przestaną działać tabletki przeciwbólne.

Podciągnął spodnie, zakopał pozostawione przez siebie śmieci i po krótkim marszu wzdłuż brzegu odnalazł miejsce, gdzie strumień zwęzał się tak, że można było przeskoczyć go jednym susem. Znalazłszy się na drugim brzegu, niezwłocznie ruszył w górę zbocza i po chwili znikł pośród drzew.

O szóstej siedemnaście, podczas gdy Phoebe stała przy automacie z kawą, czekając na kubek gorącego płynu, Morton otworzył oczy. Gdy wróciła do pokoju, bełkotał do pielęgniarki o tym, jak był na łódce i wypadł za burtę.

- Mogłem utonąć - powtarzał, ściskając w garści rąbek prześcieradła niczym linę ratunkową. - Mogłem, kurczę, utonąć.

- Panie Cobb, jest pan w szpitalu.

- W szpitalu? - mruknął, unosząc na cal lub dwa głowę nad poduszkę, mimo iż pielęgniarka usiłowała mu w tym przeszkodzić. - Pływałem...

- Coś ci się przyśniło, Mortonie - powiedziała Phoebe, stając w jego polu widzenia.

Na jej widok wspomnienia o tym, co się stało, powróciły.

- Chryste - warknął przez zaciśnięte zęby. - Chryste Panie - i opadł z powrotem na poduszkę. - Ty pieprzona suko - mruknął.

- Spokojnie, panie Cobb - rzuciła pielęgniarka, ale powodowany nagłą falą gniewu Morton poderwał się gwałtownie do pozycji siedzącej, wyrrywając przy tym z ramienia igłę kroplówki. - Wiedziałem! - krzyknął, wskazując Phoebe palcem.

- Proszę mi pomóc, pani Cobb - poleciła wyraźnie poirytowana pielęgniarka.

Phoebe odstawiła kawę i pospieszyła z pomocą, lecz bliskość żony doprowadziła Mortona do szewskiej pasji.

- Nie dotykaj mnie, kurwo! Precz z łapami. Trzymaj swo...

Urwał w pół słowa i wydał cichy, przypominający czknięcie odgłos. W jednej chwili wypłynął zeń cały jad, ramiona opadły do boków, napięte mięśnie twarzy zwiotczały; oblicze stało się puste. Pielęgniarka, nie mogąc utrzymać jego ciała, zmuszona była pozwolić, aby ranny opadł bezwładnie na poduszkę. Na tym się jednak nie skończyło. Kiedy pielęgniarka pognęła ku drzwiom, wzywając pomocy, Morton zaczął łapać powietrze gwałtownie, z wyraźnym trudem, oddychanie przychodziło mu z wysiłkiem jeszcze większym niż kiedykolwiek, jak w agonii. Phoebe nie mogła patrzeć na cierpienie męża, nie próbując powiedzieć czegoś, aby go uspokoić.

- Już wszystko dobrze - szepnęła, podchodząc ponownie do jego łóżka i kładąc dłoń na jego chłodnym czole. - Morton, posłuchaj mnie, już dobrze.

Jego oczy poruszały się pod powiekami, a spazmatyczne oddechy brzmiały naprawdę przerażająco.

- Trzymaj się, Mortonie - powiedziała, widząc jak jego cierpienie narasta - Zrobisz

sobie krzywdę.

Jeśli nawet ją słyszał, nie usłuchał. Ale czy kiedykolwiek jej słuchał? Dyszał ciężko, aż jego ciało zabrakło energii. Potem po prostu znieruchomiał.

- Mortonie - szepnęła. - Ani mi się waż...

Przy łóżku znowu zjawiły się pielęgniarki i lekarz, wydający krótkie, konkretne polecenia, ale Phoebe ich nie widziała. Wzrok miała wbity w ogarniętą przerażeniem twarz Mortona. Na jego brodzie lśniły kropelki śliny, oczy miał szeroko otwarte. Patrzył tak jak wtedy, przy drzwiach łazienki, był wściekły, nawet szalał, choć morze, o którym śnił, zamknęło się nad jego głową.

Jedna z pielęgniarek ujęła Phoebe za rękę i delikatnie wyprowadziła z pokoju.

- Obawiam się, że jego serce nie wytrzymało - powiedziała tonem pełnym współczucia.

Tylko że Phoebe знаła prawdę. Ten cholerny idiota utonął.

## 5

To była ulubiona pora dnia Setha Lundy'ego. Lubił ją bardziej niż północ czy przedświt, kiedy księżyc już zniknął, a słońce znaczyło swą utajoną obecność delikatną smugą szarości na wschodzie. Ta chwila była zdecydowania lepsza.

Stał na miejskim skwerze, spoglądając w górę, na resztki światła obmywającego wierzchołek góry i wsłuchując się w dudnienie, które o tej niepewnej porze często było szczególnie głośne, gdy z ciemności wyłonił się nagle mężczyzna, już na pierwszy rzut oka sprawiający wrażenie wiedzącego i zapytał:

- Co słyszać?

To pytanie zadawali mu wyłącznie lekarze. Ten człowiek jednak nie był lekarzem.

- Słyszę jak anioły walą młotami w firmament od strony nieba - odparł, nie widząc powodu, aby skłamać.

- Nazywam się Owen Buddenbaum - powiedział mężczyzna, podchodząc tak blisko, że Seth mógł poczuć w jego oddechu woń brandy. - A mogę spytać o twoją godność?

- Seth Lundy.

Owen Buddenbaum podszedł bliżej. I nagle, podczas gdy miasto wokół nich zamarło w pełnym powątpiewaniu oczekiwaniu, pocałował Setha w usta. Seth nigdy dotąd nie był całowany w usta przez mężczyznę, ale serce, dusza i krocze mówiły mu, że to co się stało, było jak najbardziej w porządku.

- Posłuchamy tego walenia wspólnie? - zaproponował Owen Buddenbaum. - Czy może

raczej urządzimy coś sami?

- Urządzimy coś - odrzekł Seth.

- Świetnie - mruknął Owen Buddenbaum. - No to bierzmy się do dzieła.

# **Część trzecia**

## **Naczynia**

# Rozdział I

## 1

Mimo nocnej rozmowy z Grillem i niedyspozycji Luciena, Tesla obudziła się wcześniej, na tyle wcześniej, by mogła rozkoszować się śpiewem ptaków, zanim zagłuszyły go odgłosy ruchu ulicznego z Melrose i Santa Monica. Jako że kuchenne szafki świeciły pustkami, pomaszzerowała do kafejki przy klubie fitness w Santa Monica, która dla masochistów otwarta była już od piątej rano; kupiła kawę, owoce i bułeczki dla siebie i jej gościa.

*Nie chcę, żebyś się z nim pieprzyła* - przypomniał jej Raul gdy wracała do mieszkania. - *Mamy umowę - zero seksu aż do naszego rozdzielenia.*

- To może nigdy się nie zdarzyć, Raul - zauważyła - a ja ni cholery nie zamierzam żyć jak mniszka. Nawiasem mówiąc, to życie może okazać się *bardzo krótkie*.

*Rety, ależ mamy dziś rano paskudny nastrój.*

- Tak czy inaczej małpy lubią seks. W zoo stale to robią.

*Pieprz się Bombeck.*

- Przez cały czas to robiłam, i jakoś nigdy się nie skarżyłeś. Czy kiedykolwiek miałeś coś przeciw temu?

*Bez komentarza.*

- Zamierzam rznąć się z Lucieniem, Raul. Lepiej się z tym pogódź.

*Dziwka.*

- Małpa.

Lucien wziął prysznic i gdy wróciła do mieszkania, siedział na nasłonecznionym balkonie. W szafie znalazł jakieś stare rzeczy Tesli - dżinsy z latek rocznik plus minus 1968 i skórzaną kamizelkę, która bardziej pasowała na jego chudy tors niż kiedykolwiek na nią. Ach, elastyczność młodości, pomyślała, widząc, jak szybko doszedł do siebie po ekscesach poprzedniej nocy. Z ciepłym uśmiechem, zaczerwieniony, wstał, aby pomóc jej wypakować śniadanie i uczestniczył w nim z niemałym apetytem.

- Tak mi głupio, że się porzygałem - powiedział. - Nigdy mi się to nie zdarza. Wiesz, ja w ogóle nie piję wódki. - Spojrzył na Teslę z ukosa. - Sprowadzasz mnie na złą drogę. - dodał. - Kate mówi, że musisz oczyścić ciało, jeżeli chcesz stać się naczyniem dla nieskończoności.

- To ci dopiero określenie - mruknęła Tesla. - „Naczynie dla nieskończoności”. Co to ma właściwie oznaczać?

- No cóż... znaczy to... że... no wiesz, jesteśmy zbudowani z tej samej materii co gwiazdy... i... wystarczy, że otworzymy nasze dusze... a nieskończoność... no wiesz... wszystko stanie się jasnością i wszystko będzie przepływać przez nas.

- Przeszłość, przyszłość i ta chwila rozmarzenia między nimi... Jeden dzień nieśmiertelności...

Lucien znieruchomiał.

- Skąd znasz te słowa?

Zamyśliła się przez chwilę.

- Nigdy wcześniej tego nie słyszałeś? Powiedział mi to... Fletcher, tak, chyba on - mruknęła - a może Kissoon.

- Kim jest Kissoon?

- Kimś, o kim nie chcę mówić - odparła. Wciąż trzymała w sekrecie prawdę o kilku zdarzeniach ze swego życia. Jednym z nich był epizod z Kissoonem.

- Chciałbym, abyś mi o tym opowiedziała, kiedy tylko będziesz w stanie to zrobić - rzekł Lucien. - Chciałbym wiedzieć to samo co ty. Chcę dzielić twoją wiedzę.

- Rozczarujesz się - skomentowała Tesla.

Położył rękę na jej dłoniach.

- Proszę, mówię serio.

Usłyszała, jak mała w jej głowie wydaje odgłos wymiotowania i na jej wargach mimo woli zagościł uśmiech.

- Co cię tak rozbawiło? - spytał, wyraźnie urażony Lucien.

- Nic - odparła. - Nie bądź taki wrażliwy. Jeżeli jest coś, czego nie cierpię, to właśnie wrażliwych facetów.

O wpół do ósmej jechali już na północ i sunąc wzdłuż wybrzeża mieli całkiem niezły czas. Tesla, Raul lub być może kombinacja ich obojga wytworzyła niewiarygodny wręcz instynkt, jeżeli chodziło o wyczuwanie obecności glin i kiedy byli pewni, że w pobliżu nie ma patroli Tesla swobodnie utrzymywała prędkość ponad stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. W czwartek wieczorem przekroczyli granicę stanu i około dziewiątej uznali, że przejechali już dość, jak na jeden dzień. Dotarli do motelu i zameldowali się w nim. Jeden



pokój, jedno łóżko. Nie ulegało wątpliwości, co ma to oznaczać.

Podczas gdy Lucien poszedł po coś do jedzenia, Tesla zadzwoniła do Grilla. Najwyraźniej ucieszył się, kiedy ją usłyszał.

- Rozmowa z Howie'em nie poszła najlepiej - powiedział i dodał, że może Tesla również powinna do nich zatelefonować, aby tym samym potwierdzić jego ostrzeżenia.

- Co, u licha, stało się z D'Amourem? - zastanawiała się Tesla. - Przecież miał nad nimi czuwać.

- Pytasz mnie? - rzucił Grillo.

- Tak.

- On nie żyje.

- Co?

- Był na tropie czegoś naprawdę dużego. Nie chciał powiedzieć na ten temat nic konkretnego i nagle po prostu przestał się ze mną kontaktować.

Ta wiadomość wstrząsnęła Teslą. Mimo iż nigdy nie była blisko związana z D'Amourem - od Grove spotkali się tylko raz, kiedy podczas swej wędrówki przez Ameryki dotarła do Nowego Jorku, myślała o nim, jako o zaworze bezpieczeństwa i źródle ezoteryki, kimś kto będzie zawsze, gdzieś tam, choćby nawet w tle. Ale najwyraźniej się pomyliła. A skoro D'Amour, który od piętnastu lat prowadził swoją walkę z wrogiem, gdzie tylko się dało (w tym również na kilku pokrytych tatuażami miejscach swego ciała) przegrał ten pojedynek, czyż ona mogła mieć jakąkolwiek nadzieję powodzenia? Niewielką albo żadną.

Lucien nie zrozumiał, dzięki Bogu, aluzji na temat wrażliwości. Niemniej natychmiast zorientował się, że coś jest nie tak, bowiem pogodny nastrój Tesli niespodziewanie prysnął. Zapytał z wycuciem, co się stało, a Tesla mu powiedziała. Usiłował pocieszyć ją słowami, lecz w mig udowodniła mu, że nie są skuteczne, więc zaczął ją pieścić i całować; już w parę chwil później, kiedy oboje rozebrali się do naga, próbował się tłumaczyć, że nie jest szczególnie uzdolnionym kochankiem i nie powinna spodziewać się po nim zbyt wiele.

Jego skromność rozbroiła Tesłę całkowicie i jak się okazało, niepotrzebnie. Z pewnością nie należał do wielkich eksperymentatorów, ale braki umiejętności skutecznie nadrabiał zapalem. Uprawiali seks z zapamiętaniem, którego nie doświadczyła od czasu college'u, czyli od dwudziestu lat. Sprężyny łóżka skrzypiały jak oszalałe, a zagłówek pogłębił wyłobienie w ścianie, dzieło tych wszystkich par, które wcześniej kochały się w tym pokoju.

Raul z początku milczał, nawet nie pisnął. Kiedy jednak Tesla z Lucieniem po zjedzeniu paru kawałków zimnej pizzy, rozpoczęli na nowo, nie wytrzymał.

*Nie zrobisz tego ponownie.*

Będę to robić przez całą noc, pomyślała - Jeżeli tylko on będzie mógł.

Włożyła obie ręce między nogi i wprowadziła go w siebie. A wygląda na to, że *będzie.*

*Chryste - zachlipał Raul. - Jak możesz to znosić? Każ mu go wyjąć!*

- Zamknij się! - warknęła, wbijając wzrok w miejsce złączenia ciał jej i Luciena.

*Przynajmniej zamknij oczy* - prosił Raul.

Była zbyt zafrapowana, aby to zrobić. Spójrz na to, pomyślała, unosząc biodra, aby mógł wejść w nią głębiej. On spotyka mnie, a ja jego.

*Niech cię diabli...*

Jak rozstajne drogi.

*Bredzisz, kobieto.*

Spojrzała na twarz Luciena. Miał półprzymknięte oczy, brwi złączone w jedną kreskę i zmarszczone czoło.

- Nic... ci... nie jest? - sapnęła

- Nigdy nie czułem się lepiej - zapewnił.

Małpa w jej głowie wciąż zawodziła żałośnie i z każdym pchnięciem Luciena wyrzucała z siebie kolejne słowa:

*To - zupełnie - tak - jakby - nas - czymś - przebijał - nie - zniosę - tego - dłużej!*

I poczuła, jak zaczyna wywierać nacisk na jej wolę, kładąc kres podziałom ustalonym na początku ich niezwykłego związku. Poczuła ból i jęknęła, co Lucien uznał za odgłos rozkoszy. Jego uścisk stał się silniejszy, pchnięcia gwałtowniejsze.

- O tak! - zawołał. - Tak! Tak! Tak!

*Nie!* - ryknął Raul i zanim Tesla zdążyła wziąć się w garść, przejął panowanie nad jej ciałem.

Jej ręce, leżące dotąd biernie na poduszce, zaatakowały Luciena, paznokcie rozorały mu skórę na plecach. Z jej gardła dobył się zwierzęcy warkot (nigdy nie przypuszczała, że może w ogóle wydać z siebie taki dźwięk), a kiedy Lucien drgnął, w bezgłośnym szoku uniosła nogi i odepchnęła go od siebie. Stało się to tak szybko, że Tesla nie bardzo wiedziała, co się dzieje, póki nie było po wszystkim, a Lucien leżał rozciągnięty jak długi na podłodze przy łóżku.

- Co jest, do jasnej cholery? - warknął, odnajdując w sobie głos.

Zadowolona ze swoich wysiłków małpa na moment uwolniła Tesłę spod swej kontroli.

- To nie byłam ja... - wykrztusiła kobieta.

- Co chciałaś przez to powiedzieć? - zdziwił się Lucien.

- Przysięgam - dodała, wstając z łóżka. Ale nie pozwolił, by doń się zbliżyła. Poderwał się błyskawicznie i sięgnął do krzesła, na które rzucił swoje rzeczy.

- Zaczekaj - powiedziała, nie próbując podejść bliżej. - Mogę ci to wytłumaczyć.

- Słucham - mruknął, obserwując ją uważnie.

- Nie jestem tu sama - zaczęła, ze świadomością, że nie będzie jej łatwo powiedzieć to, co zamierzała. - W mojej czaszce jest jeszcze ktoś. - Uznała, że powinien zrozumieć, o co jej chodziło. Czyż sam nie mówił dziś rano o byciu naczyniem dla nieskończoności? - Nazywa się Raul.

Spojrzał na nią, jakby mówiła w obcym języku.

- O czym ty gadasz? - warknął z niedowierzaniem.

- Mówię o duchu człowieka imieniem Raul, który zagnieździł się w mojej głowie. To trwa już od pięciu lat. I on nie życzy sobie, abyśmy *To robili*.

- A to czemu?

- No cóż... dlaczego sam nie mógłby ci tego powiedzieć?

*Co?* - usłyszała głos Raula.

- No dalej - ponagliła. - Ty to spieprzyłeś, więc się wytłumacz.

*Nie mogę.*

- Jesteś mi to winien, do cholery!

Lucien słuchał jednej uchwytnej dlań strony sporu z wyrazem niedowierzania na twarzy. Tesla czekała z zapartym tchem.

- Przecież *warknęłaś* - przypomniała Raulowi. - Równie dobrze możesz mówić.

Zanim skończyła tę myśl, poczuła, jak jej język zaczyna się poruszać i dały się słyszeć dźwięki, zrazu bełkotliwe i toporne, które szybko przerodziły się w sylaby. Lucien patrzył i słuchał tego dziwnego monodramu w całkowitym bezruchu. Podejrzewała, iż uznał ją za obłąkaną, ale nie była w stanie go przekonać, dopóki to wszystko nie dobiegnie końca.

- To, co ona ci powiedziała... - zaczął Raul głosem Tesli, nad którą przejął znów władzę - jest prawdą. Jestem duchem człowieka, który... oddał moje ciało potężnemu złu o imieniu Kissoon.

Tesla nie sądziła, że Raul wprowadzi Luciena w szczegóły przenoszenia dusz z jednego ciała w inne, ale usłyszawszy jego słowa poczuła, jak narasta w niej gniew. To był trudny temat do wynurzeń, wiedziała o tym. Kissoon z jego sposobami perswazji stanowił gorzkie wspomnienie dla nich obojga, ale dla Raula musiało to być nieskończenie bardziej okrutne - bądź co bądź skutek sztuczek szamana utracił własne ciało.

- Ona... okazała mi... wielką łaskawość - ciągnął z wahaniem - za którą... zawsze... będę

jej wdzięczny. - Kilkakrotnie oblizwał usta. Jego zdenerwowanie sprawiło, że spierzchły jej wargi. - Ale te rzeczy... które mi robisz... z facetami... - Pokręcił głową. - To mnie mierzi.

Podczas gdy Raul mówił, Lucien instynktownie opuścił dłoń między nogi, próbując się zasłonić.

- Nie wątpię, że chciałeś sprawić jej rozkosz - stwierdził Raul. - Ale to, co dla niej jest przyjemnością, dla mnie stanowi ból. Rozumiesz?

Lucien nie odezwał się słowem.

- *Chcę*, abyś zrozumiał - ciągnął Raul z naciskiem. - Nie chcę, abyś uważał, że to w jakiś sposób twoja wina. Nie masz sobie nic do zarzucenia Naprawdę.

Lucien podniósł z podłogi swoje bokserki i zaczął je nakładać.

- Powiedziałem wszystko, co mogłem - stwierdził Raul. - Teraz zostawiam was...

Tesla nie pozwoliła mu skończyć.

- Lucien - odezwała się. - Co robisz?

- Z którym z was dwojga rozmawiam?

- To ja, Tesla. - Wstała z łóżka, owijając się prześcieradłem i przykucnęła przed nim. Wciąż się ubierała, kiedy powiedziała: - Zdaję sobie sprawę, że to zapewne najdziwniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałeś.

- Zgadza się.

- A co z Kate i Friederiką?

- Nie pieprzyłem się z Kate. Ani z Friederiką - odrzekł drżącym głosem. - Czemu mnie nie uprzedziłaś?

- Nie sądziłam, że powinieneś wiedzieć.

- Robię to z facetem, a ty nie sądzisz, że nie muszę o tym wiedzieć?

- Chwileczkę. To o to ci tylko chodzi? - Podniosła się i spojrzała nań pogardliwie. - A gdzie twoje zamiłowanie do przygód?

- Chyba pasuję - burknął, naciągając jej pozszywane z łąt dżinsy.

- Wychodzisz?

- Wychodzę.

- Dokąd zamierzasz się udać?

- Nie wiem. Chyba gdzieś pojedę.

- Zostań chociaż na noc. Nie musimy nic robić. - Usłyszała w swym głosie nutę desperacji i gardziła sobą z tego powodu. Co się stało? Półtora numerka i nagle nie jesteś w stanie zasnąć sama? Zachowujesz się jak nastolatka, ale to już twój problem.

Z tą myślą poszła do łazienki i wzięła prysznic, podśpiewując głośno, aby Lucien

wiedział, że nie zależy jej, czy odejdzie czy też nie.

Kiedy dziesięć minut później wróciła do pokoju, już go nie było. Usiadła na brzegu łóżka, wciąż wilgotna od wody, i wywołała Raula.

- Cóż... chyba zostaliśmy tylko ty i ja.

*Znosisz to lepiej niż przypuszczałem.*

- Jeśli przeżyjemy następne kilka dni - uprzedziła go - będziemy się musieli rozdzielić. Zdajesz sobie z tego sprawę?

*Tak.*

Przez chwilę milczeli oboje, podczas gdy ona zastanawiała się, jak będzie się czuła, żyjąc w pojedynkę.

- A nawiasem mówiąc, czy to było takie straszne?

*Odrażające.*

- Przynajmniej wiesz, co straciłeś - zauważyła.

*Obym oślepl!*

- Że co?

*Tejrezjasz - odrzekł.*

Nic jej to nie mówiło.

*Nie znasz tej historii?*

Jednym z paradoksów ich związków było, że Raul, ongiś będący małpą, otrzymał od Fletchera ogromną ilość wiedzy o świecie, zarówno dawnym jak i współczesnym, podczas gdy ona, zawodowa pisarka, znała mity i legendy bardzo pobieżnie.

- Opowiedz mi - powiedziała, kładąc się na łóżku.

*Teraz?*

- Schrzaniłeś mi dzień. - Zamknęła oczy. - No, dalej - ponagliła go. - Mów.

Już kilkakrotnie Raul raczył ją swoimi wersjami klasycznych opowieści, czynił to zazwyczaj wtedy, gdy kwestionowała niektóre jego uwagi. Romanse Afrodyty, tułaczka Odyseusza, upadek Troi. Ta historia miała jednak dużo więcej wspólnego z ich obecną sytuacją niż którakolwiek poprzednia i dziewczyna zapadła w sen z obrazem tebańskiego jasnowidza Tejrezjasza (który jak głosiły legendy posiadał zarówno męskie jak i żeńskie atrybuty, a kiedy wyznał, że rozkosze kobiece są dużo głębsze i bardziej przejmujące, za karę, za wyjawienie tego sekretu, jedna z bogiń odjęła mu wzrok), błądzącego wśród ostępów Ameryk w poszukiwaniu Tesli, aż w końcu odnalazł ją, wśród ruin Palomo Grove, gdzie wreszcie kochali się, podczas gdy wokół nich rozstępowała się ziemia.

## Rozdział II

### 1

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Tesla zapadała w sen w motelu na południe od Salem, w Oregonie, Erwin, ocknąwszy się z dziwnej drzemki, stwierdził, że leży na podłodze w swoim własnym mieszkaniu. Ktoś rozpałił w kominku - widział kątem oka falujące języki ognia i ucieszyło go to. Nie wiadomo czemu w pokoju było zimno, zimniej niż kiedykolwiek dotąd.

Musiał się nieźle natrudzić, by przypomnieć sobie powrotną drogę znad strumienia. Nie wrócił sam, był o tym przekonany. Towarzyszył mu Fletcher. Oczekali do zmierzchu, zgadza się? Czekali w ruinach domu, aż pojawiły się pierwsze gwiazdy, a potem poszli, wybierając najmniej uczęszczane ulice. Czy zostawił wóz przy Masonie Hall? Prawdopodobnie. Erwin mglście przypominał sobie, jak Fletcher powiedział, że nienawidzi silników, ale brzmiało to tak absurdalnie, że złożył to na karb przywidzenia. Czego można było nienawidzić w silniku?

Zaczął podnosić głowę, ale wystarczyło, że podźwignął ją na cal, gdy poczuł mdłości i musiał znów ją opuścić. Ten ruch sprawił jednak, że z cienia zabrzmiał głos. Fletcher był z nim w pokoju.

- Obudziłeś się - powiedział.
- Chyba bierze mnie grypa - odparł Erwin. - Paskudnie się czuję.
- To minie - zapewnił go Fletcher. - Leż spokojnie.
- Pić mi się chce. I przydałaby się też aspiryna. Moja głowa...
- Twoje potrzeby nie mają znaczenia - ciągnął Fletcher. - One również przemina.

Nieco tym poirytowany, Erwin odwrócił głowę w bok, aby zerknąć na swego gościa, ale zamiast niego odnalazł wzrokiem szczątki swego krzesła - mebel z czasów kolonialnych, wartości kilku tysięcy dolarów zmienił się w kupkę drewna opałowego. Jęknął.

- Co się stało z moim ulubionym meblem?
- Nakarmiłem nim ogień - oznajmił Fletcher.

Tego było już dla Erwina za wiele. Walcząc z zawrotami głowy, podniósł się do pozycji siedzącej, aby stwierdzić, że pozostałe krzesła również poszły na opał, a reszta pokoju, gdzie podobnie jak w aktach zachowywał skrzętnie porządek, wyglądała, jakby wybuchła w nim

bomba. Obrazy znikły ze ścian, podobnie jak kolekcja wypchanych ptaków z półek.

- Co się stało? - spytał. - Było włamanie?

- Ty to zrobiłeś, nie ja - odparł Fletcher.

- Nie ma mowy. - Erwin odnalazł wzrokiem Fletchera, siedzącego na jedynym, nie połamanym na opał krześle, tyłem do niego. Na wprost miał okno. Za oknem panował mrok.

- Uwierz mi, ty jesteś za to odpowiedzialny - powiedział Fletcher. Gdybyś tylko okazał się nieco bardziej ustępliwy.

- O czym ty mówisz? - zdziwił się Erwin. Czuł narastający gniew i jednocześnie zaczęło go łupać pod czaszką.

- Połóż się - namawiał go Fletcher. - To wszystko przejdzie, przeminie.

- Przestań to powtarzać - warknął Erwin. - Żądam wyjaśnień. Natychmiast.

- Wyjaśnień? - mruknął Fletcher. - Och, to zawsze takie trudne.

Odwrócił się od okna i w jakiś niepojęty dla Erwina sposób całe krzesło odwróciło się wraz z nim, mimo iż nie pomógł sobie stopami. Płomienie sprawiły, że wyglądał lepiej, jego skóra wydawała się teraz zdrowsza, oczy pojaśniały.

- Mówiłem ci, że przybywam w określonym celu - oświadczył.

Erwin przypomniał sobie te słowa dużo bardziej wyraziście niż resztę wydarzeń.

- Przybyłeś, aby uratować mnie od banalności.

- Jak sądzisz, w jaki sposób tego dokonam? - spytał Fletcher.

- Nie wiem i nie obchodzi mnie to.

- A co masz innego, co mogłoby cię obchodzić? - spytał Fletcher. - Twoją fortunę? Trochę już na to za późno. Twoje słabości? Na nie jest już także za późno, niestety...

Erwinowi nie przypadł do gustu kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa, absolutnie. Sięgnął ręką w stronę obramowania kominka, uchwycił się go i próbował stanąć.

- Co robisz? - spytał Fletcher.

- Zamierzam zaaplikować sobie jakiegoś procha - odrzekł Erwin. Uznał, że nie byłoby mądrze powiedzieć tamtemu, iż chce zadzwonić na policję. - Przynieść ci coś? - spytał po chwili.

- To znaczy?

- Coś do jedzenia albo do picia? Jest sok, mineralna... - Nogi miał jak z waty, ale od drzwi dzieliło go tylko kilka kroków. Chwiejnie ruszył w stronę wyjścia.

- Dla mnie nic - odparł tamten. - Mam tu wszystko, czego mi trzeba.

Erwin sięgnął dłonią do klamki; prawie nie słyszał już Fletchera.

Chciał opuścić ten pokój, ten dom, nawet jeśli miałyby to oznaczać sterczenie na ulicy,

w chłodzie, oczekując, aż zjawi się policja.

Kiedy jego pięść zamknęła się wokół klamki, blask płomieni - tych, które okazały się tak łaskawe dla Fletchera, ukazał mu prawdę o stanie jego własnego ciała. Obserwacje nie były pomyślne. Skóra wokół nadgarstka obwisła mu, jakby znajdujące się pod nią mięśnie uległy gwałtownej atrofii. Podciągnął rękaw i to co ujrzał sprawiło, że z jego ust wyrwał się przeciągły krzyk. Nic dziwnego, że czuje się słaby. Strasznie wychudł; jego przedramię składało się tylko ze skóry i kości.

Dopiero teraz zrozumiał sens ostatnich słów Fletchera.

„Dla mnie nic...”

- O Boże, nie! - jęknął Erwin i zaczął szarpać za klamkę. Drzwi były naturalnie zamknięte, a klucz zniknął.

„Mam tu wszystko, czego mi trzeba”.

Erwin rzucił się na drzwi i z dzikim wrzaskiem uderzył w nie ramieniem. Kiedy jego krzyk z braku tchu urwał się, usłyszał za sobą jakieś poruszenie i obejrawszy się przez ramię ujrzał Fletchera - wciąż siedzącego na ostatnim z kolonialnych krzeseł - przesuującego się w jego stronę. Erwin odwrócił się twarzą do tego, który go pożerał, i oparł się plecami o drzwi.

- Obiecałeś, że mnie ocalisz - powiedział.

- Czyż twoje życie nie jest banałem? - odparł Fletcher. - I czyż poprzez śmierć nie ocaleć cię od niego?

Erwin otworzył usta, by powiedzieć: Nie, moje życie nie jest banałem. Znam pewien sekret, i to jaki. Zanim jednak zdążył wykrztusić choć słowo, tamten wyciągnął rękę i schwycił go za dłonie - zimne ciało dotknęło zimnego ciała. A potem Erwin poczuł, iż resztki życia wypływają zeń wartką strugą, jakby chciały możliwie najszybciej znaleźć się w ciele, które zrobi z nich lepszy użytek.

Zapłakał, tyleż z wściekłości, co ze strachu wywołanego tym jawnym aktem dezercji i wciąż jeszcze szlochał, gdy jego cielesność opuszczała go, doszczętnie wysysana, z każdą mijającą sekundą, aż nie pozostało zeń nawet tyle, by mógł pochlipywać.

## 2

Joe nie zamierzał wdrapywać się na szczyt góry. Postanowił, że ukryje się wśród drzew, nisko na zboczu, aż na ulicach poniżej ustanie intensywny za dnia ruch. Potem miał zamiar zejść na dół i odwiedzić dom Phoebe. Taki był plan. Jednakże w którymś momencie, wieczorem, nie potrafił konkretnie sprecyzować kiedy, postanowił podejść kawałek w górę,



aby zabić dręczącą go nudę, a gdy już zaczął iść, nie zatrzymywał się, wiedziony nie sprecyzowanymi bliżej myślami, aż linia drzew została daleko w dole.

Noc jest piękna, a z Wyżyny będzie miał naprawdę wspaniały widok na miasto, dolinę i co ważniejsze, na drobny fragmencik świata znajdującego się dalej, świata, do którego już jutro wyprawia się wspólnie z Phoebe. Dlatego Joe piał się coraz wyżej i wyżej, ale drzewa, zamiast rzednąć, na pewnym odcinku rosły tak gęsto, że ledwie mógł dostrzec gwiazdy migoczące na niebie powyżej. Szedł pod górę, noga za nogą, efekty narkotyczne tabletek przeciwbólowych okazały się na tyle silne, że nie dochodziło doń, iż stopniowo, z każdą mijającą minutą pigułka traci swą moc. To, iż jakaś część jego ciała i umysłu cierpiała, nieomal wzmagało rozkosz wspinaczki; odrobina goryczy nadała tej przyjemności odpowiedni posmak.

W końcu jednak drzew zaczęło ubywać, a Joe znalazł się wysoko ponad ich linią, na Wyżynie. Oglądając się raz po raz przez ramię, stwierdził, że mimo wszystko gra była warta świeczki. Miasto w dole wyglądało jak mała szkatułka z drogimi klejnotami. Dotarł do skalnego występu i przysiadł na nim, by przez chwilę pozachwycać się tym widokiem. Wzrok zawsze miał dobry i nawet z tej odległości widział ludzi spacerujących po Main Street. Byli to, jak przypuszczał, turyści, spragnieni nocnych uroków miasta.

Kiedy tak im się przyglądał, coś nagle zakłóciło nieco swobodny ciąg jego myśli. Nie wiedząc czemu spojrzał w stronę szczytu góry. Po chwili wstał i raz jeszcze spojrzał w tamtą stronę. Czyżby to było złudzenie, czy paliło się tam światło, na przemian to przygasając, to błyskając jaśniej? Obserwował je przez pełną minutę, po czym skuszony łagodnym migotaniem jał ponownie pisać się pod górę, tym razem nie odrywając wzroku od punktu, gdzie ujrzał owo światło. Nie potrafił dostrzec jego źródła - było ukryte za skałami, lecz teraz nie wątpił już, że zjawisko było jak najbardziej realne. I wcale nie odosobnione. Towarzyszył mu również dźwięk, choć bardziej wyczuwalny niż słyszalny, rytmiczny łomot, jakby w jakiejś innej sferze ktoś walił w ogromny bęben. I choć ledwie uchwytny, w powietrzu pojawił się subtelny posmak, od którego usta Joego wypełniły się śliną.

Znajdował się już niezbyt daleko od bliźniaczych skał, wzrok wbił w szczelinę pomiędzy nimi. Jego członek i jądra pulsowały wściekłym bólem, którego rytm zlał się w jedno z tempem uderzeń w bęben; migdałki, podrażnione ostrym powietrzem, paliły go żywym ogniem; łzy płynęły mu z oczu, usta wypełniała ślina.

Teraz, z każdym krokiem doznania te przybierały na sile. Z krocza falami zaczęły rozchodzić się pulsujące emocje, obejmując całe ciało Joego od stóp do głów, aż zaczęło mu się wydawać, że każdy nerw w jego wnętrzu wił się w rytm potężnych uderzeń. Oczy zasłyły

mu łzami, ciekło mu z nosa, z ust spływały strużki. Mimo to brnął dalej, chcąc za wszelką cenę poznać tę tajemnicę, a kiedy zbliżył się do skał na tyle, że gdyby upadł, mógłby ich dotknąć, ujrzał, że nie byłby pierwszy, którego to spotkało. W szczelinie między kamieniami leżało ciało skąpane w falach światła. Mimo iż wydawało się wzrostu dorosłego człowieka, proporcje miało odpowiednie dla płodu, olbrzymią głowę i chude jak patyki kończyny, które - przyciśnięte do tułowia - wydawały się szczątkowe, jakby w stanie zaniku.

Widok ten zaniepokoił Joego i gdyby istniała inna droga ku światłu, z pewnością by nią ruszył. Głazy wydawały się jednak zbyt gładkie, aby można się na nie wspiąć, a poza tym spieszno mu było, aby jak najszybciej poznać odpowiedzi na nurtujące pytania, toteż ominięcie kamieni nie wchodziło w rachubę; w tej sytuacji Joe podszedł po prostu do szczeliny, aby ominąć leżącego.

Kiedy znalazł się obok ciała, jedna z tych chudych, wymizerowanych, martwych kończyn uniosła się i schwyciła go za nogę.

Joe krzyknął i zatoczył się plecami na skałę, mimo to stwór go nie puścił. Unosząc swą wielką głowę z ziemi otworzył oczy, a Joe, nawet poprzez łzy, stwierdził, że spojrzenie tamtego nie należało do istoty żegnającej się ze światem. Było rzeźkie, przejrzyste i żywe, podobnie jak głos, który dobył się z bezwargich ust.

- Jestem Noe - odezwało się stworzenie. - Przyszedłeś zabrać mnie do domu?

### 3

Phoebe została w szpitalu aż do północy, tyle zajęło jej uporanie się z papierami po śmierci Mortona. Znowu pojawił się Gilholly, podejrzewała, że się pokaże, gdy tylko dowie się, co się stało.

- To znacznie utrudnia sytuację zarówno pani, jak i jej kochasia - zwrócił się do Phoebe.  
- Zdaje pani sobie z tego sprawę?

- Morton miał atak serca - ucięła.

- Zaczekajmy z tym na wyniki autopsji, wszystko się wtedy okaże. Wyciągnął palec w stronę Phoebe. W innej sytuacji zapewne rzuciłaby jakąś uszczypliwą uwagę, teraz jednak robiła wszystko, aby dobrze grać rolę pogrążonej w smutku żony, która właśnie straciła męża.

- Rozumiem - szepnęła.

Jej gra chyba przekonała Gilholly'ego, który nieco złagodniał.

- Dlaczego to zrobiłaś, Phoebe? - zapytał z wyrzutem. - Wiesz, znasz mnie, nie jestem rasistą, ale skoro miałaś zamiar rozdawać miłość innym, czemu w ogóle z nim byłaś?

- A czemu my wszyscy robimy to czy tamto? - odrzekła, usiłując nie patrzeć na żalną twarz, z obawy, że nie zdoła nad sobą zapanować i wymierzy mu siarczysty policzek.

Najwyraźniej Jed przyjął ów spuszczone wzrok jako jeszcze jeden dowód skruchy Phoebe, położył dłoń na jej ramieniu i szepnął:

- Wiem, że teraz może trudno w to uwierzyć, ale na końcu każdego tunelu znajduje się światelko.

- Czy na pewno? - Nie była przekonana.

- Możesz mi wierzyć - rzekł. - A teraz jedź już do domu i spróbuj trochę się przespać. Porozmawiamy rano.

Rano już mnie tu nie będzie, palancie - pomyślała, oddalając się wolno - wyjadę gdzieś, gdzie mnie nigdy nie znajdziesz. Wyjadę z mężczyzną, którego kocham.

Naturalnie nie mogła zasnąć, mimo że padała z nóg i odrobina odpoczynku dobrze by jej zrobiła. Po pierwsze, musiała się spakować, co też uczyniła pomiędzy kolejnymi wypadami do lodówki po kawałek placka albo frankfurterkę. Żółta musztarda skapnęła na bieliznę, kiedy Phoebe przeglądała rzeczy, wybierając te, w których Joe chciałby ją zobaczyć i odrzucając inne, które miały trafić do śmieci - a potem, już spakowana, przepatrzyła pospiesznie albumy ze zdjęciami w poszukiwaniu wspomnień, które zabierze ze sobą. Zdjęcie domu, kiedy wprowadzili się tu z Mortonem, oboje pałający radością i pełni nadziei; kilka fotografii z dzieciństwa: mama, tato, Murray i ona sama - wyglądała pulchnie, nawet jako sześciolatka.

Nigdy nie lubiła fotografii ślubnych, nawet tych, na których nie było Mortona, ale z czystego sentymentu wzięła jedną, grupową i kilka fotek z parady festynowej w roku 1988, kiedy doktor Powell zapłacił za stroje z własnej kieszeni, a wystąpiła w śmiesznym kostiumie butelki od lekarstw i bardzo się spodobała wielu ludziom.

Zanim Phoebe skończyła się pakować, wybierać zdjęcia, jeść ciasto i frankfurterki była już prawie trzecia i zaczęła nie na żarty się zastanawiać czy Gilholly'emu udało się dopaść Joego. Jednak odrzuciła od siebie te myśli. Gdyby tak się stało, na pewno Jed już by zadzwonił, aby ją o tym powiadomić. Albo też Joe by zatelefonował, żeby powiedzieć, że po nią nie przyjdzie i poprosić o przysłanie mu adwokata.

Nie, jej kochanek wciąż gdzieś się ukrywa i na pewno skontaktuje się z nią - to tylko kwestia czasu. Może, odczekawszy aż ulice się wyludnią, wrócił do siebie, aby spakować trochę rzeczy, lub starał się załatwić dla nich samochód, którego glinom nie uda się tak łatwo wyśledzić. A może po prostu czekał, nie robiąc nic, jak to niekiedy bywało, z czystej

przyjemności błędnego leniuchowania Wszystko będzie dobrze, jeżeli tylko ulotnią się stąd przed świtem; mieli na to jeszcze około trzech godzin. Podeszła do tylnych drzwi i stanęła na progu, wypatrując znajomej sylwetki wśród drzew. Przyjdzie. Może jeszcze trochę później, ale w końcu się zjawi.

4

- Gdzie jest ten twój dom? - zwrócił się Joe do Noego, a stwór uniósł lewą rękę, prawą wciąż trzymając go za nogę i wskazał na stromiznę pomiędzy skałami, w stronę, skąd dobiegało światło, dźwięk i zapach, których źródła jeszcze nie dostrzegali.

- Co to takiego? - spytał Joe.

- Naprawdę nie wiesz?

- Nie wiem.

- O dziesięć kroków stąd znajdują się brzegi Quiddity - wyjaśniła istota - Ale ja jestem zbyt słaby, abym mógł tam się dostać.

Joe ukucnął przy nim.

- Nie aż tak słaby - mruknął, uwalniając nogawkę spodni z palców Noego.

- Próbowałem trzy razy - odrzekł stwór - ale przy progu moc jest zbyt silna. Oślepiła mnie i gruchocze mi kości.

- A moich nie pogruhocze?

- Może i tak. Może i tak. Ale uwierz mi, że po tamtej stronie jestem istotą wielkiej mocy. Czegokolwiek braknie ci tutaj, tam natychmiast ci to zapewnię.

- Czegokolwiek mi brak, hę? - rzekł do siebie Joe. Zamyślił się. Lista była zbyt długa. - Jeśli więc przeniosę cię przez ten próg... - ciągnął zastanawiając się, czy podczas wspinaczki nie poślizgnął się i teraz nie leży gdzieś, majacząc w ten dziwny sposób i wykrwawiając się przy okazji na śmierć. - To co się stanie?

- Jeżeli mnie przeniesiesz, będziesz mógł odrzucić wszystkie lęki, jakie w sobie nosisz w tym świecie, tam bowiem czeka na ciebie potęga i przyrzekam, że dam ci tę moc. Moc, która wyda ci się niezmierną, gdyż twój umysł nie jest w stanie pomieścić dość ambicji, aby ją w pełni zużytkować.

Joe nie przywykł do tak złożonych tyrad i fakt ten, jak również połączenie łzawienia oraz pulsującego, ćmiącego bólu nie pozwoliły mu pojąć w pełni tego, co doń mówiono. Orientował się tylko w ogólnych zarysach planu dziwnej istoty. Miał przenieść ją dziesięć czy dwadzieścia kroków dalej, przez próg i otrzymać nagrodę za swój trud.

Obejrzał się za siebie, w stronę światła, próbując dostrzec jakieś szczegóły, i przyćmione lekami myśli zaczęły nagle wyluskiwać odpowiedź na dręczącą go zagadkę.

- To twój statek, prawda? - rzucił półgłosem. - Pieprzone UFO.

- Mój statek?

- Boże... - Z przerażeniem na twarzy spojrział w oblicze stwora. - Jest was więcej?

- Oczywiście.

- Ilu?

- Nie wiem. Nie byłem w domu od z górą stu lat.

- Dobra, w takim razie kto jest jeszcze na statku?

- Czemu wciąż mówisz o jakimś statku?

- Dlatego! - Joe wskazał na światło. - Jak to nazwałeś? Quiddity?

- Quiddity nie jest statkiem. To morze.

- Ale to w nim tu przybyłeś?

- Przepląnąłem je, to fakt, aby dostać się tutaj. I żałuję, że tak się stało.

- Dlaczego?

- Ponieważ odnalazłem tu tylko samotność i smutek. Byłem okazem zdrowia, kiedy moja stopa pierwszy raz dotknęła tej ziemi. Spójrz na mnie teraz. Proszę, w imię ludzkiego współczucia, przenieś mnie przez próg... - Na twarzy Noego, gdy mówił te słowa, pojawiły się kropelki ciemnego potu. - Wybacz moje podniecenie - powiedział. - Nie śmiałem łudzić się nadzieją aż do teraz...

Jego słowa przemówiły do Joego, zabrzmiała w nich jakaś nuta, której nie potrafił się oprzeć.

- Zrobię, co w mojej mocy - zapewnił Noego.

- Dobry z ciebie człowiek.

Joe wsunął dłonie pod ciało Noego.

- Gwoli jasności - powiedział. - Ze mną też jest kiepsko. Postaram się jak umiem najlepiej, ale niczego ci nie gwarantuję. Obejmij mnie ramieniem. O tak, świetnie. - Zaczął się podnosić.

- Jesteś cięższy, niż na to wyglądasz - stwierdził. Przez chwilę chwiał się, ale w końcu złapał równowagę i udało mu się wyprostować. - Chciałbym wiedzieć, z jakiej pochodzisz planety - powiedział, zmiierzając w stronę przejścia.

- Z jakiej planety?

- Tak. I w jakiej leży ona galaktyce. Cały ten szajs. Bo kiedy już odejdiesz, jedynym sposobem, abym mógł przekonać ludzi, że to wszystko przydarzyło mi się naprawdę, będzie

przekazać im możliwie jak największą liczbę szczegółów.

- Chyba cię nie rozumiem.

- Chciałbym wiedzieć... - zaczął Joe, ale nie dokończył, bo właśnie w tej chwili wyszedł ze szczeliny pomiędzy skałami i nareszcie ujrzał to, co znajdowało się przed nim. Nie było tu statku kosmicznego, a w każdym razie takiego, który byłby widoczny. Było tylko niebo i szczelina w błękitie oraz światło, które przebijało przez tę szczelinę, omiatając go pieszczotliwie. Kiedy poczuł je na sobie, jedyne, czego zapragnął, to znaleźć się po drugiej stronie, aby w pełni nacieszyć się cudownymi promieniami tego osobliwego słońca i móc chociaż raz na nie spojrzeć.

Noe drżał w jego ramionach. Jego cienkie, kruche palce wpiły się głęboko w ramię Joego.

- Widzisz? - szeptał raz po raz - Widzisz to?

Joe zobaczył. Inne niebo, a pod nim inny brzeg. W oddali zaś ujrzał morze, którego fale wydały mu się równie znajome jak odgłos własnego serca, zapach powietrza zaś sprawił, że jego ciało, jakby oddając hołd owej woni, zaczęło gwałtownie pozbywać się płynów.-

- Quiddity - wyszeptał Noe.

O Boże, pomyślał Joe. Jakże byłoby wspaniale, gdyby była przy mnie teraz Phoebe i mogła oglądać te cuda. Przerażony i zarazem ucieszony widokiem prawie nie zdawał sobie sprawy, że ziemia pod jego stopami porusza się i niczym lotne piaski wciągnęła go już do kostek. Lotny grunt falował, przepływając tam i z powrotem przez próg przejścia.

Joe poczuł ową moc i aby nie zbiła go z nóg, musiał na chwilę przystanąć i poprawić swe brzemię. Znajdował się o dwa kroki od szczeliny i wyzwolone tu energie były doprawdy znaczne. Poczuł jak trzeszcza mu stawy, żołądek wywraca się, a krew dudni w żyłach, jakby miała wyrwać się z nich i sama złączyć się z Quiddity, gdyby on teraz okazał w marszu zbytnią opieszałość.

Zrozumiał, co musi zrobić; przytulił mocno Noego i pochylił głowę, jakby siedł pod wiatr. A potem znów ruszył naprzód, stawiając zdecydowanie pierwszy krok, równie energicznie drugi, trzeci zaś był bardziej skokiem niż stąpieniem. Oczy miał zamknięte, z obawy przed naporem szalejących dokoła mocy, ale pod powiekami nie widział czerni. Widział błękit, aksamitny błękit, a poprzez ryk przesyconej żądzą krwi słyszał ptaki, ich głosy zaś były niczym smugi szkarłatu pośród błękitu, wysoko w górze.

- Nie znam twego imienia - szepnął ktoś do niego - ale mam nadzieję, że mnie słyszysz.

- Tak - wyobraził sobie własną odpowiedź. - Słyszę cię.

- Wobec tego otwórz oczy - polecił głos. Uświadomił sobie, iż to Noe doń mówi. - I

ruszajmy w drogę.

- Dokąd się wybieramy? - zapytał Joe. Chociaż polecono mu, by otworzył oczy, błękit pod powiekami był tak cudowny, iż w ogóle nie miał ochoty rozstawać się z nim.

- Do Liverpoolu - odrzekł Noe.

- Do Liverpoolu? - zdziwił się Joe. Miasto to jawiło mu się szare i prozaiczne. - Przebyliśmy całą tę drogę tylko po to, aby wybrać się do Liverpoolu?

- Chodzi o statki. Widać je stąd.

- Jakie znowu statki? - dopytywał się Joe. Jego powieki wciąż nie chciały się unieść.

- Sam zobacz.

Dlaczego nie? - pomyślał Joe. Błękit zawsze tam będzie, za każdym razem, kiedy tylko zmrużę powieki. I z tą myślą otworzył oczy.

# Rozdział III

## 1

Był piątek rano, za późno na jakiegokolwiek wymówki. Jeżeli nie posprzątało na półkach, nie umyło okien, nie pomalowano drzwi, nie zamieciono ulicy, nie przystrzyżono sierści psu, nie naprawiono uszkodzonych zawiasów, nie uprasowano obrusów i nie zamówiono placków, to było już na to za późno. Zjechali ludzie chętni, by wydać trochę grosza i odrobinę się zabawić, toteż wszystko, co pozostało nie dokończone, musiało na razie takim pozostać.

- Nie ulega wątpliwości - rzekła Dorothy Bullard do męża, kiedy stanęła przy oknie, by spojrzeć na słońce - że to będzie najlepszy rok.

Nie musiała daleko patrzeć, aby stwierdzić, że nie ona jedna jest tego zdania. Kiedy przed ósmą przejeżdżała wzdłuż Main Street, ulica była już bardziej zatłoczona niż w sobotnie popołudnie, a wśród ludzi na chodniku wypatrzyła tylko niewielu znajomych. Większość byli to goście, ludzie, którzy wynajmowali pokoje w motelach i pokoje gościnne od ubiegłego wieczoru, a obecnie pieszo lub autem wyruszali w głąb miasta, by rozpocząć weekend, ciesząc się jajecznica na bekonie i serdeczną gościnnością mieszkańców Everville.

Kiedy dotarła do Izby Handlowej, odwiedziła Gilholly'ego, którego biuro mieściło się po drugiej stronie korytarza, aby sprawdzić, czy są już jakieś informacje dotyczące sprawy Phoebe Cobb. Gilholly'ego jeszcze nie było, ale ulubiony funkcjonariusz Dorothy Ned Bantam siedział za biurkiem ze specjalnym wydaniem *Tribune* w rękę i kartonem mleka.

- Wygląda, że to będzie wspaniały weekend, Dottie, dziecinko - uśmiechnął się. Już kilkakrotnie zabraniała mu zwracać się do niej w ten sposób, ale robił to z takim wdziękiem, że przestała go upominać.

- Aresztowałeś Joego Flickera?

- Najpierw muszę go znaleźć.

- Nie złapałeś go?

- Gdybyśmy go złapali, siedzieliby już w areszcie, Dottie - odrzekł Ned. - Nie patrz tak ponuro. Dostaniemy go.

- Uważasz, że jest niebezpieczny?

- Spytaj Mortona Cobba. Chyba jednak trochę już na to za późno.

- Dlaczego?



- Nie wiesz? - zdziwił się Ned. - Ten żalosny frajer umarł wczorajszej nocy.

- O Boże! - Dorothy poczuła, że zbiera jej się na mdłości. - A zatem w weekend festynu mamy atrakcję w postaci polowania na mordercę?

- To doda imprezie odpowiedniego smaczku, nie uważasz?

- Nie uważam tego za zabawne - powiedziała Dorothy. - Pracujesz cały rok...

- Nie przejmuj się - mruknął Ned. - Flicker jest już pewnie w Idaho.

- A co z nią? - spytała Dorothy. Znała Phoebe tylko z widzenia. Jej zdaniem ta kobieta była mocno zmanierowana

- Co z nią?

- Aresztujesz ją czy jak?

- Jed zlecił Bameyowi całonocną obserwację jej domu, na wypadek, gdyby Flicker znów się tam pokazał, ale on raczej tego nie zrobi. Bo niby po co?

Dorothy nie odpowiedziała, choć słowa cisnęły się jej na język. Z miłości, ma się rozumieć. Wróci tu z miłości.

- A więc po Flickerze ani śladu?

Ned pokręcił głową i Dorothy mimo woli poczuła satysfakcję, że kochanek pani Cobb do niej nie wrócił. Ma, czego chciała, teraz musi za to zapłacić.

Uspokoiwszy nieco dręczące ją niepokoje, spytała Neda, czy będzie na bieżąco relacjonował jej przebieg pościgu za zbiegiem, po czym udała się do pracy, zadowolona, że jeśli nawet kochasia Phoebe nie było w Idaho, to znajdował się dostatecznie daleko, by nie móc zepsuć im wszystkim nadchodzącego weekendu.

## 2

Nie przyjechał po nią. Phoebe obudziła się z tą myślą. Czekala i czekała przy tylnym wejściu, aż dzień przegonił z nieba wszystkie gwiazdy, a Joe się nie pojawił.

Obecnie siedziała przy stole kuchennym, nad talerzem z resztkami naleśników i zastanawiała się, co czynić dalej. Coś w niej mówiło - wyjedź, wynieś się stąd, póki możesz. Jeśli zostaniesz, wszyscy mieszkańcy tego cholernego miasta będą traktować cię jak pogrążoną w żałobie wdowę. Poza tym czekają cię jeszcze przygotowania do pogrzebu i problem ubezpieczenia, przy którym nieźle będziesz musiała się nagimnastykować. I nie zapomnij o Gilhollym. Wróci tu i będzie miał jeszcze więcej pytań.

I wtedy pojawił się jeszcze inny głos, który zaczął udzielać jej odmiennych rad. Wyjedź z miasta już teraz, a on nigdy cię nie odnajdzie, mówił. Może zagubił się w ciemnościach,

może Morton zranił go poważniej niż myślałaś, może teraz leżał gdzieś, wykrwawiając się na śmierć.

Sens tego, co powiedział jej ów głos, sprowadzał się do jednego: Czy ufasz mu na tyle, żeby wierzyć, że wróci po ciebie? Jeżeli nie, to wyjedź stąd natychmiast. Jeżeli mu ufasz, zostań i pokazuj im wszystkim pokerową twarz.

Kiedy to sobie ustaliła, zrozumiała, że sprawa jest oczywista.

Naturalnie, że ufała Joemu. Oczywiście. Oczywiście.

Zaparzyła dzbanek mocnej czarnej kawy, aby zwalczyć zmęczenie, wzięła krótki zimny prysznic, zrobiła sobie fryzurę i ubrała się starannie.

O ósmej czterdzieści pięć, kiedy miała już wyjść do pracy, zadzwonił telefon. Podbiegła do aparatu i drżącą dłonią podniosła słuchawkę, ale usłyszała jedynie oschły, charakterystyczny głos Gilholly'ego.

- Chciałem tylko sprawdzić, czy nigdzie się pani nie wybiera - rzekł Gilholly.
- Właśnie miałam wyjść do pracy - odparła Phoebe. - Oczywiście za pańską zgodą.
- Chyba nie powinienem mieć większych problemów ze znalezieniem pani.
- Wydaje mi się, że raczej nie.
- Pani kochaś nie wrócił wczorajszej nocy do domu.

Już miała powiedzieć, że nie, kiedy uświadomiła sobie, że to nie jest pytanie, lecz stwierdzenie faktu. On wiedział, że Joe nie wrócił do domu. To oznaczało, że przez całą noc miał w pobliżu swojego człowieka; co za tym idzie, istniała spora szansa, że Joe wypatrzył szpicla i trzymał się na uboczu, gdyż nie uśmiechało mu się trafić za kratki. To wszystko przemknęło Phoebe przez myśl w jednej chwili, nie dość krótkiej jednak, aby Gilholly nie zwrócił uwagi na jej zakłopotane milczenie.

- Jest tam pani jeszcze? - zapytał.

Ucieszyła się, że prowadzi tę rozmowę przez telefon, nie musiała bowiem ukazywać uśmiechu, który pojawił się na jej ustach.

- Tak - powiedziała, starając się ukryć nutę ulgi w swoim głosie. - Tak, nadal tu jestem.
- Jeżeli spróbuje się z panią skontaktować...
- Wiem, wiem. Zadzwoń do ciebie, Jed, obiecuję.
- Proszę nie zwracać się do mnie po imieniu, pani Cobb - burknął oschle. - To sprawa czysto służbowa. Zachowujmy stosunki adekwatne do tej sytuacji.

To rzekłszy, przerwał połączenie. Phoebe odłożyła słuchawkę i rozdygotana na chwilę przysiadła na schodach. W końcu, bez ostrzeżenia, napłynęły do jej oczu łzy ulgi i szczęścia. Dopiero dziesięć minut później zdołała zapanować nad sobą na tyle, by wstać i umyć twarz.

Pomimo trudów ubiegłej nocy, Buddenbaum obudził się jak zawsze, na kilka minut przed świtem; jego zegar wewnętrzny był nastawiony tak idealnie, że w ciągu osiemdziesięciu lat praktycznie nie stracił ani jednego wschodu słońca. Zajmował się tym, co epickie, a czyż było coś równie dramatycznego i pierwotnego zarazem jak spektakl, który rozgrywał się każdego dnia o świcie i o zmierzchu? Zwycięstwo światła nad mrokiem miało dziś jednak moc szczególną, blask wschodzącego słońca skąpał bowiem arenę dramatu, który jak Owen sądził, miał się stać jedną z najbardziej pamiętnych sztuk w dziejach całej ludzkości. Minęło półtora wieku, odkąd zasiał ziarno, z którego zrodziło się Everville; półtora wieku, a w tym czasie pełen nadziei zasiał wiele podobnych ziaren. W większości owe lata przepełnione były samotnością i frustracją; Buddenbaum wędrował przez ten czas od stanu do stanu, wieczny gość, wieczny outsider. Naturalnie taka sytuacja miała również swoje dobre strony - po pierwsze pozwoliła mu nabrać dystansu do zbrodni, cierpień i tragedii, które stanowiły przysłowiową łyżkę dziegciu w beczce miodu nadziei pionierów, oczekujących, że ich Ziemia Obiecana okaże się istnym rajem. Tak mało pozostało, nawet w mieście w rodzaju Everville, z czystej, entuzjastycznej wizji dusz, którymi kierował w Independence w Missouri. Była to wizja motywowana desperacją, sycąca się ignorancją, ale mimo słabości, absurdów i niedociągnięć na swój sposób zdołała go poruszyć. I wciąż poruszała, kiedy ją wspominał. W tych nieulekłych sercach było coś prymitywnego i czystego, ludzie ci otrzymali dar znacznie większy niż inni, których znał, ci, którzy przybyli później, nie zostali nimi nagrodzeni. Zdaniem Owena oni wszyscy byli całkiem prozaiczni, ci budowniczkowie przedmieść i założyciele komitetów, owi mężczyźni i kobiety utracili poczucie kruchej świętości rzeczy.

Naturalnie istniały również wyjątki, jak ten dzieciak, który leżał teraz na łóżku za nim, pogrążony w głębokim śnie. On i mała Maeve O'Connell doskonale by się porozumieli - a przynajmniej tak się Owenowi wydawało. Po tylu latach ćwiczenia swych instynktów, po przybyciu do nowego miasta, był w stanie w ciągu zaledwie kilku godzin wyłuskać spośród mieszkańców człowieka takiego jak Seth. W każdej wspólnocie można było znaleźć jednego lub dwóch młodzieńców, którzy miewali wizje, słyszeli dziwny łoskot lub mówili różnymi językami. Niestety wielu z nich szukało ucieczki w narkotykach, zwłaszcza chłopcy z wielkich miast. Spotykał ich na zatłoczonych rogach ulic, gdy handlowali prochami, wpatrując się jednym okiem w niebo, a potem zabierał do takiego pokoju jak ten (ile już ich było? Pewno kilka tysięcy), gdzie sprzedawali swe wizje za aktywną i pasywną sodomie.

- Owenie?

Włosy chłopca, rozrzucone na poduszce, zdawały się falować.

- Dzień dobry - powiedział Buddenbaum.

- Wracasz do łóżka?

- Która godzina?

- Dochodzi siódma - odrzekł Seth. - Nie musimy jeszcze wstawać. - Przeciągnął się i rozłożył miękko na pościeli.

Owen spojrzał na kępki włosów pod pachami chłopca i jął zastanawiać się nad mechanizmami namiętności.

- Muszę dzisiaj coś zbadać - oświadczył. - Chciałbyś pójść ze mną?

- To zależy, co zamierzasz badać - odparł Seth, bezwstydnie zaspokajając się pod prześcieradłem.

Owen uśmiechnął się i stanął w nogach łóżka. Chłopak w przeciągu jednej nocy zmienił się z rozbitka życiowego we flirtarza. Uniósł teraz prześcieradło powyżej kolan, tak, by Buddenbaum mógł dostrzec jego odbył.

- Przypuszczam, że moglibyśmy zostać tu jeszcze godzinę lub dwie - uznał Owen, rozwiązując pasek szlafroka, aby chłopak ujrzał o co się prosi. Seth poczerwieniał, jego twarz, szyja i pierś w ciągu dwóch uderzeń serca oblały się rumieńcem.

- Śniłem o tym - powiedział.

- Kłamiesz.

- Mówię prawdę - zaprotestował chłopak.

Narzuta wciąż spoczywała podciągnięta na jego uniesionych kolanach. Owen nie próbował jej ściągnąć, lecz ukląkł po prostu pomiędzy stopami Seta i spojrzał mu w twarz; jego członek wysunął się spomiędzy pół szlafroka.

- Opowiedz mi... - zaczął.

- O czym?

- O czym śniłeś. - Seth wydawał się teraz trochę zdezorientowany. - Mów - nakłaniał go Owen - albo zaraz wstaję.

- Noo - rzekł Seth. - Śniło mi się... Jezu, to brzmi tak głupio.

- Wyduś to.

- Śniłem, że to - wskazał na penis Owena - był młot.

- Młot?

- Tak. Śniło mi się, że był od ciebie oddzielony, no wiesz, a ja trzymałem go w ręku, jak młot.

Obraz ten, mimo iż osobliwy, nie wydał się Owenowi całkiem absurdalny, zważywszy

rozmowę, którą odbyli na ulicy poprzedniego wieczoru. Ale to nie było wszystko.

- Używałem go, aby zbudować dom.

- Wymyślasz to wszystko na poczekaniu?

- Nie. Przysięgam. Byłem na dachu tego domu, stał dopiero sam jego szkielet, ale dom był wielki, znajdował się na jakiejś górze i były tam gwoździe, jak małe ogniste hacele, i twój członek... Uniósł się lekko, by dotknąć żołądźmi nabrzmiałego organu Owena - twój kutas był młotkiem, którym wbijałem te gwoździe. Pomagałeś mi zbudować dla mnie dom. - Spojrzał na twarz Owena i wzruszył ramionami. - Powiedziałem, że to głupie.

- A gdzie była reszta mnie? - dopytywał się Owen.

- Nie pamiętam - odrzekł Seth.

- Hm.

- Nie wkurzaj się.

- Nie wkurzam się.

- To był tylko głupi sen. Myślałem o waleniu i... czy moglibyśmy w końcu przestać o tym rozmawiać? - Objął palcami organ Owena, który podczas ich rozmowy o snach znacznie się zmniejszył i sflaczał, po czym zaczął nim poruszać, usiłując przywrócić go do poprzedniego stanu. Ku rozczarowaniu Setha, okazało się to trudniejsze niż przypuszczał.

- Znajdziemy na to chwilę czasu po południu - zapewnił go Owen.

- Dobrze - zgodził się Seth, kładąc się na wznak na łóżku i odsuwając skraj narzuty, zasłaniający jego krocze. - Tylko przez to będzie mi niewygodnie chodzić.

Owen z pewnym niepokojem spojrział na niemal bezwłose przyrodzenie chłopaka. Nie chodziło o sam widok - penis i jądra prezentowały się całkiem przyzwoicie - jednak myśl, że jego męskość miałaby być wykorzystana jako młotek do wbijania ognistych gwoździ, natomiast reszta ciała poszłaby w zapomnienie, nieco go zdeprymowała.

Naturalnie większość snów była kompletnie bezwartościowa; ot bąble na powierzchni gulaszu uśpionego umysłu, pękające od czasu do czasu, gdy nabrzmieją. Czasami były jednak objawieniami przeszłości, niekiedy przepowiedniami, innym znowu razem sposobami na kształtowanie teraźniejszości. Czasami również - i należało to do rzadkości, ale wiedział, że się zdarza - sny okazywały się znakami mówiącymi, iż obietnice Sztuki nie są czczymi obietnicami, że umysł ludzki jest w stanie pojmować przeszłość, przyszłość i teraźniejszość jako jeden moment wieczności. Nie wierzył, że sen Setha o młotku i gwoździach pasuje do tej kategorii, ale wyczuwał w nim coś, co sprawiło, iż zaczęły mu się pocić dłonie i zaswędziało go skóra na karku. Ten sen miał ukryte znaczenie, trzeba je teraz tylko odgadnąć.

- O czym myślisz?

Na bladej, pociągłej twarzy Setha malowało się zakłopotanie.

- O Rozstajach - odparł Owen.

- Dlaczego?

- Bo tam właśnie udamy się dziś rano na poszukiwania. - Wstał z łóżka i udał się do łazienki. - Chcę odnaleźć pierwsze skrzyżowanie dróg w tym mieście.

- Czemu? - zdziwił się Seth.

Zastanawiał się, czy powinien skłamać, tylko po co? Odpowiedź i tak była paradoksalna.

- Bo moja podróż kończy się tam, gdzie krzyżują się drogi - wyjaśnił.

- Co to ma znaczyć?

- To znaczy, że nie zabawię już tu długo - oznajmił, pojawiając się w drzwiach łazienki.

- W tej sytuacji nie widzę przeszkód, żebyśmy nie mieli trochę się zabawić.

Chłopiec spuścił wzrok.

- A co ja zrobię, kiedy odejdiesz? - spytał ze smutkiem.

Owen zamyślił się i po chwili odpowiedział:

- Może zbudujesz dom?

## Rozdział IV

### 1

Tesla zgubiła się na północ od Salem i przejechała ponad pięćdziesiąt kilometrów drogą do Willamina, nim, uświadomiwszy sobie omyłkę, zawróciła. Zanim dotarła do rogatek Everville było już po pierwszej i mocno zgłodniała. Krążyła przez dziesięć minut, zaznajamiając się z układem miasta, a przy okazji szukając jakiegoś przyzwoitego baru, aż w końcu wylądowała w lokalu o nazwie Kitty's Diner. Panował w nim tłok i uprzejmie powiadomiono ją, że będzie musiała trochę poczekać.

- Nie ma sprawy - powiedziała i wyszła na zewnątrz, na słońce.

Postanowiła umilić sobie czekanie, rozglądając się wokoło. Było na co popatrzeć. Bar mieścił się na skrzyżowaniu ulic Main i Drugiej, tak samo ruchliwej arterii komunikacyjnej. Ludzie i pojazdy przepływali nieustającymi falami w obu kierunkach.

Strasznie dużo ludzi, pomyślała.

*Zaczł się jakiś festyn* - odrzekł Raul.

- Skąd wiesz?

*Spójrz przed siebie* - padła odpowiedź.

- Gdzie, do cholery? - burknęła, rozglądając się dookoła.

*Patrz w górę, parę stóp nad tobą* - polecił Raul.

Tesla uniosła wzrok. Nad ulicą rozciągnięty był transparent z napisem: WITAMY NA DOROCZNYM FESTYNIE WEEKENDOWYM W EVERVILLE. Niebieskie litery miały metr wysokości.

Jakim cudem tego nie zauważyłam? - pomyślała (jak zawsze) zaskoczona faktem, że ona i Raul, mimo iż patrzyli tymi samymi oczyma, postrzegali świat w diametralnie różny sposób.

*Koncentrowałaś się na żółdku* - odrzekł Raul.

Zignorowała tę uwagę.

- To nie przypadek - zauważyła.

*Znaczy się, co?*

- Że jesteśmy tutaj w ten właśnie weekend - odrzekła.

*Skoro tak twierdzisz.*

Przez chwilę w milczeniu obserwowała ruch uliczny. Nagle zwróciła się do Raula.

- Czujesz coś?

*To znaczy co?*

- Nie wiem. Coś niezwykłego?

*A co ja jestem, ogar?*

- Dobra, dobra - mruknęła - zapomnij, że pytałam.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy. Nagle Raul odezwał się bardzo cicho:

*Nad transparentem.*

Uniosła wzrok, zerkając ponad niebieskimi literami i dachami.

- Chodzi ci o górę? - spytała.

*Tak...*

- A konkretniej?

*Czuję coś - odrzekł. - Nie wiem co, ale coś...*

Przez chwilę przyglądała się szczytowi. Niewiele było do oglądania - wierzchołek góry tonął w oparach mgły.

- Poddaję się - oświadczyła Tesla. - Jestem zbyt głodna, abym mogła myśleć.

Ponownie spojrzała w kierunku baru. Dwoje klientów podniosło się od stolika, rozmawiając wesoło z kelnerką.

- W samą porę - mruknęła i weszła do środka.

- Pani sama? - spytała kelnerka, prowadząc ją do zwolnionego stolika i podając kartę. - Wszystko jest świetne, ale kurcze wątróbki są NAPRAWDĘ przepyszne. Podobnie jak napój brzaskwiniowy.

Tesla patrzyła, jak kelnerka miękko przemieszcza się pomiędzy stolikami, tu rzucając słówko, tam posyłając promienny śmiech.

*Szczęśliwa duszyczka - zauważył oschle Raul.*

- Wygląda, jakby Jezus był dzisiaj szefem kuchni - rzuciła Tesla, spoglądając na prosty, drewniany krzyż zawieszony nad wejściem na zaplecze.

*To lepiej zamów rybę - zaproponował Raul, a Tesla wybuchnęła śmiechem.*

Kilka osób spojrzało na nią z dezaprobatą, ale raczej nikt nie przejął się tą dziwną kobietą, która nie wiadomo czemu zaśmiewała się do rozpuku, siedząc samotnie przy stoliku.

- Co panią tak rozbawiło? - spytała kelnerka.

- Nic takiego, to taki mały mój własny żart - odrzekła Tesla i zamówiła rybę.



Erwin nie pamiętał, co straszego wydarzyło się w jego domu; chciał jedynie wydostać się stamtąd i znaleźć możliwie jak najdalej.

Stanął przy zamkniętych drzwiach frontowych, mając w głowie mętlik, ze świadomością, że przed opuszczeniem domu musi coś stamtąd wziąć, nie potrafił sobie jednak przypomnieć, co. Odwrócił się i spojrzął w głąb korytarza, mając nadzieję, że coś ożywi jego wspomnienia.

Oczywiście! Wyznanie! Nie mógł opuścić domu bez wyznania. Ruszył z powrotem w głąb korytarza zastanawiając się, gdzie je zostawił. Kiedy jednak znalazł się w pokoju, jego chęć zabrania dokumentu prysła niczym mydlana bańka i nie wiedząc jak się tam znalazł, znów stwierdził, że stoi przed własnym domem, w prażących promieniach słońca. Było trochę za jasno i sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu okularów przeciwsłonecznych, lecz okazało się, że ma na sobie starą, tweedową marynarkę, którą, jak sądził, oddał na cele dobroczynne wiele lat temu. Dar był spontaniczny (co należało u niego do rzadkości) i niemal natychmiast pożałował tego kroku. Dlatego też, niezależnie od okoliczności, które wydały mu się co najmniej tajemnicze, żeby nie powiedzieć podejrzane, w głębi serca cieszył się, że znów ma ją na sobie.

Nie znalazł okularów przeciwsłonecznych, ale w poszczególnych kieszeniach znalazł całą masę najróżniejszych pamiątek - wykorzystane bilety na koncerty w Bostonie, sprzed dwudziestu lat, mocno zużyty niedopałek cygara, którym uczcił zdanie ostatniego egzaminu na studiach, mały kawałek tortu weselnego owinięty w serwetkę, metalowy obcas damskiego, szkarłatnego pantofelka, buteleczkę wody święconej, którą ścisnęła w chwili śmierci w dłoni jego matka. Każda kieszeń zawierała niejeden, lecz cztery lub pięć takich talizmanów, drobiazgów, pamiątek, z którymi wiązały się najróżniejsze wspomnienia - zapachy, dźwięki, twarze, odczucia - a każde coraz bardziej go zadziwiała, do tego stopnia, iż nie zawracał już sobie głowy zagadką odzyskanej marynarki. Był pewien, że ją oddał. A jeżeli nawet tego nie zrobił, jeśli ukradkiem schował ją na dno szafy, by przeleżała tam kolejne dziesięć lat, dziś rano zaś całkiem przypadkowo wydobyl ją stamtąd i całkiem nieświadomie założył, wciąż pozostawała nie rozstrzygnięta kwestia, skąd w jej kieszeniach pojawiła się ta mnogość memuarów z całego jego życia.

Dzieje się coś dziwnego; coś cholernie dziwnego.

Opodal ze swego domu wyszedł pogwizdując Ken Margosian i zaczął przesuwając się z sekatorem wzdłuż krzewów róż, wybierając odpowiednie kwiaty.

- W tym roku róże są wyjątkowo piękne - zwrócił się doń Erwin.

Margosian, zwykle przyjazny sąsiad, nawet nie podniósł głowy.

Erwin podszedł do płotu.

- Wszystko w porządku, Ken? - zapytał.

Margosian wypatrzył jedną z róż i szukał odpowiedniego miejsca, aby ją obciąć. Nic nie wskazywało, aby go usłyszał.

- Co znaczy to milczenie? - burknął Erwin. - Jeśli ma pan coś do mnie...

W tej samej chwili ujrzał panią Semewikow, której zazwyczaj starał się unikać. Była gadatliwa i stawiała sobie za punkt honoru, by w każdą festynową sobotę urządzać niewielką aukcję, z której dochód przeznaczony był na rzecz potrzebujących dzieci. W ubiegłym roku zdołała przekonać Erwina, aby podarował na ten cel honorarium za kilka godzin swojej pracy. Obiecał, że to przemyśli, a potem nie odbierał od niej telefonów. I oto właśnie przyszła, bez wątplenia z tą samą propozycją. Przywitała się z Kenem Margosianem, ale nawet nie spojrzała w stronę Erwina, mimo iż stał obok niej.

- Zastałam Erwina? - zwróciła się do Kena.

- Dość tych żartów - wtrącił Erwin, ale Ken nie zwrócił nań uwagi.

- W nocy słyszałem jakieś dziwne odgłosy - rzekł do pani Semewikow - jakby miała tam miejsce bójka.

- To do niego niepodobne - zauważyła kobieta.

- Dziś rano zapukałem do niego, ale nikt nie otworzył mi drzwi.

- Przestańcie! - zaprotestował Erwin.

- Może jest w swoim biurze... - ciągnęła pani Semewikow.

- Powiedziałem: przestańcie! - ryknął Erwin.

Coraz bardziej irytowało go to, że rozmawiali o nim tak, jakby był niewidzialny. I co miała znaczyć ta nonsensowna uwaga o bójce? Był spokojnym, cichym...

Nagle zmartwiał i ponownie spojrzał w stronę domu, a z otchłani jego pamięci wypłynęło pojedyncze nazwisko.

Fletcher. O Boże, jak mógł zapomnieć o Fletcherze?

- Może zajrzę do jego kancelarii - rzekła pani Semewikow - w ubiegłym roku obiecał mi, że...

- Posłuchajcie - zaczął błagalnie Erwin.

- Przeznaczy honorarium za kilka godzin swojej pracy...

- Nie wiem, dlaczego to robicie, ale posłuchajcie...

- Na aukcję.

- Ktoś jest w moim domu.

- Nawiasem mówiąc, to piękne róże. Zamierzasz wystawić je w konkursie kwiatów?

Erwin miał tego dość. Podeszedł do płotu, wołając do Kena:

- On próbował mnie zabić!

Wyciągnął obie ręce i schwycił Margosiana za kołnierz koszuli. W każdym razie próbował. Jego palce przeniknęły przez materiał, dłonie zacisnęły się w pięści. Spróbował jeszcze raz, z tym samym skutkiem.

Tracę zmysły, pomyślał. Uniósł dłoń do twarzy Kena i podrapał go w policzek, lecz tamten tylko zamrugnął powiekami.

Fletcher zawładnął moim umysłem.

Poczuł, jak narasta w nim panika. Zmusi tego dowcipnisią, aby wszystko wróciło do normy, zanim stanie się coś naprawdę niedobrego. Pozostawiając Kena i panią Semewikow zajętych rozmową o różach, Erwin ruszył ścieżką do frontowych drzwi. Wyglądały na zamknięte, ale jego zmysły były absolutnie niewiarygodne, bowiem uczyniwszy ledwie dwa kroki, przestąpił próg i znalazł się w holu.

Zaczął nawoływać Fletchera. Odpowiedzi nie było, ale ten żartowniś wciąż musiał znajdować się w domu. Wszystkie kąty w holu wydawały się nieco zdeformowane, a ściany miały żółtawy odcień. Co było tego przyczyną, jeżeli nie działalność tamtego?

Wiedział, gdzie znajduje się ów mężczyzna - był w drugim pokoju. Czekał. Tam też uwięził Erwina, igrając z jego zdrowymi zmysłami. Jego wściekłość narastała - jak ten człowiek śmie nachodzić jego dom i manipulować jego umysłem? Pomaszerował przez korytarz do drzwi saloniku. Były otwarte. Nie zawahał się ani chwili i wszedł do środka.

Zasłony były zaciągnięte, w pokoju panował półmrok, a jedyne źródło światła stanowił słaby poblask bijący z dogasających w kominku ogni. Mimo to Erwin natychmiast odnalazł swego dręczyciela. Siedział po turecku, całkiem nagi, na środku pokoju. Był potężnie zbudowany, a jego mocno owłosione ciało pokrywały liczne blizny; niektóre miały aż sześć cali długości. Oczy miał wywrócone w oczodołach, powieki opuszczone. Na podłodze przed nim leżała kupka ekskrementów.

- Ty brudny kundlu! - warknął Erwin. Jego słowa nie wywołały odzewu ze strony Fletchera.

- Nie wiem, w jakie sztuczki umysłowe pogrywasz - ciągnął Erwin - ale chcę, żebyś natychmiast to odwrócił. Cofnij to. Natychmiast. Słyszysz mnie?

*Już!* Oczy Fletchera stały się normalne i Erwin wyraźnie się ucieszył. Znudziło go to ignorowanie przez wszystkich.

- I chcę, żebyś potem...

Przerwał i jęknął z obrzydzenia, gdy Fletcher, sięgnąwszy przed siebie, nabrał garść

odchodów i jął wcierać je sobie w krocze. Erwin odwrócił wzrok, ale to, co wychwycił pośród cieni okazało się nieskończenie bardziej odrażające aniżeli patologiczne gierki Fletchera.

Twarzą do ściany leżało ciało. Ciało, które rozpoznał.

Nie znalazł słów, które mogłyby wyrazić grozę tej chwili ani jej przeraźliwą wyrazistość. Mógł jedynie wydać z siebie jęk: przeciągły, dojmujący szloch, którego nie usłyszał onanista.

Teraz Erwin wiedział już, co to wszystko znaczy. Był martwy. Jego wycieńczone, zużyte ciało leżało w kącie odsączone z życia przez Fletchera. Ta resztkę świadomości, którą wciąż posiadał, trzymała się kurczowo wspomnień cielesnych, lecz nie miała żadnej mocy w świecie żywych. Nie można jej było ujrzeć ani poczuć. Był duchem. Widmem.

Przycupnął przed Fletcherem i przyjrzał się jego twarzy. Okolona brodą, była surowa i brutalna, czoło zmarszczyło się groźnie, usta rozwarły groteskowo.

- *Czym jesteś?* - mruknął pod nosem.

Poczynania Fletchera ewidentnie zbliżały go do kulminacyjnego szczytu. Oddychał szybko i płytko, wydając raz po raz ciche chrząknięcia. Erwin nie był w stanie oglądać zakończenia tego widowiska. Kiedy stęknienia przybrały na sile, wstał i ruszył ku drzwiom, przeszedł przez nie i wyszedł na światło dzienne.

Pani Semewikow poszła w swoją stronę, a Ken wracał do domu z naręczem świeżo ściętych róż, ale gdzieś w pobliżu rozlegał się cieniutki, wysoki ni to pisk, ni to jęk. Ktoś niedaleko musi bardzo cierpieć - pomyślał Erwin i nieco mu ulżyło, kiedy stwierdził, że nie jest jedyną udręczoną duszą w okolicy.

Ruszył na poszukiwanie cierpiącego i odnalazł go bez trudu. Był nim różany krzew; to on tak jęczał, wydając głosy, które - jak Erwin przypuszczał - mogą usłyszeć jedynie umarli.

Była to raczej dość mama rekompensata. Łzy - lub raczej wspomnienia łez - spłynęły ze wspomnień po oczach Erwina i poprzysiągł sobie w myślach, że gdyby nawet przyszło mu w tym celu zawrzeć pakt z diabłem, zemści się srodze na potworze, który odebrał mu życie, i odpłaci mu z nawiązką. Ten łajdak będzie cierpiał tak długo i tak srogie katusze, że nawet bolesny skowyt miliona ściętych róż nie zdoła zagłuszyć jego krzyku.

Piątek w tygodniu festynu u lekarza był zawsze dniem spokoju i nudy. Z początkiem przyszłego tygodnia w poczekalni zaroi się od chorych, którzy odkładali wizytę z powodu nawału zajęć, teraz zaś ich dolegliwości staną się uciążliwe i trudniejsze do pokonania.

Dzisiaj do gabinetu doktora Powella pofatygowali się jedynie ci, którzy naprawdę byli poważnie chorzy lub czuli się tak samotni, że wizyta u dobrego doktora stanowiła dla nich pokusę nie do odparcia.

Żaden z pacjentów nie wspomniał przy Phoebe o niedawnym wypadku, choć nie wątpiła, że każdy mieszkaniec Everville, kobieta, mężczyzna czy dziecko, doskonale wiedział o ogromnym lokalnym skandalu.

Nawet doktor Powell ograniczył komentarze na ten temat do minimum. Złożył jej wyrazy współczucia z powodu śmierci Mortona i powiedział, że nie będzie miał nic przeciwko, gdyby chciała wziąć kilka dni wolnego. To przecież zrozumiałe. Podziękowała i poprosiła, by pozwolił jej wyjść o drugiej, ponieważ wybierała się do Silverton na spotkanie z przedsiębiorcą pogrzebowym. W odpowiedzi oczywiście usłyszała „tak”.

W rzeczywistości nie było to jedyne zaplanowane przez Phoebe spotkanie. Jeszcze nigdy nie potrzebowała porady prawnej równie rozpaczliwie jak obecnie, żeby ktoś klarownie i przystępnie wyjaśnił jej sytuację, w jakiej się znalazła. Spróbuje skontaktować się po południu z Erwinem Toothakerem - postanowiła, nie będzie czekać z tym do poniedziałku. Trzy doby to mnóstwo czasu i wiele może się w ciągu nich wydarzyć - doskonałym tego przykładem był wczorajszy dzień. Grunt, aby wiedziała na czym stoi, poznała wszystkie najgorsze ewentualności i na ich podstawie zaplanowała dalsze swoje poczynania.

#### 4

Ryba okazała się wyśmienita. Tesla jadła niespiesznie i nasłuchiwała, wychwytyjąc odgłosy rozmów toczonych przy sąsiednich stolikach. Sztuczki tej nauczyła się jako scenarzystka (bardzo szybko przekonała się, że zwykła rozmowa naszpikowana była treściami, w które nie uwierzyłby żaden producent) i podszlifowała ją podczas swych wojaży, nie chcąc stracić kontaktu z wydarzeniami rozgrywającymi się w świecie, zamierzając korzystać z „dobrodziejstwa” środków masowego przekazu czy bezpośrednich sposobów komunikowania się.

Dziś, ku swemu zdumieniu stwierdziła, że trzy z pięciu rozmów dotyczyły tego samego - życia i zbrodni kobiety z tego miasta, niejkiej Phoebe, najwyraźniej zamieszanej w okropną śmierć swego małżonka.

Gdy tak przysłuchiwała się, jak przy jednym ze stolików trwa debata dotycząca kwestii moralnych i cudzołóstwa, do dyskutantów podszedł wysuszony jak mumia mężczyzna - uznała, iż musiał to być szef lokalu - przynosząc im hamburgery. W drodze powrotnej

przystanął obok Tesli, aby zebrać brudne talerze i nieomal mimochodem zapytał, czy smakowała jej ryba.

- O tak - powiedziała. Następnie, w nadziei że wyciągnie zeń chociaż kilka istotnych informacji, zagaiła. - Zastanawiałam się... czy nie zna pan przypadkiem faceta nazwiskiem Fletcher?

Mężczyzna z plaketką z imieniem BOSLEY zamyślił się przez chwilę.

- Fletcher... Fletcher... - powtórzył.

Kiedy się tak zastanawiał, Raul odezwał się: *Tesla?*

Chwileczkę - odpowiedziała w myślach.

*Ale ja coś wyczuwam* - ciągnął Raul.

Tymczasem Bosley namyślił się i rzekł:

- Niestety, nie sądzę, abym znał jakiegoś Fletchera. Czy to ktoś miejscowy?

- Nie. Przybysz.

- Gości mamy teraz mnóstwo - zauważył Bosley.

Najwyraźniej nie miała co liczyć, że typ okaże się istotnym ogniwem w jej poszukiwaniach. Mimo to skoro już zaczęła, mogła jeszcze zadać mu kilka pytań.

- Phoebe - rzekła. Uśmiech znikł z twarzy Bosleya - Znasz ją?

- Wpada tu od czasu do czasu - przyznał po chwili.

- Jaka ona jest? - Sądząc po wyrazie twarzy, Bosley wahał się pomiędzy wymaganiami *savoir vivre*'u a własnym pragnieniem całkowitego zignorowania pytania Tesli. - Wszyscy o niej mówią.

- Zatem mam nadzieję, że jej historia posłuży innym ku przestrodze - stwierdził chłodnym tonem Bosley. - Pan Nasz widzi jej grzech i osądzi ją.

- Czy przedstawiono jej jakieś zarzuty?

- W oczach Boga...

- Zapomnij o oczach Boga, do kurwy nędzy! - warknęła Tesla poirytowana śpiewką faceta. - Chcę wiedzieć, jaka ona jest.

Bosley odstawił talerze na stolik i oznajmił półgłosem:

- Wydaje mi się, że powinna już pani stąd wyjść.

- A to czemu?

- Bo nie jest pani miłą nam osobą, z którą chętnie przełamalibyśmy się chlebem.

- Dlaczego nie, u licha?

- Z uwagi na pani język.

- A co jest z nim nie w porządku? - dopytywała się Tesla.

*Słowo na k* - odpowiedział Raul.

Powtórzyła je na głos, aby sprawdzić czy miał rację:

- Kurwa? - spytała - Nie podoba ci się, że powiedziałam „kurwa”?

Bosley skrzywił się, jakby te słowa ubodły go do żywego.

- Wynocha stąd!

- Powiedziałam tylko: kurwa - tłumaczyła słodko Tesla. - Co jest nie tak z tym słowem?

Bosley nie wytrzymał.

- Powiedziałem, jazda stąd - warknął, a jego głos z wolna przybierał na sile. - Nie chcemy tu pani.

- Nie wolno mi nawet wypić soku brzoskwiniowego, który zamówiłam? - zdziwiła się Tesla.

- Won! - ryknął Bosley. Siedzący dookoła plotkujący bywalcy zamilkli. Oczy wszystkich zwrócone były na Tesłę. - Wynoś się stąd ze swoimi wulgaryzmami. Nie chcemy cię tutaj.

Tesla zakołysała się na krześle.

- Kurwa to nie wulgaryzm - zauważyła. - To tylko słowo. Użyteczne, drobne słówko. No dalej, Bosley, przyznaj mi rację. Są sytuacje, które może rozładować jedynie dobra kurwa.

- Won mi stąd, ale już!

- Widzisz. Won mi stąd, kurwa, ale już, zabrzmiałoby dosadniej.

Tu i ówdzie rozległy się chichoty, ktoś zakasłał nerwowo.

- Co mówisz swojej żonie w sobotni wieczór? Masz ochotę na małe parzenie? Nie, mówisz: chcę cię, kurwa, zerznąć.

- Wypierdalaj! - ryknął Bosley. Inni spieszyli mu już z pomocą, wśród nich kucharz, który wyglądał, jakby spędził kilka lat w zaciszu San Quentin. Tesla wstała.

- Dobra, już wychodzę - powiedziała i rzuciła kucharzowi promienny uśmiech. - Świetna ryba - pochwaliła go i pomaszerowała ku drzwiom. - Naturalnie nie powinniśmy zapominać, że „kurwy” można używać na wiele sposobów - rzekła jakby mimochodem - na przykład w stwierdzeniach: - o „kurwa” czy „kurwa twoja mać”. - Dotarła do drzwi i przystanąwszy spojrzała przez ramię na Bosleya. - Może to ze względu na matkę tak nie lubisz tego słowa - zasugerowała i uśmiechnąwszy się pod nosem wyszła z baru.

Stała na rogu, zastanawiając się, gdzie mogłaby rozpocząć poszukiwania Fletchera, kiedy odezwał się Raul:

*Czy słyszałaś, co tam do ciebie powiedziałem?*

- Ja tylko broniłam swoich praw konstytucyjnych - zaperzyła się Tesla.

*Wcześniej.*

- Co? - spytała.

*Nie wiem, co - odrzekł - ale wyczułem czyjąś obecność, coś...*

- Wydajesz się podenerwowany - zauważyła Tesla, rozglądając się wokoło. Ruch na skrzyżowaniu był większy niż dotychczas. Dość mało prawdopodobne, aby znaleźli się w nawiedzonym miejscu - uznała, a w każdym razie nie teraz. Może o północy byłaby innego zdania.

- Czy samobójców nie grzebie się na Rozstajach? - spytała Raula. Nie odpowiedział. - Raul?

*Posłuchaj.*

- Co miałabym...?

*Po prostu posłuchaj, dobra?*

Było czego posłuchać. Dźwięki klaksonów, pisk opon, śmiech i gwar rozmów, muzyka płynąca z otwartych okien, krzyki.

*Nie o to mi chodziło - rzekł Raul.*

- W takim razie o co?

*Ktoś szepcze.*

Nasłuchiwała, usiłując przeniknąć przez gwar ludzkich rozmów i odgłosy pojazdów.

*Zamknij oczy - zaproponował Raul. - Będzie ci łatwiej.*

Tak też zrobiła. Hałas rozbrzmiewał nadal, ale jakby trochę się od niego oderwała.

*Właśnie! - szepnął Raul.*

Miał rację. Gdzieś pomiędzy odgłosami ulicy i ludzkim gwarem słyhać było cieniutki głosik. *Wiem*, powtarzał raz po raz. I wspominał coś o keczupie. Tesla skupiła się, usiłując dostroić ucho myślowe na ten głos, tak jak przedtem, gdy podsłuchiwała rozmowy w lokalu Bosleya.

*Wiem - powtórzył głos. - Wiem coś o, wiem coś o....*

- Coś wie - rzekła Tesla. - Wie coś, tylko nie wiadomo na jaki temat.

*Ketch... ketch... - powiedział głos.*

- Ketch?

*Ketchu... Nie, nie ketchu... Fletcher.*

- Słyszałeś to? - zwróciła się do Raula. - To wie coś o Fletcherze. Tak właśnie mówi. Wie coś o Fletcherze.

Znów zaczęła nasłuchiwać, dostrajając się do częstotliwości, na której rozlegał się głos.



Dźwięk wciąż był słyszalny, ale ledwo, ledwo. Wstrzymała oddech, koncentrując całą uwagę na interpretacji otrzymanego sygnału. Teraz nie słyszała już słów, lecz numer. Dwa. Dwa. Sześć.

Powtórzyła to głośno, aby szepczący wiedział, że go zrozumiała.

- Dwa - dwa - sześć. Zgadza się?

Pojawiły się kolejne strzępy słów - „itch” i „Mitch”. A potem „ell”.

- Spróbuj jeszcze raz - poprosiła półgłosem.

Jednakże albo zawiodła ją koncentracja, albo szepczącemu zabrakło sił. „Mitch” powtórzył i umilkł. Słuchała z uwagą w nadziei, że nawiąże ponowny kontakt, ale bezskutecznie.

- Cholera - mruknęła.

*Potrzebujemy mapy* - stwierdził Raul.

- Po co?

*Tesla, to był przecież adres. On mówił ci, gdzie znajdziesz Fletchera.*

Odwróciła się w stronę baru. Kelnerka ujrzała ją w chwili, gdy otwierała drzwi.

- Proszę... - zaczęła kobieta.

- Ja tylko na chwilę - uspokoiła ją Tesla. - Przyszłam tylko po to.

- Wyjęła ze stojaka przy drzwiach jedną z festynowych broszur. - Życzę miłego dnia.

*A nawiasem mówiąc, odkąd to Jezus zaczął cię tak diabelnie wkurzać?* - zapytał Raul, kiedy siedząc okrakiem na motocyklu zaczęła oglądać mapę na odwrocie ulotki.

- Wcale mnie nie wkurza - odparła. - Przecież ja to wszystko uwielbiam. Tylko uważam, że słowa są... - Przerwała i uważniej przyjrzała się mapie. - Mitchell Street - powiedziała. - To musi być to. Mitchell Street. Włożyła mapkę do kieszeni i uruchomiła motocykl. - Jesteś gotów? - spytała.

*Cenne* - dokończył.

- Że co?

*Chciałaś powiedzieć, że słowa są zbyt cenne.*

- Czyżby?

*I skoro chcesz wiedzieć - nie. Nie jestem gotowy.*

# Rozdział V

## 1

Erwin wybrał się do Kitty's Diner w poszukiwaniu kogoś znajomego; twarzy lub głosu, które znał i lubił. Chciał w nich wzbudzić uczucie paniki. Zamiast tego znalazł kobietę, której w życiu nie widział; wypytywała o jego zabójcę. O mało nie oszalał, wrzeszcząc do niej tak donośnie, że z pewnością do cna zdarłby sobie gardło (gdyby je miał) podczas gdy nieznajoma częstowała Bosleya swym rynsztokowym słownictwem.

Nie była głupia ani nieczuła, jak mógłby sugerować jej popis. Znalazłszy się na zewnątrz przestała nasłuchiwać, a Erwin zbliżył się do niej tak bardzo, że gdyby wciąż był istotą z krwi i kości, kwalifikowałby się do oskarżenia o molestowanie seksualne. Raz po raz powtarzał, gdzie obecnie znajduje się Fletcher. Jego upór opłacił się; wróciła po mapkę miasta i gdy ją studiowała, próbował jeszcze dodać, że Fletcher jest niebezpieczny.

Tym razem go nie usłyszała. Nie był pewien, dlaczego tak się stało. Może ludzie nie potrafią czytać map i jednocześnie słuchać, co mówią do nich umarli. A może wina leżała w nim samym, może nie był w stanie utrzymać kontaktów z żywymi przez dłuższy czas. Tak czy inaczej to, co w jego mniemaniu miało być początkiem długiej i owocnej współpracy, urwało się gwałtownie, a kobieta odjechała na swym motorze, zanim zdążył ją poinformować o morderczych skłonnościach Fletchera. W gruncie rzeczy niezbyt się tym przejął. Skoro szukała Fletchera - uznał - z całą pewnością musiała wiedzieć, do czego jest zdolny, a sądząc po jej występie w barze, nie była mimozą.

Patrzył, jak włączała się w ruch na Main Street i zazdrościł jej motocykla. Mimo że zawsze gardził historyjkami o duchach (które należały do lekceważonej przezeń sfery baśni i ludowych przesądów) wiedział, iż rzekomo zjawy nie podlegają prawu grawitacji. Unosiły się w powietrzu, umiały latać, zwisały wśród konarów drzew i wysoko pod okapami domów. Czemu więc on czuł się tak bardzo związany z ziemią, a jego ciało, które, o czym doskonale wiedział, było jedynie ułudą - wszak prawdziwe doczesne szczątki Erwina Toothakera spoczywały pod ścianą w jego mieszkaniu - czemu ono wciąż zachowywało się tak, jakby w dalszym ciągu podlegało sile powszechnego ciężenia? Z westchnieniem pomaszerował w kierunku domu. Jeśli droga powrotna zajmie mu tyle samo czasu co w tę stronę, nawiązany przed chwilą kontakt Erwin będzie mógł zaliczyć do przeszłości. Cóż jednak ma uczynić

zbląkana dusza? Będzie musiał się postarać iść możliwie jak najszybciej i pocieszać się nadzieją, że z czasem lepiej zrozumie stan, w jakim znalazł się po śmierci.

## 2

Phoebe zjawiła się w kancelarii Erwina nie zapowiedziana i zastała drzwi zamknięte na głucho. Każdego innego dnia dałaby sobie spokój, wróciłaby do domu i zaczęła by do poniedziałku. Okoliczności były jednak szczególne. Nie mogła czekać, nie mogła stracić nawet jednej godziny. Postanowiła, że zajdzie do adwokata do domu i ubłaga, by poświęcił jej choć pół godziny swego cennego czasu. To chyba nie tak wiele, prawda? Zwłaszcza że dzień wcześniej to Phoebe wyświadczyła mu przysługę.

Zajrzała do drogerii dwie przecznice od kancelarii adwokackiej i poprosiła Maureen Scrimm, która z okazji festynu zwykle farbowała włosy i wyglądała jak kurewka, aby pożyczyła jej książkę telefoniczną. Maureen miała ochotę poplotkować, ale w drogerii było sporo klientów. Zaopatrzona w adres Erwina, Phoebe pozostawiła Maureen, aby dalej robiła słodkie oczy do każdego w miarę przystojnego faceta poniżej sześćdziesiątego piątego roku życia i dziarsko ruszyła w stronę Mitchell Street.

To była cicha, mała uliczka, otoczona atrakcyjnymi, zadbanymi domkami; trawniki i żywopłoty były starannie przycięte, płoty i framugi okien odmalowane. O takiej przystani Tesla często marzyła podczas swoich podróży po Amerykach; śniła o miejscu, gdzie ludzie byłiby wobec siebie życzliwi i wiedliby skromny, spokojny żywot, zarówno pod względem materialnym, jak i duchowym. Nie trzeba było długo się zastanawiać, dlaczego Fletcher wybrał akurat to miejsce, by tutaj osiąść.

Zainscenizował swą śmierć w Grove, by utworzyć ze snów tamtejszych zdrowych, kochających się nawzajem mieszkańców legion wojowników, czempionów. Nazwał ich HALUCYGENIA i pozostawił, by po jego odejściu toczyli dalsze boje na ulicach Grove. Jeśli, jak przepowiadała Kate Farrell, niebawem miała rozegrać się kolejna bitwa, czyż istniało lepsze miejsce, gdzie mógł przepatrywać ludzkie umysły, z których zrobi później nowych żołnierzy, aniżeli cicha przystań, taka jak ta - gdzie ludzie wciąż wierzyli w cywilizowany styl życia i byli w stanie tworzyć bohaterów, którzy stawali w jego obronie?

*Posłuchaj siebie* - rzekł Raul, kiedy Tesla maszerowała ulicą, wypatrując kryjówek Fletchera.

- Czy głośno myślałam, czy po prostu podsłuchiwałeś?

*Podsluchiwałem - odrzekł Raul. - I jestem zdumiony.*

- Czym?

*Tym jak pieścisz się podziwiając to miasto. Nie znosiłaś Palomo Grove.*

- Było sztuczne.

*A to nie jest?*

- Nie. Wydaje się... całkiem miłe. I spokojne.

*Zbyt długo podróżowałaś.*

- Być może - przyznała Tesla. - Znudziła mnie ta wędrówka. Ale to miasto wydaje się idealnym miejscem, aby zapuścić tu korzenie...

*I może wychować kilkoro bachorów? Twoich i Luciena? Czyż to nie byłoby miłe?*

- Nie bądź uszczypliwy.

*Dobra, to nie byłoby miłe. To byłoby istne piekło na ziemi.*

Dotarli w końcu do domu Szepczącego; również wyglądał bardzo przyzwoicie.

*Tesla...*

- Co?

Nie zapominaj, że Fletcher zawsze był trochę zwariowany.

- Jakże mogłabym zapomnieć?

*A więc wybaczasz mu jego grzeszki...*

- Jesteś strasznie podekscytowany. Czuję jak dygoczesz.

*Zawsze nazywałem go Ojcem. On twierdził, że nim nie był, ale przecież to nieprawda. Jest nim. Chciałbym znów go zobaczyć...*

- Ja również - powiedziała.

Po raz pierwszy wyrażała to tyloma słowami. Tak, rzeczywiście Fletcher był szalony i nieobliczalny. Ale równocześnie ten człowiek stworzył Nuncjo; to on na oczach Tesli stał się światłością - on, człowiek, który sprawił, że zaczęła wierzyć w istnienie świętych. Jeżeli ktokolwiek zasługiwał na zdobyte podstępem zapomnienie, to właśnie on.

Zaczęła iść wzdłuż głównej ścieżki, patrząc uważnie na dom w poszukiwaniu jakichś oznak życia. Nic. Zero. Zasłony były zaciągnięte we wszystkich oknach, prócz jednego, a na stopniu leżały dwie nie odebrane gazety.

Zapukała. Nikt nie odpowiedział, ale wcale się nie zdziwiła. Jeśli w domu był Fletcher, to mało prawdopodobne, aby otworzył komukolwiek drzwi. Zastukała ponownie, dla pewności, po czym podeszła do nie zasłoniętego okna i zajrzała do środka. Był to salonik, duży pokój ze starymi, stylowymi meblami. Ktokolwiek tam mieszkał przed wizytą Fletchera, musiał mieć niezły gust.

*Coś jest nie tak z kanalizacją* - zauważył Raul.

- Z kanalizacją?

*Nie czujesz?*

Pociągnęła nosem i poczuła niezbyt przyjemną woń.

- Ze środka? - Zwróciła się do Raula, ale nim zdążył odpowiedzieć, usłyszała kroki na żwirze i ktoś spytał: - Szuka pani Erwina?

Odwróciła się. Kilka kroków od bramy wejściowej stała kobieta - potężna, blada i zbyt grubo ubrana.

- Erwina - powtórzyła Tesla, błyskawicznie zbierając myśli - tak. Chciałam właśnie... czy go tu dziś zastanę?

Kobieta przyglądała się jej z lekką podejrzliwością.

- Powinien być w domu - odpowiedziała. - W kancelarii go nie ma.

- Pukałam, ale nikt nie otwiera. - Kobieta wyglądała na odrobinę rozczarowaną. - Zamierzałam obejść dom - ciągnęła Tesla. - Może jest na podwórku i najzwyczajniej w świecie się opala.

- Dzwoniła pani dzwonkiem? - spytała kobieta.

- Nie, ja...

Kobieta podeszła do drzwi i nacisnęła dzwonek. Z wnętrza dobiegł charakterystyczny, przenikliwy dźwięk. Tesla odczekała kilka sekund. Kiedy stwierdziła, że nie ma żadnego odzewu, udała się na tyły domu, podczas gdy kobieta przy drzwiach frontowych ponownie dusiła przycisk dzwonka.

- Coraz mocniejszy - zwróciła się do Raula, kiedy woń ekskrementów przybrała na sile.

Idąc patrzyła uważnie na ziemię wokół, spodziewając się, że natrafi gdzieś na pękniętą rurę i wypływającą z głębi ziemi kałużę fekaliów odprowadzanych z toalety Erwina. Ale nic takiego nie zauważyła.

Żadnych odchodów, podobnie jak i Erwina, który miał rzekomo opalać się na podwórku.

- Może to nie ten dom? - odezwała się do Raula. - Może jest jeszcze inna ulica, zbliżona fonetycznie do Mitchell.

Odwróciła się na pięcie i zobaczyła, że kobieta, którą spotkała przed chwilą, z wyrazem podniecenia na twarzy maszeruje rażno w jej stronę.

- Ktoś jest w środku - powiedziała. - Zajrzałam przez otwór na listy i zobaczyłam kogoś na końcu korytarza.

- Czy to był Erwin?

- Nie wiem. Było zbyt ciemno.

- Hmm - Tesla spojrziała na ścianę tak, jakby przy odrobinie wysiłku mogła przeniknąć ją wzrokiem.

- Było w nim coś dziwnego...

- Co?

- Nie wiem. - Tamta wyglądała na mocno wystraszoną.

- Chce pani wezwać policję?

- Nie. Nie widzę powodu, abyśmy miały zwracać Jedowi głowę. Przyjdę... innym razem.

*Nerwowa kobitka, nie ma co* - zauważył Raul.

- Jeśli tam się coś dzieje... coś podejrzanego - zaczęła mówić Tesla - może spróbuję zajrzeć do środka z drugiej strony. Znowu skierowała się w stronę podwórka.

- A propos, jestem Tesla - zawołała przez ramię.

- A ja Phoebe.

*No, no...*- rzekł Raul. - *Szkarłatna kobieta.*

To, czego Tesla nie mogła powiedzieć, zawarłoby się w jednym zdaniu: „Wszyscy mówią tylko o tobie”.

- Jesteś krewną Erwina? - spytała Phoebe.

- Nie, dlaczego?

- To nie moja rzecz, ale wiem, że nie pochodzisz z Everville...

- I zastanawiasz się zapewne, co ja tutaj w ogóle robię? - odparła Tesla, naciskając klamkę kuchennych drzwi. Były zamknięte na klucz. Oslaniając oczy dłońmi, zajrzała przez szybę do środka. Dostrzegła pierwsze oznaki życia. Przewrócony karton soku pomarańczowego na stole, mały stosik talerzy obok zlewu. - Nie przyjechałam tu, aby spotkać się z Erwinem - ciągnęła Tesla. - Prawdę powiedziawszy nawet go nie znam. Spojrzała na Phoebe, która nie wydawała się szczególnie przejęta, mimo iż rozmawiała z potencjalną włamywaczką. - Przybyłam tu, aby zobaczyć się z niejakim Fletcherem. Mówi ci coś to nazwisko?

Phoebe zamyśliła się przez chwilę, po czym pokręciła głową.

- To nikt stąd - oznajmiła. - Gdyby był miejscowy, na pewno bym go znała.

- Małe miasteczko, co?

- Dla mnie zaczyna się robić zbyt małe - powiedziała Phoebe, nieskutecznie usiłując ukryć swe rozgoryczenie. - Wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich.

- Do mnie również dotarły pewne plotki.

- Na mój temat? - spytała Phoebe.

- Jesteś Phoebe Cobb, zgadza się?

Phoebe wyduła wargi.

- Jestem, choć ostatnio bardzo tego żałuję. - Westchnęła, jej opanowanie zaczęło pękać.

- Cokolwiek słyszałaś...

- Nic mnie to nie obchodzi - mruknęła Tesla. - Wiem, że to nic zabawnego...

- Bywały lepsze czasy - powiedziała Phoebe, najwyraźniej pokonując zwątpienie i odzyskując nieco rezon. - Spójrz tylko, najwyraźniej pan Toothaker nie chce otworzyć drzwi żadnej z nas.

Tesla uśmiechnęła się.

- Toothaker? Tak się nazywa? Erwin Toothaker!

- Cóż w tym takiego zabawnego?

- Nic. To wręcz idealne - odrzekła Tesla. - Erwin Toothaker. - Ponownie mrużąc lekko powieki, zajrzała przez okno.

Drzwi w głębi domu były uchylone na kilka cali i kiedy patrzyła, przez szczelinę jął się przeciskać węzowaty cień. Cofnęła się trochę od tylnych drzwi, zdezorientowana.

- Co to? - szepnęła Phoebe.

Tesla zamrugła, oblizała wargi i spojrzała ponownie.

- Czy Erwin trzyma w domu węże? - zapytała.

- Węże?

- Tak, węże.

- Nic o tym nie wiem. Dlaczego pytasz?

- Teraz już go nie ma, ale mogłabym przysiąc, że widziałam...

*Tesla?* - wymamrotał Raul.

- Co?

*Węże i woń kału. Co ci przypomina ta kombinacja?*

Nie odpowiedziała - cofnęła się tylko od drzwi. Nagle oblała się zimnym potem. *Nie -* mówił jej umysł, *nie, nie, nie. Nie liks. Nie tutaj. Nie w tym zacisznym miejscu.*

*Tesla, weź się w garść.*

Zadygotała.

- Znowu? - spytała Phoebe, podchodząc o krok do drzwi.

- Nie - odpowiedziała Tesla.

- Nie boję się węży.

Tesla wyciągnęła rękę, powstrzymując ją.

- Ja nie żartuję - syknęła.

Phoebe odsunęła jej dłoń.

- Chcę popatrzeć - rzuciła stanowczo i przyłożyła twarz do szyby. - Nic nie widzę.

- Pojawiło się i zniknęło.

- Albo w ogóle nic tam nie było - odparła Phoebe. Ponownie spojrzała na Tesłę. - Nie wyglądasz najlepiej - zauważyła.

- Bo nie czuję się dobrze.

- Jakaś fobia?

Tesla pokręciła głową.

- Nie chodzi o węże. - Delikatnie pociągnęła Phoebe za ramię - Naprawdę uważam, że powinniśmy już stąd iść.

Coś - może ponury ton głosu albo widok szarej jak popiół twarzy Tesli przekonał Phoebe, że dziewczyna nie żartuje, gdyż koniec końców odsunęła się od drzwi.

- Może tylko mi się przywidziało - odparła Tesla, w nadziei że jakiś Bóg, który jej teraz słucha, sprawi, iż jej słowa się sprawdzą. Była gotowa znieść wszystko z wyjątkiem liksów.

Obie z Phoebe wróciły na ścieżkę przed frontowymi drzwiami domu.

- Zadowolona? - spytała Phoebe.

- Po prostu chodź ze mną, dobra? - rzuciła Tesla i przyspieszyła kroku zwalniając dopiero, gdy znalazły się w sporej odległości od domu Toothakera.

- Zadowolona? - powtórzyła Phoebe nieco łagodniejszym tonem.

Tesla zatrzymała się i wbiwszy wzrok w niebo, wykonała kilka głębokich oddechów, po czym oświadczyła.

- Jest gorzej niż sądziłam.

- Ale o co chodzi? O czym ty mówisz?

Tesla wzięła jeszcze jeden głęboki oddech.

- Wydaje mi się, że w domu dzieje się coś złego - odrzekła.

Phoebe obejrzała się przez ramię; ulica w popołudniowym słońcu wydawała się spokojniejsza niż kiedykolwiek.

- Wiem, że trudno w to uwierzyć...

- Och, nie - rzuciła beznamiętnie Phoebe. - Potrafię uwierzyć. - Kiedy ponownie spojrzała na Tesłę, na jej twarzy widniał lekki uśmiezek.

- To okrutne miejsce - stwierdziła. - Nie wygląda na to, ale takie właśnie jest.

Tesla zaczęła podejrzewać, iż ich spotkanie charakteryzuje jakaś osobliwa synchroniczność.



- Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie.

- W porządku. Nie zamierzam...

- To znaczy - tak - dokończyła Phoebe. - Tak, chcę o tym porozmawiać.

## Rozdział VI

Coś jest nie tak z tym morzem.

Joe usiadł, spoglądając wzdłuż brzegu w stronę fal przyboju. Woda była niemal aksamitna, fale dostatecznie duże, by skusić surferowca, ale bardziej zakrzywione i ostrzejsze niż przy jakimkolwiek ziemskim brzegu. W ich ciemnych odmętach i na spienionych grzbietach migotały opalizujące plamki.

- Jest piękne - powiedział.

- Spójrz tam - Noe chrząknął i wskazał ponad falami przypląwu w stronę, gdzie powinien znajdować się horyzont.

Z morza wznosiły się czarne, szare i zielone słupy chmur, jakby jakiś przepotworny żar obracał wodę w parę. Niebiosa tymczasem waliły się w dół, w powodzi wody i ognia. Joe nigdy dotąd nie widział widowiska na tak wielką skalę, scena ta kojarzyła mu się ze stworzeniem świata lub jego ostateczną zagładą.

- Co jest tego przyczyną?

- Nie chcę niczego mówić, dopóki nie będę mieć pewności - powiedział Noe. - Niemniej zaczynam dochodzić do wniosku, że nawet tu powinniśmy być ostrożni.

- Ostrożni, ale dlaczego?

- Z uwagi na to, co może wyjść nam na spotkanie - wyjaśnił i wskazał dłonią wzdłuż brzegu.

Około sześciu kilometrów od miejsca gdzie stali, ujrzał dachy i wieżyczki miasta. Był to, jak Joe przypuszczał, Liverpool. W połowie drogi dostrzegł sunącą wolno procesję.

- To Błogosławiony - rzekł Noe. - Wydaje mi się, że lepiej będzie, jak stąd sobie pójdziemy, Joe.

- Dlaczego? Kim jest Błogosławiony?

- To ktoś, kto para się magią - objaśnił Noe. - Być może to właśnie on otworzył przejście.

- Nie chcesz zaczekać i podziękować mu? - spytał Joe, w dalszym ciągu przyglądając się procesji. Było tam około trzydziestu postaci, w tym konnych, ktoś jechał chyba nawet na wielbłądzie.

- Drzwi nie zostały otwarte dla mnie - odrzekł Noe.

- W takim razie dla kogo? - Nie było odpowiedzi. Joe obejrzał się, by stwierdzić, że

Noe znowu wpatruje się w apokaliptyczną burzę wypełniającą cały horyzont.

- Coś tam jest? - zapytał.

- Może - odparł Noe.

W głowie Joego kłębiło się pół tuzina pytań naraz. Jeżeli to, co było tam, zjawi się tutaj, co stanie się z brzegiem? I z mostem? A jeżeli to przeszło przez próg, czy wraz z tym przedostanie się również burza? Co się wydarzy? Czy zejdzie w dół, do Everville? Do Phoebe? O Boże, Phoebe!

- Muszę wracać - oznajmił.

- Nie możesz.

- Mogę i wrócę - oświadczył Joe i ruszył w stronę szczeliny. Tutaj nie była tak ukryta jak na szczycie góry. Strzelała i skrzyła się niczym czarna błyskawica na tle płynnego, zmieniającego się nieba. Czy to tylko jego wyobraźnia, czy wydawała się szersza i dłuższa niż poprzednio?

- Joe, obiecałem ci moc! - zawołał za nim Noe. - I wciąż mogę ci ją dać!

Joe obrócił się na pięcie.

- No to ją daj i pozwól mi odejść.

Noe wbił wzrok w ziemię.

- To nie takie proste, przyjacielu.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie mogę dać ci mocy tutaj.

- Powiedziałeś, że po drugiej stronie.

- Tak powiedziałem, wiem. Tylko że to niezupełnie prawda. - Spojrzał na Joego, jego przerośnięta głowa kołysała się niebezpiecznie na cienkiej szyi.

- Miałem nadzieję, że kiedy tu dotrzesz i ujrzysz cuda morza snów, zechcesz udać się ze mną w krótką podróż. Mogę dać ci moc. Naprawdę. Ale tylko w mojej rodzinnej krainie.

- Jak to daleko? - uciął Joe. Odpowiedzi nie było. Rozjuszony wrócił do Noego tak szybkim krokiem, że ten odruchowo uniósł rękę, by osłonić się przed ciosem. - Nie uderzę cię - uspokoił go Joe. - Żądam tylko uczciwej odpowiedzi.

Noe westchnął.

- Moją ojczyznę są Efemerydy - wyjaśnił.

- Gdzie są Efemerydy?

Noe popatrzył nań przez chwilę, po czym wskazał dłonią w stronę morza.

- Niech to szlag - warknął Joe, kompletnie zbity z tropu. - Aleś mnie zrobił w bambuko.

- Zrobił w bambuko?

- Oszukałeś mnie, sukinsynu. - Zbliżył się do stwora tak, że ich nosy niemal się stykały.  
- Okłamałeś mnie.

- Uwierzyłem, że zostałeś przysłany, by zabrać mnie do domu - rzekł Noe.

- Nie bądź patetyczny.

- Ale to prawda. I nadal w to wierzę. - Spojrzał na Joego. - Czy uważasz za absurdalne, że nasze losy mogły zostać w tak osobliwy sposób powiązane?

- Tak - odparł Joe.

Noe pokiwał głową.

- Wobec tego musisz wracać - powiedział. - Ale ja zostanę. Tu, pod moim niebem, czuję się silniejszy. Zapewne tak jak ty pod swoim.

Joe wychwycił w jego głosie nutę ironii.

- Doskonale wiesz, co mnie czeka, kiedy tam wrócę.

- Tak - rzucił Noe wstając. - Kompletna bezsilność. - I pomaszerował wzdłuż plaży. - Żegnaj, Joe! - zawołał.

- Dupek! - syknął Joe, spoglądając na szczelinę i widoczny przez nią skrawek nocnego nieba. W jaki sposób mógłby pomóc Phoebe, gdyby wrócił teraz do domu? Był rannym zbiegiem. A do tego, jak słusznie zauważył Noe, kompletnie bezsilnym.

Ponownie odwrócił się, by przyjrzeć się światu, do którego trafił. Odległe miasto, zbliżająca się procesja, burza szalejąca nad spienionymi wodami Quiddity; wszystko to nie wyglądało szczególnie obiecująco. Może jednak (naturalnie tylko może) istniała tu dlań jakaś nadzieja. Perspektywa zdobycia mocy, jakiejś mocy: jakiegokolwiek, dzięki której po powrocie do swego świata stałby się ponownie szanowanym człowiekiem. Może przyjdzie mu na to solidnie zapracować, ale co tam, w Kosmosie też się natyrał i co z tego miał? Poobijane jaja, nic więcej.

- W porządku - oznajmił, ruszając za Noem. - Zostanę. Ale nieść cię nie będę, zrozumiano?

Ten odpowiedział mu uśmiechem.

- Czy mógłbym... objąć cię ramieniem, dopóki nie nabiorę sił, i nie stanę pewniej na nogach?

- N-no, niech będzie - zgodził się Joe.

Noe jedną ręką objął go za szyję.

- Na plaży, niedaleko stąd czeka łódź - powiedział. - Wyniesiemy się stąd do czasu, aż procesja odejdzie.

- Co jest takiego złego w tym Błogosławionym? - spytał Joe, gdy ciężkim krokiem szli

w kierunku łodzi.

- Nikt nie wie, co kryje serce Błogosławionego. Oni mają własne sekretne cele i powody. Może ten tutaj jest akurat łagodny, ale nigdy nic nie wiadomo.

Szli w milczeniu, dopóki nie dotarli do łodzi. Był to dwumasztowiec, długości około trzynastu metrów, wręgi i sterówkę miał pomalowane na szkarłatno i niebiesko. Musiał odbyć wiele rejsów, gdyż w wielu miejscach farba była złuszczone lub odpadła zupełnie. Na dziobie widniała starannie odmalowana nazwa: FANACAPAN.

Joe poczuł, że ssie go w żołądku, toteż pozostawił Noego w cieniu łódki, a sam wszedł na pokład w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby oszukać głód. Oszłamiające działanie środków przeciwbólowych minęło zupełnie i kiedy przeszukiwał łódź w nadziei, że znajdzie bochenek chleba i jakąś zbłąkaną butelkę piwa, zaczęły nachodzić go mieszane uczucia. Był wśród nich niepokój, wahanie i rozczarowanie. Znalazł drogę do innego świata tylko po to, by stwierdzić, iż niewiele różni się on od naszego. Może Quiddity istotnie było morzem snów, jak twierdził Noe, ale łódź, którą niewątpliwie po nim pływał, nie sprawiała wrażenia zbudowanej czy zamieszkałej przez eteryczne istoty. Dwie kajuty były maleńkie, galeryjka znajdowała się w fatalnym stanie, a ściany sterówki pokrywały toporne, obsceniczne rysunki z wulgarnymi, niewybrednymi podpisami.

Nie znalazł żadnego prowiantu. Natrafił co prawda na coś, co przypominało żywność, ale już od dawna przestała być jadalna. Na próżno przetrząsał ubrania i brudne koce w kajutach, sądząc że odnajdzie wśród nich czekoladowy batonik czy kawałek owocu; wrócił na pokład z pustymi rękami. Sfrustrowany i głodniejszy niż kiedykolwiek, po uciążliwych poszukiwaniach zszedł na brzeg i zobaczył, że Noe siedzi po turecku na ziemi, wpatrując się w brzeg. Z jego oczu płynęły łzy.

- Co się stało?

- To ożywiło we mnie wspomnienia - wyjaśnił Noe, wskazując głową w stronę procesji. Zmierzała bez wątpienia ku szczelinie. Pięcioro czy sześcioro jej uczestników, z wyglądu dzieci, właściwie nagich, usypywało z płatków drogę pomiędzy granicą przejścia a ich panem i władcą.

- Jakże znowu wspomnienia?

- Dnia mego ślubu. - Z moją ukochaną. Mieliśmy procesję większą od tej ze trzy, cztery razy. Nigdzie nie ujrzałbyś czegoś równie wspaniałego. Ani nie usłyszałbyś równie pięknej muzyki. To miał być koniec wieku wojny i początek... - Nie dokończył zdania, zadrżał. - Joe, chciałbym znów ujrzeć moją ojczyznę - rzekł po długiej chwili. - Choćby po to, abym został tam pochowany.

- Niemożliwe, abyś czekał tak długo tylko po to, by umrzeć.

- To nie byłoby takie złe - powiedział cicho Noe. - Ona była miłością mego życia. Nigdy nie będzie drugiej takiej jak ona, w gruncie rzeczy wcale bym tego nie chciał. Dlatego nie byłoby złe, gdybym umarł w swoim kraju i złożono by mnie w ziemi, z której powstałem. Chyba to rozumiesz, prawda? - Joe nie odpowiedział. Noe spojrział na niego: - Prawda?

- Nie - uciął Joe. - Ja nie mam swego kraju, Noe. Nie cierpię Ameryki.

- W takim razie może Afryka.

- Nigdy tam nie byłem. I wątpię, aby przypadła mi do gustu. Wziął długi, głęboki oddech. - Dlatego głównie mnie obchodzi, gdzie mnie pochowają. - Nastąpiła kolejna długa chwila ciszy. W końcu Joe odezwał się ponownie: - Jestem głodny. Na łodzi nie ma prowiantu. Muszę coś wtranżolić i to szybko, bo padnę.

- Wobec tego musisz coś sobie złowić - oznajmił Noe. Wstał i poprowadził swego towarzysza na brzeg morza. Fale nie były już tak silne i wysokie jak dotychczas. - Widzisz ryby? - spytał, wskazując łagodnie zaokrąglone fale.

Opalizujące smugi, które Joe dostrzegł na początek, były w rzeczywistości żywymi istotami. Węgorze i inne ryby świetliste jak błyskawice przemykały pośród fal wielkimi ławicami.

- Widzę.

- Chwytaj je.

- Mam to robić gołymi rękami?

- I połykać na surowo - dodał Noe. Uśmiechnął się, widząc jego zde gustowaną minę. - Najlepsze są żywe - zapewnił. - Możesz mi wierzyć.

Ból w trzewiach Joego szedł teraz w zawody z tym, który przenikał jego jądra. Joe jednak zdawał sobie sprawę, że nie czas na sentymenty czy słabości. Miał ograniczoną możliwość wyboru. Wzruszył ramionami i wszedł do wody. Była przyjemnie ciepła, co mile go zaskoczyło i gdyby nie znał prawdy, powiedziałby, że chciała, by w niej brodził; fale pieszczotliwie owijały się wokół jego nóg i podnosiły wyżej, ku kroczu. Stwierdził, że ryby znajdowały się wszędzie, najróżniejsze, różnej wielkości: jedne wielkie jak pstrągi - co go zdumiało, bo przecież było tu dość płytko - inne drobne niczym kolibry i jak one pozornie opierające się sile ciężenia, śmigły wokół niego roziskrzonym, migotliwym mrowiem. Złapanie ryby nie sprawiło Joemu najmniejszych trudności. Po prostu zacisnął dłoń, a kiedy ją otworzył, stwierdził, że pochwycił nie jedną, ale trzy - dwie srebrzysto-czerwone i trzecią niebieską; wszystkie trzepotały się jak szalone. Nie wyglądały zbyt apetycznie ze swymi czarnymi jak węgiel oczami i nadymającymi się bokami. Póki jednak byli tu z Noem

uwięzieni, nie miał wyboru. Albo będzie jadł ryby, albo będzie głodny.

Złapał jedną z czerwonych rybek i nie namyślając się wiele, wrzucił ją do ust. Przez chwilę poczuł narastające obrzydzenie, miał wrażenie, że zwymiotuje, ale rybka w końcu ześlizgnęła się w dół jego przetyku. Nie poczuł smaku, ale co tam, do cholery. To nie były przysmaki szefa kuchni, lecz zaspokajanie głodu w najbardziej prymitywny ze znanych człowiekowi sposobów. Raz jeszcze spojrzął na otwartą dłoń, po czym łyknął na raz obie rybki, potrząsając przy tym głową, aby łatwiej mu poszło. Jedna spłynęła do jego żołądka równie łatwo jak pierwsze, lecz ostatnia zaczęła obijać mu się gwałtownie o migdałki i w jakiś sposób odnalazła drogę powrotną na język. Wypluł ją.

- Niesmaczna? - zapytał Noe, wchodząc do wody i stając przy Joem.

- Chyba nie chciała zostać zjedzona - odparł.

- Nie można mieć jej tego za złe - mruknął Noe i przeszedł jeszcze kilka kroków, aż woda sięgnęła mu bioder.

- Czujesz się silniejszy? - zawołał doń Joe, przekrzykując ryk fal.

- Z każdą chwilą! - odparł stwór. - Powietrze dodaje mi sił.

Włożył obie ręce do wody, ale gdy je wyjął, nie trzymał ryby, lecz stworzenie o wielkich, złocistych oczach, przypominające kałamarnicę.

- Nie każ mi zjadać czegoś takiego! - obruszył się Joe.

- Nie, nigdy w życiu - odrzekł Noe. - To Zehrapushu; duchowy przewodnik. Widzisz, jak na ciebie spogląda?

Joe zobaczył to. W patrzących bez mrugnięcia oczach stworza dostrzegł osobliwe zaciekawienie, jakby ten bacznie go obserwował.

- Nie przywykł do oglądania twego gatunku, istot z krwi i kości - wyjaśnił Noe. - Gdybyś znał jego język z pewnością powiedziałby ci, abyś wracał do siebie, do domu. Może chcesz go dotknąć?

- Nie za bardzo.

- Sprawiłbyś Zehrapushu radość - nalegał Noe, podsuwając mu stworzenie. - Jeśli sprawisz radość jednemu, uszczęśliwisz wiele.

Joe podszedł do Noego, obserwując przyglądającego mu się stworka.

- Chcesz powiedzieć, że to coś ma łączność z innymi... jak je nazwałeś... Zehra jak?

- Ludzie nazywają je w skrócie: 'shu. - Podał stworza Joemu. - Nie ugryzie - zapewnił.

Joe wziął nieśmiało 'shu. Leżał w jego dłoniach dość pasywnie, wzrok wbił w twarz człowieka.

- Najstarsze świątynie na dwunastu kontynentach wzniesiono właśnie dla 'shu. - ciągnął

Noe. - W niektórych miejscach wciąż oddają im cześć.

- Ale twój lud nie?

Noe pokręcił głową.

- Moja żona była katoliczką - wyjaśnił. - A ja... jestem ateistą. Lepiej włóż go z powrotem do wody, zanim szejnie. Myślę, że umarłby szczęśliwy, po prostu ci się przyglądając.

Joe pochylił się i wpuścił 'shu z powrotem do wody. Stworek przez chwilę trwał nieruchomo pomiędzy jego dłońmi, po czym jednym skrzętem bezkręgowego ciała wyprysnął do przodu, na głębinę. Wodząc za nim wzrokiem Joe mimo woli zastanawiał, się czy owa istotka opowiadała teraz swym pobratymcom o dziwnym, czarnym mężczyźnie.

- Niektórzy wierzą - powiedział Noe - że 'shu są częściami ciała stwórcy, który rozpadł się na miliard kawałków, aby pełnić rolę przewodnika ludzkich dusz w Quiddity, lecz zapomniał ostatecznie, jak ma je ponownie złączyć w jedną całość.

- A zatem trzymałem w dłoniach cząstkę Boga?

- Tak. - Noe znów włożył rękę do wody i tym razem wyłowil rybę o długości stopy. - Za duża? - zapytał.

- Za duża.

- Mniejsze łatwiej się przetyka, prawda?

- Dużo łatwiej - potaknął Joe i wydobyl z fal dwie garście maleńkich rybek.

Spotkanie z 'shu pozbawiło go wszelkich zahamowań. Najwyraźniej te tępookie stworzenia stały niżej na drabinie rozwoju aniżeli istota, która tak baczenie mu się przyglądała. Mógł przetykać je bez odrobiny wahania. Pochłonał dwie garście w ciągu tyluż sekund, a potem złapał sobie większą i zaczął pojadać jak kanapkę. Miała jasnopomarańczowe, delikatne i słodkie mięso, które żuł beznamiętnie, mimo iż wila się w jego garści i wyrzucił ją nie dojezoną dopiero wtedy, gdy jakaś ość utkwiła mu między zębami.

- Na razie mi wystarczy - oznajmił, usiłując wydłubać ość spomiędzy zębów.

- Nie popijesz? - spytał Noe.

- Woda jest słona, prawda? - odrzekł Joe.

- Nie dla mojego podniebienia - stwierdził Noe i nabrawszy w złączone dłonie wody z Quiddity wypił, głośno siorbiąc. - Uważam, że jest dobra.

Joe uczynił to samo i nie rozczarował się, woda była całkiem smaczna. Wypił kilka łyków i wrócił na brzeg, czując się nieomal przejezdony, mimo iż wcześniej nie przypuszczał, aby tych kilka rybek mogło zaspokoić jego głód.

Podczas gdy rozmawiali o rybach i Bogu, procesja dotarła do szczeliny, która



zdecydowanie się poszerzyła; była o połowę większa niż w momencie, gdy przez nią przechodzili - uczestnicy procesji zbrali się naprzeciw przejścia.

- Zamierzają przedostać się na drugą stronę? - zapytał Joe.

- Na to wygląda - potwierdził Noe. Spojrzał w niebo, które, choć pozbawione słońca, wydawało się mroczniejsze niż dotychczas. - Jeżeli niektórzy z nich zostaną - dorzucił - może uformujemy z nich naszą załogę.

- Załogę? Jakiego statku?

- A mamy jakiś inny oprócz tego? - spytał Noe, uderzając dłonią w burtę „Fanacapaną”.

- Są jeszcze inne w zatoce - zauważył Joe, wskazując ręką w stronę miasta. - Wielkie okręty. Ta łupina nie wygląda na dość wytrzymałą, by mogła wypuścić się głębiej w morze. A jeżeli nawet, jak do cholery zamierzasz przekonać któregoś z nich, aby z nami popłynęli?

- To już mój kłopot - uciął stwór. - Może teraz trochę odpoczniesz? Prześpij się, jeżeli zdołasz. Mamy przed sobą ciężką noc. Czeka nas mnóstwo pracy.

- Spać? - burknął Joe. - Chyba żartujesz.

Pomyślał przez chwilę, że warto by przynieść koc i poduszkę z jednej z kajut, ale uznał, że nie ma ochoty nabawić się wszawicy za tę odrobinę, wątpliwego skądinąd, komfortu. Ułożył się najwygodniej, jak mógł, na gołych kamieniach. Było to bez wątpienia najmniej wygodne posłanie, na jakim kiedykolwiek leżał, ale spokój niebios okazał się dlań lepszym lekarstwem aniżeli garść środków nasennych i choć nie zapadł w sen na tyle głęboki, by coś mu się przyśniło, na pewien czas pogrążył się w dającej zapomnienie drzemce.

## Rozdział VII

### 1

Okolo czwartej w piątek po południu, podczas gdy Tesla i Phoebe poznawały się wzajemnie w Everville, a Joe zasnął pod mroczniejącym niebem na brzegu Quiddity, Howie Katz z córką na rękach siedział na progu, obserwując nadciągającą z północnego wschodu burzę. Szykuje się nielicha burza, pomyślał, na pewno nieźle pogrzmi i może w końcu przestanie być tak duszno. Poprzedniej nocy dziecko nie spało dobrze i przez większość dnia było marudne, teraz jednak leżało zadowolone na jego rękach, przeważnie drzemiąc. Jo-Beth położyła się przed godziną, skarżąc się na dokuczliwy ból żołądka. W domu panowała cisza. Podobnie jak na ulicy, jeżeli nie liczyć psów sąsiadów, które wydawały się niespokojne; biegały tam i z powrotem, węsząc i nadstawiając uszu, czujne i energiczne. Howie obiecał sobie, że kiedy znajdzie dla nich lepsze miejsce do zamieszkania, będą mieli psa. Choćby nawet kundla. Dobrze, żeby Amy dorastała w towarzystwie zwierzęcia będącego jej obrońcą i towarzyszem zabaw.

- On też będzie cię kochał - szepnął do dziewczynki Howie. - Bo wszyscy cię kochają.

Zaczęła z lekka wiercić się w jego ramionach.

- Chcesz się położyć, kochanie? - spytał, podnosząc ją i całując delikatną buzię. - Zaniesiemy cię na górę.

Podreptał na górę na palcach i aby nie budzić Jo-Beth, ułożył Amy w drugim pokoju. Następnie wziął szybki prysznic.

Tak dobrze było włożyć głowę pod chłodną wodę i splukać z siebie pot i brud całego dnia; tak dobrze, że doznał wzwodu nawet się nie dotykając. Starał się to zignorować, umył głowę, wyszorował plecy - ale woda wciąż go podniecała i w końcu ujął członek w dłoń. Kiedy ostatni raz kochał się z Jo-Beth, była w czwartym miesiącu ciąży i próba zakończyła się łzami i stanowczym żądaniem, aby jej nie dotykał. Był to pierwszy dowód, że ciąża może okazać się wyjątkowo trudnym okresem. W kolejnych miesiącach miewał niekiedy wrażenie, że żyje z dwiema kobietami - tą wspaniałą i jej wredną bliźniaczką. Kochająca Jo-Beth nie pragnęła seksu, ale chciała, by ją tulił i pocieszał w chwilach depresji. Jej paskudna siostrzyczka nie chciała z jego strony niczego, ani pocałunku, ani towarzystwa. Powtarzała, iż żałuje, że w ogóle go poznała, i czyniła to z takim przekonaniem, że nie miał wątpliwości, iż

faktycznie tak uważała. A potem pojawiała się ta druga Jo-Beth, zwykle zapłakana - i przeproszała go, mówiąc jak bardzo jest jej przykro, tak bardzo przykro, i że nie wie co by bez niego zrobiła.

W tym okresie nauczył się tłumić i ukrywać swoje libido. Plik „świerszczyków” przechowywał w garażu, znalazł telewizję kablową, gdzie późną nocą nadawano filmy soft porno, zdarzyło mu się nawet kilka razy mieć „mokre sny”.

Jo-Beth zawsze jednak pozostawała na obrzeżach wyobraźni Howie’ego. Nawet w ostatnich dwóch tygodniach ciąży, kiedy była naprawdę olbrzymia, podniecał go widok jej ciała. Ona również zdawała sobie z tego sprawę i starała się ograniczyć sytuacje, które mogły go pobudzić; zamykała drzwi łazienki, kiedy myła się lub brała prysznic, odwracała się do niego plecami, gdy rozbierała się przed pójściem do łóżka. Sprowadzała go do stanu rozdygotanego nastolatka, obserwującego ją kątem oka w nadziei, że dostrzeże przez moment jakiś skrawek nagiego ciała, który będzie później wspominał onanizując się.

Miał tego dość. Nadszedł czas, żeby znów byli mężem i żoną, nie zaś nieśmiały mi nieznanymi, którzy przypadkiem znaleźli się w jednym łóżku. Zakręcił prysznic, wytarł się pospiesznie i owinąwszy się ręcznikiem wszedł do sypialni.

Zagrzmiało i błysnęło, ale Jo-Beth się nie obudziła. Leżała w ubraniu na łóżku, jej twarz skąpana była w srebrnej księżycowej poświacie. Howie podszedł do okna i lekko je uchylił. Chmury były czarne i nabrzmiałe od deszczu, lada moment uwolnią swe brzemie na zapylone podwórze i równie zakurzony, suchy dach.

Z tyłu za nim Jo-Beth szepnęła coś przez sen. Podszedł do łóżka i delikatnie usiadł przy niej. Znowu coś wymamrotała - nie zrozumiał słów - a potem uniosła dłoń i musnęła palcami jego ramię. Przesunęła dłoń do ust, po czym, jak gdyby jej senne „ja” uświadomiło sobie, że ktoś siedzi na łóżku, dłoń powróciła do jego ramienia.

Howie był przekonany, że się obudziła, ale nie, wciąż spała. Na jej ustach wykwitł delikatny uśmiech, a dłoń przesunęła się w dół, do jego torsu. Dotyk był delikatny, niczym muśnięcie piórkiem, ale niewiarygodnie zmysłowy. Możliwe, iż wrażenie okazało się silniejsze, ponieważ podświadomość pozwalała jej na to, czego nie odważyłaby się uczynić na jawie. Pozwolił, by dłoń żony muskała jego pierś i jednocześnie zdjął ręcznik, którym był przepasany. Jego członek podniósł się, jakby też pragnął dotyku Jo-Beth. Howie nie poruszył się, wstrzymał oddech. Patrzył tylko, jak jej dłoń osuwała się w dół jego twardego, umięśnionego brzucha aż odnalazła zwiedziony penis.

Wypuścił powietrze najciszej jak potrafił, rozkoszując się poświęcaną mu uwagą. Jo-Beth nie zatrzymała się na członku dłużej niż w przypadku torsu i brzucha, zanim jednak jej

palce przesunęły się po jądrach i udzie, Howie był tak podniecony, że bał się, iż może utracić nad sobą kontrolę. Odwrócił wzrok od palców żony, przypatrując się jej twarzy, ale widok ten tylko wzmógł w nim pożądanie. Zamknął oczy, usiłując wyobrazić sobie ulicę przed domem, burzowe chmury, silnik, przy którym wczoraj pracował, lecz za każdym razem twarz Jo-Beth przędzej czy później znów pojawiała się w jego myślach.

Ponownie usłyszał jej szept, słowa wciąż były niezrozumiałe i choć tego nie chciał, otworzył oczy, by spojrzeć na jej wargi.

Tego już było za wiele. Jęknął głośno i jakby w odpowiedzi jej mamrotanie stało się głośniejsze, a dłoń przesuwaną się dotąd po udzie, powróciła do jego krocza. Poczłwał za jądrami pierwszy spazmatyczny skurecz i sięgnął ręką, by ścisnąć członek, w nadziei że odsunie choć na kilka sekund to, co nieuniknione. Jo-Beth chyba wyczuła ten ruch, ponieważ uprzedziła go, ujmując mocno penis i gdy to uczyniła, wytrysnął.

- O Boże! - jęknął Howie, odrzucając głowę do tyłu. Dopiero teraz, po raz pierwszy usłyszał jej słowa...

- Już dobrze - mówiła. Wstrzymał oddech. - Już dobrze, Tommy Ray. Już. Dobrze. Już.

- Tommy?

Wciąż jeszcze miał wytrysk, kiedy jej śliska dłoń manipulowała jego członkiem, ale uczucie rozkoszy przysło.

- Nie - powiedział. - Przestań!

Nie usłuchała, ponieważ nie słyszała. Powtarzała jak w malignie:

- JużdobrzejuźdobrzejuźdobrzeTommyjuźdobrze...

Odsunął jej rękę i czując narastające mdłości, zaczął podnosić się z łóżka. Schwyciła go za nadgarstek, trafiając bezbłędnie mimo zamkniętych oczu. Mamrotanie ucichło.

- Zaczekaj - powiedziała.

Sperma wciąż sączyła się z jego członka. Howie miał nieprzepartą chęć usiąść okrakiem na Jo-Beth; niech otworzy oczy i ujrzy go, wilgotnego i zwiotczałego. A potem mógłby powiedzieć: „To ja, Howie. Pamiętasz mnie? Wyszłaś za mnie”.

Zbytnio jednak wstydział się swojej bezsilności, bezradności, strachu i potu, jaki oblewał go na samą myśl o nim. Strachu, że Tommy-Ray McGuire był gdzieś niedaleko i zbliżał się. Zanim rozum nakazał mu patrzeć, zlustrował mroczny pokój, poszukując śladów, jakichkolwiek śladów Chłopca Śmierci. Naturalnie żadnych nie było. Nie było go tu fizycznie. W każdym razie jeszcze nie. Znajdował się w myślach Jo-Beth. I to było jeszcze straszniejsze.

Podnosząc ręcznik, aby się zakryć, Howie uwolnił rękę i wycofał się do drzwi. Gniew

już się w nim wypalił, zostały niesmak, niepokój i obrzydzenie.

Zanim zdołał sięgnąć klamki, Jo-Beth otworzyła oczy.

- Howie? - spytała.

- A kogo się spodziewałaś?

Uniosła lekko dłoń do oczu i usiadła.

- Co tu się dzieje? - spytała oskarżycielskim tonem.

Nie zamierzał jej bronić. Nie tym razem.

- Śniłaś o Tommym-Rayu - wyjaśnił.

Zwiesiła nogi na podłogę, wycierając wilgotną dłoń w prześcieradło.

- O czym ty mówisz? - rzuciła ostro. Na piersiach i szyi miała czerwone plamy - jawne oznaki pobudzenia. Kto wie, może wciąż była podniecona.

- Powtarzałaś jego imię - oznajmił Howie.

- Nie, to nieprawda.

- Uważasz, że wymyśliłem sobie to wszystko? - spytał, podnosząc głos.

- Tak, to bardzo prawdopodobne! - zawołała.

Po tym jak go zaatakowała, Howie domyślił się, iż doskonale wiedziała, że mówił prawdę (tak zajadła stawała się tylko wtedy, gdy miała coś do ukrycia), co oznaczało, że obudzwszy się musiała pamiętać, iż śniła o swym bracie. Ta myśl sprawiła, że Howie'emu zachciało się płakać, rzygać, a może jedno i drugie. Otworzył drzwi na oścież i wyszedł do sieni. W tej samej chwili zaczęło padać - krople deszczu utworzyły na oknie tatuaż. Uniósł wzrok - ujrzał przez ociekające deszczem szkło fioletowo-czarne chmury; zagrzmiało tak, że aż dom zadygotał w posadach.

W drugim pokoju Amy obudziła się i zaczęła popłakiwać. Chciał pójść do niej, ale usłyszał, że Jo-Beth podchodzi do drzwi sypialni, i nie chciał, aby ujrzała go w świetle, tak jak teraz, z wyrazem przerażenia na twarzy. Z pewnością powiedziałyby o tym Tommy'emu-Rayowi, kiedy ponownie odwiedzi ją we śnie. Powiedziałyby: *Przyjdź i weź mnie. Nikt ci tu nie przeszkodzi.*

Wszedł do łazienki i zatrzaskał za sobą drzwi. Po pewnym czasie płacz Amy umilkł. Niedługo potem ucichła również burza, ale nie pozostawiła po sobie rześkiego powietrza, a żar i duchota były jeszcze bardziej dokuczliwe niż dotychczas.

- Grillo? Tu Howie.

- Nie spodziewałem się usłyszeć...  
- Słyszałeś jeszcze jakieś informacje o T-T-Tommym-Ray?u?  
- A coś się stało?  
- Można tak powiedzieć.  
- Opowiesz mi o tym?  
- Na razie nie. Chciałbym t-t-tylko w-w-wiedzieć, gdzie on teraz jest. On p-p-przyjdzie po nią...

- Uspokój się, Howie.  
- W-w-wiem, że on po nią idzie.  
- On nie wie, gdzie mieszkanie, Howie.  
- Jest w jej głowie, Grillo. To była prawda. K-k-kurwa, nie jękałem się od p-p-pięciu lat - przerwał i nerwowo zaczerpnął powietrza. - Myślałem, że już po wszystkim. A w k-k-każdym razie, że już p-p-po nim.

- Wszyscy tak uważaliśmy.  
- M-m-myślałem, że on n-n-nie żyje i że jest p-po wszystkim. Ale on wciąż tam jest, w jej wnętrzu. Dlatego nie mów mi, że n-n-nie wie, gdzie m-mieszka. Wie doskonale.

- Gdzie teraz jesteś?  
- Na stacji benzynowej niedaleko od domu. N-nie chciałem stamtąd dzwonić.  
- Lepiej wracaj do domu. Masz broń?  
- P-p-pistolet. Ale co to k-k-kurwa pomoże? Bo przecież jeżeli on żyje...  
- Oszukał śmierć.  
- I p-p-pistolet w walce z nim nie na w-w-wiele p-p-pomoże.  
- Cholera.  
- Właśnie. Cholera. Szlag by to wszystko trafił!

Grillo usłyszał jak tamten wali pięścią w automat. Rozległ się stłumiony dźwięk. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że Katz płacze.

- Posłuchaj Howie... - Zduszony dźwięk wciąż był słyszalny. Chłopak zakrył słuchawkę dłonią, aby Grillo go nie usłyszał. Znam to uczucie, pomyślał Grillo. Jeżeli się rozplacę, a nikt tego nie usłyszy, może wszystkie te łzy znikną, jakby ich w ogóle nie było.

Tylko że to nie działało w ten sposób.

- Jesteś tam, Howie?

Przez chwilę panowała cisza, po czym Howie wrócił na linię. Łzy trochę go uspokoiły.

- Jestem - odparł.

- Przyjadę do ciebie. Wspólnie coś wykombinujemy.

- Taa?

- Póki co, bądź w pogotowiu. Rozumiesz mnie?

- A jeżeli on... co, jeżeli on po nią p-p-przyjdzie?

- Zrobisz, co będziesz musiał. Wyniesiesz się stamtąd, jeżeli będzie trzeba. Nie przejmuj się, pozostanę w kontakcie.

- Taa.

- Coś jeszcze?

- On jej nie dostanie, Grillo.

- Wiem.

- N-n-nie dostanie jej, choćby n-n-nie wiem co.

Co ja zrobiłem? Ta jedna myśl kołatała się po głowie Grilla, kiedy odłożył słuchawkę. Dlaczego zgłosiłem się na ochotnika do czegoś takiego? Nie mógł pomóc Howie'emu. Jezu, nie był w stanie pomóc nawet sobie. Siedział przed monitorami, które wypełniały się danymi niczym chmury burzowe deszczem - wiadomości nadchodziły z całego kraju, wszystkie były nieodmiennie złe - zastanawiał się nawet nad wycofaniem się ze złożonej propozycji, ale wiedział, że nie mógłby spojrzeć w lustro, gdyby odsunął się i wydarzyła się tragedia.

A wiedział, że coś się wydarzy. Jeżeli nie tej, to następnej nocy. Świat ogarniał oblęd, szaleństwo narastało. Dowody miał wyraźnie widoczne na ekranie komputera. Czy znajdzie się lepsza okazja dla wskrzeszonych, aby mogli uregulować rachunki? On musi zrobić, co w jego mocy, mimo że jest niemal bezsilny i to, co uczyni, może okazać się zupełnie bez znaczenia. Musi to zrobić, w przeciwnym razie utraci resztki godności i szacunek do siebie. Wyłączył monitory i zaczął się pakować. Już prawie kończył, kiedy zadzwonił telefon. Tym razem dzwoniła Tesla, z Everville.

- Zostanę tu z pewną spotkaną na miejscu kobietą - oznajmiła. - Potrzebuje mego towarzystwa. Masz pióro? - Grillo zapisał numer, po czym streścił jej pokrótce sytuację u Katzów. Wcale jej to nie zdziwiło. - W ten weekend rozstrzygnie się wiele końcówek - powiedziała.

Oświadczył, że zamierza odwiedzić Howie'ego. Następnie rozmowa zeszła na temat D'Amoura.

- Zawsze uważałem te jego talizmany i tatuaże za jeden wielki szajs - rzekł Grillo - ale teraz...

- Chciałbyś mieć choć jeden z nich?

- Chciałbym mieć coś, w co bym wierzył - odparł. - Coś, co mogłoby mi się przydać,

jeżeli to prawda, że Tommy-Ray krąży po okolicy.

- Och, to prawie pewne - powiedziała pośpiesznie Tesla. - W tych dniach zostało uwolnionych wiele różnych potęg.

Grillo zastanawiał się nad tym przez chwilę. Wreszcie zapytał:

- Co myśmy, kurwa, zrobili, że zasłużyliśmy na taki los?

- Chyba po prostu mieliśmy farta - odrzekła Tesla.

### 3

Burza, która rozpoczęła się nad domem Katzów, przesuwała się jednostajnie na południowy zachód, uwalniając po drodze swe deszczowe brzemie.

Na śliskich szosach i ulicach dochodziło do licznych kolizji, ale tylko jedna z nich okazała się tragiczna w skutkach. Wypadek zdarzył się ponad sto pięćdziesiąt mil od domu, na autostradzie między stanowej numer 84. RV z sześciuosobową rodziną, wracającą z urlopu w Cedar City wpadł w poślizg na zdradzieckiej nawierzchni, uderzył w wóz jadący na sąsiednim pasie, zjechał na pas dla jadących w przeciwną stronę i rozbiwszy pół tuzina pojazdów, wyleciał z szosy.

Policja, pogotowie i straż pożarna przybyły zadziwiająco szybko, zważywszy, że autostrada była w obu kierunkach zablokowana, a ulewny deszcz zmniejszał widoczność do piętnastu metrów; zanim jednak przyjechali ratownicy, pięć ludzkich istnień zdążyło już zgasnąć, a trzy kolejne osoby - w tym kierowca RV - zmarły, zanim wydobyto je z wraków.

Jakby zaintrygowana wywołanym przez siebie chaosem, burza zatrzymała się nad miejscem wypadku na dobre pół godziny, a strugi deszczu zdusiły kłęby dymu wydobywające się z płonących pojazdów. W gorzkiej, oślepiającej mieszance dymu i deszczu ratujący i poszkodowani poruszali się niczym zjawy, cuchnący i pokryci plamami krwi oraz benzyny. Niektórzy z ocalonych mieli dość szczęścia i mogli nawet płakać; inni po prostu krążyli od jednego płonącego wozu do drugiego, przystając przy kolejnych zwłokach, jakby szukali utraconych gdzieś zdrowych zmysłów.

Był tu wszakże pewien duch, który nie należał do ekipy ratowniczej ani nie wymagał ratunku, i poruszał się pośród piekielnego zamętu z łatwością wzbudzającą zgrozę i panikę wśród wszystkich, którzy go ujrzeli.

Duch był młody i nieprzyzwoicie wprost przystojny - jasnowłosy, opalony, ukazywał w promiennym uśmiechu białe zęby i podśpiewywał. To właśnie, bardziej aniżeli jego swobodne zachowanie, zaniepokoiło ludzi, którzy później o nim rozmawiali. Krążył od wraku



do wraku, nucąc pod nosem drażniącą, pozbawioną nazwy melodyjkę, co było wręcz diaboliczne.

Nie obeszło się bez konfrontacji.

Funkcjonariusz policji zauważył go, jak sięgał na tylne siedzenie jednego z rozbitych aut i zażądał, aby intruz natychmiast opuścił miejsce wypadku. Widmo zignorowało rozkaz i rozbiło tylną szybę, sięgając po coś, co wypatrzyło na siedzeniu. Funkcjonariusz ponownie przywołał go do porządku; wyjął nawet rewolwer. W odpowiedzi duch przestał na chwilę podśpiewywać i rzekł krótko, że: „ma tu coś do załatwienia”.

Następnie ponownie zaczął nucić pod nosem w miejscu, gdzie przerwał i wydostał z auta przez rozbity szybę ciało dziewczynki; w ogólnym zamieszaniu nikt nie zauważył jej zwłok. Funkcjonariusz wymierzył broń w serce przybysza i rozkazał, aby położył dziecko na jezdni, ale i tym razem jego polecenie zostało zignorowane. Zarzucając sobie trupka na ramiona, jak pasterz owieczkę, intruz odwrócił się, by odejść.

Dalsze wypadki zrelacjonowało pięcioro różnych świadków, w tym również policjant - i choć wszyscy byli zszokowani i poruszeni, na pewno ich wzburzenie nie było na tyle duże, aby mogło wywołać halucynacje. Ich zeznania są wszelako wyjątkowo dziwaczne. Odwracając się plecami do policjanta złodziej zwłok ruszył w stronę nasypu i w tej samej chwili otaczający go dym zadrżał, jakby przeszyty prądem, później zaś świadkom wydało się, że przez chwilę w oparach pojawiły się nieco zamazane ludzkie sylwetki - twarze miały długie i umęczone, ciała zaś muskularne, lecz miękkie, jakby pozbawione wszystkich kości; postaci te wyraźnie musiały być na usługach złodzieja, gdyż zamknęły się wokół niego zawadząco przeciągle chmurą, bariery której nikt, nawet policjant, nie odważył się przestąpić.

Pięć godzin później, o niecałą milę od autostrady, wśród brzoź odnaleziono zwłoki dziecka, trzyletniej Loreny Hernandez. Zostały odarte z zakrwawionego ubranka i starannie, pieczołowicie wręcz obmyte w strugach deszczu. Następnie ciało ułożono na wilgotnej ziemi w pozycji embrionalnej, z nóżkami przyciągniętymi do brzuszka i brodą opuszczoną na piersi. Nie wykryto oznak molestowania seksualnego. Dziecko pozbawiono jednak gałek ocznych.

Po muzykalnym piękniśniu, który je zabrał, zadając sobie przy tym tyle trudu, nie pozostał żaden ślad. Dosłownie i w przenośni. Nie odnaleziono śladów stóp na trawie ani odcisków palców na ciele, niczego. Zupełnie jakby porywacz po odprawieniu swojego ponurego i niewyjaśnionego rytuału rozpląnął się w powietrzu.

Raport o tym wydarzeniu został dołączony do Rify jeszcze tego samego wieczoru, ale nie było nikogo, kto mógłby go przeczytać. Grillo znajdował się w drodze do Idaho,

pozostawiający napływające w coraz szybszym tempie doniesienia samym sobie. A były to dziwne i przerażające historie.

W Minnesocie mężczyzna poddawany operacji serca obudził się na stole operacyjnym i pomimo rozpaczliwych prób anestezjologów, aby ponownie uśpić pacjenta, ostrzegł chirurgów, że pożeracze ogonów nadchodzą, są już blisko i nic ich nie powstrzyma. A potem skonał.

W miasteczku uniwersyteckim w Teksasie kilkoro ludzi było świadkami, jak kobieta w bieli, której towarzyszyło sześć psów albinosów zniknęła w głębi ziemi, tak jakby zeszła po schodach. Potem z wnętrza ziemi dobiegł dojmujący szloch, tak żałosny i chwytający za serce, że jedna z osób, które go słyszały, w kilka godzin później targnęła się na życie.

W Atlancie wielebny Donald Merrill w połowie wyjątkowo ostrego kazania odbiegł nagle od tematu, którym była jedyna miłość - Miłość Boża - i jął prawić o nadchodzącym zagrożeniu. Jego słowa za pośrednictwem telewizyjnego przekazu na żywo trafiły do ludzi w całym kraju, a oko kamery rejestrowało każdy ruch duchownego, który krążąc tam i z powrotem, perorował gestykulując i używając coraz bardziej wulgarnego słownictwa. Później raz jeszcze zmienił temat, koncentrując się na ludzkiej anatomii. Odpowiedź tkwi tutaj - rzekł i zaczął rozbierać się na oczach kompletnie zdezorientowanych widzów. Zanim został tylko w bieliźnie i skarpetkach, obraz został wyłączony, ale słowa kaznodziei wciąż szły w eter; zalecenia dla zdumionych i wstrząśniętych wiernych, aby udali się do domów, znaleźli dla siebie wielkie lustra i stanąwszy przed nimi nago - kontemplowali siebie aż - jak to określił - nadchodzące zagrożenie przeminie i czas się zatrzyma.

W Rafie znalazło się jedno doniesienie, które szczególnie zainteresowałoby Tesłę, naturalnie gdyby o nim wiedziała; być może w znaczący sposób mogłoby ono wpłynąć na dalszy rozwój wypadków.

Pochodziło z Baja. Dwóch gości z Anglii, parapsychologów piszących książkę na temat tajemnic umysłu i materii, udało się na poszukiwanie pewnego nieomal mistycznego miejsca, gdzie, jak głosiły plotki, przed kilkoma laty wydarzyło się coś niezwykłego i strasznego zarazem. Naturalnie trafili tam, gdzie Fletcher stworzył Nuncjo, czyli do Misji Świętej Katarzyny. Robili właśnie zdjęcia ruin, na cyplu ponad wodami błękitnego Pacyfiku, kiedy przybiegła do nich jakaś kobieta z grupki wiernych, którzy wciąż odwiedzali małą świątynię wzniesioną pośród gruzów i ze łzami na twarzy, płaczącym głosem, opowiedziała im o ogniu, który nawiedził misję poprzedniej nocy, o ogniu układającym się w kształt człowieka.

- Fletcher - powiedziała. - Fletcher, Fletcher...

Ta opowieść wszelako, jak wiele innych, zginęła już wkrótce pod nawałą setek następnych, napływających bez przerwy z każdego zakątka kraju. Opowieści osobliwe i niewiarygodne, niesamowite i groteskowe, plugawe i jawnie absurdalne. Beznamiętna, bezosobowa, a teraz również bezpańska Rafa rozrastała się, nie mając o tym zielonego pojęcia; ciało więdźmy, pozbawione głowy, która mogła by je umiejętnie wykorzystać.

## Rozdział VIII

### 1

Znalezienie Rozstajów, gdzie Maeve O'Connell zakopała medalion, okazało się trudniejsze niż przypuszczał Buddenbaum. Z towarzyszącym mu Sethem spędził dwie godziny, krążąc po Main Street, począwszy od ronda na północ, północny zachód i południe, a potem południowy wschód, przypuszczając (jak się okazało błędnie), iż rozstajne drogi, gdzie zakończy się jego wędrówka, będą znajdować się w pobliżu centrum miasta. W końcu odnalazł je o półtora kilometra dalej. Było to względnie mało znaczące miejsce na mapie Everville. Na jednym rogu znajdował się Kitty's Diner, naprzeciwko baru mały sklep, a równoległe do nich stary, zapuszczony garaż i coś co przypominało salon odzieżowy - na jednym z manekinów przyczepiono kartkę z napisem „Wyprzedaż wszystkiego” - oznaczającą, że dni tego sklepu są już policzone.

- Czego właściwie szukasz? - zapytał Seth, gdy stali uważnie obserwując skrzyżowanie.

- Teraz już niczego - odparł Buddenbaum.

- Skąd wiesz, że to właściwe skrzyżowanie?

- Czuję to, jest w ziemi. Ty patrzysz w górę, ja w dół. Uzupełniamy się. - Splótł palce. - O, tak! - Szarpnął ręką, by pokazać mu, jak byli złączeni.

- Czy moglibyśmy jak najszybciej pójść do łóżka? - spytał Seth.

- Już niedługo. Najpierw chciałbym zajrzeć tam. - Wskazał w stronę okien nad pustym sklepem. - Musimy znaleźć sobie dogodny punkt obserwacyjny.

- Na paradę? - zdziwił się Seth.

- Nie. Nie na paradę. Buddenbaum roześmiał się.

- W takim razie po co'?

- Jak mam ci to wytłumaczyć?

- Jak uznasz za stosowne.

- Na świecie są miejsca, gdzie mają wydarzyć się pewne rzeczy - oznajmił Buddenbaum. - Miejsca, gdzie pojawiają się siły, gdzie... - Przez chwilę szukał odpowiednich słów. - Gdzie pojawiają się awatary.

- Co to są awatary?

- To taki rodzaj oblicza. Oblicza czegoś boskiego.

- Jak anioł?
- Coś więcej niż anioł.
- Coś więcej?
- Więcej.

Seth zamyślił się przez chwilę, a potem zapytał:

- Te rzeczy...
- Awatary.
- Awatary. One przybędą tutaj?
- Niektóre z nich.
- Skąd wiesz?

Buddenbaum wbił wzrok w ziemię.

- Najprostsza odpowiedź brzmi chyba, że przybywają, ponieważ poprosiłem je o to.
- Ty? - rzucił Seth z pewnym rozbawieniem. Najwyraźniej był zachwycony, że stał na rogu ulicy, rozmawiając z człowiekiem, który umiał zapraszać do naszego świata boskie istoty. - A one tak po prostu się zgadzają?
- To nie dzieje się pierwszy raz - odparł Buddenbaum. - W ciągu wielu lat... jakby to powiedzieć... zapewniłem im mnóstwo najrozmaitszych rozrywek.

- Jakich?
- Najróżniejszych. Ale głównie takich, które przyprawiłyby o zgrozę pospolitych ludzi.
- Takie lubią najbardziej, prawda?

Buddenbaum spojrzał na chłopaka ze szczerym zdumieniem.

- Szybko to sobie przyswajasz - stwierdził. - Tak. Właśnie te lubią najbardziej. Im krwawsze tym lepiej. Im więcej łez, smutku, bólu tym lepiej.
- Nie różnią się zbytnio od nas, prawda? - zauważył Seth. - My też za tym przepadamy.
- Tylko że to nie jest iluzja - ciągnął Buddenbaum - To nie fałszywa krew czy glicerynowe łzy. One chcą prawdziwych doznań. A moim zadaniem jest im ich dostarczać... - przerwał, obserwując samochody na ulicy i przechodniów na chodnikach. - To nie zawsze przyjemne zajęcie - dorzucił.

- Wobec tego czemu to robisz?

- Nie potrafię odpowiedzieć. Nie tutaj. Nie teraz. Jeśli jednak pozostaniesz przy mnie dłużej, odpowiedź wyda ci się oczywista. Zaufaj mi.

- Ufam ci.
- Świetnie. Idziemy?

Seth pokiwał głową i obaj przeszli na drugą stronę ulicy, zmierzając ku opuszczonemu

budynkowi.

Kiedy weszli na chodnik i stanęli w progu salonu odzieżowego, Seth zwrócił się do Buddenbauma:

- Boisz się?

- Czemu miałbym się bać?

Seth wzruszył ramionami.

- Ja bym się bał. Głównie spotkania z awatarami.

- One są jak ludzie, tylko bardziej rozwinięte - odrzekł Buddenbaum. - Ja jestem dla nich małpą. Wszystkich nas uważają za małpy.

- W takim razie, kiedy nas obserwują, to tak jakby oglądali zwierzęta w zoo?

- Przyrównałbym to bardziej do safari - wyjaśnił Owen, rozbawiony trafnością tego porównania.

- Może więc to one są bardziej zdenerwowane - zauważył Seth. - Bądź co bądź zapuszczają się do dziczy.

Buddenbaum zmierzył chłopaka wzrokiem.

- Zachowaj to dla siebie - rzucił surowym tonem.

- Ja tylko...

Tamten nie pozwolił mu dokończyć.

- W ogóle nie powinienem był mówić ci o tym.

- Nikomu nie powiem - zapewnił go Seth. - Bo niby komu?

Buddenbauma jednak nie uspokoiły jego słowa.

- Nikomu nic nie powiem - powtórzył Seth. - Przysięgam. - Przysunął się nieco bliżej i położył dłoń na ramieniu Owena. - Chcę robić wszystko, co sprawi, że będziesz ze mną szczęśliwy - oznajmił, patrząc mu prosto w twarz. - Powiedz mi tylko, co.

- Tak, wiem. Przepraszam za mój wybuch. Chyba jestem trochę zdenerwowany. - Nachylił się w stronę chłopaka i wyszeptał mu do ucha: - Chcę cię zerżnąć. Teraz.

Po czym jednym, pozornie pozbawionym siły pchnięciem sforsował zamek w drzwiach wejściowych i wprowadził Seta do środka.

Owa drobna scenka nie przeszła nie zauważona. Od czasu spotkania z tamtą przyjezdną wulgarną jędzą, Bosley był wyczulony na wszelkie objawy bezbożnego zachowania i był świadkiem nawiązania bliższego kontaktu między chłopakiem Lundayem (który, o czym wiedział, od lat miał nie po kolei w głowie) a nieznanym w dobrze skrojonym garniturze. Nie wspominał o tym Delii, Dougowi ani Harriett. Powiedział im, że wybiera się na mały

spacer i wyszedł, a przechodząc przez ulicę, nie odrywał wzroku od pustego sklepu odzieżowego.

Temat seksu nigdy specjalnie go nie interesował. Pomiędzy wypełnianiem po raz kolejny obowiązku małżeńskiego przez Bosleya i jego żonę Letycję mogło minąć trzy lub nawet cztery miesiące, a gdy już do tego dochodziło, po kwadransie było z reguły po wszystkim. Seks jednak ciągle odnajdywał Bosleya, mimo iż ten usilnie starał się oczyścić swój mały zakątek świata. Pokusy pojawiały się w radio i w telewizji, w gazetach i czasopismach, brukając to wszystko, co z podziwu godną gorliwością próbował zachować nieskalane.

Dlaczego, skoro Bóg ulepił człowieka z gliny i dał mu władzę nad wszelkim stworzeniem, ludzie wciąż odczuwali pragnienie, by zachowywać się jak zwierzęta, chodzić jak one nago i tarzać się w prochu, parząc się na najobrzydliwsze sposoby. Mierziło to Bosleya i niekiedy również doprowadzało go do szewskiej pasji, ale głównie mierziło, gdy widział, jak młodzi mieszkańcy Everville odrzucali podstawowe reguły wiary, oddając się rui i poróbstwu. Z jakiejś przyczyny - być może było nią upośledzenie chłopaka - uważał Setha Lundy'ego za uodpornionego na owe przejawy plugawej rozwiązłości. Obecnie zmienił zdanie. Podejrzał bowiem, że chłopak Lundy'ego robił coś gorszego niż jego rówieśnicy, coś o wiele bardziej odrażającego.

Bosley otworzył frontowe drzwi i wszedł do głównego pomieszczenia. W środku było chłodniej niż na zewnątrz, co przyjął z wyraźnym zadowoleniem. Za progiem przystanął na chwilę, usiłując wychwycić, gdzie znajdowali się chłopak i jego starszy towarzysz. Z góry dobiegł odgłos kroków i stłumione głosy. Klucząc pomiędzy stertami śmieci pozostawionymi przez Gingerich, cicho, ostrożnie dotarł do tylnych drzwi. Znajdował się za nimi niewielki magazyn, a jeszcze dalej mroczna klatka schodowa. Przeszedł przez pomieszczenie i zaczął wchodzić na górę. Nagle uświadomił sobie, że głosy ucichły. Zamarł w bezruchu, obawiając się, iż mógł zostać wykryty. Brał życie w swoje ręce, śledząc istoty, które pławiły się w brudzie, grzechu i rozpucie. Które odrzucały przyjęte kanony moralności. Były zdolne do wszystkiego, w tym, jak sądził, również do morderstwa.

Nie doczekał się kroków na schodach, toteż po krótkiej przerwie podjął marsz na piętro i dotarł do drzwi. Były lekko uchylone. Pchnął je i otworzył nieco szerzej, nasłuchując.

Wreszcie ich usłyszał. Jeśli brud i deprawacja miały swe odpowiedniki w odgłosach, to właśnie je usłyszał. Dyszenie, sapanie, jęki i mlaszczące odgłosy ciała uderzającego o ciało. Chciał zawrócić i odejść, ale wiedział, że byłoby to tchórzostwem. Musiał napominać tych, którzy czynili zło, że zbłądzili, tak jak postąpił wobec tej pyskatej smarkuli, w przeciwnym

razie świat stawałby się coraz brudniejszy, skalany i plugawy, aż w końcu ludzie potopiliby się we własnym gnoju. A może się mylił?

Drzwi skrzypnęły, kiedy je otwierał, ale grzesznicy czynili tyle hałasu, że nie zdołali tego usłyszeć. Układ pomieszczenia był taki, że od progu nie mógł ich zobaczyć, musiał wejść dalej i przyczołgać się przy załamaniu ściany. Przygotowując się psychicznie, Bosley wziął głęboki oddech i zajął strategiczną pozycję. Robili to na gołej podłodze, w blasku słonecznego światła; młody Lundy miał na sobie tylko skarpetki, jego sodomita zaś spodnie spuszczone do kolan. Miał zamknięte oczy, podobnie jak chłopak - jak ten plugawiec w ogóle mógł odczuwać przyjemność, dźgając Seta w otwór przeznaczony dla nieczystości? - Ale po dwóch pchnięciach sodomita otworzył oczy i spojrzał na Bosleya. Na jego twarzy ani w głosie nie było cienia wstydu. Jedynie wściekłość.

- Jak śmiesz? - rzucił oschle. - Wynoś się stąd!

Teraz również Lundy otworzył oczy. W przeciwieństwie do tamtego miał jeszcze resztkę godności - zaczerwienił się i uniośł dłoń, aby zakryć krocze.

- Powiedziałem, wynocha! - rzekł sodomita. Bosley nie podszedł bliżej ani nie zrejterował. Następny ruch należał do chłopaka. Przesunął się do przodu, uwalniając od tkwiącego w nim organu, odwrócił się do sodomity i rzekł: - Spraw, żeby odszedł.

Sodomita zaczął wciągać spodnie i kiedy to robił, będąc zarazem bezbronny, Bosley przeszedł do ataku.

- Zwierzęta! - krzyknął, rzucając się na sodomitę z uniesionymi rękoma.

- Owen! - zawołał chłopak, ale ostrzeżenie przyszło zbyt późno.

Kiedy sodomita zaczął się prostować, Bosley wpadł nań z impetem i odrzucił gwałtownie w tył.

Chłopak zaczął się podnosić - Bosley dostrzegł go kątem oka - a z jego gardła dobył się pozbawiony słów okrzyk wściekłości. Bosley spojrzał nań przez ramię - ujrzał drapieżny grymas na pożółkłej, niezdrowej twarzy, obnażone zęby, pałające obłędem oczy i zrobił krok, aby zejść mu z drogi. W tej samej chwili jednak usłyszał brzęk tłuczonego szkła i spojrzawszy w drugą stronę zobaczył jak sodomita zatacza się na okno. Miał tylko ułamek sekundy, by zarejestrować ten fakt, zanim chłopak Lundy dopadł go, nagi i mokry. Poczł narastającą panikę i wydał ochryply, przeciągły pisk. Próbował zrzucić z siebie Lundy'ego, ale chłopak był silny. Przywarł do Bosleya, jakby spragniony był jego pocałunków, wczepił się weń niczym kleszcz, jego gorący oddech omiatał twarz Bosleya.

- Nie - nie - nie! - wrzasnął Bosley, gdy miotając się jak oszalały, usiłował wyrwać się napastnikowi. Udało mu się i natychmiast zdyszany, nieomal szlochając jął wycofywać się ku



drzwiom.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że sodomita zniknął.

- Chryste... wyszeptał, zamierzając zacząć w ten sposób odmawianie modlitwy.

Inne słowa uwięzły mu jednak w gardle. Mógł jedynie chwiejnym krokiem powrócić do okna, powtarzając bez przerwy: - Chryste, Chryste, Chryste...

Lundy zignorował go.

- Owenie! - krzyknął i trzema susami dopadł okna. Wychylając się na zewnątrz, skaleczył się o ostre, najeżone jak zęby kawałki potłuczonej szyby. Bosley znalazł się przy chłopaku w chwilę później. Jego litanie urwała się, kiedy ujrzał, że na chodniku poniżej leżał sodomita ze spodniami wciąż jeszcze opuszczonymi poniżej kolan. Na skrzyżowaniu zaczęły przystawać samochody, po chwili dały się słyszeć pierwsze dźwięki klaksonów. Czując zawroty głowy, Bosley odsunął się od okna.

- Pojebaniec! - krzyknął młody Lundy i najwyraźniej uznawszy, że mężczyzna zamierza zbiec, popędził za nim, brocząc krwią z rozciętego boku.

Bosley usiłował uchylić się przed pięściami chłopaka, ale obcas zaplątał mu się w rozrzucone na ziemi ubrania i runął na wznak, uderzając o podłogę z taką siłą, że aż uszło mu powietrze z płuc. Lundy był przy nim w jednej sekundzie. Przysiadł kościstym tyłkiem na piersi tamtego i kolanami przygwoździł mu ramiona do podłogi. Tak ich zastano, kiedy po schodach wpadli na górę pierwsi świadkowie: Bosley leżał na plecach i pochlipując powtarzał: Chryste, Chryste, Chryste, podczas gdy nagi, ranny Seth Lundy przyciskał go do desek podłogi.

## 2

Niezależnie od tego, co sądził Erwin na temat śmierci, z całą pewnością nie przypuszczał, że doświadczenie to okaże się istnym koszmarem dla jego stóp. Tymczasem w ciągu ostatnich sześciu godzin pokonał pieszo większy dystans niż w poprzednich dwóch miesiącach. Wyszedł z domu, wrócił, odwiedził Kitty's Diner, wrócił do domu, teraz zaś przyciągnięty widokiem karetki jadącej wzdłuż Cascade Street ponownie zjawiał się przy restauracyjce, a raczej naprzeciw niej, na skrzyżowaniu. Widział jak człowiek, którego wypchnięto z okna na piętrze, zostaje wniesiony do karetki i odwieziony do Silverton. Kręcił się wśród tłumu gapiów, usiłując zorientować się, co się wydarzyło i nie zajęło mu to wiele czasu. Sprawcą był, jak wszystko na to wskazywało, Bosley Cowhick, który przyłapał ofiarę *in flagranti* z miejscowym chłopakiem. Erwin znał Bosleya tylko ze słyszenia - jako

świętecznego filantropa (kiedy wspólnie z garstką prawych chrześcijan zanosili gorące posiłki starszym i schorowanym mieszkańcom miasta) i autora zjadliwych epistoł (od ostatniego listu wydrukowanego w *Registerze*, gdzie ujawniał kolejne przejawy bezbożności i plugastwa w ich wspólnocie, minął zaledwie miesiąc). Nigdy go nie spotkał, nie potrafił nawet skojarzyć sobie jego twarzy, Skoro jednak Cowhick tak namiętnie ścigał przejawy bezbożności i zła, z całą pewnością dzisiaj zetknął się z nimi naprawdę.

- Cholernie dziwne - usłyszał czyjś głos i przepatrując tłumek rozchodzących się już gapiów ujrzał mężczyznę może nawet około sześćdziesiątki, szpakowatego, o szarych oczach, w marnym garniturze. Tamten patrzył wprost na niego.

- Mówisz do mnie? - spytał Erwin.

- Taa - odparł mężczyzna. - Mówiłem, że to cholernie dziwne...

- Nie możesz.

- Czego nie mogę?

- Mówić do mnie. Ja nie żyję.

- W takim razie jest nas dwóch - stwierdził tamten. - Mówiłem, że w ostatnich latach byłem tu świadkiem cholernie dziwnych rzeczy.

- Ty także nie żyjesz? - spytał Erwin zdumiony i nieco uspokojony. Wreszcie ktoś, z kim mógł porozmawiać.

- Oczywiście - odrzekł mężczyzna. - Jest nas w tym mieście paru. Skąd tu przybyłeś?

- Nie przybyłem.

- To znaczy, że jesteś tutejszy?

- Tak. Tylko że ja, no wiesz...

- Umarłeś. Powiedz to.

- Umarłem.

- Są tacy, co specjalnie przyjeżdżają tu na festyn. Robią sobie isticie szalony weekend.

- Umarli?

- Jasne. No bo niby dlaczego nie? Parada to parada, zgadza się? Niektórzy z nas przyłączają się nawet do pochodu. No wiesz, mieszają się z tłumem. Nie ma to jak odrobina dobrej zabawy. Śmiech to zdrowie. Musisz się śmiać, bo inaczej wysiądzie ci serce. Czy to właśnie ci się przytrafiło? Atak serca?

- Nie... - odrzekł Erwin, wciąż zbyt zdumiony obrotem wypadków, aby móc odzyskać jasność myśli. - Nie... ja... zostałem...

- Jesteś świeży, prawda? Na początku zawsze jest zimno. Ale nie martw się, przywykniesz do tego. Do licha, można przecież przyzwycząić się do wszystkiego,

nieprawdaż? Dopóki nie zaczniesz oglądać się wstecz i żałować różnych rzeczy, bo, niestety, niewiele możesz na to poradzić.

- Naprawdę?

- Po prostu jesteśmy tu przez pewien czas i tyle. *A propos*, jak się nazywasz?

- Erwin Toothaker.

- A ja jestem Richard Dolan.

- Dolan? Właściciel sklepu ze słodyczami?

- We własnej osobie. - Mężczyzna uśmiechnął się i wskazał kciukiem ponad swoim ramieniem, w stronę pustego budynku.

- Tu, w starych, dobrych czasach mieścił się mój sklep. Właściwie te czasy wcale nie były takie znowu dobre. Tylko że, wiesz, jak wracasz pamięcią do przeszłości...

- Przeszłość zawsze wydaje się człowiekowi jaśniejsza.

- Właśnie. Przeszłość zawsze wydaje się... - Zamilkł i zmarszczył brwi. - Powiedz no, byłeś tu w czasach, kiedy prowadziłem swój sklepik?

- Nie.

- To skąd o tym wiesz, u licha?

- Przeczytałem wyznanie jednego z twoich kumpli.

Uśmiech Dolana przygasł.

- Tak? - spytał. - A którego?

- Lyle'a McPhersona.

- Napisał wyznanie?

- Tak. Zaginęło po jego śmierci i dopiero ja je odnalazłem.

- Sukinsyn.

- Czy on... czy pan McPherson wciąż... znajduje się... w pobliżu?

- Pytasz czy jest taki jak my? Nie. Jedni pozostają tu na dłużej, inni nie. - Dolan wzruszył ramionami. Może przenoszą się gdzieś indziej, a może - pstryknął palcami - po prostu znikają, ot, tak. Wydaje mi się, że ja po prostu chciałem tu zostać, a on nie.

- To nie są nasze prawdziwe ciała, wiesz? - rzekł Erwin. - Ja widziałem swoje.

- Tak. Ja swoje też. Niezbyt przyjemny widok. - Uniósł dłonie przed sobą, przyglądając się im. - Niezależnie jednak od tego, z czego jesteśmy zrobieni - stwierdził - lepsze to niż nic. I wiesz co, to nie jest ani lepsze, ani gorsze niż poprzednie życie. Miewasz dni lepsze i gorsze... - Nie dokończył, jego wzrok powędrował ku środkowi ulicy. - Tylko że... wydaje mi się, iż to wszystko ma się z wolna ku końcowi.

- Skąd to przekonanie?

Dolan wziął głęboki oddech.

- Po pewnym czasie zaczynasz odbierać rytm różnych rzeczy, co nie było ci dane za życia. Jak dym.

- Co jest jak dym? - zapytał Erwin.

- My. Pławimy się w przestrzeni, nie do końca materialni, ale zarazem nie całkiem eteryczni. A kiedy z wiatrem jest coś nie tak, dym to wyczuwa.

- Naprawdę?

- Powoli zaczniesz to chwycić.

- Może już chwytam.

- To znaczy?

- Jeżeli chcesz ujrzeć coś dziwnego, wystarczy, że zajdziesz do mojego domu. Jest tam pewien facet, niejaki Fletcher. Wygląda jak człowiek, choć nie sędzę, aby nim był.

Dolan był wyraźnie zafascynowany.

- Czemu go do siebie zaprosiłeś?

- Nie zaprosiłem. On... po prostu przyszedł.

- Poczekaj no... - rzekł Dolan, zaczynając z wolna wszystko pojmować. - Ten facet, Fletcher. Czy to z jego powodu tu jesteś?

- Tak... - potwierdził Erwin coraz posępniejszym tonem. - Zamordował mnie. Wysączył ze mnie życie w moim własnym domu.

- Chcesz powiedzieć, że to jakiś wampir?

Erwin zmierzył go pogardliwym spojrzeniem.

- Nie wygłupiaj się. To nie tani horror. To moje życie. To było moje życie. Było! Było! Było! - Rozpłakał się. - On nie miał prawa, po prostu nie miał prawa zrobić mi tego. Miałem w sobie trzydzieści lat, trzydzieści dobrych lat życia, a on po prostu mi je odebrał, a w ogóle dlaczego ja? Czy zrobiłem komukolwiek coś złego? - Spojrzał na Dolana. - Jeżeli robisz coś niewłaściwego, otrzymujesz zasłużoną karę. Ja jednak byłem społecznie użytecznym obywatelem tego miasta.

- Ejże ejże, chwileczkę - przerwał mu Dolan. - Ja również byłem, jak to określiłeś „społecznie użytecznym obywatelem tego miasta”.

- Daj spokój, Dolan. Byłem adwokatem, zajmowałem się sprawami życia lub śmierci. Ty tylko sprzedawałeś dzieciom łakocie.

Dolan wskazał na Erwina palcem.

- Odszczekaj to! - rzucił gniewnie.

- Niby dlaczego? - odparł Erwin - To prawda.

- Dawałem ludziom chociaż drobną namiastkę szczęścia. A czego ty dokonałeś, pomijając fakt, że dałeś się zabić?

- Teraz ty licz się ze słowami.

- Sądzisz, że twoi klienci będą cię oplakiwać, Toothaker? Nie! Powiedzą: „Dzięki Bogu, świat pozbył się jeszcze jednego papuga”.

- Mówiłem, licz się ze słowami!

- Ale się boję, Toothaker. - Dolan uniósł prawą rękę. - Spójrz tylko, trzęsę się jak osika.

- Skoro taki z ciebie twardziel, czemu wpakowałeś sobie kulę w łeb? Spluwa ci się omsknęła?

- Stul dziób.

- A może poczucie winy nie dawało ci spokoju i...

- Powiedziałem...

- Miałeś takie wyrzuty sumienia, że nie pozostało ci nic innego, jak tylko odebrać sobie życie?

- Nie muszę cię wcale słuchać - oznajmił Dolan i odwróciwszy się do niego plecami, zaczął się wolno oddalać.

- Jeżeli to jest dla ciebie jakimś pocieszeniem - zawołał za nim Erwin - jestem pewien, że uszczęśliwiłeś dzięki temu wielu ludzi.

- Dupek! - odkrzyknął tamten i zanim Erwin zdążył mu się odciąć, zniknął jak rozwiany podmuchem wiatru kłęb dymu.

# Rozdział IX

## 1

- Mamy naszą załogę, Joe.

Joe otworzył oczy. Noe stał nieco dalej na plaży w towarzystwie sześciu ludzi - dwóch było odeń o połowę niższych, jeden nieco wyższy, trzech pozostali zaś mieli bary sztauerów. Jasność niemal zupełnie znikła z firmamentu. Perliła się jeszcze jak garniec ciemnych barwników - fioletów, szarości i granatu - a potem ściemniała w zmieniający się nieustannie półmrok panujący na morzu i plaży.

- Powinniśmy już ruszać - oznajmił Noe. - Musimy złapać pewne prądy.

Odwrócił się do sześciu załogantów i przemówił do nich niskim, monotonnym głosem, jakiego Joe dotąd nie słyszał z jego ust. Tamci natychmiast, bez szemrania zabrali się do dzieła - jeden z dwóch niższych żeglarzy wspiął się do sterówki, podczas gdy pozostała piątka zajęła pozycje przy dziobie „Fanacapana” i zaczęła spychać łódź na wodę. Mimo iż zadanie to było diabło mozolne i żmudne, żaden z nich nie poskarżył się nawet słowem i Joe już miał podejść, aby im pomóc, lecz Noe powstrzymał go.

- Sami sobie poradzą - stwierdził, odprowadzając Joego na bok.

- W jaki sposób ich wynająłeś?

- To ochotnicy.

- Musiałeś im coś obiecać.

- Robią to z miłości - rzekł Noe.

- Nie rozumiem.

- Nie zaprzataj sobie tym głowy. Grunt, abyśmy wydostali się stąd, póki jeszcze możemy. - Odwrócił się, by popatrzeć jak ochotnicy spychają łódź na wodę. Fale rozbijały się już o rufę, rozbryzgując wokoło kaskady wody. - Jest gorzej niż myślałem - ciągnął Noe, kierując wzrok ku niewidocznemu horyzontowi. Błyskawice śmignęły wśród skłębionych tam chmur: pioruny - jeżeli nimi były - przypominały tłuste, zygzakowate węże. Jedne wzbijały się z morza w niebo, pozostawiając po sobie nieprzyjemne, palące oczy powidoki, inne zderzały się ze sobą niczym lokomotywy, tworząc przy tym kaskady pomniejszych wyładowań. Jeszcze inne po prostu opadały oślepiającymi smugami i zdawały się topić w morzu, a ich blask był widoczny jeszcze długo, nawet spod wody, aż w końcu, gdy tonęły na

dobrze, z wolna i jakby niechętnie przygasał.

- Z czym jest gorzej? - spytał Joe.

- Z tym, co jest gdzieś tam.

- A co jest „gdzieś tam”?

- Chyba powinienem ci powiedzieć - odparł Noe. - Idą tu Iad Uroboros. Największe zło, zarówno w tym świecie, jak i w twoim.

- Co to takiego?

- Nie „to”. Oni. To naród. Ludzie. Niezupełnie tacy jak my, ale mimo wszystko ludzie, którzy zawsze pragnęli znaleźć się w twoim świecie.

- Dlaczego?

- Czy pragnienie musi mieć przyczynę? - odrzekł Noe. - Już kiedyś próbowali i zostali powstrzymani. Teraz jednak...

- Co w związku z tym się robi?

- Ochotnicy nie wiedzą. I wątpię, czy ich to obchodzi. - Zbliżył się do Joego. - Pamiętaj o jednym - rzekł półgłosem: - Nie wdawaj się z nimi w rozmowę, niezależnie jak by cię do niej nakłaniali. Ich milczenie to część mojej z nimi ugody. - Joe Wydawał się zakłopotany. - Nie pytaj - dodał - bo odpowiedź na pewno nie przypadłaby ci do gustu. Uwierz mi, tak będzie najlepiej.

Łódź znalazła się na wodzie, unosiła się i opadała na sunących ku plaży falach.

- Wejźmy lepiej na pokład - polecił Noe i zwałwiej od Joego wszedł do wody, a następnie został wciągnięty na pokład, gdzie znajdowali się już wszyscy ochotnicy. Joe pospieszył za nim. Miał w głowie potworny mętlik.

- Jesteśmy nienormalni - rzekł, znalazłszy się obok towarzysza. Ochotnicy zajęli miejsca przy wiosłach i zaczęli wyprowadzać łódź poza zasięg przyboju.

Joe musiał krzyczeć, aby było go słychać pośród łoskotu fal i skrzypienia drewna.

- Wiesz o tym? Jesteśmy, kurwa, nienormalni!

- A to czemu? - odkrzyknął Noe.

- Spójrz, w co się pakujemy! - ryknął Joe, wskazując w stronę potwornego sztormu.

- Masz rację - potwierdził tamten, chwytając się sznurowej drabinki, aby móc ustać na nogach. - To może oznaczać koniec nas obu. - Roześmiał się i przez chwilę Joe myślał, czy nie wyskoczyć za burtę i nie wrócić w te pędy na brzeg, póki zbytnio się nie oddalili.

- Tyle tylko, przyjacielu - ciągnął Noe, kładąc dłoń na ramieniu Joego - że dotarłeś aż tutaj. Przebyłeś długą drogę, bardzo długą. Dlaczego? Bo w głębi serca wiesz, że to tak samo twoja podróż, jak i moja. Musisz ją odbyć, bo w przeciwnym razie żałowałbyś tego do końca

życia.

- Czyli długo! - zawołał Joe.

- Nie. W każdym razie nie bez mocy - odrzekł Noe. - Bez mocy skończy się ono w kilku oddechach i zanim się obejrzyysz, będziesz już na łożu śmierci, zastanawiając się: „Dlaczego nie zaufałem memu instynktowi? Czemu zabrakło mi śmiałości?”

- Mówisz, jakbyś mnie znał - burknął Joe, rozdrażniony zarozumiałością tamtego. - A przecież nie znasz mnie.

- Czyż nie jest uniwersalną prawdą, że ludzie żałują swego życia? - odparował Noe. - I umierają z pragnieniem, aby móc przeżyć je raz jeszcze?

Joe nie potrafił nic na to powiedzieć.

- Jeśli chcesz wrócić na brzeg - ciągnął Noe - zrób to teraz. Zdecyduj się, prędko.

Joe spojrział w kierunku plaży i zdumiał się widząc, jak szybko łódź pokonała obszar przyboju i znalazła się w objęciach prądu, który z niemalą prędkością oddalał ją od brzegu. Powiódł wzrokiem wzdłuż pomroczniałego brzegu, w stronę miasta, mrugających świateł zatoki i z powrotem do szczeliny, gdzie powstało niewielkie obozowisko. Następnie, z mocnym postanowieniem, aby nie żałować w swym życiu niczego, odwrócił się do brzegu plecami i skierował wzrok ku rozciągającemu się przed nimi rozszalałemu morzu.

## 2

Tesla i Phoebe, poza tym że były kobietami, nie miały ze sobą wiele wspólnego. Tesla dużo podróżowała; Phoebe nie. Phoebe była mężatką; Tesla nie. Tesla nigdy nie kochała na zabój, Phoebe owszem, i ta miłość wcale w niej nie wygasła.

To uczyniło ją osobliwie otwartą, co Tesla odkryła w błyskawicznym tempie, jak gdyby w świecie, gdzie królowała namiętność, wszystko było wiarygodne. A że namiętność królowała, nie ulegało wątpliwości. Mimo iż prawie się nie znały, Phoebe instynktownie wyczuwała w Tesli łagodną, życzliwą duszę. I niebawem zaczęły rozmawiać swobodnie o skandalu, w którym odegrała tak ogromną rolę. Mówiła często o Joem Flickerze, o jego oczach, jego pocałunkach, o tym jaki był w łóżku - i czyniła to z nieskrępowaną, radosną swobodą, jakby stanowił nagrodę za trudy i udręki życia, jakie przyszło jej wieść z Mortonem. Świat jest dziwny - mówiła, wracając do tego, jak się spotkali, czy jak szybko odkryli w sobie nawzajem głębię najszczerzych uczuć.

- Wiem - rzekła Tesla, zastanawiając się, ile tamta kobieta przyjęłaby na wiarę z jej opowieści, gdyby poznała całą historię. Pierwsza próba nastąpiła, kiedy Tesla odłożyła



sluchawkę po rozmowie z Grillo, a Phoebe, obecna w pokoju przez cały czas, zapytała:

- O co w tym wszystkim chodzi?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Przecież zapytałam, prawda?

Zaczęła od prostszych rzeczy - Grillo, Rafe i swej pięcioletniej tułaczki przez terytorium Stanów, kiedy to odkryła, że w kraju zaczynają dziać się coraz dziwniejsze rzeczy.

- Na przykład? - wtrąciła Phoebe.

- Uznasz, że to szaleństwo.

- Nieważne - ucięła Phoebe. - Chcę wiedzieć.

- Sądzę, że zbliżamy się do kresu bytowania jako istoty, którymi jesteśmy obecnie. Czeka nas skok ewolucyjny. Co za tym idzie, nadchodzą niebezpieczne i cudowne czasy.

- Dlaczego niebezpieczne?

- Ponieważ są istoty, które nie chcą, abyśmy dokonali tego skoku. Istoty, które wolałyby, abyśmy pozostali na naszym obecnym poziomie, błądząc po omacku, lękając się własnych cieni i bojąc śmierci, ale zarazem obawiając się żyć pełnią życia. One pragną, abyśmy pozostali tym, czym jesteśmy. Spotyka się jednak ludzi, którzy uparcie mówią: Nie chcę być ślepy, nie będę ślepy. Nie będę się bać. Widzę niewidzialne drogi. Słyszę głosy aniołów. Wiem, kim byłem przed moimi narodzinami i wiem, czym chcę być, kiedy umrę.

- Spotkałaś takich ludzi?

- O, tak.

- To cudowne - rzekła Phoebe. - Nie wiem, czy w to wierzę, ale mimo wszystko, jest cudowne. Wstała, podeszła do lodówki i zajrzała do środka. - A co z owymi istotami, które chcą nas powstrzymać? - spytała. - Chyba nie wierzę w diabła, więc może, jeżeli o to chodzi, masz rację, ale skoro to nie diabły, to kim wobec tego są ci ludzie?

- To temat na inną rozmowę - ucięła Tesla.

- Chcesz o tym porozmawiać przy jedzeniu? - spytała Phoebe. - Zgłodniałam. A ty?

- Troszeczkę.

- W lodówce nic nie ma - stwierdziła Phoebe, zamykając lodówkę. - Zjemy coś na mieście. Masz ochotę na pizzę? A może na kurczaka?

- Wszystko mi jedno. Wszędzie, tylko nie w tej parszywej jadłodajni.

- Chodzi ci o restaurację Bosleya?

- Co za dupek.

- Hamburgery są tam niezłe.

- Zamówiłam rybę.

Poszły piechotą, a po drodze Phoebe opowiedziała Tesli, jak doszło do tego, że zyskała kochanka i straciła męża. Im więcej mówiła, tym Tesla odnosiła się do niej życzliwiej. Ta kobieta stanowiła osobliwą mieszaninę małomiasteczkowej pretensjonalności (otwarcie uważała się za lepszą niż większość mieszkańców Everville), czarującej surowości względem samej siebie (zwłaszcza jeżeli chodziło o wagę) - niekiedy zabawnej (wykazywała się dowcipną niedyskrecją wobec kłopotów zdrowotnych tych, co widząc ją na ulicy zachowywali się niczym faryzeusze), innym znowu razem (gdy mówiła o Joem i o tym, iż nie liczyła już, że może stać się obiektem czyjegoś uwielbienia) stawała się słodko wzruszająca.

- A więc nie wiesz, gdzie on teraz jest? - spytała Tesla.

- Nie - Phoebe zlustrowała zatłoczoną ulicę przed nimi. - W tłumie nie ma szans się ukryć. To pewne. Kiedy wróci, będzie musiał bardzo uważać.

- Jesteś pewna, że wróci?

- Oczywiście. Obiecał mi to. - Spojrzała na Tesłę z ukosa. - Uważasz, że to, co powiedziałam, jest głupie?

- Nie. Ale jesteś bardzo ufna kobietą.

- Każdy z nas musi komuś zaufać, prawda?

- M u s i?

- Gdybyś czuła to co ja - rzekła Phoebe - nie zadałabyś tego pytania.

- Wiem tylko, że tak czy inaczej na końcu zostajemy sami. Zawsze.

- Kto mówi o końcu? - spytała jej towarzyszka.

Tesla, ciągnąc za sobą Phoebe, zeszła z zatłoczonego chodnika na ulicę.

- Posłuchaj - powiedziała - już wkrótce wydarzy się tu coś strasznego. Nie wiem, co konkretnie, ani nie wiem kiedy, ale możesz mi zaufać. To miejsce wkrótce przestanie istnieć, jego dni są już policzone.

Phoebe z początku nie odezwała się słowem. Uniosła tylko głowę i powiodła wzrokiem wzdłuż zatłoczonej ulicy. Po chwili namysłu powiedziała:

- Jak dla mnie, nie dzieje się to dostatecznie szybko.

- Mówisz serio?

- To, że mieszkam w Everville, nie oznacza, że je lubię - odparła. - Nie twierdzę, że ci wierzę, chcę tylko powiedzieć, że jeśli to nastąpi, nie usłyszysz ode mnie nawet słowa skargi.

*Niezła sztuka* - odezwał się Raul, kiedy zasiedli przy stoliku w pizzerii, a Phoebe wyszła do toalety.

- Zastanawiałam się już, gdzie się podziewałeś.

*Przysłuchiwałem się tej kobiecej gadce - mruknął Raul. - Cóż, zagniewana dama.*

- Ona nie jest żadną damą - poprawiła Tesla. - I to właśnie w niej lubię. Szkoda jej chłopaka.

*Uważasz, że on odszedł na dobre, prawda?*

- A ty nie?

*Prawdopodobnie. Czemu marnujesz z nią czas? To znaczy, ona jest całkiem miła i zabawna, ale przybyliśmy tu, aby odnaleźć Fletchera.*

- Nie mogę wrócić sama do domu Toothakera - odparła Tesla. - Po prostu nie mogę. Kiedy poczułam ten smród...

*Może po prostu wybiło kibel.*

- A może to był liks - powiedziała Tesla. - I ktokolwiek je stworzył, na pewno zabił Fletchera.

*Ale musimy tam wejść, żeby się o tym przekonać.*

- Zgadza się.

*I uważasz, że ta kobieta da ci wsparcie moralne, którego potrzebujesz?*

- Jeżeli nie ona, to kto? Nie mogę się doczekać powrotu Luciena.

*Wiedziałem, że zejdziemy na jego temat.*

- Nie mam ci tego za złe. Chcę tylko powiedzieć, że potrzebuję pomocy, a ona jest akurat na miejscu.

*A jeżeli stanie się jej coś złego?*

- Nie chcę nawet o tym myśleć.

*Musisz.*

- Kim ty jesteś, Jiminy Cricket? Zagram z nią w otwarte karty. Powiem, z czym mamy do czynienia.

*I uważasz, że na tym twoja odpowiedzialność się kończy? Teslo, przecież to zwyczajna kobieta.*

- Ja też taka byłam - przypomniała Tesla.

*Kimkolwiek byłaś, na pewno nie należałaś do przeciętnych, zwyczajnych kobiet..*

- Dziękuję,

*Cała przyjemność po mojej stronie.*

- Wraca. Powiem jej, Raul. Muszę.

*Skończy się płaczem...*

- Czyż nie jest tak zawsze?

Był to nie lada temat jak na rozmowę przy pizze, ale słowa Tesli najwyraźniej nie odebrały Phoebe apetytu. Słuchała, nie komentując, podczas gdy Tesla streściła jej swe przeżycia w Pętli, nie opuszczając żadnych, nawet najbardziej przerażających szczegółów i wtrącając od czasu do czasu: „Wiem, że to brzmi absurdalnie - albo: zapewne uznasz, że to szalone” - aż Phoebe powiedziała, aby przestała, bo owszem, to jest szaleństwo, ale jej to ani trochę nie obchodzi. Tesla podporządkowała się temu i kontynuowała swą opowieść bez dalszych wtrętów, dopóki nie doszła do tematu liksów. Przerwała.

- O co chodzi? - dopytywała się Phoebe.

- Odłóżmy to na później.

- Dlaczego?

- Bo to odrażające. Nie powinniśmy mówić o tym przy jedzeniu.

- O mnie się nie martw, mów. Pamiętaj, że przez osiem lat pracowałam w gabinecie lekarskim. Widziałam już wszystko.

- Nie widziałaś czegoś takiego jak liksy - powiedziała Tesla i cichszym niż dotąd tonem jęła opisywać ich wygląd oraz sposób powstrzymania. Na Phoebe nie zrobiło to większego wrażenia.

- I uważasz, że widziałaś jednego z tych liksów w domu Erwina?

- Tak, myślę że to możliwe.

- Zrobił to ten facet, Fletcher?

- Wątpię.

- W takim razie kto?

- Ktoś, kto pragnie zniszczyć Fletchera. Ktoś, kto podążał jego śladem, odnalazł go tam i... - Wyrzuciła obie ręce w górę. - Szczerze mówiąc, nie wiem. A jedyny sposób, aby się tego dowiedzieć...

- To pójść tam.

- Właśnie.

- Wydaje mi się - mruknęła Phoebe - że jeżeli te liksy istnieją naprawdę - nie mówię, że istnieją, mówię: jeżeli istnieją - i zostały stworzone z tego, co powiedziałaś - zniszczenie ich nie powinno być specjalnie trudne.

- Niektóre mają sześć, a nawet siedem stóp długości - wtrąciła Tesla.

- Hmm. I faktycznie je widziałaś?

- O, tak widziałam je. - Wyjrzała przez okno, po części by nie patrzeć na nie dojeżdżoną, stygnącą pizzę na talerzu, poniekąd zaś, by Phoebe nie dostrzegła strachu malującego się w jej oczach. - Dostały się do mego mieszkania w L.A.

- W jaki sposób, przez toaletę?

Tesla nie odpowiedziała.

*Musisz jej powiedzieć* - wymamrotał Raul w jej głowie.

- No jak? - dopytywała się Phoebe.

Opowiedz jej o Kissoonie.

- Wpadnie w histerię.

*Jak dotąd nieźle jej idzie.*

Tesla spojrzała na Phoebe, która czekając na odpowiedź kończyła swoją pizzę.

- Skoro zacznę od Kissoona, to na czym skończę? - zwróciła się do Raula.

*Powinnaś była pomyśleć o tym, zanim wspomniałaś o liksach. To częśćka jednej i tej samej historii.*

Tesla milczała.

*Nieprawdaz?* - dodał Raul.

- Chyba tak.

*W takim razie powiedz jej. Opowiedz o Kissoonie, o Szkole, o Quiddity, oczywiście jeśli do tego czasu nie wstanie od stolika i nie wyjdzie.*

- Czy wiesz, że kiedy myślisz, poruszasz ustami? - spytała Phoebe.

- Naprawdę?

- Troszeczkę.

- Cóż... zastanawiałam się nad pewną sprawą.

- To znaczy?

- Czy mogę powiedzieć ci prawdę, całą prawdę i tylko...

- I podjęłaś decyzję?

*Powiedz jej.*

- Tak. Podjęłam decyzję. - Tesla nachyliła się nad stolikiem, odsuwając na bok talerz z pizzą. - Nie, liksy nie wyszły z toalety. Przybyły z pętli czasowej...

Nigdy dotąd nikomu o tym nie opowiadała. W każdym razie nie tak dokładnie. Naturalnie wspomniała o tym Grillo i D'Amourowi, ale nie wdawała się w szczegóły. Nie była w stanie. Szczegóły były zbyt bolesne, zbyt odrażające. Teraz jednak zrobiła to, opowiedziała wszystko kobiecie, której prawie nie знаła, a kiedy już zaczęła, okazało się, iż to nie takie trudne, zwłaszcza gdy wokoło rozlegał się brzęk talerzy i słychać było gwar rozmów - mur normalności powstrzymywał przeszłość przed pochwyceniem jej za serce.

- Był pewien facet, nazwiskiem Kissoon - zaczęła. - Sądzę, że gdybyśmy mieli sporządzić listę najgorszych ludzi, jacy kiedykolwiek chodzili po tej ziemi, on znajdowałby

się na jednym z pierwszych miejsc. Był, właśnie, kim on był tak naprawdę? Mówił, że jest szamanem, ale to określenie okazało się dalekie od prawdy. Posiadał moc, wielką moc. Potrafił igrać z czasem, umiał wnikać do ludzkich myśli, tworzyć liksy...

- A więc to on.

- Najwyraźniej to stara sztuczka. Czarownicy robili to od stuleci. A kiedy mówię o czarownikach, nie mam na myśli ludzi wyjmujących z cylindrów króliki, lecz magów mogących wpływać na losy świata i niekiedy zmieniających je w sposób, których my, szare istoty, nigdy nie zrozumiemy do końca

- Czy oni wszyscy są mężczyznami? - dopytywała się Phoebe.

- Większość z nich.

- Hmm.

- Kissoon należał do ludzi, którzy nazywali swoją grupę Szkołą i poprzysięgli dopilnować, abyśmy my, prości ludzie, nie dowiedzieli się nigdy o... - przerwała na chwilę.

- Mów dalej - rzekła Phoebe. - Słucham cię.

- O miejscu zwanym Quiddity.

- Quiddity?

- Właśnie. To miejsce, do którego trafiamy czasami w snach.

- Ale dlaczego nie mielibyśmy się dowiedzieć? - spytała Phoebe. - Skoro trafiamy tam w snach, po co utrzymywać fakt jego istnienia w tajemnicy?

Tesla zamyśliła się nad tym przez chwilę.

- Wiesz co, nie mam pojęcia! Zawsze wydawało mi się, że do Szkoły należeli sami mędrcy, a skoro przez całe życie dochowali owej tajemnicy, sądziłam, że po prostu powinno tak być. Teraz zaś, kiedy o tym wspomniałaś, muszę przyznać, że nie wiem, dlaczego to robili.

- Ale oni wszyscy i tak już nie żyją.

- Nie żyją. Wszyscy. Kissoon ich wymordował.

- Dlaczego?

- Aby móc, prędzej czy później, przejąć kontrolę nad największą mocą tego świata. Mocą określaną mianem Sztuki.

- Co to takiego?

- Chyba nikt nie wie tego do końca.

- Nawet ten facet, Kissoon?

Tesla zastanawiała się przez kilka minut.

- Nie - odrzekła po chwili. - Nawet Kissoon.

- W takim razie popełnił te wszystkie zbrodnie, aby zdobyć coś, nie wiedząc nawet, co to jest?

- Och, posunął się o wiele dalej. Wymordowanie członków Szkoły to zaledwie początek. Ukrył ciała w przeszłości...

- Daj spokój...

- Przysięgam. Wymordował mnóstwo ważnych dla świata osób. Ważniejszych niż papież czy prezydent. Musiał ukryć ciała w taki sposób, by nikt ich nie odnalazł. Wybrał miejsce zwane Trinity.

- Co to takiego?

- Ważne jest nie tyle miejsce, co raczej czas - powiedziała Tesla. - Trinity, miejsce, gdzie 16 czerwca 1945 roku zdetonowano pierwszą bombę atomową. W Nowym Meksyku.

- I chcesz powiedzieć, że on właśnie tam przetransportował zwłoki wszystkich ludzi, których zamordował?

- Dokładnie. Tyle tylko, że...

- Co?

- Kiedy już się tam znalazł, popełnił niewielki błąd i wpadł w pułapkę.

- Został uwięziony w przeszłości.

- Właśnie. Wraz z tykającą bombą. W tej sytuacji utworzył pętlę czasową, która dzięki ciągłej powtarzalności danej chwili odwlekała moment eksplozji.

Phoebe uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- O co chodzi? - spytała Tesla.

- Nie zamierzam deliberować, czy jesteś normalna czy też nie, ale jeżeli wymyśliłaś to wszystko, powinnaś, moim zdaniem, sprzedać ten pomysł. Można by napisać o tym książkę, nakręcić film czy...

- To nie film. To prawda. Wiem, bo byłam tam trzykrotnie. Trzy razy weszłam i wyszłam z Pętli Kissoona.

- A więc spotkałaś nawet tego faceta?

- Oczywiście, że go spotkałam - odrzekła Tesla.

- I...?

- Jaki był? - Phoebe pokiwała głową; Tesla wzruszyła ramionami. - Trudno odnaleźć właściwe słowa.

- Postaraj się.

- Przez pięć lat starałam się o nim nie myśleć. Ale on wciąż gdzieś tam jest. Każdego dnia coś, cokolwiek, brud, wypadki, okrutne zbrodnie, a nawet smród mego własnego gówna

przypominają mi o nim. W gruncie rzeczy nie wyglądał efektownie. Był wysuszonym, wynędzniałym staruchem. Tylko że ten ramol mógł cię przenicować jednym spojrzeniem, zajrzeć do wnętrza twojej głowy, wnikać do twoich wnętrzności. Zniszczyć cię, wykorzystać lub zerznąć. - Zatarła dłonie, aby je rozgrzać; bezskutecznie.

- Co się z nim stało?

- Nie potrafił uchwycić chwili.

Phoebe najwyraźniej nie zrozumiała.

- Że co?

- Ta mała pętla czasowa, która oddalała moment detonacji bomby - wyjaśniła Tesla. - Nie zdołał jej utrzymać.

- I bomba wybuchła?

- Wybuchła i unicestwiła go.

- Byłaś tam?

- Nie. Gdybym wtedy tam była, wyparowałabym tak jak on. Opuściłam to miejsce ostatnia, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. - Usiadła wygodniej na krześle. - I to już wszystko. A przynajmniej wszystko, co mogłam ci teraz opowiedzieć.

- Niezła historia, nie ma co.

- A ty nie wierzysz w ani jedno moje słowo.

- Nieprawda. W niektóre rzeczy prawie jestem skłonna uwierzyć, inne wydają mi się absurdalne. W pewne fragmenty nie chcę uwierzyć. Zbyt mnie przerażają - powiedziała Phoebe.

- A więc nie pójdziesz ze mną do domu Erwina?

- Tego nie powiedziałam.

Tesla uśmiechnęła się i wsunęła dłonie do kieszeni skórzanej kurtki.

- Czego szukasz? - zdziwiła się Phoebe.

- Gotówki - odrzekła. - Skoro jesteś gotowa zaryzykować wspólnie ze mną spotkanie z liksami, uważam, że mogę przynajmniej zapłacić za pizzę.



# Rozdział X

## 1

Kiedy ulice zaczęły się wyludniać, Erwin pożałował, że nie powiodło mu się z Dolanem. Mimo iż bolały go stopy i czuł się znużony do wymyślanego szpiku kości, wiedział, bez podejmowania zbędnych prób, że zjawy nie śpią. Nocą czuwał, podczas gdy żyjący mieszkańcy Everville, bezpieczni za zamkniętymi drzwiami i oknami swoich domów, udawali się na wyprawy do krainy snów. Krążył środkiem Main Street niczym samotny pijak, pragnąc odnaleźć kobietę, do której szeptał przed barem Kitty's Diner. Ona przynajmniej go usłyszała, podczas gdy wszyscy inni, którym wciąż serca biły w piersiach, nawet na niego nie spojrzeli, mimo że wołał do nich na całe gardło. W tej kobiecie było coś szczególnego - uznał Erwin. Może była medium. Nie został jednak całkowicie zignorowany. Na rogu Apple Street spotkał Billa i Maisie Waits, wyprowadzających dwa czekoladowe labradory. Kiedy się zbliżyli, Erwin zorientował się, że psy najwyraźniej go wyczuły. Czy go zwietrzyły, czy może raczej dostrzegaly? Nie miał pewności. Tak czy inaczej zjeżyły się i zaczęły warczeć - suka stanęła w bezruchu, pies natomiast pognał w dół Apple Street, ciągnąc za sobą smycz. Bill, mężczyzna po pięćdziesiątce, i niezbyt wysportowany, pobiegł za nim z krzykiem.

Reakcja psa zaniepokoiła Erwina. Nigdy nie miał psa, ale lubił je. Czy bycie widmem to tak potwornie nienaturalny stan, że zwierzęta ledwie zwietrzywszy go, dostawały amoku?

Przykucnął i łagodnym tonem zwrócił się do suki.

- Już dobrze... już dobrze. - Wyciągnął do niej rękę. - Nikomu nie zrobię nic złego...

Suka warknęła złowrogo, Maisie zaś śledziła wzrokiem męża, który ścigał uciekającego psa. Erwin zbliżył się jeszcze bardziej, wciąż szepcząc uspokajające słowa, a suka zachowywała się tak, iż można było przypuszczać, że go słyszała. Przekrzywiła łeb, a jej warknięcia stały się bardziej sporadyczne.

- No i co? - powiedział Erwin. - Widzisz, nic złego się nie dzieje, i po cóż było to wszystko?

Jego otwarta dłoń znajdowała się teraz w pobliżu nosa labradorki. Suka przestała ujadać złowrogo i tylko od czasu do czasu powarkiwała cichutko. Erwin delikatnie pogłaskał ją po łbie. Wtedy zupełnie ucichła i przewróciła się na grzbiet, by podrapał ją po brzuchu.

Maisie Waits spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Katy, co ty wyprawiasz, na Boga? - rzuciła. - Wstawaj.

Szarpnęła smycz, aby podnieść zwierzę, ale Katy była zbyt zaaferowana pieścotami Erwina. Warknęła cichutko, jakby przypomniała sobie, że zjawa przed minutą czy dwiema śmiertelnie ją przeraziła, ale w końcu ucichła.

- Katy - powtórzyła, wyraźnie poirytowana Maisie Waits, po czym zwróciła się do nadchodzącego męża: - Znalazłeś psa?

- A wyglądam, jakbym go znalazł? - wysapał Bill. - Pobiegł w stronę strumienia. Wróci do domu.

- Ale samochody...

- Nie ma tam żadnych samochodów - uciął Bill. - No, w każdym razie niewiele. I, na Boga, przecież nie ucieka pierwszy raz. - Spojrzał na rozciągniętą na ziemi Katy.

- Spójrz na siebie, staruszko - rzekł pieścotliwie i przykucnął obok psa. - Nie mam pojęcia, co ją tak wystraszyło.

- Ja - odparł Erwin, głaszcząc wraz z Billem sukę po brzuchu. Usłyszała go. Nadstawiła uszu i spojrzała na Erwina. Bill, rzecz jasna, nie usłyszał niczego. Mimo wszystko Erwin mówił dalej, słowa jak rzeka wypływały z jego ust. - Posłuchaj, Waits! Słuchasz mnie? Skoro psy mnie słyszą to i ty też możesz. Po prostu słuchaj. Jestem Erwin Toothaker.

- Skoro jesteś taki pewien - mówiła Maisie.

- Erwin Toothaker.

- Jestem pewien - potwierdził Bill. - Prawdopodobnie wróci do domu przed nami. - Poklepał Katy po twardym brzuchu i wstał. - Chodź, staruszko - powiedział, po czym spojrzawszy filuternie na żonę, dorzucił: - Ty też, Katy.

Maisie Waits szturchnęła go łokciem w żebra.

- Williamie Waits - rzuciła tonem ironicznego oburzenia.

Bill nachylił się do niej.

- Poszwendamy się jeszcze? - zapytał.

- Jest już późno...

- Jest sobotni wieczór - rzekł Bill, obejmując żonę ramieniem w talii.

- Albo się poszwendamy, albo zgwałcę cię, gdy będziesz spała.

Maisie zachichotała i szybkim szarpnięciem smyczy poderwała Katy z ziemi. Bill pocałował Maisie w policzek, po czym szepnął jej coś do ucha. Erwin nie znajdował się dostatecznie blisko, aby móc wszystko usłyszeć, ale wychwycił słowa - „poduszkę” i „jak zwykle”.

Cokolwiek Bill powiedział, Maisie odpowiedziała mu pocałunkiem, po czym oboje, z

psiną raz po raz oglądającą się smętnie na tak miłą, jak się okazało zjawę, podążyli w głąb ulicy.

- Byłeś żonaty, Erwinie?

To był Dolan. Siedział na progu salonu meblarsko-oświetleniowego Lively'ego, dłubiąc w nosie.

- Nie. Nie byłem.

- Moja, kiedy kopnąłem w kalendarz, wyjechała do Seattle. Uwolnienie się od tego miejsca i wyjazd zabrały jej w sumie siedem tygodni i dwa dni. Sprzedała dom, wyprzedła większość mebli, oddała sklep w dzierżawę. Byłem wściekły. Przez miesiąc krążyłem po mieście, wyjąc jak potępieniec, płacząc i zawodząc. Usiłowałem nawet podążyć za nią.

- I?

Dolan pokręcił głową.

- Nie doradzam tego. Im bardziej oddalałem się od Everville, tym bardziej... stawałem się... mglisty.

- Domyślasz się dlaczego?

- Mam pewne przypuszczenia, podejrzewam, że po tylu latach ja i to miasto musimy być w jakiś sposób związani. Może nie potrafię sobie wyobrazić siebie w jakimś innym miejscu. Tak czy inaczej, już nie płaczę ani nie lamentuję. Wiem, gdzie jest moje miejsce. - Spojrzał na Erwina. - Nawiasem mówiąc, odnalazłem cię nie bez przyczyny.

- Co takiego?

- Rozmawiałem z paroma moimi przyjaciółmi. Opowiedziałem im o tobie i o tym. co wydarzyło się przed moim starym sklepem. Chcieliby się z tobą spotkać.

- Inne...

- No dalej, powiedz to.

- Duchy?

- Wolimy określenie „zjawy”. Albo widma. Ale tak, ogólnie rzecz biorąc to duchy.

- Czemu chcą się ze mną widzieć?

Dolan wstał.

- Czy to jest, kurwa, takie ważne? - zawołał w przypiływie nagłego rozdrażnienia. - Masz coś lepszego do roboty?

- Nie - odrzekł po chwili Erwin.

- To jak, idziesz, czy nie? Mnie jest wszystko jedno.

- Idę.

Buddenbaum obudził się w białym pokoju z przeraźliwym bólem głowy. W nogach łózków stał, obserwując go, młody chłopak o niezdrowej cerze.

- Ocknąłeś się - odezwał się chłopak.

Najwyraźniej znał go. Buddenbaum nie potrafił jednak przypomnieć sobie jego imienia. Jego zakłopotanie musiało być widoczne, gdyż chłopak powiedział:

- Owenie, to ja, Seth.

- Seth.

Na dźwięk tego imienia pod czaszką Buddenbauma pojawił się tuzin obrazów, jak pojedyncze klatki filmu, pochodzące każda z innej sceny i połączone tak, że utworzyły pętlę. Zawirowały wkoło ze dwadzieścia razy. Ujrzał nagie ciało, twarz przepelnioną wściekłością, niebo i inne twarze, które przyglądały mu się z góry.

- Spadłem.

- Tak.

Buddenbaum dotknął dłońmi klatki piersiowej, szyi i brzucha.

- Jestem cały.

- Masz złamanych kilka żeber, parę pękniętych kręgow i uszkodzoną podstawę czaszki.

- Naprawdę? - Buddenbaum uniósł dłonie do głowy. Była grubo obandażowana. - Jak długo byłem nieprzytomny?

- Prawie osiem godzin.

- Osiem godzin? - Usiadł na łóżku. - Mój Boże!

- Musisz się położyć.

- Nie mam czasu. Jest mnóstwo spraw, którymi muszę się zająć. - Przyłożył dłoń do czoła. - Nadchodzą ludzie. Muszę być... muszę być...

Jezu, nie pamiętam. Przecież miałem to w głowie. Spojrzał na Seta z rozpaczą.

- Jest źle. - Schwycił chłopaka obiema rękami i przyciągnął do siebie. - Jest bardzo źle. Miały miejsce jakieś karesy, prawda? - Seth nie znał tego słowa. - Ty i ja kochaliśmy się...

- A, to. Tak. Robiliśmy to i wtedy ten facet, Bosley, ten prawdziwy chrześcijanin...

- Zapomnij o chrześcijanach - warknął Buddenbaum. - Ufasz mi?

- Oczywiście, że tak - odparł Seth, dotykając dłonią jego twarzy. - Powiedziałeś mi, co się stanie.

- Naprawdę, naprawdę? Co powiedziałem?

- Powiedziałeś, że nadchodzą Awatary. - Seth wymówił to słowo bardzo wolno i

wyraźnie. - Mówiłeś, że to coś więcej niż aniołowie.

Na twarzy Buddenbauma błysk nagłego przypomnienia zastąpił wyraz desperacji.

- Awatary - mruknął. - Oczywiście. - Zaczął opuszczać nogi na podłogę.

- Nie wolno ci wstawać - zaprotestował Seth. - Jesteś ranny.

- Przeżyłem wiele gorszych obrażeń, możesz mi wierzyć - stwierdził Buddenbaum. -

Gdzie, u licha, są moje rzeczy? - Wstał i podszedł do niewielkiej szafki w rogu pokoju. - Czy nadal znajdujemy się w Everville?

- Nie, jesteśmy w Silverton.

- Jak to daleko?

- Czterdzieści kilometrów.

- Wobec tego jak tu dotarłeś?

- Pożyczyłem samochód matki. Ale, Owienie, jesteś bardzo chory...

- W grę wchodzi większe ryzyko niż byle pęknięcie czaszki - odrzekł Buddenbaum, otwierając szafkę i wyjmując swoje rzeczy. - Dużo, dużo większe.

- To znaczy?

- To zbyt skomplikowane.

- Przecież wszystko chwytam w lot - odrzekł z przejęciem Seth. - Doskonale o tym wiesz. Sam tak powiedziałeś.

- Pomóż mi się ubrać.

- Czy tylko do tego jestem ci potrzebny? - zaprotestował Seth. - Nie traktuj mnie jak poderwanego na ulicy półgłówka. Nie jestem idiotą.

- W takim razie nie zachowuj się jak kretyń! - uciął Buddenbaum; Seth natychmiast cofnął się o kilka kroków

- Cóż, chyba sprawa jest jasna - mruknął.

- Nie to miałem na myśli. Nie chciałem, aby tak to zabrzmiało.

- Jeżeli chcesz, aby ktoś cię ubrał, przywołaj pielęgniarkę. Chcesz, żeby ktoś odwiózł cię do domu, zamów sobie taksówkę.

- Seth!

Ale już było za późno, chłopak wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Owen nie próbował go gonić. Nie miał tyle czasu, aby mógł tracić energię na byle sprzeczki. Chłopak prędzej czy później wróci. A jeżeli nie wróci, to trudno. W najbliższych godzinach nie będzie potrzebował pomocy - ani dowodów miłości - ze strony Setha czy jakiegokolwiek innego upartego młodzieńca. Zostanie uwolniony od wszelkich słabości, w tym również miłości; zostanie uwolniony, aby móc żyć poza czasem, poza miejscem, poza wszelkimi problemami

codziennosci.

Szczęnie, ulegnie procesowi odwrotnemu do tworzenia, co jest przymiotem wszelkich boskich istot, one bowiem nie mają początku ani końca - i jest to nader rzadka i cudowna właściwość.

Ubierał się jeszcze, kiedy w drzwiach pojawił się młody, jasnowłosy lekarz o twarzy barwy serwatki.

- Co pan wyprawia, panie Buddenbaum? - zapytał.

- Wydaje mi się, że to oczywiste - odrzekł Owen.

- Nie może pan opuścić szpitala.

- Wręcz przeciwnie, nie mogę tu zostać. Mam mnóstwo pracy.

- Zdumiewa mnie, że w ogóle trzyma pan się jeszcze na nogach - stwierdził lekarz. - Nalegam, aby wrócił pan do łóżka.

Podszedł do Owena, a ten uniósł w górę obie ręce.

- Proszę, niech mnie pan nie zatrzymuje - powiedział. - Jeśli chce pan mi pomóc, proszę wezwać taksówkę.

- Jeżeli spróbuje pan opuścić szpital - oświadczył lekarz - zrzeknę się wszelkiej odpowiedzialności za ewentualne konsekwencje pańskich nieodpowiedzialnych poczynań.

- I w porządku - odparł Owen. - A teraz, czy zechciałby pan wreszcie wyjść, abym mógł się ubrać w spokoju?

### 3

Jak na tak nieduże miasto, Everville mogło poszczycić się całkiem sporą liczbą cmentarzy. Cmentarz katolicki pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny znajdował się dwie mile za rogatkami, przy Mulino Road, ale trzy pozostałe, Cmentarz Pionierów (najmniejszy i najważniejszy pod względem historycznym), Cmentarz Potterów (nazwany na pamiątkę rodziny, która pochowała w tym miejscu więcej swych krewnych niż jakakolwiek inna), oraz zwyczajny cmentarz Everville mieściły się w granicach miasta.

Dolan zabrał Erwina na cmentarz Potterów przy Lambrose Drive, niedaleko gmachu Starej Poczty.

Po drodze gadał jak najęty, głównie o tym, jak zmieniło się miasto w ciągu ostatnich kilku lat. I jak twierdził - wcale nie na lepsze. Tak wiele rzeczy stanowiących historię Everville, rodzinne firmy, stare budynki, nawet latarnie zostało zlikwidowanych lub bezpowrotnie zniszczonych.

- Kiedy oddychałem, praktycznie o tym nie myślałem. - zauważył Dolan. - Ty również, prawda? Żyjesz najlepiej, jak umiesz. Masz nadzieję, że nie dobierze się do ciebie urząd podatkowy, że w sobotni wieczór będziesz jeszcze nie raz balować do upadłego, że włosy nie zaczną ci wypadać zbyt szybko. Nie masz czasu, aby rozmyślać o przeszłości, póki nie staniesz się jej częścią. A wtedy...

- Wtedy?

- Wtedy uświadamiasz sobie, że to, co odeszło, odeszło na zawsze i jest ci żal, zwłaszcza jeśli było to coś wartego zachowania. - Wskazał na gmach Starej Poczty, który pozostawiono, by obracał się w ruinę, odkąd w Salem otwarto większy i bardziej scentralizowany urząd pocztowy. - Spójrz chociażby na to - powiedział. - Nie uważasz, że taki budynek powinno się zachować? Ocalić? Zmienić w coś przydatnego dla społeczności?

- Jakiej społeczności? - rzekł Erwin. - Tu, w Everville, nie ma żadnej wspólnoty. Żadnej społeczności. Mamy tu tylko kilka tysięcy ludzi, którzy zrządzeniem losu mieszkają obok siebie i przez większość czasu nienawidzą się nawzajem. Uwierz mi, w moim fachu widziałem sporo takich przypadków. Ludzie procesują się między sobą o źle ustawiony parkan albo jedno ścięte drzewo. Mili sąsiedzi, powiedziałbyś na ich widok, prości ludzie o dobrych sercach. Wiedz jednak, że gdyby zezwalało na to prawo, zaczęliby na wypródkę mordować jeden drugiego. - Dopiero po fakcie zorientował się, że popełnił drobne *faux-pas*.

- Chciałem tylko ochronić dzieci - burknął Dolan.

- Nie mówiłem o tobie - odrzekł Erwin. - To, co zrobiłeś...

- Było złe. Wiem. Popełniliśmy potworny błąd i przez całą wieczność będę tego żałował. Uczyniliśmy to jednak dlatego, że uważaliśmy, iż jest to konieczne.

- A jak potraktowała was owa wspaniała społeczność, kiedy okazało się że przerznęliście sprawę? Jak pariasów, zgadza się? - Dolan nie odpowiedział. - To tyle jeżeli chodzi o wspólnotę - dokończył Erwin.

Od tej chwili nie rozmawiali; dopiero gdy znaleźli się przy bramie cmentarza Potterów, Dolan zapytał:

- Wiesz, kim jest Hubert Nordhoff?

- Czy to nie ten właściciel fabryki?

- Nie tylko fabryki. Był tu wielką fiszą przez pięćdziesiąt lat.

- Czemu o niego pytasz?

- Przewodniczy naszemu sądowi w każdy ostatni piątek miesiąca.

- Tutaj? - spytał Erwin, zerkając pomiędzy stalowymi prętami ogrodzenia na teren cmentarza.

Cieniutka powłoka chmur przesłaniała księżyc, ale światła było dość, aby mógł ujrzeć przed sobą kanciaste nagrobki. Tu i ówdzie rzeźbiony aniołek lub urna znaczyły miejsce spoczynku zamożniejszej rodziny, jednak większość grobów zdobiły proste kamienne płyty.

- Tak, tutaj - rzekł Dolan i poprowadził go między grobami.

Na drugim końcu cmentarza znajdował się stary, omszały dąb i tam właśnie, pod jego tytanicznymi konarami zebrała się szóstka mężczyzn i kobiet. Niektórzy siedzieli na kamieniach, jeden z mężczyzn, który nawet jak na martwą duszę wyglądał niezdrowo, usadowił się na najniższej gałęzi drzewa. Przy grubym pniu stał około siedemdziesięcioletni mężczyzna, który przemawiał do zebranych. Jego ubiór, okulary i nieco sztywne maniere świadczyły, że musiał żyć i umrzeć w ubiegłym stuleciu. Erwin nie musiał czekać na komentarz Dolana, by zorientować się, iż miał przed sobą wspomnianego już wcześniej Huberta Nordhoffa. Mężczyzna był w swoim żywiole, perorując jak najęty.

- Czyliż jesteśmy niekochani? Ależ tak, moi przyjaciele. Czyliż jesteśmy zapomniani? Obawiam się, że niewielu dziś o nas pamięta. Czy nam zależy? Przyjaciele, pytam was, czy nam zależy? - Zlustrował przenikliwym spojrzeniem błękitnych oczu wszystkich zgromadzonych, po czym odrzekł: - Tak, na Boga, tak. Zależy nam z całych serc, mimo iż nasze serca są złamane. - Tu przerwał i obejrzał się przez ramię na Dolana i Erwina. Skinął głową. - Panie Dolan - rzekł.

- Panie Nordhoff - Dolan odwrócił się do Erwina. - To facet, o którym panu wspominałem. Nazywa się...

- Toothaker - powiedział Erwin z silnym postanowieniem, że nie dołączy do tego kręgu jako zdobywcę Dolana, lecz w pełni wolna i samodzielna istota. - Erwin Toothaker.

- Miło nam pana widzieć, panie Toothaker - powiedział starzec. - Jestem Hubert Nordhoff. A to... - przedstawił Erwinowi zebranych po kolei.

Trzy nazwiska okazały się znajome. Byli to członkowie rodzin, które wciąż zamieszkiwały w Everville (wśród nich był jeden Gilholly i ojciec byłego burmistrza). Pozostałych nie znał, ale domyślał się, że musieli za życia należeć do śmietanki towarzyskiej. Podobnie jak Hubert byli to ludzie wpływowi, odgrywający znaczącą rolę w miejskiej społeczności. Zdziwiła go pewna rzecz - okazało się, że jedyną kobietą w tym towarzystwie był w rzeczywistości Cornelius Floyd, który po śmierci najwyraźniej przeistoczył się w dość niechlujną dziewczuchę, lecz mimo to wydawał się całkiem szczęśliwy. Rysy miał zbyt toporne i zbyt kwadratową szczękę, aby można je określić mianem kobiecych, ale ton jego głosu był miękki i nieco zduszony, gdy mówił Erwinowi, że choć naprawdę ma na imię Cornelius, wszyscy nieodmiennie nazywają go tutaj Connie.



Zakończywszy prezentację, Hubert przeszedł do rzeczy.

- Słyszeliśmy, co ci się przytrafiło - powiedział. - O ile nam wiadomo, zostałeś zamordowany we własnym domu.

- Zgadza się.

- Naturalnie jesteśmy tym wstrząśnięci. - Zebrani wyrazili współczucie dla Erwina niezbyt głośnymi, niewyraźnymi pomrukami. - Niemniej muszę stwierdzić z przykrością, że zbytnio nas to nie zdumiewa. Fala zbrodni i okrucieństwa narasta na całym świecie.

- To nie było zwyczajne morderstwo - zauważył Erwin - jeżeli w ogóle o jakimś zabójstwie można powiedzieć, że jest zwyczajne.

- Dolan wspomniał coś o wampirach - rzekł Gilholly Senior.

- To jego określenie, nie moje - zaperzył się Erwin. - Wyssano ze mnie życie, ale sprawcą nie był jakiś przerysowany, wgryzający się w gardło krwio pijca z horroru klasy B.

- Znałeś zabójcę? - spytał korpulentny facecik nazwiskiem Dickerson, który wyciągnął się jak długi na jednym z grobów.

- Niezupełnie.

- To znaczy?

- Spotkałem go nad Potokiem Ungera. Nazywa się Fletcher. Wydaje mi się, że on uważa się za jakiegoś proroka.

- Tylko tego nam trzeba - burknął chudzielec na drzewie.

- I co z tym pocniemy, Nordhoff? - spytał Gilholly.

- Nie możemy nic zrobić - rzekł Erwin.

- Nie bądź defetystą - uciął Nordhoff. - Cięży na nas pewna odpowiedzialność.

- To prawda - przyznał Connie. - Jeżeli my nie będziemy działać, to kto się tym zajmie?

- Niby co mielibyśmy robić?

- Ocalić nasze dziedzictwo - odrzekł Hubert. - To my zbudowaliśmy to miasto. Przelewaliśmy pot i krew, by zapanować nad tą dziczą, włożyliśmy dużo wysiłku, żeby nasze dzieci mogły tu spokojnie dorastać. Teraz to wszystko rozpada się w proch. Już od miesięcy spodziewaliśmy się, że to nastąpi. Drobne oznaki widać było praktycznie wszędzie. I nagle pojawiaasz się ty, zamordowany przez coś nadnaturalnego, a chłopak Lundych zostaje zgwałcony w starym sklepie przez kogoś innego, równie niesamowitego...

- Nie zapomnij o pszczołach - wtrącił Dickerson.

- O jakich znowu pszczołach? - zdziwił się Erwin.

- Znasz Franka Tibbita? - rzucił Dickerson. - Tego, co mieszka przy Moon Lane?

- Nie przypominam sobie...

- Hoduje pszczoły. A raczej hodował. Wszystkie uciekły, zaledwie dziesięć dni temu.

- Czy to takie ważne? - spytał Erwin.

- Nie, gdyby to był odosobniony przypadek - odrzekł Nordhoff. - Niestety nie jest. Widzisz, my wszystko obserwujemy i bacznie nadstawiamy uszu. Naszym zadaniem jest chronić to, co stworzyliśmy, nawet jeżeli o nas zapomniano. Tak więc prędzej czy później dowiadujemy się o wszystkim. Są tuziny przykładów...

- Setki - poprawił Connie.

- Na pewno wiele tuzinów - kontynuował Nordhoff - wiele tuzinów przykładów dziwnych wydarzeń, drobnych, ale zastanawiających, jak w przypadku pszczół Tibbita...

- Pomijając zamordowanie ciebie - wtrącił Dickerson.

- Czy mógłbym skończyć zdanie, żeby nikt nie wchodził mi w słowo? - warknął Nordhoff.

- Może mógłbyś, gdybyś się bardziej streszczał - odparł Melvin Pollock, który wydawał się rówieśnikiem Nordhoffa, a grymas zaciętych, wiecznie skrzywionych ust zdradzał tkwiącego w nim aż do śmierci niepoprawnego gbura i zrzędę. - On chce powiedzieć jedno: włożyliśmy w Everville całe nasze życie. Teraz liczne oznaki mówią, że możemy utracić to wszystko na zawsze.

- A kiedy przestanie istnieć... - zaczął Dickerson.

- Wówczas my również sczeźniemy - dokończył Pollock. - Odejdziemy w zapomnienie.

- Tylko dlatego, że nie żyjemy - powiedział Nordhoff - nie znaczy to, że mamy leżeć z założonymi rękami.

Dickerson zachichotał.

- Nieźle, Hubercie. Zrobimy jeszcze z ciebie komika.

- Nie ma się z czego śmiać - warknął Nordhoff.

- Ależ jest - zaprotestował Dickerson, podnosząc swe wielkie ciało do pozycji siedzącej. - Oto my, wielcy, prawi obywatele Everville: - bankier - skinął w stronę Pollocka; sprzedawca nieruchomości - wskazał Connie; właściciel fabryki naturalnie to Nordhoff. Jak również i pozostali inicjatorzy i wierni wyznawcy. Oto my, za wszelką cenę walczący o własną godność i łudzący się nadzieją, że uda nam się coś zdziałać w tym piekle wpływów - wskazał za bramę, gdzie rozciągał się świat żywych - wszyscy, którzy mają oczy na swoim miejscu, doskonale zdają sobie sprawę, że to już koniec.

- Czego koniec? - spytał Connie.

- Naszych czasów. Everville. A może... - przerwał i zmarszczył brwi - może również całej ludzkości - dokończył.

Zapadła cisza, milczał nawet Nordhoff. Gdzieś na ulicy za cmentarzem zaszczekał pies, ale nawet najbardziej znajome odgłosy nie przyniosły im pocieszenia.

Wreszcie odezwał się Erwin:

- Fletcher wie.

- Co wie? - zapytał Nordhoff.

- Co się dzieje. Może nawet on sam jest tego przyczyną. Może gdyby udało nam się znaleźć sposób, aby go unicestwić...

- Niezła myśl - przyznał Connie.

- I nawet gdyby nie ocaliło to miasta - powiedział Dickerson, któremu najwyraźniej pomysł ten przypadł wybitnie do gustu - mielibyśmy niezłą frajdę.

- Ale na Boga, przecież ludzie nawet nas nie słyszą - zauważył Dolan. - Jak, do cholery, moglibyśmy kogoś zabić?

- On nie jest kimś. To nie człowiek - powiedział Erwin. - To coś. Jakaś istota, ale na pewno nie ludzka.

- Wydajesz się tego bardzo pewien - mruknął Nordhoff.

- Nie każę wam uwierzyć mi na słowo - odparł Erwin. - Chodźcie i przekonajcie się o tym sami.

# Rozdział XI

## 1

Tesla kupiła pierwszy rewolwer na Florydzie, przed czterema laty, kiedy przed barem w Fort Lauderdale z ledwością udało jej się wyrwać z rąk dwóch podpitych osiłków, którzy uznali po prostu, iż nie podoba im się jej twarz. Nigdy więcej, poprzysięgła sobie, nie będzie bezbronna. Musi mieć coś, co zapewniłoby jej choć odrobinę bezpieczeństwa. Kupiła przyzwoitą małą czterdziestkę piątkę i wzięła nawet kilka lekcji, aby umieć się nią posługiwać.

Nie była to jednak jedyna broń, jaką posiadała. Sześć miesięcy później podczas pierwszej podróży do Luizjany na środku pustej autostrady znalazła rewolwer i mimo ostrzeżeń Raula, że spluwa jest z pewnością „gorąca” i nie powinno się jej zabierać, zrobiła to. Broń była starsza i cięższa niż jej poprzedni nabytek. Lufę i kolbę pokrywały rysy i zadrapania, ale dobrze leżała w dłoni, a poza tym Tesli podobała się towarzysząca rewolwerowi otoczka tajemnicy.

Trzecia broń była prezentem od niejakiej Marii Lourdes Nazareno, którą spotkała na rogu ulicy w Mammoth w Arizonie. Kobieta, która wolała, by nazywać ją Lourdes, rzekomo czekała na Teslę w owym miejscu od kilku dni - a przynajmniej tak twierdziła. Oznajmiła, że ma dar widzenia i we śnie dowiedziała się, iż wkrótce będzie tędy przejeżdżać kobieta mocy. Tesla protestowała, że nią nie jest, ale Lourdes była o tym święcie przekonana. Jak powiedziała, czekała na przybyłą z darami i byłaby niezadowolona, gdyby Tesla ich nie przyjęła. Jednym z prezentów okazała się kość obojczykowa, która zgodnie z wyjaśnieniem Lourdes należała do świętej Maxine. Drugim mosiężny kompas - „na drogę” - jak wyjaśniła kobieta. Trzecim był rewolwer, z pewnością najładniejszy z całej trójki, wykładany macicą perłową. Lourdes wyznała, iż miał on własne imię, ale nie wiedziała, jak brzmiało. Tesla je odkryje, gdy będzie musiała wezwać swą broń na pomoc. Na razie okazja się nie nadarzyła - od spotkania z Lourdes podróżowała przez dwa lata i ani razu nie musiała użyć broni.

Aż do teraz.

- Który mam wziąć? - spytała Phoebe.

Wróciły z pizzerii do domu Cobbów tylko w jednym celu - aby się uzbroić.

- Wiesz, jak się strzela? - spytała Tesla

- Wiem, jak się pokazuje palcem - odrzekła Phoebe.
  - Pokazując palcem, nie zrobisz w nikim dziury - zauważyła Tesla.
- Phoebe wzięła rewolwer Lourdes i przełożyła z ręki do ręki.
- Kiedy widzisz, jak radzą sobie z nimi faceci, nie wydaje się to trudne. - Miała rację.
  - Chcesz ten? - spytała Tesla
  - Taa - odrzekła Phoebe, z uśmiechem.
  - Zrobimy z nich użytek tylko w razie konieczności.
  - Jeśli w pobliżu zjawi się coś, co wygląda jak wąż i cuchnie jak gówno.
  - Wciąż mi nie wierzysz, prawda?
  - Czy to ważne? - ucięła Phoebe.
  - Chyba nie - odpowiedziała Tesla po krótkim namyśle. - Chcę tylko, abyś była przygotowana na najgorsze.
  - Jestem gotowa od lat - zapewniła ją Phoebe.

## 2

Dom Toothakera tonął w ciemnościach, ale spodziewały się tego. Phoebe miała wielką. Tesla nieco mniejszą latarkę.

- Czujesz coś? - zwróciła się Tesla do Raula, gdy wraz z Phoebe szły żwirowaną ścieżką.

*Na razie nie.*

Mimo to w powietrzu wciąż unosiła się woń ekskrementów; fetor nasilał się, w miarę jak podchodziły do domu. Zrobiło się znacznie chłodniej, odkąd prawie przed godziną wyszły z restauracji, ale Tesli było gorąco jakby dopadła ją podstępna grypa. Poza tym kolana miała jak z waty.

- I co zrobimy? - spytała Phoebe, gdy dotarły do drzwi. - Zwyczajnie zapukamy?

- Lepsze to, niż miałybyśmy próbować wyważyć drzwi - stwierdziła Tesla.

Wciąż łudziła się nadzieją, że to wszystko jest jednym wielkim nieporozumieniem, że szept, który wraz z Raulem usłyszeli przed restauracją był jedynie sztuczką wiatru, a smród pochodził z wybitej studzienki ściekowej. Zapukała głośno do drzwi. Czekwały. Nikt im nie odpowiedział. Zapukała ponownie i jednocześnie spytała Raula, czy wyczuwa wewnątrz czyjąś obecność. Odpowiedź nie była tą, na którą czekała.

*Tak - odparł. - Słyszę kogoś.*

Bestia, która skręcała się w żołądku Tesli odkąd wyruszyły w drogę, dostała spazmów.

Tesla schwyciła Phoebe za ramię.

- Nie mogę tego zrobić - jęknęła.

- W porządku - mruknęła Phoebe i sięgnęła dłonią do klamki. - Skoro dotarliśmy tak daleko.

Przekręciła klamkę i ku zdziwieniu Tesli drzwi się otworzyły. Z wnętrza domu wypłynęła fala zimnego, kwaśnego powietrza.

Tesla cofnęła się o krok, ciągnąc Phoebe za ramię, ale ta warknęła cicho przez zaciśnięte zęby i odtrąciła jej dłoń.

- Chcę zobaczyć - rzekła.

- Zobaczymy jutro - postanowiła Tesla - kiedy będzie widno.

- Jutro może być za późno - odparła Phoebe, nawet na nią nie spojrzawszy. - Chcę zobaczyć. Już. Teraz. Zaraz. - I to rzekłszy weszła do wnętrza domu. Zaraz potem Tesla usłyszała szept:

- Gdzie jesteś?

*Gdzie jesteś?* - spytał Raul.

- Tak, ja też to słyszałam.

Tes, ktoś wszedł jej do głowy.

- Kurwa!

Phoebe postąpiła już sześć kroków w głąb domu i nieomal natychmiast otoczyły ją ciemności.

- Phoebe? - zawołała Tesla. - Wyjdź stamtąd!

Tamta jednak nie usłuchała. Szła coraz dalej, aż Tesla zaczęła się niepokoić, że lada moment zupełnie straci ją z oczu.

*Wejdź tam* - powiedział Raul.

- Zamknij się!

*W przeciwnym razie stracisz ją na dobre.*

Naturalnie miał rację i wiedziała o tym. Wyjęła zalezioną czterdziestkę z zapałkami i weszła za Phoebe do mrocznej sieni. Gdyby się pospieszyła, mogłaby ją jeszcze dogonić i wyciągnąć na zewnątrz, zanim...

Drzwi za nią zatrzasnęły się z hukiem. Odwróciła się, a zimne powietrze omiotło jej twarz niczym brudna wilgotna ścierka. Tesla miała trudności z zaczerpnięciem tchu i wołała nie tracić resztek powietrza nawołując Phoebe. Najwyraźniej to, co ją dopadło, nie zamierzało skapitulować bez walki.

Tesla?

- Jestem.

*Ona skręciła w prawo. Są tam drzwi.*

Ledwie dostrzegła zarys drzwi i rzeczywiście ujrzała Phoebe wchodzącą do pomieszczenia. Przyspieszając kroku Tesla przeszła przez korytarzyk, ale nie zdążyła dopaść kobiety, która wślizgnęła się tymczasem do pokoju. Tesla z zadowoleniem stwierdziła, iż pomieszczenie było trochę lepiej oświetlone - migotliwy blask roztaczały zapewne świece. Wdzięczna za tę drobną łaskę, podążyła za Phoebe do środka. Pomieszczenia nie oświetlały świece, lecz pełgające w kominku, dogasające ognie. Na ruszcie leżało kilka szerniałych polan. W powietrzu jednak nie czuło się woni drewna, lecz mięsa; ten zapach po kwaśnym fetorze w progu był przyjemny, nieomal wpływał pobudzająco na apetyt. Ktoś niedawno coś tu smażył i jadł, lecz nie zdołała jak na razie dostrzec, kto. Pokój był spory i niemal idealnie obrócony w perzynę - prawie wszystkie meble zniszczono, ozdoby i drobne przedmioty bezlitośnie potłuczono lub pogruchotano. Na drugim końcu pokoju, niedaleko od miejsca w którym stała, dwakroć dalej od Phoebe zeszywniałej pośrodku pomieszczenia, z rękoma zwieszonymi wzdłuż boków, ciemność była gęstsza i bardziej wzburzona niż gdzie indziej. Próbowała przeniknąć to miejsce wzrokiem, przekonana, że ktoś tam stoi, ale kiedy zatrzymała tam spojrzenie, zaczęła gwałtownie mrugać oczami, jakby nie była w stanie (lub nie chciała) dojrzeć, co się tam znajdowało.

- Fletcher? - rzuciła. - To ty?

Kiedy to powiedziała, Phoebe odwróciła się w jej stronę.

- Zostaw nas samych - poleciła. - On chce tylko mnie.

- Czy to prawda? - spytała Tesla, podchodząc do niej wolnym krokiem. Kąciki oczu i ust Phoebe zaczęły drżeć i pulsować, jakby lada moment miała się rozplakać.

- To prawda - odparła.

- Czy osobą, która cię chce, jest Fletcher? - zapytała Tesla, starając się - znów bez powodzenia - skupić wzrok na cieniach.

- Nieważne, jak brzmi jego imię - rzekła Phoebe.

- Dla mnie to jest ważne - odparła Tesla. - Może zapytasz go o to. Zrobisz to dla mnie? - Phoebe ponownie odwróciła się ku ciemności. Najwyraźniej nie miała trudności z patrzeniem w mrok.

- Ona chce wiedzieć, kim jesteś - powiedziała.

- Czy to Fletcher? - rzuciła Tesla.

- Czy jesteś...? - Phoebe nie dokończyła pytania, ale nasłuchiwała, lekko przekrzywiając głowę.

Nastąpiła cisza, którą przerywał tylko słabo słyszalny trzask ognia. Tesla spojrzała na kominek. Wokół polan widać było rozlane kałuże tłuszczu lub wosku, a na ruszcie kamień lub...

- Skoro tego chcesz - powiedziała Phoebe do ciemności.

Tesla przeniosła wzrok na nią. Kobieta zaczęła rozpinać bluzkę.

- Co robisz? - spytała Tesla.

- On chce mnie zobaczyć - odrzekła krótko Phoebe.

Tesla podeszła bliżej i przytrzymała ją za dłonie.

- Nie, nie chce.

- Owszem, chce - warknęła Phoebe, powracając do rozpinania guzików. - On mówi... mówi, że...

- Co mówi?

- Mówi, że powinniśmy się pieprzyć całe tysiąclecie.

Tesla słyszała już kiedyś to zdanie. Usłyszała je raz, lecz tysiącrotnie powracało do niej w snach.

Teraz, gdy padło ponownie, odniosła wrażenie, jakby podłoga pod jej stopami przechyliła się, a ona sama zaczęła obsuwać się ku ciemności na drugim końcu pokoju.

Minęło pięć lat, odkąd pierwszy raz usłyszała te słowa; pięć lat, podczas których wielokrotnie dziękowała Bogu, że ten, co je wypowiedział był martwy. Jak się okazało, jej wdzięczność była przedwczesna.

- Kissoon... - szepnęła i opuszczając jej wargi sylaby te zaczęły żyć własnym życiem. *Kissss-sssooon. Kiiiiissssooonn.* Krążyły wokół niej.

Spotykała go w niezliczonych koszmarach - uciekała przed nim, poddawała się mu, była przezeń osadzana, zabijana, gwałcona, a nawet pożerana, ale zawsze budziła się z kosmaru, nawet najgorszego, z przynoszącym nadzieję głębokim przekonaniem, iż pewnego dnia myśli o nim odejdą w zapomnienie, i będzie wolna.

Nic z tego. Boże w Niebiesiech, nic z tego. Zbyt szybko pospieszyła.

Bo on był teraz tutaj, wrócił.

Sięgnęła dłonią do pasa, wyjęła rewolwer i wycelowała w ciemność.

*A więc to nie Fletcher* - wymamrotał Raul. Wydawało się, że jest bliski łez.

- Nie.

*Sądziysz, że to Kissoon.*

- *Wiem, że to Kissoon* - stwierdziła, mrużąc lekko powieki.

*A jeżeli się mylisz?*



- Nie myślę się - mruknęła i wypaliła raz, drugi, trzeci. Huk wystrzałów rozbrzmiał wewnątrz pomieszczenia i natychmiast powrócił, odbity od ścian, dojmująco głośnym echem. Z ciemności nie dobiegł jednak przynoszący ulgę krzyk, nie było krwi ani dzikich przedśmiertnych konwulsji.

Wyglądało na to, że strzały zrobiły wrażenie jedynie na Phoebe, która zaczęła głośno szlochać.

- Co ja wyprawiam? - jęknęła i cofnęła się od Tesli, jakby chciała dotrzeć do drzwi.

Tesla obejrzała się w jej stronę i w tej samej chwili Phoebe rzuciła się na nią z wyciągniętymi rękami. Zaciśniętą w pięść dłońią wytrąciła Tesli rewolwer, a drugą ręką chwyciła ją za szyję. Tesla straciła oddech. Uniosła dłonie, usiłując uwolnić się z uchwytu, ale zanim tego dokonała, szlochy napastniczki - które rozlegały się podczas całego ataku - niespodziewanie ustały.

- Idź do niego - odezwała się mechanicznym, bezosobowym głosem - Idź i powiedz, że żałujesz.

Zacząła popychać Tesłę w stronę drugiego końca pokoju, ku ciemności, gdzie znajdował się Kissoon. Tesla kopała i miotła się, ale trudno jej było oprzeć się znajdującej się pod obcym wpływem Phoebe.

- Posłuchaj mnie, Phoebe! - zawołała - On zabije nas obie!

- Nie...

- Możesz z nim walczyć. Wiem, jakie to uczucie, kiedy siedzi ci w głowie. - To nie było kłamstwo. Kissoon w Pętli wykorzystał tę samą sztuczkę wobec Tesli, napał na czubek jej czaszki, aby sobie podporządkować dziewczynę i móc ją kontrolować. - Ale możesz z tym walczyć, Phoebe, możesz to pokonać.

Twarz przed nią była wolna od wszelkich uczuć i tylko z oczu Phoebe płynęły strużki łez. Tesla sięgnęła do paska. Był tam rewolwer z Florydy. Jeśli Phoebe nie chciała słuchać głosu rozsądku, to może przemówią do niej inne argumenty.

Kiedy jednak zacisnęła dłoń na rewolwerze, Phoebe nagle ją puściła. Tesla z wdzięcznością wzięła głęboki oddech i zgięła się wpół, a kiedy jej wzrok padł na podłogę, ujrzała ciemny, węzowaty kształt, który wysunął się spod desek. Wyszarpnęła drugi rewolwer zza paska i schodząc liksomi z drogi wymierzyła broń do strzału, gdy wtem poczuła, że ciemność nieopodal zaczyna się przeredzać - słyszała, jak mrok przesuwają się i poczuła ruch powietrza, który temu towarzyszył.

Ponownie spojrzała na podłogę. Do liksa u jej stóp dołączyło kilka kolejnych - były maleńkie w porównaniu z koszmarem, który kiedyś widziała, największy miał około pół

metra, najmniejszy był cienki jak włos. Tyle że wciąż nadciągały nowe, w większości nie dłuższe od ludzkiego palca, jak gdyby u jej stóp ktoś rozsypał cały ich koszyk. Żaden najwyraźniej nie zamierzał zrobić jej krzywdy. Przesuwały się po zasłanej szczątkami mebli podłodze ku dogasającym płomieniom.

Jedynym zagrożeniem stanowiła osoba ich twórcy, w którego kierunku Tesla zwróciła teraz wzrok. Tym razem mimo iż wciąż nie była w stanie zogniskować na nim spojrzenia, przez moment go widziała. Siedział, jak się zdawało, na krześle, ale wisiało ono około metra nad ziemią. I choć ona nie mogła na niego spojrzeć, on nie miał z patrzeniem na nią najmniejszych trudności. Poczwała na sobie jego wzrok. Zimne ciarki przeszły jej po plecach, a serce zakołatało w piersi.

- To minie... - powiedział i w tej samej chwili wszelkie nadzieje, że jednak się omyliła, że to wcale nie Kisson, przysły.

- Co minie? - spytała, walcząc z zawodzącym ją wzrokiem. Niewątpliwie miał powód, nie chcąc dopuścić, aby nań patrzyła i to jeszcze bardziej upewniało ją, iż powinna to zrobić. Gdyby zdołała choć na parę chwil odwrócić jego uwagę, może zdekoncentrowałby się i mogłaby go zobaczyć.

- Co minie? - powtórzyła pytanie.

- Szok.

- Czemu miałabym być w szoku?

- Bo sądziłaś, że umarłem i odszedłem na dobre.

- Dlaczego miałabym tak uważać?

- Nie próbuj tego!

- Czego mam nie próbować?

- Tej głupiej gierki, w którą pogrywasz.

- Jakiej gierki?

- Powiedziałem, przestań!

Kiedy krzyknął, spojrzała na niego i przez trwającą dwa uderzenia serca chwilę, póki nie zapanował nad sobą, zdołała go zobaczyć.

To wystarczyło, aby zrozumiała, dlaczego nie chciał się jej pokazać. Przechodził przemianę, jego skóra i tkanki, przeżarte gangreną i cuchnące, odpadały płatami od kości. Pozostało jednak dość ciała, by mogła rozpoznać jego twarz. Małpie czoło, szeroki nos, wystająca zuchwa. To wszystko należało do Raula, zanim nie przejął go Kisson.

*Jezu...* - usłyszała w myślach głos Raula. - *Nie patrz. Na litość boską. nie patrz.*

Nie miała po temu zbyt wielu możliwości. Ledwie zdołała zarejestrować kilka szczegółów

jego fizjonomii, kiedy Kissoon, odzyskawszy nad sobą panowanie i uświadomiwszy sobie, że na niego patrzyła, siłą woli brutalnie odepchnął jej spojrzenie. Łzy bólu napłynęły Tesli do oczu.

- Jesteś zbyt ciekawska, aby wyszło ci to na zdrowie - rzekł.

- A ty na stare lata robisz się cholernie próżny - odparła, ocierając załzawione policzki.

- Ja? Stary? Nie. Będę już zawsze młody. Ty natomiast wyglądasz fatalnie. Czy podróże były tego warte?

- Co wiesz o moich podróżach?

- To, że zniknąłem, nie oznacza, że straciłem kontakt ze światem - wyjaśnił Kissoon. - Wręcz przeciwnie, obserwowałem go bardzo uważnie. I otrzymałem doniesienia na twój temat z wielu nader interesujących zakątków. Czego tam szukałaś? Fletchera?

- Nie.

- Jego już nie ma, Teslo. Podobnie jak dżaffa. Ta część spraw została definitywnie zamknięta. To była prostsza epoka i podejrzewam, że dobrze się w niej czułaś, ale należy już do przeszłości.

- A co nastąpi po niej? - spytała.

- Wydaje mi się, że już wiesz. - Tesla nie odezwała się słowem. - Zbyttno się boisz, aby powiedzieć to głośno?

- Myślisz o Iadach?

- Właśnie. A więc przez cały czas wiedziałaś.

- Za mało się ich naoglądałaś? - rzuciła Tesla.

- Ty i ja widzieliśmy więcej niż inni. A zarazem nie widzieliśmy NIC. Zupełnie nic. - W jego głosie brzmiało podniecenie. - Oni zmienią świat nie do poznania.

- I ty chcesz tego?

- A ty nie? - spytał Kissoon. Zapomniała o jego niesamowitej sile perswazji i umiejętności wychwytywania tkwiących w jej sercu wątpliwości. - Ten chaos nie jest niczym dobrym, Teslo. Wszystko porozrywane. Wszystko potrzaskane. Trzeba ten świat znowu złożyć do kupy.

Jak wszyscy wielcy kłamcy, on również zawarł w tych słowach dostatecznie dużo prawdy, aby zabrzmiały idealnie prawdziwie i przekonująco.

- Niestety, gatunek nie jest w stanie uzdrowić sam siebie bez pewnej pomocy - ciągnął.

- Nie martw się, pomoc jest już w drodze.

- A kiedy przybędzie?

- Już ci mówiłem. Zmieni wszystko nie do poznania.

- Ale ty...
- Co „ja”?
- Co będziesz z tego miał?
- A, o to ci chodzi.
- Właśnie.
- Naturalnie zostanę królem wzgórza.
- *Plus ça change.*
- I posiadę Sztukę.

Ach, Sztuka! Prędzej czy później, zawsze wszystko sprowadzało się do niej.

- Będę żył w jednym nieśmiertelnym dniu...
- Brzmi pięknie. A co z resztą nas?

- Iadowie zadecydują. Oni zajmą się wami. Ot tak, po prostu. Wydaje mi się, że mają wielki apetyt na kobiety. Dziesięć lat temu przypuszczalnie zatrzymaliby was do celów reprodukcyjnych. Teraz, rzecz jasna, posłużycie im już tylko jako nawóz. - Wybuchnął śmiechem. - Nie martw się. Dopilnuję, abyś się nie zmarnowała.

Poczuła, że przy jej kostce coś się poruszyło i spuściła wzrok. Był tam liks, pięcio- lub sześciokrotnie większy od tych, które widziała wcześniej. Owinął się wokół jej stopy, unosząc jednocześnie głowę. W rozwartej paszczy widniały małe, szkarłatne zęby, osadzone w rzędach, których było tak wiele, że niknęły w głębi gardzieli stwora.

- Zaczekaj - powiedziała.

- Nie ma czasu - mruknął Kisooson. - Może jutro spotkamy się w przeszłości. Może odnajdę cię w Pętli i porozmawiamy o tym, jak dziś umarłaś.

Liks wspinał się w górę po jej nodze, coraz mocniej zacieśniając ucisk.

Krzyknęła i zatoczyła się w tył. Jej stopy zaplątały się w zwoje liksa. Przez chwilę chwiała się na nogach, po czym runęła ciężko, jakieś odłamki wbiły się w jej plecy. Na moment cały pokój stał się bielą i gdyby nie Raul wrzeszczący w jej głowie *trzymaj się, trzymaj się!* z pewnością straciłaby przytomność.

Kiedy biel się rozmyła, Tesla ujrzała przed sobą ruszt kominka. Liksy, które dotarły tam przed jej rozmową z Kisoosonem, ogrzewały się, a teraz odwróciły łebki w jej stronę. I ruszyły ku niej wijącą się strugą.

Próbowała usiąść, ale ich monstrualny krewniak owinął się wokół jej ciała, kompletnie ją unieruchamiając. Mogła liczyć tylko na Phoebe. Odwróciła głowę, szukając swej towarzyszki i wołając ją po imieniu. Bezskutecznie. Z wyjątkiem Kisoosona i jego żarłocznych potworów pokój był pusty.

Skierowała wzrok w stronę kominka i jakby nie dość było dla niej koszmarnych wrażeń, zorientowała się, co naprawdę robiły tam liksy. Nie ogrzewały się, lecz posilały. To, co wzięła za gałęzie, rozrzucone wokół kominka, było w rzeczywistości ludzkimi kośćmi, a kamień na ruszcie - czaszką. Erwin Toothaker nie opuścił swego domu, chyba że w postaci dymu.

Zaszlochała ze zgrozy. I w tej samej chwili liksy rzuciły się na nią.

## Rozdział XII

*Czy ona żyje?*

Erwin przykucnął obok kobiety leżącej na progu jego domu. Miała rozkrwawione czoło i ślady wymiocin na ustach, ale wciąż oddychała.

- Żyje - powiedział. - Nazywa się Phoebe Cobb.

Frontowe drzwi otworzyły się same. Powietrze wypływające z wnętrza domu cuchnęło fekaliami i mięsem. Mimo iż w obecnym stanie Erwin nie miał wiele do stracenia, był przerażony jak nigdy za życia. Obejrzał się do tyłu, gdzie stali towarzyszący mu Nordhoff, Dolan i Dickerson; na ich twarzach również dostrzegł niepewność.

- On nie może nam nic zrobić, prawda? - zapytał Erwin. - Teraz już nie.

Nordhoff wzruszył ramionami.

- Kto to wie, u licha - burknął.

- A jeżeli nas zobaczy? - wtrącił Dickerson.

- Nigdy się nie dowiemy, jeśli zostaniemy na progu - rzekł ze zniecierpliwieniem Dolan i przestąpiwszy Phoebe, wszedł do środka.

Erwinowi zrobiło się głupio. To wciąż był jego dom; jeśli ktokolwiek miał prowadzić ich małą grupkę, to właśnie on.

- Zaczekaj! - zawołał do Dolana i pospieszył za nim do sieni.

Liksów nie interesowało jej ciało (może było zbyt twarde i wysuszone po tylu latach wystawiania na słońce). Szukały nozdrzy i ust Tesli, dążyły ku oczom i uszom, aby dostać się do miękkich organów wewnątrz niej.

Miotła się i przewracała, zaciskając mocno wargi, by nie mogły wedrzeć się do jej ust, ale te drobniejsze zatkały jej nozdrza i za chwilę będzie się dusić. A kiedy zechce nabrać powietrza, wejdą w nią i to już będzie koniec.

*Tesla...*

- Nie teraz.

*To koniec, Tesla.*

- Nie.

*Chcę, żebyś wiedziała...*

- Nie, powiedziałam, nie!

Usłyszała, jak pochlipuje w jej głowie; to nie był całkiem ludzki dźwięk.

- Nie poddawaj się! - rozkazała. - T o j e s z c z e n i e k o n i e c .

Zduślił w sobie płacz, jednak poczuła jego przerażenie, przenikające ją aż do szpiku kości, jakby mimo wszystko dzielił z nią nie tylko umysł, ale i ciało.

A to był koniec, mimo iż nie chciała się z tym pogodzić. Musiała nabrać powietrza, i to teraz, albo nie zrobi tego już nigdy. Mimo że u jej warg czaiły się liksy tylko na to czekając. Nie miała wyboru. Rozchyliła usta i zaciskając zęby, spróbowała nabrać powietrza przez szpary. Jednak, tam gdzie mogło dostać się powietrze, mogły również wcisnąć się liksy. Czowała, jak wślizgują się w szczeliny, pod język i spływają jej do gardła.

Ciało odmówiło jej posłuszeństwa, zaczęła się krztusić i odruch przeważył nad siłą woli. Przestała zaciskać zęby. To było wszystko, czego potrzebowały liksy. W jednej sekundzie znalazły się w jej ustach, wypełniając je. Zaczęła gryźć, poczuła ich smak, smak odchodów i zgnilizny i wypluła, ile była w stanie. Tyle że na miejsce jednego wyplutego pojawiały się dwa nowe, pragnące wyžreć jej wnętrzości, pragnące na tyle, że nie lękały się zetknięcia z jej zębami.

Krztusząc się, plując, dławiąc i rzucając na ziemi walczyła, póki miała w sobie choć odrobinę sił, ale ta walka była nie do wygrania.

Miała zapchane gardło, zatkane nozdrza, a jej ciało opasywały miazdzące sploty wielkiego liksa.

Wreszcie, gdy była już o krok od utraty przytomności, usłyszała pod czaszką głos Raula: *Posłuchaj.*

Wyteżyła słuch. W pokoju rozbrzmiewały czyjeś głosy.

- Chryste Wszzechmogący! - wykrzyknął jeden z nich.

- Spójrz tam! W kominku!

Nagle rozległ się przeciągły jęk bólu i rozpacz i słysząc ów dźwięk zużyła resztki sił, by odwrócić głowę. Śmierć była blisko. Oczy Tesli, które widziały w życiu już wiele osobliwych rzeczy, lecz zawsze najbliższa im była rzeczywistość, teraz, w sytuacji ekstremalnej, bez trudu postrzegały bardziej subtelne zjawiska. Od drzwi zbliżało się czterech mężczyzn - wyglądali na bardzo przerażonych.

Jeden podszedł do kominka, dwóch pozostało nieco z tyłu. Czwarty, najstarszy, niech go Bóg błogosławi, przykląkł i wyciągnął rękę, aby dotknąć twarzy Tesli. Niewątpliwie chciał złagodzić jej przejście od życia do śmierci, ale widmowy dotyk sprawił coś jeszcze. Gdy ów mężczyzna jej dotknął, poczuła, jak liksy zaczynają wić się na jej twarzy niczym gąsienice rolnicy zbożówki, a potem roztapiają się i spływają jak woda po policzkach i szyi.

Spływały również z ust do gardła, jakby to dotknięcie okazało się zaraźliwe dla wszystkich liksów.

Na twarzy jej wybawcy pojawił się wyraz zaskoczenia, ale najwyraźniej mężczyzna w mig uświadomił sobie ogrom posiadanej mocy, bo kiedy tylko Tesla odetchnęła głęboko, skupił uwagę na węzowatej istocie, która unieruchamiała ją w swych splotach. Uniosła głowę z ziemi i ujrzała jak stwór wypręża się, sycząc niczym kobra przed atakiem. Widmo nie dało się zastraszyć. Wyciągnęło rękę i przesunęło nią po głowie liksa, nieomal pieszczotliwym gestem. Długie, błyszczące cielsko zadygotało, łeb opadł, odrażające sploty zaczęły zapadać się w siebie. Żuchwa potwora roztopiła się i spłynęła, jak melasa, w chwilę potem to samo stało się z górną szczęką; ich dezintegracja o kilka sekund poprzedziła rozpad reszty ciała. Tesla uwolniła się z lepkich resztek monstrum, a gdy się odwróciła, jej organizm dał o sobie znać i zwymiotowała plugastwo, które dostało się jej do gardła. Kiedy uniosła wzrok i otarła wargi, zjawy były już niewyraźne i rozmywały się coraz bardziej, w miarę jak oddalała się od nich.

Zostało jej tylko kilka chwil, aby to uporządkować.

- Kim jesteście?

Usłyszała cichy jak szept głos starego mężczyzny:

- Hubert Nordhoff - powiedział. - A to - wskazał na mężczyznę przy kominku - Erwin Toothaker.

Patrzyła na Erwina, kiedy rozległ się kolejny głos - tym razem dochodził z tyłu, zza niej:

- Kiedy nauczyłaś się przywoływać duchy?

W całym zamęcie zapomniała o Kissoonie, ale on nie zapomniał o niej. Kiedy nań spojrzała, wciąż był jeszcze zbyt zaskoczony tym, co przed chwilą zobaczył, aby odwrócić od siebie wzrok Tesli, toteż ponownie miała możliwość ujrzenia go w trakcie przemiany. Był bardziej nagi niż przed paroma minutami; dużo bardziej. Wszelkie podobieństwo do Raula przyszło. Prawdę mówiąc, niezbyt teraz przypominał człowieka. Z wirującego mroku wyłaniał się niewyraźny kształt głowy, do tego pozostałości żeber i kilka fragmentów kości kończyn. To wszystko.

Reszta - ścięgni, nerwy, żyły i krew, która w nich pulsowała - uległa całkowitemu rozkładowi.

*Wydaje mi się, że może on się ciebie boi* - rzekł Raul tonem pełnym zdziwienia.

Nie odważyła się w to uwierzyć. Nie on. Nie Kissoon. Był zbyt szalony, aby się bać.

*Spójrz na niebo* - polecił Raul.



- I co takiego miałabym ujrzeć?

*Wczuj się.*

Spojrzała, a Kissoon odezwał się ponownie:

- Igrałaś ze mną - zauważył, nieomal z podziwem. - Poddawałaś się liksom, aby udowodnić, że są dla ciebie niczym.

- Mniej więcej o to chodziło - mruknęła, wciąż starając się postępować wedle zaleceń Raula i dojrzeć to, co tak bardzo chciał jej pokazać.

- Gdzie nauczyłaś się przywoływać duchy?

- W Detroit - odrzekła.

- Drwiesz sobie ze mnie?

- Nie. Nauczyłam się przyzywać duchy w Motor City. Coś nie tak?

Kiedy mówiła te słowa, ostatnie fragmenty uzurpowanego przez Kissoona ciała przegniły i wraz z ich rozkładem dostrzegła to, co Raul ujrział już wcześniej. W środku spiralnej cieniojaźni Kissoona znajdowała się migocząca delikatnie druga postać. Spirala odsunęła się od niej niczym koniec tunelu, jej krzywizny uległy ściśnieniu. Na drugim końcu pokoju, gdzie nieodparcie podążyła spojrzeniem, coś migotało.

- Nie wiesz nawet, co zrobiłaś - wymamrotał Kissoon.

Jego głos przerwał skrzętną obserwację Tesli i ucieszyła się z tego. Spirala z niemałą mocą przykuła jej uwagę.

Co Kissoon chciał przez to powiedzieć? Czy ostrzegął ją przed przywoływaniem duchów, czy wpatrywaniem się w spiralę? Tesla nie wiedziała ani nie miała czasu, by go o to zapytać. Dopóki wierzył, że potrafiła przyzywać duchy i mogła zrobić mu coś złego, gdy był niemal bezbronny, miała szansę wydostać się z tego pokoju z życiem.

- Uważaj... - ciągnął Kissoon.

- Niby dlaczego? - spytała, spoglądając przez ramię na drzwi oddalone o jakieś sześć, może siedem kroków. Jeśli miała zachować pozory swej potęgi, musiała wyjść stąd bez wywinięcia orła, co stanowiło nie lada wyzwanie, gdyż nogi trzęsły się jej jak galareta.

- Jeśli mnie teraz zaatakujesz - on naprawdę jest teraz słaby, pomyślała - unicestwię, co do jednego, wszystkich mieszkańców tego miasta. Jeżeli tylko coś mi zrobisz... cokolwiek.

A więc tak zachowują się względem siebie dwie potęgi. Może wyciągnie z tej lekcji jakieś korzyści, jeśli będzie miała jeszcze kiedyś okazję posłużyć się wobec niego blefem.

Nie odpowiedziała; udawała, że zastanawia się nad tym, co usłyszała.

- Wiesz, że mogę to zrobić - rzekł Kissoon.

To prawda. Nie wątpiła, jest zdolny do najokrutniejszych czynów. Ale jeśli on również

blefował? Jeżeli w obecnym stanie był tak słaby, iż wystarczyło, aby sięgnęła w głąb tej wirującej ciemnej spirali i bez większego wysiłku mogłaby wydusić zeń resztkę życia?

*Nawet o tym nie myśl* - odezwał się Raul.

Bez wątpienia mądra rada. Ale Tesłę bardzo korciło, aby spróbować.

*Wynośmy się stąd, póki jeszcze możemy* - rzucił Raul. - *Tesla? Słyszysz mnie?*

- Tak... - odparła z wahaniem.

Wiedziała, że druga taka okazja może się już nie nadarzyć. Niemniej instynkt Raula był zwykle niezawodny. Należało wydostać się stąd, przeżyć, aby móc kontynuować walkę.

Przed wyjściem pozostała jej jeszcze do odegrania maleńka rólka.

Przykucnęła, choć nogi trzęsły się jej jak galareta i zagwizdała cichutko, niczym na niewidzialne psy. Odczekała chwilę, po czym uśmiechnęła się, witając z powrotem swe duchy i powoli wstała.

- Przemyśl to - powiedział Kissoon, kiedy odwróciła się, by odejść.

- Co?

- W gruncie rzeczy zbytnio się od siebie nie różnimy. Pragniesz objawienia. Ja również. Chcesz wstrząsnąć swoim gatunkiem. Ja także. Pragniesz potęgi i władzy - masz już odrobinę, ale trochę to zawsze za mało - i ja też. Wybraliśmy różne drogi, czyż jednak nie zmierzamy w to samo miejsce?

- Nie.

- A ja mam wrażenie, że tak. Może teraz to dla ciebie zbyt wiele, abyś mogła się przyznać, ale prędzej czy później sama do tego dojdiesz. A wtedy...

- Nie ma mowy.

- Wiedz, że w moim sercu zawsze jest dla ciebie miejsce. - Czy powiedział to celowo, kusząc ją, by wejrzała w głąb, do jądra spirali? Zastanawiała się, podczas gdy Kissoon dokończył: - I wydaje mi się, że ja mam już swoje miejsce w twoim.

*Nic nie mów* - mruknął Raul.

- Chcę mu powiedzieć, żeby się pierdolił.

*Wiem, ale wolałbym, abyś pozostawiła go w niepewności.*

Thumiąc w ustach ciętą ripostę, ruszyła ku drzwiom; odzyskała dość sił, by nogi jej nie zawiodły.

- Pozwól chociaż mu dociąć - rzuciła błagalnie.

*Nawet na niego nie patrz* - odparł Raul.

Usłuchała jego rady. Bez jednego słowa czy choćby spojrzenia otworzyła drzwi nieco szerzej i wyszła do chłodniejszego korytarzyka.

Phoebe siedziała na schodkach, kryjąc twarz w dłoniach. Tesla podeszła do niej, powiedziała kilka słów pocieszenia i pomogła jej wstać. Potem obie, słaniając się na nogach, skierowały się do furtki, dotarły do ulicy i ruszyły przed siebie, a gałęzie drzew nad nimi wzdychały, kołysane płynącym od górskich zboczy słodkim przyjemnym wietrzykiem.

## Rozdział XIII

### 1

Mniej więcej półtora kilometra od brzegu „Fanacapan” został schwytyany przez drugi prąd o niemałej sile i gwałtowności, który, zanim łódź nabrała szybkości i obrała własny kurs, przez dłuższą chwilę ciskał nią, jak papierowym okręcikiem. Fale gwałtownie się powiększyły, ku rozpaczycy Joego; łódź unosiła się wysoko w górę, trwała przez chwilę na szczycie spienionego grzywacza, skąd rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok na rozległy przestwór morza, by zaraz spaść jak kamień w uskok tak głęboki i mroczny, że wydawało się, iż każde z tych runień może okazać się dla żeglarzy ostatnim, gdy rozszalały żywioł lada chwila zamknie się na zawsze nad ich głowami. Tak się nie stało. Za każdym razem znowu się podnosili, mimo iż każda wręga łajby skrzypiała przejmująco, a pokład był zalewany wodą od dziobu po rufę.

W takich sytuacjach nie sposób było rozmawiać. Joe mógł jedynie trzymać się kurczowo framugi drzwi sterówki i mamrotać modlitwy. Minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz odmawiał *Ojcze Nasz*, ale słowa przypomniał sobie bez trudu i przyniosły mu one pocieszenie.

Może, pomyślał, jest nawet jakaś szansa, że zostaną wysłuchane. Myśl ta - którą jeszcze dzień wcześniej uznałby za naiwną - obecnie wcale nie wydawała mu się głupia.

Przekroczył próg, znalazł się na innej płaszczyźnie istnienia, w przestrzeni, która była jak drugi pokój w domu wielkości Kosmosu, oddalonym zaledwie o krok. Skoro istniały jedne takie drzwi, czemu nie miałyby ich być więcej? I dlaczego nie miałyby istnieć drzwi wiodące wprost do Nieba?

Przez całe dorosłe życie zapytywał, dlaczego. Dlaczego Bóg? Dlaczego sens? Dlaczego miłość? Teraz zrozumiał swój błąd. Pytanie nie powinno brzmieć - dlaczego; raczej - dlaczego nie?

Po raz pierwszy od dzieciństwa, odkąd babcia opowiadała mu jak bajki historie biblijne, ośmielił się uwierzyć i pomimo spienionych fal i mrocznego nieba wokoło, mimo iż był przemoczony do suchej nitki i ssało go w żołądku, czuł się dziwnie szczęśliwy.

Gdyby tylko była tu ze mną Phoebe, pomyślał, niczego by mi już nie brakowało.

Tesla odmówiła odpowiedzi na jakiekolwiek pytanie Phoebe, dopóki nie wymoczyła się przez kwadrans pod prysznicem i nie wyszorowała starannie każdego skrawka swego ciała, od stóp do głów, wciągając wodę do nosa i wydmuchując ją, aby oczyścić zatkałe kałem nozdrza; zużyła też pół tubki pasty do zębów i całą butelkę płynu do płukania ust, aby odkazić splugawione usta i gardło.

Po tym wszystkim stanęła przed lustrem i przyjrzała się własnemu ciału, najuważniej jak tylko była w stanie. Bez wątpienia wyglądała znacznie lepiej. Na jej skórze z trudem można by znaleźć skrawek powierzchni, którego nie zdobyłyby poźółkłe stare sińce i mieniące się wszystkimi kolorami tęczy nowe, niemniej na swój osobliwy sposób widok ten przypadł jej do gustu.

- Sporo przeżyłaś - powiedziała do swego odbicia. - To mi się podoba.

*Dopilnujmy, abyśmy pożyli nieco dłużej* - wtrącił Raul.

- Jakież błyskotliwe pomysły?

*Potrzebujemy pomocy, to pewne. I nie zaczynaj ze mną o Lucienie. On jest dla nas teraz bezużyteczny. Potrzebny nam ktoś, kto pomógłby nam się obronić. I nie chodzi mi tylko o spluwy.*

- Mówisz o magii.

*Właśnie.*

- Znam tylko jednego takiego człowieka. To D'Amour - powiedziała Tesla. - A Grillo twierdzi, że on nie żyje.

*Może Grillo nie szukał go jak należy.*

- Gdzie, twoim zdaniem, powinniśmy zacząć?

*Pracował z pewną kobietą medium, pamiętasz?*

- Nie za bardzo.

*Nazywała się Norma Paine.*

- Jak ty to wszystko możesz spamiętać?

*A co mogę robić innego, mając tyle wolnego czasu?*

Zastała Phoebe w kuchni, przy zmywarce, w otoczeniu stadka wijących się konwulsyjnie karaluchów. W dłoni trzymała puszkę z Raidem.

- Co za cholerstwa! - warknęła Phoebe, strącając dwa owady, które zdechły na blacie, na podłogę. - Roją się tam, gdzie jest ciepło. Czasami otwieram tę maszynię, a one rozpełzają się we wszystkie strony.

- Wygląda, że urządziłaś im niezły pogrom - powiedziała Tesla.

- Nie. Wróć. Lepiej się czujesz?

- O wiele. A ty?

- Wzięłam parę aspiryn. Odnoszę wrażenie, jakby lada moment miała mi pęknąć głowa, ale nic mi nie jest. Zaparzyłam miętówkę. Napijesz się?

- Wolalabym coś mocniejszego. Masz może brandy?

Phoebe wzięła filiżankę i przeszła do pokoju. Panował w nim chaos - wszędzie porozrzucone były czasopisma, z popielniczek wysypywały się niedopałki. Powietrze przesycała woń dymu papierosowego.

- Morton - napomknęła Phoebe mimochodem, jakby to wszystko wyjaśniało. Po chwili, przetrząsając zawartość barku, zwróciła się do Tesli. - Wiesz, w ogóle nie pamiętam, co wydarzyło się w domu Erwina

- Nie masz czego żałować.

- Pamiętam, jak szliśmy razem korytarzem. A potem przypominam sobie dopiero, jak ocknęłam się na stopniu przed wejściem. Znalazłaś Fletchera?

- Nie.

- Mam tylko bourbona. Mieliśmy brandy, która została z ubiegłych świąt, ale...

- Może być bourbon.

- Ale dom nie był pusty, prawda?

- Nie, nie był.

- Kto w nim był?

- Mężczyzna zwany Kissoonem.

- Czy to przyjaciel Fletchera? - spytała Phoebe. Nalała okazałą porcję bourbona i podała szklaneczkę Tesli. Ta upiła spory łyk, zanim odpowiedziała:

- Kissoon nie ma przyjaciół.

- To smutne.

- Uwierz mi. nie zasługuje na nich.

Bourbon prawie natychmiast wywarł piorunujący wpływ na jej mózg. Niemal czuła jak ingeruje w pracę szarych komórek, znacznie ją spowalniając. Było to przyjemne uczucie.

- Czy zegar na telewizorze dobrze chodzi? - spytała. Wskazywał trzecią pięć.

- Mniej więcej.

- Lepiej trochę się prześpijmy - zaproponowała nieco bełkotliwym głosem.

- Ten człowiek, Kissoon... - ciągnęła Phoebe.

- Pomówimy o tym jutro.

- Nie. Chcę wiedzieć już teraz - zaproponowała. - On nie przyjdzie tu za nami, prawda?

- Skąd, u licha, przyszło ci to do głowy?

- Pomyślałam o tym, kiedy cię zobaczyłam. Kiedy ujrzałam, w jakim jesteś stanie - wyjaśniła Phoebe. - Nieźle cię sponiewierał. Sądziłam, że może...

- Że może zechce to dokończyć?

- Właśnie.

- Nie, wydaje mi się, że możemy spać spokojnie. Zamierza złowić większą rybę. Sugeruję jednak, abyś jutro rano czym prędzej stąd wyjechała.

- Dlaczego?

- Bo to zły i podły skurwysyn, a jeżeli sprawy nie potoczą się po jego myśli, może zapragnąć obrócić całe to miasto w perzynę.

- Mógłby to zrobić?

- To bardzo prawdopodobne.

- Nie mogę wyjechać - odparła Phoebe.

- Z powodu Joego? - Phoebe skinęła głową. - On nieprędko wróci - ciągnęła Tesla. - Przez pewien czas musisz troszczyć się tylko o siebie.

- A jeśli on jednak wróci i dowie się, że wyjechałam?

- Pojedzie za tobą i w końcu cię odnajdzie.

- Wierzysz w to? Naprawdę? - spytała Phoebe, spoglądając na Teslę. - Wierzysz, że jeżeli mamy być razem, to prędzej czy później będziemy?

Tesla przez chwilę unikała jej wzroku, ale w końcu ich spojrzenia się spotkały. Kiedy to nastąpiło, uznała, że nie jest w stanie skłamać.

- Nie - odrzekła. - Nie wierzę w to. Chciałabym, ale nie wierzę.

Na tym rozmowa się urwała. Phoebe wróciła do łóżka, pozostawiając Teslę, by ułożyła się na tapczanie. Materac był w fatalnym stanie i cuchnął papierosami Mortona, ale Tesla czuła się zbyt zmęczona, by przejmować się takimi drobiazgami. Przyłożyła głowę do poduszki i zastanawiała się, czy wypity bourbon pozwoli jej zasnąć, kiedy nagle, zgoła niespodziewanie odplynęła do krainy sennych marzeń.

Na piętrze, w podwójnym łóżku, które tej nocy wydawało się jej dużo większe, aniżeli dzień wcześniej, Phoebe zwinęła się w kłębek, usiłując zapomnieć o tym, co przed chwilą usłyszała od Tesli. Tyle że te słowa nie chciały odejść. Podążały tropem nadziei, którą hołubiła w sobie tak pieczołowicie przez ostatnie dwie doby, i badały jej słabe strony, gotowe rzucić się i pożyć je w chwili, gdy Phoebe niebaczenie odwróci wzrok.

- Boże, Joe - powiedziała i rozpląkała się nagle. - Joe, Joe, Joe, gdzie jesteś?

### 3

Joe myślał już, że szkwał nigdy nie ustanie, a nieokiełznana furia morza rozniesie kadłub „Fanacapaną” w drobny mak, gdy nagle ogromne fale zaczęły maleć i niedługo potem prąd zniósł ich na znacznie spokojniejsze wody.

Noe rozkazał ochotnikom, aby sprawdzili stan wręg (był lepszy, niż Joe się tego spodziewał; nabierali wody w jednym tylko miejscu i przeciek okazał się niewielki), po czym na dziobie i rufie zapalono pochodnie i cała załoga mogła wreszcie trochę odsapnąć i odpocząć. Załoganci rozsiedli się na rufie i wszyscy jak jeden mąż pospuszczali głowy.

- Czy oni się modlą? - zwrócił się Joe do Noego.

- Niezupełnie.

- Chciałbym im podziękować za to, co dla nas zrobili - rzekł Joe.

- Nie zaprzętałbym sobie tym głowy.

- Ale ja naprawdę tego chcę - rzekł Joe z naciskiem.

Noe złapał go za ramię.

- Proszę, daj im spokój - powiedział.

Joe wyrwał mu się jednakże.

- O co chodzi, u licha! - warknął i podszedł do szóstki marynarzy. Żaden nie uniósł wzroku, by na niego spojrzeć.

- Chciałem wam tylko podziękować... - zaczął Joe, ale przerwał, gdy zrozumiał, w jakim byli stanie - dopiero teraz zdołał dostrzec szczegóły.

Kilku odniosło podczas sztormu poważne obrażenia, na ich korpusach i rękach ziały otwarte rany, twarze były posiniaczone, żaden jednak nie próbował opatrzeć skaleczeń. Krew spływała strużkami na mokry pokład, od czasu do czasu zaś ciałem któregoś z nich wstrząsał silniejszy dreszcz.

Joe, mocno poruszony, przykucnął obok żeglarzy. Dopiero teraz miał okazję przyjrzeć się im baczniej. Żaden nie wyglądał w pełni jak człowiek. W każdym z nich dostrzec można było szczegóły - fragment skóry lub oko - świadczące, że byli dziełem mieszanych związków - płynęła w nich krew *homo sapiens* oraz istot żyjących nad brzegami Quiddity lub w jego odmętach.

Powiódł wzrokiem po twarzach załogantów. Żaden z nich nie sprawiał wrażenia, aby cierpiał czy odczuwał jakikolwiek dyskomfort.



- Powinniście opatrzyć te skaleczenia - powiedział.

Nie uzyskał odpowiedzi. A wiedział, że żaden z nich nie był głuchy. Słyszeli polecenia wydawane przez Noego, nawet mimo ryku fal i skrzypienia wręg.

Mimo to nic nie wskazywało, aby zdawali sobie sprawę z obecności Joego czy zrozumieli wypowiedziane przezeń słowa.

Nagle zza jego pleców dobiegł głos.

- Nie miałem wyboru.

Joe obejrzał się przez ramię. Kilka kroków za nim stał Noe.

- Co im zrobiłeś?

- Przyjąłem na służbę - odparł Noe.

- Jak?

- Obłożyłem ich - jakbyś to mógł określić - dość silnym zaklęciem.

- Czary?

- Nie patrz na mnie tak pogardliwie. To zwykła praca. Potrzebowaliśmy ich usług, a ja nie mogłem tego zapewnić inaczej, niż w taki sposób.

- Czy ze mną postąpiłbyś tak samo, gdybym nie zgodził się przynieść cię tutaj?

- Wtedy, tam, po drugiej stronie, nie miałem dość sił. A gdyby nawet, stawilibyś mi większy opór niż oni wszyscy razem wzięci.

- Są bardzo poranieni.

- Widzę.

- Nie możesz ich obudzić? Przynajmniej, żeby mogli opatrzyć sobie rany.

- Po co?

- Bo w przeciwnym razie do końca życia pozostaną im blizny.

- Ich życie dobiegło końca, Joe.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Już mówiłem: są w mojej mocy. Przyjąłem ich na służbę. Dożywotnio. Wykorzystamy ich, aby dowieźli nas do domu, a potem - wruszył ramionami - staną się dla nas bezużyteczni.

- I co wtedy?

- Położą się i umrą.

- O Boże!

- Jak już wspomniałem, nie miałem wyboru. Jak inaczej moglibyśmy wydostać się z tamtego brzegu?

- Zabijasz ich.

- Oni nic nie czują. Nie pamiętają nawet, kim są.

- Czy mam dzięki temu czuć się lepiej? - spytał Joe. - Spójrz na mnie, Noe. Ten szajs z niewolnikami ani trochę mi się nie podoba. Obudź ich!

- Za późno.

- Przynajmniej spróbuj, do cholery! - krzyknął Joe i aż świerzbiły go palce, by zetrzeć z twarzy Noego ów wyraz udawanego żalu.

Tamten zdawał sobie z tego sprawę i cofnął się o kilka kroków.

- Jak dotąd szło nam całkiem nieźle - zwrócił się do Joego. - Nie kłóćmy się, nie psujmy tak wspaniałego układu partnerskiego.

- Układu partnerskiego? - zdziwił się Joe. - Nie zauważyłem między nami czegoś takiego. Ty chciałeś czegoś ode mnie. Ja chciałem czegoś od ciebie. Sprawa jest prosta.

- Świetnie - mruknął Noe. - Powiem ci coś, zrobię co w mojej mocy, aby odwrócić działanie zaklęcia.

- Doskonale.

- Wątpię, aby nam za to podziękowali, ale podejrzewam, że w twoim mniemaniu ważniejsza jest dla nich wolność, nawet gdyby miała stać się niewymownym cierpieniem. Mam rację?

- Oczywiście.

- Jeżeli ich uwolnię, zakładam, że nasza wcześniejsza umowa traci ważność...

- Co?

- Słyszałeś.

- Nie tak się umawialiśmy.

- Ale takie są warunki, które ci obecnie proponuję - odrzekł powoli Noe. - Wydajesz się tak niewzruszony w swojej prawości, że jestem pewien, iż przyjmiesz to z godnością. Chcesz uwolnić niewolników, zgadza się? - Spojrzał na niego i czekał. - Tak, Joe?

Po kilkusekundowym namyśle Joe pokręcił głową.

- Nie.

- Ale Joe, oni są podporządkowani mojej woli. Siedzą tu i krwawią kompletnie bezwolni. Chyba tego nie chcesz, prawda? - Odczekał jedno uderzenie serca. - A może chcesz?

Joe przeniósł wzrok na istoty siedzące na pokładzie; miał w głowie mętlik. Jeszcze przed chwilą jego myśli były starannie uporządkowane, ale Noe wprowadził w nie chaos. I dlaczego? Dla samej tylko przyjemności śledzenie jego zakłopotania.

- Przybyłem tu, ponieważ coś mi obiecałeś - powiedział.

- Tak było.
- Nie pozwolę, abys teraz złamał umowę i pozbawił mnie tego.
- Sam się tego pozbawiłeś, na własną prośbę.
- Na nic się jeszcze nie zgodziłem.
- Czy mam wobec tego przyjąć, że niewolnicy pozostaną w mej mocy?
- Na razie - odrzekł Joe. - Może sam ich uwolnię, kiedy już dostanę, co mi obiecałeś.
- Szlachetne postanowienie - odparł Noe. - Miejmy nadzieję, że pożyją dostatecznie

długo. - Podeszedł do sterburty. - A na razie - dodał - mam dla nich pewne zadanie. - Spojrzał na Joego, jakby spodziewał się sprzeciwu z jego strony. Nie doczekawszy się go jednak, uśmiechnął się pod nosem i wrócił na rufę, by przekazać polecenia załodze.

Joe, klnąc pod nosem, wyjrzał za burtę, by sprawdzić, jakie mieli problemy i ujrzał, że morze wokół łodzi pokrywały długie, cienkie wodorosty. Ich liście miały najjaśniejszy odcień żółci i zbite były w pęki, najmniejsze wielkości piłek futbolowych, największe zaś dwudziestokrotnie większe. Zielsko to opóźniało statek, ale niewolnicy znaleźli się już na dziobie, przegramolili przez nadburcie i opuścili się do wody, by uporać się z tym problemem. Płynąc wśród unoszących się na falach wodorostów, jęli je ciąć, dwóch maczetami, inni zaś kawałkami strzaskanej wręgi. Widząc, jak pracują, bez jednego słowa skargi. Joe z pewnym zakłopotaniem uznał, iż to może lepiej, że marynarze niczego nie odczuwali. Czekają ich iście herkulesowe zadanie, obszar wodorostów rozciągał się na długości dobrych dwustu metrów przed statkiem i z pewnością praca ta nadwyreży ich poranione kończyny. Dobrze choć, że wody poza rejonem żółtych chwastów wydawały się spokojne i czyste. Kiedy się tam już znajdą, załoga będzie mogła odpocząć. Może nawet znów spróbuje potargować się z Noem i nakłoni go do uwolnienia z mocy czaru najsłabszego z żeglarzy, aby mógł opatrzyć rany swoje i pozostałych.

Tymczasem Joe udał się do sterówki, zdejmując po drodze przemoczoną koszulę, którą powiesił na drzwiach, po czym usiadł, aby zastanowić się nad swą sytuacją. Od niedawna powietrze stało się kojące niczym balsam i mimo wcześniejszego ożywienia poczuł, że ogarnia go dziwne rozleniwienie. Oparł głowę na koi i zamknął oczy...

Phoebe, samotna w swym łóżku w Everville, zdołała wreszcie usnąć na wilgotnej od łez poduszce i odeszła w krainę zapomnienia. Śniła rzecz jasna o Joem. Jeśli nie o nim z krwi i kości, to przynajmniej o jego obecności. Odplynęła do miejsca wypełnionego mgłą, ze świadomością, że Joe jest niedaleko niej, ale nie mogła go dostrzec. Spróbowała go zawołać, lecz mgła zdusiła jej krzyk. Spróbowała ponownie i jeszcze raz aż w końcu jej wysiłki zostały

nagrodzone. Pojedyncza sylaba wypływając z jej ust zdawała się rozdzielać mgłę, poszukując odbiorcy wśród białej nicości.

Phoebe nie spasowała. Nawoływała go raz po raz.

- *Joe... Joe... Joe...*

Joe, leżąc w kajucie „Fanacapaną”, usłyszał we śnie swoje imię. Ktoś go wołał. Nieomal się obudził, sądząc, że wzywa go ktoś ze świata jawy, kiedy jednak zaczął z wolna otrząsać się z drzemki, wołanie znacznie przycichło; pozwolił zatem, by znużenie ponownie przeniosło go do krainy marzeń.

Głos zabrzmiał ponownie i tym razem Joe rozpoznał go.

Phoebe! To Phoebe próbowała go odnaleźć.

Chciał jej odpowiedzieć, ale znowu go ubiegła.

- Gdzie jesteś, Joe? - zawołała.

- Tutaj - odparł. - Słyszę cię. A czy ty mnie słyszysz?

- O Boże! - szepnęła, zdumiona tym, czego doświadczyła. - Czy to naprawdę ty?

- Tak to naprawdę ja.

- Gdzie jesteś?

- Na statku.

- Na statku? - pomyślała. Co on, do cholery, robi na jakimś statku? Czyżby zbiegł do Portland i tam dostał się na pokład pierwszego lepszego okrętu towarowego?

- Zostawiłeś mnie - powiedziała.

- Nie. Nie zostawiłem. Przysięgam.

- Łatwo ci mówić... - mruknęła głosem zniekształconym przez łzy. - Zostałam sama, Joe...

- Nie płacz.

- I tak bardzo się boję...

- Posłuchaj - rzekł półgłosem - czy śniesz?

Zastanowiła się przez chwilę

- Tak - odparła - śpię. I śnię.

- Wobec tego może wcale nie jesteśmy tak daleko od siebie. Może moglibyśmy odnaleźć się nawzajem.

- Gdzie?

- W morzu. W morzu snów.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.
- Trzymaj się - powiedział. - Słuchaj mego głosu i idź za nim. Doprowadzę cię tutaj.

Nie śmiał się obudzić. Był pewien, że jeśli to zrobi, kontakt między nimi zostanie zerwany, a Phoebe podda się rozpacz (była tego bliska; słyszał to w jej głosie) i być może nie zechce poszukiwać go dłużej. Musiał podążyć bardzo wąską ścieżką, ścieżką biegnącą między stanem snu, który był zapomnieniem i światem jawy, gdzie utraciłby kontakt z Phoebe. Musiał znaleźć jakiś sposób, by przejść po materialnym pokładzie tej materialnej łodzi, nie budząc się i zanurzyć się w falach Quiddity, gdzie być może paradoks śnienia z otwartymi oczyma będzie miał rację bytu, a wówczas przywoła Phoebe do siebie.

- Joe?
- Zaczekaj na mnie - wyszeptał.
- Nie mogę. Oszaleję.
- Nie oszalejesz. Tyle tylko, że sprawy przedstawiają się dziwniej, niż się nam wydawało.
- Boję się...
- Nie musisz.
- Boję się, że umrę i już cię więcej nie zobaczę.
- Zobaczysz mnie. Tylko nie trać wiary, Phoebe. Trzymaj się. Już wkrótce mnie ujrzysz.

Poczuł, jak drzwi kajuty ocierają się o jego ramię, a pod nogami miał stopnie zejściówki prowadzącej na pokład. Na samym szczycie potknął się i o mało nie otworzył oczu, ale całkiem przypadkowo Phoebe znowu go zawołała i jej głos pomógł mu utrzymać stan słodkiego uśpienia.

Skręcił w prawo. Zrobił dwa, trzy, cztery kroki, dopóki nie poczuł, że dotyka nogami okrężnicy statku. Wtedy wyskoczył za burtę.

Woda była zimna, szok obudził go w jednej chwili. Otworzył oczy i ujrzał dookoła falujące gąszcz wodorostów, pośród ich liści pływały ryby, maleńkie, jak te, które połykał na plaży. Przeklinając powrót do świata jawy, uniósł wzrok w górę, ku powierzchni i ponownie usłyszał wołanie Phoebe.

- Joe? - W jej głosie nie pobrzmiwała już rozpacz, lecz wyraźne podniecenie. Schwycił pęk wodorostów, jakby nie chciał wypłynąć na powierzchnię.
- Jestem tu, pomyślał. Słyszysz mnie?

Początkowo nie uzyskał odpowiedzi i zaczął się obawiać, że jej głos był wspomnieniem minionego kontaktu. Ale nie. Odezwała się ponownie. Półgłosem.

- Słyszę cię.

Zupełnie jakby jej głos rozlegał się w wodzie dookoła niego. Sylaby zdawały się pieścić mu twarz.

- Zostań tam, gdzie jesteś - powiedziała.

- Nigdzie się nie wybieram - zapewnił. Wydawało się, że nie musi wcale oddychać, jak gdyby woda dostarczała mu powietrza wprost przez skórę. Nie czuł bólu w piersiach ani paniki, jedynie dogłębną radość. Obudził się w głębinie, gdy rozdzielał pasma wodorostów, by odszukać Phoebe wzrokiem. Ryby nie bały się go; śmigały mu wokół twarzy, ocierały o plecy i brzuch, igrały między nogami. I nagle z gąszczu na prawo wyłonił się znajomy kształt. Nie Phoebe, lecz zehrapushu, duch-pilot. Joe poczuł na sobie spojrzenie złotych oczu. Znieruchomiał na chwilę, aby 'shu mógł lepiej mu się przyjrzeć. Stwór opłynął go raz, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, po czym powtórzył to w przeciwną stronę, i jeszcze raz, zatrzymując się dokładnie w tym samym miejscu, przed jego twarzą.

Owo stworzenie знаło go, był o tym przekonany. Świadczył o tym sposób, w jaki wielkie oko przekrzywiło się w oczodole, spoglądając w jego twarz, jak bez cienia lęku musnęło mackami policzek albo jak bawiło się palcami, jakby chciało, by je pogłaskał - oznaki były ewidentne. Stwór poznał go. A skoro nie był to ten sam 'shu, którego Joe wziął do rąk na brzegu (szansa na to musiała wynosić chyba miliard do jednego!), zatem musiał zgodzić się z tym, co o 'shu opowiadał mu Noe i uznać, że jednak to wszystko prawda. Nie stanowiły mnóstwo umysłów lecz jeden, i ta istota znała Joego, ponieważ widziała go oczyma brata lub siostry.

Nagle 'shu odplynął. Joe patrzył, jak przecina wodę i zwinnymi ruchami ciała prześlizguje się przez kępę wodorostów, a potem znika. Zarośla dookoła zachwiały się i znów usłyszał Phoebe wołającą go po imieniu, ale jej głos brzmiał tym razem jak szept. Odwrócił nieco głowę w lewo i...

Był tu, o kilka stóp dalej, patrzył na nią, pływając w gęstej od wodorostów wodzie. Nawet teraz Phoebe nie wiedziała, jak się tu dostała. W jednej chwili zatraciła się we mgle, słysząc głos Joego, lecz nie mogąc doń dotrzeć, w następnej zaś naga staczała się po zboczu do Potoku Ungera. Poziom wody był wysoki, prąd silny i fale natychmiast porwały ją ze sobą. Prawie nie zdawała sobie sprawy, że to wszystko jest prozaicznym wytworem jej umysłu; sposobem przyłączenia obrazów do podróży, w jaką wybrała się jej dusza. Kiedy jednak nowa

myśl zakiełkowała w głowie Phoebe, niebo w górze stało się bezkresne, mroczne i osobliwe, a Potok Ungera zniknął, ona zaś znalazła się na dużo rozleglejszych wodach.

Zanurzała się coraz głębiej w falach morza snów. I choć czuła pieszczotę prądów i widziała ławice ryb, które niczym roziskrzone woale rozsuwały się przed nią na boki - a co za tym idzie wiedziała, iż wszystko to nie jest jedynie wytworem wyobraźni, nie obawiała się, że utonie. Prawa więżąca jej ciało w świecie, jaki opuściła, tutaj nie obowiązywały. Poruszała się z niewiarygodną łatwością, mijając miejsca, których tajemnic nawet nie próbowała zgłębiać, największa zagadka zaś czekała na nią u kresu podróży, w postaci mężczyzny, którego widziała ostatnio, jak utykając wychodził z mieszkania w Everville.

- To naprawdę ty! - powiedziała, rozkładając szeroko ramiona.

Wypłynął jej na spotkanie, w głowie słyszała jego głos jak od początku tej niezwyklej podróży.

- Tak, to naprawdę ja. - I Joe objął ją mocno.

- Mówiłeś, że jesteś na statku.

Polecił, by spojrzała w górę, gdzie majaczył ogromny, czarny cień.

- To właśnie on - powiedział.

- Mogę popłynąć z tobą? - zapytała, choć znała już odpowiedź.

- To wszystko tylko ci się śni - wyjaśnił - kiedy się obudzisz...

- Będę w swoim łóżku?

- Tak.

Uścisnęła go mocniej.

- A więc się nie obudzę - oznajmiła. - Zostanę z tobą, dopóki ty również się nie obudzisz.

- To nie takie proste - mruknął. - Właśnie wyruszyłem w drogę...

- Dokąd?

- Nie wiem.

- W takim razie czemu w ogóle zdecydowałeś się na tę podróż? Dlaczego po prostu nie powiesz mi, gdzie śpisz, a ja przyjdę i odnajdę cię?

- Phoebe, ja nie śpię.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To ja. - Dotknął jej twarzy. - Prawdziwy ja. Ty śniesz, ale ja nie. Jestem tu ciałem i duchem.

- To nieprawda - szepnęła zdezorientowana.

- Prawda. Przeszedłem przez drzwi i znalazłem się w innym świecie.

- Jakie drzwi?

- Na górze.

Mięśnie jej twarzy zwiotczały; wbiła wzrok w falujące wodorosty.

- A więc to prawda - rzekła - Quiddity istnieje.

- Skąd znasz tę nazwę?

- Od kobiety, którą spotkałam... - odparła z wyraźnym wahaniem.

- Jakiej znowu kobiety?

- Tesli... Tesli Bombeck. Jest teraz na dole... Myślałam, że jest nienormalna.

- Jaka by nie była - powiedział Joe - na pewno nie jest obłąkana Wszystko jest dziwniejsze, niż nam się wydawało, Phoebe. Bardziej niż mogło się nam kiedykolwiek zamarzyć.

- Chcę być z tobą - szepnęła, unosząc dłonie do twarzy.

- Jesteś.

- Nie. Tak naprawdę z tobą.

- Wrócę - pocieszył ją Joe. - Prędzej czy później. - Pocałował ją. - Będzie dobrze.

- Opowiedz mi o tych drzwiach, Joe - poprosiła Phoebe.

W odpowiedzi pocałował ją raz jeszcze i rozchyliła usta, aby wpuścić jego język pomiędzy wargi; przez cały czas mówiła w myślach:

- Drzwi, Joe...

- Nie zbliżaj się do nich - zagroził, gdy ich twarze się zetknęły. - Po prostu bądź przy mnie. Tu i teraz. Bądź blisko. O Boże... Phoebe... Kocham cię. - Ucałował jej policzki i oczy, przesunął palcami po włosach.

- Ja też cię kocham - zapewniła. - I bardziej niż czegokolwiek pragnę, abyśmy byli razem. Bardziej niż czegokolwiek, Joe.

- Będziemy. Będziemy - zapewnił ją z przekonaniem. - Nie mogę bez ciebie żyć, maleńka. Przecież ci to mówiłem, prawda?

- Mów to. Powtarzaj mi to. Chcę wiedzieć.

- Zrobię coś więcej, słowa to dla nas zbyt mało. - Powiódł dłońmi w dół jej ramion i dotknął piersi. - Piękne - szepnął.

Prawa dłoń Joego ześlizgnęła się po brzuchu Phoebe, pomiędzy jej uda. Lekko uniosła kolana Zaczął muskać palcami jej seks. Westchnęła i nachyliła się, aby go pocałować.

- Chciałabym tu zostać - wyznała. - Chciałabym zasnąć na zawsze i po prostu zostać tu, z tobą.

Osunął się w dół, całując namiętnie jej szyję, piersi, brzuch, dopóki nie dotknął



wargami miejsc, których przed chwilą dotykał palcami i wsunął między nie język. Rozchyliła nogi nieco szerzej i przyjął tę oznakę jej oddania, napierając dłońmi na jej kolana, rozsuwając je jeszcze bardziej, by zanurzyć twarz w jej łono.

Wodorosty zdawały się wyczuwać namiętność i podnieciło je to. Ich pofalowane łodygi pieściły ciało Phoebe z całą ich żarliwością i oddaniem. Cztery czy pięć otoczyło jej twarz niczym zalotnicy, oczekując zaproszenia do ust, podczas gdy inne przesunęły się po plecach w górę i w dół, w szczelinę między pośladkami.

Zaczęła pojękiwać z rozkoszy i sięgnęła dłońmi w lewo i w prawo, by schwycić pęki wodorostów. Natychmiast odpowiedziały na wezwanie, owijając się wokół łokci i nadgarstków i skutecznie je unieruchamiając, po czym jęły muskać ciało Phoebe z nowym zapalem; żółtawe pasemka delikatne i wiotkie, opadały na jej nagie plecy jak miękkie bicze pobudzając senną skórę, jej widmową skórę, i dostarczając nowej rozkoszy.

Przez cały czas Joe lizał ją i sondował z zapalem, a z każdą jego pieszczotą czuła jak od stóp do głów ogarnia ją nowa fala doznań, rozchodząca się dokoła z jej wnętrza, przenikająca kłębowisko wodorostów; czuła jak kontury jej ciała zacierają się, rozmywają, jakby ona, woda i wodorosty nie różniły się zbyt od siebie. Nie było w tym nic nieprzyjemnego czy niepokojącego. Wręcz przeciwnie. Im bardziej się rozszerzała tym więcej odczuwała rozkoszy. Jej doznania docierały w głąb łodyg, pąków i falującego żywiołu, wśród którego się znajdowała, by wrócić potem do miękkiego naczynia jej ciała, a ono z kolei powiększało się, by móc pomieścić ów ogrom uczuć i w ten oto sposób ciało Phoebe i jej doznania narastały, stymulując się wzajemnie.

Uniosła wzrok w górę, ku powierzchni morza snów i ciemnemu kształtowi łodzi powyżej. Ujrzała w wodzie postacie wyrabujące drogę wśród wodorostów, aby łódź mogła przez nie przepłynąć. Pragnęła przywołać tamte istoty, by mogły wraz z nią dzielić ową niewysłowioną rozkosz - poczuć to samo co ona i napawać się tym; obserwować, jak rozpływają się w błogim zapamiętaniu i otwierają się dla niej.

Myśli te nieco Phoebe zawstydyły; zaledwie parę chwil temu doświadczała najbardziej intymnego zespolenia z Joem, teraz zaś pragnęła zaprosić każdego, kto znajdował się w pobliżu, aby przyłączył się do zabawy - nic jednak nie mogła na to poradzić. Jej rozkosz nie należała tylko do niej, nie mogła być ograniczana, sterowana, wymieniana czy odsprzedawana. Przenikała ją i zniknęła, istniejąc tak długo, jak długo trwa westchnienie, miłosny dreszcz, czy przyjemne, namiętne popołudnie.

To było częścią istnienia, jak łzy i głód, i zważywszy, że jej jaźń poprzez wodę połączona była we wszystkim z wodą, wodorostami i mężczyznami z łodzi powyżej - czyż

miała prawo odmówić im rozkoszy, która emanowała z niej falami, skoro oddawała ją za darmo?

Podczas gdy w jej umyśle pojawiła się ta wizja rozkosznego zapomnienia, spojrzała na Joego poprzez falujące woale wodorostów, wciąż pieszczących jej twarz. Och, jakież był piękny. Jego ciało, kości, sińce i krew.

Najwyraźniej wyczuł, że Phoebe go obserwuje i spojrzał na nią. Uśmiechnęła się do niego, czując się w tej chwili niczym morska bogini w swej świątyni, podczas gdy on, jej wyznawca, dźwigał się z ciemności, aby z niej jeść i pić.

Łodygi pochwyciły go, podobnie jak ją przed chwilą. Owinęły się wokół jego kończyn, przywierając do pleców i pośladków z tą samą bezwstydną, jaką wykazywały wobec niej. Uznała, że dalsze ich powstrzymywanie miało się z celem.

Rozluźniła całe ciało i w mgnieniu oka wpłynęły w głąb niej, do ust, gardła i trzewi, rozwarły nawet jej wargi sromowe, aby dać ustom Joego lepszy do niej dostęp.

Fala niesamowitych doznań o mało nie unicestwiła Phoebe. Przez chwilę wydawało się, iż jej ciało utraciło spójność, rozszczępiło się na przesycone rozkoszą warstwy, otwierając wszystkie pory i pozwalając, by woda i wszystko, co się w niej znajdowało, wdarło się w nią brutalnie, rozpuszczając senną materię kości.

Och, jakież to było cudowne. Powiększyła się cała, by móc wchłonąć w siebie wszystko, co kołysało się i wirowało wokół niej. Była obecna w wodzie, łodygach i pąkach; unosiła się ku łodzi i opadała w mroczną otchłań. Obejmowała Joego jak nigdy dotąd, otaczając go swą świadomością ze wszystkich stron. Drażniła jego odbył pod postacią pąków, pragnęła wejść w niego tak, jak penetrowana była ona sama; unieruchomiła jego ręce i nogi, oplótła je nie kończącymi się zwojami tak ciasno, że czuła pulsowanie jego żył, musnęła plecy i dotknęła pieszczotliwie piersi oraz krocza, gdzie woda pociemniała od krwi. Był ranny, nie ulegało wątpliwości, lecz nie na tyle, aby nie mógł odczuć podniecenia i mieć wzwołu. Poczula i zobaczyła jego organ, nabrzmiąły, widoczny poprzez spodnie, oczekujący na uwolnienie.

Gdyby nie wspomnienie ich wcześniejszego seksu - którego szczegółów nigdy już nie zapomni - Phoebe mogłaby pozwolić, aby jej ciało rozpuściło się zupełnie. Jednakże obietnica ponownego zaznania tego intymnego zespolenia, choćby tylko ten jedyny raz, powstrzymywała ją przed zlanie się w jeden niemożliwy do rozpoznania, miłosny uścisk.

Może jutro lub pojutrze definitywnie rozstanie się z ciałem, przestanie istnieć, a raczej zjednoczy się ze wszystkim. Zanim to jednak nastąpi, zanim jej ciało rozplynie się i połączy z resztą świata, pragnęła choć przez chwilę dłużej cieszyć się rzeczami materialnymi, przede

wszystkim zaś pragnęła znów poczuć w sobie Joego.

Uwolniła ręce z płataniny wodorostów i sięgnęła w dół, by ująć jego głowę. Znów na nią spojrział, ale teraz wzrok miał tak mętny, że nie wiedziała, czy w ogóle ją widział. Nagle w jego oczach rozbłysły wesołe iskierki, uśmiechnął się i uwolniwszy się od krępujących go pędów, wspiał się po jej ciele w górę aż znaleźli się twarzą w twarz, usta w usta. Zastanawiała się, czy wiedział, co działo się z nią w ciągu tych ostatnich paru chwil. Chyba nie, bo kiedy znów usłyszała pod czaszką jego głos, powtarzający, że ją kocha, odniosła wrażenie, jakby podjął monolog w miejscu, gdzie go przerwał.

- Nie możesz zostać - powiedział. - Prędzej czy później obudzisz się, a wtedy...

- Przybędę i znajdę cię.

Przyłożył palec wskazujący do jej warg, mimo iż nie otwierała ich przy mówieniu.

- Nie zbliżaj się do drzwi - polecił. - To niebezpieczne. Ma przez nie przejść coś potwornego. To się zbliża. Rozumiesz mnie? Proszę, Phoebe, powiedz, rozumiesz mnie?

- Co ma przejść przez te drzwi? - zapytała. - Powiedz mi.

- Iadowie - odrzekł krótko. - Iad Uroboros.

Przesunął dłoń od warg na szyję Phoebe i przytrzymał mocno.

- Chcę, abys mi obiecała, że będziesz trzymać się z dala od drzwi - oświadczył.

Wysunęła język spomiędzy warg. Nie zamierzała niczego obiecywać.

- Phoebe - jęknął Joe, ale nim zdążył powiedzieć coś więcej, przyłgnęła do niego z taką żarliwością, że kompletnie zbiła go z tropu.

Kocham cię, pomyślała. I chcę cię w sobie.

Nie potrzebował powtórnego zaproszenia. Poczuła, jak rozpina pasek, a potem spróbował w nią wejść. Jednak sprawiało mu to ból; skrzywił się i przestał się poruszać, nawet jej już nie całował.

- Nic ci nie jest? - zapytała.

- Twój cholerny mężulek - burknął półgłosem, z trudem chwytając powietrze. - Nie wiem... nie wiem... czy mogę... to zrobić.

- W porządku.

- Chryste, ależ boli.

- Powiedziałam, w porządku.

- Chcę skończyć to, co zacząłem - zaoponował i znów zaczął w nią się wdzierać.

Phoebe popatrzyła w dół. Woda pomiędzy nimi zabarwiła się czerwienią; krwawił - i to bardzo.

- Przestańmy - zaproponowała.

Twarz Joego nabrała zwierzęcego wyrazu, zęby miał zaciśnięte, zmarszczone czoło.

- Chcę skończyć - wyszeptał. - Chcę...

Nagle padł na nich cień. Phoebe spojrzała w górę i ujrzała, że ktoś wychyla się przez burtę łodzi, wskazując na wodę. Usłyszała czyjś głos? Wydawało jej się, że tak.

Dwóch mężczyzn walczących z wodorostami przerwało pracę i zanurkowało w kłębowisko morskiego zielska. Nie miała wątpliwości, co było ich celem. Mieli uratować Joego.

Nie widział ich. Był zbyt pochłonięty Phoebe; pomimo bólu malującego się na twarzy raz po raz, z uporem, próbował w nią wejść.

- Joe... - wyszeptała.

- Już dobrze - odparł w myślach. - Trochę boli, ale...

- Otwórz oczy, Joe. - Otworzył je. - Idą po ciebie.

Uniósł wzrok i choć starał się przegnać precz ratowników, albo uznali jego gesty za błagalne, albo w ogóle nie zwrócili na nie uwagi.

Raczej to drugie - osądziła Phoebe, dostrzegając ich twarze. Wyglądali dziwnie, ale to nie ich odmienność zmroziła ją do szpiku kości, tylko absolutna obojętność. Nie chciała, aby Joe został jej odebrany przez te upiorne istoty o beznamiętnych twarzach. Przytuliła go mocniej.

- Nie odchodź! - poprosiła.

- Nic z tego - wymamrotał pod nosem. - Jestem tutaj, dziecinko. Jestem tu.

- Oni cię zabiorą.

- Nie. Nie pozwolę im. - Wysunął się z niej prawie do końca, po czym wolno, bardzo wolno wszedł w nią ponownie, jakby mieli na to całą wieczność.

- Zostaniemy razem, dopóki nie skończymy - zapewnił Phoebe.

W tej samej chwili pochwycili go ratownicy.

Czyżby była niewidzialna dla nich wszystkich z wyjątkiem mężczyzny, który ją tu sprowadził? Najwyraźniej tak, bowiem żaden z przybyłych nie próbował oderwać Phoebe od niego. Po prostu zaczęli go ciągnąć, jakby padł jedynie ofiarą wodorostów.

Joe nie miał wyboru, musiał zostawić Phoebe, aby się od nich uwolnić. Jednak w tej samej chwili tamci przestali bawić się w konwenanse. Został brutalnie szarpnięty w górę, poprzez ramiona Phoebe; kiedy z niej wyszedł, z jego krocza buchnęła wielka chmura krwi. Przez chwilę straciła go z oczu w pociemniałej wodzie. Mogła jedynie zawołać do niego, próbować połączyć się z jego umysłem.

- Joe! Joe!

Odpowiedział, ale jego głos był zupełnie pozbawiony siły.

- Nie... - jęknęła. - Nie chcę... nie chcę...

Zaczęła miotać się po omacku, w nadziei, że złapie go za nogę lub kostkę i nie dopuści, aby go zabrali, lecz uniemożliwiły jej to wodorosty, a zanim woda stała się znów przejrzysta, ciało Joego znalazło się już poza zasięgiem Phoebe.

- Słyszysz mnie, Joe? - zaszlochła.

To, co usłyszała w głowie, nie było słowami, ani nawet jękiem, lecz odgłosem, jaki wydaje gaz uciekający z sykiem przez nieszczelny przewód.

- Boże, Joe! - jęknęła i zaczęła znów walczyć z wodorostami, starając się wypłynąć na powierzchnię. Nagle stwierdziła, że pożądanie, jakie zaledwie przed chwilą żywiły wobec niej, zmieniło się w istny koszmar. Napierały na otwory jej ciała z tą samą co poprzednio natarczywością, paki falowały, wdzierając się do jej ust i strzykając do gardła gorzkim płynem.

Zadrzała od stóp do głów. całym jej ciałem targnęły konwulsje. Gdzieś w oddali rozległy się inne odgłosy - gwar rozmów, śmiech dzieci. Czyżby dobiegały ze statku?

Nie. Nie ze statku. Ze świata. Dochodziły ze świata. Był już ranek. Poranek festynu i ludzie przygotowywali się do nadchodzącej imprezy.

- Nie wpadaj w panikę - powiedziała sobie w duchu Phoebe i na parę chwil zaprzestała oporu, aby odzyskać kontrolę nad ciałem.

Spazmatyczne skurcze zelzały, dźwięki oddaliły się nieznacznie. Wolno, bardzo wolno zaczęła wypatrywać Joego. Ujrzała, że wraz z ratownikami dotarł już na powierzchnię. Inni żeglarze wychylali się przez burtę łodzi, aby wyciągnąć go z wody. Błyskawicznie zorientowała się, dlaczego jej nie odpowiedział. Był kompletnie bezwładny, jego ramiona zwisały luźno wzdłuż boków.

Przeszył ją dreszcz zgrozy.

- Tylko nie umieraj! - wyszeptwała. - Boże, proszę, spraw, aby nie był martwy.

Spomiędzy jego ud wypływała krew, czerwona kałuża rozlewała się wolno na powierzchni morza.

- Joe - powiedziała Phoebe - nie wiem czy mnie słyszysz... Nasłuchiwała w nadziei, że uzyska odpowiedź; bez rezultatu. - Chcę, żebyś wiedział, że dotrę tu i odnajdę cię. Wiem, że mi tego zabraniałeś, ale zrobię to. Odnajdę cię, a potem...

Urwała, gdy kompletnie zdezorientowana ujrzała, jak jedna z istot przechyla się nad burtą statku, dając znaki ratownikom. Zagadka została rozwiązana w chwilę później. Bezceremonialnie puścili ciało, oddając Joego żywiołowi, któremu go wcześniej wyrwali.

- Nie! - krzyknęła Phoebe, widząc, że potwierdziły się jej najgorsze obawy.

Tym razem nie była w stanie kontrolować spazmów. Konwulsyjne skurcze targały nią od stóp do głów. I kiedy pojawiły się spazmy, równocześnie nastąpił dzień, który tak rozpaczliwie starała się odsunąć, a wraz z nim śmiech, światło i cała reszta. Poczula pod sobą gruby, niewygodny materac; poczuła woń panującą w pomieszczeniu.

Nawet teraz próbowała stawić opór jawie. Gdyby tylko zdołała pochwycić ciało Joego - powstrzymać przed opadnięciem w mroczną otchłań - może uczyniłaby dla niego jakiś cud. Tchnęłaby weń ostatni senny oddech i uchroniła przed odejściem w zapomnienie.

Zaczęła sięgać w górę, ku tonącemu - dzień dopadł ją bezlitośnie, zostało jej zaledwie kilka sekund - i nagle palce Phoebe pochwyciły nogawkę jego spodni. Przyciągnęła Joego do siebie. Miał otwarte usta i zamknięte oczy. Przypominał trupa bardziej niż Morton.

- Nie, kochany - powiedziała doń, co miało oznaczać: - „Nie poddawaj się, nie umieraj, nie zostawiaj mnie”.

Puściła spodnie i ujęła głowę tonącego, ułożyła dłonie po obu stronach twarzy Joego i przytknęła wargi do jego ust. Poddawał się jej z przerażającą bezsilnością, ale to jej nie zniechęciło. Ich usta zetknęły się, a wtedy wypowiedziała jego imię, jak przywołujące zaklęcie - Joe!

Miała w oczach światło. Nie mogła się dłużej opierać.

Joe!

Otworzyła oczy. I w tej samej chwili, na moment przed tym, jak morze, wodorosty i jej kochanek zniknęli, ujrzała lub może wydawało się jej, że zobaczyła, jak jego powieki zatrzepotały, jakby wypowiedziane zaklęcie obudziło tkwiący gdzieś wewnątrz Joego drobnutki okruch życia.

A potem Phoebe się obudziła i nie mogła już tego potwierdzić.

Spojrzała przez zmrużone powieki na promień światła przenikający przez szczelinę między zasłonami. Pościel wokół skotłowana była niczym wodorosty w chwili, gdy Phoebe przeżywała swą intymną ekstazę, poduszka stała się wilgotna od potu. Wszystko, czego doświadczyła, było snem, ale zdawała sobie sprawę, iż nie był to sen zwyczajny. Podczas gdy tu jej ciało przewracało się i oblewało potem, jej dusza znajdowała się w zupełnie innym miejscu, równie realnym jak łóżko, na którym leżała.

To, iż miejsce owo istniało, było cudowne i wspaniałe. Zapewne gdyby świat dowiedział się o nim, zmieniłby się w znaczący sposób. Ale jej to nie obchodziło, martwiła się wyłącznie o Joego. Bez niego świat nie był wart złamanego grosza.

Phoebe wstała i rozsunała zasłony. Była festynowa sobota, niebo rozciągnęło się

błękitne, bez jednej chmurki. W polu widzenia kobiety znalazł się wypuszczony przez nieuwagę srebrzysty balonik wypełniony helem. Patrzyła, jak wiatr znosi go ponad koronami drzew ku Wyżynie. Już wkrótce podążę jego śladem, pomyślała. Nieważne, że dla Everville zaczynał się najważniejszy dzień w całej jego historii. Nieważne, że dolina już wkrótce zacznie rozbrzmiewać gwarem głosów, dźwiękami muzyki, odgłosami miłości i zarabianych pieniędzy. Gdzieś tam, na górze, drzwi wciąż pozostawały otwarte i ona przestąpi ich próg jeszcze dziś przed południem albo umrze, usiłując tego dokonać.

**Część czwarta**  
**Diabeł i D'Amour**



# Rozdział I

## 1

- To odrażające - rzekł facet w łososiowym krawacie, wskazując obraz na ścianie galerii. - Obrazu boska. Jak się nazywa to szkaradztwo? - Zajrzał do katalogu z cenami.

- „Apokalipsa w Bronxie” - podpowiedział mu mężczyzna stojący obok.

- „Apokalipsa w Bronxie” - parsknął krytyk. - Jezu! - Zmierzył wzrokiem tamtego. - To nie pan, prawda? Pan nie jest tym... Dusseldorfem, prawda?

Postawny mężczyzna po trzydziestce, z trzydniowym zarostem i oczyma człowieka cierpiącego na bezsenność, pokręcił głową.

- Nie. Nie jestem.

- Ale to pan jest na jednym z tych obrazów, zgadza się? - spytała Azjatka stojąca przy Łososiowym Krawacie.

- Ja?

Wyjęła z ręki swego towarzysza katalog i przerzuciła około dwudziestu tytułów.

- O, tutaj - powiedziała. - „D’Amour na Wyckoff Street”. To ten wielki obraz w sąsiednim pomieszczeniu - zwróciła się do Łososiowego Krawata - z tak niezwykłym niebem.

- Koszmarne - stwierdził mężczyzna. - Dusseldorf powinien wrócić do handlu heroiną czy czegoś innego, czym się zajmował. Nie widzę sensu w uszczęśliwianiu ludzi takim szajsem.

- Ted nie jest i nie był handlarzem - mruknął D’Amour. Mówił półgłosem, lecz bez wątplenia w jego głosie pobrzmiwała ostrzegawcza nuta.

- Chcę tylko wyrazić swoją opinię - powiedział mężczyzna, gładko przechodząc do defensywy.

- Żądam tylko, aby przestał pan rozpowszechniać kłamstwa - powiedział D’Amour. - Odbiera pan pracę diabłu.

Był 8 lipca, piątek, i diabeł dość mocno zaprzętał myśli D’Amoura. W Nowym Jorku jak zwykle było duszno i Harry niczego tak nie pragnął, jak wyrwać się stąd, możliwie najdalej; nie miał jednak dokąd pójść - nie istniało miejsce, gdzie mógłby się zaszyć, w nadziei że nikt go tam nie odnajdzie. Tu przynajmniej na tych zatęchłych ulicach, które tak

dobrze znał, miał swoje kryjówki i ciche zakątki, ludzi, którzy byli jego dłużnikami oraz takich, którzy się go bali. Ba, miał nawet kilkoro przyjaciół.

Jednym z nich był Ted Dusseldorf, zreformowany ćpun, ongiś artysta uprawiający sztukę performance, a obecnie malarz wielkomijskich apokalips.

I oto znalazł się tutaj, stał przed jednym ze swych bardziej zuchwałych płócien, całe pięć stóp niczego, odziany w workowaty garnitur w kratkę, żując ze swadą największe cygaro na całym chyba Manhattanie.

- Witaj, Harry! - zawołał, gdy jego wzrok padł na D'Amoura. - Dzięki, że wpadłeś. Opuścił małą grupkę wielbicieli i objął przyjaciela ramieniem. - Wiem, że nie cierpisz tłumów, ale chciałem, żebyś na własne oczy przekonał się, iż są na tym świecie ludzie, którzy mnie kochają.

- Sprzedałeś coś?

- Tak, uwierzyłbyś? Przemiała żydowska dama, kolekcjonerka dzieł sztuki mieszkająca w bogatej dzielnicy pod śmiesznym adresem, kupuje to - wskazał cygarem w stronę „Rzezi niewiniątek na moście brooklyńskim” - do swojej jadalni. Może jest wegetarianką - dorzucił, rechocząc przez nos. - Opchnąłem też parę szkiców. Nie będą to kokosy, ale coś sobie w końcu udowodniłem, no nie?

- Co racja, to racja.

- Chciałbym, abyś zobaczył moje największe dzieło - rzekł Ted, prowadząc Harry'ego poprzez tłum gości, który podzielił się na trzy zasadnicze grupki.

Byli tu snobi - ofiary mody, kolekcjonerzy oraz przyjaciele Teda. Niektórzy spośród tych ostatnich mieli na sobie tak krzykliwe stroje, że mogły one konkurować z barwami płócien na ścianach.

- Podchodzi do mnie jeden taki gość - opowiadał Ted. - Fikuśne buty, koafiura jakby prosto od fryzjera i mówi: „Fantastyka jest taka *passé*”. Ja mu na to: „Jaka fantastyka?” On patrzy na mnie, jakbym puścił bąka, i mówi: „Pańskie dzieła, ma się rozumieć”. A ja na to: „To nie jest żadna fantastyka. To moje życie”. Wtedy on kręci głową i odchodzi. - Ted nachylił się do Harry'ego. - Czasami mam wrażenie, jakby na świecie żyły tylko dwa typy ludzi: jedni, którzy rozumieją, i drudzy, którzy niczego nie pojmują. W stosunku do tych drugich żadne wyjaśnienia nie mają sensu, bo to ich po prostu przerasta i zawsze będzie tak samo.

Na ścianie przed nimi wisiał wielki obraz. Miał żywe barwy i był bardziej wyrazisty aniżeli inne płótna na wystawie.

- Wiesz, malowanie tego szajsu chroni mnie przed popadnięciem w obłęd. Stary,

gdybym nie zaczął przelewać tego wszystkiego na płótno, chyba bym ześwirował. Nie wiem, Harry, jak tobie udaje się nie stracić zmysłów. Naprawdę nie wiem. Bo przecież wiedząc to, co ty wiesz, i będąc świadkiem tego, co ty...

Grupka ludzi stojących przed obrazem rozdzieliła się, pozwalając artyście i jego modelowi podejść bliżej, aby mogli ujrzeć dzieło w całej jego posępnej okazałości. Jak większość innych płócien, tak i to ukazywało zwykłą z pozoru ulicę. Tę jednak Harry potrafił nazwać, była to Wyckoff Street w Brooklynie, gdzie pewnej słonecznej Niedzieli Wielkanocnej, przed blisko dziesięcioma laty Harry po raz pierwszy został muśnięty piekielnymi skrzydłami. Ted bardzo wiernie oddał wygląd ulicy: była brudna, obskurna i odpychająca - pośrodku niej zaś umieścił D'Amoura, który mierzył wzrokiem patrzących, jakby chciał powiedzieć: „Czy widzicie to samo co ja?” Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że na obrazie nie ma nic niezwykłego, ale przy bliższym przyjrzeniu się nietrudno było stwierdzić, że jest inaczej. Zamiast umieścić na płótnie szereg prostych, niepokojących szczegółów, Ted posłużył się znacznie subtelniejszą techniką. Nałożył podkład z grzybiastych szkarłatów i ochry, mrocznych niczym wnętrze przejrzałego granatu i na tym tle naniósł szczegóły Wyckoff Street; jednak szarości i sepie cegieł, żelazo i asfalt, w pełni nie ukrywały zgnilizny pod nimi, dzięki czemu, mimo tych starannie oddanych detali, Wyckoff Street wyglądała niczym woal przesłaniający znacznie potężniejszą i natarczywszą rzeczywistość.

- Nieźle uchwycone podobieństwo, co nie? - spytał Ted.

Harry musiał przyznać, że tak, bądź co bądź dzięki temu obrazowi został rozpoznany, ale, niech to szlag, niezbyt go to pocieszało. Miał dobre kości - Norma powiedziała mu to, gdy po raz pierwszy dotknęła jego twarzy - ale czy musiały być aż tak bardzo wystające? Dzięki technice zastosowanej przy nakładaniu farby na twarz Harry'ego Ted nieomal wyrzeźbił jego rysy - długi nos, silną szczękę, szerokie czoło i całą resztę. Co zaś do oznak wieku, okazał się nader hojny, widać było sporo zmarszczek i pasemek siwizny we włosach. Harry uznał, że jak na faceta po czterdziestce ta twarz prezentowała się całkiem nieźle. Fakt, brakowało mu owej pogody i spokoju, która jak się na ogół uważa, rekompensuje ludziom utratę młodzieńczej żywołości i świeżości; w jego spojrzeniu dominowało zakłopotanie, uśmiezek na jego ustach był - najkrócej mówiąc - niepewny, niemniej jednak był to portret zdrowego na ciele i umyśle, rozsądnego mężczyzny jak również wszystkich ludzi, którzy walczyli z bestiami z otchłani, oddanych w tej jednej jedynej postaci.

- Widzisz to? - spytał Ted.

- Co miałbym zobaczyć?

Ted doprowadził Harry'ego kilka kroków bliżej do obrazu i wskazał na dolną część

plótna.

- Tam - Harry wyteżył wzrok: spojrział najpierw na chodnik, a następnie na rynsztok. - Pod twoją stopą - podpowiedział Ted.

Pod prawym obcasem buta Harry'ego wił się cienki, czarny wąż z gorejącymi węglami w miejscu ślepi.

- Diabeł we własnej osobie - skomentował Ted.

- Mam go tak, jak chciałem i tam, gdzie chciałem, no nie? - rzucił z przekąsem Harry. Ted uśmiechnął się tylko.

- Ej, przecież to sztuka. Mogę sobie pozwolić na drobne przekłamania.

Na prośbę Teda Harry został jeszcze około godziny w biurze na tyłach galerii, podczas gdy tłum odwiedzających nieco się przerzedził. D'Amour położył obie stopy na blacie biurka i umiał sobie oczekiwanie przegłębaniem starych egzemplarzy *Time'a*. Czasami dobrze było przypomnieć sobie jak żyli inni, zwyczajni ludzie, pochłonięci rozgrywkami politycznymi i tragediami, które wydarzyły się w innych krajach, oraz skandalami, blichtrzem i morderstwami. Zazdrościł im ich niewiedzy i spokoju, z jakim wiedli swój leniwy żywot. Obecnie Harry oddałby niemal wszystko za tydzień takiego zapomnienia, tydzień trywialnych spraw prowadzonych z trywialnych powodów, aby móc nie przejmować się tym, co kryje się pod powierzchnią pozornej pospolitości. Zapomnieć o „obecnościach”.

Obecności te nie były wymysłami. Spotykał się z nimi twarzą w twarz (z tymi, które je miały) w zaułkach, kamienicach czynszowych i szybach wind. Odnajdował je skulone wśród szpitalnych śmieci, gdzie ssały brudne, cuchnące zgnilizną bandaże, widział je w błocie nad rzeką, wypruwające wnętrzości psom. Były wszędzie i z dnia na dzień stawały się coraz bardziej aroganckie. Harry wiedział, że to tylko kwestia czasu, i wyjdą na ulice w świetle dnia. A kiedy to już nastąpi, nikt nie zdoła im się przeciwstawić.

Na początku swej kariery, kiedy prowadząc sprawę jako prywatny detektyw po raz pierwszy natknął się na nieludzkie istoty, łudził się, że w miarę upływu czasu zdoła odwrócić bieg fali owych sił, ostrzegając ludzkość o ich obecności. Wkrótce jednak przekonał się, jak bardzo się pomylił. Ludzie nie chcieli wiedzieć. Podobne koszmary nie mieściły się w granicach ich wiary i nie tylko nie chcieli, ale nie byli wręcz w stanie tolerować czy choćby zwyczajnie zrozumieć kogoś, kto pragnąłby o nich mówić. Nieudolne próby Harry'ego, który chciał rozgłosić wszem i wobec to, co widział, czy podejrzewał, spotykały się z ironią, drwiną, gniewem, a w kilku przypadkach nawet z brutalnością. Szybko zrezygnował z idei dokonywania „nawróceń” i zrezygnowany, poświęcił się samotnej kampanii.

Nie był całkowicie pozbawiony sprzymierzeńców. W ciągu paru następnych lat spotkał garstkę ludzi, którzy podzielali jego przekonania i wiedzieli mniej więcej tyle co on. Najważniejszą osobą wśród nich była niejaka Norma Paine, niewidoma Murzynka-medium, która wprawdzie nigdy nie opuszczała swego małego, dwupokojowego mieszkania przy Siedemdziesiątej Piątej, jednak znała wszelkie aktualne plotki i chętnie dzieliła się opowieściami z każdego zakątka Manhattanu, przekazywanymi jej przez duchy, szukające u niej wsparcia i porady w drodze do innego świata. Był również ojciec Hess. Przez pewien czas pracował z Harrym nad odkryciem konkretnej natury obecności, które nawiedzały miasto. Ich współpraca została przerwana w brutalny sposób tamtej Wielkiej Niedzieli na Wyckoff Street, kiedy jedna z owych istot zastawiła na obu pułapkę; Hess zginął na klatce schodowej, podczas gdy triumfujący demon siedział na łóżku, gdzie go znaleźli, i powtarzał Harry'emu raz po raz tę samą zagadkę: - Ja jestem tobą, a ty jesteś miłością i to wprawia w ruch ten świat. Ja jestem tobą, a...

W następnych latach, po tym koszmarnym dniu, Harry nie spotkał człowieka, którego zdanie mógłby potraktować z taką ufnością i powagą jak opinie Hessa. Mimo że duchowny Hess był zagorzałym katolikiem, nie dopuszczał, by wiara zawężyła jego zasięg widzenia. Pilnie poznawał inne wielkie religie, a pasja poznawania życia i jego sekretów płonęła w nim jaśniej niż w duszy jakiegokolwiek innego człowieka. Rozmowa z Hessem była jak spływ górskim potokiem, pełnym zdradliwych zakrętów i kaskad. W jednej chwili snuł rozważania o czarnych dziurach i natychmiast wysławiał zalety pieprzówki, by po chwili z religijnym uniesieniem deliberować na temat tajemnicy Niepokalanego Poczęcia. Jakimś cudem skojarzenia, które mu się nasuwały, jawiły się proste i oczywiste, mimo że z początku wcale się takimi nie wydawały.

Nie było dnia, aby Harry nie opłakiwał jego śmierci.

- Pogratuluj mi - powiedział Ted, stając w drzwiach biura z promiennym uśmiechem na twarzy - Sprzedałem kolejne płótno!

- Świetnie.

Ted wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. W dłoni trzymał butelkę wina. Przykucnął pod ścianą i pociągnął potężny łyk.

- Jezu, ale wieczór - powiedział drżącym z emocji głosem. - A w zeszłym tygodniu chciałem wszystko odwołać. Nie byłem pewien, czy chcę, aby ludzie patrzyli na to, co tkwi w mojej głowie. - Oparł się o ścianę, zamknął oczy i odetchnął głęboko.

Cisza trwała prawie pół minuty. W końcu Dusseldorf znów się odezwał:

- Mam to, czego chciałeś, Harry.

- Taa?

- W dalszym ciągu jednak uważam, że masz nie po kolei w głowie.

- Kiedy ceremonia?

- W przyszły czwartek.

- Wiesz, gdzie?

- Oczywiście - powiedział Ted, spoglądając na Harry'ego z udawanym oburzeniem.

- Gdzie?

- W śródmieściu, w okolicy Dziewiątej i...

- Dziewiątej i której?

- Może po prostu powinienem cię tam zawieźć.

- Nie, Ted. Nie będziesz się w to mieszać.

- Dlaczego? - burknął, podając Harry'emu butelkę.

- Bo przysięgałeś, że będziesz trzymał się od tego z dala, pamiętasz? Heroina i magia miały na zawsze zniknąć z twego życia. Sam to powiedziałeś.

- Zniknęły. Przysięgałem. Pijesz czy nie?

Harry upił łyk wina. Było cierpkie i ciepłe.

- I niech tak zostanie. Musisz chronić swoją karierę.

Ted uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Podoba mi się brzmienie tych słów - powiedział.

- Miałeś podać mi adres.

- Dziewiąta, między Trzynastą i Czternastą. To trójkątny budynek, który wygląda na opuszczony. - Wyjął butelkę z dłoni przyjaciela i zniżył głos niemal do szeptu. - W swoim czasie zdarzało mi się wyciągać sekrety od pewnych ludzi, ale, do licha, Harry, zdobycie tego adresu było jak utoczenie krwi z kamienia. Co się tam dzieje?

- Nie powinieneś wiedzieć.

- Im mniej mówisz - ostrzegł Ted - tym większą wzbudzasz we mnie ciekawość.

D'Amour rozpaczliwie pokręcił głową.

- Pohamuj się, dobra?

- Nic na to nie poradzę - odrzekł Ted, wzruszając ramionami. - Mam skłonność do uzależnień.

Harry nie odezwał się ani słowem.

- To jak? - naciskał Ted. - Co to za afera?

- Słyszałeś kiedyś o Zakonie Zym Carasophia?

Dusseldorf spojrział srogo na przyjaciela.

- Żartujesz sobie?

Harry pokręcił głową.

- To ceremonia Concupigaea?

- Tak słyszałem.

- Harry... wiesz, w co się pakujesz? Oni mieli się znaleźć na wygnaniu.

- I są? - spytał D'Amour.

- Nie rób sobie jaj, Harry. Sam wiesz doskonale.

- Doszły mnie pewne plotki, to fakt.

- I co myślisz?

- Na jaki temat?

- Na przykład, skąd oni mogli się wziąć? - spytał Ted z narastającym ożywieniem

- Jak już wspomniałem, to wszystko plotki, ale...

- Ale?

- Wydaje mi się, że pochodzą prawdopodobnie z Quiddity.

Dusseldorf zagwizdał cichutko. Nie potrzebował wyjaśnień, gdy słyszał wzmiankę o morzu snów. Przez pięć lat dekady parał się okultyzmem, aż w trakcie rzucania jednego z zaklęć, gdy był na mocnym haju, niechcący wyzwolił coś obdarzonego wybitnie psychopatycznymi skłonnościami, i aby to pokonać, Harry musiał wykorzystać cały zasób swych szczególnych zdolności oraz inteligencji. Ted zerwał z czarami i jeszcze tego samego dnia zapisał się na detoks. Mimo to okultyzm wciąż posiadał dlań swą starą, znajomą moc, a mało które słowo miało równie wielką siłę jak Quiddity.

- Co oni tu robią? - spytał Ted.

- Któż to wie. - Harry wzruszył ramionami. - Nie jestem nawet pewien, czy są realni.

- Ale jeżeli są...

- Jeżeli są, mam kilka pytań, na które nie znam odpowiedzi.

- Na przykład.

- Na temat tego węża, którego namalowałeś pod moim butem.

- Antychrysta.

- Oni nazywają go Iad.

I tym razem Ted nie potrzebował wprowadzenia do semiologii: - Uroboros i Antychryst to jedno i to samo?

- I jedno i drugie to Diabeł, różnica tylko w nazwie - odrzekł Harry.

- Skąd ta pewność?

- Jestem wierzący.

Następnego dnia Harry pojechał do śródmieścia, aby obejrzeć budynek wskazany przez Teda. Była to z pozoru zwyczajna, trzypiętrowa czynszówka, obecnie najwyraźniej opuszczona, okna w niej zabito deskami, a drzwi zamurowano lub pozamykano na kłódki. Harry obszedł dom dwukrotnie, przyglądając mu się możliwie najdyskretniej, na wypadek gdyby obserwował go ktoś z wewnątrz. Potem udał się do Normy, aby zasięgnąć u niej porady.

Rozmowy z Normą nigdy nie były łatwe. Od wczesnej młodości stanowiła ostoję dla zagubionych i błądzących dusz (zwłaszcza tych, którzy odeszli niedawno), a kiedy natręci zaczęli ją nudzić, włączała około trzydziestu telewizorów, które znajdowały się w mieszkaniu. Hałas zmuszał wówczas wędrowców do opuszczenia na pewien czas jej gościnnych progów, choć zarazem uniemożliwiał prowadzenie jakichkolwiek rozmów.

Dziś wszelako wszystkie telewizory były wyciszone. Na migoczących ekranach pojawiały się reklamy dietetycznych posiłków, aut, programów religijnych. Norma oczywiście ich nie widziała, była od urodzenia niewidoma.

Nigdy jednak nie mówiła jak niewidoma.

- Spójrz na siebie - rzekła, kiedy Harry otworzył drzwi. - Złapałeś coś?

- Nie. Nic mi nie jest. Za mało snu.

- Nowe tatuaże? - spytała Norma.

- Tylko jeden.

- Pokaż mi.

- Normo...

- Pokaż mi - powtórzyła wyciągając ręce, usadowiona wygodnie w miękkim, głębokim fotelu przy otwartym oknie.

Harry rzucił marynarkę na jeden z odbiorników i podszedł do kobiety. Z dołu dobiegały ludzkie głosy i warkot samochodów.

- Czemu nie włączysz klimatyzacji? - spytał Harry, podwijając rękawy. - Musisz tu oddychać spalinami.

- Lubię słuchać odgłosów świata - odrzekła Norma. - Są takie uspokajające. No dobrze, obejrzyjmy twoje obrażenia. - Zacisnęła palce na ręce Harry'ego i przyciągnęła go do siebie, przesuając palcami po przedramieniu detektywa do miejsca przy łokciu, ozdobionego niedawno nowym tatuażem. - Wciąż chodzisz do tego starego fałszerza Voighta? - spytała,



zdejmując opatrunek założony przez tatużystę i powiodła opuszkami palców po wrażliwej skórze. Harry skrzywił się lekko.

- Niezła robota - pochwaliła. - Choć Bóg jeden wie czemu miałyby to posłużyć.

Był to ich stały temat rozmów, stary jak świat. Przez ostatnich pięć lat Harry zgromadził niemal tuzin tatuży, z czego dwa ostatnie były dziełem Otisa Voighta, który podobno miał używać specjalnego ochronnego barwnika - wykonane nim talizmany i znaki tajemne rzekomo broniły ich posiadaczy przed złymi mocami.

- Niektórym z nich zawdzięczam życie - powiedział Harry.

- Zawdzięczasz je swej inteligencji, sprytowi i przygotowaniu, Harry, uświadom to sobie. Pokaż mi tatuż, który mógłby zatrzymać kulę.

- Nie mogę.

- Właśnie. A demon jest o całe piekło gorszy niż kula.

- Kule nie mają jaźni - odparował Harry.

- A demony mają? - rzuciła Norma. - Nie, Harry. To zwykłe łajno i nic więcej. Większe lub mniejsze bryły plugastwa pozbawionego serc i dusz - wykrzywiła się. - O Boże! - westchnęła. - Mimo wszystko bardzo chciałabym być tam z tobą.

- To nie zabawa - uciął Harry. - Możesz mi wierzyć.

- Wszystko jest lepsze niż to. - Poklepała dłońmi poręczę fotela. Szklanki na stoliku obok niej brzęknęły, uderzając o butelki rumu i brandy.

- Czasami, Harry, mam wrażenie, że to jest kara. Czy możesz sobie wyobrazić, jak siedzę tu dzień w dzień i słucham ludzi przychodzących, aby mi się wyżalić? Opowiadają mi swoje historie, żalą się na to, czy na tamto, żałują tego lub tamtego. Bywa, że miałabym chęć wrzasnąć: Już za późno, do cholery! Należało o tym pomyśleć, kiedy jeszcze można było czemuś zaradzić! „Ach!” I po co to wszystko? Jestem tu uziemiona i muszę wysłuchiwać zmarłych, którzy wyplakują mi się w mankiet, podczas gdy ty bawisz się w najlepsze. Nie wiesz, że żyjesz, chłopcze. Naprawdę nie wiesz.

Harry podszedł do okna i spojrział na widoczną sześć pięter niżej ulicę Siedemdziesiątą Piątą.

- Pewnej nocy... - zaczął.

- Taak?

- Zabiorę cię na kilkugodzinną przejażdżkę. Odwiedzimy kilka paskudnych, wyjątkowo paskudnych miejsc i zobaczymy, jak szybko zmienisz zdanie.

- W porządku - stwierdziła Norma. - A teraz do rzeczy. Czym zasłużyłam sobie na ten zaszczyt? Nie przyszedłeś tu po to, by pokazać mi dzieło Voighta?

- Nie.

- I nie przyniosłeś rumu.

- Przepraszam.

- Nie wygłupiaj się. - Machnęła lekceważąco ręką. - Cieszę się, że wpadłeś. Ale po co?

- Potrzebuję twojej rady. W czwartek wieczorem wybieram się na pewną imprezę.

- Dalej, zapytaj niewidomą kobietę, w co powinieneś się ubrać - ponagliła z lekkim rozbawieniem. - Kto wydaje to przyjęcie?

- Zakon Zyem Carasophia.

Uśmiech Normy przygasł.

- To nie jest zabawne, Harry.

- I wcale nie ma być - odrzekł. - Mają odprawić jakiś rytuał i zamierzam być przy tym.

- Dlaczego?

- Bo jeśli ktokolwiek wie, gdzie Iadowie spróbują dokonać nowego wyłomu, to właśnie oni.

- Nie bez powodu nikt nie chce rozmawiać na ich temat, Harry.

- Bo wszyscy zbyt łatwo kupują plotki. Faktem jest, że tak naprawdę nikt nie wie nic konkretnego. Nikt nie wie kim oni są.

- Albo czym - poprawiła go Norma

- A więc wierzysz w te historie?

- Że są wygnańcami? - Norma wzruszyła ramionami. - Jak dla mnie, wszyscy jesteśmy wygnańcami.

- Nie wyjeżdżaj mi tu z metafizyką.

- To nie metafizyka, to prawda. Życie, Harry, zaczęło się w morzu snów. I od tej pory wszyscy usilnie staramy się doń powrócić.

- Czemu to mnie nie uspokaja?

- Ponieważ boisz się wszystkiego, co to oznacza - odrzekła Norma. - Boisz się, że musiałbyś odrzucić wszelkie zasady, według których żyjesz, i postradałbyś zmysły.

- A ty nie?

- Najprawdopodobniej ja również - przyznała. - Nie chodzi tu o moje czy twoje, Harry, szaleństwo. Raczej o to co jest, a co nie jest prawdziwe. I wydaje mi się, że ty, ja i Zyem mamy wiele wspólnego.

- Czego miałbym się obawiać? - spytał Harry.

- Najprawdopodobniej tamci lękają się ciebie tak samo jak ty ich, co oznacza, że woleliby mieć twoją głowę na talerzu, tak aby mogli ją widzieć. Albo pożreć.

- Jasna cholera!

- Sam zapytałeś.

Harry przeniósł wzrok z ulicy na ekrany telewizorów. Miał przed sobą trzy tuziny bezgłośnych dramatów; obiektywy kamer wychwytywały każdy, najdrobniejszy nawet przejaw triumfu lub bólu, tak prawdziwego, jak i udawanego.

- Czy zastanawiałaś się kiedyś, że możemy być obserwowani? - spytał po kilku chwilach wpatrywania się w ekrany.

- Ja jestem, przez cały czas - odrzekła Norma.

- Nie myślałem o duchach.

- Przez co więc?

- Bo ja wiem - może przez Boga?

- Nie.

- Wydajesz się bardzo pewna.

- I jestem. Tak jak tu teraz siedzę! Zapytaj mnie jutro, może do tego czasu zmienię zdanie. Bardzo w to wątpię, ale nigdy nic nie wiadomo.

- Mówisz o demonach.

- I co z tego?

- To znaczy, że Diabeł wyczynia gdzieś tu swoje sztuczki.

- A skoro na tej planecie jest Diabeł, to Bóg musi być również? - Norma pokręciła głową. - Już o tym rozmawialiśmy, Harry. To jeden z tematów-rzek.

- Wiem.

- Nie mam pojęcia, czym są te twoje demony...

- Po pierwsze, nie są moje.

- Widzisz, już się nie zgadzamy. Ja uważam, że są jak najbardziej twoje.

- Uważasz że to, co stało się z Hessem, to moja sprawka? - zapytał posępniejącym tonem Harry.

- Wiesz, że nie to mam na myśli.

- W takim razie co?

- Demony odnajdują cię, bo ich potrzebujesz. Podobnie było z Hessem. Potrzebowałeś ich, aby świat wydał ci się sensowny i uporządkowany. Jedni ludzie wierzą w... Nie wiem, w co właściwie wierzą ludzie? W polityków, gwiazdy filmowe... - westchnęła rozdrażniona. - Czego ty się właściwie boisz, dlaczego tak się tym przejmujesz Harry?

- Bo ja wiem? Pora roku? Okres w życiu. Nie mam pojęcia... - urwał. - To nieprawda. Ja wiem.

- Powiesz mi?

- Odczuwam ciągły strach.

- Przed Zakonem?

- Nie.

- Wobec tego przed czym?

- Nadal wierzę w piekło. Tylko że nie wierzę już w samego siebie.

- O czym ty mówisz, u licha? - zdziwiła się Norma i wyciągnęła doń rękę. - Podejź tu - poleciła. - Harry? Słyszysz mnie? Wyciągnął rękę, a Norma bezbłędnie schwyciła go za nadgarstek. - Chcę, żebyś mnie posłuchał - powiedziała. - Nie życzę sobie, abyś mnie uciszał czy mówił, że nie chcesz słuchać, bo czasami to, co powinno zostać powiedziane, przemilcza się, a ja chcę i muszę ci to powiedzieć. Zrozumiałeś? - Nie czekając na potwierdzenie, mówiła dalej, szarpiąc D'Amoura za rękę, by przyciągnąć go bliżej swego fotela. - Jesteś dobrym człowiekiem, Harry. To wielka rzadkość, naprawdę. Myślę, że masz w sobie coś, czego brakuje większości ludzi i właśnie dlatego jesteś poddawany tym wszystkim próbom. Nie wiem, kto lub co sprawdza ciebie - a także mnie - wiem jednak, że nie mamy wyboru. Rozumiesz mnie? Nie mamy wyboru, możemy jedynie dzień po dniu robić swoje i starać się dać z siebie wszystko.

- Dobrze, ale...

- Jeszcze nie skończyłam!

- Przepraszam.

Norma zmusiła Harry'ego, aby pochylił się nad nią.

- Jak długo się znamy? - zapytała.

- Jedenaście lat.

Drugą ręką sięgnęła do jego twarzy. Dotknęła czoła, policzka i warg D'Amoura.

- Drogo cię to wszystko kosztuje, co? - zauważyła.

- Taa...

- Gdybyśmy wiedzieli dlaczego, nie bylibyśmy tym, czym jesteśmy. Może nawet nie bylibyśmy ludźmi.

- Naprawdę tak sądzisz? - spytał półgłosem Harry. - Uważasz, że musimy brnąć przez to wszystko, z uwagi na to, co czyni nas ludźmi?

- Poniekąd tak.

- A gdybyśmy zrozumieli? - ciągnął D'Amour.

- Nie bylibyśmy ludźmi - odrzekła Norma.

Harry oparł głowę na ramieniu Normy.

- Może więc o to właśnie chodzi - wyszeptał.
- O co?
- Może nadszedł już czas, abyśmy przestali być ludźmi.

### 3

Nowy tatuaż bolał bardziej niż inne. Zwłaszcza tej nocy swędział okropnie i Harry kilkakrotnie budził się z wrażeniem, że wizerunek na jego ręce porusza się niczym żywa istota, usiłując wydostać się spod opatrunku.

Następnego dnia zatelefonował do Grillo i odbył z nim ostatnią, jak się okazało, rozmowę, podczas której napomknął o Antychryście. Grillo wyraźnie dał detektywowi do zrozumienia, że to określenie wydaje mu się śmieszne (ironicznie stwierdził, że D'Amour jest religijnym oszołomem) i rozstali się w dość chłodnym nastroju. Rafa i jej opiekun byli dla Harry'ego ostatnią nadzieją na zdobycie informacji na temat Zakonu, lecz niestety z rozmowy ich dwóch zupełnie nic nie wynikło. Wejście do budynku pomiędzy ulicami Trzynastą a Czternastą, nie wiedząc właściwie, z czym będzie miał do czynienia. Czyż jednak istniało coś, co byłoby dlań zupełnie nowe i nieznanne?

Następnego dnia przed południem zajął pozycję po drugiej stronie ulicy i czekał. Dopiero dobrze po południu pojawili się pierwsi uczestnicy ceremonii. Wysiedli z samochodu, szybkim krokiem przecięli chodnik i zeszli schodami prowadzącymi do suterenu. Harry nie zdążył im się nawet przyjrzeć. Przed zmierschem pojawiło się około dziesięciu kolejnych osób; wszyscy przybysze posłużyli się tym samym wejściem. Harry sprawdził je, kiedy po raz pierwszy odwiedził ten budynek. U dołu schodów znajdowały się żelazne drzwi, które na pierwszy rzut oka wydawały się kompletnie zardzewiałe i zamknięte na głucho.

Najwyraźniej wrażenie to było mylne.

Spodziewał się, że sprawy nabiorą tempa wraz z nadejściem zmierzchu, lecz wcale tak nie było. Zjawilo się kolejnych pół tuzina gości, którzy zniknęli w podziemiu, aczkolwiek okazało się zarazem, iż zgromadzenie będzie zdecydowanie mniej liczne, aniżeli przypuszczał D'Amour. Miało to swoje dobre i złe strony. Dobre, ponieważ będzie mniej oczu mogących wypatrzeć intruza; złe, gdyż ceremonia, jak się zdawało, nie była li tylko uroczystym okresowym spotkaniem - wydawała się raczej zgromadzeniem najwyższych władz Zakonu, które przyprowadziły ze sobą Bóg jeden wie jakie siły.

Myśl ta bynajmniej Harry'ego nie uspokoiła.

Tuż przed dziewiątą, kiedy z nieba znikły ostatki dziennego światła, przed sklepem monopolowym na rogu Trzynastej podjechała taksówka i wysiadł z niej Ted. Auto odjechało, malarz zaś stał przez chwilę na rogu, paląc papierosa. Wreszcie dziarskim krokiem pomaszerował w stronę budynku. Harry nie miał innego wyjścia jak tylko opuścić swą kryjówkę i ruszyć w kierunku przyjaciela, w nadziei, że ten zauważy go i zawróci. Ted jednak uparcie wpatrywał się w ścianę kamienicy i zanim Harry zdołał go zatrzymać, zniknął za rogiem. Zwalniając nieco kroku, by nie wzbudzić niczyich podejrzeń (czy ktoś mógł obserwować go z wnętrza domu?) D'Amour przeszedł na drugą stronę ulicy i podążył za przybyłym, który jednak zdążył już zniknąć mu z oczu. Harry przyspieszył kroku i ujrzał, jak Ted schodzi po schodach do suterenu. Przeklinając go w duchu, zaczął biec. Ruch na ulicy był zbyt mały, by zagłuszyć tupot kroków. Ted obejrzał się przez ramię i zniknął w cieniu schodów, ale już po chwili wyłonił się stamtąd z promiennym uśmiechem na twarzy.

- To ty...

D'Amour uciszył go ruchem ręki i przywołał do siebie. Ted jednak pokręcił głową, wskazując w dół, na drzwi. Krzywiąc się Harry przeszedł pod ścianę i stanął w głębokim cieniu obok malarza.

- Nie idziesz ze mną! - zasyczał.

- Sądzisz, że uda ci się sforsować te drzwi bez pomocy? - zapytał półgłosem Ted, wyjmując spod kurtki młotek i łom.

- Miałeś nie mieszać się już w żadne czary, pamiętasz?

- To mój pożegnalny występ - odrzekł Ted. Jego głos zmienił się w zduszony warkot. - Nie pozwolę, abys mnie z tego wyślizgał, Harry. Gdyby nie ja, w ogóle nie byłoby cię tutaj.

- Nie przyjmę na siebie odpowiedzialności za to, co może ci się przytrafić - ostrzegł go Harry.

- Wcale cię o to nie proszę...

- Mówię serio. Już i tak mam dosyć problemów.

- Umowa stoi - odparł Dusseldorf, uśmiechając się pod nosem. - To jak, idziemy czy nie?

To rzekłszy, zszedł po schodach i stanął przy drzwiach; Harry ruszył za nim.

- Masz zapalniczkę? - spytał Ted.

Harry wyłuskał ją z kieszeni i zapalił. Płomyk ukazał im odrzwia pokryte płatami rdzy. Ted wyjął łom i wsunął końcówkę między framugę i drzwi. Napał na pręt z całej siły. Ich twarze obsypały płatki rdzy, zawiasy zaskrzypiały, ale drzwi pozostały zamknięte.

- Nic z tego - szepnął Harry.

- Masz lepszy pomysł? - syknął Ted.

D'Amour zgasił zapalniczkę i w ciemności powiedział:

- Owszem, mam lepszy pomysł. Ale odwróć się.

- Po co, do cholery?

- Zrób to - rzucił Harry i pstryknął zapalniczką, aby sprawdzić, czy tamten wykonał polecenie.

Okazało się, że nie. Ted patrzył na niego z zaciekawieniem na twarzy.

- Masz coś specjalnego, zgadza się? - zapytał, bardziej tonem podziwu aniżeli oskarżenia.

- Może...

- Jezu, Harry...

- Posłuchaj Ted, jeśli to ci się nie podoba, to spierdalaj.

- A co masz? - Oczy Teda zabłyśły, wyglądał jak narkoman, któremu podsunęto dawkę jego ulubionej trucizny. - Może Rękę Chwały?

- Na Boga, nie!

- W takim razie co?

- Nie zobaczysz tego, Ted - rzekł z naciskiem D'Amour. - Już ci mówiłem, odwróć się.

Ted z wielką niechęcią odwrócił wzrok, a detektyw wyjął z kieszeni Prodigile - niewielkie magiczne urządzenie, za które zapłacił Otisowi Voightowi czterysta dolarów. Była to mała prostokątna aluminiowa blaszka z niewielkim symbolem mocy z jednej strony, od którego promieniście odchodziło pięć wąskich rowków. Harry wsunął ów pasek w szczelinę między drzwi a framugę, możliwie jak najbliżej zamka.

Z tyłu dobiegł go głos Teda.

- Masz Prodigile. Skąd je, u licha, wytrzasnąłeś?

Było już za późno, aby mógł kazać mu się odwrócić; kłamstwo również nie wchodziło w rachubę. Ted zbyt dobrze znał się na czarach i magicznych artefaktach, aby można go było łatwo oszukać.

- Nie twoja sprawa - warknął Harry.

Nie lubił parać się sztukami tajemnymi (nawet użycie Prodigile, stojącego wyjątkowo nisko na skali taumaturgicznej, groziło skażeniem lub uzależnieniem), niemniej w pewnych sytuacjach, aby zniszczyć wroga należało posłużyć się używaną przezeń bronią. Takie były gorzkie realia tej wojny.

Przytknął kciuk do górnej krawędzi prostokąta i gwałtownie przesunął po niej palcem. Skóra otworzyła się gładko i poczuł pulsowanie Prodigile, upuszczającego mu krwi.

Wiedział, iż ten moment jest najgroźniejszy i najczęściej wtedy zaczyna się uzależnienie - następowało w chwili zaktywizowania się artefaktu.

Nakazał sobie odwrócić wzrok, ale nie był w stanie tego wykonać. Patrzył w niemym zdumieniu, jak jego krew syczy w zetknięciu z metalem, wpływa do rowków w blaszce i znika. Usłyszał, jak za jego plecami Dusseldorf gwałtownie zaczerpnął tchu. I wtedy ze szczeliny między drzwiami a framugą buchnęła struga światła i rozległ się charakterystyczny szcęk otwieranego zamka.

Zanim jeszcze zgasło owo światło, Harry naparł ramieniem na drzwi, które otworzyły się bez najmniejszego oporu. Detektyw spojrzał na Teda; mimo wcześniejszej zuchwałości przyjaciel wydawał się odrobinę zaniepokojony.

- Jesteś gotów? - spytał D'Amour i nie czekając na odpowiedź wślizgnął się do środka, dając Dusseldorfowi czas na podjęcie ostatecznej decyzji, czy pójdzie dalej, czy może jednak zostanie.



## Rozdział II

### 1

Wnętrze cuchnęło wonią starych kadzideł i sushi sprzed tygodnia, innymi słowy - złą magią. Poczwszy ten fetor, Harry aż się wzdrygnął. Serce mocniej zabiło mu w piersi.

Ile razy muszę to robić? - zastanawiał się, wchodząc głębiej w półmrok. Ile razy mam wchodzić w paszczę lwa, w głąb trawionego zgnilizną, chorego organizmu? Ile jeszcze razy, nim skończy się moja pokuta?

Nagle Ted położył mu rękę na ramieniu.

- Tam - szepnął i skłonił Harry'ego, aby spojrział w prawo. Około dziesięciu metrów od miejsca, gdzie stali, znajdowały się kolejne schody w dół, tonące w powodzi srebrnego światła.

Ted nie zdjął ręki z ramienia Harry'ego i obaj najpierw cicho podkradli się do schodów, a potem ruszyli w dół. Z każdym krokiem robiło się coraz zimniej, a nieprzyjemny zapach narastał. Uznali, że to, czego szukają, znajdowało się na dole. Jeśli zaś potrzebowaliby innych dowodów, dostarczyły ich tatuaże D'Amoura. Nowy śwędział bardziej niż kiedykolwiek, stare zaś (na kostkach stóp, wokół pępka, na wysokości nerek i poniżej mostka) dawały o sobie znać niemiłym pieczeniem.

Na trzecim stopniu od dołu D'Amour odwrócił się do Teda i najciszej jak mógł, powiedział:

- Ja nie żartuję: nie biorę odpowiedzialności za twoje bezpieczeństwo.

Dusseldorf pokiwał głową i zdjął rękę z ramienia Harry'ego. Nic więcej nie można było powiedzieć, nie było innych wymówek, które mogły opóźnić ich zejście po schodach. Detektyw sięgnął pod marynarkę i poklepał dłońią pistolet w kaburze. Następnie pokonał trzy ostatnie stopnie i skręciwszy za załom muru znalazł się w sporym pomieszczeniu o ścianach z cegły, które miało ponad piętnaście metrów długości. Sufit zaś wznosił się około ośmiu metrów nad głową. Pośrodku znajdowało się coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak przezroczyste kotary, które zajmowały niemal połowę szerokości całej komnaty, i to one właśnie były źródłem srebrzystego światła, wypływającego aż na schody. Popatrzawszy uważniej, detektyw stwierdził, iż nie był to materiał, lecz coś w rodzaju eteru. Przypominał stopione pasma zorzy polarnej narzucone na siateczkę włókien, która krzyżowała się

wewnątrz pomieszczenia niczym pajęczyna upleciona przez jakiegoś wielkiego, ambitnego pająka

Pośród owych zwojów znajdowały się postacie - uczestnicy ceremonii, których detektyw wcześniej widział, gdy przybywali tu przez całe popołudnie. Teraz nie mieli na sobie kapeluszy ani płaszczy, lecz poruszali się pośród światła zupełnie nadsy.

Jakaż to była nagość! Mimo iż wielu tonęło w srebrnym blasku i nie sposób było im się przyjrzeć, Harry nie wątpił, iż wszystko, co słyszał o Zyem Carasophia jest prawdą. Byli to wygnańcy - bez dwóch zdań. Niektórzy z nich musieli być potomkami ludzi i ptaków, oczy mieli osadzone po bokach wąskich głów, usta wysunięte do przodu na kształt dzioba, plecy porośnięte piórami. Inni potwierdzali jawnie plotkę zasłyszaną gdzieś przez Harry'ego, iż kilkoro z dzieci Quiddity zostało po prostu wyśnionych do życia - były to istoty czystej wyobraźni. Jak bowiem inaczej wytłumaczyć pochodzenie tych dwojga, których głowy stanowiły rozmyte żółte plamy, poprzetykane czymś, co wyglądało jak jasnyniebieskie świetliki - albo rodowód istoty o skórze głowy pociętej w cieniutkie paski, falujące wokół czaszki przy byle poruszeniu?

Mimo że Harry spodziewał się ujrzeć bluźniercze parafemalia jak dotąd nie zdołał ich wypatrzeć. Nie było świec z ludzkiego łożu, rytualnych ostrzy ani dzieci z wyprutymi wnętrznościami. Uczestnicy ceremonii krążyli po prostu w strudze światła jakby pogrążeni we wspólnym śnie. Gdyby nie woń kadzideł i sushi, D'Amour wątpiłby, iż w ogóle dzieje się tu coś złego.

- Co jest grane? - wyszeptał Ted wprost do ucha Harry'ego.

Detektyw pokręcił głową, nie wiedział. Ale wiedział, jak może znaleźć odpowiedź na to pytanie. Zdjął marynarkę i zaczął rozpinać rękawy koszuli.

- Co robisz?

- Zamierzam przyłączyć się do nich - wyjaśnił Dusseldorfowi.

- Rzucają się na ciebie, zanim zdążysz choć mrugnąć okiem!

- Nie sądzę - odparł, ściągając buty i wyjmując koszulę ze spodni. Przez cały czas obserwował korowód osobliwych postaci, wypatrując z ich strony jakichkolwiek oznak zagrożenia. Jak dotąd nic takiego się nie działo. Zupełnie jakby wszyscy pogrążeni byli w stanie półsnu, a tkwiąca w nich agresja uległa przytłumieniu.

Istniała możliwość, że w ogóle go nie zauważą, gdy przyłączy się do nich w ubraniu. Coś jednak podpowiadało D'Amourowi, że będzie bezpieczniejszy w tym tłumie, jeżeli uczestnicząc w ceremonii rozbierze się do naga jak pozostali.

- Zostań tu - zwrócił się do Teda.

- Zwariowałeś, zdajesz sobie z tego sprawę? - zaproponował przyjaciel.

- Nic mi nie będzie - mruknął Harry, spoglądając na swe niemal obnażone ciało i poklepując się po brzuchu. - Może przydałoby się zrzucić kilo lub dwa... - To rzekłszy, ruszył w stronę zgromadzenia.

Aż do teraz nie zdawał sobie sprawy, że albo światło, albo pajęczynowe nici wydawały niski, płynny jęk, który narastał, w miarę jak D'Amour podchodził coraz bliżej kotar. Ten dźwięk wywołał w jego czaszce tępe pulsowanie, ale mimo iż nieprzyjemne, nie zdołało skłonić go do zawrócenia. Na jego ciele od stóp do głów pojawiła się gęsia skórka, tatuaże swędziały i piekły niemiłosiernie. Uniósł przed siebie lewą rękę i zdjął opatrunek z najnowszego.

Rysunek zdawał się żyć w srebrzystym blasku, jakby wykonano go zaledwie przed kilkoma minutami: rubinowa parabola wydała się nagle Harry'emu absurdalna i żałosna. Norma miała rację, pomyślał. Jaka ochronę mógł stanowić byle symbol w świecie tak przepełnionym mocą?

Odrzucił opatrunek precz i ruszył w kierunku dziwnej konstrukcji. Spodziewał się, iż lada chwila któryś z uczestników ceremonii spojrzy w jego stronę, tak się jednak nie stało. Wszedł pomiędzy zasłony, praktycznie przez nikogo nie dostrzegany, wmieszał się w krążący nieustannie tłum i pospieszył w stronę centrum zorzy. Jednocześnie uniósł obie ręce w górę, muskając koniuszkami palców jedną z nici i powodując przy tym niewielkie wyładowanie energii, które mimo iż nie uczyniło mu krzywdy, dotarło wzdłuż jego ramienia aż do klatki piersiowej. Zorza zadrżała i przez chwilę detektyw miał wrażenie, że lada moment zostanie odkryty, bowiem połyskujące fałdy zasłon zamknęły się wokół niego ze wszystkich stron. Ów dotyk nie był jednak nieprzyjemny i D'Amour najwyraźniej musiał zdać próbę czy egzamin, jakiemu go poddano, gdyż w chwilę później kotary ponownie się rozsunęły i podjęły delikatne, monotonne falowanie.

Harry obejrzał się, szukając wzrokiem Teda, ale wszystko, co znajdowało się poza zasięgiem światła - ściany, schody i sklepienie - zmieniło się w niewyraźną, rozmytą plamę. Nie tracił więc czasu na dalsze wypatrywanie, lecz skierował swą uwagę na trzon osobliwej konstrukcji i kryjącą się tam tajemnicę. W miarę zbliżania się do centrum, ból w czaszce narastał, lecz detektyw znosił go dość dzielnie. Nagle zobaczył coś, co znajdowało się pod nim - pas ciemności pośród świetlnej konstrukcji. Skrawek ów był większy od niego i najwyraźniej musiał mieć sporą moc, ponieważ teraz, gdy Harry raz go dojrzał, nie był w stanie odwrócić odeń wzroku.

Wraz z owym widokiem pojawił się nowy dźwięk, słyszalny pośród donośnego

zawodzenia jak regularny, jednostajny, nieco zduszony łoskot bębnów.

Choć zdeorientowany i przejęty, D'Amour bez trudu rozpoznał ów dźwięk. To było morze. Jego serce zabiło szybciej, poczuł dreszcze w całym ciele. Morze. Boże mój, to morze! Wyszepiał jego nazwę jak błogosławieństwo.

- Quddity...

Słowo zostało usłyszane. Poczul na karku czyjś oddech i ktoś polecił:

- Cofnij się!

Rozejrzał się i dostrzegł tuż obok jednego z wygnańców o twarzy nabiegłej kolorami.

- Musimy czekać przed Neiriką - powiedziała owa istota. - Błogosławiony nadejdzie.

Błogosławiony? - pomyślał Harry. Na kogo oni tu czekają? Na papieża?

- Czy to już niedługo? - zapytał Harry, przekonany, że ta istota lada moment rozpozna go, jako zwykłego *homo sapiens*.

- Już niebawem - padła odpowiedź - on wie, jak się niecierpliwimy. - Stwór zwrócił wzrok w ciemność. - Wie, jak gorąco pragniemy powrotu. Ale musimy czekać na Błogosławionego i jego błogosławieństwo, czyż nie?

- Tak - odrzekł Harry - Oczywiście, że tak.

- Popatrz - powiedziała istota, kierując głowę ku zewnętrznemu światu - czy to nie on?

W pobliżu nagle zaczęło się coś dziać, gdyż zgromadzeni, w tym również informator Harry'ego, pospieszyli ku skrajowi Wielkiej Zorzy. Detektyw czuł się rozdarty między pragnieniem ujrzenia owej istoty - kimkolwiek była - przybywającej, by udzielić im błogosławieństwa, a choćby ukradkowym spojrzeniem na brzeg Quiddity. Zdecydował się na to drugie. Obróciwszy się na pięcie, postąpił szybko dwa kroki ku skrawkowi ciemności. Poczul, że ziemia pod jego stopami staje się coraz mniej stabilna, a twarz owionął mu niosący kropelki deszczu, rześki, chłodny wiatr. Ciemność rozstąpiła się, jak gdyby bryza otworzyła drzwi i przez ułamek sekundy Harry miał wrażenie, że wzrok go wyprzedza, podczas gdy niezdarna bryła ciała pozostaje nieco w tyle, sunąc po spowitym mrokiem nocy brzegu.

Niebo nad jego głową pełne było chmur oraz istot, które w zastępstwie gwiazd uganiały się po nim, pozostawiając za sobą rozmyte, świetliste smugi. Na kamieniach poniżej kraby toczyły wojnę, uprawiały miłość bądź z zaciśniętymi szczypcami maszerowały, klekocząc w kierunku nadciągających ku brzegowi fal. W wodzie zaś uganiały się ławice ryb, które wyskakiwały w górę jakby pragnęły stać się gwiazdami na niebie i opadały w dół, naśladując kamienie, a może jedno i drugie. Wszystko to dostrzegł jednym pożądlwym spojrzeniem. A potem usłyszał za sobą krzyk i z największą niechęcią odwrócił się przez ramię, by zajrzeć w głąb pomieszczenia. Jak stwierdził, panował tam niełichy zamęt. Konstrukcja kolebki

dygotała, zasłony opasujące szczelinę jak bandaże ranę były tu i ówdzie porozrywane. Wyteżał wzrok, aby zobaczyć, co jest tego przyczyną, ale jego oczy bardzo wolno wyzbywały się dopiero co zarejestrowanych obrazów niewypowiedzianych cudowności, podczas gdy z tyłu wewnątrz pomieszczenia rozbrzmiały nagle przeraźliwe wrzaski. Były dostatecznie głośne, aby wyrwać go z chwilowego odrętwienia. Harry, w nagłej obawie o własne życie, zaczął wycofywać się od szczeliny, mimo że skrawek ciemności wciąż wywierał nań olbrzymi wpływ i aby wyzwolić się spod niego musiał gnać co sił.

Biegając dostrzegł istotę, która niedawno z nim rozmawiała, jak wypada przez jedną z zasłon z dziurą wielkości pięści w klatce piersiowej. Kiedy ranne stworzenie upadło na kolana, przez chwilę spojrzenie jego błyszczących oczu zwróciło się ku Harry'emu i otworzyło kościste usta, by błagalnym tonem poprosić o wyjaśnienie, co się stało. Zamiast słów jednak z ust konającego buchnęła krew, czarna jak atramentowa wydzielina kałamarnicy, po czym stwór runął ciężko na twarz, martwy zanim jeszcze dotknął czołem podłogi.

D'Amour szukał wzrokiem pośród zasłon mordercy, ale odnalazł jedynie dalsze ofiary: stwory wypadały spomiędzy fałd i osuwały się na ziemię z potwornymi, śmiertelnymi ranami. Do stóp Harry'ego potoczyła się odcięta głowa; jakiś nieszczęśnik, pozbawiony dolnej połowy ciała, schwycił go, targany konwulsyjnymi skurczami i skonał szlochając w ramionach detektywa.

Kolebka zaś, która tak niespodziewanie stała się grobem, wibrowała jak szalona, kołysała się z boku na bok; przejrzyste zasłony spadały pod wpływem potwornych wstrząsów na ziemię, zrywając równocześnie większą część pajęczynowej konstrukcji. Nici tryskały iskrami i falowały w obłądnym rytmie, światło, które dotąd dawały zasłonom, przygasło i wewnątrz pomieszczenia z wolna pogrążało się w ciemnościach.

Oslaniając głowę przed walącą się konstrukcją, Harry dotarł do zewnętrznej granicy kręgu i dopiero teraz zdołał dostrzec istotę, która była sprawcą całego tego koszmaru.

Był to mężczyzna. Miał brodę jak sędziwy patriarcha i długą, powłóczystą szatę proroka. Niegdyś błękitna, teraz splamiona krwią, wyglądała jak fartuch rzeźnika. Jego bronią była krótka laska, z której niemal leniwie wytryskiwały snopy blado-białego ognia. Harry ujrzał ze zgrozą jak jeden z jęzorów płomieni przecina powietrze, by zniszczyć istotę, która do tej pory zdołała uniknąć zguby. Trafił ją (było to jedno ze stworzeń o niewyraźnej głowie i ciele jakby utkanym ze świetlików) w plecy, powyżej pośladków i jął przesuwając się w górę, pochłaniając ciało po obu stronach kręgosłupa. Mimo porażających rozmiarów obrażeń istota nie padła trupem, lecz odwróciła się w stronę swego oprawcy.

- Dlaczego? - wychlipała, wyciągając doń rękę. - Dlaczego?

Nie odpowiedział. Uniósł jedynie laskę po raz drugi i wypuściwszy z niej strugę energii, trafił bezradną i bezbroną ofiarę w usta. Błagania ucichły w jednej chwili, a płomień przemknął jak burza przez czaszkę istoty, całkowicie ją zwęglając. Nawet nie upadła. Jej ciało zadygotało, pęcherz i jelita ujawniły swą zawartość. Prorok, z wyrazem twarzy przypominającym rozbawienie, przestąpił kałużę moczu i fekalii, po czym uderzając na odlew laską w poczerniałą czaszkę, jednym smagnięciem oddzielił ją od szyi.

Harry mimowolnie krzyknął, bardziej jednak z wściekłości niż ze zgrozy. Zabójca, który przeszedł właśnie przez trupa bezgłowej kobiety, zмирzając ku szczelinie przystanął w pół kroku i spojrzał w usiane kropelkami krwi powietrze. Harry zamarł. Prorok patrzył z wyrazem zaintrygowania na twarzy.

Nie widzi mnie, pomyślał D'Amour.

Może był zbytnim optymistą. Mężczyzna wciąż wyteżał wzrok, jakby w pogłębiających się ciemnościach zauważył ślad czyjejś obecności, ale nie umiał stwierdzić, czy nie było to zwyczajne złudzenie. Wolał nie ryzykować. Wciąż popatrując ze zdumieniem, uniósł swą laskę.

Harry nie czekał na pojawienie się ognia i pognął ku schodom, w Bogu pokładając nadzieję, że Ted również rzucił się do ucieczki. Zabójczy ogień przemknął z westchnieniem tuż obok niego, tak blisko, iż detektyw poczuł upiorny, palący żar, po czym trafił w ścianę, rozpryskując się na niej cienkimi nitkami zabójczej energii. Harry odwrócił się w stronę proroka, który zapomniał już o ostatniej ofierze i skierował się na powrót ku mrocznej szczelinie prowadzącej do Quiddity.

D'Amour podążył wzrokiem w stronę szczeliny. W gasnącym świetle brzeg i morze były lepiej widoczne niż poprzednio i przez chwilę jedyne, co mógł, to patrzeć - gdyby nie to, niechybnie by zawrócił, zrównał się w progu z prorokiem i ruszył na drugą stronę, aby znaleźć się pod kopułą innego nieba.

Nagle z półmroku na lewo dobiegł głos przepełniony bólem i znużeniem.

- Przepraszam, Harry... proszę... wybacz mi...

Czując jak żołądek podchodzi mu do gardła, detektyw odwrócił się i odnalazł źródło głosu. Jakieś siedem czy osiem kroków od schodów leżał Ted; ramiona miał rozłożone szeroko, w jego piersi ziała olbrzymia dziura. Rana była tak rozległa i głęboka, że chyba cudem jeszcze mógł oddychać, a co dopiero mówić. Harry ukląkł przy nim.

- Weź mnie za rękę, dobrze? - poprosił ranny.

- Trzymam cię - rzekł D'Amour.

- Nic nie czuję.
- Może to i lepiej - odpowiedział Harry - Teraz cię podniosę.
- Pojawił się znikąd...
- Nie myśl o tym.
- Trzymałem się na uboczu, jak kazałeś, ale pojawił się zupełnie znikąd.
- Cii... - szepnął detektyw, wsuwając mu rękę pod plecy. - Dobra, jesteś gotowy?

Dusseldorf tylko jęknął. Harry wziął głęboki wdech, wstał i zaczął nieść rannego w stronę wyjścia. Kiedy zgasły ostatnie włókna, zaczął mieć trudności ze zlokalizowaniem schodów. Mimo to ruszył noga za nogą w ich stronę, podczas gdy ciałem Teda wstrząsały delikatne spazmy.

- Trzymaj się - mówił Harry. - Trzymaj się.

Dotarli do podnóża schodów i D'Amour zaczął na nie wchodzić. Raz jeszcze obejrzał się przez ramię i dostrzegł, że prorok przystanął przy przejściu pomiędzy Kosmosem a Metakosmosem. Niewątpliwie za chwilę przekroczy próg. Pytanie - dlaczego, aby tego dokonać musiał unicestwić tyle istnień, stanowiło zagadkę, której detektyw nie spodziewał się rozwikłać w najbliższym czasie.

## 2

- Już późno, Harry - powiedziała Norma. Siedziała w tym samym fotelu, przy oknie, wokół niej unosiły się dźwięki z włączonych telewizorów. Programy nocne.

- Mogę się napić? - spytał.
- Poczęstuj się.

Oświetlony blaskiem telewizorów Harry podszedł do stolika obok fotela Normy i nalał sobie brandy.

- Masz na sobie krew - odezwała się Norma. Była niewidoma, ale miała wrażliwy nos.
- Nie swoją. Teda Dusseldorfa.
- Co się stało?
- Umarł przed godziną.

Kobieta milczała przez kilka sekund, po czym zapytała:

- Zakon?
- Niezupełnie. - Harry usiadł na prostym, twardym krześle naprzeciwko miękkiego tronu Normy i powiedział jej, czego był świadkiem.

- A więc tatuaże jednak się opłaciły - powiedziała, gdy skończył.

- Albo to, albo miałem szczęście.

- Nie wierzę w szczęście - ucięła. - Wierzę w przeznaczenie. - Wypowiedziała to słowo tak, że zabrzmiało nieomal seksy.

- Zatem przeznaczeniem Teda było umrzeć dzisiejszej nocy? - mruknął Harry. - Nie kupuję tego.

- To nie kupuj - odparła Norma bez śladu irytacji. - To wolny kraj.

Harry upił łyk brandy.

- Może nadszedł czas, abym uzyskał poważną pomoc.

- Mówisz o terapii? Bo jeżeli tak, to powinieneś wiedzieć, że gościłam u siebie Freuda. Przyszedł tutaj, a w każdym razie podawał się za Freuda i był tak dokumentnie porąbany...

- Nie mówię o Freudzie. Mówię o Kościele albo może o FBI. Nie wiem. Trzeba powiedzieć komuś, co się dzieje.

- Jeżeli ci uwierzą, to znaczy, że zostali już przekabaceni przez wroga - stwierdziła Norma. - Możesz być tego pewien.

Harry westchnął. Wiedział, że to, co powiedziała, jest prawdą. Pewni ludzie w mundurach i sutannach zajmowali się na co dzień wyciszaniem informacji na temat niezwykłych, często cudownych zdarzeń. Gdyby wybrał niewłaściwe ucho do przekazania swych informacji, jego dni byłyby policzone.

- Wobec tego będziemy wybierać bardzo ostrożnie - mruknął Harry.

- Albo po prostu odpuśćmy to sobie i niech będzie, co ma być.

- Tych drzwi nie powinno się otwierać, Normo.

- Jesteś pewien?

- Cóż za głupie pytanie - odrzekł. - Oczywiście, że jestem pewien.

- To pocieszające - powiedziała Norma. - Pamiętasz, kiedy po raz pierwszy podjąłeś tę decyzję?

- To nie ja ją podjąłem. Tak mi po prostu powiedziano.

- Kto ci to powiedział?

- Nie wiem. Może Hess. Albo ty.

- Ja? Nie słuchaj mnie!

- W takim razie, kogo mam słuchać, do cholery?

- Mógłbyś zacząć od siebie - stwierdziła - Pamiętasz, co mi powiedziałeś kilka dni temu?

- Nie.

- O tym, że może nadszedł już czas, abyśmy przestali być ludźmi.



- A, o to ci chodzi...
  - Właśnie.
  - To było tylko takie gadanie...
  - Ale właśnie ono czyni twoje słowa prawdziwymi, Harry.
  - Nie rozumiem.
  - Może drzwi powinny być otwarte - zastanawiała się Norma. - Może powinniśmy patrzeć na to, co kryje się w naszych snach, tyle tylko, że z otwartymi oczami?
  - Wracamy do Freuda.
  - Bynajmniej - zaprzeczyła łagodnie. - Nic z tych rzeczy.
  - A jeżeli się mylisz? - mruknął. - Przypuśćmy, że pozostawienie drzwi otworem grozi jakąś katastrofą, i jeśli czegoś z tym nie zrobię...
  - Nastąpi koniec świata?
  - Właśnie.
  - Nie nastąpi. Nie może. Może się zmienić, ale końca świata jako takiego nie będzie.
  - Zakładam, że mam na to tylko twoje słowo?
  - Nie. Możesz zapytać o to własne komórki. One ci powiedzą.
  - Ostatnimi czasy ja i moje komórki prawie ze sobą nie rozmawiamy.
  - Może nie słuchasz dość uważnie - odparła Norma. - Pytanie brzmi: - Załóżmy, że świat się zmieni - i co z tego? Czy w obecnym stanie jest taki cudowny?
  - Może stać się o niebo gorszy.
  - I kto to mówi?
  - Ja. Ja tak mówię.
- Norma wyciągnęła rękę w stronę D'Amoura.
- Wyjdźmy na dach - poprosiła.
  - Teraz?
  - Teraz. Chciałabym odetchnąć świeżym powietrzem.

Weszli na górę. Norma owinęła się grubym, ciepłym szalem. Stanęli na dachu, osiem pięter nad Siedemdziesiątą Piątą Ulicą. Do świtu zostało jeszcze trochę czasu, ale miasto przygotowywało się już do nadchodzącego dnia. Mulatka objęła Harry'ego ramieniem i oboje stali dobrych pięć minut w zupełnym milczeniu, podczas gdy z dołu płynęły odgłosy ruchu ulicznego i zawodzenie syren. Od rzeki wiał silny, zimny wiatr. Wreszcie kobieta przerwała milczenie.

- Jesteśmy tak potężni - powiedziała. - I tacy słabi.

- My?

- Wszyscy. Potężni.

- Nie sądzę, aby większość ludzi podzielała twoje zdanie - odparł Harry.

- To dlatego, że nie odbierają sygnałów. Nie czują ich i sądzą, że są sami. W swych głowach, na świecie. Ja słyszę je przez cały czas. Duchy pojawiają się i przez cały czas narzekają na swą samotność, twierdzą, że są wręcz potwornie samotne. To uczucie bardzo im doskwiera. Mówię im wtedy - „Porzućcie to, czym jesteście...”

- Ale one nie chcą?

- Oczywiście, że nie.

- To też mi się nie podoba - rzekł Harry. - Sam jestem wszystkim, co mam. Nie chcę tego porzucać ani się tego wyzbywać.

- Powiedziałam: „porzuć to”, a nie „wyzbądź się tego” - poprawiła go. - To nie to samo.

- Ale kiedy nie żyjesz...

- Co to znaczy: „nie żyjesz”? - Norma wzruszyła ramionami. - Rzeczy się zmieniają, ale wcale się nie kończą. Już ci mówiłam.

- A ja ci nie wierzę. Chciałbym, ale nie wierzę.

- W tej sytuacji nie mogę cię przekonać - powiedziała. - Będziesz musiał sam do tego dojść, w ten lub inny sposób - Przynęła się do Harry'ego. - Od jak dawna się znamy? - zapytała.

- Już mnie o to pytałaś.

- I co odpowiedziałeś?

- Od jedenastu lat.

- Tyle czasu, he? - Znów zamilkła, tym razem mniej więcej na minutę. - Czy jesteś szczęśliwy, Harry? - spytała w końcu.

- O Jezu, nie. A ty?

- Wiesz, jestem szczęśliwa. - W głosie Normy pobrzmiwała nuta zdziwienia. - Lubię twoje towarzystwo, D'Amour. W innym czasie i miejscu moglibyśmy stworzyć niezłą parę, ty i ja. I może nawet tak było. - Roześmiała się cicho. - Może to dlatego mam wrażenie, jakbym znała cię dłużej niż jedenaście lat. - Zadrzała. - Robi mi się trochę chłodno - powiedziała. - Zabierzesz mnie na dół?

- Oczywiście.

- Wydajesz się taki zmęczony, Harry. Powinieneś przespać się kilka godzin. Mam w drugim pokoju materac.

- Dzięki, nie skorzystam. Wrócę do domu. Chciałem tylko z kimś pogadać.

- Niezbyt ci pomogłam, prawda? Pragnąłeś prostych odpowiedzi, lecz nie uzyskałeś ich ode mnie.

- Jest coś, czego ci nie powiedziałem.

- Co takiego?

- Prawie przeszedłem na drugą stronę.

- Przez drzwi?

- Tak.

- Czemu tego nie zrobiłeś?

- Po pierwsze, nie mogłem zostawić Teda samego. Poza tym... nie wiem, chyba się bałem, że nie będę mógł już tutaj powrócić.

- Kto wie, Harry, być może najlepsze podróże to te, w które wyrusza się bez biletu powrotnego - zauważyła Norma z tęsknotą w głosie. - Opowiedz mi o tym.

- O brzegu? Był piękny. - D'Amour wyobraził go sobie w myślach i mimo woli westchnął.

- Wobec tego wróc tam - zaproponowała Norma.

Harry przez chwilę nie odpowiadał, wpatrując się w roziskrzoną panoramę miasta. Na swój sposób była przepiękna, ale tylko widziana pod tym kątem, tylko nocą.

- Może faktycznie powinienem - mruknął.

- Jeśli myślisz o mnie, nie przejmuj się - powiedziała Norma. - Będzie mi ciebie brakować, ale jakoś sobie poradzę. Kto wie, może któregoś dnia podążę twoim śladem.

### 3

Wrócił do swego mieszkania, aby się przebrać (koszula, przesiąknięta krwią Teda, przylepiła mu się do piersi) i zabrać kilka niezbędnych rzeczy na drogę. Była to, rzecz jasna, czynność zgoła absurdalna, jako że nie miał pojęcia, co znajduje się po drugiej stronie, poza morzem, niebem i kamieniami.

Włożył do kieszeni portfel, chociaż wątpił, aby tam dolar stanowił walutę wymienialną. Włożył na rękę zegarek, aczkolwiek czas z pewnością był tam niedorzecznością. Nie zapomniał również o łańcuszku z krzyżykiem, pomimo iż słyszał, jakoby historia Chrystusa została odpowiednio spreparowana, by odwrócić uwagę od prawdziwej tajemnicy, której wkrótce miał stawić czoło. Następnie, gdy na zewnątrz budził się do życia nowy dzień, detektyw powrócił do budynku między ulicami - Trzynastą i Czternastą.

Drzwi, które niespełna dwanaście godzin temu sforsował dzięki Prodigile, były otwarte.

Przyświecając sobie latarką detektyw dotarł do schodów. Tam przystanął i przez sekundę nasłuchiwał. Już raz uniknął śmierci z rąk proroka. Druga próba wydała mu się kuszeniem losu. Nie usłyszał żadnych odgłosów, nawet najcichszego jęku. Zgasiwszy latarkę, zszedł po schodach w słabym świetle, które napływało od drzwi powyżej. Zanim dotarł na sam dół, owo światło wygasło zupełnie, ale pojawiło się nowe, dużo silniejsze, które jarzyło się w pomieszczeniu, gdzie odbyła się wczorajsza ceremonia. Krew jednego z uczestników, płynąca wprost z jego serca i głowy, uformowała olbrzymie kałuże, skąd biło liliowe światło, jak fosforescencja z czegoś gnijącego.

Harry przystanął u podnóża schodów, dopóki jego oczy nie przywykły do osobiwej poświaty. Po dłuższej chwili ujrzał scenę, na którą przygotowywał się możliwie najlepiej, a mimo to poczuł, iż krótkie włoski na karku uniosły mu się z wrażenia.

Widział już wcześniej wiele rodzajów śmierci, oglądał ją często, nawet zbyt często, i bardzo rzadko bywała ona przyjemna dla oka. Ciała porąbane i zgniłe, zepsute, z pogruchotanymi kończynami, pozbawione twarzy. Tu jednak nastąpiło coś dziwniejszego, dwakroć dziwniejszego. Miał przed sobą istoty, które uważał za bluźnierców, za czcicieli Antychrysta. Istoty tak różne od niego, jak te tutaj, w jego mniemaniu należało uważać za podejrzane. Z doświadczenia D'Amour wiedział, iż stworzenia tego rodzaju bywają złe, zdegenerowane i szalone. Kiedy jednak ujrzał tę potworną scenę, nie potrafił myśleć z ulgą czy zadowoleniem o masowej śmierci uczestników ceremonii. Może byli niewinni, a może nie - nigdy się nie dowie. Wiedział tylko, że w ubiegłym tygodniu mówił o pokonaniu czegoś, co, jak ongiś przypuszczał, stanowiło dla jego gatunku nieprzekraczalną granicę. Nie był już w stanie drwić z żadnej formy; zyskał świadomość, że może ona kiedyś stać się jego własną. Wszystko było możliwe. Może, niczym płód, który przypomina gada i ptaka, nim osiągnie ludzki kształt, on sam raz jeszcze powróci do owych poprzednich stanów. W tej sytuacji tu, wokół niego, w ciemności, spoczywaliby jego krewniacy.

Detektyw spojrział ponad trupami, w stronę głównej części pomieszczenia. Mimo iż włókna przestały już świecić, na niektórych wciąż jeszcze wisiały cienkie jak mgiełka zasłony. Nie kryły one jednak braku czegoś, co jeszcze niedawno znajdowało się między nimi. Otwór wiodący na brzeg Quiddity zniknął.

Potykaç się o trupy, Harry podszedł do miejsca, gdzie przedtem było przejście, z każdym krokiem łudząc się, że zwyczajnie wzrok go zawodzi. Na próżno. Prorok, znalazłszy się po drugiej stronie, zamknął szczelinę i nie pozostał po niej nawet ślad.

- Cholera - mruknął Harry.

Był już tak blisko, stał na progu cudownego świata, gdzie być może udałoby mu się

rozwikłać zagadkę istnienia i zamiast wykorzystać szansę, odrzucił ją. Skupił się na czymś innym i utracił ją. Czy to właśnie jest przeznaczenie, o którym mówiła Norma? To, że D'Amour pozostał tu, wśród trupów, podczas gdy cudowny pociąg odjechał bez niego?

Adrenalina, która dotąd go napędzała, przestała działać i pod Harrym zaczęły uginać się nogi. Pora iść, najwyższy czas, aby pogrzebać smutki i frustracje na dobrych kilka godzin w śnie. Może później, kiedy nieco uporządkuje myśli, zdoła wyłuskać z tego wszystkiego jakiś sens.

Opuścił tę potworną rzeźnię i wrócił na górę. Kiedy jednak znalazł się u szczytu schodów, coś wyłoniło się spośród cieni i zastąpiło mu drogę. Najwyraźniej ktoś uszedł jednak cało z masakry dokonanej przez proroka. Detektyw miał przed sobą istotę, która choć przeżyła, wciąż wyraźnie balansowała na granicy śmierci. Ujrzał okropną ranę, ciągnącą się od piersi po biodro stworzenia, brzegi jej pokrywała krzepnąca, kleista krew. W płaskiej jak deska, pozbawionej ust i warg twarzy błyszczały złociste oczy.

- Znam cię - powiedział ranny niskim, świszczącym głosem. - Byłeś obecny przy ceremonii.

- To prawda, byłem.

- Dlaczego wróciłeś?

- Chciałem przejść przez drzwi.

- Tak jak my wszyscy - mruknął, nachylając się do Harry'ego. Oczy mu rozbłysły i dziwnie zamigotały, jakby usiłowały przejrzeć detektywa na wylot. - Nie jesteś jednym z nas - stwierdził.

- Nie, nie jestem... - Harry nie widział powodu, by skłamać.

- Przyszedłeś z nim. - Och, na 'shu...? - stwór cofnął się gwałtownie, unosząc obie ręce do twarzy, by ją osłonić.

- Nie, nie - zaoponował Harry. - Nie byłem z nim. Przysięgam.

Pokonał kilka ostatnich stopni schodów i zaczął iść w stronę nieszczęśnika. Ten zbyt słaby, by mógł uciec, osunął się ciężko na ziemię i oparty plecami o ścianę przejmująco zaszczołał.

- Zabij mnie - poprosił. - Jest mi wszystko jedno. Nic już nie pozostało.

Harry przykucnął na wprost rannego.

- Posłuchaj mnie przez chwilę. Uwierz, nie przyszedłem z tym kimś, o kim mówisz...

- Z Kisooneem?

- Co?

Stwór spojrział na Harry'ego spomiędzy połączonych błoną palców.

- Znasz go.

- Kisoona, którego znam, nie żyje - odparł D'Amour. - A przynajmniej tak mi się wydawało.

- Zamordował naszego Błogosławionego i zjawił się na ceremonii w jego ciele. Dlaczego?

Przynajmniej na to pytanie Harry musiał odpowiedzieć.

- Aby dostać się do Quiddity.

Tamten pokręcił głową.

- On nie odszedł - powiedział. - Zamknął tylko drzwi.

- Jesteś pewny?

- Widziałem na własne oczy. Dlatego wiem, że to Kisoona.

- Wyjaśnij.

- Kiedy drzwi się zamknęły, w ostatniej chwili światło przeniknęło wszystko - cegły, zasłony, umarłych - i przez mgnienie oka wydawało mi się, że dostrzegam prawdziwą naturę rzeczy. Spojrzałem na niego, na człowieka, którego uważałem za naszego Błogosławionego, i ujrzałem innego mężczyznę, ukrytego w jego ciele.

- Skąd wiedziałeś, że to Kisoona?

- Kiedyś chciał się do nas przyłączyć. Powiedział, że jest wygnańcem, jak my i chciał wrócić z nami do domu, do Quiddity. - Kiedy stwór wymówił to słowo, zadrżał i z oczu popłynęły mu kolejne łzy.

- Wiesz, co jest dziwne? - spytał z cichym, gorzkim śmiechem. - Nigdy tam nie byłem. Jak większość z nas. Jesteśmy dziećmi dzieci ich dzieci. Żyliśmy i umarliśmy za coś, co znaliśmy wyłącznie z opowieści.

- Wiesz, dokąd on mógł pójść?

- Kisoona?

Harry skinął głową.

- Tak, wiem. Poszedłem za nim do jego kryjówki.

- Chciałeś go zabić?

- Oczywiście. Kiedy jednak tam dotarłem, nie miałem już sił. Wiedziałem, że gdybym stawił mu czoło w tym stanie, zniszczyłby mnie. Wróciłem tu, aby się przygotować.

- Powiedz mi, gdzie on jest. Pozwól, że cię wyręcę.

- Nie wiesz, co on potrafi.

- Słyszałem - odrzekł Harry. - Uwierz mi, słyszałem.

- I uważasz, że jesteś w stanie go zabić?

- Nie wiem - odpowiedział, przypominając sobie w myślach portret - dzieło Teda. Gniewne niebiosa, przesiąknięta zgnilizną ulica i czarny wąż pod obcasem buta. To Kissoon był tym wężem, tylko pod inną postacią. - W swoim czasie pokonałem kilka demonów.

- On nie jest demonem - odparł ranny. - Jest człowiekiem.

- To dobrze, czy źle?

Stwór spojrzał nań posępnym wzrokiem.

- Sam wiesz najlepiej.

Oczywiście, że to źle.

Demony były istotami prostymi, wierzyły w modlitwę i moc święconej wody. I dlatego pierzchały przed jednym i drugim. Ludzie zaś... w co wierzyli ludzie?

#### 4

Stwór podał Harry'emu adres w Morningside Heights, przy Sto Dziesiątej i ósmej Alei. Był to pospolity, nie rzucający się w oczy budynek, wymagający remontu. W oknach na dole nie było zasłon. D'Amour zajrzał do środka. Pokój okazał się pusty, żadnych obrazów na ścianach, dywanów, mebli - niczego. Zanim jeszcze detektyw dotarł do frontowych drzwi i stwierdziwszy, że są lekko uchylone, wszedł do spowitego szarością wnętrza, wiedział już, że się spóźnił. Dom był pusty - lub prawie pusty.

Pozostały w nim ślady bytności Kissoona. U szczytu schodów w kałuży własnej, rozkładającej się materii leżał średniej wielkości liks. Uniósł łeb, kiedy Harry podszedł bliżej, ale ponieważ w pobliżu nie było jego twórcy, nie zdołał zachować równowagi i osunął się po stopniach, pozostawiając na każdym plamy i kawałki odchodów. Harry podążył za śladami fekaliów do pokoju zajmowanego ostatnio przez Kissoona. Przypominał on melinę albo legowisko bezdomnego. Podłoga zarzucona była gazetami, pod brudnym oknem leżał cuchnący wilgocią materac, a tuż przy nim stosik otwartych, opróżnionych puszek i talerzy, na których gniły resztki jedzenia, opodał liczne butelki po alkoholu. Jak w pijackiej norze.

Tylko jedno mogło świadczyć o zamiarach człowieka, który przelewał tutaj pot i tworzył z odchodów liksy. Na ścianie za drzwiami wisiała mapa Stanów Zjednoczonych z naniesionymi przez Kissoona znakami i adnotacjami.

D'Amour zdjął mapę ze ściany i podszedł do okna, by jej się przyjrzeć. Kissoon miał fatalny charakter pisma, a do tego posługiwał się dziwnym językiem, który wydawał się Harry'emu mieszaniną łaciny i rosyjskiego, niemniej jednak nie ulegało wątpliwości, że w

całym kraju około tuzina miejsc miało dla czarownika ogromne znaczenie. Nowy Jork i okolice zyskały najwięcej przypisów, nieco mniej obszar w południowo-zachodniej części Dakoty Północnej i drugi, w Arizonie. Detektyw złożył mapę i wsunął do kieszeni. Następnie szybko, lecz dokładnie przeszukał resztę pokoi, w nadziei, że odnajdzie jakieś ślady, które doprowadzą go do celu, do którego dążył Kissoon, i pozwolą poznać metody, jakimi zechce ów cel osiągnąć. Nie natrafił jednak na nic, co mogłoby go zainteresować, z wyjątkiem kompletu dziwacznych kart do gry. Najwyraźniej były one wykonane ręcznie i Harry widział, że często ich używano. Przetasował je. Naliczył około dwudziestu sztuk, każda oznaczona innym, prostym symbolem - kręgiem, rybą, ręką, oknem, okiem. Karty również schował do kieszeni, choć nie za bardzo wiedział, do czego mogłyby mu się przydać, po czym minąwszy gnijącego liksa opuścił budynek.

Dopiero później, kiedy rozłożył karty na podłodze w swoim biurze zorientował się, co przedstawiają. Kiedyś Tesla Bombeck opowiadała o medalionie pokrytym symbolami, których znaczenie rozszyfrowała w jaskiniach pod Palomo Grove. Centralnie umieszczona była na nim postać ludzka - rysunek ten twórca talii. Kissoon, podzielił na dwie części, na wysokości torsu; ręce i nogi zaś były rozłożone szeroko. Pozostałe znaki również były odwzorowane tak samo jak na medalionie. O ile Harry dobrze przypominał sobie słowa Tesli, nad głową postaci wznosiły się cztery symbole uosabiające dążenie człowieka do jedności. Poniżej cztery dalsze przedstawiały jego powrót do prostoty stadium pojedynczej komórki. Obok lewej ręki, która miała emanować energią lub może broczyć krwią, znajdowały się symbole wiodące do kręgu z obłokiem - Kosmosu. Przy prawej, która tak jak lewa stanowiła źródło emanacji, umieszczono znaki wiodące do pustego kręgu - tajemnicy lub być może świętej nicości Metakosmosu.

Harry ułożył znaki zgodnie z zaleceniami Tesli, zastanawiając się do czego mogły służyć Kissoonowi. Czyżby grał w jakąś grę? Układał metafizycznego pasjansa, aby mieć jakieś zajęcie, gdy snuł kolejne plany? A może było to coś mniej podniecającego, na przykład sposób przepowiadania lub wręcz wpływania na procesy opisywane przez talię.

Wciąż się nad tym głowił, gdy zadzwonił telefon. W słuchawce odezwała się Norma.

- Włącz wiadomości - powiedziała.

Na ekranie pojawił się obraz strawionego pożarem budynku, w tle słychać było komentarz dziennikarza. W piwnicy domu odkryto kilka ciał. Mimo iż liczba ich nie została jeszcze podana oficjalnie, podobno z pogorzelniska wyniesiono dwadzieścia jeden zwłok. Prawdopodobnie nikt nie ocalał.



- Czy to jest to, o czym myślę? - spytała Norma.  
- Tak, to ten dom - odrzekł Harry. - Powiedzieli coś na temat stanu zwłok?  
- Tylko, że większość z nich była spalona i niemożliwa do rozpoznania. Przypuszczam, że to wygnańcy.

- Tak.

- To było aż tak oczywiste?

- Bardzo.

- Zacznie się śledztwo, pojawią się pytania - zauważyła sucho Norma.

- Odłożą sprawę *ad acta* i będą udawać, że to nigdy się nie wydarzyło - stwierdził Harry. Niezliczoną ilość razy widział, jak działa machina dezinformacji i tuszowania śladów. Racjonalnie myślący ludzie w przypadku czegoś, co było jawnie irracjonalne, postępowali w jeden określony sposób - udawali, że tego nie dostrzegają. - Było tam jeszcze coś, Normo. Albo raczej ktoś.

- Kto?

- Kissoon.

- Niemożliwe.

- Przysięgam.

- Widziałeś go? W jego własnym ciele?

- Właściwie był w ciele kogoś innego - odrzekł Harry - ale jestem prawie pewien, że to on.

- Przewodził Zakonowi?

- Nie. To on dokonał masakry. Tamci mieli otwarte drzwi do Quddity. Jedno z nich powiedziało, że takie przejście nazywa się Neirica.

- To właśnie znaczy „przejście” - wyjaśniła Norma. - Przejście do świętej mądrości i wiedzy.

- On je zamknął - odrzekł Harry.

Nastała chwila ciszy, podczas gdy kobieta analizowała w duchu tę informację.

- Poczekaj, pozwól, że trochę to wszystko uprosczę: Otworzyli Neirikę, a on ich wymordował i przeszedł na...

- Nie.

- Wydawało mi się, że powiedziałaś...

- Powiedziałem, że je zamknął. Nie przeszedł na drugą stronę. Wciąż przebywa w Nowym Jorku.

- Odnalazłeś go?

- Nie. Ale odnajdę.

## Rozdział III

### 1

Tego samego dnia później Harry wrócił na Morningside Heights i przez kolejne trzy doby obserwował dom w nadziei, że dopadnie Kissoona. Nie miał bliżej sprecyzowanego planu, jak należałoby tego dokonać, ale pocieszał się trochę faktem, że zdobył jego mapę i talię kart. Podejrzewał, że obie te rzeczy miały dla Kissoona jakieś znaczenie. Zabijając Harry'ego ryzykował, iż nigdy by ich nie odzyskał.

W każdym razie takie było założenie.

Jak się okazało, zarówno oczekiwania jak i wszelkie kalkulacje D'Amoura spełzły na niczym. Po trzech dniach niemal ciągłej obserwacji, nie doczekawszy się Kissoona, Harry wrócił do jego mieszkania. Liks u podnóża schodów zmienił się w zaschniętą brudną plamę. Sypialnia została starannie przetrząśnięta - najwidoczniej Kissoon szukał swoich kart. Raczej wątpliwe, aby raz jeszcze tu wrócił - skostatował detektyw. Zrobił, co miał do zrobienia, i wyruszył w dalszą drogę.

Następnego dnia detektyw wyruszył do Północnej Dakoty i tak rozpoczął się pościg, który miał wypełnić kolejnych siedem tygodni jego życia. Jedyną osobą, której o tym powiedział, była Norma i pomimo że zasypywała Harry'ego pytaniami, nie podał jej żadnych szczegółów - z obawy, iż Kissoon mógł mieć wśród umarłych swego agenta. Kusiło Ho, by zadzwonić do Grilla, lecz koniec końców nie zrobił tego. Nigdy nie miał pewności co do planów tamtego, ba, tak naprawdę nie wiedział nawet, po której jest on stronie. Gdyby Harry poprzez Rafę podzielił się z Grillo choć częścią posiadanych informacji w nadziei, że uda mu się odnaleźć Kissoona, musiałby liczyć się z ewentualnością, że mogą one za pośrednictwem systemu dotrzeć do wroga. Lepiej zniknąć bezgłośnie, figując niedyspozycję lub nawet własną śmierć.

Harry spędził w Dakocie jedenaście dni, najpierw w Jamestown, potem w Napoleon i Wishek, gdzie przypadkiem natrafił na ślad prowadzący na zachód, do Badlands. Tam, w okresie potwornych upałów, które nawiedziły tę okolicę w końcu lipca, stwierdził, że Kissoon wyprzedzał go zaledwie o dzień lub dwa i że po drodze urządził jeszcze jedną masakrę. Tym razem nie było pożaru, który mógłby ukryć osobliwości zwłok i w niedługim czasie

donesienia na temat rzezi starannie wyciszono. D'Amour zdobył jednak dość informacji, by nabrać pewności, że Kisoona dokonał tu identycznego mordu jak w Nowym Jorku - wyszedł i unicestwił kolejną grupę wygnańców z Quiddity. Czy ci również zamierzali właśnie otworzyć drzwi do Metakosmosu, tego nie udało mu się stwierdzić - niemniej przypuszczał, że tak. W przeciwnym razie dlaczego Kisoona miałby zadawać sobie trud, aby ich znaleźć i wyrzynać w pień?

Ta myśl pociągnęła za sobą pytanie, które nie sprecyzowane kołatało mu się w głowie, odkąd wyjechał z Nowego Jorku. Dlaczego, po tylu latach na wygnaniu, ludzie ci właśnie teraz starali się powrócić do Quiddity? Czy odkryli jakieś zaklęcie, którego wcześniej nie znali, otwierające przejście do innego świata tam, gdzie dotąd były solidne, niewzruszone mury? A może owe mury z jakiejś przyczyny skruszały, stały się coraz cieńsze, w miarę jak z wolna zacierała się granica pomiędzy naszym światem a Metakosmosem?

Upał bynajmniej nie wprawił Harry'ego w lepszy nastrój. Zatrzymawszy się na dłużej w Wishek, w nadziei, że odkryje, dokąd udał się stamtąd Kisoona, zaczął mieć osobliwe lęki i halucynacje. Dwukrotnie w ciągu dwóch dni wydawało mu się, że dostrzegł Kisoona idącego ulicą, ale gdy puszczał się za nim w pościg, widmowa postać znikała za najbliższym rogim, gdzie jakby rozplywała się w powietrzu. O zmierzchu zaś, gdy materialny świat stawał się wątpliwy, miał wrażenie, że cienie falują i przemieszczają się, jakby ów mrok był najsłabszym punktem w murze Kosmosu i na jego powierzchni zaczynały pojawiać się pęknięcia.

Detektyw szukał pocieszenia u otaczających go ludzi - twardych, prostych mężczyzn i kobiet, którzy wybrali ten surowy, mało zabawny zakątek świata, by nazwać go swym domem. Niewątpliwie dysponowali zasobami zdobytych ciężkim wysiłkiem prawd, które pomogłyby Harry'emu utrzymać na dystans nękające go majaki. Nie mógł naturalnie poprosić o radę wprost (już samą obecność obcego znosili z jawną podejrzliwością), niemniej przysłuchiwał się swobodnie ich rozmowom, w nadziei, że wychwyci przesycone mądrością słowa, by móc potem użyć ich przeciwko atakującemu go szaleństwu. Owe starania pozostawały jednak bez efektu. Ludzie za dnia krążyli leniwie, z posępnymi, smutnymi twarzami i uczuciami zamkniętymi w lochach ich dusz. Wiezorami zaś mężczyźni pili (często nabierając skłonności do przemocy), podczas gdy kobiety siedziały w domach i oglądały głupawe, otępiające umysły, tasiemcowe seriale.

Z niejakim zadowoleniem D'Amour dotarł w końcu do Minnesoty. Jak przeczytał w gazecie, niedawno koło Duluth popełniono mord rytualny i miał nadzieję, że to dzieło Kisoona. Rozczarował się jednak, w dzień po jego przyjeździe członkowie sekty - dwaj

bracia i kochanka ich obu, cała trójka cierpiąca na poważne zaburzenia psychiczne - zostali aresztowani i przyznali się do popełnienia tej zbrodni.

Ślad stygł z godziny na godzinę, a Harry zastanawiał się, czy nie pojechać do Nebraski, by odwiedzić Grillo w Omaha. Nie miał na to zbyt wielkiej ochoty - w uszach detektywa wciąż pobrzmiwały pełne pogardy i ironii słowa tamtego - ale coraz silniej czuł, że nie ma wyboru. Postanowił następnego dnia zadzwonić do Grillo. W końcu, opróżniwszy pół butelki szkockiej, zatelefonował doń pod wpływem impulsu, lecz jak się okazało, Grillo nie było w domu. Nie zostawił mu wiadomości z obawy, by nie została przejęta przez niewłaściwą osobę. Zamiast tego dopił szkocką i położył się do łóżka pijany tak, jak nie był od dobrych paru lat.

I śnił - że ponownie znalazł się na Wyckoff Street, w tamtym odrażającym pokoju, z demonem, który właśnie uśmiercił ojca Hessa; jego ciało żarzyło się niczym węglem na wietrze, to przygasając, to jaśniejąc w poszarzałym świetle.

Podczas długich godzin ich konfrontacji tamten nazywał siebie wieloma imionami - Hammermite, Piotr Wędrowiec, Lazy Susan. Pod koniec jednak, ze zmęczenia lub ze znużenia, porzucił swe pozostałe wcielenia, pozostając przy jednym.

Jestem D'Amour - powtarzał raz po raz. - Jestem tobą, a ty jesteś miłością i to wprawia ten świat w ruch.

Powtarzał owo nonsensowne zdanie dwieście, trzysta razy, za każdym razem nieco inaczej, z nową werwą, jakby wygłaszał kazanie z ambony, jak zaproszenie do łóżka, jak fragment piosenki, aż słowa wryły się w umysł Harry'ego do tego stopnia, że wiedział, iż pozostaną w nim już na zawsze.

Obudził się dziwnie uspokojony tym snem. Zupełnie jakby jego podświadomość uzyskała połączenie niemożliwe dla świadomości i cofnąwszy się w czasie do owego przerażającego wydarzenia, jąła postrzegać je jako źródło mądrości i wiedzy.

Z bółą głową pojechał na poszukiwanie całodobowej kafejki i odnalazł jedną przy autostradzie, a potem przesiedział przy stoliku do świtu, zastanawiając się nad sensem dziwnego zdania. Wiele znacznie przyjemniejszych wspomnień zgasło w jego umyśle, odchodząc w otchłań wiecznego zapomnienia, ale tamte słowa demona wciąż uparcie tkwiły w pamięci.

„Jestem tobą” powiedział. Cóż, to wydawało się dość proste. Jakież piekielny uwodziciel nie próbował zamieszać swej ofierze w głowie ideą, że wszystko to było jedynie igraszką z lustrami?

„A ty jesteś miłością” - wymamrotał. To zdanie również nie wymagało głębokiego

namysłu. Bądź co bądź nazywał się D'Amour.

„I to wprawia ten świat w ruch” - szeptał. Banał, rzecz jasna, pozbawiony sensu z racji wielokrotnego powtarzania. Po dokładniejszym przemyśleniu tego stwierdzenia uznał, że nie wносиło ono niczego nowego.

A jednak w tym zdaniu tkwiło ukryte znaczenie - detektyw nie miał wątpliwości. Słowa stanowiły pułapkę, w której przynętą był okruch myśli. Nigdy nie zdołał pojąć, czym był ów sens - owo znaczenie. Zastanawianie się nad nim o świcie przy sześciu kawach i jajecznicy na bekonie, również nie przyniosło rozwiązania.

Musiał po prostu brnąć naprzód, wierząc, że los doprowadzi go w końcu do Kissoona.

Nieco pokrzepiony, powrócił do motelu i raz jeszcze obejrzał mapę zabraną z meliny w Morningside Heights.

Dostrzegł jeszcze kilka innych miejsc, które Kissoon uznał za warte zaznaczenia, mimo iż żadne nie dorównywało, rzecz jasna, Nowemu Jorkowi czy Jamestown. Jedno znajdowało się na Florydzie, drugie w Oregonie, dwa były w Arizonie i jeszcze około sześciu czy siedmiu innych, pomniejszych. Skąd powinien zacząć?

Wybrał Arizone, a to dlatego, że kochał kiedyś kobietę, która urodziła się i dorastała w Phoenix.

## 2

Podróż zajęła Harry'emu pięć dni i w końcu znalazł się w Mammoth w Arizonie, gdzie na rogu ulicy jakaś kobieta zawołała go po nazwisku.

Jej głos brzmiał jak szum wody przepływającej po kamieniach. Była drobniutka, miała skórę jak wielokrotnie używany papier pakowy i oczy osadzone tak głęboko, że D'Amour nie umiał powiedzieć, czy w ogóle na niego patrzyła.

- Jestem Maria Lourdes Nazareno - oznajmiła. - Czekam na ciebie już szesnaście dni.

- Nie sądziłem, że ktoś tutaj może się mnie spodziewać - odrzekł detektyw.

- Zawsze - odpowiedziała kobieta. - *A propos*, jak tam Tesla?

- Znasz ją?

- Spotkałam ją na tym samym rogu ulicy przed trzema laty.

- Interesujące miejsce - zauważył Harry. - Czy jest tu coś szczególnego?

- Tak - odrzekła kobieta z cichym chichotem. - Ja. Co u niej słychać?

- Tak samo zwariowana jak zawsze - stwierdził.

- A ty? Czy też jesteś szalony?

- Bardzo możliwe.

Ta odpowiedź wyraźnie zadowoliła kobietę. Uniosła głowę i D'Amour po raz pierwszy ujrzał jej oczy. Tęczówki upstrzone były drobnymi, złotymi plamkami.

- Dałam Tesli rewolwer - ciągnęła. - Czy nadal go ma? - Harry nie odpowiedział. - D'Amour?

- Czy jesteś tym, czym myślę, że jesteś? - wyszeptał.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wiesz doskonale.

Ponownie się uśmiechnęła.

- Zdradziły mnie oczy, prawda? Tesla nie zwróciła na nie uwagi. Myślę jednak, że była tego dnia na dużym haju.

- Czy jest was wielu?

- Nie. Powiedziałabym, że bardzo mało - odrzekła Maria. - Poza tym większość z nas stanowią Sapas Humana. Jest jednak maleńka cząstka - pokazała dwoma palcami - drobniotka cząstka mnie, do której wciąż przemawia zew Quiddity. To czyni mnie wiedzącą.

- Jak?

- Pozwala mi widzieć ciebie i Teslę, gdy przybywacie tutaj.

- Czy to wszystko, co widzisz?

- Dlaczego? Chodzi ci o coś konkretnego?

- Tak.

- O co?

- O Kissoona.

Kobieta wyraźnie się wzdrygnęła

- A więc to o niego ci chodzi.

- Jest tutaj?

- Nie.

- Był?

- Nie. Dlaczego? Spodziewasz się go?

- Obawiam się, że tak.

Kobieta wyraźnie się zaniepokoiła.

- Sądziłyśmy, że będziemy tu bezpieczni - powiedziała. - Nie próbowaliśmy otworzyć Neiriki. Nie mamy tyle mocy. Sądziłyśmy, że nas nie odnajdzie.

- Obawiam się, iż wie, że tu jesteście.

- Muszę już iść. Trzeba ostrzec wszystkich. - Ujęła Harry'ego za rękę wilgotnymi od

potu dłońmi. - Dziękuję. Postaram się ci jakoś odwdziżyć.

- Nie ma potrzeby.

- Ależ jest - powiedziała i zanim Harry zdążył powiedzieć coś jeszcze, przebiegła na drugą stronę ulicy i już jej nie było.

Został w Mammoth na noc, mimo iż był pewien, że ta kobieta, Maria Lourdes Nazareno, mówiła prawdę i Kissoona nie ma w pobliżu. Zmęczony po tyłu tygodniach w drodze, wcześniej się położył, ale tuż po pierwszej obudziło go głośne pukanie do drzwi.

- Kto tam? - wymamrotał, szukając włącznika światła.

W odpowiedzi nie usłyszał nazwiska, lecz adres. - Jeden dwa jeden, Spiro Street - powiedział cichy, świszczący głos.

- Maria? - zapytał i z pistoletem w dłoni podszedł do drzwi, lecz zanim zdążył je otworzyć, tajemniczy nocny gość zniknął.

D'Amour ubrał się, zszedł do holu i wypytał nocnego portiera, jak dojechać do Spiro Street. Ulica, o którą mu chodziło, znajdowała się na obrzeżach miasta, a domy stojące przy niej były tak zaniedbane, że zdumiał się, stwierdziwszy, iż są zamieszkane. Na podjazdach stały zżerane przez rdzę auta, na placykach, gdzie kiedyś były trawniki, piętrzyły się worki ze śmieciami. Dom o numerze 1-2-1 był w nieco lepszym stanie, lecz również pozostawiał wiele do życzenia. Uspokojony ciężarem broni, Harry podszedł do frontowych drzwi. Były lekko uchylone.

- Maria? - powiedział. Cisza była tak głęboka, że nie musiał podnosić głosu.

Odpowiedzi nie było. Zawoławszy ponownie, pchnął drzwi, otwierając je na oścież. Na wyświechtanym dywanie stał talerz, otoczony paciorkami, a na nim gruba, biała świeca. Przed talerzem klęczała Maria. Miała zamknięte oczy.

- To ja - odezwał się do niej Harry. - Czego chcesz?

- Teraz niczego. - Rozległ się nieznany głos za jego plecami. Detektyw sięgnął po broń, ale zanim zdążył ją wyjąć, zimna dłoń zacisnęła się na jego potylicy.

- Nie - powiedział krótko obcy głos.

D'Amour pokazał, że nie ma nic w rękach.

- Dostałem wiadomość... - zaczął.

- Ona chciała spotkać się z tobą - odezwał się inny głos, głos posłańca.

- Świetnie. Oto jestem.

- Spóźniłeś się - rzekł pierwszy mężczyzna. - On odnalazł ją pierwszy.

Harry poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Uważniej przyjrzał się Marii - nie



dostrzegł oznak życia.

- Jezu...

- Jawna bezbożność - rzekł posłaniec. - Maria mówiła, że jesteś świętym człowiekiem, ale ja mam odmienne zdanie.

Dłoń na potylicy Harry'ego zacisnęła się jeszcze bardziej i detektyw przez chwilę miał wrażenie, że lada moment pęknie mu czaszka. Wreszcie jego oprawca wysyczał powoli:

- *Ja jestem tobą, a ty jesteś miłością...*

- Przestań! - warknął Harry.

- Czytam tylko w twoich myślach, D'Amour - odrzekł mężczyzna. - Usiłuję ustalić czy jesteś naszym przyjacielem, czy wrogiem. •

- Ani jedno, ani drugie.

- Czy wiesz, że jesteś Zwiastunem Śmierci? Najpierw Nowy Jork...

- Szukam Kiskoona.

- Wiemy - padła odpowiedź. - Powiedziała nam. Właśnie dlatego wysłała swego ducha, aby go odnalazł. O tym właśnie śnisz, czyż nie?

- Czasami...

- Żałosne.

- Po tym jak wiele bólu i cierpień przysporzył waszemu ludowi, sądziłem, że będziecie szczęśliwi, mogąc mi pomóc.

- Maria umarła, próbując ci pomóc. Poświęciła życie naszej sprawie. Była naszą matką, D'Amour.

- Och... przykro mi. Uwierzcie, że nie chciałem, aby to się stało.

- Wiedziała, czego pragnąłeś, lepiej niż ty sam - odrzekł posłaniec. - I dlatego wyruszyła, by go odnaleźć. Przybył tu za nią i wyssał jej duszę, ale znalazła go.

- Czy zdążyła wam powiedzieć, gdzie on się obecnie znajduje?

- Tak.

- Czy powiecie to mnie?

- Ależ jesteś zapalczywy! - zauważył ten, który trzymał Harry'ego za głowę, nachylając się doń.

- Na litość boską, on zabił waszą matkę! - mruknął detektyw. - Nie pragniecie jego śmierci?

- To, czego chcemy, nie ma żadnego znaczenia - odparł drugi syn. - Nauczyliśmy się tej prawdy już dawno.

- W takim razie pozwólcie, że ja będę pragnął tego za was - powiedział Harry. -

Pomóżcie mi tylko znaleźć sposób na wykończenie tego sukinsyna.

- Cóż za serce, tak bardzo przepełnione żądzą mordu! - wymamrotał ten, który stał tuż przy nim. - Gdzie podziała się teraz twoja metafizyka? „Ja jestem tobą, a ty jesteś miłością...”

- To nie ja - zaprzeczył detektyw.

- Wobec tego, kto?

- Gdybym to wiedział...

- Gdybyś to wiedział?

- Może nie byłoby mnie tutaj, gotowego odwalić za was całą brudną robotę.

Nastała długa cisza. W końcu posłaniec rzekł:

- Cokolwiek stanie się później...

- Tak?

- Czy ty zabijesz jego, czy on ciebie...

- Pozwól, że zgadnę: Nie wracaj tutaj.

- Doskonale.

- Umowa stoi.

Kolejna chwila ciszy. Płomyk świecy stojącej przed Marią zatrzepotał.

- Kissoon jest w Oregonie - oznajmił posłaniec. - W mieście zwanym Everville.

- Jesteście pewni? - Żaden nie odpowiedział. - Chyba jesteście.

Dłoń wciąż zaciskała się na potylicy Harry'ego, mimo iż obaj synowie trwali w zgodnym milczeniu.

- Jeszcze coś? - zapytał D'Amour.

Znów cisza.

- Skoro skończyliśmy, chciałbym już wrócić do siebie, rano muszę wstąpić.

Wciąż panowała cisza. W końcu Harry odwrócił się i delikatnie dotknął potylicy. Dłoń tamtego zniknęła, pozostało po niej tylko nieprzyjemne uczucie trwającego nadal kontaktu. Detektyw rozejrzał się wokoło. Po obu synach Marii nie pozostał żaden ślad.

Zdmuchnął świecę stojącą przed martwą kobietą i krótko pożegnał się z Marią Lourdes. Następnie wrócił do hotelu i opracował plan wyprawy do Everville.

# **Część piąta**

## **Parada**

# Rozdział I

## 1

Nie po raz pierwszy w mrocznych latach od czasu Pętli Tesla śniła o pchłach. O istnym tsunami pcheł, które unosiło się nad Harmon's Heights, niosąc na swej fali szczątki Ameryki, które kołysały się, gotowe w każdej chwili runąć w otchłań. W tym posępnym czasie Everville stało się miastem-laguną. Main Street zmieniła się w rzekę pcheł; pływały po niej od domu do domu prowizoryczne tratwy, niosące ratunek ludziom zagrożonym nadciągającą falą.

Kilkoro osób najwyraźniej ją znało, mimo iż ona nie rozpoznawała nikogo.

- To ty! - mówili, wytykając ją palcami, gdy płynęła wzdłuż ulicy w skrzypiącej łódce. - Ty to zrobiłaś! Ty i małpa! (Miała na ramieniu małpkę, ubraną w kamizelkę i czerwony filcowy kapelusik). Przyznaj się! Ty to zrobiłaś!

Zaprotestowała, twierdząc, że jest niewinna. Tak, wiedziała o nadejściu fali. I tak, być może marnowała czas na wędrówki, podczas gdy powinna była ostrzec świat. Ale to nie jej wina. Była ofiarą okoliczności, jak oni wszyscy. To nie...

- Tesla? Obudź się! Posłuchaj. Obudź się, dobra?

Uniosła powieki i ujrzała nad sobą uśmiechniętą od ucha do ucha Phoebe.

- Wiem, gdzie on jest. I wiem, jak się tam dostał.

Tesla usiadła, wytrząsając z głowy ostatnie pchły.

- Joe?

- Oczywiście, że Joe. - Phoebe przysiadła na brzegu sofy. Była rozdygotana. - Spędziłam z nim ubiegłą noc.

- O czym ty mówisz?

- Początkowo sądziłam, że to sen, ale tak nie było. Wiem, że to nie sen. Widzę to tak wyraźnie, jak wtedy, gdy tam byłam.

- Gdzie?

- Z Joem.

- Tak, ale g d z i e, Phoebe?

- Ach, tak. W Quiddity.

Początkowo Tesla zamierzała potraktować opowiadanie Phoebe, jako zwykłe senne

marzenie, lecz im więcej mówiła, tym bardziej jej historia stawała się prawdopodobna

- *A nie mówiłem?* - mruknął Tesli do ucha Ralf, kiedy Phoebe dotarła do fragmentu o drzwiach na szczycie Harmon's Heights. *A nie mówiłem, że na tej górze coś jest?*

Skoro są tam drzwi... pomyślała.

*To tłumaczy, czemu całe cholerne miasto dostaje kręćka.*

- Muszę pójść tam, na górę - ciągnęła Phoebe. - Czas przejść przez te drzwi, aby odnaleźć Joego. - Złapała Teslę za rękę. - Pomożesz mi, prawda? Powiedz, że tak.

- Tak, ale...

- Wiedziałaś. Kiedy się obudziłam, zrozumiałam, że właśnie dlatego weszłaś w moje życie, aby dopomóc mi odnaleźć Joego.

- Gdzie był, kiedy się rozstaliście?

Phoebe zmartwiała.

- W morzu.

- A co z jego łodzią?

- Popłynęła dalej bez niego. Chyba... chyba myśleli, że umarł. Ale on nie umarł. Jestem tego pewna. Gdyby umarł, nie czułabym tego, co czuję. Moje serce byłoby puste, rozumiesz?

Tesla patrzyła na pełną uniesienia kobietę i słysząc nutę wiary oraz niezachwianego przekonania w jej głosie, poczuła w sercu ukłucie zazdrości, że sama nigdy dotąd nie doświadczyła tak głębokiego uczucia. Może sprawa była przegrana, wyprawa na poszukiwanie mężczyzny pływającego w falach morza snów to przegrana sprawa, skoro, jak wszystko na to wskazywało, świat zbliżał się do swego końca, niemniej Tesla zawsze miała słabość do przegranych spraw. Zresztą czy byłoby tak źle, gdyby spędziła ostatnie kilka godzin życia, usiłując doprowadzić do połączenia kochanków?

- Czy Joe powiedział ci, gdzie na górze znajdują się te drzwi?

- Gdzieś w okolicy szczytu. Znajdziemy je. Wiem, że je znajdziemy.

## 2

Tesla i Phoebe wyszły z mieszkania niecałą godzinę później, lecz wtedy Everville funkcjonowało już na pełnych obrotach. Main Street była zatłoczona, roiło się na niej od ludzi, którzy stawiali parasole, rozwieszali transparenty, nadmuchiwali balony i ustawiali barierki ochronne. A tam, gdzie wrzała praca, nie brakowało również gapiów popijających kawę, pojadających pączki, udzielających rad i naprzykrzających się co niemiara.

- Nie trzeba było tędy jechać - rzekła Phoebe, gdy czekały w korku, aż ciężarówka

pełna krzesel zostanie rozładowana.

- Spoko - mruknęła Tesla. - Mamy przed sobą długi dzień. Bierzmy życie, jakim jest.

- Gdyby tylko oni wiedzieli to samo, co my - powiedziała Phoebe, patrząc na ludzi na chodniku.

- Och, wiedzą - zapewniła ją Tesla.

- O Quiddity? - spytała z niedowierzaniem Phoebe. - Szczerze wątpię.

- Może to jest w nich ukryte gdzieś głęboko - powiedziała Tesla obserwując twarze mijanych ludzi. - Ale nie zapominaj, że każdy z nas odwiedza Quiddity trzykrotnie.

- Ja musiałam tam się zakradać - oświadczyła z dumą Phoebe.

- Miałaś pomoc z drugiej strony. Wszyscy inni po ujrzeniu Quiddity natychmiast o nim zapominają. Po prostu żyją dalej własnym życiem, sądząc, że są prawdziwi.

- Dużo ćpasz? - spytała Phoebe.

- Miałam odloty - przyznała Tesla. - Dlaczego pytasz?

- Bo niektóre rzeczy z tego co mówisz, wydają mi się bezsensowne. - Spojrzała na Teslę. - Jak to przed chwilą, że ludzie sądzą, iż są prawdziwi. Są. Ja jestem prawdziwa. I ty. I Joe.

- Skąd wiesz?

- To głupie pytanie - odrzekła Phoebe.

- Wobec tego czekam na głupią odpowiedź.

- Robimy różne rzeczy. Sprawiamy, że coś się dzieje. Przecież ja... - Głos jej się załamał, gdy szukała odpowiedniego porównania, po czym wskazała na jednego z mężczyzn, który siedział na rogu ulicy i pił kawę, czytającego komiks w porannym wydaniu *Oregonian*.

- Nie jestem z komiksu. Nikt mnie nie stworzył. Sama tworzę siebie.

- Pamiętaj o tym, kiedy dotrzemy do Quiddity.

- Dlaczego?

- Bo wydaje mi się, że w owym miejscu wymyślono wiele różnych rzeczy.

- Mów dalej.

- A tam, gdzie się one tworzą, mogą być również unicestwione. Wobec tego, jeżeli coś cię zaatakuje...

- Powiem mu, żeby się pieprzyło - ucięła Phoebe.

- Szybko się uczysz - pochwaliła Tesla.

Kiedy zjechały z Main Street, ruch uliczny znacznie osłabł, a na drodze ciągnącej się wzdłuż Harmon's Heights w ogóle nie było żywej duszy. Daleko nią nie dojechały. Na wysokości jednej trzeciej góry szosa kończyła się nagle, bez żadnego znaku czy stosownej

bariery.

- Cholera - burknęła Phoebe. - Myślałam, że dojedziemy dalej.

- Na przykład na sam szczyt?

- Uhm.

- Wygląda, że czeka nas niezła wspinaczka - powiedziała Tesla, wysiadając z samochodu i spoglądając na strome zbocze.

- Jesteś gotowa?

- Nie.

- Ale już tu jesteśmy. Równie dobrze możemy spróbować.

Po tej uwadze zaczęły piąć się pod górę.

### 3

W swoim długim życiu Buddenbaum spotkał wiele osób, które zmęczyło ludzkie widowisko. Ludzi, którzy umierali ze wzruszeniem ramion, zadowoleni, że nie muszą już odgrywać tych samych starych dramatów. Nigdy nie rozumiał takiej reakcji. Mimo iż generalnie ludzie się nie zmieniali, pewne cechy osobowości przynależne danemu osobnikowi czyniły go fascynującym samym w sobie. Wiedział z doświadczenia, że nie było dwóch matek, które taką samą ilością całusów i klapsów wychowałyby dwójkę jednakowych dzieci. Nie było dwóch par kochanków kroczących tą samą drogą do ołtarza czy do grobu.

Prawdę mówiąc, żał mu było tych, co odmawiali - dusz zbyt zagubionych lub zbyt narcystycznych, aby mogły cieszyć się przewspaniałą dokładnością ludzkich dramatów. Odwracali się plecami do widowiska, którego boskość podziwiali i czcili. Sam to słyszał.

Pomimo iż jego ciało goiło się z niewiarygodną szybkością (za tydzień cały incydent będzie jedynie kłopotliwym wspomnieniem), wciąż odczuwał spory dyskomfort. Może później, kiedy przybędą awatary, a on upewni się, że wszystko jest pod kontrolą, weźmie odrobinę laudanum. Teraz jednak klatka piersiowa bolała go jak diabli i wyraźnie utykał, przez co w niepożądany sposób zwracał na siebie uwagę, kiedy ruszył na poszukiwanie przyzwoitego śniadania. Uznał, że byłoby niestosowne wybrać się do baru, toteż zdecydował się na małą kafejkę o dwie przecznice od hotelu, gdzie ulokował się przy oknie, jadł i obserwował.

Zamówił niejedno, lecz dwa śniadania, i pochłonął większość jedzenia, przygotowując się do czekającej go wkrótce wytężonej pracy. Jedząc, prawie nie patrzył na talerze. Był zbyt zajęty obserwowaniem twarzy i rąk przechodniów, w poszukiwaniu śladów swych

mocodawców. Nie miał wszak pewności, że zjawią się w ludzkim przebraniu. Bywało (nigdy nie wiedział kiedy), że wyłaniali się z chmur w powodzi światła; na niebie ukazywały się wirujące koła Ezechiela. Dwukrotnie przybyli pod postacią zwierząt rozbawieni, jak sądził, możliwością oglądania ludzkiego dramatu z perspektywy piesków pokojowych czy dzikich bestii. Nigdy nie pojawili się jedynie we własnej postaci i po latach spędzonych w ich służbie Owen stracił już nadzieję, że ujrzy ich prawdziwe oblicza. Być może w ogóle ich nie mieli. Możliwe, że to, iż nakładali całą gamę różnych masek i nie stronili od najrozmaitszych doznań, świadczyło, iż sami nie posiadali własnych żywotów ani cielesnej postaci.

- Czy wszystko w porządku?

Obejrzał się i zobaczył stojącą przy nim kelnerkę. Do tej pory nie zwrócił na nią większej uwagi, ale teraz stwierdził, iż kobieta prezentowała się naprawdę doskonale: jasnopomarańczowe włosy upięte w kok, sterczące piersi, pociągła twarz, pokryta kolorowymi kreskami i wypacykowana farbami na festyn.

- Najwyraźniej pani nie może się dzisiaj czegoś doczekać. To widać - zauważył.

- Dzisiejszej nocy - powiedziała, trzepocząc umalowanymi rzęsami.

- Coś mi się wydaje, iż nie jest to spotkanie modlitewne? - odparł.

- Wraz z przyjaciółkami zawsze urządzamy w festynową sobotę małą prywatkę.

- Po to przecież są festyny, nieprawdaż? - odrzekł Buddenbaum. - Każdy musi od czasu do czasu zmienić koafiurę.

- Podoba się panu? - spytała kobieta, dotykając pieszczotliwie koka.

- Uważam, że jest niesamowita - oświadczył Owen i bynajmniej nie kłamał.

- Bardzo dziękuję. - Kelnerka rozpromieniła się, sięgnęła do kieszeni fartucha i wyjęła małą karteczkę. - Gdyby chciał pan wpaść - powiedziała, podając mu kartkę. Był na niej adres i mała mapka. - Zrobiłyśmy kilka zaproszeń, dla paru wybranych osób.

- Pochlebia mi pani - rzekł Buddenbaum. - *A propos*, mam na imię Owen.

- Miło mi. Jestem June Davenport. Panna.

Nie mógł pozostawić bez komentarza ostatniej informacji. Powiedział z emfazą:

- Z pewnością wielu chłopców stara się o pani względy. Niemożliwe, aby było inaczej.

- Nikt, kogo można by zaakceptować.

- Kto to wie? Może ta noc okaże się dla pani szczęśliwa.

Na jej twarzy pojawił się wyraz tęsknego, pełnego nadziei wyczekiwania.

- Oby tak było - szepnęła z większym przejęciem, niżby sobie tego życzyła, po czym oddaliła się, by podać spragnionym kawę.

Czyż jest coś piękniejszego, pomyślał Owen, opuszczając kafejkę, niż widok tęsknoty



na ludzkiej twarzy? Ani nocne niebo, ani chłopięcy tyłek nie mogły równać się z chwałą (panny) June Davenport, mizdrzącej się jak dziwka i ludzającej się, że spotka mężczyznę swych marzeń, zanim minie jej czas.

Na jej wymalowanej twarzy widział historię, na opowiedzenie której nie wystarczyłoby tysiąca nocy. Podjęte i nie podjęte decyzje. Rzeczy, których żałowała, bo je zrobiła i te, których żałowała z przeciwnego powodu.

Tego wieczoru zaś, każdej chwili pomiędzy teraz a nocą - jawiły się przed nią nowe szanse, nowe możliwości. Może nawet w tej chwili, gdy odwróci głowę, ujrzy twarz tego, którego pragnęła pokochać. Równie dobrze zaś mogła odwrócić wzrok w drugą stronę.

Idąc w kierunku skrzyżowania, aby tam czuwać, Buddenbaum uniósł głowę i spojrzał ku Harmon's Heights. Wierzchołek był niewidoczny, ukryty pośród mgieł. Na ten widok znieruchomiał. Niebo, jeżeli nie liczyć mgły, było nieskazitelnie czyste, co pozwoliło mu przypuszczać, iż tego szczególnego oparu nie należało zaliczyć do zjawisk naturalnych.

Czy to jego mocodawcy? Czy schodzili z ukrytego wśród mgieł szczytu góry jak olimpijscy bogowie? Nie widział dotąd, aby to robili, ale zawsze musi być ten pierwszy raz. Miał jedynie nadzieję, że nie będą zbyt barokowi w swej teatralności. Gdyby zeszli do Everville jako płomienni bogowie, w trymiga oczyściliby ulice z ludzi. A kto wówczas poszedłby na prywatkę do June Davenport?

#### 4

Mgła nie przeszła niezauważona również w innych miejscach. Dorothy Bullard zadzwoniła do Turfa Thompsona, którego prognozom meteorologicznym ufała już od dawna, aby się upewnić, że obecność oparów nad szczytem góry nie oznacza ulewnego deszczu podczas festynu. Uspokoił ją, że nie powinna się martwić. Zjawisko niewątpliwie jest dziwne, ale z pewnością nie zapowiada opadów.

- Prawdę mówiąc - powiedział - gdybym nie był stąd, dałbym głowę, że to mgła morska.

Uspokojona jego słowami, Dorothy zajęła się swymi obowiązkami.

Pierwsza ze szczególnych atrakcji tego dnia, niewielkie widowisko wystawiane w parku przez czwartoklasistów pod kierownictwem pani Henderson, opowiadające jak pierwsi osadnicy przybyli do Oregonu, choć rozpoczęło się z dziesięciominutowym opóźnieniem zostało przyjęte przez dwuosobową grupę widzów bardzo życzliwie. Dzieci doprawdy czarujące w swych małych czapkach i z tekturowymi strzelbami, z przejściem deklamowały

kolejne kwestie, jakby od tego zależało ich życie. Scena, która szczególnie chwyciła za serce, dotyczyła niejakiego wielebnego Whitneya (Dorothy nigdy o nim nie słyszała, lecz była pewna, że Fiona Henderson sumiennie wypełniła swe zadanie i historia była prawdziwa), który doprowadził pionierów poprzez zimowe zamiecie do bezpiecznej doliny Willamette. Widok Matthew, syna Jeda Gilholly'ego odgrywającego rolę wielebnego, który przedziera się przez burzę papierowych płatków śniegu, aby wbić w twardą ziemię krzyż i podziękować za wybawienie jego trzódki, sprawił, że oczy Dorothy wypełniły się łzami.

Kiedy przedstawienie dobiegło końca i tłum zaczął się rozchodzić, ujrzała, jak Jed obejmuje syna ramieniem i obaj uśmiechają się szeroko.

- Cholernie dobry początek - rzucił Gilholly do Dorothy i wszystkich, którzy mogli go usłyszeć.

- A więc niczym więcej już się nie przejmujesz? - spytała Dorothy.

- Chodzi ci o Flickera? - Jed pokręcił głową. - Zmył się i nie wróci.

- To muzyka dla moich uszu - rzekła Dorothy.

- A jak mały Matty? - spytał Jed.

- Był świetny.

- Uczył się roli od dobrych paru tygodni.

- Dziś prawie wszystko zapomniałem - wtrącił Matthew. - Prawda?

- Tak ci się tylko wydawało - powiedział Jed. - Ale ja wiedziałem, że pamiętasz wszystko jak trzeba.

- Naprawdę?

- Oczywiście. - Pieszczotliwie pogładził syna po włosach.

- Pójdziemy na lody, tato?

- Całkiem niezła propozycja - pochwalił Jed. - Zobaczymy się później, Dorothy.

Rzadko miała okazję widzieć Jeda takim i była to dla niej prawdziwa przyjemność.

- Po to jest przecież festyn, prawda? - zwróciła się do Fiony, kiedy patrzyły, jak dzieci zdejmują kostiumy i włożywszy je do pudeł, odchodzą ze swymi rodzicami.

- Ludzie po prostu się bawią.

- To było zabawne, nieprawdaż?

- A propos, gdzie natknęłaś się na tę historię z wielebnym?

- Cóż, troszkę to przekłamałam - wyznała Fiona, nieznacznie zniżając głos. - Tak naprawdę to miał niewiele wspólnego z założeniem Everville.

- Ach.

- Prawdę mówiąc, nie miał n i c w s p ó l n e g o z Everville. Założył swój

kościół w Silverton. Ale to była taka fajna historia. Poza tym nie udało mi się znaleźć niczego na temat naszych przodków, co nadawałoby się dla dzieci.

- A historia Nordhoffa?

- To było dużo później - powiedziała z belferską emfazą Fiona.

- Tak, oczywiście.

- Jeżeli chodzi o wczesne lata, niestety, wszystko jest bardzo mętne i niejasne. Trochę mnie zaszokowało, gdy dowiedziałam się, jaka rozwiązłość panowała z początku w Everville. Nie powiedziałabym, aby panowały w naszym mieście tradycje i idee chrześcijańskie.

- Jesteś pewna? - spytała Dorothy, szczerze zdumiona tym, co usłyszała.

- Prawie - odparła Fiona.

Dorothy zakończyła ten temat, przekonana, że Fiona się myliła. Prawdopodobnie w swoim czasie w Everville miały miejsce najróżniejsze mroczne wydarzenia (czyż istniało miasto, gdzie nie trafiliby się pijacy czy hedoniści?), ale w założeniu miasta nie było nic, czego można byłoby się wstydzić. Jeżeli w przyszłym roku wystawimy widowisko, postanowiła, nie będzie to historia fałszywa, lecz prawda. I powie jeszcze Fionie Henderson, w prostych szczerych słowach, że jej obowiązkiem jako nauczycielki i obywatelki tego miasta jest nie rozpowszechniać kłamstw, niezależnie od intencji, jakimi się kierowała. Wychodząc z parku, przez chwilę patrzyła na mgły wokół szczytu Harmon's Heights. Zgodnie z prognozami Turfa nie zanosilo się na deszcz. Wierzchołek, jeszcze niedawno dostrzegalny pośród obłoków, teraz był już niewidoczny.

Nieważne, pomyślała. Na górze i tak nie ma czego oglądać. Ot, parę głązów i sporo drzew. Spojrzała na zegarek; było dziesięć po dwunastej. Wkrótce rozpoczną się konkurs naleśnikowy i zawody w jedzeniu, a na skwerze odbędzie się parada Czworonożnych Milusińskich. W południe Dorothy miała uczestniczyć jako jurorka w konkursie kwiatów i teraz znalazła jeszcze chwilę czasu, aby zajrzeć do ratusza, gdzie zaczęli już się zbierać uczestnicy Wielkiej Parady, mimo iż rozpocznie się ona dopiero za dwie godziny. Tyle jest dziś do obejrzenia. Uśmiechnięci ludzie schodzili z zatłoczonych chodników na ulice, na tle błękitnego, sierpniowego nieba trzepotały i skrzyły się balony oraz transparenty. Dorothy pragnęła, aby ten dzień trwał wiecznie - wielki, nie kończący się festyn. Czyż to nie byłoby wspaniałe?

## Rozdział II

- Nie podoba mi się to - powiedziała Tesla.

Nie chodziło jej o wspinaczkę, mimo że podejście stawało się coraz trudniejsze i sapała co drugie słowo - lecz o mgłę, która początkowo rzadka, zmieniła się teraz w gęsty, biały całun.

- Nie wracam - rzuciła pospiesznie Phoebe.

- Wcale tego nie sugeruję - odrzekła Tesla. - Właśnie mówiłam...

*Tak? Co mówiłaś?* - wymamrotał Raul.

- Że w tym jest coś dziwnego.

- To tylko mgła - uspokajała ją Phoebe.

- Nie sądzę. Nawiasem mówiąc, Raul też jest tego samego zdania. Phoebe przystanęła, aby odetchnąć i móc kontynuować rozmowę.

- Mamy broń - zauważyła

- U Tootlakera nie przydała się nam na wiele - przypomniała Tesla.

- Sądzisz że coś się tam ukrywa? - spytała Phoebe, obserwując uważnie czarną ścianę, od której dzieliło ich niecałe trzysta metrów.

- Postawiłabym na to mego harleya.

Phoebe westchnęła i zadrżała.

- Może jednak powinnaś zawrócić - powiedziała. - Nie chciałabym, aby przeze mnie coś ci się stało.

- Nie wyglupiaj się - mruknęła Tesla.

- Dobrze - odrzekła Phoebe. - Zatem, gdybyśmy się rozdzieliły...

- Co jest bardzo możliwe...

- Nie będziemy szukać siebie nawzajem?

- Po prosu będziemy szły dalej.

- Właśnie

- Aż do końca. Do Quiddity.

- Do Joego.

Boże, ależ w tej mgłę było chłodno i wilgotno! W minutę od wejścia w biały korytarz Tesla i Phoebe dygotały od stóp do głów.

- Patrz, gdzie idziesz - ostrzegła Tesla Phoebe.

- Dlaczego?

- Spójrz! - Wskazała na głęboką szczelinę w ziemi. - I tu. I tu.

Szczelin było mnóstwo i wyglądały na świeżo powstałe. Wcale jej to nie zdziwiło. Otwarcie drzwi między jedną a drugą rzeczywistością było pogwałceniem praw fizyki przez metafizykę, co wywoływało kataklizm na olbrzymią skalę. Tu było tak samo jak w domu Buddy'ego Vance'a - materialny świat został strzaskany, topił się i rozszczał, gdy otwarto w nim przejście. Różnica, skądinąd znacząca, polegała na tym, że tutaj było wręcz upiornie cicho. Nawet mgła wisiała nad ziemią niemal nieruchomo. W domu Vance'a dla odmiany trwała burza.

Tesla tylko przypuszczała, że ktokolwiek otworzył drzwi, był ekspertem od tych procedur, a także istotą o wielkiej samodyscyplinie; w przeciwieństwie do dżaffa, który, jako zaledwie nowicjusz, nie potrafił kontrolować mocy niesłusznie uznawanych za jego własne.

*Kissoon?* - zasugerował Raul.

Nie było to aż tak nieprawdopodobne. Nie spodziewała się spotkać w świecie żyjących istoty potężniejszej od Kissoona.

- Skoro jednak potrafi otworzyć drzwi między nami a Kosmosem, pomyślała Tesla, to znaczy, że posiadał Sztukę.

*A jeśli tak, to co?*

- W takim razie czemu nadal babrał się w gównie w domu Toothakera?

*Dobre pytanie.*

- Nie wątpię, że on ma z tym coś wspólnego, ale nie sądzę, aby mógł sam jeden otworzyć drzwi.

*Może miał pomoc* - zasugerował Raul.

- Mówisz do małpy, prawda? - spytała Phoebe.

- Myślę, że powinniśmy mówić ciszej.

- Ty w każdym razie mówisz.

- Czy poruszam ustami?

- Ta-a.

- Nigdy nie umiałam... - Tesla urwała i przystanęła. Schwyciła Phoebe za ramię.

- Co? - rzuciła Phoebe.

- Posłuchaj.

*Czy któraś ma ochotę na lekcję stolarki?* - spytał Raul.

Od szczytu góry dobiegał stukot, jakby ktoś używał młotka. Mgła przytłumiła dźwięk, toteż trudno było określić jak daleko znajdował się ów cieśla, ale hałas położył definitywnie

kres nadziejom Tesli, że drzwi nie będą strzeżone. Sięgnęła do kieszeni kurtki i wyjęła broń od Lourdes.

- Pójdziemy bardzo wolno - wyszeptała do Phoebe. - I miej oczy szeroko otwarte.

Teraz ona prowadziła; gdy szły w górę stromego zbocza, bicie jej serca rywalizowało z odgłosami pracy stolarza. Pomiedzy kolejnymi uderzeniami usłyszała również inne dźwięki. Ktoś płakał, ktoś inny śpiewał, lecz słowa były niezrozumiałe.

- Co się tam dzieje, do cholery? - mruknęła Tesla.

Ziemia usłana była gałęziami i drobnymi gałązkami, odciętymi od konarów, których prawdopodobnie używał cieśla. Czy budował dom, a może wznosił ołtarz? Mgła przed nimi zafalowała i przez moment Tesla dostrzegła kątem oka czyjąś sylwetkę. Widziała ją zbyt krótko, aby móc się przyjrzeć, ale wyglądała owa istota na dziecko, głowę miała zbyt dużą, zbyt nieforemną w stosunku do wynędzniałego ciała.

Stworzenie pozostawiało za sobą strugę perlistego śmiechu (a przynajmniej Tesli wydawało się, że to śmiech - nie mogła mieć co do tego pewności), a dźwięk ten kreślił we mgle ślady, jak smuga pozostawiana na wodzie przez małą, zwinną rybkę. Zjawisko było dziwne, lecz zarazem całkiem zabawne.

Spojrzała na Phoebe, uśmiechając się pod nosem.

- Tam są dzieci - szepnęła.

- Na to wygląda.

Ledwo to powiedziała, gdy dziecko znów się pojawiło, dokazując i śmiejąc się cały czas. Tesla stwierdziła, iż jest to dziewczynka. Pomimo niemal niemowlęcego ciała, miała już drobne piersi, bardziej rumiane niż reszta jej bladego ciała, a z czubka jej wygolonej czaszki zwieszał się długi do pasa koński ogon.

Mimo iż była zwinna, stopa ugrzęzła jej nagle w którejś ze szczelin. Mała istotka runęła na twarz, a śmiech urwał się jak ucięty nożem. Phoebe westchnęła cicho. Pomimo szlochu i nie cichnącego łoskotu dziecko ją usłyszało. Rozejrzało się i spojrzenie ciemnych i lśniących jak polerowane kamyki oczu padło na dwie kobiety. W tej samej chwili dziewczynka podniosła się z ziemi i pobiegła w górę zbocza.

- To tyle, jeżeli chodzi o niezwracanie na siebie uwagi - zauważyła Tesla. Usłyszała przenikliwy, piskliwy krzyk dziewczynki. - Wynośmy się stąd! - rzuciła i schwyciwszy Phoebe za ramię, zaczęła odciągać ją w dół zbocza.

Szok sprawił, że nie były w stanie biec naprawdę szybko, ale pokonawszy pięćdziesiąt metrów, zatrzymały się i ponownie wyteżyły słuch. Odgłos młotka ucichł, podobnie jak śpiew. Tylko szloch trwał dalej.

*To nie odgłosy smutku i żalu - zauważył Raul.*

- Nie?

*To ból.*

- Ktoś tu strasznie cierpi.

Tesla wzdrygnęła się i spojrzała na Phoebe.

- Posłuchaj - szepnęła.

- Chcesz wrócić?

- A ty nie?

Twarz Phoebe była blada i spocona.

- Tak - wysapała kobieta. - Jakaś część mnie tak. - Obejrzała się przez ramię, mimo iż nie było tam widać niczego oprócz mgły. - Ale nie tak bardzo... - zawahała się drżąc - nie tak bardzo, jak pragnę być z Joem.

- Jeśli wciąż będziesz to powtarzać - rzuciła Tesla - może ci uwierzę.

Phoebe rozejrzała się nerwowo, ale po chwili z jej oczu popłynęły strużki łez.

- Jeśli wydostaniemy się z tego żywe - rzekła, usiłując stłumić szloch - będę ci wdzięczna do końca życia.

- Odwdzięczysz mi się zaproszeniem na ślub i będziemy kwita - ucięła Tesla. Phoebe objęła ją i mocno uściskała. - Jeszcze tam nie dotarliśmy - powiedziała.

- Wiem, wiem - odrzekła Phoebe. Odsunęła się od Tesli, pociągnęła nosem i wierzchem dłoni otarła załzawione oczy. - Jestem gotowa.

- Świetnie. - Tesla obejrzała się w stronę miejsca, gdzie je zauważono. Nic się tam nie poruszało, nie dobiegały ich żadne dźwięki.

Naturalnie, określenie dokładnej marszruty okazało się niemożliwe, ale dopóki miały przed sobą stromiznę, wiedziały, że są w drodze na szczyt. Po kilku krokach natrafiły na jeszcze jeden dowód, świadczący, iż zmierzały we właściwym kierunku. Z każdą chwilą dziwny jęk narastał i niebawem dołączył doń głos śpiewaczki. Początkowo jej głos trochę się łamał, jakby usiłowała zebrać w całość wszystkie niemożliwe do oddania niuanse złożonego melodycznie utworu. W końcu zrozpaczona zrezygnowała i zaintonowała drugą pieśń, bardziej melodyjną niż pierwsza. Był to lament lub może kołysanka dla umierającego dziecka. Czymkolwiek była ta melodia Tesla poczuła narastający niepokój i zapragnęła, by w jakiejś szczelinie na wprost niej pojawiło się gniazdo liksów - wówczas miałyby przynajmniej coś, co motywowałoby uczucie ogarniającej ją paniki. Cokolwiek, byle nie słyszała owego szlochu, owej pieśni i nie widziała umykającego trwożliwie dziecka o martwych oczach.

Nagle, gdy jedna ze zwrotek dobiegła końca, mgła rozstała się, ukazując koszmar,

którego nie byłaby w stanie stworzyć nawet niemała bądź co bądź wyobraźnia Tesli.

Na zboczach przed nimi ukazało się miejsce pracy cieśli. Ale nie budował on domu ani ołtarza. Ściął trzy drzewa, pousuwał gałęzie i przeciągnął pnie w górę, aby wznieść tam krzyże, wysokości trzech lub czterech metrów. A potem ktoś - może cieśla, a może jego mocodawcy - powiesił na nich troje ludzi.

Tesla nie mogła z tej odległości przyjrzeć się ofiarom. Wraz z Phoebe zbliżyły się do owego miejsca zza krzyży. Dostrzegła jednak cieślę: był to niski, krępy mężczyzna o dużej płaskiej głowie i oczach jak u roześmianego dziecka; składał właśnie swe narzędzia z bezceremonialnością i rutyną kogoś, kto tylko co skończył naprawiać rozchwierutaną stołową nogę. Nieco za nim znajdowała się śpiewająca kobieta. Siedziała na krześle i nie odrywając wzroku od ukrzyżowanych, kontynuowała swój przejmujący, żałobny lament. Żadne z nich nie dostrzegło Tesli ani Phoebe. Kiedy kobiety patrzyły, cieśla zebrał swe narzędzia i oddalił się żwawym, nonszalanckim krokiem, i prawie natychmiast zniknął we mgle, bez jednego choćby pożegnalnego spojrzenia na krzyże. Śpiewająca kobieta niemal leniwym ruchem odchyliła głowę do tyłu i umilkła, by zaciągnąć się dymem cienkiego papierosa.

- Dlaczego ktoś miałby zrobić coś takiego? - spytała drżącym głosem Phoebe.

- Nie obchodzi mnie to - ucięła Tesla, wyjmując z kieszeni rewolwer. - Musimy coś z tym zrobić.

*To znaczy co?* - spytał Raul.

- Na przykład pozdejmować tych nieszczęśników - powiedziała głośno Tesla.

- My? - spytała Phoebe.

- Tak, my.

*Tesla, posłuchaj* - mruknął Raul. - *Wiem, to okropne, ale już za późno, abyśmy mogli im pomóc...*

- Co on mówi? - wtrąciła Phoebe.

- Nie skończył.

*Już samo przyjscie tutaj było ewidentną głupotą. Ale skoro tu dotarliśmy...*

- Co? Powinniśmy przymknąć na to oko?

*Tak! Absolutnie!*

- Chryste...

*Wiem* - powiedział Raul. - *To okropne i żałuję, że jesteśmy tu i oglądamy coś tak strasznego. Sugeruję, abyśmy odnaleźli te drzwi i pomogli Phoebe przez nie przejść. Potem zaś oboje powinniśmy jak najszybciej wynieść się stąd.*

- Wiesz co? - odezwała się Phoebe, wskazując na śpiewaczkę. - Ona może wiedzieć,



gdzie są drzwi. Chyba powinniśmy ją zapytać. Spojrzała na broń w ręku Tesli. - Z pomocą tego.

- Niezła myśl.

*Tylko nie patrz na krzyże, dobra?* - błagał Raul, gdy zaczęły piąć się dalej w górę.

Śpiewaczka zakończyła wreszcie swój żałobny lament, osunęła się na krzesło i z zamkniętymi oczami popalała skręta. Jedyнным odgłosem było pochlipywanie któregoś z ukrzyżowanych, lecz gdy podeszły bliżej nawet ono ucichło.

- Patrz pod nogi - powiedziała Tesla do Phoebe. - Nie ma sensu, abyśmy miały łamać sobie serca.

Podchodziły wyżej, przez cały czas patrząc pod nogi. Tesla czuła ogromną chęć podniesienia wzroku i spojrzenia na ofiary, ale zdołała to opanować. Raul miał rację: Nie mogły nic uczynić. Śpiewaczka przed nimi mamrotała coś do siebie w błogim zapomnieniu.

- Hej, Laguna...? Słyszysz mnie? Mam je, nareszcie je mam. Dokładnie tak. Są białe, tak bardzo białe, nie uwierzyłbyś jak...

Tesla przyłożyła jej rewolwer do skroni. Strumień świadomości wyczerpał się nagle, siedząca kobieta zamrugała powiekami i otworzyła oczy. Nie była piękną, miała twardą, szorstką skórę, małe oczy okolone ostrą szczecinią (podobnie jak usta), wargi dwukrotnie szersze niż u ludzi i mnóstwo drobnych, spiczastych, być może specjalnie wyostrzonych zębów. Pomimo iż była na haju, w mig zorientowała się w sytuacji.

- Jeszcze trochę pośpiewam - powiedziała.

- Daruj sobie - ucięła Tesla. - Pokaż nam tylko, gdzie są drzwi.

- Nie należysz do świty Błogosławionego?

- Nie.

- Jesteś Sapas Humana? - zapytała tamta.

- Nie. Jestem zwyczajną dziewczyną z kopytem - odrzekła Tesla.

- Jesteś, prawda? - rzuciła śpiewaczka, wodząc wzrokiem od twarzy jednej kobiety do drugiej. - Jesteście Sapas Humana! To cudownie!

- Słuchasz mnie? - warknęła Tesla.

- Tak. Chcesz wiedzieć, gdzie są drzwi. O, tam! - Nie odwracając się, Wskazała w głąb oparu mgieł.

- Daleko?

- Nie za bardzo. Ale dlaczego chcecie odejść? Po tamtej stronie nie ma nic oprócz mgły i brudnego morza. Cuda są tutaj, w Helter Incendo. Wśród Humana, jak wy.

- Cuda?

- O tak, o tak - rzuciła kobieta z entuzjazmem, ignorując broń wciąż wymierzoną w jej głowę.

- Na Efemerydach wiedliśmy cień życia, śniąc o pobycie tutaj, gdzie wszystko jest czyste i realne.

*Boże, ależ się rozczaruje* - zauważył Raul.

Chodziło jednak o coś więcej, niż o niedoinformowanie turystki.

- Czy Iadowie przejdą przez te drzwi? - spytała Tesla.

- O tak - odparła kobieta z uśmiechem.

- Czemu więc jeszcze tutaj jesteś?

- Czekamy, by ich powitać.

- A więc nie ujrzysz cudów Helter Incendo, zdajesz sobie z tego sprawę?

- Dlaczego nie?

- Bo przybywają Iadowie, aby je zniszczyć.

Kobieta wybuchnęła śmiechem. Odrzuciwszy głowę do tyłu, zaśmiewała się jak szalona.

- Kto ci to powiedział? - spytała.

Tesla nie odpowiedziała, choć nie miała trudności z przypomnieniem sobie tego. Pierwszy mówił o przyjściu Iadów Kissoon, nie należał on wszakże do zbyt wiarygodnych źródeł. Czyż jednak od tej pory nie wyrobiła sobie własnej teorii, na podstawie kilku innych opinii? Na przykład wiary D'Amoura. Według niego Iadowie byli wrogami ludzkości, Diabłami - tylko pod inną nazwą. I czyż Grillo nie wspominał o mężczyznach i kobietach na całym kontynencie donoszących Rafie o broni, której użyją, aby bronić się jeżeli - czy raczej kiedy - nadejdzie godzina próby?

Kobieta wciąż się śmiała

- Iadowie przybywają tu z tego samego powodu co ja - oznajmiła - Pragną żyć pośród cudów.

- Ale tu nie ma żadnych cudów - wtrąciła Phoebe. - Wcale a wcale.

Śpiewaczka spoważniała.

- Może żyłaś wśród nich zbyt długo - powiedziała. - Na tyle długo, że ich nie dostrzegasz.

*Zapytaj ją o ukrzyżowania* - odezwał się Raul.

Racja, pomyślała Tesla.

- A co z nimi? - spytała, wskazując kciukiem przez ramię.

- Tak chciał Błogosławiony. Powiedział, że to szpiedzy, wrogowie pokoju.

- Dlaczego mieliby umrzeć w ten sposób? - wtrąciła się Phoebe. - To okropne.

Śpiewaczka wyglądała na poważnie zakłopotaną.

- Błogosławiony powiedział, że tak będzie dla nich najlepiej.

- To? - spytała przerażona Tesla. - To jest dla nich najlepsze?

- Czy nie macie tego w jednej ze swych świętych ksiąg? W ten sposób umierał bóg.

- Owszem, ale...

- Aby zjednoczyć się ze swoim ojcem czy matką.

- Ojcem - podpowiedziała Phoebe.

- Wybaczcie moją niewiedzę. Nie mam pamięci do historii. Pieśni, to co innego.

Wystarczy, że raz jakąś usłyszę i zapamiętuję na całe życie. Jednak żarty, plotki czy choćby nawet historię Boga - pstryknęła palcami - zapominam raz dwa, ot tak!

*Przypuśćmy, że ona mówi prawdę* - zastanawiał się Raul.

- O ukrzyżowanych?

*O Iadach. Może od początku źle to wszystko pojmowaliśmy?*

- Sądzisz, że przybywają tu, aby podziwiać widoki? - odburknęła

*Tesla.*

- Nie sądzę. Pamiętasz Pętłę?

Oczyrna duszy ujrzała Iadów, tak jak wtedy, w całej ich plugawej, przeogromnej okazałości. Nawet teraz, po pięciu latach, owe wspomnienia wzbudzały w niej trwogę. Może Iadowie nie byli wrogami ludzkości czy Złym, ale ich zbiorowy umysł nie tchnął miłością ani pokojem.

- Przyłączysz się do mnie? - spytała śpiewaczka.

- W czym? - odparła Tesla.

- Spytała, czy może zapalić - powiedziała Phoebe. - Nie słyszałaś?

- Myślałam.

- O czym?

- O mętliku, jaki mam w głowie.

Śpiewaczka przypaliła skręta. Cokolwiek paliła, nie był to haszysz. Zapach okazał się mdląco słodki, jak cynamon i cukier. Zaciągnęła się głęboko.

- Jeszcze - poleciała Tesla. - Zaciągnij się jeszcze raz.

Kobieta wydawała się zdziwiona, lecz wykonała polecenie.

- Jeszcze raz - powtórzyła Tesla, dla zachęty szturchając kobietę w głowę lufą rewolweru. Śpiewaczka zaciągnęła się mocno dwa razy.

- O właśnie - mruknęła Tesla, gdy na twarzy tamtej pojawił się rozmarzony uśmiezek,

a jej powieki zatrzepotały i zaczęły opadać.

- Jeszcze raz. Na szczęście.

Kobieta uniosła skręta do ust i zaciągnęła się ostatni raz. W połowie wdechu narkotyk zapanował nad nią bez reszty: jej dłoń opadła bezwładnie, papieros wypadł spomiędzy zwiotczałych palców. Tesla podniosła go, zgasiła i schowała niedopałek do kieszeni.

- Nigdy nic nie wiadomo - zwróciła się do Phoebe. - Ruszajmy.

Dopiero teraz, gdy znów zaczęły piąć się pod górę, Tesla zorientowała się, że szloch ukrzyżowanych ucichł zupełnie. Ostatni ze szpiegów - ukrzyżowanych dla ukoronowania ich wiary - wyzionął ducha. Teraz mogła już spojrzeć.

*Nie* - ostrzegł Raul, ale było za późno. Tesla odwróciła się już, aby popatrzeć.

Na środkowym krzyżu wisiała Kate Farrell, brzuch miała obnażony i pokryty czerwonymi śladami. Po jej lewicy ukrzyżowano Edwarda. Po prawicy...

- Lucien.

Był najbardziej zmasakrowany z całej trójki i niemal kompletnie nagi. Jego chudą, białą pierś zbryzgała krew spływająca z twarzy ukrytej na szczęście pod gęstymi, opadającymi włosami.

Tesli nagle zabrakło tchu i sił. Upuściła broń. Przyłożyła dłoń do ust, by stłumić jęk.

- Znasz któregoś z nich? - spytała Phoebe.

- Wszystkich - szepnęła Tesla. - Wszystkich troje.

Phoebe przytuliła ją mocno.

- Teraz nie możemy już im pomóc.

- On żył... - powiedziała Tesla, czując kłujący ból w sercu. - Żył, a ja nawet nie uniosłam wzroku, a przecież mogłabym mu pomóc.

- Nie wiedziałas, że to on - pocieszała ją Phoebe.

Zaczęła ciągnąć przyjaciółkę za sobą, byle dalej od miejsca kaźni, zmuszając ją, by przestała patrzeć na krzyże. Tesla opierała się, nie chcąc odwrócić wzroku od Luciena. Wyglądał tak żałośnie, obnażony i bezbronny wobec świata. Pragnęła przynajmniej zdjąć go z krzyża. Jeżeli go tam pozostawi, ciało stanie się widowiskiem i pożywką dla padlinożerców. Nie zniosłaby tego. Nie mogła.

Gdzieś wśród chaosu myśli usłyszała głos Raula:

*Phoebe ma rację.*

- Zostaw mnie.

*Nie możesz mu pomóc. Poza tym, Teslo - nie możesz winić siebie. On wybrał własną drogę. My mamy swoją.*

- On żył.

*Być może.*

- Zobaczył mnie.

*Jeżeli chcesz w to wierzyć, to wierz - mruknął Raul. - Nie zamierzam spierać się o to z tobą. Jeżeli jednak faktycznie tak było, może właśnie dlatego się pohamował.*

- Co?

*Mógł zawołać cię po imieniu, ale nie zrobił tego. Może tylko na ciebie spojrzał i pomyślał - wystarczy.*

Do jej oczu napłynęły łzy.

- Wystarczy?

*Tak. To nie zawsze musi być straszne. Nawet coś takiego.*

Nigdy w to nie uwierzy, do końca swoich dni.

*Co on powiedział? Że kim jesteśmy? Naczyniami czego?*

- Nieskończoności. Naczyniami nieskończoności.

- Co mówisz? - szepnęła Phoebe.

- Tym właśnie chciał się stać - odrzekła Tesla.

*Nie - mruknął Raul. - Tym właśnie był przez cały czas.*

Tesla skinęła głową.

- Wiesz - zwróciła się do Phoebe. - Mam w głowie bardzo dobrą duszę. - Pociągnęła nosem. - Szkoda, że nie jest moja.

To rzekłszy pozwoliła, by Phoebe odwróciła ją i wspólnie, ramię w ramię, podążyły ku drzwiom.

## Rozdział III

### 1

Fala porwała Joego, dźwigając go z ciemności i unosząc w mrok jak wcześniej „Fanacapaną”. Przez pewien czas w ogóle nie zdawał sobie sprawy z tego, że płynie. Właściwie nie wiedział nawet, że żyje. Raz po raz odzyskiwał i tracił przytomność; a otworzywszy oczy, ujrzał wysoko w górze rozszalałe niebo, jakby morze i bezmiar niebios zamieniły się miejscami. Raz, gdy się ocknął spostrzegł coś, co wyglądało jak płonące ptaki, które spadały z nieba niczym skrzydlate meteory. Raz zauważył kątem oka coś migocącego i odwróciwszy głowę, dojrzał czarnookiego ‘shu śmigającego wśród spienionych wód. Na ów widok przypomniał sobie rozmowę z Noem na brzegu: - „Sprawisz przyjemność jednemu ‘shu, to tak, jakbyś ucieszył ich wiele” - i zadowolony powrócił do stanu uśpienia, w przekonaniu, że być może stworek zna go i w jakiś sposób przeprowadzi go przez tę kipiela.

Kiedy nie był w pełni przytomny - to znaczy często - wspominał Phoebe wśród wodorostów; widział jej ciało, pełne i blade, jak unosi się i opada tuż przed nim. I nawet płakał przez sen, przekonany, że od niego odeszła, powróciła do świata żyjących i teraz pozostaną mu tylko wspomnienia.

Wreszcie nawet sny o Phoebe przybladły, a Joe płynął dalej jakby w chmurze czarnego, brudnego dymu. Umysł miał zbyt słaby, aby mogła zakiełkować w nim jakaś myśl. Mijały go statki, ale on ich nie widział. Gdyby je zauważył - dostrzegłby, jak kołyszą się i skrzypią, przepełnione ludźmi uciekającymi z Efemeryd, mógłby spróbować złapać jedną z wlokących się za nimi lin i wspiąć się na pokład, zamiast pozwolić, by prąd, z którym walczył, znosił go nieubłagane ku archipelagowi.

Gdyby zaś dostrzegł zgrozę malującą się na twarzach pasażerów, mógłby przynajmniej przygotować się na to, co czekało nań na brzegu. Lecz Joe niczego nie widział, nic nie wiedział i płynął, coraz dalej i dalej, pośród szczątków rozbitych statków, które zatonęły, gdyż zabrakło im kapitanów, poprzez unoszące się na wodzie resztki dobytku pasażerów, którzy znaleźli swój koniec w mrocznych odmętach, mijając miejsca, gdzie morze było gęste od żółtego popiołu, a wszędzie wokół płonęły ognie, jakby cała flota okrętów znikła w pożodze.

Stopniowo wody stawały się płytsze i mniej wzburzone, a w końcu fale wyrzuciły

Joego na brzeg wyspy, która w okresie swej świetności nazywana była Mem-é b'Kether Sabbat. Leżał tam, wśród innych przyniesionych przez wodę szczątków, jego jądra krwawiły, w głowie miał zamęt, a wyspa, na której się znalazł, niknęła w oczach z minuty na minutę, w miarę jak Iad Uroboros zbliżali się coraz bardziej do brzegu, gdzie spał rozbitek.

## 2

Odległość między brzegami Mem-é b'Kether Sabbat a górą, na którą wspinały się Tesla i Phoebe, nie była dokładnie określona Mimo iż całe pokolenia myślicieli zarówno z Kosmosu, jak i Metakosmosu starały się stworzyć teorię odległości między dwoma światami, nie udało się dojść w tej kwestii do jakiegoś konsensusu. Poszczególne frakcje zgadzały się co do jednego - owego dystansu nie dało się zmierzyć ani miarką, ani za pomocą liczydła. Bądź co bądź, nie była to zwykła odległość między dwoma punktami, tylko między dwoma domenami. Niektórzy utrzymywali, że najlepiej postrzegać ją jako przestrzeń czysto symboliczną - jak ta, która dzieli bóstwo od jego wyznawcy - i proponowali całkiem nowy system miar, adekwatny do tego typu przypadków. Inni oponowali, że dusza przechodząca z Helter Incendo do Quiddity podlegała tak radykalnej przemianie, iż aby w najlepszy sposób opisać i zanalizować odległości - jeśli takie określenie w ogóle tu jeszcze pasowało (w co powątpiewali) - należało wziąć jego odpowiednik ze słownika duchowej reformacji. Niestety, było to niewykonalne, jako że to, co dla jednych było reformacją, dla innych równało się herezji.

Na koniec znaleźli się również tacy, którzy uważali, że relacje między Sapas Humana a morzem snów zachodzą tylko w umyśle, przeto wszelkie próby oszacowania odległości skazane są z góry na porażkę. Naturalnie - twierdzili - przestrzeń między jedną a drugą myślą jest niemożliwa do zmierzenia. Przeciwnicy oskarżali tychże o sianie defetyzmu, i n n i natomiast uznawali ich za miernych metafizyków. Przypominali, że ludzie wchodzą do morza snów zaledwie trzykrotnie, przez resztę życia zaś Quiddity jest im dalsze niż jakakolwiek myśl. Wcale nie, oponował lider tej frakcji, mistyk z Jom, zwany Carasophia. Mur pomiędzy Kosmosem a Metakosmosem staje się coraz cieńszy i wkrótce, jak przewidywał myśliciel, zniknie zupełnie, wówczas zaś umysły Sapas Humana, którzy wydawali się tak pompatyczni i monotanni, staną otworem dla napływu cudowności, nawet w ich obecnym, pierwotnym stanie.

Carasophia umarł za swoje teorie, zamordowany na polu słoneczników pod Eliphas, lecz w umysłach ludzi, którzy zebrali się na paradę w Everville, odnalazłby pocieszające

dowody, potwierdzające prawdziwość tego, w co wierzył. Ludzie śnili dziś, mimo iż oczy mieli szeroko otwarte; rodzice o byciu wolnymi jak ich dzieci; dzieci zaś o władzy i możliwościach rodziców.

Kochankowie widzieli wzajemnie w swych oczach nadchodzącą noc; podobnie starzy ludzie, wpatrujący się w niebo albo we własne ręce. Śniono o seksie, o zapomnieniu, o rozrywce i bachanaliach. A nieco dalej na trasie parady, siedząc przy oknie, przez które niedawno wypadł, pewien mężczyzna śnił o tym, co będzie, kiedy posiadzie Sztukę i czas oraz odległość na zawsze przestaną istnieć.

- Owenie?

Buddenbaum nie spodziewał się, że kiedyś jeszcze ujrzy tego chłopaka; a w każdym razie nie tego wieczoru. Jednak Seth był tutaj i patrzył nań równie zapraszająco i zmysłowo jak dotychczas.

- No, no...

- Jak się czujesz? - spytał Seth.

- Zdrowieję.

- Świetnie. Przywiozłem parę zimnych piw.

- Zapobiegliwy jesteś.

- W ten sposób chciałem się z tobą pogodzić.

- W porządku, czuj się pogodzony. Usiądź tu - rzekł Buddenbaum i poklepał parapet obok siebie. - Wyglądasz na zmęczonego.

- Nie spałem zbyt dobrze.

- Hałas w niebiosach?

- Nie. Myślałem o tobie.

- O rany.

- Pozytywnie - dodał pośpiesznie Seth, przysiadłszy obok Owena.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Chcę pójść z tobą, Owenie.

- Pójść ze mną? Dokąd?

- Dokądkolwiek się wybierasz.

- Nigdzie się nie wybieram - uciął Owen.

- Zamieszkaż w Everville?

- Nigdzie nie zamieszkaż.

- Czy chcesz w ten sposób dać mi do zrozumienia, że jestem osobą niepożądaną? Jeśli tak, to powiedz mi wprost.



- Nie to miałem na myśli - odrzekł Owen.

- Wobec tego nie rozumiem.

Buddenbaum wyjrzał przez okno, zastanawiając się nad czymś.

- Tak mało o tobie wiem - mruknął. - A mimo to czuję...

- Co?

- W gruncie rzeczy nikomu tak naprawdę nie ufałem. Wiele razy chciałem, ale zawsze bałem się rozczarowania. - Owen spojrzał na Setha. - Wiem, że nierzadko sam się oszukiwałem - ciągnął, wyraźnie poruszony - również co do uczuć. Może nawet co do miłości. Taką jednak podjąłem decyzję i dzięki temu mniej cierpiałem.

- Nigdy nikogo nie kochałeś?

- Bywałem zaślepiony, tak. Codziennie. We Włoszech co godzinę. To wszystko jednak było tak upokarzające i absurdalne. Ale żeby kochać? Nie, nigdy nie mógłbym zaufać nikomu na tyle, by móc go pokochać. - Westchnął ciężko. - A teraz jest już nieomal za późno.

- Dlaczego?

- Bo sentymentalna miłość to ludzka przywara, jedna z tych, na które starałem się uodpornić. I już wkrótce to nastąpi. To by było tyle. Powiedziałem.

- To znaczy, że nie będziesz już człowiekiem?

- Właśnie.

- Za sprawą awatarów?

- Można tak powiedzieć.

- Wyjaśnisz mi to?

- Wstań - polecił Owen, i pomógł mu się podnieść. - A teraz wyjrzyj przez okno. - Seth wykonał polecenie. Owen stanął za nim i położył mu ręce na ramionach. - Spójrz na skrzyżowanie.

Na ulicach nie było żadnych pojazdów, do czasu zakończenia parady w całym mieście wstrzymano ruch uliczny.

- Na co mam patrzeć? - dopytywał się chłopak.

- Zobaczysz - mruknął Owen, unosząc dłonie do szyi Setha.

- Zrobisz mi masaż?

- Ucisz się na chwilę - polecił Buddenbaum. - Musisz pozwolić, by przyszła do ciebie wizja.

Seth poczuł przyjemne dreszcze na karku, wrażenie błyskawicznie dosięgło jego głowy. Aż jęknął z rozkoszy.

- Wspaniale.

- Nie odrywaj wzroku od drogi.

- Chciałbym tylko, abys... - Nie dokończył. Zacerpał głęboko tchu i zacisnął dłonie na parapecie okna. - O Boże!

Skrzyżowanie rozpływało się; ulice zmieniały się w rzeki lawy, ozdobione migoczącymi wstęgami złota i szkarłatów. Wszystkie cztery przesunęły się ku środkowi skrzyżowania, biła od nich coraz większa jasność i stawały się coraz węższe - do tego stopnia, że gdy się zetknęły, przypominały cienkie, rozjarzone, ogniste nitki, tak jasne, iż nie sposób było na nie patrzeć dłużej, niż przez jedno uderzenie serca.

- Co to ma być? - spytał szeptem Seth.

- Piękne, nieprawdaż?

- Tak, na Boga, tak. Ty to zrobiłeś?

- Seth, takich rzeczy się nie robi. One nie pojawiają się z niczego jak wiersz. Ja jedynie wprowadziłem to w ruch.

- W porządku. Wprowadziłeś to w ruch?

- Tak. Bardzo dawno temu.

- Wciąż nie powiedziałaś mi co to takiego.

- To zaproszenie do tańca - wyjaśnił półgłosem Owen, niemal dotykając wargami ucha Seta.

- Do jakiego tańca?

- Tańca istnienia i stawania się - odrzekł. - Spójrz na to i zapomnij o wszystkich aniołach walących młotami w niebo od swej strony. Oto miejsce, gdzie stają się cuda.

- I tu wszystko się spotyka.

- Dokładnie.

- „Moja wędrówka kończy się na skrzyżowaniu dróg”. Tak właśnie powiedziałaś.

- Nie zapominaj o tym - rzekł Owen mocniejszym tonem. - Pamiętaj, że nigdy cię nie okłamałem. Nie mówiłem, że zostanę tu na zawsze.

- To prawda. Choć bardzo bym tego chciał.

- Dopóki rozumiemy się wzajemnie, możemy trochę się zabawić.

Seth odwrócił wzrok od ulicy.

- Chyba nie mogę już dłużej patrzeć - powiedział. - Robi mi się niedobrze.

Owen delikatnie musnął palcami głowę chłopaka.

- Już się skończyło.

Seth ponownie spojrzał na skrzyżowanie. Obraz zniknął.

- Co się stanie? - zapytał. - Wyjdiesz na środek tego skrzyżowania, a wtedy coś

przyjdzie i cię zabierze?

- To nie takie proste - odrzekł Owen.

- W takim razie co?

- Właściwie sam nie jestem pewien. Wiem, że uwolnię się od wpływu czasu. Przeszłość, przyszłość i moment istnienia pomiędzy nimi stanie się jednym, nieśmiertelnym dniem... - Jego głos stał się łagodniejszy i tak cichy, że prawie niesłyszalny.

- Czym jest moment istnienia? - zapytał Seth.

Owen przybliżył się ku niemu i pocałował go w usta.

- Nie potrzebujesz mnie, aby to pojąć - rzekł.

- Potrzebuję - zapewnił go chłopak. - Nie chcę, abyś odchodził.

- Muszę. Obawiam się, że nie mam wyboru.

- Masz. Mógłbyś zostać ze mną, przynajmniej na jakiś czas. Nauczyłbyś mnie tego, co sam umiesz. - Objął Buddenbauma jedną ręką. - A w wolnym czasie - drugą zaczął rozpinąć mu pasek - moglibyśmy się pieprzyć.

- Musisz zrozumieć, jak długo na to czekałem - tłumaczył Owen. - Jak wiele włożyłem wysiłku, aby się tu dostać. Całe to planowanie, układanie i manipulowanie. Uwierz mi, wszystko to ciągnęło się w nieskończoność.

Seth rozpiął Owenowi pasek i zaczął rozpinąć guziki przy spodniach. Buddenbaum mówił dalej, jakby nie zwracał uwagi na to, co robił chłopak.

- Trzymam się wizji - powiedział.

Palce Setha odnalazły członek Owena. Niewątpliwie obojętność Buddenbauma była udawana.

- Mów dalej! - rzucił chłopak, obejmując go.

- Zawsze jesteś taki napalony? - zapytał Owen.

- Nie pamiętam. Wszystko, co wydarzyło się przed spotkaniem ciebie Seth wzruszył ramionami - wydaje się rozmyte i niewyraźne.

- Nie wygłupiaj się.

- Nie wygłupiam się. To prawda. Czekałem na ciebie. Wiem, że tak było. Może nie wiedziałem, jak wyglądasz...

- Posłuchaj.

- Słucham.

- Nie jestem miłością twojego życia.

- Skąd wiesz?

- Bo nie mogę być tym, czym chciałbyś, abym był. Nie mogę zostać, aby czuwać nad

tobą.

Seth nadal go pieścił.

- No to co? - burknął.

- Będziesz musiał znaleźć sobie inny obiekt miłości.

- Nie, jeżeli zabierzesz mnie ze sobą - zaproponował Seth. - Jeśli zaprosisz mnie do tańca. - Wyjrzał przez okno. na szarą ulicę. - Gdybym był z tobą, jakoś bym sobie z tym poradził.

- Nie sądzę.

- Naprawdę. Daj mi tylko szansę. - Ukląkł przed Owenem i dotknął językiem jego na wpół wzwiedzionego członka. - Pomyśl, jakby to było - mruknął pomiędzy pocałunkami i liźnięciami - gdybyśmy znaleźli się tam, obaj.

- Nie wiesz, o co prosisz.

- Więć mi to powiedz. Naucz mnie. Mogę być, kim zechcesz. Uwierz mi.

Owen zaczął gładzić go po twarzy. •

- Wierzę ci - powiedział, bawiąc się leniwie penisem. - Jak już wspomniałem, jesteś niezwykłym chłopcem.

Seth uśmiechnął się do niego, następnie wziął pęczniejący członek do ust i zaczął ssać. Nie był zbyt doświadczony, ale nadrabiał braki entuzjazmem. Owen przesunął dłońmi po włosach chłopaka i westchnął. Zwykle gdy przeżywał równie głęboką rozkosz, zapominał o całej reszcie. Ale nie teraz. Może przyczyniła się do tego przemijalność wrażeń, których właśnie doświadczał (ostatnie śniadanie, ostatnie południe, ostatni „francuski seks”), a może wynikało to z faktu, że chłopak mimo wszystko zdołał się z nim zgrać. Tak czy inaczej bodźce płynące od krocza w górę ciała sprawiły, iż umysł Buddenbauma stał się wręcz krystalicznie czysty.

Po cóż żyć jeden nie kończący się dzień, rozmyślał, skoro jesteś w tym odosobniony? Samotny nawet mając poczucie własnej wyjątkowości i wiedzy. Może gdy osiągnie pełnię swych możliwości, zdoła znaleźć kogoś podobnego do siebie, z kim mógłby dzielić owo doświadczenie, ale to się okaże, kiedy wszystko zacznie się na dobre.

Gdy ruszą moce ewolucji, nietrudno będzie zmienić chłopakowi profil i zwęzić biodra. Spojrzał na Setha, przesuwając kciukiem po wilgotnym miejscu zetknięcia się warg i jego członka.

- Szybko się uczysz - pochwalił.

Chłopak, uśmiechnął się, nie przerywając swej czynności.

- Dalej, dalej, nie przerywaj - rzucił Owen, wciskając Sethowi cały członek do ust. Ten

zakrztusił się lekko, ale nie cofnął się przed wyzwaniem.

- Na Boga - westchnął Owen. - Masz dużą zdolność perswazji, wiesz?

Pogładził go po twarzy. Chłopak miał zbyt nisko osadzone kości policzkowe i zbyt pękaty nos. Włosy jak strzecha, trzeba by je kompletnie zmienić. Może da mu długie, czarne, kręcone włosy do ramion, jak z obrazów Botticellego? A może zrobi zeń blond cherubina z kosmykami opadającymi niesfornie na oczy? Jeszcze się nie zdecydował. Przyjdzie na to czas później. Tuż przed porzuceniem takich pojęć i stanów jak t e r a z c z y p o t e m.

Poczuł znajome łaskotanie w łędźwiach.

- Wystarczy - rzekł łagodnie. - Nie chcę jeszcze dochodzić.

Jeśli chłopak usłyszał go, to i tak nie usłuchał. Z zamkniętymi oczami robił swoje z taką werwą, że na końcu członka pojawiła się spieniona ślina.

Mój kutas to Wenus, pomyślał Buddenbaum. Wyłaniająca się z piany.

Ta myśl rozbawiła go i zachichotał, by w chwilę później niebezpiecznie zbliżyć się do punktu bez powrotu.

- Nie! - zawołał i wysunąwszy penis spomiędzy warg chłopaka ścisnął go aż do bólu powyżej żołądki. Przez chwilę sądził, że przegra walkę. Wzdrygnął się konwulsyjnie, zamykając oczy, by nie widzieć przed sobą klęczącego Setha, z lśniącym, wilgotnym podbródkiem. Zacisnął palce jeszcze mocniej i kryzys wreszcie minął.

- Mało brakowało - wysapał.

- Sądziłem, że chcesz skończyć. - Seth otworzył oczy. W którymś momencie wcześniej rozpiął rozporek i zaczął się onanizować. Robił to nawet teraz.

- Miałem za mało czasu, aby dojść do siebie - odrzekł Owen. - Bóg mi świadkiem, w ogóle nie powinienem był pozwolić ci zacząć, ale...

- Pocałowałeś mnie pierwszy - odparował Seth.

- *Mea culpa* - mruknął Buddenbaum, unosząc dłonie w ironicznym geście poddania. - Na drugi raz będę mądrzejszy.

Seth wyraźnie się zasmucił.

- Nie będzie następnego razu. prawda? - zapytał.

- Seth...

- Nie musisz mnie okłamywać - rzekł chłopak, zakładając spodnie. - Nie jestem głupi.

- Nie jesteś - potwierdził Owen. - Wstań, dobrze? - Seth podniósł się i otarł wierzchem dłoni usta. - Właśnie dlatego, że nie jesteś głupi, powiedziałem ci to wszystko. Powierzyłem ci sekrety, którymi nigdy dotąd z nikim się nie podzieliłem.

- Dlaczego?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Może potrzebuję twego towarzystwa bardziej, niż sądziłem.

- Ale na jak długo?

- Nie naciskaj, Seth. Skutki mogą okazać się straszne. Muszę być pewien, że zabierając cię ze sobą nie stracę nic z tego, o co tak zacięcie walczyłem.

- Ale możesz to zrobić?

- Nie naciskaj, powiadam. - Seth spuścił wzrok. - Tego też nie rób. Patrz mi w oczy. - Seth powoli uniósł głowę. Był bliski łez. - Nie mogę brać za ciebie odpowiedzialności, chłopcze. Rozumiesz mnie? - Tamten skinął głową. - Sam nie wiem, co się wydarzy, w każdym razie nie do końca. Wiem tylko, że wiele światłych i potężnych umysłów zostało wyczyszczonych, usuniętych, unicestwionych ot, tak, tylko dlatego, że przyjęły zaproszenie do tańca, ale jak się okazało, nie znały właściwych kroków. - Wzruszył ramionami i westchnął. - Nie wiem, Seth, co do ciebie czuję, ale nie chcę, abyś stał się rośliną. Nie wybaczyłbym sobie tego. Z drugiej strony - Owen uniósł podbródek chłopaka - wydaje się, że nasze losy są w pewien sposób powiązane. Seth otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale Buddenbaum uciszył go spojrzeniem. - Ani słowa więcej na ten temat - syknął.

- Nie chciałem powiedzieć nic więcej.

- Owszem, chciałeś.

- Ale nie na ten temat.

- Wobec tego na jaki?

- Chciałem powiedzieć, że słyszę orkiestrę. Wytęż słuch.

Miał rację. Przez wybite okno dobiegały głośnie dźwięki muzyki.

- Parada się zaczęła - wyjaśnił.

- Nareszcie - rzucił Owen, spoglądając ponad ramieniem Setha na skrzyżowanie poniżej. - Och, mój chłopcze, już niedługo zobaczymy...

## Rozdział IV

*Proponuję, abyś na chwilę przystanęła* - rzucił Raul.

Tesla zatrzymała się; Phoebe, idąca obok, natychmiast zrobiła to samo.

*Ani drgnij.*

Tesla zauważyła, że we mgle jakieś dziesięć, dwanaście metrów przed nimi coś się poruszało. Cztery postacie (w tym również cieśla, jak sądziła) przecinały zbocze. Phoebe również je dostrzegła i wstrzymała oddech. Gdyby ktoś z owej czwórki spojrział w tę stronę, niechybnie by je zauważył. Przy odrobinie szczęścia Tesla mogłaby sprzątnąć dwoje z nich, zanim zdążyłyby do tamtych istot dobiec, ale każda z nich wydawała się zdolna uśmiercić obie kobiety jednym tylko uderzeniem.

*Urodą nie grzeszą* - zauważył Raul.

Było to delikatnie powiedziane. Wszyscy czworo wyglądali wyjątkowo odrażająco, a wrażenie to potęgowało ich groteskowe połączenie, gdy niczym bracia, obejmując się wzajemnie ramionami, maszerowali na ukos przez zbocze. Jeden z nich był z pewnością najchudszy człowiekiem świata - ciało opinało ciasno jego ostre kości niczym błona, miał gorejący wzrok i szedł wystudowanym krokiem. Obok kroczyła istota stanowiąca jego absolutne przeciwieństwo - odziana w rozchylone do pępka blade szaty, upstrzone plamami krwi i błota. Jej obwisłe piersi pokrywały sińce, sprawcą których było szkarłatne stworzenie przypominające skrzyżowanie homara i papugi - skrzydlate, szponiaste które przywierało do sutków niczym spragniony matczyne mleku noworodek. Trzecim był cieśla. Wydawał się najbardziej toporny i brutalny z całej czwórki. Głowę miał jak łopata i gruby, byczy kark. Idąc pogwizdywał jednak ciepłą, przyjemną dla ucha, wydawałoby się irlandzką melodyjkę. Na prawo od niego, najbliżej kobiety, biegło młode, o głowę niższe od cieśli. Jego skóra o niezdrowym połysku miała kolor żółci, istota owa podrygiwała całym ciałem w rytm osobliwych skurczów i tików. Jej rysy były świadectwem zakazanego związku - wylupiate oczy, cofnięty podbródek, w miejscu nosa zaś dwie szczeliny, ciągnące się prawie do odrażająco wykrzywionej górnej wargi.

Najwyraźniej im się nie spieszyło. Szli wolno, gwarząc i śmiejąc się, zadowoleni ze swego towarzystwa i żadne nie spojrzęło ani razu w kierunku kobiet.

Wreszcie mgła zamknęła się wokół nich i mroczne sylwetki zniknęły.

- Obrzydliwe - rzekła półgłosem Phoebe.

- Widziałam gorsze rzeczy - zauważyła Tesla, i po chwili obie ruszyły w dalszą wspinaczkę pod górę.

Mgła, która je otaczała, zaczęła delikatnie falować, im bliżej było wierzchołka góry, tym ruchy oparów stawały się gwałtowniejsze.

- O Boże! - jęknęła nagle Phoebe, wskazując na ziemię.

Grunt pod ich stopami poruszał się w tym samym rytmie - trawy, ziemia, nawet kamienie przyciągane były przez jakąś siłę w górę, a następnie, uwalniane, powracały na swoje miejsce, po chwili wszystko się powtarzało. Niektóre mniejsze kamyki wtaczały się wręcz pod górę - co już samo w sobie wydawało się niezwykle, lecz jeszcze dziwniejsze było to, jak lita górską skała odpowiadała na owe przesunięcia. Oto bowiem nieopodal progu skała nie tyle pękła, co raczej z m i ę k ł a na tyle, że mogła reagować na falowania podobnie jak mgła, trawy i ziemia.

- Chyba jesteśmy na właściwej drodze - rzekła Tesla, zwracając uwagę Phoebe na to zjawisko. Identyczne i równie niezwykle widziała w domu Buddy'ego Vance'a; najwyraźniej przedmioty materialne traciły tutaj trwałą konsystencję i prawdziwy kształt.

W domu Vance'a panowała istna burza. Tu nie. Panował tutaj delikatny, rytmiczny ruch (*fale pływowe* - zauważył cicho Raul); skały były nie tyle zmienne, co nakłoniłone do porzucenia swej stałości. Tesla wciąż jeszcze nie przestała myśleć o śmierci Luciena, by móc podziwiać ów niezwykle spektakl, niemniej czuła narastające w niej pełne niepokoju i niepewności wyczekiwanie. Nie wątpiła już, że zbliżają się do drzwi. Jeszcze kilka kroków i ujrzy Quiddity. Nawet jeśli naćpana śpiewaczka miała rację i na brzegu nie oczekiwały ich żadne cudowności, wspaniale będzie ujrzeć ocean, gdzie wszystko się narodziło.

W pobliżu ktoś się zaśmiał. Tym razem kobiety nie przystanęły, lecz przyspieszyły kroku. Ruchy gruntu i mgły z każdym ich krokiem przybierały na sile. Miały wrażenie, jakby silny prąd ciągnął je za kostki i stopy i choć nie stał się jeszcze dość mocny, by je przewrócić, przynajmniej w mniemaniu Tesli, było to jedynie kwestią czasu.

*Trochę dziwnie się czuję* - rzekł Raul.

- Jak?

*Nie wiem... Jakbym nie był całkiem bezpieczny.*

Zanim zdążyła zapytać go o coś więcej, ziemię i powietrze przeszła kolejna, jeszcze silniejsza fala, rozdzierając zasłonę mgieł na wprost nich. Tesla aż jęknęła ze zdumienia. Nie ujrzała wierzchołka góry, lecz coś zgoła nieoczekiwanego, zupełnie obcy krajobraz: niebo o gniewnych barwach i brzeg, o który rozbijały się ciemne, spienione fale morza snów.

Phoebe puściła rękę Tesli.



- Nie wierzę - szepnęła. - Widzę, ale nie wierzę.

*Tesla...*

- Zdumiewające, co?

*Trzymaj mnie.*

- O czym ty mówisz?

*Wyślizgnij się!*

- Czy to coś nowego?

*Tesla, ja nie żartuję!* - Raul wydawał się mocno spanikowany. - *Nie podchodź bliżej.*

- Muszę - powiedziała. Phoebe była już trzy kroki przed nią i wpatrywała się w brzeg niczym w obraz.

- Zwolnij! - zawołała do niej Tesla, ale prośba pozostała bez efektu.

Phoebe szła jak zahipnotyzowana tym, co rozpościerało się przed nią, dopóki, zgoła bez ostrzeżenia, falowanie gruntu nie stało się tak gwałtowne, że zbiło ją z nóg. Upadła z krzykiem, który musieli usłyszeć wszyscy znajdujący się w promieniu kilku metrów od niej i starała się podnieść, lecz nie było to proste.

Tesla pospieszyła jej z pomocą. Powietrze i ziemia zawirowały z ożywieniem, jakby jeszcze bardziej wzburzone ich obecnością. Schwyciła przyjaciółkę za rękę i pomogła jej wstać.

- Nic mi nie jest - wykrztusiła Phoebe. - Naprawdę. - Spojrzała na Tesłę. - Możesz już wracać - oznajmiła

*Posłuchaj jej* - odezwał się drżącym głosem Raul.

- Zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy - ciągnęła Phoebe. - Dalej mogę już pójść sama. - Objęła Tesłę i mocno uściśnęła. - Dziękuję - powiedziała. - Wiesz, jesteś niesamowitą kobietą.

- Uważaj na siebie - rzuciła Tesla

- Będę uważała - odparła Phoebe, odsuwając się i kierując wzrok ku brzegowi.

- Mówiłam serio! - zawołała Tesla.

- To znaczy?

- Nie byłam...

Nie zdążyła dokończyć, gdyż ujrzała jakąś postać na brzegu, na wprost Phoebe. Spośród wszystkich istot, które widziała, ta miała w sobie najwięcej władczej powagi. Był to tłusty, wyniosły osobnik o małych chytrych oczkach, którego brodę zdobiły rzadkie, poskręcane jak rogi kozła kosmyki twardej szczeciny. W jednej ręce trzymał krótką laskę, drugą podciągał długą, powłóczytą szatę, pozwalając, by trójka dzieci - identycznych jak podskakujący

brzdąc, którego Phoebe i Tesla widziały na zboczu poniżej - mogła biegać swobodnie między jego chudymi, patykowatymi nogami. Nie był jednak na tyle zaaferowany, by nie spostrzec przed sobą dwóch kobiet, a wyraz jego twarzy świadczył, iż doskonale wiedział, że nie należały do jego świty. Wykrzyknął gromko:

- Gamaliel! Do mnie! Mutep! Do mnie! Bartho! Swanky! Do mnie! D o m n i e!

Phoebe odwróciła się i spojrzała na Tesłę, wyraźnie zrozpaczona. Brzeg znajdował się o niecałe dziesięć kroków od niej, ale mężczyzna stał jej na drodze.

- Padnij! - zawołała Tesla i wymierzyła broń Marii Lourdes w osobnika w powłóczystych szatach, który tymczasem podniósł swą laskę.

Tesla ujrzała, jak wokół laski zaczynają przepływać języki gromadzącej się energii.

*To broń* - syknął Raul.

Nie czekała, aby się o tym przekonać, po prostu wypaliła. Kula trafiła mężczyznę w brzuch, nieco niżej, niż Tesla mierzyła. Puścił skraj szaty oraz laskę i krzyknął tak piskliwie, iż pomyślała, że go wykastrowała. Dziecięcy chichot przemienił się we wrzask i małe istotki pierzchnęły w popłochu, kiedy grubas runął na twarz, z krzykiem wciąż sączącym się spomiędzy jego drobnych zębów.

Jedno z dzieci minęło Phoebe, ignorując lub lekceważąc broń, i zawołało:

- Niech ktoś pomoże Błogosławionemu Zury'emu!

- Idź! - zawołała Tesla do przyjaciółki, ale jej głos utonął pośród agonalnych jęków Zury'ego i pisku dzieci. Mgła nie zagłuszyła tej kakofonii, lecz posłużyła niczym wielka komora echa, a gromadzący się w niej hałas zwielokrotniony został tak, że miękki grunt przeszło silne drżenie.

Panika malująca się na twarzy Phoebe ewidentnie świadczyła, że kobieta jest zbyt zdenerwowana, aby móc wykorzystać otrzymaną szansę. Zawoławszy ponownie, Tesla zaczęła brnąć ślamazarnie w jej kierunku.

*Nie idź dalej!* - ryknął w jej głowie Raul. - *Nie utrzymam się dłużej!*

Nie był w tym odosobniony. Hałas i ruch atakujące zmysły Tesli sprawił ją w całkowite otępienie. Miała wrażenie, że wybiegła wzrokiem gdzieś daleko w dal i patrzy teraz na samą siebie z progu pomiędzy Kosmosem a brzegiem. Zapewne pochłonęłoby ją to bez reszty, gdyby Phoebe nie wyciągnęła ręki i nie przywołała jej do rzeczywistości.

- Idź dalej! - wykrzyknęła wtedy do Phoebe, oglądając się na Zury'ego.

Mężczyzna nie był w stanie powstrzymać Phoebe. Zgięty w pół, wymiotował krwią.

- Chodź ze mną! - zawołała Phoebe.

- Nie mogę.

- Nie możesz tam wrócić! - oponowała Phoebe. - Zabiją cię!

- Nie, jeżeli...

*Tesla...* - zawołał Raul.

- Szybko, szybko, na miłość boską!

*Teslaaa...*

- W porządku! - rzuciła doń i pchnęła Phoebe w stronę brzegu.

Kobieta ruszyła naprzód w miękkich, falujących piaskach.

*Teslaaaaa...*

- Już wracam! - mruknęła Tesla i odwróciwszy się od Phoebe pomaszerowała z powrotem ku twardemu gruntowi.

Kiedy tam dotarła, przez chwilę czuła się kompletnie zdezorientowana, jakby straciła rozum. Przystanęła w pół kroku - jej cel, wola i wspomnienia odpłynęły gdzieś w powodzi białego bólu. Przeżyła chwilę zaćmienia, kiedy nie czuła zupełnie nic - ani bólu, ani strachu, ani pragnienia ocalenia własnej skóry. Po prostu stała na granicy falującego gruntu; pistolet wyslizgnął jej się z ręki i znikł w głębinach ziemi. I nagle, równie niespodzianie jak się pojawiło, uczucie dezorientacji zniknęło.

Głowa bolała ją jak nigdy dotąd, krew ciekła jej z nosa, ale miała dość sił, by wycofać się na bezpieczny teren.

No, może nie całkiem bezpieczny, bo przed nią w oddali pojawiły się cztery przerażające sylwetki: Gamaliel, Mutep, Bartho i Swanky.

Nogi miała teraz jak z waty. Nie było szans na ucieczkę - Tesla mogła jedynie liczyć na to, że nie zlikwidują jej na miejscu za zranienie Zury'ego. Kiedy cieśla podszedł bliżej, obejrzała się przez ramię i z zadowoleniem stwierdziła, że Phoebe przekroczyła próg i zniknęła jej z oczu.

To już coś, pomyślała do Raula. Nie odpowiedział.

- Przepraszam - powiedziała. - Zrobiłam, co mogłam.

Cieśla był tuż, tuż, wyciągnął rękę w kierunku Tesli.

- Nie waż się jej tknąć! - powiedział ktoś nagle.

Uniosła bolącą głowę. Ów ktoś, uzbrojony w strzelbę, właśnie wyłaniał się z mgły. Mierzył w rannego Błogosławionego.

- Chodź tu, Teslo - polecił przybyły.

Zmrużyła powieki, usiłując dostrzec twarz swego wybawcy.

- D'Amour?

- We własnej osobie - odrzekł z szerokim uśmiechem. - Czy zechcesz tu wreszcie

podejść?

Cieśla stał w odległości ciosu od Tesli, najwyraźniej gorąco pragnąc zrobić jej coś złego.

- Każ mu się odsunąć - powiedział D'Amour do Zury'ego. - Albo pożałujesz.

- Bartho - odezwał się Błogosławiony. - Przepuść ją.

Skomląc jak sfrustrowany psiak, cieśla odsunął się, a Tesla czym prędzej zeszła do D'Amoura.

- Gamaliel? - rzucił detektyw. Chudy jak tyka czarny stwór odwrócił osmaloną głowę w stronę Harry'ego. - Wyjaśnij tym tam Braciom Grimm, że mam tutaj celownik, któremu nie przeszkadza jakaś tam mgła. Rozumiesz, co mówię? - Gamaliel pokiwał głową. - I jeśli któryś z was poruszy się w ciągu najbliższych dziesięciu minut, odstrzelę staremu łeb. Myślisz, że tego nie zrobię? - Wymierzył w Zury'ego. Gamaliel tylko zapisał.

- No, skapowałeś - mówił dalej D'Amour. - Dzięki tej strzelbie mogę sprzątnąć waszego mistrza z dużej odległości. Z bardzo, bardzo dużej odległości. Czy to jest jasne?

Odpowiedział mu jednak nie Gamaliel, lecz jego otyły braciszek.

- Do-obra - odezwał się, unosząc tłuste łapska do góry. - Nie strzelać, do-obra? My się nie ruszyć. Do-obra? Ty nie strzelać. Do-obra?

- Do-obra, do-obra - burknął Harry. Spojrzał na Tesłę.

- Jesteś w stanie biec? - zapytał.

Tesla ruszyła w dół zbocza, najpierw powoli, aby nie stracić z oczu D'Amoura oddalającego się od Zury'ego i braci. Detektyw wycofywał się bez pośpiechu i dopiero gdy tamci stracili go z oczu, pobiegł i dogonił Tesłę.

- Musimy się pospieszyć - powiedział.

- Mógłbyś to zrobić?

- Co?

- Sprzątnąć Zury'ego mimo mgły.

- Do licha, nie, ale założę się, że żadne z nich nie zaryzykuje. Ruszajmy.

Zejsście było łatwiejsze niż podejście, choć Tesla miała wrażenie, że lada chwila jej czaszka rozpadnie się na milion kawałków. W ciągu dziesięciu minut mgła przed nimi rozrzedziła się i wkrótce znaleźli się poza obszarem mlecznego oparu.

- Nie sądzę, abyśmy już byli bezpieczni - powiedział Harry.

- Uważasz, że pójdą za nami?

- Pewno, że tak - stwierdził krótko. - Bartho pewno robi już dla nas krzyże.

Przed oczyma Tesli pojawiła się wizja Luciena i dziewczyna jęknęła mimo woli.

Przyłożyła dłoń do ust, by stłumić kolejny jęk, ale nie powstrzymała łez, które pociekły jej z oczu.

- Nie dostaną nas - rzekł detektyw. - Nie pozwolę na to.

- Nie o to chodzi - zaprzeczyła Tesla.

- Wobec tego o co?

Pokręciła głową.

- Później - powiedziała i odwróciwszy się, ruszyła dalej w dół zbocza.

Łzy na wpół ją oślepiły i potknęła się kilkakrotnie, ale wycisnęła ze swych zmęczonych nóg maksimum sił, dopóki nie znaleźli się w bezpiecznym miejscu na skraju lasu. Dopiero tutaj nieznacznie zwolniła i jęła oglądać się za siebie, aby sprawdzić, czy nie zgubiła D'Amoura.

W końcu, oboje zdyszani tak, że ledwie mogli mówić, dotarli do miejsca, gdzie drzewo było znacznie mniej i gdzie zaczęły dobiegać ich rozmaite dźwięki. Szum Potoku Ungera. Gwar głosów. Dźwięki orkiestry.

- Nie jest to Mozart, pomyślała Tesla do Raula. Przykro mi.

Jej współlokator nie odpowiedział.

- Raul? - spytała tym razem na głos.

- Coś się stało? - zainteresował się D'Amour.

Uciszyła go spojrzeniem i znowu się skupiła.

- Raul? - powtórzyła. I tym razem nie odpowiedział.

Mocno zaniepokojona zamknęła oczy i zaczęła go szukać. Podczas wędrówki Tesli dwa lub trzy razy ukrył się przed nią w ten sposób, powodem tego były strach lub gniew - musiała go nakłaniać, by znów się ujawnił. Zgromadziła myśli na granicy dzielącej ich terytoria i zagłębiając się w siebie, jęła go nawoływać. Bez rezultatu.

Zaczęło narastać w niej mroczne przypuszczenie.

- Odpowiedz, Raul - poprosiła. Znowu napotkała pustkę, toteż przekroczyła granicę, aby znaleźć się w strefie, którą zajmował.

Natychmiast zorientowała się, że go nie ma. Kiedy zapuszczała się tu wcześniej, Raul reagował w agresywny sposób, mimo że nie była w stanie skłonić go, by się odezwał. Czuła jego jaźń, jako coś odmiennego od niej samej - zajmował przestrzeń, którą większość ludzi, żyjąc i umierając, uważała wyłącznie za swą własną: przestrzeń w umysłach. Teraz nie było tam niczego - żadnego wyzwania, żadnej skargi, szloch, czy odpychania.

- Co się stało? - spytał D'Amour, wpatrując się w jej twarz.

- Raul - powiedziała - Nie ma go.

I nagle zrozumiała, co się stało. Ów moment otępienia i chwilowego szaleństwa na progu oznaczał jego odejście; to wyrwanie go z jej umysłu nieomal doprowadziło Teslę do oblędu.

Otworzyła oczy. Świat wokół niej: drzewa, niebo, D'Amour, szum strumienia, gwar głosów, dźwięki orkiestry - wszystko to wydawało się wszechobecne i przytłaczające po wizycie w pustce, zajmowanej niedawno przez Raula.

- Jesteś pewna? - spytał D'Amour.

- Tak.

- Dokąd mógł pójść?

Tesla pokręciła głową.

- Ostrzegiał mnie, gdy byliśmy blisko brzegu. Powiedział, że się wyslizguje. Sądziłam, że chodziło mu o coś innego...

- Że traci nad sobą kontrolę?

- Tak. - Ofuknęła samą siebie za głupotę. - Chryste! Straciłam go. Jak mogłam do tego dopuścić?

- Nie obwiniaj siebie, nie możesz myśleć o wszystkim. Tylko Bóg myśli o wszystkim.

- Dobra, nie ze mną te religijne gadki - burknęła Tesla. - To ostatnia rzecz, jakiej mi teraz trzeba.

- Potrzebujemy pomocy - rzekł D'Amour, spoglądając w stronę szczytu góry. - Wiesz co oni tam robią, prawda?

- Czekają na Iadów.

- Właśnie.

- I Kissoon jest szefem komitetu powitalnego.

- Wiesz o Kissoonie? - spytał, wyraźnie zaskoczony detektyw.

- Ty też już o nim wiesz? - Tesla również była tym zaskoczona

- W ciągu ostatnich dwóch miesięcy ścigałem go przez pół kraju.

- Skąd się dowiedziałeś, że jest właśnie tutaj?

- Od kobiety, którą znasz, Marii Nazareno.

- Jak do tego doszło, że ją poznałeś?

- To ona mnie znalazła, tak jak i ciebie.

Tesla otarła twarz z potu i brudu.

- Ona nie żyje, prawda?

- Niestety, dopadł ją Kissoon.

- Jesteśmy parą zabójców, D'Amour. Wszystko, czego dotkniemy... - nie dokończyła.

Odwróciła się od niego i zaczęła schodzić niżej.

- Co chcesz teraz zrobić?

- Posiedzieć. Pomyśleć.

- Mogę pójść z tobą?

- A masz może jakiegoś asa w rękawie?

- Nie.

- Świetnie. Robi mi się niedobrze, gdy staram się uwierzyć, że możemy jakoś temu wszystkiemu zapobiec.

- Ja tego nie powiedziałem.

- Ty nie, ale ja tak - oznajmiła Tesla, nie przerywając schodzenia. - Oni nadchodzą, D'Amour, czy to się nam podoba, czy nie. Drzwi są otwarte i oni przez nie przejdą. Myślę, że już najwyższa pora, abyśmy pogodzili się z tą myślą.

Harry chciał zaproponować, zanim jednak zdołał się odezwać, przypomniał sobie rozmowę z Normą. „Świat może się zmienić, powiedziała Mulatka, ale to nie będzie oznaczać jego końca”. A czy jest coś złego w zmianach? Czy świat naprawdę był tak wspaniały?

Spojrzał w górę, pomiędzy kołyszące się gałęzie, na lśniące niebieskie niebo, podczas gdy podmuch wiatru przywiał doń dźwięki orkiestry i znał już odpowiedź.

- Świat jest dobry taki, jaki jest - powiedział tak, by Tesla mogła go usłyszeć. Nie odpowiedziała. Dotarła do strumienia i przeszła na drugi brzeg. - Jest w porządku - mruknął do siebie, stanowiąc tym samym własne, nieodwołalne prawo, aby go bronić. - Jest w porządku.

# Rozdział V

## 1

Phoebe, typowa materialistka, spodziewała się ujrzeć na końcu swej wędrówki prawdziwe drzwi. Z pewnością nie takie zwyczajne - nie była aż tak naiwna, by oczekiwać dzwonek i wycieraczki, ale przypuszczała, że drzwi faktycznie będą drzwiami. Stanie przed nimi, naciśnie klamkę, a te z majestatycznym skrzyknięciem otworzą się na oścież.

Jakże się pomyliła. Przejście między światami było jak potraktowanie eterem w gabinecie dentystycznym w starych, kiepskich czasach; jej umysł walczył o zachowanie świadomości i tracił ją, tracił coraz bardziej...

Nie pamiętała upadku, ale kiedy znów otworzyła oczy leżała twarzą do dołu na ośnieżonych kamieniach. Podniosła się, przemarznięta do kości. Wśród płatków śniegu widniały ślady krwi, kolejne krople skapywały jej z twarzy. Uniosła dłoń i dotknęła delikatnie ust. I nosa. Przekonała się, że krwawiło, ale prawie nie czuła bólu, toteż uznała, że nie jest złamany.

Sięgnęła do kieszeni sukienki (którą założyła z uwagi na jej skąpość - chciała pokazać się w niej Joemu i teraz żałowała tej decyzji), wyjęła zmiętą w kulę chusteczkę higieniczną i przyłożyła do nosa. Dopiero wtedy rozejrzała się wokoło.

Na prawo miała szczelinę, przez którą się tu dostała - dzień po tamtej stronie wydawał się jaśniejszy (i cieplejszy), niż fioletowy półmrok, w jakim się znajdowała. Na lewo, częściowo ukryte wśród mgieł, rozciągało się morze, a jego ciemne fale przetaczały się łagodnie. Na brzegu, pomiędzy jednym a drugim, zbite w stadka zgromadziły się niezliczone rzesze ptaków przypominających kormorany. Największe miały pocętkowane, jak gdyby pokryte woskiem ciała i małe główki - jedne całkiem łyse, inne zaś ozdobione zielonymi czubami. Od najbliższych dzieliła Phoebe odległość raptem dwóch metrów, ale żaden z ptaków nią się nie zainteresował. Wstała, szcękając zębami z zimna i spojrzała w stronę, skąd przyszła. Czy warto było ryzykować powrót tylko po to, by zabrać jakieś porządniejsze ubranie? Jeśli nie znajdzie sobie czegoś cieplejszego, w bardzo krótkim czasie umrze z wychłodzenia.

Zastanawiała się nad tym tylko przez chwilę. Nagle dostrzegła po drugiej stronie jedno



z dzieci Błogosławionego, najwyraźniej patrzące w jej stronę, i groza tego przez co przeszła, aby tu się dostać, powróciła ze zdwojoną siłą. Lepsze zimno niż krzyże, pomyślała Phoebe i zanim dziecko zdążyło przywołać kogoś, kto by ruszył za nią w pościg, pomaszerowała w stronę wody. Zastłona mgieł między nią a dzieckiem gęstniała z każdym krokiem, aż w końcu nie widziała już pokracznej istoty, ani też - jak miała nadzieję - istota nie mogła widzieć jej.

Przy brzegu zrobiło się chłodniej, fale uderzały o brzeg rozpryskując wokoło kaskady lodowatych kropeł. Miało to jednak również swoją dobrą stronę. Ściana mgieł na prawo była dziurawa jak szwajcarski ser i Phoebe dostrzegła w oddali na brzegu mrugające światła, jak również mroczne, rozmyte sylwetki dachów i wieżyczek. Dzięki Bogu, pomyślała, jest tu jakaś cywilizacja. Nie zwlekając ruszyła w tę stronę, idąc stale wzdłuż brzegu morza, żeby nie zgubić się we mgle. Jak się okazało, mleczna ściana przerzedziła się niebawem i Phoebe mogła wreszcie bez przeszkód przyjrzeć się miejscu, do którego trafiła. Widok nie był zbyt uspokajający. Nie wyglądało na to, aby choć trochę zbliżyła się do świateł miasta, a przecież odkąd je ujrzała, przeszła już całkiem spory dystans, a reszta krajobrazu - brzeg, skalisty teren poza nim i samo morze snów - wyglądała jak posępne pustkowie. Niebo zdobiły upiorne, niezdrowe fiolety i żelaziste szarości - jedyne barwy. Nie było gwiazd rozjaśniających drogę czy też księżyc; jedynie śnieg zalegający ziemię stanowił źródło osobliwej poświaty, jakby grunt ukradł tę odrobinę światła, którą dysponowały niebiosa. Co się tyczy form życia, na brzegu gnieździły się ptaki - choć nie tak liczne jak te przy drzwiach - czekające niczym armia na rozkazy nieobecnego dotąd generała. Niektóre opuściły swe miejsca i łowiły ryby na płycznach. Na grzbietach fal dostrzec można było małe, roziskrzzone rybki. Phoebe ujrzała także kilka ptaków nurkujących, wylaniających się z wody z dziobami i wolami tak pełnymi miotających się wściekle ryb, że aż się dziwiła, jakim cudem żaden z nich się nie udławi.

Widok ów przypomniał jej, że jest głodna. Minęło sześć godzin, odkąd przed wyruszeniem w drogę obie zjadły śniadanie. Nawet gdy stosowała dietę, do tej pory ze dwa razy coś by przekąsiła i zjadła solidny obiad. Zamiast tego wdrapała się na szczyt góry, była świadkiem ukrzyżowania i przeszła do innego świata. Dostyc, żeby kiszki zaczęły jej grać marsza.

Jakiś ptak przeszedł obok niej i kiedy wskoczył do wody w poszukiwaniu żywego posiłku, Phoebe podążyła wzrokiem wzdłuż plaży do miejsca, gdzie dotąd siedział. Czy to jajko leżało między kamieniami? Podeszła tam i podniosła je. Rzeczywiście było to jajko, dwa razy większe od kurzego i lekko prądkowane. Myśl o zjedzeniu go na surowo niezbyt przypadła Phoebe do gustu, ale była zbyt głodna, by tego nie zrobić. Rozbiła skorupkę i wypila zawartość. Miało ostrzejszy smak, niż się spodziewała, prawie jak mięso, i

konsystencję flegmy. Przełknęła wszystko do ostatniej kropli i właśnie wypatrywała następnego, gdy usłyszała za sobą jakieś poruszenie, pisk i łopot skrzydeł, a obejrzawszy się ujrzała rozwścieczonego ptaka, pędzącego w jej stronę z opuszczonym łebkiem i wojowniczo nastroszonymi piórami.

Phoebe nie była w nastroju, by znosić cierpliwie napady czyjegoś złego humoru,  
- A sio! - zawołała. - Sio, ptaku! Wynoś się stąd!

Nie dał się łatwo przepłoszyć. Na jego sygnał inne w pobliżu zaczęły głośno skrzeczeć, aż w końcu wojownicze ptaszysko dziobnęło Phoebe w łydkę. Do krwi, aż zaboląło. Phoebe krzyknęła i odskoczyła w tył, a jej słowa nie brzmiały już tak łagodnie.

- Odwal się, dobra! - zawołała. - Cholerne ścierwo!

Cofając się, spojrzała na piekącą nogę i poślizgnęła się na śliskich, ośnieżonych kamieniach. Upadła po raz drugi w ciągu ostatnich trzydziestu minut, po raz pierwszy zadowolona, że ma miękkie, dobrze wypchane tłuszczem pośladki. Niestety, padając znalazła się w niekorzystnym położeniu, z uwagi na bliskość wojowniczego ptaka i jego pobratymców, widzących jak klapnęła na ziemię i uważających ów gniewny okrzyk za oznakę zagrożenia. Ze wszystkich stron otoczyły ją nastroszone pióra i grzebienie, z dwóch lub trzech tuzinów gardeł dobiegło identyczne ochryple skrzeczenie.

Sprawa zaczynała wyglądać poważnie. Mimo iż mogło to wydawać się absurdalne, Phoebe miała poważne kłopoty. Ptaki zbliżały się ku niej ze wszystkich stron, a ich atak mógł skończyć się dla niej fatalnie. Zaczęła pokrzykiwać, w nadziei, że je zatrzyma, usiłując jednocześnie się podnieść z ziemi. Dwukrotnie prawie jej się to udało, ale buty ześlizgnęły się po kamieniach i znów upadła. Ptaki zaatakowały. Zaczęły dziobać ją po plecach, ramionach i rękach. Machała rękami i nogami jak oszalała, udało jej się nawet kilka pochwycić i przewrócić, ale było ich zbyt wiele, by mogła sobie poradzić ze wszystkimi. Prędzej czy później jakiś dziób wykłuje jej oko albo przedziurawi tętnicę. Musiała wstać i to szybko.

Oslaniając głowę ramionami, podźwignęła się na kolana. Ptaki miały małe czaszki, a tym samym również małe mózdzki, ale wyczuły, że Phoebe jest bezbronna i wzmogły atak kłując ją w nogi, plecy i pośladki, gdy rozpaczliwie usiłowała się podnieść.

Nagle rozległ się strzał, a zaraz potem drugi i trzeci; gorąca struga zbryzgała lewą rękę Phoebe. Gniewne skrzeczenie zmieniło się w rozpaczliwe i pełne paniki. Opuszczając ręce Phoebe ujrzała, jak ptaki pierzchają w popłochu, pozostawiając na plaży trzy martwe ciała, rozdarte na strzępy. Jednemu brakowało głowy, drugiemu połowy korpusu, trzeci zaś, który opryskał ją krwią i wciąż jeszcze trzepotał się po ziemi, miał w brzuchu dziurę wielkości pięści.

Zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu tego, kto ją ocalił.

- Tutaj! - usłyszała pełen rozbawienia głos.

Nieco dalej na brzegu stał odziany w futra mężczyzna, na głowie miał futrzaną czapkę, której daszkiem był pysk jakiegoś zwierzęcia. W dłoniach trzymał strzelbę, jeszcze dymiącą.

- Nie należysz do świty Zury'ego - zauważył.

- Nie należę - potwierdziła Phoebe.

Mężczyzna odchylił „daszek” swej czapki. Sądząc po rysach, należał do tego samego plemienia co cieśla; miał szeroką, płaską twarz, wydatną dolną wargę i maleńkie oczy. Podczas jednak gdy oblicze cieśli było gładkie, twarz tej istoty została zapełniona skrzętnie od czoła aż do podbródka - policzki przekłuto chyba w pięćdziesięciu miejscach kolczykami, z których zwieszały się maleńkie ozdóbki, oczy obwiedziono żółtymi i szkarłatnymi kręgami, włosy zaś utrefiono, co złagodziło nieco kanciastość szerokiego, ostrego czoła.

- Skąd jesteś? - zapytał przybysz.

- Z drugiej strony - odrzekła Phoebe.

- To znaczy z Kosmosu?

- Zgadza się.

Mężczyzna pokręcił głową, a ozdoby na jego twarzy zatańczyły z werwą.

- Och - westchnął. - Mam nadzieję, że to prawda.

- Sądzisz, że byłabym tak ubrana, gdybym była stąd? - odparła Phoebe.

- Nie, chyba nie - mruknął mężczyzna. - Jestem Hoppo Musnakaff.

- A ty?

- Phoebe Cobb.

Musnakaff rozpiął płaszcz i zrzucił go wzruszeniem ramion.

- Miło cię poznać, Phoebe Cobb - powiedział. - Załóż to. - Podał jej płaszcz. - I pozwól mi się odprowadzić z powrotem do Liverpoolu.

- Do Liverpoolu? - Zabrzmiało to dość zwyczajnie po tak niezwyklej podróży.

- To wspaniałe miasto - rzekł Musnakaff, wskazując ręką w kierunku świateł na brzegu.

- Sama zobaczysz.

Phoebe założyła płaszcz. Był ciepły i pachniał słodko, z lekką domieszką pomarańczy. Wsunęła dłonie w głębokie, obszyte futrem kieszenie.

- Niebawem się ogrzejesz - powiedział Musnakaff. - Po drodze opatrzę twoje rany. Chcę, abyś godnie zaprezentowała się przed Panią.

- Przed Panią?

- To moja... pracodawczyni - wyjaśnił. - Wysłała mnie, abym sprawdził, co zamierza

Zury, ale chyba będzie bardziej zadowolona, jeśli zamiast szpiegować dalej, przyprowadzę jej ciebie. Na pewno zechce usłyszeć, co masz jej do powiedzenia.

- Na jaki temat?

- Kosmosu, ma się rozumieć - odrzekł Musnakaff. - Podasz mi rękę? '

- Proszę.

Podszedł do niej (to jego wonią przesycone było futro, jak stwierdziła Phoebe; ten sam zapach emanował zeń bardzo silnie) i ująwszy ją za rękę, przeprowadził po śliskich, zdradliwych kamieniach.

- To nasz środek transportu - powiedział. Przed nimi stał wielobarwny koń, mieniący się niczym pawi ogon. Pogryzał szorstką trawę rosnącą w szczelinach solidnej ongiś i zadbanej autostrady. - Król Teksas położył tę drogą, kiedy chciał zrobić wrażenie na Pani. Oczywiście od tej pory szosa obróciła się w ruinę.

- Kim jest Król Teksas?

- Skalą - odparł Musnakaff, kopiąc nogą w ziemię. - Szaloną skalą, odkąd go zostawiła. Kochał ją ponad całą miłość, skały to potrafią.

- Zdajesz sobie sprawę, że nie wiem, o czym mówisz, prawda? - spytała Phoebe.

- Wsadzimy cię teraz na kucyka - mruknął Musnakaff. - O, właśnie! Prawą nogę w strzemień. I do góry! O tak! Świetnie! Świetnie! - Przerzucił lejce nad łbem konia, jakby chciał go poprowadzić. - Trzymasz się? - spytał.

- Chyba tak.

- Złap się grzywy. Dalej, nie poskarży się na ciebie.

Phoebe wykonała polecenie.

- A teraz - rzekł Musnakaff, lekkim szarpnięciem wodzy zmuszając zwierzę, aby ruszyło z miejsca - pozwól, że opowiem ci o Pani i Królu Teksasie, byś mogła lepiej pojąć jego szaleństwo, kiedy się spotkacie twarzą w twarz.

## 2

Przeraźliwe krzyki wyrwały Joego z sennego odrętwienia. Uniósł głowę, wciąż leżąc na czerwonej, wspaniałej plaży Mem-é b'Kether Sabbath i odwrócił się w stronę morza. Jakieś dwieście czy trzysta metrów dalej, na morzu znajdowała się dobra łódź „Fanacapan”, na pokładzie której roilo się od pasażerów. Siedzieli na dachu sterówki, przywierali do masztu i drabinek, jeden wisiał nawet na kotwicy. Ich ciężar jednak i podniecenie okazały się dla stateczku zgubne.

Na oczach Joego „Fanacapan” wziął silny przechył na burtę, wskutek czego ponad tuzin osób znalazło się w wodzie, a ich wrzaski stały się jeszcze bardziej rozpaczliwe.

Joe podniósł się, obserwując katastrofę z chorobliwą fascynacją. Rozbitkowie gorączkowo usiłowali wrócić na pokład, kilku pasażerów statku starało się im pomóc, inni natomiast równie żącznie próbowali temu zapobiec. Niezależnie od intencji, ostateczny wynik był jeden i ten sam. „Fanacapan” przewrócił się zupełnie, wyrzucając ludzi z pokładów, sterówki, masztu i drabinek w ciągu dwóch sekund; wręgi popękały i łódź zaczęła tonąć z oszalamiającą gwałtownością.

Był to żałosny widok. Mimo iż niewielka, łajba wywołała na powierzchni morza nie lada kipieli. Wody wzburzyły się, spieniły i rozpryskiwały na wszystkie strony, a tworzące się w miejscu katastrofy wiry zabierały w głębiny niewinnych ludzi. Szli pod wodę z głośnym wrzaskiem i przekleństwami, jakby mieli umrzeć, chociaż Joe podejrzewał, że jeśli nawet ginęli, to nie wskutek utonięcia. Bądź co bądź pozostawał pod wodą wraz z Phoebe przez dobrych kilka minut i nie zabrakło mu powietrza. Być może te ogarnięte paniką, żałosne dusze również to odkryją - aczkolwiek w głębi serca nie oczekiwał tego. Coś z tego, jak owe fale krążyły wokół miotających się nieszczęśników, mówiło mu, że nie są one pozbawione uczuć. I że morze snów okaże się dla zdesperowanych rozbitków równie okrutne, jak okazało się litościwe względem niego.

Odwrócił się od wód i zlustrował brzeg. Nie był on pusty. Na plaży po obu stronach, jak okiem sięgnąć dostrzegł ludzkie sylwetki. Pociemniałe niebo dało szansę osobliwej luminescencji, źródłem której nie były ciała niebieskie, lecz obiekty znajdujące się na lądzie. Wszystko świeciło własnym niepowtarzalnym blaskiem, jednostajnym, niekiedy migotliwym, lecz w gruncie rzeczy wspaniałym.

Joe spojrział na siebie, na swe zakrwawione ubranie i poranione ciało, by stwierdzić, że on również emanował dziwną poświatą, jakby wszystkie pory i włókna pragnęły dać o sobie znać w tak osobliwy sposób. Na ów widok ogarnęło go rozbawienie. W tym cudownym miejscu, on również okazał się niepospolity i oto dawał wyraz własnej potędze i chwale.

Ruszył wzdłuż brzegu w stronę kępy potężnych drzew, które porastały go tak gęsto, że nie sposób było przyjrzeć się bliżej wyspie. Wiedział, że znalazł się na Mem-é b’Kether Sabbat. Podczas rejsu Noe niejednym raz opowiadał mu o barwie tutejszego piasku. Żaden brzeg nie był równie czerwony, mówił chępliwie, ani żadna wyspa nie była równie piękna. Poza tym Joe nie bardzo wiedział, czego ma się spodziewać. Efemerydy stanowiły archipelag - utworzony, jak mawiały legendy, wokół cząstek materii Kosmosu. Niektóre z tych szczątków ż y ł y - tkanki ludzi, którzy wdarli się tutaj bez pozwolenia, a morze snów

przetworzyło i przenicowało te fragmenty ciał w fantastyczny sposób, wykorzystując jako inspirację umysły owych mężczyzn i kobiet. Większość szczątków była jednak materią martwą, ot, fragmenty Helter Incendo, które przedostały się przez szczelinę. Z czasem, za sprawą Quiddity, staną się one kolejnymi, nieco mniejszymi wysepkami archipelagu.

Mimo iż było ich tysiące, jak powiedział Noe, większość z nich pozostawała nie zamieszкана.

Kto w takim razie, zapytał Joe, jakich mężczyzn czy kobieta założyli wyspę, którą Noe nieodmiennie określał mianem „swojego kraju”? Noe odrzekł, że nie wie, ale w wielkim mieście b'Kether Sabbath byli tacy, co wiedzieli, i jeśli Joemu się uda, może jeden z nich udzieli mu tej informacji, rozwiązując tym samym dręczącą go zagadkę.

Już wtedy Joe stwierdził, że nadzieje ma raczej nikłe. Teraz nabrał pewności, iż gra jest niewarta świeczki. Ludzie na brzegu byli ewidentnie uciekinierami, w większości z tego wielkiego miasta. Jeśli b'Kether Sabbath jeszcze istniało, z pewnością nie pozostał tam żywy duch.

Mimo to Joe postanowił je odwiedzić. Dotarł przecież tak daleko i tak wielkim kosztem. Gdyby nie ujrzał miasta, które zgodnie ze słowami Noego było klejnotem Efemeryd, ich Rzymem, Nowym Jorkiem i Babilonem zarazem, byłby skończonym durniem. A jeżeli nawet niczego już nie zastanie, jeśli za tymi drzewami ujrzy jedynie pustkowie, będzie to stokroć lepsze niż pozostać tutaj, wśród zagubionych, straconych ludzi.

Z ową myślą pomaszerował wzdłuż brzegu; pragnienie władzy, z jakim rozpoczął swą podróż, wygasło zupełnie, a jego miejsce zajęła zwyczajna chęć ujżenia tego, co mógł zobaczyć i poznania tego, co mogło mu zostać przekazane, zanim przeminie nadarżająca się teraz okazja, żeby doświadczyć obu z nich.

# Rozdział VI

## 1

Chociaż Liverpool wydał się Phoebe kompletnie pozbawiony uroku, kiedy zjawiała się tam z Musnakaffem - tamtejsze budynki publiczne były surowe i ponure, prywatne domy, zarówno kamienice czynszowe, jak wille wydawały się mroczne i posępne - niebawem napotkali oznaki miejskiego życia, które w znacznym stopniu przybliżyły to miejsce jej sercu. W wielu mijanych rezydencjach trwały hałaśliwe zabawy, obejmujące swym zasięgiem nawet chodniki. Na kilku placach płonęły wielkie ogniska, wokół których tańczyli ludzie. Napotkali nawet paradę śpiewających dzieci.

- Co to za święto? - zwróciła się Phoebe do Musnakaffa.

- To nie pojedyncza feta - odparł - ludzie po prostu starają się wykorzystać tę resztkę czasu, jaka im jeszcze została.

- Zanim nadejdą ladowie? - Skinął głową. - Dlaczego nie opuszczają miasta?

- Wielu tak uczyniło. Wielu myśli jednak: „Po co? Po co iść i marznąć w Trophette czy Plethoziac, skoro ladowie i tak cię znajdą, gdy możesz zostać w domu i upić się do nieprzytomności w towarzystwie rodziny?”

- Masz rodzinę?

- Moją rodziną jest Pani - odrzekł mężczyzna. - Jest wszystkim, czego potrzebuję. Czego kiedykolwiek potrzebowałem.

- Powiedziałeś, że jest obłąkana.

- Przesadziłem - odparł z uczuciem. - Jest tylko trochę postrzelona.

Dotarli w końcu do samotnie stojącego dwupiętrowego domu z ośnieżonym ogrodem. W każdym pokoju paliło się światło, ale nigdzie nie było widać uczestników zabawy. Słysząc było jedynie skrzeczenie mew, które siedziały na dachu oraz kominach i gapiły się na morze. Miały na co popatrzeć. Nawet z ulicy Phoebe mogła dostrzec, ponad ośnieżonymi dachami domów, port i mnóstwo kotwiczących tam okrętów. Niewiele wiedziała o statkach, ale ten widok poruszył ją, wywołując wspomnienia dawnych czasów, kiedy świat wciąż jeszcze miał swoje sekrety. Teraz jedynym morzem było chyba morze snów, które rozciągało się poza zatoką i wydawało się jej na miejscu, że te smukłe, eleganckie łodzie już wkrótce wypłyną w

rejs.

- Pani wzbogaciła się właśnie w taki sposób - powiedział Musnakaff podchodząc do Phoebe, by wraz z nią podziwiać urzekającą panoramę.

- Okręty?

- Marynarze - wyjaśnił. - Handlowała snami, dzięki czemu stała się niewiarygodnie bogata. I szczęśliwa. Aż do czasu Króla Teksasa.

Zgodnie z obietnicą, Musnakaff, prowadząc Phoebe do miasta, opowiadał o Królu Teksasie, a była to nader smutna historia. Musnakaff wyjaśnił, iż uwiódł on Panią w kwiecie wieku, a kiedy już się nią znudził, porzucił ją dla następnej. Pani bardzo to przeżyła. Kilkakrotnie próbowała nawet popełnić samobójstwo, lecz za każdym razem udawało się jej przeżyć.

Wreszcie, wiele lat po swym odejściu. Król Teksas niespodziewanie powrócił, błagając o wybaczenie i możliwość powrotu do jej serca i łóżka. Wbrew wszelkim oczekiwaniom Pani odrzuciła go. Stwierdziła, że się zmienił. Ten, którego kochała i utraciła, i którego nie przestała ani nie przestanie nigdy opłakiwać, odszedł na zawsze.

- Gdybyś został ze mną - powiedziała - moglibyśmy razem się zmienić i odnaleźć nowe aspekty naszej miłości. Nie zostało jednak w tobie nic, czego mogłabym pragnąć, nie licząc wspomnień.

Opowieść ta mocno zasmuciła Phoebe, podobnie jak wzmianka o kupczeniu snami, choć bez trudu mogła wyobrazić sobie, co to oznaczało.

- Czy sny można kupować i sprzedawać? - zwróciła się do Musnakitffa.

- Wszystko można kupować i sprzedawać - odrzekł, zerkając na nią. Ale ty o tym wiesz, bo pochodzisz z Kosmosu.

- Tyle że... sny?

Unióś dłoń, by powstrzymać kolejne pytanie Phoebe i poprowadził ją ku bramie, którą otworzył za pomocą klucza zawieszzonego przy pasku, po czym oboje podeszli po schodkach do frontowych drzwi. Zanim weszli do środka, udzielił Phoebe ostatniej rady.

- Będzie z pewnością wypytywać cię o Kosmos. Powiedz, że to padół łez, a uczynisz ją szczęśliwą.

- To nie jest kłamstwo - odrzekła Phoebe.

- Świetnie. Ach, jeszcze jedno - dorzucił. - Może zechcesz nadmienić, że uchroniłem cię od niechybnej śmierci. Nie zawahaj się nieco ubarwić tę historię i może trochę przekłamać, aby wydawała się bardziej...

- Heroiczna?



- Dramatyczna.

- Ach tak, dramatyczna - mruknęła Phoebe z uśmiechem. - Nie martw się.

- Tyle tylko, że zostałem tylko ja, teraz, kiedy nie zjawili się żeglarze. I chcę, aby czuła się pewnie. Żeby wiedziała, że jest chroniona. Rozumiesz?

- Rozumiem - odrzekła Phoebe. - Kochasz ją równie mocno jak Król Teksas.

- Ja tego nie powiedziałem. Bo to jest... to znaczy... chcę powiedzieć, że ona nawet nie...

- Nagle stracił całą dotychczasową pewność siebie. Dygotał jak liść.

- Chcesz powiedzieć, że ona nic nie wie?

- Chodzi mi o to... - wpatrywał się w stopnie pod nogami - że nawet gdyby wiedziała, i tak by się tym nie przejęła.

To rzekłszy, nie patrząc Phoebe w oczy, odwrócił się od niej i stanął przed frontowymi drzwiami. Otworzył je w mgnieniu oka i wszedł do środka, gdzie światło lamp zmieniło się w słabą, migoczącą poświatę i gdzie cienie mogły zasłonić jego smutki.

Phoebe podążyła za Musnakaffem. Poprowadził ją wąskim, wysoko sklepionym korytarzem na tyły domu.

- W kuchni znajdziesz mnóstwo jedzenia. Poczęstuj się, proszę. - Następnie ruszył na górę po wyścielanych grubym miękkim dywanem schodach, a jego nadejście obwieścił delikatny, melodyjny dźwięk dzwonek.

Kuchnia, jak stwierdziła Phoebe, musiała być nowoczesna około roku 1920, niemniej była odpowiednim miejscem, by usiąść i dać odpocząć zmęczonemu ciału. Znajdowało się tu palenisko, do którego Phoebe dorzuciła kilka polan, oraz wielka żelazna kuchnia, stały też garnki, tak wielkie, że można by gotować w nich stawę dla pięćdziesięciu osób naraz. Wszędzie, gdzie nie spojrzeć walały się produkty do urządzenia takiej uczty - na półkach zgromadzono puszki z żywnością, misy i kosze z owocami oraz warzywami, bochenkami chleba, gomólkami sera i kawą.

Phoebe stała przez kilka minut przy palenisku, aby ogrzać przemarznięte ciało, po czym zabrała się do przyrządzania solidnego posiłku.

Wołowina była surowa, lecz miękka jak masło, chleb jeszcze ciepły, jak wyjęty prosto z pieca, ser - dojrzały i pikantny. Zanim skończyła szykować kanapkę, usta miała już pełne śliny. Ugryzła spory kęs - jedzenie było smaczniejsze niż przypuszczała - po czym naląła sobie filiżankę soku owocowego i usiadła przed paleniskiem.

Jedząc i pijąc powróciła myślami do brzegu, morza, szczeliny i Everville. Wydawało się, że minęło tyle dni, odkąd czekała z Teslą w korku na Main Street i obie zastanawiały się, czy ludzie są realni, czy też nie. Teraz bardziej niż wtedy ta dyskusja wydała jej się

nonsensowna. Znajdowała się w miejscu, gdzie handlowano snami i jedzono surowe mięso przy ciepłym palenisku; wszystko wydawało się tu równie realne jak w świecie, który opuściła, co w znacznym stopniu ją pocieszało. Oznaczało, że rozumie tutejsze zasady. Nie będzie latać, ale i nie będzie ścigana przez Diabła. To po prostu inny kraj. Naturalnie ma swoje dziwne zwyczaje i przedstawicielei groźnej fauny, ale podobnie byłoby w Afryce czy w Chinach. Musiała jedynie przywyknąć do tych osobliwości i jakoś się tu zdomowić.

- Pani chce cię widzieć - oznajmił od drzwi Musnakaff.

- Świetnie - rzekła Phoebe i zaczęła się podnosić. Nagle zakreśliło się jej w głowie. -

Rany - zdziwiła się zaglądając do filiżanki - ależ ten sok działa!

Musnakaff uśmiechnął się lekko.

- To żalozężyna. - wyjaśnił. - Nie znacie jej?

Pokręciła głową. Był to błąd. Świat wokół niej zafalował.

- O Boże! - mruknęła i znów musiała usiąść. - Może powinnam poczekać parę minut.

- Nie. Ona chce cię zobaczyć natychmiast. Zaufaj mi, nawet nie zwróci uwagi, że jesteś lekko wstawiona. Sama praktycznie nie trzeźwieje.

Podszedł do Phoebe i pomógł jej wstać.

- Pamiętaj o tym. co ci powiedziałem...

- Król Teksas - wymamrotała, usiłując pozbiierać myśli.

- Nie! - krzyknęła - Nie śmieć nawet o nim wspominać!

- W takim razie, o co chodzi?

- Padół łez - przypomniał.

- A tak. Pamiętam. Kosmos to padół łez - powtórzyła to dla pewności.

- Dasz radę?

- Dam.

Musnakaff westchnął.

- W takim razie w porządku - mruknął. - Nie widzę powodu, abyśmy mieli dłużej to odwlekać. Wyprowadził ją z kuchni, a potem poszli korytarzami i schodami na górę, na spotkanie z Panią tego tajemniczego domu.

Mimo iż drzewa na brzegu wyspy rosły tak gęsto, że ich wystające z ziemi korzenie spletały się jak palce złączonych do modlitwy dłoni, a poprzez gęste listowie koron nie sposób było dostrzec nieba, nie znalazłoby się liście, gałązki czy skrawka mchu, który nie

emanowałby silnym światłem, co znacznie ułatwiało Joemu wędrówkę. Znalazłszy się w gąszczu, musiał ufać swemu zmysłowi kierunku, aby przedostać się na drugą stronę i się nie zawiódł. Po mniej więcej półgodzinie dotarł na skraj lasu, a następnie wyszedł na otwartą przestrzeń.

To, co zobaczył, mógłby oglądać przez tydzień bez przerwy, a i tak nie zdołałby wychwycić wszystkich szczegółów. Od miejsca, gdzie stał, na dobre dwieście kilometrów rozciągał się pejzaż jasnych pól i łąk, tych pierwszych o barwach jaskrawej zieleni, żółci i szkarłatu, drugich zaś mieniących się srebrno i złoto. W górze, niczym wielka fala, która uniosła się na gigantyczną wysokość, a teraz groziła, że runie na znajdującą się poniżej doskonałość, rozpościerała się ściana mroku, ukrywająca bez wątpienia łądów. Nie sposób było odgadnąć, z jakiej materii ją utkano. Miejscami wydawała się ulotna jak dym, gdzie indziej lśniła niczym odarty ze skóry mięsień, w innych częściach rozpadała się w gwałtownych skurczach i dzieliła ponownie, jakby podlegała przyspieszonemu procesowi autoreprodukcji.

Nie było widać czyhającego za nią legionu czy tłumy.

Fala kołysała się niebezpiecznie, ale nie opadała.

Było jednak widać coś jeszcze; miasto b'Kether Sabbath zdawało się trwać w bezruchu w czerni opadającego nieba. Noe nazwał to miasto chwałą Eferemerd i choć Joe nie znalazł się nawet o krok bliżej od granic metropolii, gotów był uwierzyć w prawdziwość jego słów.

Miało ono kształt odwróconej piramidy balansującej na wierzchołku. Nie widać było żadnej konstrukcji, która podtrzymywałaby je w tej pozycji. Mimo iż istniały miliardy dróg wiodących od wierzchołka do jądra konstrukcji, na których widać było maleńkie postacie, zapewne mieszkańców miasta (którzy chyba musieli posiadać przymioty nietoperzy, aby móc w nim żyć) liczba owych drabinek i schodów nie wydawała się wystarczająca, jak na ogromne potrzeby tej przedziwnej metropolii. Joe nie mógł oszacować jej prawdziwych rozmiarów, ale był pewien, że na podstawie piramidy zmieściłby się cały Manhattan i zostałyby jeszcze trochę wolnego miejsca - co oznaczało, że tuzin z okładem wież, które się tam wznosiły, przypominających wielką płachtę materiału spiętą z jednego końca i rzuconą niedbale, tak że powstała konstrukcja pełna załamań i fałd, musiał mieć po kilkaset pięter wysokości.

Mimo że w niezliczonym mrowiu okien paliło się światło, Joe wątpił, aby wieże były wciąż zamieszkałe. Ludzie z b'Kether Sabbath tłumnie opuszczali piechotą miasto niemilosiernie zatłoczonymi drogami bądź, jeśli mieli skrzydła, drogą powietrzną, zbijając się w stada.

Ów widok był fascynujący do tego stopnia, że Joe miał ochotę znaleźć sobie wygodne miejsce wśród korzeni i obserwować, dopóki fala się nie załamie i nie nadejdzie ostateczna zagłada.

Ta sama jednak ciekawość, która kazała mu opuścić brzeg, zmusiła go teraz, by ruszył w dół zbocza. Przez podmokłe pole porośnięte krystalicznymi kwiatami dotarł aż do najbliższej drogi. Pomimo ogromnej różnorodności twarzy i postaci tłumu uchodźców, bez trudu dostrzegł u nich oznaki desperacji, rozpacz i zwykłego niepojętego strachu. Uciekinierzy dygotali i pocili się, popatrując raz po raz przez ramię w stronę opuszczonego przez nich miasta i wiszącej nad nim jak cień fali mroku. W ich oczach, białych, złotych, niebieskich i czarnych, malował się lęk.

Mało kto zainteresował się Joem. A spośród tych nielicznych większość przyglądała mu się z politowaniem, biorąc go, jak przypuszczał, za obłąkańca, jako że był na tej drodze jedynym wędrowcem nie uciekającym z b'Kether Sabbat, lecz uparcie zmierzającym w stronę miasta.

### 3

Pracodawczynie Musnakaffa siedziała na łóżku tak wielkim, że mogłoby w nim spać dziesięć osób, podparta dwudziestoma kolorowymi poduszkami i otoczona strzępami papieru, tak lekkiego, że byle podmuch wiatru od okna lub kominka podrywał pół setki drobnych kawałków w powietrze, większe kartki zaś szeleściły niczym liście. Komnatę urządzono z przesadnym przepychem; czarna od sadzy sufit pokrywały freski ukazujące boginie podczas zabawy, ściany obwieszane były lustrami, w większości zniszczonymi i popękkanymi. Phoebe i Musnakaff czekali całe pięć minut, podczas gdy Pani, mamrocząc pod nosem, monotonnymi ruchami podarła na strzępy kolejną kartkę papieru.

Światło w komnacie płynęło z ustawionych na stolikach lamp naftowych, przykręconych tak, że ich płomyki ledwie się tliły, nadając promieniom osobliwy i posępny charakter. Owa poświata nie przyczyniała się do poprawienia wyglądu kobiety. Nawet w tak słabym świetle Pani wydawała się postacią groteskową. Rzadkie włosy miała ufarbowane na czarno (co jedynie podkreślało bladość jej cery), policzki poznaczone głębokimi bruzdami, jej szyja przypominała postrzępioną linię.

Wreszcie nie odwracając wzroku od dartego papieru, przemówiła, prawie nie poruszając ustami.

- Mogłam być kobietą taką jak ty, dawno temu. Masz na sobie trochę ciała. Mężczyźni

to lubią.

Phoebe nie odpowiedziała. Ta starucha nie tylko wzbudzała w niej lęk - Phoebe obawiała się, że gdy się odezwie, wyjdzie na jaw, że jest lekko wstawiona.

- Nie żebym się przejmowała ich gustami - ciągnęła Pani. - Jestem ponad to. Dobrze jest móc się nie przejmować. - Dopiero teraz uniosła wzrok. Miała schorowane oczy, które zwróciły się w stronę Phoebe, ale nie zatrzymały się na jej sylwetce. - Gdyby mi zależało - mówiła dalej - wiesz, co bym zrobiła? - Przerwała. - No jak, wiesz? - zapytała.

- Nie...

- Wyśniłabym się jako piękność - odparła starucha, i zachichotała na tę myśl. - Uczyniłabym siebie najbardziej ponętną kobietą w Stworzeniu i wyruszyłabym na wędrowkę, by złamać jak najwięcej serc. - Chichot ucichł. - Myślisz że mogłabym to zrobić?

- Śmiem... twierdzić, że... tak.

- Śmiesz twierdzić, he? - powtórzyła półgłosem. - Powiem ci więc, mogłabym to zrobić bez trudu, równie łatwo jak splunąć. O tak, bez najmniejszego kłopotu. Bądź co bądź wyśniłam to miasto, czyż nie?

- Naprawdę?

- Jak najbardziej. Powiedz jej, mój mały Abré!

- To prawda - odrzekł Musnakaff. - Wyśniła to miasto.

- Zatem równie łatwo mogłabym wyśnić siebie jako olśniewającą piękność. - Ponownie przerwała. - Ale nie chcę. Wiesz, dlaczego?

- Bo już Pani nie zależy? - rzuciła niepewnie Phoebe.

Kartka, którą kobieta darła na kawałki, wypadła jej z rąk.

- Właśnie - potwierdziła z emfazą. - Jak ci na imię? Felicja?

- Phoebe.

- Jeszcze gorzej.

- Mnie się podoba - odrzekła Phoebe, zanim zdążyła ugryźć się w język.

- To plugawe imię - mruknęła Pani.

- Wcale nie.

- Skoro mówię, że jest plugawe, to jest. Podejdz tutaj. - Phoebe nawet nie drgnęła. - Słyszałaś?

- Słyszałam, ale nie chce mi się podejść.

Pani uniosła do góry oczy z pogardą.

- Na Boga, kobieto, nie obrażaj się za taką błażostką! Mam prawo być niemiła. Jestem stara, szpetna i napuszona.

- Nie musi pani - ucięła Phoebe.

- Kto tak twierdzi?

- Pani sama - przypomniała jej Phoebe, zadowolona, że przez tyle lat miała do czynienia z natrętnymi pacjentami. Nie da się zastraszyć tej paskudzie. - Dwie minuty temu powiedziała pani... - Zauważyła, że Musnakaff gorączkowo daje jej znaki, ale nie mogła teraz przerwać. - Powiedziała pani, że może wyśnić siebie piękną. Wobec tego niech pani wyśni siebie młodą i niekonfliktową.

Nastąpiła długa, nieprzyjemna cisza; Pani wściekle wywracała oczami. W końcu znów wybuchnęła śmiechem.

- Uwierzyłaś, jednak uwierzyłaś, złociutka - powiedziała. - Czy naprawdę sądzisz, że mogłabym żyć taka - uniosła w górę chude jak patyki ręce - gdybym miała jakiś wybór?

- Więc nie może pani wyśnić siebie pięknej?

- Mogłam, kiedy się tu zjawiłam. Na samym początku. Miałam wtedy zaledwie sto lat. Wiem, że to wydaje ci się strasznie dużo, ale to nic, naprawdę nic takiego. Miałam męża, którego pocałunki zachowywały moją młodość.

- Króla Teksasa? - spytała Phoebe.

Kobieta opuściła dłonie na kolana i westchnęła.

- Nie - odpowiedziała. - To było jeszcze w Kosmosie, w latach mej młodości. Był tam ktoś, kogo kochałam bardziej niż Teksasa. I kto kochał mnie równie mocno... - Na jej twarzy pojawił się wyraz głębokiego smutku. - To nigdy nie minie - szepnęła. - Ból utraconej miłości nigdy nie przemija. Czasami boję się zasnąć, Abré to wie; biedny Abré. Boję się zasnąć, bo śnię, że on wraca do mnie, że bierze mnie w ramiona, a ból po przebudzeniu jest tak wielki, że trudno mi zmrużyć powieki. Tak się boję powrotu tego snu. - Rozplakała się nagle. Po jej zapadniętych policzkach spływały łzy. - Boże, gdybym знаła sposób na zabicie tej miłości. Czyż to nie byłoby wspaniałe?

- Nie - odrzekła Phoebe. - Na pewno nie byłoby wspaniałe.

- Zaczekaj, aż przeżyjesz albo utracisz wszystkich, których kochasz, aż staniesz się pustą, zimną skorupą. Będziesz czuwać tak jak ja i modlić się o zapomnienie we śnie bez marzeń. - Skinęła na Phoebe. - Podejdz, proszę bliżej. Chcę ci się lepiej przyjrzeć.

Phoebe niechętnie zbliżyła się do łóżka.

- Abré, ta lampa Przynies ją bliżej. Chcę ujrzeć twarz tej kobiety, która jest tak zakochana w swej miłości. Teraz lepiej - uniosła dłoń, jakby chciała dotknąć twarzy Phoebe, po czym cofnęła rękę. - Czy w Kosmosie pojawiły się jakieś nowe choroby? - spytała.

- Tak.

- Strasznie groźne?

- Niektóre tak - odparła Phoebe. - Jedna jest naprawdę straszna. - Przypomniała sobie słowa Abré'a. - Kosmos to padół łez - rzekła

Udało się, Pani się uśmiechnęła.

- Otóż to - powiedziała, odwracając się do Musnakaffa - Czyż nie tak zwykle mówię?

- Tak mówisz, Pani - potwierdził Musnakaff.

- Nic dziwnego, że stamtąd uciekłaś. - Kobieta zwróciła się ponownie do Phoebe.

- Ja nie...

- Co?

- Nie uciekłam. Przybyłam tu, ponieważ kogoś szukam.

- Kogóż to?

- Mego kochanka

Pani spojrzała na nią z żalem.

- A więc zjawiałaś się tu z miłości?

- Tak - odrzekła Phoebe. - Zanim pani zapyta, on ma na imię Joe.

- Nie zamierzałam pytać - ucięła władczyni.

- Cóż, uznałam, że powinna pani wiedzieć. Jest teraz gdzieś na morzu. Przybyłam tu, by go odnaleźć.

- Nie uda ci się - rzekła starucha, nie próbując ukryć satysfakcji wywołanej tą myślą. - Zakładam, że wiesz, co się tam dzieje?

- Trochę.

- Wobec tego rozumiesz, że nie masz szans, aby go odnaleźć. Prawdopodobnie już nie żyje.

- Wiem, że to nieprawda - rzekła Phoebe.

- Skąd wiesz? - spytała Pani.

- Ponieważ byłam tam we śnie. Spotkałam się z nim w Quiddity. - Nieznacznie zniżyła głos dla lepszego efektu. - Kochaliśmy się.

- W morzu?

- W morzu.

- Uprawialiście miłość w Quiddity? - spytał Musnakaff.

- Tak.

Pani podniosła z łóżka następną kartkę (Phoebe zauważyła, że papier pokrywają linijki niezbyt wyraźnego pisma) i zaczęła drzeć ją na kawałki.

- Coś takiego - mruknęła pod nosem. - Coś takiego!

- Czy może pani mi jakoś pomóc? - zapytała Phoebe.  
- Obawiam się... - zaczął Musnakaff. Nie dokończył.  
- Może - odezwała się Pani. - Morze nie umie mówić. Ale żyją w nim istoty, które umieją. - Z kartki pozostały strzępki, toteż wzięła do rąk następną.

- Co dostanę w zamian? - zwróciła się do Phoebe.

- A co sądzi pani o prawdzie? - spytała Phoebe.

Pani pochyliła głowę.

- Okłamałaś mnie?

- Powiedziałam, co mi kazano - oświadczyła Phoebe.

- O czym?

- Że Kosmos jest padolem łez.

- Czy tak nie jest? - zapytała nieco niepewnie starucha.

- Bywa. Ludzie mają ciężkie życie. Ale nie jest tak zawsze. I nie wszystkich dotykają nieszczęścia.

Pani chrząknęła.

- Wydaje mi się, że pani po prostu nie chce znać prawdy. Może jest pani szczęśliwsza, siedząc tu, drąc na strzępy miłosne listy i utwierdzane się w przekonaniu, że tutaj jest lepiej niż tam.

- Skąd wiesz?

- Co takiego? Że to były listy miłosne? Domyśliłam się z pani wyrazu twarzy.

- Píše do mnie co godzinę, od sześciu lat. Twierdzi, że podaruje mi cały ten kontynent za jedno tylko dotknięcie, jeden pocałunek. Nie odpowiedziałam na żaden liścik, ale on wciąż do mnie pisze, zamęczając mnie tymi sentymentalnymi bzdurami. Od czasu do czasu pozwalam sobie na odrobinę rozrywki i drę je na kawałki.

- Skoro tak go nienawidzisz, musiałaś go bardzo kochać - zauważyła Phoebe.

- Już mówiłam, że kochałam w życiu tylko jedną jedyną istotę. A on od dawna nie żyje.

- W Kosmosie - wtrąciła Phoebe. To nie było pytanie, lecz krótkie, rzeczowe stwierdzenie.

Pani spojrzała na nią ze zdziwieniem

- Umiesz czytać w myślach? - szepnęła. - Czy w ten sposób odkrywasz moje tajemnice?

- To nie takie trudne - wyjaśniła Phoebe. - Sama pani powiedziała, że wyśniła to miasto. Musiała pani widzieć kiedyś oryginał.

- Tak było - potwierdziła starucha. - Bardzo dawno temu. Byłam jeszcze dzieckiem.

- Sporo pani zapamiętała?



- Więcej niż bym sobie życzyła - padła odpowiedź. - Dużo, dużo więcej. Widzisz, miałam ogromne ambicje, ale nic z tego nie wyszło. No, powiedzmy prawie nic...

- Jakie miała pani ambicje?

- Aby zbudować nową Aleksandrię. Miasto, gdzie ludzie żyliby w pokoju i dobrobycie.

- Wzruszyła ramionami. - I na czym się skończyło?

- Na czym?

- Na Everville.

Phoebe była zupełnie zbита z tropu. Everville? Co, u licha, ta osobliwa istota mogła mieć wspólnego z taką bezpieczną, miłą, małą miejsciną jak Everville?

Pani upuściła miłosny liścik, który właśnie niszczyła, i wbiła wzrok w płomienie.

- Tak. Nie widzę przeszkód, abyś nie miała poznać prawdy. - Spojrzała na Phoebe i uśmiechnęła się pod nosem. - Nazywam się Maeve O'Connell - powiedziała - i jestem tą idiotką, która założyła Everville.

## Rozdział VII

Do początku lat osiemdziesiątych trasa sobotniej parady była prosta. Zaczynała się koło piekarni Searsa przy Poppy Lane i prowadziła przez Acres Street do Main, gdzie - mniej więcej po godzinie - kończyła się na głównym placu miasta. W miarę upływu czasu zarówno parada, jak i liczba jej uczestników rozrastały się, toteż należało opracować nową trasę, aby ludzie nie musieli się tłoczyć. Po kilku spotkaniach od szóstej do północy w zadymionej salce nad biurem Dorothy Bullard komitet festynowy opracował proste, acz sprytnie rozwiązanie: Parada okrąży niemal całe miasto, wyruszając zza gmachu ratusza. W ten sposób trasa pochodu wydłużyła się prawie trzykrotnie. Main Street i plac pozostaną głównymi atrakcjami dla przyjezdnych, ale widzowie będą musieli poczekać nieco dłużej na pojawienie się idących. Dla niecierpliwych zatem lub dla osób z niecierpliwymi dziećmi najlepsze były uliczki w pobliżu miejsca rozpoczęcia parady. Natomiast dla tych, którzy wyczekiwali z drżącym sercem, lecz gotowi byli spędzić mniej więcej półtorej godziny na wesołej rozmowie, podjadaniu chrupek i zaglądaniu do butelki, przy akompaniamencie narastających, kuszących dźwięków muzyki, nie było lepszych miejsc aniżeli okna, dachy i drabinki pożarowe domów przy Main Street.

Orkiestra nigdy nie grała lepiej - powiedziała Maisie Waits do Dorothy, gdy obie stały w słońcu przed Kitty's Diner, patrząc jak uczestnicy parady zmierzają wolno ku skrzyżowaniu.

Dorothy rozpromieniła się. Nie mogłaby czuć się bardziej dumna, skonstatowała, gdyby nawet była matką jednego z członków orkiestry. I już miała powiedzieć to na głos, ostatecznie jednak się zmitygowała. Zważywszy na plotki, jakie mogły z tego wyniknąć, lepiej będzie, jeśli pozostawi swą opinię nie wypowiedzianą. Naturalnie wszyscy uwielbialiśmy Arnolda - rzekła więc tylko mając na myśli Arnolda Langleya, który prowadził orkiestrę przez dwadzieścia dwa lata, aż do swojej nagłej śmierci na zawał serca w styczniu ubiegłego roku - ale Larry sporo pracował nad uaktualnieniem repertuaru.

- Och, Bill jest zdania, że Larry'emu para zanadto poszła w gwizdek - zauważyła Maisie. Jej mąż od dziesięciu lat grał w orkiestrze na puzonie. - Poza tym uwielbia nowe mundury.

Kosztowały słono, ale nie były to pieniądze wyrzucone w błoto. Mundury oraz prężna

akcja rekrutacyjna Larry'ego Glodoskiego sprawiły, że w składzie orkiestry znalazło się wielu młodych muzyków, nadając jej świeższy, odnowiony wygląd, co z kolei odbiło się pozytywnie na marszu i grze całego zespołu. Mówiono nawet, że orkiestra w niedługim czasie weźmie udział w jednym z wielkich międzystanowych konkursów. Nawet gdyby to nie doszło do skutku, popularność zespołu mogła jedynie wyjść festynowi na dobre.

Nie jest to skądinąd konieczne, pomyślała Dorothy, przenosząc wzrok z orkiestry na tłum widzów. Ulice były straszliwie zatłoczone, miejscami ludzie cisnęli się w pięciu, sześciu rzędach i napierali z niemałą siłą na policyjne bariery, a hałasowali tak, że ich głosy niemal kompletnie zagłuszały dźwięki orkiestry, prócz wielkiego bębna, którego łomot rozbrzmiewał w podbrzuszu Dorothy niczym rytm drugiego serca.

- Wiesz, naprawdę powinnam coś zjeść - powiedziała do Maisie. - Trochę kręci mi się w głowie.

- To niedobrze - mruknęła Maisie. - Musisz jak najszybciej coś wtrząchnąć.

- Ale jeszcze nie teraz, dopiero gdy przejdzie tędy orkiestra.

- Na pewno?

- Oczywiście. Nie darowałabym sobie, gdybym tego nie zobaczyła.

- Czuję się jak idiota - rzekł Erwin.

Dolan uśmiechnął się lekko.

- Nikt, prócz nas samych, nas nie widzi - stwierdził. - Rozchmurz się, Erwinie. Czy nigdy nie chciałeś wziąć udziału w paradzie?

- Właściwie to nie - odrzekł Toothaker.

Byli tu wszyscy - Nordhoff, Dickerson, nawet Connie maszerowali wśród lśniących szamerunkami szeregów - i wyglądali się jak szaleni.

Erwina to nie bawiło. Nie dziś, kiedy świat tak bardzo wydawał się nie w porządku. Czy to nie Nordhoff powiedział, że powinni w jakiś sposób bronić tego, co mają w Everville? I oto byli tutaj, dokazując jak małe dzieci.

- Mam tego dość! - rzucił zgorzkniałym tonem. - Powinniśmy zająć się tym skurwielem z mojego domu.

- Zajmiemy się nim - zapewnił go Dolan. - Nordhoff wyjawiał mi, że ma plan.

- Czy ktoś wymawia moje nazwisko nadaremno? - spytał ni stąd, ni zowąd tamten, obracając się na pięcie i maszerując tyłem, od momentu gdy wypowiedział to słowo. - Może tobie marsz wraz z orkiestrą wydaje się tylko drobnym i pustym rytuałem, ale w rzeczywistości jest on niczym kurtka, którą nosisz.

- Ta? - spytał Erwin. - Myślałem, że ją oddałem.

- Ale znalazłeś w jej kieszeniach mnóstwo różnych drobiazgów, czyż nie? - zauważył Nordhoff. - Maleńkie okruchy przeszłości?

- Tak.

- W naszym przypadku było dokładnie tak samo - odrzekł Nordhoff, wsuwając dłoń do kieszeni swego fatalnie skrojonego fraka i wyjmując garść drobnych przedmiotów. - Mamy je dzięki naszym wspomnieniom albo interwencji jakiejś siły wyższej. Tak czy inaczej jestem za to wdzięczny z całego serca.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Erwin.

- Że musimy pozostać związani z Everville, tak jak jesteśmy związani ze sobą nawzajem. Nieważne, czy jest to stara koszula czy godzina w towarzystwie miejskiej orkiestry; jedno i drugie służy temu samemu celowi: pomaga nam pamiętać o tym, co kochaliśmy.

- Co wciąż Kochamy - poprawił Dolan.

- Masz rację, Richardzie. Co wciąż Kochamy. Teraz już rozumiesz, Erwinie?

- Wydaje mi się, że są lepsze sposoby - warknął ten.

- Czy dźwięki orkiestry nie sprawiają, że krew zaczyna wrzeć w twoich żyłach? - spytał Nordhoff, unosząc kolana z każdym krokiem nieco wyżej. - Posłuchaj tych trąbek.

- Kocia muzyka! - rzucił Erwin.

- Jezu, Toothaker! - powiedział Nordhoff. - Co z twoim poczuciem humoru? Baw się! Przecież o to właśnie walczyliśmy i to staramy się zachować. /

- Wobec tego niech nas Bóg strzeże - odparł Erwin, na te słowa zaś Nordhoff ponownie się odwrócił i przyspieszył, by zrównać krok z sekcją instrumentów dętych.

- Idź za nim - rzekł Dolan do Erwina. - Szybko! Przepróż go.

- Idź do diabła - burknął Erwin i ruszył w stronę zatłoczonego chodnika. Dolan udał się za nim.

- Nordhoff nie należy do tych, co łatwo zapominają urazy - zauważył.

- Nie obchodzi mnie to - odburknął Toothaker. - Nie będę się poniżał. Zatrzymał się, koncentrując wzrok na kimś w tłumie.

- Co się stało? - spytał Dolan.

- Widzisz ją? - Erwin wskazał mu umorusaną kobietę przeciskającą się przez tłum.

- Znasz ją?

- Oczywiście.

Tesla znajdowała się o sto metrów od skrzyżowania, kiedy uświadomiła sobie, gdzie jest. Stała jak wryta. Harry przystanął o sekundę lub dwie po niej.

- Co się stało? - zawołał.

- Nie powinniśmy iść tamtędy - odkrzyknęła.

- Znasz lepszą drogę?

Tesla zaprzeczyła ruchem głowy. Może z pomocą Raula zdołałaby opracować plan dotarcia do domu Phoebe inną drogą, lecz obecnie musiała radzić sobie sama z wszelkimi problemami.

- Wobec tego musimy po prostu się przebić - rzekł Harry.

Tesla pokiwała głową i zaczęła się przepychać między ludźmi stojącymi jej na drodze. Gdyby istniał jakiś sposób na ujarznienie mocy tego tłumu i wykorzystania jej w jakimś praktycznym celu, zamiast pozwolić, by została zmarnowana, pomyślała. Cóż za strata, co za okropna szkoda.

Uwięziona wśród widzów, nie mogąc w pełni kontrolować własnych posunięć, lecz niespecjalnie tym się przejmując, poczuła osobliwe zadowolenie. Dotknięcia innych ciał, woń potu i słodkich oddechów przesyconych zapachem cukierków, widok spoczonej skóry i błyszczących oczu - wszystko to było jak najbardziej w porządku. Ci ludzie wydawali się tak bezbronni i nieświadomi, tak głupi, aroganccy i pełni bigoterii. Teraz jednak śmiali się, krzyczeli, i unosili w górę dzieci, by mogły zobaczyć paradę. Tesla zaś, jeśli ich nawet nie kochała, była z pewnością szczęśliwa, że należy do tego samego co oni gatunku.

- Posłuchaj mnie! - zawołał do niej Toothaker.

Kobieta nie dała po sobie poznać, że go słyszy, ale wyraz jej twarzy natchnął Erwina nadzieją, iż być może zdoła nakłonić ją, by go wysłuchała.

W jej oczach błyszczały szaleńcze iskierki, kąciki wykrzywionych uśmiechem ust drgały leciutko.

Nie czuł jej temperatury, ale był pewien, że ma gorączkę.

- Dostrój się do mnie, możesz? - zawołał.

- Po co się tak wydzierasz? Jaki to ma sens? - spytał Dolan.

- Ponieważ ta kobieta wie dużo więcej od nas - odrzekł Erwin. - Ona знаła imię tego czegoś, co było w moim domu. Słyszałem, jak nazwała to Kissoon.

- Co z nim? - spytała Tesla Harry'ego, zwracając się do niego przez ramię.

- Z nim? - odrzekł Harry.

- Powiedziałeś: Kissoon.

- Nic nie mówiłem.

- Cóż, ale ktoś to jednak powiedział.

- Usłyszała mnie! - wykrzyknęła z entuzjazmem Erwin. - Zuch dziewczyna! Zuch dziewczyna!

Dolan wyraźnie był zaintrygowany.

- Może usłyszałyby lepiej, gdybyśmy zawołali wspólnie - zaproponował.

- Niezły pomysł. Na trzy...

Tym razem Tesla przystanęła.

- Tego też nie słyszałeś? - spytała Harry'ego. Pokręcił głową. - W porządku - mruknęła  
- Nie ma sprawy.

- O czym ty mówisz?

Przebiła się wraz z detektywem w kierunku najbliższego wolnego przejścia. Kwaciarnia była zamknięta, ale woń kwiatów niemal zbijała z nóg.

- Ktoś do mnie mówi, Harry. Jest za tobą. Nazywa się Toothaker.

- A... gdzie on jest?

- Nie wiem. To znaczy... wiem, że on nie żyje. Byłam w jego domu. Właśnie tam widziałam Kissoona - Mówiąc to wciąż wpatrywała się w tłum, w nadziei, że wychwyci gdzieś obecność lub raczej obecności, które usłyszała - Tym razem nie jest sam. Usłyszałam dwa głosy. Chcą do mnie dotrzeć. Nie wiem tylko, jak się do nich dostroić.

- Obawiam się, że nie mogę ci pomóc - powiedział Harry. - Nie twierdzą, że ich tu nie ma...

- W porządku - odrzekła Tesla. - Muszę po prostu słuchać.

- Chcesz znaleźć jakieś cichsze, spokojniejsze miejsce?

Pokręciła głową.

- Mogłabym ich zgubić?

- Chcesz, abym się oddalił?

- Nie odchodź daleko - poprosiła i zamknęła oczy, usiłując odciąć się od hałasu żyjących i wychwycić głosy umarłych.

Dorothy bardzo mocno schwyciła Maisie za rękę.

- Co się stało? - spytała Maisie.

- Niezbyt dobrze... nie czuję się najlepiej... - odpowiedziała przyjaciółka.

Wszystko, co ją otaczało, zaczęło pulsować w rytmie nadawanym przez orkiestrę, jakby serca ludzi wokoło były (wraz z chodnikiem, ziemią i niebem) ściągnięte grubym sznurem i im bardziej orkiestra się zbliżała, owa lina zaciskała się coraz bardziej, do momentu aż jedno

po drugim zaczął pękać i w tym momencie pojawił się wielka, ziejąca dziura.

- Przynieść ci coś do jedzenia? - spytała Maisie. Bębny z każdym uderzeniem stawały się głośniejsze; ich łomot zdawał się rozsadzać bębny. - Może sałatkę z tuńczykiem albo...

Nagle, bez ostrzeżenia Dorothy zgięła się wóół i z wymiotowała. Kordon ludzi tuż przed nią rozstał się na boki - nie dość szybko, by kilka osób nie zostało opryskanych, lecz na tyle sprawnie, że nie zdążyła opróżnić całej zawartości żołądka. Maisie odczekała, aż spazmy ustana, po czym spróbowała odprowadzić przyjaciółkę w cień pod markizą jadłodajni. Dorothy jednak nie chciała lub nie mogła się ruszyć.

- To pięknie - rzekła, wbijając wzrok w ziemię.

- Już dobrze, Dottie...

- Nie, nie jest dobrze. To zaraz pięknie!

- O czym ty mówisz?

Dorothy odtrąciła dłoń Maisie.

- Musimy opróżnić ulicę! - rzekła, robiąc niezdarnie krok do przodu. - Szybko!

- Co tam się dzieje? - mruknął Owen, wychylając się przez okno.

- Znasz tę kobietę?

- Tę, która właśnie się porzygała? Tak, to pani Bullard. Suka nie z tej ziemi.

- Niesamowita - szepnął Owen.

Dorothy łokciami torowała sobie drogę pośród tłumu. Krzyczała coś, ale w hałasie nadchodzącej orkiestry Owen nie słyszał słów.

- Wygląda na poważnie zdenerwowaną - zauważył Seth.

- Bo jest - stwierdził Buddenbaum, ruszając w stronę schodów.

- Może dostrzegła awatary! - zawołał za nim Seth.

- Przyszła mi do głowy ta sama myśl - powiedział Owen. - Dokładnie taka sama...

Ostrzeżenie Dorothy Bullard nie pozostało nie zauważone w tłumie otaczającym Kitty's Diner. Kiedy kobieta przebiegała się naprzód, ludzie schodzili jej z drogi, w obawie, że atak mdłości może się powtórzyć. Dorothy gwałtownie odepchnęła na bok jakąś dziewczynę, nieco bardziej wstawioną od innych, po czym zaatakowała parkan ochronny. Przewróciła go i wymachując dziko rękami wypadła na środek skrzyżowania.

Prowadzący orkiestrę Larry Głodoski ujrzał przed sobą rozhisteryzowaną kobietę i jął zastanawiać się nad wyborem właściwego postępowania. Albo zatrzyma paradę w ciągu następnych dziesięciu sekund, albo nie zrobi nic, licząc, że ktoś zgarnie tę porąbaną babę z

drogi, zanim dojdzie do zderzenia. W gruncie rzeczy nie był to taki wielki problem. Ona jedna, ich wielu. Uniósł swą paradną laskę nieco wyżej, wybijając rytm ostrzej niż dotychczas, jakby samymi ruchami ręki chciał usunąć kobietę stojącą mu na drodze.

- Słucham - mruknęła Tesla. - Słucham tak uważnie, jak tylko mogę.

Od czasu do czasu dochodził ją jakby szept, ale w jej umyśle szalały głód i gorączka. Nawet jeśli duchy coś mówiły, odbierała jedynie pozbawione sensu dźwięki.

Poza tym pojawiło się coś, co zaczęło ją dekoncentrować - od rozstajnych dróg dobiegał jakiś hałas. Zgromadzeni ludzie stali się jeszcze bardziej niespokojni niż do tej pory. Wspięła się na palce, aby zobaczyć, co się dzieje, ale widok zasłoniły jej głowy, balony i machające dziko ręce.

Harry dokonał tego, co nie udało się Tesli.

- Na środku ulicy stoi kobieta i krzyczy...

- Co krzyczy?

Detektyw nasłuchiwał przez chwilę.

- Chyba każe ludziom natychmiast opuścić ulicę...

Instynkt, o którym Tesla jeszcze niedawno myślała, że należał do Raula, zmusił ją, by natychmiast wmieszała się w tłum, popychając przed sobą D'Amoura.

- Toruj drogę! - wrzasnęła do niego.

- Dlaczego?

- Chodzi o skrzyżowanie. O rozstaje dróg! To ma coś wspólnego z tym cholernym skrzyżowaniem!

- Widzisz ich? - spytał Seth. kiedy wraz z Owenem przebili się do barierki przy skrzyżowaniu.

Buddenbaum nie odpowiedział. Bał się, że jeśli otworzy usta - wykrzyczy całą swą nadzieję, ból i wyczekiwanie. Schyliwszy się przeszedł pod drewnianą zaporą i znalazł się na otwartej ulicy.

Wiedział, że ta chwila jest jedną z najniebezpieczniejszych, właśnie teraz wszystko mogło się udać lub kompletnie wziąć w łeb. Nie spodziewał się, że spadnie to na niego tak gwałtownie. Nie miał jeszcze pewności, że to właśnie ta chwila, ten czas, ale musiał działać, jakby tak właśnie było. Słońce zaczęło nagle bezlitośnie prażyć promieniami jego obnażoną głowę, roztopiając myśli i asfalt ulicy.

Wkrótce popłynię, jak w owej wizji, którą miał wraz z Sethem; popłynię do miejsca,



gdzie ciało spotyka się z ciałem i gdzie zaczyna się Sztuka...

- Wynoście się! - krzyczała Dorothy, odwracając się do tłumu. - Uciekajcie stąd, zanim będzie za późno!

Ona coś widzi, pomyślał Owen.

Ze wszystkich stron do kobiety zbliżali się ludzie, zamierzając ją uciszyć, ale Owen przyspieszył, aby dotrzeć do niej pierwszy.

- W porządku! - krzychał po drodze. - Jestem lekarzem!

Używał już wcześniej tej sztuczki i tym razem, tak jak poprzednio, poskutkowało. Ludzie rozstąpili się przed nim, robiąc przejście do oszalałej kobiety.

Larry ujrzał, jak doktor otacza ramionami nieszczęsną Dorothy i w głębi ducha zmówił krótką dziękczynną modlitwę. Teraz facet musiał jeszcze usunąć panią Bullard z drogi - i to szybko, szybko! - by przemarsz orkiestry nie uległ zakłóceniu. Usłyszał, jak ktoś z szeregu krzyczy.

- Larry? Musimy się zatrzymać!

Zignorował wołanie. Wciąż znajdowali się o dobrych dziesięć kroków od miejsca, gdzie lekarz rozmawiał z Dorothy.

Teraz już dziewięć. To jednak sporo. Osiem...

- Co widzisz? - zwrócił się Owen do kobiety.

- To wszystko eksploduje! - odrzekła. - O Boże, Boże, Boże, wszystko wybuchnie!

- Co masz na myśli, mówiąc, że wybuchnie? - rzucił ostro.

Pokręciła głową.

- Powiedz mi! - krzyknął ostro.

- Świat! - odwrzasnęła. - Cały świat!

Harry nie miał trudności z torowaniem drogi dla Tesli. Właśnie podniósł drewnianą zaporę, a dziewczyna prześlizgnęła się pod nią i wyszła na ulicę, gdzie rozgrywała się osobliwa scena. Brało w niej udział około tuzina osób - nie licząc orkiestry - ale tylko troje aktorów liczyło się naprawdę: kobieta stojąca na samym środku skrzyżowania, brodaty mężczyzna, który z nią obecnie rozmawiał, oraz oddalony nieco młodzieniec, który zawołał:

- Buddenbaum!

Brodacz obejrzał się w stronę chłopaka i Tesla ujrzała jego oblicze. Widok był groteskowy - wszystkie mięśnie twarzy mężczyzny zdawały się wibrować, a oczy pały wewnętrznym ogniem.

- Moja! - wykrzyknął piskliwym głosem i odwrócił się do kobiety, która wydawała się pogrążona w jakimś dziwnym, hipnotycznym odrętwieniu. Oczy miała wywrócone w oczodołach. Usiłowała wyrwać się Buddenbaumowi i podczas tej szamotaniny rozdarła bluzkę od kołnierza do pasa, odsłaniając biustonosz i brzuch, ale jakby wcale tego nie zauważyła. Tłum jednak zauważył, rozległy się krzyki, gwizdy, niedwuznaczne pohukiwania. Wymachując rękoma i potykając się kobieta zaczęła się oddalać od Buddenbauma...

Larry nie mógł w to uwierzyć. W momencie gdy, jak sądził, sprawy znalazły się na powrót pod kontrolą, kobieta wyrwała się doktorowi, dając przy tym niezły pokaz swych wdzięków, obróciła się na pięcie i ruszyła ku nadchodzącej orkiestrze.

- Stój! - ryknął Larry, ale było już za późno, by zapobiec katastrofie. Pani Bullard pchnęła go, aż się zatoczył na sekcję trąbek. Dwóch członków orkiestry padło jak zwalone kręgle, a na nich przewrócił się Larry. Widzowie ponownie ryknęli.

W całym zamieszaniu Larry'emu spadły okulary, a bez nich widział świat jako jedną rozmazaną szarą plamę. Pełzając na czworakach, szukał po omacku szkieł, przesuając dłońią po ciepłym asfalcie.

- Niech nikt się nie rusza! - wrzasnął. - Proszę! Niech nikt się nie rusza!

Ta dramatyczna prośba nie została wysłuchana. Wszędzie wokół niego przesuwali się ludzie, widział ich rozmyte, zamazane kształty, słyszał krzyki i przekleństwa.

- Wszyscy umrzemy - zachlipał ktoś obok niego.

Był pewien, że to Dorothy i jako wrażliwy mężczyzna zaprzestał poszukiwań, aby ją pocieszyć. Kiedy jednak uniósł wzrok ponad asfalt ulicy, by wychwycić plamę, którą najbardziej przypominała płacząc, w zasięgu jego wzroku pojawiło się coś innego.

To była kobieta, ale nie wyglądała jak plama, wręcz przeciwnie. Nie mógłby ujrzeć jej wyraźniej. Nie stała na ulicy, lecz wisiała w powietrzu, kilka centymetrów nad ziemią. Nie, nie tyle wisiała, co właściwie stała. Stała w powietrzu w jedwabnym szlafroku, przewiązanym luźno w pasie. Bardzo luźno. Widział jej piersi - pełne i błyszczące, a także skrawek sklepienia ud.

- Kim jesteś? - zawołał, ale nieznajoma nie usłyszała go.

Po prostu odeszła, wchodząc przez powietrze w górę jak po niewidzialnych schodach. Zaczął się podnosić, pragnął pójść za nią i w tej samej chwili odwróciła się, spoglądając

kokieteryjnie - nie na niego, o czym wiedział, lecz na kogoś, kto miał podążyć jej śladem.

Uśmiechnęła się do niego - ależ miał dzisiaj pęta farta - i odchyliła szlafrok, by skusić go widokiem pięknych nóg. Następnie podjęła wspinaczkę i kilka stopni dalej napotkała drugą kobietę, schodzącą na dół równie piękną i czarującą jak pierwsza

- Larry?

Co on właściwie zobaczył?

- Mam twoje okulary.

- Że co?

- Twoje okulary, Larry.

Pojawiły się tuż przed jego nosem i sięgnął po nie niezdarnie, nie chcąc odrywać wzroku od tajemniczej zjawy.

- Na co się tak gapisz, do licha?

- Nie widzisz ich?

- Czego?

- Tych kobiet?

- Włóż te cholerne okulary, Larry.

Zrobił to. Świat wokół niego nabrał ostrości. Ale kobieta zniknęła.

- Boże, nie...

Ponownie zdjął okulary, ale jego wizja umknęła gdzieś, hen, w jasne, letnie niebo.

W samym środku tego chaosu - uciekającej Dorothy Bullard, goniącego ją Buddenbauma i orkiestry wywracającej się jak ołowiane żołnierzyki Tesla zdołała przedrzeć się do skrzyżowania. Zajęło jej to może pięć sekund, lecz w tym czasie doświadczyła mnóstwa najprzeróżniejszych sensacji: jej nastrój to podnosił się do stanu euforii, to opadał w odmęty depresji, ciało zaś na przemian było pieszczone i maltretowane, jakby to, co znajdowało się w centrum rozstajnych dróg, badało dziewczynę na wszelkie możliwe sposoby, wyszukując najslabsze punkty. Najwyraźniej tamta kobieta z miasta oblała ów sprawdzian - szlochała jak porzucone dziecko. Buddenbaum ulepiony był z twardszej gliny; stał o kilka kroków od Tesli, wbijając oczy w ziemię.

- Co się, u licha, dzieje? - zawołała do niego. Nie uniósł wzroku. Nawet się nie odezwał.

- Słyszysz mnie?

- Ani. Kroku więcej. - powiedział. Pomimo hałasu i tego, że mówił prawie szeptem, Tesla usłyszała go równie wyraźnie jakby krzyczał jej wprost do ucha.

Zaczęło w niej narastać przeraźliwe podejrzenie, które natychmiast przyoblekła w

słowa.

- Czy jesteś Kissoonem? - spytała.

Zwróciło to uwagę Buddenbauma.

- Kissoon? - warknął z wyraźną ironią. - To zwykły gnój. Co o nim wiesz?

Ta odpowiedź była wystarczająco jasna, ale równocześnie pociągała za sobą kolejne pytanie. Skoro nie był Kissoonem, lecz wiedział, kim jest Kissoon, t o k i m b y ł ó w c z ł o w i e k?

- Usłyszałam gdzieś to nazwisko. Nic wielkiego.

Jego twarz wyglądała niesamowicie - mnóstwo nabrzmiąłych punktów, sprawiających wrażenie, jakby zaraz miały eksplodować.

- Nic wielkiego? - warknął, sięgając ręką w stronę Tesli. - To nie jakieś tam pierwsze z brzegu nazwisko! To nie byle co!

Chciała odsunąć się do niego, ale jakaś cząstka jej umysłu postanowiła bronić tak ciężko zdobytego gruntu. Tesla stała jak wryta w ziemię, mimo iż mężczyzna schwycił ją za szyję.

- Kim jesteś?

Obawiała się o swoje życie.

- Tesla Bombeck - odparła.

- Ty jesteś Tesla Bombeck? - mruknął, wyraźnie zdziwiony.

- Tak - odrzekła, ledwo mogąc wykrztusić słowo przez ściśnięte jego palcami gardło. - Czy...mógłbyś...mnie...łaskawie...puścić?

Przyciągnął ją do siebie.

- O Boże - wyszeptał ze złośliwym uśmieszkiem na twarzy. - Ależ z ciebie ambitna i zajadła mała suka, wiesz o tym?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Nie masz pojęcia, ha! Zjawiłaś się tu, by odebrać mi wszystko, na co tak ciężko pracowałem i...

- Nie zjawiłam się tu, aby cokolwiek komukolwiek odbierać - wysapała Tesla.

- Kłamiesz! - syknął Buddenbaum, zaciskając mocniej palce na jej szyi.

Uniosła dłoń do jego twarzy i wbiła mu palec w oko, ale nie rozluźnił chwytu.

- Sztuka jest moja! - zawołał. - Nie dostaniesz jej. Nie dostaniesz.

Zabrakło jej tchu, by mogła bronić swej niewinności lub chociaż walczyć o życie. Świat zaczął falować w rytm jej pulsu, to przybliżając się, to oddalając z każdym uderzeniem serca. Usiłowała kopać, w nadziei, że zdoła zbić go z nóg, ale zdawał się niczego nie odczuwać,

sądząc po jego kamiennym, nieodgadnionym wyrazie twarzy. Przez cały czas powtarzał:

- Moja...moja... - Jego głos, jak cały świat, bladł i rozrzedzał się, by niebawem zniknąć zupełnie.

- Czy znamy tę kobietę? - spytał ktoś nieopodal.

- Wydaje mi się, że tak - padła odpowiedź.

Tesla nie mogła się odwrócić, by ujrzeć mówiących te słowa, ale nie musiała. Znała owe głosy. Był to przywódca zjaw, które spotkała w domu Toothakera, i miał towarzystwo.

Twarz Buddenbauma zrobiła się teraz ledwie widoczna, nim jednak zniknęła na dobre. Tesla ujrzała, jak przeniósł wzrok na coś, co znajdowało się gdzieś za nią. Mówił coś niezrozumiale. Potem buchnął żar i nad prawym okiem mężczyzny pojawił się czerwony ślad. Zmrużyła powieki, usiłując dojrzeć, co mu się stało, ale zanim to zrobiła, jego palce rozluźniły się i morderczy uścisk zelżał. Nogi miała zbyt słabe, by mogły utrzymać jej ciało: Tesla upadła. Osuwając się na ziemię, zaczerpnęła powietrza, a wdzięczny mózg nagrodził ją iskierką świadomości; Buddenbaum został postrzelony. Ślad na jego twarzy był dziurą od kuli.

Nie zdążyła nacieszyć się tym faktem. Kiedy dotknęła ziemi, jej umysł zgasł jak zdmuchnięta świeca.

Jeden strzał i tłum wpadł w panikę. Radosny śmiech przerodził się we wrzask, wesołe nawoływania w krzyki pełne trwogi i niepewności. Uczestnicy festynu rozbiegli się na różne strony, oddalając się od człowieka z bronią i jego ofiary.

D'Amour wsunął rewolwer do kieszeni marynarki i ruszył w stronę skrzyżowania. Człowiek, którego postrzelił, wciąż trzymał się na nogach, mimo iż z czoła lała mu się krew, co jawnie potwierdzało podejrzenie detektywa, że w grę musiała tu wchodzić magia. Pomimo słońca i tłumów ludzi talizman działał - i to na całego. Im bardziej D'Amour zbliżał się do miejsca, gdzie upadła Tesla, tym bardziej swędział go ochronny tatuaż.

Były również inne znaki, ostrzegające, że powinien zachować bezpieczny dystans. Ziemia pod stopami detektywa pojaśniała i zaczęła falować, kiedy na nią patrzył, jakby starała się podplłynąć do centrum skrzyżowania. Jasność pojawiła się również w powietrzu, w polu widzenia D'Amoura znalazły się nagle mgliste, ulotne postacie roniące kropelki światła. To coś więcej niż inwokacja - był tego pewien - dużo więcej. Rzeczywistość topniała w oczach. Rzeczy stykały się, przenikały, może nawet usiłowały stapać się ze sobą.

Jeżeli tak było, D'Amour nie mógł mieć wątpliwości, kto stoi za tym wszystkim. Mężczyzna, którego właśnie postrzelił, a który teraz z przeraźliwą obojętnością odwrócił się

do Harry'ego plecami i obserwował uciekający tłum.

Detektyw skierował wzrok na Teslę, która leżała prawie zupełnie nieruchomo.

- Żyj - mruknął pod nosem i niemal całkiem zamknawszy oczy, by nie widzieć tego, co działo się z niebem i ulicą, wolno, krok za krokiem, ruszył w stronę dziewczyny.

Awatary były tu, Owen to wiedział. Czuł na sobie ich wzrok. Tego doznania nie sposób pomylić z niczym innym. To tak, jakby się było szpiegowanym przez Boga. Wrażenie przeraźliwe i cudowne zarazem.

Wiedział, że nie on jeden miał te mieszane odczucia. Mimo iż pierzchający tłum wokoło nie dysponował tą samą wiedzą co Buddenbaum, wszyscy ludzie, nawet ci najbardziej ograniczeni i głupi, wyczuwali, że coś jest nie tak. Kula, która go dosięgła, zraniła również ich, choć w inny sposób - zamiast krwi utoczyła z nich adrenalinę, wyczulając zastępczo zmysły na znaki, które w innym przypadku musieliby przeoczyć. Czytał w ich twarzach, że widzieli, dostrzegł grozę i przerażenie; wyczuwał lęk w ich drżących wargach. Nie tak to sobie zamierzył, ale ani trochę się tym nie przejął. Niech się gapią. Niech się trwożą, pomyślał. Niech się modlą. Niechaj drżą. Będą robić jeszcze więcej, dużo więcej, zanim ten Dzień Dni, przez duże D, dobiegnie końca.

Przestał już wypatrywać awatarów - grunt, że tu były, czy ważne, w jakiej postaci? - i przykucnął, aby dotknąć ziemi. Mimo iż krew zalewała mu prawe oko, widział lepiej niż w całym swym długim życiu. Ziemia pod nim zmieniała się w eter, medalion zakopany głęboko w dole lśnił i migotał kusząco. Owen przyłożył do niej dłoń i aż jęknął z rozkoszy, gdy poczuł, jak jego palce zagłębiają się w ciepły asfalt, przesuając się coraz dalej w dół, ku krzyżowi.

Dokoła działy się osobliwe zjawiska. W powietrzu słychać było głosy (zjawy, pomyślał, niby czemu nie? Im więcej tym weselej), widmowe, mgliste, eteryczne formy unosiły się w przestrzeni na prawo i lewo od niego (zbyt doskonale jak na przeszłość, być może pochodziły z przyszłości i przybyły tu ujrzeć moment, kiedy ta przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie), miały miejsce ruchy nieba i ziemi (kiedy będzie przetwarzał świat, wymaluje niebo z kamienia, a ziemia będzie tryskać piorunami). Tak wiele się działo i wszystko z powodu rzeczy leżącej coraz bliżej jego palców - krzyża naładowanego mocą tak wielką, że mogła zmienić świat, zakopanego właśnie tu, na skrzyżowaniu dróg.

- Jesteś piękny - wyszeptał doń jak do urodziwego chłopca. - Taki piękny, tak bardzo piękny.

Jego palce były już prawie u celu. Jeszcze pół metra, nie więcej...

Erwin pospieszył za Teslą do tłumu gapiów, ale potem, widząc rozgrywający się przed nim chaos, zatrzymał się. W takim jazgocie próby rozmowy z nią mijały się z celem, stwierdził. Lepiej będzie poczekać.

Dolan nie miał takich zastrzeżeń. Żądny wrażeń i rozrywek prześlizgnął się przez barierę i wszedł na falującą jezdnię. Znajdował się o kilkanaście centymetrów od Dorothy Bullard, kiedy pękła jej bluzka (ależ był wtedy ubaw!) i stanął na torze kuli, która ugodziła Buddenbauma, rozbawiony widokiem pocisku, który przeszedł przezeń na wylot jak przez powietrze.

Nagle przestał błaznować. Ze swego miejsca na chodniku Erwin ujrzał, iż na twarzy Dolana pojawia się wyraz zaniepokojenia. Odwrócił się do Nordhoffa, który pochylał się nad leżącą Teslą i rzucił jękliwie, przeciągłe: Cooooo?

Nordhoff nie odpowiedział. Obserwował rannego mężczyznę, który włożył dłoń w twarde z pozoru asfalt. I kiedy tak patrzył, jego oblicze wydłużyło się jakby miało przemienić się w pysk psa albo wielbłąda. Jego nos się rozciągnął, policzki wydeły, oczy zostały wysane z oczodołów.

- O, do licha! - jęknął Dolan i odwróciwszy się na pięcie ruszył z powrotem w stronę chodnika. To nie był bezpieczny teren. Mimo iż Erwin znajdował się dużo dalej od źródła dziwnego zjawiska, on również poczuł, że coś szarpnęło jego wyobrażoną postać, i oderwał kieszenie kurtki, aż cała masa drobiazgów pomknęła ku epicentrum. Jego palce zaczęły się wydłużać, przypuszczał, że twarz również.

Dolan był w jeszcze gorszym stanie. Mimo iż znalazł się dalej od centrum skrzyżowania anizeli Nordhoff, Dickerson i reszta, moc, która zaczęła działać w owym miejscu, okazała się nie do przewyciężenia. Dolan upadł na kolana i wbiwszy palce w ziemię, jął wołać Erwina, aby mu pomógł, jednak nie zdołał wczepić się w asfalt, jego ciało wydłużało się i rozpływało coraz bardziej, aż przypominało strugę roztopionych tkanek przepływającą po jezdni.

Erwin zatkał uszy, aby nie słyszeć wrzasków i zaczął wycofywać się w głąb błyskawicznie wyludniającej się ulicy. Nie było to łatwe. Moc z centrum skrzyżowania przybierała na sile i przy każdym kolejnym kroku Toothakerowi wydawało się, że opanuje go i pochwyti, by unieść ku niechybnej zagładzie. Zdołał jednak stawić temu opór, wykorzystując całą siłę woli i po dwudziestu metrach siła epicentrum nieco osłabła. Zaczął iść nieco swobodniej. Po trzydziestu metrach moc rozdroża osłabła znacznie, a po czterdziestu Erwin poczuł się już na tyle pewnie, że zwolnił kroku i odwrócił się, by odszukać wzrokiem Dolana. Nie było go jednak. Zniknął, podobnie jak Nordhoff i Dickerson; wszyscy

oni roztopili się i wsiąkli w falujący grunt.

Dźwięk syren sprawił, że Erwin odwrócił wzrok w drugą stronę. Jed Gilholly właśnie wysiadał ze swego auta, wraz z dwoma funkcjonariuszami policji: Cliffem Campbellem i Floydem Weeksem, wyraźnie niezadowolonymi, że przydzielono ich do tego zadania

Erwin nie czekał, by ujrzeć, co spotka trzech przedstawicieli prawa za chwilę, a raczej co zrobią z nimi moce ze skrzyżowania, lecz póki mógł iść swobodnie, uznał, że nie powinien zabawić w tym miejscu dłużej, niż to konieczne. Kiedyś wierzył w moc prawa, cenił je, służył mu i wierzył, że jest to siła sterująca światem. To przekonanie należało wszelako do innego życia i tak jak ono odeszło bezpowrotnie.



## ROZDZIAŁ VII

### 1

Kiedy Tesla otworzyła oczy D'Amour pomagał jej się podnieść.

- Mamy nowe problemy - rzekł, wskazując głową w kierunku ulicy. Chciała zerknąć w tę stronę, ale jej wzrok przykuły dziwne obrazy wokoło. Członkowie orkiestry pełzali na czworakach jak zbite psy. Nieliczni gapie w większości szlochali jak bobry, inni modlili się, stojąc lub klęcząc pośród porzrzucanych rzeczy, resztek hot dogów i poprzewracanych dziecięcych wózków. Z tyłu zaś zbliżali się do skrzyżowania policjanci z bronią w rękach.

- Nie ruszać się! - wrzasnął jeden z gliniarzy. - Niech nikt się nie rusza!

- Lepiej zrobmy, co każe - powiedziała Tesla, odwracając się do Buddenbauma. Obie ręce do łokci miał zanurzone w ziemi, wykonywał nimi obsceniczne, jawnie seksualne ruchy w górę i w dół, aby pogłębić otwór w materialnym świecie. Powietrze dokoła wypełnione było mgłą i czymś, czego nie sposób określić.

- Co on wyprawia? - szepnął D'Amour.

- Usiłuje osiąść Sztukę - odrzekła Tesla.

- Wy dwoje, zamknąć się! - warknął jeden z policjantów, po czym zwrócił się do Buddenbauma: - Ej, ty! Wstawaj. Chcę zobaczyć twoje ręce!

Buddenbaum nie sprawiał wrażenia, jakby usłyszał rozkaz, a tym bardziej zamierzał mu się podporządkować. Polecenie wydano powtórnie, nieco zmienione. I tym razem pozostało bez odpowiedzi.

- Liczę do trzech... - ostrzegł Jed.

- Dalej - mruknęła Tesla. - Rozwał skurwiela!

- Jeden... - Jed podszedł bliżej odliczając, dwaj funkcjonariusze nie odstępowali go na krok. - Dwa...

- Hej, Jed? - odezwał się Floyd Weeks.

- Stul pysk!

- Nie czuję się najlepiej.

Jed spojrzał na niego. Twarz Weeksa była sinoblada, oczy wywracały mu się w oczodołach.

- Nie rób tego! - rozkazał Jed.

To polecenie, podobnie jak wcześniejsze, zostało zignorowane. Spomiędzy drżących palców stróża prawa wypadł rewolwer; Floyd westchnął, tyleż z rozkoszy, co oddania. A potem upadł na kolana.

- Nie wiedziałem... - wyszeptał. - Boże, dlaczego... czemu nikt mi nie powiedział?

- Nie zwracaj na niego uwagi - rzucił Jed do Cliffa Campbella. Ten podporządkował się rozkazowi szefa, ale tylko dlatego, że musiał stawić czoło własnym omamom.

- Co się dzieje, Jed? - wykrztusił. - Skąd wzięły się te kobiety?

- Jakie kobiety? - spytał Gilholly.

- Są wokół nas - wybełkotał Campbell i jęknął. - O Boże!

- Jesteś gotowa? - odezwał się D'Amour do Tesli.

- Jak najbardziej.

Harry powrócił wzrokiem do Gilholly'ego, który usiłował zapanować nad własnymi zmysłami.

- Tego nie ma... to się nie dzieje... - wyszeptał, szukając wsparcia u Campbella. Nie znalazł go jednak. Jego zastępca padł na kolana i zaśmiewał się w głos jak szaleniec. Jed w przyływie desperacji wymierzył broń w przepływające przed nim postacie.

- Nie zbliżać się! - zawołał. - Ja nie żartuję! Jeżeli będę musiał, użyję broni!

- Chodźmy - rzekł detektyw - póki jest zajęty czym innym - i wraz z Teslą zaczęli wycofywać się ze skrzyżowania.

Jed zauważył ich.

- Ej, wy! Stójcie... - Nagle głos mu się załamał, jakby zabrakło mu słów. - O Jezu... - wykrztusił niepewnie. - Jezu, Jezu, Jezu...

I w końcu on również osunął się na kolana.

Pośrodku ulicy Buddenbaum wydał przeciągły okrzyk zawodu. Coś było nie tak. W jednej chwili rozstajne drogi pod nim topiły się i moc wpływała do serca, w następnej zaś poczuł na języku kwaśno-gorzki smak, a ziemia wokół jego ręki stwardniała. Wyszarpnął dłoni. Miał wrażenie, jakby wyjmował ją z trzewi czegoś martwego lub umierającego. Przeszedł go dreszcz odrazy, do oczu napłynęły mu palące łzy.

- Owen?

Był to rzecz jasna Seth. Stał obok zdezorientowany i zaniepokojony.

- Coś nie wyszło? - Buddenbaum pokiwał głową. - Wiesz, co?

- Może to - mruknął Owen, unosząc dłonie do zranionej głowy. - Może przez to nie mogłem należycie się skoncentrować...

- Chodź! - rzucił Seth.

Buddenbaum uniósł głowę i rozejrzał się dokoła.

- Co widzisz? - zapytał.

- Chodzi ci o kobiety?

Owen zmrużył oczy.

- Ja widzę tylko kształty świetlne. Czy to kobiety?

- Tak.

- Jesteś pewien?

- Tak.

- W takim razie to jakiś spisek - powiedział Buddenbaum i schwyciwszy Seta za ramię podniósł się. - Ktoś ściągnął je tutaj, aby wszystko wzięło w łeb.

- Kto?

- Nie wiem - odrzekł Owen. - Ktoś, kto wie... Przystanął i skierował wzrok w stronę Tesli. - Bombeck... - wymamrotał. A potem zawołał - Bombeck!

- O co mu chodzi? - spytał Harry, kiedy Buddenbaum ruszył w ich stronę.

- Uważa, że jestem tu, aby osiąść Sztukę.

- Czy to prawda?

Tesla pokręciła głową.

- Widziałam, co zrobiła z dzaffem - wyjaśniła. - A przecież był do tego przygotowany. A przynajmniej tak mu się wydawało.

Buddenbaum wciąż zbliżał się do nich. D'Amour sięgnął po rewolwer, ale Tesla powiedziała:

- To go nie powstrzyma. Wyośmy się stąd.

Odwróciła się od Buddenbauma i nagle zauważyła, że w ciągu tych kilku sekund, kiedy patrzyła za siebie, między nimi znalazła się mała dziewczynka. Przyglądała się im teraz ze śmiertelną powagą. Była absolutnie wręcz doskonała - mała, pięcioletnia blondyneczka z kręconymi włosami, w białej sukience, białych skarpetkach i białych bucikach. Buzię miała różową i wielkie niebieskie oczy.

- Cześć! - rzuciła słodkim, wesołym głosikiem. - Ty jesteś Tesla, prawda?

Tesla nie była w nastroju do rozmów z dziećmi, nawet tymi najbardziej doskonałymi.

- Powinnaś poszukać swoich rodziców.

- Patrzyłam - wyjaśniło dziecko.

- To nie są sprawy, które powinnaś oglądać. To złe rzeczy i nie należy na nie patrzeć - odezwał się D'Amour. - Gdzie są twoi rodzice?

- Tu ich nie ma.
- Jesteś tu sama?
- Nie - odrzekła mała. - Są ze mną Haheh i Yie.

Odwróciła głowę w stronę lodziarni. Na stopniu przed sklepikiem siedział mężczyzna o twarzy urodzonego komika, z wielkimi ustami, wyłupiastymi oczami i grubymi wargami, trzymając w dłoni sześć rożków lodów i liżąc je na zmianę z powagą i skupieniem. Obok niego siedziało drugie dziecko, chłopiec o wyglądzie kretyna.

- Nie martwcie się o mnie - powiedziała dziewczynka. - Nic mi nie jest. - Przyjrzała się bacznie Tesli. - Czy ty umierasz?

Tesla popatrzyła na D'Amoura.

- Nie mam w tej chwili ochoty na tego typu rozmowę.
- Ale ja mam - oznajmiła Panna Perfekcja. - To ważne.
- Czemu nie zaczepisz kogoś innego?

- Bo to właśnie tobą jesteśmy zainteresowani - odrzekła z niewzruszoną powagą dziewczynka. Postąpiła krok w stronę Tesli, unosząc przy tym rękę. - Ujrzeliśmy twoją twarz i powiedzieliśmy sobie: - „Ona wie o drzewie opowieści”.

- O czym?
- O drzewie opowieści - wtrącił chłopiec.
- O czym ona mówi, do cholery? - rzuciła Tesla do Harry'ego.

- Nieważne - rozległ się z tyłu za nimi inny głos. Nie musiała się odwracać, by wiedzieć, iż to Buddenbaum. Głos jego brzmiał dziwnie głucho, jakby dobiegał z wielkiego, pełnego ech pomieszczenia. - Powinnaś trzymać się z dala od moich spraw, kobieto.

- Nie interesują mnie twoje sprawy - odparła Tesla. I nagle, w przypływie zaciekawienia, odwróciła się do niego. - A tak na marginesie, jakie są te twoje sprawy?

Mężczyzna wyglądał potwornie; twarz miał nabiegłą krwią, cały dygotał.

- To moja rzecz - odburknął.

Tu wtrąciła się mała dziewczynka.

- Możesz jej powiedzieć, Owenie - oświadczyła.

Ten spojrzał ostro na dziecko.

- Nie zamierzam dzielić się naszymi sekretami z tą kobietą - zaprotestował.

- Ale my tego chcemy - odparło dziecko.

Tesla obserwowała twarz Buddenbauma w ciągu całej tej dziwnej wymiany zdań, usiłując rozszyfrować, o co chodzi. Nie ulegało wątpliwości, że dobrze znał dziewczynkę i że wprawiała go w poważne zdenerwowanie. Raz jeszcze Tesla pożałowała, że nie ma przy niej

Raula, wyczulonego na podobne sygnały. Gdyby był tutaj, z pewnością by wiedział, co się szykuje.

- Wyglądasz na chorą - stwierdził Buddenbaum.

- Ty i ja, oboje wyglądamy tak samo.

- Ale ja wyzdrowieję - ciągnął. - Co się zaś tyczy ciebie, nie pociągniesz już na tym świecie długo. - Mówił dość swobodnym, niemal lekkim tonem, ale w jego głosie wyraźnie dało się wyczuć groźbę. Nie tyle przepowiadał Tesli śmierć, ale wręcz ją obiecywał.

- Proponuję, abys zaczęła się już żegnać, póki jeszcze możesz.

- Czy to wszystko należy do tego? - spytała dziewczynka. Tesla spojrzała na nią; dziecko uśmiechało się filuternie. - Czy aby na pewno, Owenie?

- Tak - odrzekł Buddenbaum. - To jest częścią wszystkiego.

- Świetnie, świetnie. - Mała ponownie zwróciła wzrok na Teslę. - W takim razie zobaczymy się później - powiedziała odsuwając się, aby mogli przejść.

- To raczej mało prawdopodobne - mruknęła Tesla.

- Ależ jak najbardziej - oświadczyła dziewczynka. - To pewne. Bardzo nas interesujesz, ty, no i drzewo opowieści.

Tesla usłyszała, jak Buddenbaum mruczy coś za jej plecami. Nie słyszała słów i nie była dość silna ciałem i duchem, by zmusić go do powtórzenia kwestii. Odpowiedziała małej uśmiechem i wraz z Harrym opuściła skrzyżowanie, a powiew letniego wiatru przywiał do nich głosy modlących się żarliwie policjantów.

## 2

Choć wydawało się prawie niemożliwe, aby wieści o tym, co miało miejsce na skrzyżowaniu, nie dotarły do uszu każdego mieszkańca Everville, ulice, którymi Tesla i Harry wracali do domu Phoebe, były nienaturalnie wręcz spokojne i ciche, jakby ludzie wyczuwali pismo nosem i podświadomie uznali, że najbezpieczniejszą reakcją będzie roztropne milczenie. Pomimo upału drzwi były pozamykane, a okna pozasłaniane. Na trawnikach ani na ulicach nie bawiły się dzieci, nie dostrzegli nawet psa z kulawą nogą.

Było to podwójnie dziwne, ponieważ dzień wydawał się tak doskonały - w powietrzu unosił się zapach letniego kwiecia, na niebie nie pojawiła się ani jedna chmurka.

Kiedy skręcili w ulicę, przy której mieszkała Phoebe, Harry, ni stąd, ni zowąd rzekł:

- Boże, kocham ten świat.

Tak łatwo było to powiedzieć i stwierdził to z takim przekonaniem, że Tesla tylko

pokręciła głową.

- A ty nie? - spytał.
- Jest na nim zbyt wiele szajsu - odparła.
- Ale nie teraz. Teraz jest na swój sposób doskonały.
- Spójrz na wierzchołek góry - powiedziała.
- Nie jestem na szczycie góry - zauważył Harry. - Jestem tutaj.
- No i masz szczęście - odcięła się z przekąsem.

Spojrzał na nią i zauważył, że wyglądała tak krucho i bezbronne, iż prawie nie przypominała istoty ludzkiej. Chciał choć na chwilę objąć Tesłę ramieniem, ale uznał, że raczej nie potraktowałyby gestu przychylnie. Znajdowała się w swej własnej przestrzeni, gdzie nic i nikt prócz niej samej nie mogło przynieść jej ukojenia.

Przez chwilę marudziła przy zapasowych kluczach, które dała jej Phoebe. Gdy dostali się do mieszkania, powiedziała:

- Chyba trochę się prześpię. Nie mogę nawet zebrać myśli.
- Jasne.

Ruszyła po schodach na górę, lecz nagle odwróciła się na pięcie i spojrzała na D'Amoura swymi pustymi oczyma.

- A propos - odezwała się cicho. - Dziękuję.
- Za co?
- Za to, co zrobiłeś wtedy, na górze. Nie byłoby mnie tutaj... Boże... wiesz, o co mi chodzi.
- Wiem. Nie musisz mi dziękować. Tkwimy w tym oboje.
- Nie - zaprzeczyła półgłosem. - Nie sądzę, aby tak to się skończyło.
- Jeśli myślisz o tym, co powiedziała ta mała...
- Nie pierwszy raz o tym myślę - rzekła Tesla. - Przez pięć lat działałam na pełnych obrotach. Harry. To była ostra jazda, a teraz muszę za to zapłacić.

Chciał coś powiedzieć, ale uniosła dłoń, by go uciszyć.

- Nie marnujmy czasu, okłamując się nawzajem - mruknęła. - Zrobiłam, co mogłam i wyeksploatowałam się do cna, ot i wszystko. Dopóki jeszcze miałam w głowie Raula, mogłam udawać, że pojmuję jakoś sens tego wszystkiego, ale teraz... teraz już go nie ma. - Wzruszyła ramionami. - Nie chcę brnąć w to dalej. - Usiłowała się uśmiechnąć, jednak bez powodzenia. Zdeprimowana żalonym wynikiem tej próby, odwróciła się od D'Amoura i pomaszerowała do łóżka.

Harry zaparzył sobie kawę i usiadł w saloniku wśród starych egzemplarzy *TV Guide* i

popielniczek, z których wysypywały się niedopałki. Chciał to i owo przemyśleć. Kawa podziałała. Ożywił się, mimo iż czuł wyczerpanie aż w kościach. Siedział, wpatrując się w sufit i analizował w myślach wypadki, które przywiodły go do takiego stanu mocnego rozchwiania.

Wspiął się na górę pod osłoną mgły i ochronnych tatuaży, aby odnaleźć Kissoona, ale nie natrafił nań w żadnej z możliwych do rozpoznania postaci. Dzieci, owszem, Bracia Grimm, tak; Błogosławiony, trójka ukrzyżowanych nieszczęśników i Tesla Bombeck, no tak. Jednak człowiek, który zabił Teda Dusseldorfa i Marię Nazareno wymknął mu się znowu.

Powrócił myślami do Morningside Heights i tamtego ciasnego pokoiku, gdzie miał kryjówkę jego wróg, zastanawiając się, czy nie było tam niczego, co podówczas przeoczył, a co mogło go teraz naprowadzić na ślad Kissoona i zdradzić, jaką przybrał obecnie postać. Nie przychodziło mu jednak do głowy nic użytecznego. Nagle przypomniał sobie talię kart, którą tam znalazł. Sięgnął i wyjął je z kieszeni. Może wśród tych wizerunków kryje się jakiś ślad? Harry odsunął rzeczy ze stolika i rozłożył karty na blacie. Małpa, Księżyc, Płód, Piorun...

Symbole mocy, co do jednego.

Piorun, Dłoń, Tors, Dziura...

Jeżeli była to gra, niestety nie znał jej reguł. A jeżeli to nie była gra, to co to jest, do cholery?

Prawie bezwiednie zaczął przekładać leżące przed nim karty w nadziei, że rozwiązanie przyjdzie samo. Nic z tego. Pomimo mocy symboli, a może ze względu na nią, nie udało mu się rozwikłać zagadki, odniósł tylko wrażenie, że ma zbyt ograniczony umysł, by móc zmierzyć się z tak potężną łamigłówką.

Z rozmyślań wyrwał go dzwonek telefonu. U Cobbów nie było chyba automatycznej sekretarki, bo telefon dzwonił, dopóki Harry nie podniósł słuchawki.

Rozległ się znużony męski głos.

- Zastąłem Tesłę? - D'Amour zastanowił się przez chwilę, zanim odpowiedział, podczas gdy mężczyzna dodał pośpiesznie: - To poważna sprawa. Muszę z nią mówić.

Dopiero teraz detektyw zorientował się, z kim rozmawia.

- Grillo? - spytał półgłosem.

- Kto mówi?

- Harry.

- Jezu, Harry, co ty tam robisz?

- To samo, co Tesla.

- Jest w pobliżu?

- Śpi.

- Muszę z nią porozmawiać. Wydzwaniam przez cały dzień.

- Gdzie jesteś?

- Jakieś siedem kilometrów od miasta.

- Od jakiego miasta?

- Everville, ma się rozumieć! Dasz ją wreszcie do telefonu?

- Nie mógłbyś zadzwonić za godzinkę albo...

- Nie! - krzyknął Grillo. I zaraz potem, już ciszej, dodał: - Nie. Muszę pomówić z nią teraz.

- Zaczekaj - rzekł Harry i odłożywszy słuchawkę poszedł obudzić Tesłę. Leżała w ubraniu na podwójnym łóżku, a na jej twarzy malowało się tak głębokie wyczerpanie, że serce krajało mu się na myśl, iż miałby wyrwać ją ze snu, którego tak rozpaczliwie potrzebowała. Nie zrobił tego. I słusznie. Gdy wrócił do holu, na drugim końcu linii panowała cisza. Grillo się rozłączył.

### 3

Tesla szła we śnie brzegiem nieziemskiego morza. Ostatnio padał tu śnieg, ale nie czuła zimna. Lekkim krokiem podeszła jak najbliższej fal. Morze było gęste i mroczne, wzburzone wody ozdabiały pióropusze brudnej piany. Tu i ówdzie wśród fal dostrzegła zwłoki kołysane przytływem - przerażone twarze trupów zdawały się przestrzegać ją przed wejściem do wody.

Nie miała wyboru. Morze pragnęło jej i nie mogła mu się przeciwstawić. W gruncie rzeczy nawet tego nie chciała, nie zamierzała się opierać. Brzeg był surowy i opustoszały, a morze, w którym unosiły się trupy - pełne tajemnic.

Kiedy tylko fale sięgały jej brzucha, a potem oblały piersi, uśpiony umysł Tesli podsunął jej nazwę tego miejsca.

Jedno słowo.

Quiddity.

Morze snów uniosło się, zalewając jej twarz, kiedy wymówiła jego nazwę, a podwodny prąd zbił ją z nóg. Nie próbowała z nim walczyć, lecz pozwoliła się unieść falom jak spragnionemu kochankowi. Wkrótce fale, przy brzegu niezbyt wysokie, urosły do gigantycznych rozmiarów. Kiedy podźwignęły ją na swe barki, ujrzała na horyzoncie ścianę ciemności, taką samą, jak ta, którą widziała w ostatnich chwilach pobytu w Pętli Kissoona.



Iadowie, ma się rozumieć. Góry i pchły; pchły i góry. Kiedy Tesla runęła w otchłań między falami i znalazła się pod powierzchnią wód, ujrzała całkiem inny spektakl - ogromne ławice ryb przemykające pod nią niczym tłuste, burzowe chmury. Między ławicami zaś śmigwały świetliste sylwetki, jak przypuszczała, duchy ludzi, istot takich jak ona. Wydawało się jej, że w blasku światła dostrzega rysy poszczególnych twarzy: dzieci, kochanków i dusz umierających, którzy tej nocy wysnili się w tym właśnie miejscu.

Tesla doskonale wiedziała, do której z tych trzech kategorii należy.

Miała zbyt wiele lat jak na noworodka, była zbyt szalona jak na kochankę, toteż istniał jeden tylko powód, dla którego zawitała tutaj tej nocy. Panna Perfekcja miała rację, śmierć była nieuchronna. To ostatni raz, kiedy tak śpi i śni, zanim jej życie jako Tesli Bombeck dobiegnie kresu.

Nawet jeśli ją to zaniepokoiło, nie miała czasu, by odczuć lęk. To, co się działo, wymagało od niej pełnej uwagi i niezmażonej koncentracji. Unosząc się i opadając, to na grzbiecie, to w głębinie fal unoszona była ku miejscu, gdzie wody z jakiejś nieznaney przyczyny trwały tak spokojne, że jak w lustrze odbijały się w nich wzburzone, mroczne niebiosy.

Z początku sądziła, że znalazła się tu całkiem sama i był to sprawdzian, mający dowiedzieć, czy zdoła w pojedynkę, bez niczyjej pomocy, wydostać się z owego osobliwego obszaru, gdy wtem uświadomiła sobie, że w dole pod nią błyska światło. Spojrzała w otchłań fal i ujrzała, że w głębinie zebrała się ławica jakichś nie znanych jej, świecących ryb, które wolno, lecz jednostajnie wznosiły się ku powierzchni. Kiedy ponownie uniosła głowę ponad fale, stwierdziła, że nie jest sama. Długowłosey, brodaty mężczyzna przycupnął na wodzie jak na twardym gruncie i jakby od niechcenia tworzył na szklistej powierzchni maleńkie fale. Był tu przez cały czas - uznała - i zatęskniła za nim. Teraz jednak, jakby jej spojrzenie wyrwało go z zamyślenia, uniósł wzrok.

Miał pociągłą, szczupłą twarz, ostre kości policzkowe i czarne oczy o jeszcze ostrzejszym i przenikliwym spojrzeniu. Jednak uśmiech, którym powitał Tesłę, tak słodki, jakby przyłapała go kompletnie nie przygotowanego na jej przybycie, z miejsca ją oczarował. Woda tańczyła wokół jego stóp, gdy wstał i podszedł do Tesli. Przemoczone ubranie mężczyzny było w strzępach, a jego tors pokrywały drobne blade blizny, jakby stoczył ciężki pojedynek zapaśniczy na macie wyłożonej tłuczonym szkłem.

Tesla współczuła mu. Wiedziała, co musiał znosić. Ona również nosiła blizny, na zewnątrz i wewnątrz swego ciała. Ona również została odarta z tego, co zyskała w swym świecie, straciła wszystko - zawód, pewność siebie, przekonania i własne wartości.

- Czy my się znamy? - spytał nieznajomy, podchodząc bliżej. Jego głos nie był melodyjny, ale i tak się jej spodobał.

- Nie - odrzekła, stwierdzając, że nagle zaczął jej się plątać język. - Nie sędzę.

- Na pewno ktoś musiał ci o mnie mówić. Może Fletcher?

- Znasz Fletchera?

- A więc to tak - rzekł mężczyzna i ponownie się uśmiechnął. - To ty uczyniłaś zeń męczennika.

- Nie myślałam o tym w ten sposób, ale tak, ja.

- Widzisz? - mruknął i przykucnął obok Tesli, podczas gdy woda powoli wyparła ją na powierzchnię. - Poszukiwałaś związków i w zasadzie dałoby się je znaleźć. Przyjdzie ci jednak szukać ich w strasznych miejscach, Teslo. W miejscach, gdzie zjawia się śmierć, by zagarnąć miłość, gdzie tracimy siebie nawzajem i zatracamy sami siebie - tam właśnie zaczynają się nici powiązań. Potrzeba odważnej duszy, aby zajrzeć w te miejsca i nie poddać się rozpacz.

- Staralam się być dzielna - powiedziała.

- Wiem - odrzekł półgłosem. - Wiem.

- Ale nie byłam dość dzielna, czy właśnie to chcesz powiedzieć? Ale ja przecież wcale nie chcę brać w tym udziału. Nie czuję się przygotowana. Chciałam, jak sam wiesz, pisać scenariusze, dorobić się i żyć jak człowiek, chociaż to może wydać ci się dość patetyczne.

- Dlaczego?

- Wątpię, abyś oglądał wiele filmów.

- Zdziwiłabyś się - rzekł mężczyzna, uśmiechając się pod nosem. - tak czy inaczej, liczą się opowieści, jakkolwiek są opowiadane.

Pomyślała o dziecku na skrzyżowaniu...

„Ujrzelśmy twoją twarz i powiedzieliśmy sobie: ona wie o drzewie opowieści”.

- Co to za wielkie halo z tymi opowieściami? - zapytała.

- Uwielbiasz je - zauważył, przenosząc wzrok na wodę. Świeące sylwetki, które Tesla widziała, jak podnosiły się z otchłani, znajdowały się o kilka sążni poniżej powierzchni. Ich obecność wzburzyła wodę.

- Uwielbiasz je, prawda? - zapytał.

- Chyba tak - przyznała.

- To są właśnie powiązania, Teslo.

- Opowieści?

- Opowieści. A każde życie, niezależnie jak krótkie i jak mało znaczące, jest liściem...

- Liściem?

- Tak, liściem. - Ponownie na nią spojrział i w milczeniu czekał, aż przetrawi to, co przed chwilą odeń usłyszała.

- Na drzewie opowieści - dokończyła Tesla.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Ludzkie żywoty to liście na drzewie opowieści. Proste, nieprawdaż? - Wokoło pękały bąble powietrza, powierzchnia wód nie była już dostatecznie gładka, by móc go utrzymać.

Mężczyzna zaczął zanurzać się w falach.

- Obawiam się, że muszę już iść - powiedział. - 'Shu przybyły po mnie. Czemu masz taką smętną minę?

- Bo jest już za późno. Dlaczego musiałam tak długo czekać, by właśnie teraz dowiedzieć się, co powinnam robić?

- Nie musiałaś wiedzieć. Robiłaś to.

- Wcale nie - zaproponowała przygnębiona. - Ani jedna z moich opowieści nie była warta funta kłaków.

- Mylisz się - odrzekł mężczyzna. Prawie nie było go już widać.

- Którą historię masz na myśli? - spytała błagalnie, pragnąc uzyskać odpowiedź, zanim zniknie zupełnie. - Powiedz mi.

- Twoją własną - oznajmił i już go nie było. - Twoją własną.

Tesla wbiła wzrok w bulgoczącą wodę i stwierdziła, że istoty, które nazywał 'shu, zgromadziły się pod powierzchnią całymi milionami, a teraz wirowały wokół opadającego w dół mężczyzny, jakby wciągały go w sam środek swej wielkiej ławicy. Wir ten nie wywarł żadnego wpływu na jej widmową postać. Ogarnął ją smutek i poczucie olbrzymiej straty, gdy patrzyła, jak zanurzał się w głębinę. Wyglądało na to, że zgromadził ogromną wiedzę i Tesla tak bardzo pragnęła porozmawiać z nim dłużej. Dobrze, że w ogóle wyniosła coś z tej dziwnej rozmowy wzmiankę, że historia, którą opowiadała, była w rzeczywistości jej własną. Teraz niewiele to dla niej znaczyło, ale może, jeśli zdoła przenieść tę świadomość do świata jawy, zyska dzięki niej jakieś pocieszenie.

Teraz zaś, kiedy spirala 'shu pograżyła się w morskiej toni. Tesla zaczęła odbierać sygnały z tego właśnie świata. Usłyszała dzwonek telefonu i kroki na schodach.

- Tesla?

Otworzyła oczy. Do pokoju zajrzał Harry.

- To Grillo - powiedział. - Koniecznie chce z tobą mówić. Już raz telefonował.

Jak przez mgłę przypomniała sobie, że wędrując ośnieżonym brzegiem słyszała w

oddali dzwonek telefonu.

- Wygląda na to, że źle z nim.

Wstała i zeszła na dół. Przy telefonie leżał ogryzek ołówka. Zanim sięgnęła po słuchawkę na bloczku do notatek zapisała: „Opowiadam moją własną historię”, na wypadek gdyby rozmowa przyćmiła w jej głowie wspomnienie snu. Podniosła słuchawkę.

Tak jak powiedział Harry, wyglądało na to, że Grillo jest w kiepskim stanie, ba, nawet w strasznym. Jak ona, jak D'Amour i jak chodzący po falach mężczyzna z jej snu. Zupełnie jakby wszyscy wokół niej zmiierzali do kresu.

- Jestem w motelu Sturgisa - wyjaśnił. - Z Howie'em, Jo-Beth i małą Amy.

- Gdzie?

- Parę kilometrów przed Everville.

- Co ty tam robisz, do cholery?

- Nie mieliśmy wyboru. Musieliśmy działać szybko i uznaliśmy, że będzie nam potrzebna istotna pomoc.

- Dlaczego?

- Tommy-Ray ma przybyć po Jo-Beth.

- Tommy-Ray?

Zaczął relacjonować wydarzenia ostatnich dni. Tesla poświęciła mu całą swą uwagę, bez pięciu procent, które miały zatrzymać w jej umyśle wspomnienia niedawnego snu. Jednak historia ucieczki i grozy opowiedziana przez Grilla stopniowo przesłoniła wizję spokojnego morza i mężczyzny, który znał Fletchera.

- Potrzebuję twojej pomocy. Tes... - mówił Grillo. Jeszcze przez kilka chwil rozpaczliwie usiłowała zachować w pamięci obraz twarzy chodzącego po falach.

- Tes, jesteś tam? - W końcu nie pozostało jej nic innego, jak porzucić również i tę wizję.

- Tak, jestem.

- Powiedziałem, że potrzebuję pomocy.

- Masz fatalny głos, Nathanie. Coś cię boli?

- To długa historia. Posłuchaj, podaj mi swój adres. Przyjedziemy do miasta.

Tesla przypomniała sobie zniwo, jakie zebrał, wraz ze swoją armią widm, Tommy-Ray, Chłopiec Śmierci, przechodząc przez Palomo Grove. Czyż nie zburzył swego domu, wraz ze znajdującą się tam własną matką, dla samej tylko przyjemności niszczenia? Gdyby zaczął szaleć w Everville, zwłaszcza w godzinie masowego exodusu (która wydawała się całkiem bliska), liczba ofiar byłaby zapewne przerażająca.

- Zostań tam, gdzie jesteś - powiedziała. - To ja do was przyjadę.

Grillo nie oponował. Najwyraźniej bardzo mu zależało, aby ponownie znalazła się przy nim, najszybciej jak to możliwe. Podał jej adres hotelu i poprosił, aby się pospieszyła. I to już wszystko.

D'Amour był w kuchni, właśnie przyrządzał tosty. Tesla opowiedziała mu, co się stało. Wysłuchał jej bez słowa komentarza, dopóki nie wspomniała o planowanym wyjeździe.

- Więc Everville mam teraz całe dla siebie? - zapytał.

- Na to wygląda.

Chciała mu powiedzieć, że właśnie wyśniła swój ostatni sen i że nie powinien oczekiwać jej powrotu, ale uznała, że zabrzmiałoby to nazbyt żałośnie i melodramatycznie. Potrzebowała teraz jakiegoś epitafium, słów pożegnania, które brzmiałyby prawdziwie i mądrze, nawet kiedy już jej nie będzie. Nic takiego jednak nie przychodziło jej do głowy. Z kłopotu wybawił ją Harry, gdyż to on się z nią pożegnał.

- Wydaje mi się, że po zmierzchu znów wyruszę na górę - powiedział. - Jeśli Iadowie przybędą, chciałbym widzieć to widowisko z pierwszego rzędu, przy samym ringu. Co oznacza... że prawdopodobnie już się więcej nie zobaczymy.

- Nie. Raczej nie.

- W sumie całkiem nieźle nam się udało. Mam na myśli, że nasze życie... było...

- Dziwne.

- Niezwykłe - dokończył. Wzruszyła ramionami. Oczywiście była to prawda

- Na pewno oboje pragnęliśmy gorąco, aby mogło wyglądać inaczej. Chyba jednak, gdzieś w głębi, równie żarliwie chcieliśmy, aby było właśnie takie.

- Chyba tak.

Ich ostatnia rozmowa dobiegła końca. Tesla uniosła wzrok i zobaczyła, że Harry patrzy wprost na nią; usta miał zaciśnięte w cienką, białą kreskę, jakby rozpaczliwie starał się powstrzymać płacz.

- Miłego oglądania - powiedziała.

- Dziękuję.

- Uważaj na siebie.

Odrzuciła wzrok, poszła po swoją kurtkę i ruszyła ku wyjściu. Gdy była już przy drzwiach wyjściowych, o mały włos nie zawróciła, by go po raz ostatni uściskać, ale zdołała się pohamować. To jedynie przedłużyłoby cierpienie. Lepiej odejść już, teraz, zaraz - nadeszła pora, aby wyruszyć w ostatnią podróż.

Tłum gapiów na Main Street dawno już przestał podziwiać paradę, ale wciąż

przechadzali się tam ludzie; robili zakupy, nabywali pamiątki i szukali miejsca, gdzie mogliby coś przekąsić, albo po prostu spacerowali. Wieczór był pogodny, niebo nadal bezchmurne; wprawdzie atmosfera radosnego pikniku nieco przygasła po fiasku popołudniowej imprezy, ale nie rozwiązała się zupełnie.

Kiedyś Tesla zatrzymałaby z piskiem opon swego harleya na środku głównego skrzyżowania i ochrypłym głosem krzyczała na ludzi, by uciekali jak najdalej stąd, zanim nadejdą Iadowie. Teraz jednak była starsza, roztropniejsza i wiedziała, kiedy nie należy strzepić języka po próżnicy. Ludzie wzruszaliby ramionami, kpiliby, śmiali się i odwracali do niej plecami, za co w gruncie rzeczy wcale nie należałoby ich winić. Zanim wyszła z domu Phoebe, spojrzała na swe odbicie w łazienkowym lustrze. Szczupła kobieta, którą podziwiała zaledwie przed paroma dniami - kobieta naznaczona swą wędrownką i dumna ze swych blizn - wyglądała jak obciążony skórą worek kości, istny obraz nędzy i rozpacz.

Poza tym na cóż zdałyby się wszelkie ostrzeżenia, nawet gdyby ludzie jej usłuchali? Jeśli Iadowie faktycznie są tacy, jak o nich mówiono, to nie ma przed nimi ucieczki. Może ci wszyscy tutaj, świętujący w cieniu śmierci okazaliby się szczęśliwcami, umierając tak szybko, że nawet nie zorientowaliby się, co ich zabiło. Umarliby zbyt szybko, by móc poczuć strach, czy ludzić się nadzieją. Zwłaszcza nadzieją. To było najgorsze.

Mimo że, aby dotrzeć do skrzyżowania, Tesla musiała jechać okrężną drogą, zrobiła to, aby zobaczyć czy pozostały tam jakiegokolwiek ślady po tajemniczych zjawiskach minionego popołudnia. Wprawdzie ulice były przejezdne, ale zauważyła bardzo mało samochodów. Wielu było natomiast pieszych. Gapie stali przed restauracją i przy skrzyżowaniu, kilkoro nawet filmowało je kamerami.

Po ludziach, których Tesla widziała ostatnio, jak klęczeli i przemawiali do wizji, nie było śladu. Wrócili do swych domów lub zostali zabrani.

Nakładała właśnie kask, gdy usłyszała okrzyk dobiegający z przeciwnej strony ulicy i odwróciwszy się ujrzała swoje Nemezis, Bosleya Prawego, maszerującego w jej stronę.

- Coś ty uczyniła? - wrzasnął z twarzą poczerwieniałą z wściekłości.

- Z czym? - zapytała spokojnie.

- Przyłożyłaś rękę do tego... plugastwa... do tego bluźnierstwa - odpowiedział. - Widziałem cię, byłaś tam, w samym sercu tego wszystkiego. - Przystanął kilka metrów od niej, jakby obawiał się, że mogła zarazić go swą bezbożnością. - Wiem, do czego zmierzasz.

- Może zechcesz mi to wyjaśnić? - zaproponowała - Tylko nie pieprz mi tu głodnych kawałków o dziele Szatana, Bosley, bo nie wierzysz w to bardziej niż ja. Absolutnie.

Bosley zadrżał i skrzywił się, a potem ujrzała na jego twarzy strach, grozę tak

dojmującą, że cały gniew opuścił ją w jednej chwili.

- Wiesz co? - powiedziała. - Chyba dziś po południu spotkałam Jezusa. - Bosley przyjrzał jej się z uwagą. - W każdym razie chodził po wodzie, miał mnóstwo blizn... więc to mógł być on, prawda? - Mężczyzna wciąż milczał. - Przykro mi, że nie zdążyłam wspomnieć Mu o tobie, ale gdybym miała po temu okazję, poprosiłabym, aby wpadł kiedyś do twojej restauracyjki na kawałek placka

- Jesteś szalona! - wykrztusił Bosley.

- Oboje jesteśmy szaleni - poprawiła go Tesla. - Trzymaj się, Bosley!

To rzekłszy, nałożyła kask i odjechała.

Znalazłszy się poza granicami miasta, przyspieszyła raptownie, przekonana, że szef policji i jego strwożeni zastępcy tego wieczoru nie będą czyhać na kierowców lubiących ostrą, szybką jazdę. Miała rację. Widząc przed sobą pustą wstęgę szosy i pobocze bez jednego choćby wozu drogowki, mknęła jak burza na spotkanie z Grillo, mimo iż to, co oczekiwało ją u kresu tej podróży, było zimniejsze i mroczniejsze od tego, czego można się spodziewać po człowieku.

# Rozdział IX

## 1

Będą jeszcze inne lata, pomyślała Dorothy Bullard, jeszcze lekko oszołomiona, siedząc przy oknie w swoim pokoju. Inne festyny, inne parady, inne szanse na doskonale zorganizowane święto. Na szczęście nie pamiętała zbyt jasno, co zdarzyło się na skrzyżowaniu, ale wielu dobrych i życzliwych ludzi zapewniało, że nie ma w tym jej winy, absolutnie. Była w silnym stresie, ale zrobiła świetną robotę, wspaniałą robotę, a w przyszłym roku, ha, w przyszłym roku...

- Będzie idealnie.

- Co powiedziałaś, kochanie? - W pokoju zjawiała się Maisie, z jajecznicą i chrupiącą bułeczką.

- W przyszłym roku wszystko będzie idealnie.

- Nie mówmy teraz o przyszłym roku - powiedziała Maisie. - Wszystko w swoim czasie, dobrze? Pomówimy o tym za rok.

W przypadku Larry'ego Glodoskiego, obrazów tego, co się stało, nie zasnuwały opary środków uspokajających, lecz piwa i to w dużych ilościach. Od dwóch i pół godziny siedział w barze Hamricka, lecz dopiero teraz zaczął czuć się nieco lepiej. Nie usiłował stłumić alkoholem wizji, której doznał na rozstajach dróg, lecz smutek wywołany odejściem zjaw. Kobiety na schodach obdarzyły go przedsmakiem rozkosznej błogości i kiedy zniknęły, miał wrażenie, że z bólu pęknie mu serce.

- Jeszcze jedno? - spytał Will Hamrick.

- Daj.

- Chcesz o tym porozmawiać?

Larry pokręcił głową.

- To wszystko nie ma zbytniego sensu - powiedział.

Will podał mu następną butelkę.

- Przedwczoraj zjawił się tu facet, który naprawdę nielecho mnie wystraszył.

- Ale jak?

- To było tuż po śmierci Mortona Cobba. Ten gość powiedział, że to lepiej, że Morton



kopnął w kalendarz, bo dzięki temu opowieść stanie się lepsza

- Opowieść stanie się lepsza?

- Taa. I nazwał mnie jeszcze... jak on to powiedział? Siewcą, właśnie tak, siewcą i dodał, że ludzie lubią słuchać naprawdę brutalnych historii... - Pogrążył się we wspomnieniach i wyrzucił obie ręce w górę. - Nie wiem, gość wyglądał mi na naprawdę szurniętego skurwiela i ten jego głos... niesamowity. Jakby facet był jakimś hipnotyzerem, czy coś w tym rodzaju.

Te słowa poruszyły czułą strunę.

- Jak wyglądał? - spytał Larry.

- Około sześćdziesiątki. Z brodą.

- Barczysty? Ubrany na czarno?

- To on - potwierdził Will. - Znasz go?

- Był tutaj dziś po południu - powiedział Larry. - Wydaje mi się że to on wszystko spieprzył.

- Ktoś powinien wspomnieć o nim Jedowi.

- Jed... - warknął Larry - nie jest w stanie zająć się nikim ani niczym. - Upił łyk piwa. - Pogadam z ludźmi z orkiestry. Niektórzy mocno się wkurzyli tym, co się dzisiaj stało.

- Bądź ostrożny, Larry - poradził Will. - Chyba nie chcesz wziąć prawa w swoje ręce? Miałbyś wtedy na karku Jeda.

Larry nachylił się nad kontuarem tak, że jego nos nieomal dotknął koniuszka nosa Willa.

- Nic mnie to nie obchodzi - powiedział bełkotliwym głosem. - Coś się dzieje w tym mieście, Hamrick, a Jed zupełnie z tym sobie nie radzi.

- A ty sobie poradzisz?

Larry sięgnął do kieszeni i rzucił na bar trzy dziesiątki.

- Poradzę sobie. I to już niebawem - rzekł, zsuwając się z barowego stołka i maszerując chwiejnym krokiem w stronę drzwi - Zadzwoń i powiem ci, kiedy będziemy gotowi, aby się za to wziąć.

W całym mieście zapanowała atmosfera względnego spokoju i normalności. W ratuszu rozgrzewali się już pierwsi uczestnicy maratonu walca. W czytelni ukończonej zaledwie dwa miesiące temu Jerry Totland, miejscowy autor, który zdobył pewną popularność pisując pod pseudonimem kryminały o akcji rozgrywającej się w Portland, przedstawiał właśnie fragmenty swego nowego dzieła. W małej włoskiej restauracyjce przy Blasemont Street

czekała kolejka dwudziestu klientów, spragnionych specjałów neapolitańskiej kuchni.

Naturalnie w mieście wrzało; pojawiły się plotki i szept na temat tego, co zatrzymało paradę dzisiejszego popołudnia i stopniowo dodawano owym wieczornym dyskusjom odważniejszych i barwniejszych komentarzy. Zwłaszcza wśród gości wyczuwało się lekki niepokój i łagodne rozbawienie, wywołane świadomością, że coś nie wyszło. Coś się nie udało. Będą mieli o czym opowiadać, kiedy wrócą do siebie! To ci dopiero historia! Ale wszystkich ubawią opowieścią o tym, jak Everville, cierpiące na przerost ambicji, pośliznęło się na mydle i wyrznęło z hukiem na pysk!

## 2

Po koszmarach popołudnia Erwin nie bardzo wiedział, co ma ze sobą począć. Za jednym zamachem stracił wszystkich przyjaciół, co do jednego, jakby otruto ich arszenikiem podczas wspólnego obiadu.

Nie pojmował w pełni, co wydarzyło się na Rozstajach, i w gruncie rzeczy wcale nie chciał tego wiedzieć. Śmierć objawiła mu się ostatnimi czasy na wiele dziwacznych sposobów i szybko nauczył się przechodzić do porządku dziennego nad wydarzeniami, ale to zdecydowanie go przerosło. Błądził po ulicach przez kilka godzin jak zagubiony pies, szukając miejsca, gdzie mógłby usiąść i posłuchać rozmowy, której treść nie przypominałaby mu o własnych lękach. Wszędzie jednak, gdzie nie spojrzał, natykał się na ludzi szepczących o rzeczach, które przyprawiały go o trwogę.

Niewiele rozmów otwarcie dotyczyło wydarzeń minionego popołudnia, ale - o czym był przekonany - wszystkie były nimi zainspirowane. z jakiego innego powodu ludzie tej nocy wyznawali swe grzechy tym, których kochali, błagając o wybaczenie lub choćby zrozumienie? Dziś poczuli smak własnej śmiertelności i to rozwiązało im języki. Erwin przechodził z jednego miejsca do drugiego, bezskutecznie szukając ukojenia, i gdy go nie znalazł, o zmierzchu wrócił do jedyne miejsce, gdzie, jak wiedział, mógł liczyć na odrobinę ciszy i spokoju - na cmentarz.

Słońce zachodziło, a on krążył między grobami, odczytując epitafia i wspominając wypadki, które doprowadziły go do tego żalnego stanu. Cóż uczynił, że sobie na to zasłużył? Pragnął jedynie odrobiny sławy. Czy to taki wielki grzech? Od kiedy skazywano za to na wieczne potępienie? A może zbłądził, ponieważ zbyt głęboko zaczął grzebać się w tajemnicach, które powinny pozostać zapomniane? To również nie było grzechem, a w każdym razie nic o tym nie wiedział. Miał po prostu pecha.

W końcu Erwin przysiadł przy grobie, gdzie po raz pierwszy spotkał Nordhoffa i pozostałych. Wzrok jego padł na płytę tuż obok; przeczytał głośno umieszczoną tam inskrypcję:

*W co Tomasz wątpił, wierzę ja,  
że się przed śmiercią uciec da.  
I że po zgonie wstanę znów,  
by poczuć cudny zapach mchów  
i wiatru, co od morza gna.  
Jednakże kruchą wiara ma;  
zniszczyć ją mogą wszyscy ci,  
co zaślepieni są i źli.  
Przed tymi, Panie, ustrzeż mnie  
I nie daj z nimi zetknąć się.  
Uchroń mnie, Boże, od kłopotów  
I dzieci Tomaszowego miotu.*

Prostota i wymowa tych słów głęboko poruszyła Erwina. Kiedy kończył czytać, jego głos stał się drżący, a z oczu pociekły łzy. Ukrył twarz w dłoniach i zakołysał się w przód i w tył, nie mogąc przestać szlochać. Jakiż sens wierzyć w życie po śmierci i łudzić się tą nadzieją, skoro wszystko sprowadza się jedynie do tej pustej, beznadziejnej egzystencji? To nie do zniesienia!

- Aż taki kiepski ten wiersz? - rozległ się głos gdzieś w górze. Erwin obejrzał się przez ramię. Drzewo u kresu lata wyglądało doprawdy pięknie, gałęzie pokryte były gęstym listowiem, ale zauważył kogoś, kto ukrył się wśród konarów.

- Pokaż się! - powiedział.

- Lepiej nie - padła odpowiedź. - Dawno temu nauczyłem się, że korony drzew gwarantują bezpieczeństwo.

- Nie żartuj sobie! - fuknął Erwin.

- W czym problem?

- Chciałbym wrócić do mego świata.

- Ach, więc o to chodzi - rzekł ów ktoś na drzewie. - Ja ci nie pomogę, bo nie mogę, więc nie łam sobie serca tym pragnieniem.

Korona drzewa zatrzęsała się, gdy nieznajomy zmienił pozycję.

- Oni odeszli, prawda? - zapytał.

- Kto?

- Ci głupcy, którzy zbierali się tutaj. Nordhoff, Dolan (to drugie nazwisko wyrzucił z siebie gwałtownie, jak splunięcie albo przekleństwo) i pozostali. Zszedłem z góry, aby załatwić parę zaległych spraw z tamtymi, ale nie widzę ich ani nie czuję...

- Nie?

- Nie. Widzę tylko ciebie. Gdzie się wszyscy podziali?

- Trudno to wytłumaczyć - odrzekł Erwin.

- Postaraj się.

Zrobił to. Opowiedział o wszystkim, co widział i czuł na skrzyżowaniu, mimo iż jego prawnicze słownictwo z trudem sprostało temu zadaniu. Stwierdził, że dzięki temu poczuł się znacznie lepiej. Ulżyło mu. To było dobre uczucie.

- A zatem tamci wszyscy zostali wessani w Rozstaje, tak?

- Tak to wyglądało - potwierdził Erwin. - Czytałem wyznanie...

- Czyje?

- Niejakiego McPhersona.

Tamten wydał groźne warknięcie, na dźwięk którego Erwin zadygotał.

- Nie wymawiaj tego nazwiska! - ostrzegł.

- Dlaczego?

- Bo nie, i już! - ryknął tamten. - Nie chodzi mi tu o zbrodnie, których dopuścił się ten człowiek. Na Harmon's Heights miał miejsce jeszcze jeden mord, masakra dokonana dzień wcześniej, zanim jeszcze Wyżyna i sama góra otrzymały swoje nazwy. Długo czekałem, by ujrzeć skutki owego wydarzenia.

- Kim jesteś? - spytał Erwin. - Czemu się ukrywasz?

- Wydaje mi się, że dość masz już osobliwości jak na jeden dzień - odrzekł nieznajomy.

- Po co miałbym pokazywać ci, jak wyglądam. Tego mogłoby już być dla ciebie zbyt wiele.

- Jakoś wytrzymam - zapewnił go Erwin. - Pokaż się.

Przez chwilę w koronie drzewa panowała zupełna cisza. Wreszcie mężczyzna odezwał się: - Jak sobie życzysz.

Liście zaszeleściły, kiedy przesuwał się wśród gałęzi, aby Erwin mógł go zobaczyć. Nie wyglądał zbyt dziwnie. Jego ciało zdobily co prawda blizny i miał w sobie coś z dzikiego zwierzęcia, ale ogólnie wyglądał jak człowiek.

- Oto jestem - rzekł, zsuwając się z drzewa - Teraz już mnie widzisz.

- Miło mi... cię poznać - powiedział Erwin. - Obawiałem się, że zostanę tu całkiem sam.

- Jak się nazywasz?

- Erwin Toothaker. A ty?

Tajemnicza bestia lekko uniosła głowę.

- Cieszę się, że mogę cię poznać - powiedziała. - Nazywam się Coker Ammiano.

**Część szósta**  
**Wielki schemat**

# Rozdział I

## 1

Godzinę zajęło Musnakaffowi przygotowanie jego Pani do wyprawy po chłodnych ulicach Liverpoolu, Phoebe zaś otrzymała pozwolenie na zwiedzenie w tym czasie domu.

Okazało się to melancholijną wędrówką. Pokoje były w większości wspaniale urządzone, łóżka wielkie i kuszące, łazienki zdecydowanie dekadentkie, ale na każdym meblu, na każdej powierzchni zalegał kurz, a okna pokrywały odchody mew, jawne oznaki, iż miejsce to najlepsze czasy miało już za sobą. Nigdzie nie widziało się śladów ludzi, którzy mieszkali w tym domu, którzy z jego okien podziwiali widoki lub składali głowy na tych grubych, miękkich poduszkach. Phoebe zastanawiała się czy ci ludzie śnili. A jeżeli tak, to o czym? O świecie, z którego przybyła? Z początku bawiła ją myśl, że ludzie mieszkający w tych pełnych przepychu pokojach mogli tęsknić za Kosmosem, tak jak ona marzyła w duchu o nieosiągalnym miejscu ze snów. Im dłużej jednak o tym myślała, tym bardziej wszystko wydawało jej się melancholijne; ludzie po obu stronach Drzwi, owego Wielkiego Przedziału byli niezadowoleni ze swego losu, pragnąc akurat tego, co otrzymali mieszkańcy sąsiedniej domeny.

Stwierdziła, że jeżeli dotrze cało do kresu podróży, wróci do Everville, będzie żyć pełnią życia, smakować jak należy, dogłębnie i całkowicie, każdą daną jej chwilę, każde doznanie, nie tracąc ani sekundy na płonne marzenia o odległych, nieosiągalnych wspaniałościach.

Wychodząc z jednej z sypialni, przejrzała się w wielkim zwierciadle i powiedziała na głos:

- Ciesz się tym, póki możesz. Raduj się każdą chwilą.

- Co mówisz? - spytał Musnakaff, wyłaniając się z korytarza.

Zdeprimowało ją nieco, że została tak przyłapana.

- Od jak dawna mnie obserwujesz? - spytała.

- Kilka chwil. Pięknie wyglądasz, Phoebe Cobb. Masz w sobie muzykę.

- Słoń mi na ucho nadepnął - ucięła dość obcesowo. - Nie jestem muzykalna.

- Jest muzyka i muzyka - wyjaśnił Musnakaff. - Twój duch śpiewa, choć nawet twoje usta milczą. Kiedy patrzę na twoje piersi, słyszę bębny i chóry, gdy wyobrażam sobie ciebie

nagą.

Spiorunowała go spojrzeniem, którym bezlitośnie osadzała dokuczliwych pacjentów, ale nie osiągnęła pożądanego rezultatu. Musnakaff uśmiechnął się do niej, aż ozdoby na jego policzkach zadźwięczały.

- Bez urazy - powiedział. - W tym domu zawsze swobodnie mówiło się o takich sprawach.

- Wobec tego ja również wyrażę się otwarcie - oznajmiła Phoebe. - Nie życzę sobie, abyś mnie podglądał, i niezależnie czy słyszysz przy tym bębny czy nie, wolałabym, żebyś nie gapił się na moje piersi.

- Nie lubisz swoich piersi?

- To sprawa między nimi a mną - ucięła Phoebe, uświadamiając sobie poniewczasie, jak absurdalnie musiały zabrzmieć jej słowa.

Musnakaff wybuchnął śmiechem i Phoebe, chcąc nie chcąc, uśmiechnęła się leciutko, na co zarechotał jeszcze głośniej.

- Powiem to jeszcze raz - rzekł. - Ten dom widział wiele pięknych kobiet, ale ty należysz do najbardziej urodziwych spośród nich, jesteś jedną z najpiękniejszych.

Wypowiedział te słowa z taką szczerością i przekonaniem, że poczuła się mile połączona komplementami.

- Dziękuję - wykrztusiła niepewnie.

- Cała przyjemność po mojej stronie - oznajmił dwornie Musnakaff. A teraz, jeżeli jesteś gotowa... właśnie przybyli tragarze mojej Pani. Chyba już czas, abyśmy wyruszyli w drogę.

## 2

Po półgodzinie marszu do b'Kether Sabbath Joe stracił resztki współczucia dla uciekinierów zmierzających w przeciwnym kierunku. W tym czasie był świadkiem niezliczonych aktów bezgranicznego okrucieństwa. Widział dzieci niosące bagaże dużo cięższe aniżeli ich rodzice; chłostane batami, maltretowane zwierzęta, doprowadzane biciem do wściekłości. bogaczy na grzbietach zwierząt przypominających wielbłądy, tratujących bez litości nieszczęśników, którzy stanęli im na drodze. Innymi słowy to wszystko, czego mógł spodziewać się w Kosmosie.

Kiedy jednak ów żalony spektakl zaczął go nużyć i drażnić, Joe skoncentrował się wyłącznie na odległym mieście i widok ten tchnął nowe siły w jego umęczone ciało. Ludzie



żyjący w b'Kether Sabbat byli równie prości, małostkowi i barbarzyńscy jak mieszkańcy pierwszego lepszego z ziemskich miast, ale miejsce, które opuszczali, nie miało sobie równego w kosmicznej domenie.

Fala Iadów chwiała się i burzyła, lecz nie przybliżała się bardziej. Wisiała po prostu nad miastem niczym ogromna bestia, urzeczona czymś, co znajdowało się w jego cieniu. Joe miał nadzieję, że zdoła dotrzeć do metropolii, przejść po ulicach i wspiąć się na kilka wieżyc, zanim zainteresowanie Iadów osłabnie i wymierzą miastu *coup de grace*.

Kiedy znalazł się w odległości ćwierć mili od najbliższego z Iadów - miasto wznosiło się przed nim niczym odwrócona góra - usłyszał piskliwy okrzyk, przebijający się poprzez hałas. Szara jak popiół istota jęła przedzierać się przez tłum i zastąpiła mu drogę.

- Afrique! - zawołał nieznajomy. - Afrique! Ty żyjesz! - Położył dłonie o palcach połączonych błoną na piersi Joego.

- Nie poznajesz mnie, prawda?

- Nie. A powinienem?

- Byłem wraz z tobą na statku - wyjaśnił i Joe w tej samej chwili go rozpoznał. Był to jeden z załogantów, których Noe skaptował na pokład „Fanacapana” - barczysty, ogorzały mężczyzna o oślizgłych, ropuszych rysach. Jednakże teraz, kiedy znów był sobą, jego zachowanie przeczyło wyglądowi. Miał szybkie, energiczne ruchy.

- Nazywam się Weksel Fee, Afrique - rzekł, uśmiechając się promiennie. - Cieszę się, że cię widzę. Bardzo, bardzo się cieszę.

- Nie rozumiem, czemu - zdziwił się Joe. - Byliście traktowani jak psy.

- Słyszałem, co powiedziałaś Noemu Summie Summamentisowi. Próbowaleś coś dla nas zrobić. Nie twoja wina, że się nie udało.

- Obawiam się, że niestety tak - odpowiedział z goryczą Joe. - Gdzie są pozostali?

- Nie żyją.

- Wszyscy?

- Wszyscy.

- Przykro mi.

- Daruj sobie. Nie byli moimi przyjaciółmi.

- Dlaczego oni umarli, a ty nie? Noe powiedział, że kiedy z wami skończy...

- Wiem, co powiedział, ja również to słyszałem. Mam dobry słuch. I silną wolę. Nie zamierzałem umierać.

- A więc słyszałeś wszystko, ale nie mogłeś działać wedle własnej woli?

- Właśnie. Gdybym spróbował, zapanowałby nade mną bez reszty.

- Zatem cierpiałeś.

- O tak, cierpiałem, i to bardzo. - Fee pokazał Joemu prawą rękę: dwa z sześciu palców zmieniły się w upiorne, zdeformowane kikuty. - I po przebudzeniu z radością zabiłbym tego człowieka.

- Dlaczego tego nie zrobiłeś?

- On jest potężny, Afrique, właśnie wrócił do b'Kether Sabbat. Ja natomiast znajduję się bardzo daleko od domu. - Przeniósł wzrok ponad ramieniem Joego, w stronę morza.

- Statków już nie ma, Weksel.

- A co z „Fanacapanem?”

- Zatonął.

Mężczyzna przyjął tę informację filozoficznie.

- Ach. No cóż, może nie po to przeżyłem innych, aby wrócić w rodzinne strony. - Uśmiechnął się. Był to pierwszy uśmiech, jaki ujrzał Joe, odkąd wyruszył w tę smutną podróż. - Może próbowałem ponownie spotkać się z tobą, Afrique.

- Mam na imię Joe.

- Słyszałem, jak mój wróg zwracał się do ciebie tym imieniem - odrzekł Fee. - Dlatego będę cię nazywał Afrique.

Joemu niezbyt przypadło do gustu nowe „imię”, lecz nie była to odpowiednia pora, by przejmować się takimi drobiazgami.

- I wrócę z tobą do b'Kether Sabbat, dobrze?

- Z przyjemnością przyjmę twoje towarzystwo w podróży - oznajmił Joe. - Powiedz mi tylko, dlaczego chcesz pójść tam ze mną?

- Bo nie ma już statków. Bo odnalazłem cię w tłumie dziesięciu tysięcy dusz. I może dlatego, że jesteś w stanie dokonać tego, czego ja nie zdołałbym uczynić.

- Zabić Noego.

- Wyjąłeś mi to z ust, Afrique. Wyjąłeś mi to z ust.

Orszak schodzący w dół stromego wzgórza z domu przy Canning Street liczył dziewięć osób. Phoebe i Musnakaff szli pieszo, Maeve O'Connell zaś podróżowała na wytornym tronie niesionym przez czterech postawnych mężczyzn, do tego zaś doliczyć należy jeszcze dwa uzbrojone po zęby indywidua, jedno na czele, drugie zaś, zamykające pochód. Kiedy Phoebe napomknęła o tym Musnakaffowi, ten odrzekł krótko:

- Czasy są niebezpieczne. Kto wie co zostało uwolnione? - i nie była to nader uspokajająca odpowiedź.

- Chciałabym, abyś szła obok mnie - odezwała się Maeve, gdy wyruszyli w drogę. - Już czas, abyś dotrzymała swojej części umowy. Opowiedz mi o Kosmosie. Nie, zapomnij o Kosmosie. Opowiedz o moim mieście.

- Najpierw - zaczęła Phoebe - chciałabym zadać jedno pytanie.

- Jakie?

- Dlaczego wyśniła pani to miasto, zamiast kolejnego Everville?

- W Liverpoolu przeżyłam swoje dzieciństwo, byłam mała, pełna nadziei, zapamiętałam je w samych superlatywach. Z Everville tak nie było.

- Ale mimo to chce pani wiedzieć, co się z nim stało - zauważyła Phoebe.

- Chcę. A teraz opowiadaj.

Nie wiedząc, jakie aspekty życia evervillan mogły najbardziej interesować tę kobietę, Phoebe zaczęła od ogólnego skrótu najciekawszych jej zdaniem spraw związanych z miastem. Opowiedziała o festynie, kłopotach z pocztą, czytelni bibliotecznej, Jedzie Gilhollym, restauracjach przy Main, Kitty's Diner, Starej Szkole i znajdujących się tam zbiorach, kłopotach z systemem miejskich kanalizacji.

- Wróc, wróc - przerwała jej Maeve. - Zaczekaj. Cofnij się odrobinę. Mówiłaś o zbiorach w gmachu Starej Szkoły.

- Tak...

- Te zbiory dotyczą Everville, czy tak?

- Zgadza się.

- Znasz tę kolekcję?

- Nie mogę powiedzieć, że...

- A mimo to nie wiedziałaś, kim jestem - zauważyła Maeve, jeszcze bledsza niż do tej pory. - To dziwne. - Phoebe nadal milczała. - Powiedz mi, co mówią na temat założenia Everville?

- Nie pamiętam dokładnie - odparła Phoebe.

Nagle mężczyzna idący na przedzie zakrzyknął:

- Stać! Zatrzymać się, wszyscy!

Orszak stanął. Pani wychyliła się z fotela i gestem przywołała Phoebe do siebie.

- Posłuchaj, kobieto - powiedziała. - Wydawało mi się, że zawarłyśmy pewien układ.

- Zgadza się.

- Czemu więc nie chcesz powiedzieć mi prawdy? Czemu, pytam?

- Ja... nie chcę ranić pani uczuć - odrzekła Phoebe.

- Święta Matko, Matko Boska, wycierpiałam już tyle, że... - przerwała i lekko odchyliła kołnierz szaty. Musnakaff chciał przestrzec ją, że może się przeziębic, ale potraktowała go tak zjadliwym spojrzeniem, że natychmiast zamilkł. - Spójrz na to - rzuciła do Phoebe, odsłaniając szyję. Na skórze widniała gruba pręga.

- Wiesz co to jest?

- Wygląda, jakby... jakby ktoś próbował panią powiesić.

- Próbowali i udało się im. Zostawili mnie, powieszoną na drzewie, wraz z moim mężem i dzieckiem.

Usłyszawszy to, Phoebe przeżyła szok..

- Dlaczego? - zapytała.

- Ponieważ nas nienawidzili i chcieli się pozbyć - odrzekła Maeve. - Musnakaff! Zapnij mnie!

Sługa natychmiast wziął się do dzieła, Maeve zaś kontynuowała opowieść. - Miałam bardzo dziwne, zgorzkniałe dziecko - powiedziała - które nie kochało absolutnie nikogo i niczego. Na pewno nie mnie ani swego ojca. W miarę upływu lat w sercach ludzi mieszkających w okolicy zrodziła się nienawiść do mego dziecka. Nie znosili go i gdy tylko nadarzyła się okazja, zlinczowali je. Powiesili również mego nieszczęsnego męża. Bo, rozumiesz, Coker nie pochodził z Kosmosu. Przybył tu dla mnie i stał się bardziej ludzki niż ludzie, ale oni wciąż wyczuwali w nim coś, co się im nie podobało. Co się zaś tyczy mnie... - Odwróciła wzrok od Phoebe i spojrzała w dół wzgórza.

- Co się zaś tyczy pani? - powtórzyła Phoebe.

- Byłam tym, o czym chcieli zapomnieć. Byłam tam od samego początku - nie, to nie tak - byłam samym początkiem. Byłam Everville do tego stopnia, jakby zbudowano je z moich własnych kości. A to nie bardzo odpowiadało Brawleyom, Gilhollym, Hendersonom i wielu, wielu innym ważniejszym rodzinom. Po prostu nie chcieli o tym pamiętać.

- I dlatego cię zamordowali? Z tego właśnie powodu?

- Przymknęli oko na ten lincz, a raczej powiedziałabym, na to morderstwo.

- Dlaczego nie jesteś martwa?

- Bo gałąź się złamała. Ot i wszystko. Mój słodki, kochany mąż nie miał tyle szczęścia. Jego konar był gruby i zanim odzyskałam przytomność, Coker był już zimny.

- To straszne.

- Nigdy nikogo tak nie kochałam jak jego - wyznała Maeve.

Kiedy to powiedziała, Phoebe poczuła delikatne drżenie gruntu pod stopami. Musnakaff

najwyraźniej także to odczuł. Odwrócił się z niepokojem do swojej władczyni.

- Może lepiej byłoby tego nie mówić - zauważył. - A przynajmniej nie na otwartym terenie.

- Bogać tam - mruknęła Maeve. - On nie ośmieliłby się mnie tknąć. A już na pewno nie za coś, co, jak wie, jest szczerą prawdą.

Ta wymiana zdań zdumiała Phoebe, ale nie powstrzymała jej przed zadaniem kolejnych pytań.

- A co z twoim synem? Co się z nim stało?

- Jego ciało porwały dzikie zwierzęta. Śmiem twierdzić, że nasyciły się nim bardziej, niż gdyby dostały Cokera albo mnie. - Zamyśliła się przez chwilę. - To straszne, gdy mówisz o swym własnym potomku, krwi z twojej krwi, niemniej faktem jest, że mój syn tak czy inaczej nie pożyłby długo na tym świecie.

- Był chory?

- Na głowę. I z sercem też miał coś nie w porządku. Coś się w nim wzburzyło, kiedy był mały, i przez dłuższy czas sądziłam, że jest nedorozwinięty. Ale on miał w sobie jakieś zło. Okropne zło. Dobrze się stało, że nie żyje. - Spojrzała ze smutkiem na Phoebe. - Masz dzieci? - zapytała.

- Nie.

- Masz szczęście - podsumowała Maeve. Porzuciła nagle melancholijny ton i ruchem ręki odprowadzając Phoebe zawołała: - Ruszać się, naprzód! - do tragarzy, po czym orszak ruszył dalej w dół z boczka.

Stan morza snów znacznie się zmienił w czasie, który Phoebe spędziła jako gość w domu Maeve. Statki nie kotwiczyły już spokojnie w zatoce, lecz kołysały się i miały na uwieży jak ogarnięte paniką rumaki. Ognie płonące u wejścia do portu ugasiły rozszalałe fale, które wciąż przybierały na sile.

- Dochodzę do wniosku, że nie zdołam dotrzymać swojej części umowy - powiedziała Pani, kiedy pokonali z boczka i znaleźli się na płaskim gruncie.

- A to dlaczego? - spytała Phoebe.

- Zrób użytek z oczu - odrzekła Maeve, wskazując w dół, na plażę, gdzie fale przyboju miały już trzy do czterech metrów wysokości. - Nie zamierzam mówić wszystkiego, gdy na dole jest tyle 'shu.

- Kim są 'shu?

- Powiedz jej - poleciła Musnakaffowi. - A wy postawcie mnie na ziemi. - Orszak znowu się zatrzymał. - Pomóżcie mi z tego zejść - zażądała. Tragarze natychmiast

pospieszyli, by wypełnić polecenie.

- Potrzebujesz pomocy? - spytał Musnakaff.

- Jeżeli zajdzie taka potrzeba, poproszę o nią - oświadczyła starucha. - Tymczasem udziel wyjaśnień tej kobiecie, choć Bóg jeden wie, że jest już za późno.

- Powiedz, kim są 'shu - poprosiła Phoebe Musnakaffa.

- Nie kim, ale czym - poprawił ją, kierując wzrok ku swej Pani. - Co ona wyprawia?

- Kontynuujmy rozmowę - naciskała Phoebe.

- Jeszcze zrobi sobie krzywdę.

- Komuś stanie się tu krzywdą, i to z mojej ręki, jeżeli nie skończysz mówić tego, co zacząłeś. 'Shu...

- To duchowi przewodnicy, eteryczne istoty. Fragmenty Stwórcy. A może nie. To wszystko. Zadowolona? - Już miał podejść do swej Pani, lecz Phoebe przytrzymała go za rękę.

- Nie - mruknęła. - Nie jestem zadowolona.

- Puść mnie! - warknął gniewnie.

- Nie puszczę.

- Ostrzegam cię! - rzucił, grożąc jej palcem. - Mam dużo ważniejsze sprawy, niż... - Na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania. - Poczułaś to?

- Masz na myśli drgania? Tak, kilka minut temu. Jakby lekkie trzęsienie ziemi.

- Chciałbym, aby to było tylko trzęsienie - powiedział Musnakaff. Wpatrywał się w ziemię pomiędzy nimi. Nastąpiły kolejne drgania, tym razem silniejsze.

- Wobec tego, co to jest? - spytała Phoebe, zapominając o niedawnej złości.

Nie otrzymała odpowiedzi. Mężczyzna po prostu odwrócił się do niej plecami i pospieszył do miejsca, gdzie na bruku stała jego Pani - Maeve. Nie była do tego zdolna bez pomocy. Podpierało ją dwóch tragarzy, a trzeci czekał z tyłu, na wypadek, gdyby zachwiała się niebezpiecznie i mogła upaść.

- Musimy ruszać! - zawołał do niej Musnakaff.

- Czy wiesz, co stało się w tym miejscu? - zwróciła się do niego Maeve.

- Pani...

- Wiesz?

- Nie.

- Tu właśnie stałam, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. - Uśmiechnęła się radośnie.

- Powiedziałam mu to, już na samym początku, powiedziałam. Nikt nigdy nie zdoła zastąpić Cokera, ponieważ Coker był miłością mego życia.

W tej samej chwili ziemia zatrzęsła się jeszcze potężniej.

- Ucisz się - rzekł Musnakaff.

- Co? - zirytowała się Maeve. - Uciszasz mnie? Powinnam cię za to obić! - Uniosła laskę i zamachnęła się na mężczyznę. Cios nie dosięgnął celu, a Maeve straciła równowagę. Tragarze mogli ją podtrzymać, ale ich władczynię ogarnęła prawdziwa furia i nawet padając wymachiwała opętańczo laską na wszystkie strony. Cios dosięgnął tragarza po prawej stronie i mężczyzna runął na ziemię z rozbitym, krwawiącym nosem. Drugi, który czuwał z tyłu, postąpił naprzód, aby złapać Maeve, a ona jeszcze raz spróbowała trafić Musnakaffa. Tym razem jej się udało, a cios był tak silny, że laska pękła na kawałki. Maeve upadła, pociągając za sobą tragarza z lewej strony, który nie puścił jej jednak ani na chwilę.

Gruba warstwa odzienia, które miała na sobie Pani, znacznie złagodziła jej upadek, ale w tej samej chwili nastąpił kolejny wstrząs. Tym razem jednak drżenie gruntu nie ustało. Wręcz przeciwnie, nasiliło się, przewracając pusty tron i jednego z członków świty władczyni.

- Niech cię licho, kobieto! - warknął Musnakaff do Maeve, podchodząc, by pomóc jej wstać. - I popatrz tylko, czego narobiłaś.

- Co się dzieje? - zawołała Phoebe.

- To on! - odrzekł Musnakaff. - Usłyszał ją! Wiedziałem, że tak będzie.

- Król Teksas?

Zanim Musnakaff zdążył odpowiedzieć, cała ulica zatrzęsła się nagle i tym razem w ziemi utworzyły się głębokie szczeliny. Nie przypominały owych drobnych pęknięć, jak te, które Phoebe przeskakiwała na Harmon's Heights. Nie było w nich nic niezwykłego, nic przypadkowego. Miały elegancki, zgrabny kształt rzeźbionych w bruku arabesek, i wciąż dołączały do nich nowe, tak że w przeciągu kilku chwil cała ulica wyglądała jak ogromna układanka-wycinanka.

- Niech nikt się nie rusza! - rozkazał Musnakaff drżącym głosem. - Niech wszyscy zostaną na swoich miejscach. - Phoebe zastosowała się do polecenia. - Powiedz, że go przepraszasz! - zawołał Musnakaff do Maeve. - Szybko!

Z pomocą dwóch przytomnych tragarzy kobieta podniosła się na kolana.

- Nie mam go za co przepraszać - oświadczyła Maeve.

- Boże, ależ z ciebie uparta kobieta! - ryknął Musnakaff i uniosł rękę, jakby chciał uderzyć Panią.

- Nie! - zawołała Phoebe. W ciągu ostatniej półgodziny straciła cierpliwość do Maeve, ale świadomość, że ta kobieta mogła zostać pobita, przywiodła jej na myśl kolejne

wspomnienia.

Ledwie to powiedziała, kiedy spękany grunt zadrżał ponownie i kolejne kawałki układanki odpadły, pozostawiając po sobie liczne szczeliny. Bijący stamtąd chłód sprawił, że lodowate powietrze w porównaniu z nim wydawało się wręcz parne.

- A nie mówiłem! - mruknął ochryple Musnakaff.

Phoebe wodziła wzrokiem od jednego otworu do drugiego, zastanawiając się, z którego z nich wyłoni się usychający z miłości Król Teksas.

- Nie powinniśmy byli... w ogóle... tu... przychodzić - mamrotała Maeve. - To ty mnie do tego namówiłaś! - wskazała palcem Phoebe. - Jesteś z nim w zмовie, prawda? - Zaczęła się podnosić, korzystając przy tym z pomocy tragarzy. - Przyznaj się - warknęła, wypluwając słowa wraz z kropelkami śliny. - No dalej, powiedz to!

- Jesteś szalona - fuknęła Phoebe. - Wszyscy jesteście szaleni.

- Oto kobieta, która wie, co mówi - dobiegł głos z ziemi i z każdego z otworów uniosły się kolumny wirującego pyłu, które w ciągu zaledwie kilku sekund osiągnęły wysokość dwukrotnie przewyższającą człowieka.

Widok nie tyle był przerażający, co robił wrażenie. Phoebe, zafascynowana, odwróciła się dokoła i zobaczyła, że ze szczytów kolumn jęły wyłaniać się już odnogi przypominające szprychy koła. Wydłużały się i połączyły w górze nad ich głowami.

- Musnakaff? - spytała Phoebe. - Co się dzieje?

Odpowiedziała jej Maeve.

- Robi sobie cień - wyjaśniła, najwyraźniej nie poruszona tym widowiskiem. - Nie lubi światła, biedaczysko. Obawia się, że mogłoby go unicestwić.

- I kto to mówi! - odezwał się głos z ziemi. - Sama napisałaś książkę na ten temat, o miłości mego nieszczęsnego życia.

- Czy to miało być pochlebstwo? - spytała Pani.

- Nie... - odparł głos. - Powinnaś jedynie pamiętać, że zawsze mówię ci prawdę, nawet jeżeli ta prawda bywa niekiedy bolesna. Och, słodczy, wyglądasz staro. Nie, wróć! Wyglądasz na osamotnioną. Porzuconą. Pustą.

- To ci dopiero opinia. I skąd płyną te słowa mądrości - z dziury w ziemi! - ucięła Maeve.

Z czeluści dobiegł śmiech; był łagodny, miły i dźwięczny.

- Pokażesz się nam? - spytała Maeve. - Czy może ostatnimi czasy jesteś na to zbyt szpetny?

- Jestem taki, jaki pragnę być, moja słodka cipko-kruszyńko.



- Nie bądź wulgarny, to po pierwsze.

- Dla ciebie zostanę mnichem! Nigdy się nawet nie dotknę. Ja...

- Och, dość już tego gadania! - przerwała. - Pokażesz się wreszcie czy nie?

Nastąpiła krótka cisza. I nagle głos powiedział krótko:

- Proszę bardzo - i z jednego z otworów pomiędzy Maeve a Phoebe wypłynęła struga błotnistej materii, która, nim się jeszcze uniosła, zaczęła stygnąć, przybierając kształt człowieka. Stał odwrócony plecami do Phoebe, toteż nie mogła dostrzec jego rysów twarzy, ale sądząc po tym co ujrzała, owa istota nie była skończona, stanowiła jedynie punkt wyjścia do powstania postaci człowieka z ziemi i litej skały.

- Zadowolona? - wychrypiął stwór.

- Myślę, że jest już na to za późno - odrzekła Maeve.

- Ależ skąd, maleńka, to nieprawda. Sama wiesz, że to nieprawda. - Uniósł jedną rękę (dłoń miał wielkości łopaty do odgarniania śniegu), jakby chciał dotknąć nią Panią. Nie uczynił tego jednak, jego grube palce zatrzymały się w powietrzu, obok jej policzka. - Porzuć swe ciało - powiedział. - I przybądź, aby wraz ze mną stać się skałą. Stopimy się w jedno, maleńka. Ludzie będą żyć na naszych barkach, a my urządzimy się świetnie tam, na dole. Będzie nam ciepłutko i miło.

Phoebe, przez całą tę uwodzicielską tyradę, uważnie lustrowała twarz Maeve i zorientowała się, że musiała ona wysłuchiwać owych słów nieskończoną ilość razy.

- Nigdy już nie będziesz miała kolejnej zmarszczki - ciągnął Król Teksas. - Nigdy nie zmizerniejesz ani nie wychudniesz ze starości. Nigdy nie umrzesz. - Zabrakło mu dalszych pięknych słówek, a widząc, że jego monolog nie odniósł spodziewanego efektu, zwrócił się do Phoebe: - Pytam teraz ciebie - powiedział (tak jak przypuszczała, jego twarz została zaledwie zarysowana w glinie) - czy to naprawdę tak źle brzmi? - Jego oddech był zimny i przesycony wonią podziemnego świata. Pachniał jaskiniami, czystą wodą, istotami żyjącymi wśród mroku. To nie było nieprzyjemne. - No i jak?

Pokręciła głową.

- Nie - odparła. - Dla mnie brzmi to całkiem nieźle.

- A widzisz! - rzucił Teksas, oglądając się przez ramię na Maeve, ale niemal natychmiast powrócił wzrokiem do Phoebe. - O n a m n i e n i e r o z u m i e.

Ujrzała, że po nie do końca ukształtowanym obliczu Króla przemknął zbolęły grymas.

- Nie będziesz mieć kolejnej szansy - zwrócił się do Maeve, ale mówiąc te słowa, wciąż przyglądał się Phoebe. - Nie po tym wszystkim. Iadowie obrócą w perzynę twoje miasto, a ty zginiesz wraz z nim.

- Nie bądź tego taki pewien - odparła Pani.

- Och, dajże spokój! - powiedział Król Teksas. - Wydaje ci się, że zdołasz wrócić do interesu? - Odwrócił wielką głowę, by zerknąć na swą ukochaną.

- Czemu nie? - spytała.

- Ponieważ Iadowie nie mają żadnych uczuć. I nie mają zbyt wiele pomiędzy nogami.

- A zatem musiałeś ich widzieć?

- Śniłem o nich - rzekł Król Teksas. - Śnię o nich na okrągło.

- Śnij dalej - ucięła Maeve. - A mnie pozwól przeżyć tę resztę życia, która mi jeszcze została. Nie masz nic, czego mogłabym potrzebować.

- Och, ależ to boli! - westchnął Król Teksas. - Gdybym miał żyły, na pewno zacząłbym krwawić.

- Nie tylko żył ci brakuje - stwierdziła Maeve.

Gigantyczna postać Króla zadrżała, gdy ostrzegawczym tonem powiedział:

- Bądźcie ostrożni.

Jego słowa przeszły jednak bez echa.

- Jesteś stary i zrobiłeś się miękki jak baba.

- Miękki jak baba?! - Ulica znów się zatrzęsała. Phoebe usłyszała, jak Musnakaff mamrocze coś pod nosem i nagle zorientowała się, że była to znana również i jej modlitwa: - „Święta Mario, Matko Boża...” - Można mówić o mnie w różny sposób, nie zawsze pochlebny - ciągnął Król Teksas - ale, że jestem miękki jak baba... Z jego czaszki zaczęły wyrastać węzowe sploty, grubości ludzkiego palca. Były ich setki, wypływały z jego głowy falującymi, wijącymi się strumieniami. - Czy teraz powiesz o mnie, że jestem miękki jak baba? - zapytał gniewnie. Całe jego ciało ulegało przemianie, rozrastało się i przetwarzało. Wyszedł z otworu, skąd się wyłonił, na twardego gruntu, oddzielając się od litej skały. Stał przed Maeve jak barbarzyński, zarośnięty tytan, z jego gardła dobył się groźny warkot. - Mógłbym zabrać cię ze sobą na dół - rzucił, sięgając ręką po fragment brukowanej ulicy, tak jak ktoś mógłby unieść brzeg dywanu. - Zobacz na własne oczy, jak to jest w moich przewspaniałych ciemnościach! - i to rzekłszy, leciutko szarpnął ulicą. Musnakaff padł zbity z nóg i natychmiast zaczął zsuwać się w stronę jednego z otworów.

- Proszę, na Boga, nie! - zawołał. - Pani! Pomóż mi, błagam!

- Przestań - rzuciła ostro Maeve, jakby zwracała się do nieposłusznego dziecka. Ku zdumieniu Phoebe to jedno słowo okazało się wystarczające. Król Teksas puścił ulicę, a Musnakaff westchnął z ulgą.

- Dlaczego zawsze musimy się na koniec pokłócić? - spytał Teksas z wyrzutem w

głosie. - Powinniśmy poświęcić ten czas na wspólne wspomnianie.

- Nie mamy czego razem wspominać - odparowała Maeve.

- Nieprawda. Nieprawda. Przeżyliśmy razem wiele miłych chwil. Ty i ja. Zbudowałem dla ciebie autostradę. I port. - Maeve popatrzyła nań beznamiętnym wzrokiem. - O czym myślisz? - spytał Król Teksas przysuwając się do niej. - Powiedz mi, kwiatuszku.

Maeve wzruszyła ramionami.

- O niczym - odrzekła.

- W takim razie pozwól mi myśleć za nas oboje. Pozwól mi kochać za nas dwoje. To, co do ciebie żywię, jest silniejsze niż wszelkie uczucia pomiędzy mężczyzną a kobietą w całej długiej historii miłości. A bez tego...

- Nie rób tego! - jęknęła Maeve.

- Bez tego ogarnie mnie dojmujący smutek i żal, a ty...

- Dlaczego nie chcesz mnie posłuchać?

- Ty zostaniesz zapomniana.

Maeve zjeżyła się na te słowa.

- Zapomniana? - rzuciła gniewnie.

- Tak, zapomniana - powtórzył Teksas. - Za kilka godzin miasto przestanie istnieć. Nasza zatoka, twoje wspaniałe budynki... Machnął wielkimi rękoma, aby jeszcze bardziej podkreślić ważność swych słów. - Iadowie unicestwią to wszystko. A co się tyczy Everville...

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- To dla ciebie zbyt drażliwy temat? Zbyt bolesny? Wcale ci się nie dziwię. Byłaś tam od samego początku, a jednak oni prawie kompletnie o tobie zapomnieli.

- Przestań! - wybuchnęła Maeve. - Skończ z tym! Jezus Maria, czy ty się nigdy nie nauczysz? Nie zdołasz sprawić, abym znowu cię pokochała. Nie dokonasz tego ani prośbą, ani groźbą, ani nie weźmiesz mnie na litość. Możesz zbudować dla mnie nawet tysiąc portów! Możesz co minutę, aż do końca świata tworzyć dla mnie nowy wiersz miłosny, a ja i tak cię nie pokocham! - To rzekłszy, odwróciła się w stronę tragarza, który stał najbliżej niej. - Jak się nazywasz? - zapytała.

- Noos Cataglia.

- Plecy, Noos.

- Że co, proszę...?

- Odwróć się, chcę ci wejść na plecy.

- Ach tak. Oczywiście. - Mężczyzna posłusznie odwrócił się i przykucnął.

- Co robisz? - spytał półgłosem Król Teksas.

- Zamierzam udowodnić, że się mylisz - powiedziała Maeve chwytając swego „rumaka” za kołnierz. - Wracam do Everville.

Po raz pierwszy od kilku minut do rozmowy włączyła się Phoebe.

- Nie możesz! - zaprotestowała.

- Powiedz jej - rzekł Król Teksas. - Mnie nie posłucha.

- Obiecałaś, że pomożesz mi odnaleźć Joego - ciągnęła Phoebe.

- Obawiam się, że już po nim, Phoebe - odrzekła Pani. - Dajmy więc temu spokój. - Wydęła wargi. - Wiedz, że bardzo mi przykro - powiedziała, choć najwyraźniej słowa te z trudem przeszły jej przez usta. - Czyż nie mówiłam, że nie powinnaś pokładać całej swej wiary w miłości?

- Jeżeli nawet, to i tak ci nie uwierzyłam.

- Posłuchaj słów tej kobiety! - rzekł do Maeve Król Teksas. - Ona jest mądra! Roztropna! Ona wie!

- Jest, podobnie jak ty, ogłupiona miłością - ucięła Maeve, wodząc osłabionym już wzrokiem od Phoebe do Króla i z powrotem. - Oboje jesteście siebie warci! - Szarpnęła za kołnierz swego „rumaka”. - Ruszaj! - rozkazała.

Kiedy mężczyzna zaczął się piąć na strome zbocze, Król spojrzął na Musnakaffa, który tymczasem zdążył już pozbierać się z ziemi.

- Kobieto! - zawołał Teksas do Maeve. - Jeżeli odejdziesz, zabiję twego małego pochlebcę.

Maeve obejrzała się przez ramię.

- Nie zrobiłbyś tego. Nie jesteś aż takim łajdakiem!

- Mogę być, kim tylko zechcę! - ryknął. - A teraz wracaj! Ostrzegam cię! Wracaj natychmiast! - Na te słowa Maeve wbiła kolana w boki Cataglii. - Tylko kilka sekund dzieli go od ujrzenia nieba! - zawołał Teksas. - Ja nie żartuję!

Musnakaff jęknął żałośnie i zaczął odsuwać się od otworu, przy którym stał.

- Jesteś okrutna! - zawołał w ślad za Maeve Król Teksas. - Okrutna! Okrutna!

Najwyraźniej w tej chwili stracił resztki cierpliwości, bo pochylił się, aby ponownie szarpnąć fragmentem ulicy.

- Nie... - powiedziała Phoebe, lecz jej słowa zagłuszył wrzask Musnakaffa, który wyłożył się jak długi na ziemi. Mężczyzna rozpaczliwie chwycił palcami bruk, gdy ulica pod jego stopami stała się nagle pochyła, ale nie udało mu się znaleźć żadnego punktu zaczepienia i nieuchronnie zsuwał się w stronę otworu. Phoebe nie mogła patrzeć bezczynnie, jak sługa Maeve podąża w dół, ku niechybnej śmierci. Wołając, aby wytrzymał jeszcze trochę, pobiegła

ku niemu, wyciągając obie ręce przed siebie. Musnakaff uniósł głowę, jego poszarzałe oblicze rozjaśniła wątpa iskierka nadziei i sięgnął ręką w stronę Phoebe.

Zanim jednak zdołała go złapać, utracił ostatni punkt zaczepienia i runął w dół. Na ułamek sekundy ich spojrzenia spotkały się i Phoebe ujrzała, jak okropna była to śmierć. A potem Musnakaff zniknął, ale rozległ się jego krzyk. Długi, nie przemijający, mrozący krew w żyłach. Krzyczał i krzyczał, bez końca.

Phoebe cofnęła się od otworu, a z jej ust dobył się szloch przerażenia... i czegoś jeszcze... przybierającego na sile gniewu.

- Ciii! - powiedział Król Teksas.

Spojrzała w górę na niego. Był jedynie rozmytym kształtem, rozmazanym przez łzy w jej oczach, ale to nie przeszkodziło jej wyrzucić z siebie wszystkiego, co podpowiadał głos wzbierający w jej myślach.

- Zrobiłeś to z miłości? - zapytała.

- Obwiniasz mnie o to, co się stało? Ta kobieta...

- Właśnie zabiłeś człowieka!

- Chciałem tylko nakłonić ją, by zmieniła zdanie - tłumaczył coraz bardziej ochryplym głosem.

- Ale to ci się nie udało. Stałeś się tylko sprawcą kolejnej tragedii.

Teksas wzruszył ramionami.

- Tam na dole będzie bezpieczny. Jest tam cicho. I ciemno. - Usłyszała w jego głosie westchnienie. - W porządku. Pomyliłem się. - Phoebe pociągnęła nosem i otarła łzy z oczu. - Nie mogę sprowadzić go z powrotem - ciągnął Teksas - ale, proszę, pozwól, bym cię pocieszył.

Mówiąc te słowa uniósł wielką rękę, jakby chciał jej dotknąć. Była to ostatnia rzecz, której pragnęła Phoebe. Usiłowała odtrącić jego dłoń, ale straciła przy tym równowagę. Zamachała gwałtownie rękami, próbując ją odzyskać, lecz nagle, ni stąd, ni zowąd jedna z jej stóp znalazła się w próżni. Phoebe spojrzała w dół i ku swemu bezgranicznemu przerażeniu zobaczyła, że rozwiera się pod nią mroczna czeluść - ta sama, w której wcześniej zniknął Musnakaff.

- Pomocy! - zawołała i wyciągnęła dłoń do Króla. Jednak jego wielkie, niezdarne ciało było zbyt powolne, by mógł ją złapać. Spadała i spadała, głębiej i głębiej; pęd otarł jej z oczu resztki łez, ale chociaż wzrok Phoebe działał teraz bez zarzutu, pogrążając się w czeluściach widziała wokół siebie jedynie nieprzeniknioną, zatrważającą ciemność.

## Rozdział II

### 1

Joe i Weksel Fee wyłonili się z tuneli b'Kether Sabbat i wyszli po drabinkach na jedną z opalizujących ulic miasta. Joe zapytał swego towarzysza:

- Co właściwie znaczy b'Kether Sabbat?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Wiem tyle co i ty - odparł.

Jego niewiedza okazała się w pewien sposób pocieszająca. Najwyraźniej obaj mieli równe szanse, jeśli chodzi o zgłębianie tajemnic tego miejsca. I może tak było lepiej. Lepiej było wędrować ulicami b'Kether Sabbat bez cienia nadziei na zrozumienie tego, co rozpościerało się przed nimi i zwyczajnie, całkiem szczerze cieszyć się cudownościami owego miejsca. Tutejsze budowle wzniesiono z identycznego budulca jak w miastach amerykańskich. Widziało się tu cegły i drewno, okna i drzwi, chodniki i rynsztoki oraz latarnie. Jednakże architekci, budowniczy i cieśle postarali się, by każda płyta, każdy mur, każdy gzyms i próg były jedyne w swoim rodzaju; wynajdywali jakąś cechę, jakiś szczegół, nadający owej płycie, ścianie, progowi i gzymsowi specyficzny wygląd odróżniający je od innych. Niektóre budynki były, rzecz jasna, ogromne jak wieże, które Joe ujrzał po raz pierwszy jeszcze z brzegu, jednak nawet te umiarkowanej wysokości, stanowiące znaczną większość, wzniesiono ze starannością, czyniącą je dziełami sztuki samymi w sobie. Mimo iż na ulicach nie dostrzegało się prawie ludzi (a na niebie dostrzec można było nielicznych już skrzydlatych mieszkańców) panowała tu dziwna atmosfera, żeby nie rzec osobliwa, jakby istoty, które wzniosły to cudowne miejsce, wciąż były w nim obecne i wydawało się, że pozostaną w nim tak długo, jak długo istnieć będzie stworzone przez nie dzieło.

- Gdybym to ja brał udział w budowie tego miasta - powiedział Joe - nie opuściłbym go za żadne skarby świata.

- Nawet z ich powodu? - spytał Weksel, unosząc wzrok ku kłębiącej się ścianie Iadów.

- Zwłaszcza z ich powodu - odparł Joe. - Zatrzymał się, by przyjrzeć się nadchodzącym.

- Oni zniszczą to miasto, Afrique. I nas razem z nim.

- Nie wygląda, aby się spieszyli - mruknął Joe.

- To fakt.

- Ciekawe dlaczego?

- Nie łam sobie tym głowy - uciął Fee. - Nigdy się nie dowiemy, co dzieje się wewnątrz t e g o, Afrique. Oni nazbyt się od nas różnią.

- Nieraz mówiono to samo o mnie - odrzekł Joe. - Nie nazywano mnie co prawda Afrique, ale tak właśnie myślano.

- Czy cię uraziłem? Jeżeli tak...

- Nie, nie uraziłeś mnie. Chciałem tylko powiedzieć, że może to coś wcale nie różni się od nas tak bardzo, jak nam się wydaje.

- Nigdy nie dowiemy się, który z nas miał rację - stwierdził Weksel. - Nie będzie nam dane ujrzeć tego, co kryje się w ich wnętrzu.

Po tej wymianie zdań ruszyli dalej; szli na chybił trafił, a za każdym rogiem czekały na nich zdumiewające widoki. Na jednym z placów odkryli ogromną karuzelę obracającą się na wietrze z cichymi skrzypnięciami. Miast drewnianych koni jednak umieszczono na niej rzeźbione figury zdające się przedstawiać drogę ludzkości od stadium małpy i z powrotem, co następowało za każdym kolejnym obrotem karuzeli. Byli świadkami przebiegu pętli ewolucyjnej rozwoju i schyłku rodzaju ludzkiego. W innym miejscu napotkali setki strzelistych kolumn, na szczytach których, dość niepewnie, kołysały się figury geometryczne wykonane z metalu przypominającego miedź. Mimo iż Joe poprzysiągł sobie, że nie będzie zadawał pytań, na które nie może uzyskać odpowiedzi, zapytał głośno o dręczącą go kwestię i zdumiał się, bowiem Weksel zaspokoił jego ciekawość.

- To kształty pod naszymi powiekami - wyjaśnił. - Słyszałem, że Ketherianie uznają je za święte, ponieważ to właśnie owe figury oglądamy, gdy cały świat jest wyłączony.

- Dlaczego ktoś miałby wyłączać świat? - spytał Joe.

- Ponieważ, jeśli chcesz wybudować coś swojego, musisz to najpierw wyśnić.

- Ja już śnię będąc tutaj - odrzekł Joe. - Zgadza się?

Złożoność tego wszystkiego - przebywania na jawie w miejscu odwiedzanym przez gatunek ludzki jedynie w snach - wprawiała go od początku w zakłopotanie i wrażenie to bynajmniej nie minęło. Cała ta przygoda była więcej niż snem, Joe wiedział to - ale czy kiedy spał tużaj i śnił, wchodził w jeszcze inną rzeczywistość, poza obecną, gdzie również mógłby zasnąć i mieć senne marzenia? A może Metakosmos był drugą połową świata, który opuszczał - tą, której tak pożądał, o której marzył i śnił w chwilach najbardziej śmiałych uniesień?

- Nieroztropnie jest łamać sobie głowę tego typu zagadkami - rzekł nieco bojaźliwie Weksel. - Niejeden mędrzec szukając rozwiązania odnalazł własną zgubę.

Na tym ich rozmowa dobiegła końca i choć poszli dalej, entuzjazm i ożywienie obu znacznie osłabły. Prawie w milczeniu dotarli do mostu, który wyglądał jak zrobiony z porcelany i wznosił się łukowato nad stawem o tak spokojnej powierzchni, że lśniła niczym niemal doskonale zwierciadło. Wpatrywali się przez chwilę w błyszczącą taflę. Joe był niemal zahipnotyzowany widokiem własnej twarzy na tle kłębiącej się, gęstej ściany ładów.

- Wygląda nieźle - powiedział do Weksela. - Wygodnie. Jak poduszka.

- Można by się na tym położyć, no nie?

- Położyć się. I kochać.

- Połknęłoby cię jak nic - odrzekł Fee.

- Może to nie byłoby takie złe - zauważył Joe. - Może wewnątrz jest naprawdę cudownie.

- Na przykład?

Joe powrócił myślami do ich rozmowy przy kolumnach.

- Może śni się inny sen - rzekł.

Weksel nie powiedział ani słowa. Joe, odwróciwszy się, zobaczył, że jego towarzysz zawrócił w stronę, skąd przyszli.

- Posłuchaj! - rzucił. Dały się słyszeć stłumione okrzyki i coś, co przypominało szczęk oręża.

- Słyszysz?

- Słyszę. Chcesz tu zostać, czy zobaczyć, co się dzieje? - zapytał Weksel. On sam wybrał to drugie rozwiązanie. Właśnie zszedł z mostu.

- Idę! - zawołał Joe i w chwilę potem jego odbicie znikło z powierzchni stawu.

Wymyślna konstrukcja ulic sprawiała, że podążanie w kierunku hałasów było znacznie utrudnione. Echa i kontrecha kilkakrotnie zmyliły obu mężczyzn, ale w końcu dotarli oni do miejsca walki, której odgłosy usłyszeli jeszcze z mostu. Kiedy skręcili za róg jednego z budynków i znaleźli się na miejscu, okazało się, że jakimś sposobem, poprzez labirynt wąskich i krętych uliczek, dotarli z powrotem do placu z kolumnami, który w tym niedługim czasie, odkąd go opuścili, zmienił się w pole bitwy. Ziemia pomiędzy kolumnami usłana była ciałami, wśród których walczyli ci, co pozostali przy życiu - większość z nich uzbrojona w krótkie, przeznaczone do dźgania miecze. Walczyli nie tylko mężczyźni. Znalazło się też wiele kobiet i finezją ani brutalnością nie ustępowały one mężczyznom. Wysoko w górze kołowało, by raz po raz nękać atakami swych naziemnych przeciwników, około tuzina skrzydlatych Ketherian, których Joe miał okazję ujrzeć z bliska po raz pierwszy. Były to



kruche i wiotkie istoty, o ciałach mniej więcej sześciolatniego dziecka i chudych, pokrytych łuskami kończynach. Skrzydła mieli oni jaskrawe i barwne, głosy zaś dźwięczne i wyjątkowo donośne.

Podobnie jak wszystko inne, co Joe miał okazję ujrzeć podczas tej wędrówki, również i ta scena wzbudziła w nim mieszane uczucia. Już dawno temu całkowicie wyzbył się żądz walki, a widok rannych i umierających napawał go bezgraniczną odrazą. Jednak zaciętość i furia ludzi wprawiały go w dziwne ożywienie, jak również widok skrzydlatych Ketherian, wznoszących się na kolorowych skrzydłach na tle mrocznej ściany Iadów.

- O co oni się biją? - zawołał Joe do Fee, przekrzykując bitewny zgiełk.

- Rody Summy Summamentisa i Ezso Aetheriuma walczą ze sobą od niepamiętnych czasów - odrzekł głośno Fee. - Powodów ich waśni nikt dzisiaj już nie pamięta.

- Ktoś musi pamiętać.

- Na pewno nikt spośród nich - zauważył Fee.

- W takim razie, po co w ogóle walczą? - spytał Joe.

Weksel wzruszył ramionami.

- Może dla przyjemności? - zasugerował. - Jest tyle samo snów o wojnie, co snów o pokoju, czyż nie? To wyraz czegoś, co tkwi w naturze twego gatunku i jest dla niego koniecznością.

- Konieczność... - wyszeptał Joe, patrząc na rozgrywającą się przed nim masakrę. Jeżeli faktycznie był to wyraz ludzkiej konieczności, to być może rodzaj ludzki zagubił się gdzieś na swej drodze. - Nie chcę dłużej na to patrzeć - powiedział. - Wracam nad staw.

- Taa...?

- Możesz tu zostać, jeżeli cię to rajcuje... Ja nie zamierzam trwonić ostatnich minut życia na oglądanie zabijających się nawzajem głupców.

- Zostanę - odrzekł łamiącym się głosem Weksel.

- Wobec tego, żegnaj - powiedział Joe.

- Żegnaj - odpowiedział były niewolnik i wyciągnął do niego rękę.

Uścisnęli sobie prawice, po czym Joe ruszył z powrotem w stronę mostu, lecz nie przeszedł nawet dziesięciu kroków, kiedy z tyłu za nim rozległ się przeraźliwy krzyk. Odwróciwszy się ujrzał Weksela, który potykając się szedł niezdarnie w jego stronę, trzymając się obiema rękami za brzuch. Krew tryskała pomiędzy palców Fee, spływając po jego nogach na ziemię.

- Afrique! - wychrypiał - Afrique! On tu jest...

Joe zawrócił w stronę rannego, ale ten zatrzymał go, ostrzegając, by się nie zbliżał.

- On jest szalony, Afrique! On...

W tej samej chwili zza załomu muru za plecami Fee wyłonił się Noe. Trzymał w ręku okrwawiony krótki miecz. Jego oczy pały żądzą mordy. Czas spędzony w b'Kether Sabbat wyszedł mu na zdrowie - wyraźnie zmęźniał, jego mięśnie stały się mocniejsze.

- Joe... - rzucił radośnie, jakby nie było między nimi umierającego mężczyzny. - Domyślałem się, że to możesz być ty. - Zaciśnął dłoń na karku Weksela. - Co robisz w towarzystwie takiego śmiecia? Ma pewno więcej wszy i najpaskudniejszych choróbsk...

- Puść go! - warknął Joe.

- U c i e k a j, Afrique...

- On chyba obawia się, że zamierzam zrobić ci krzywdę - mruknął Noe.

- A masz taki zamiar?

- Nazywa cię Afrique? Czy to wyraz poufałości?

- Nie, to...

- Wobec tego to obelga, tak? - Odchylił głowę Weksela do tyłu. - Tak też myślałem. - I w tej samej chwili przyłożył ostrze miecza do szyi tamtego. Joe ruszył w ich stronę z okrzykiem cisnącym mu się na usta, ale zanim zdążył wykrztusić choć jedno słowo, Noe przeciągnął mieczem po gardle Weksela. Trysnęła krew. Noe uśmiechnął się i puścił umierającego, który bezwładnie osunął się na ziemię. - No i po krzyku - mruknął. - Nie będzie cię już obrażał.

- On mnie wcale nie obrażał! - zawołał Joe.

- No cóż, nieważne. Nie ma sprawy. Czy mam cię odtąd nazywać Afrique?

- W ogóle się do mnie nie odzywaj. Nie chcę cię więcej widzieć. Precz mi z oczu!

Noe przestąpił ciało Weksela i podszedł do Joego.

- Ale ja chcę, żebyś mi towarzyszył.

- Dokąd? I po co?

- Abym mógł dać ci to, co obiecałem - odrzekł Noe. - Kiedy ujrzałem cię po przeciwnej stronie placu, zrozumiałem, że właśnie po to tu przybyłeś. Obiecałem ci potęgę i władzę, a później gdzieś po drodze cię zgubiłem. Myślałem, że nie żyjesz, Afrique, i oto jesteś tu znowu, cały i zdrowy. Pozostaje mi przypuszczać, że nasze linie przeznaczenia są ze sobą w jakiś sposób powiązane.

- Ja tak nie uważam.

Noe stanął tuż przed nim, czubek jego miecza zawisł w powietrzu o kilka centymetrów od brzucha Joego.

- Pozwól, że ci to udowodnię - zaproponował.

- Czy nie jest już na to odrobinę za późno? - spytał Joe.

- Za późno?

- Lada moment na miasto spadną Iadowie.

- Wydaje mi się, że coś ich powstrzymuje.

- Wiesz, co to może być?

- Mam pewne podejrzenia. Będziesz mi jednak potrzebny, aby potwierdzić te przypuszczenia. - Przez chwilę przyglądał się twarzy człowieka. - To jak będzie? - spytał. - Pójdziemy jak przyjaciele, czy mam użyć silniejszych argumentów? - Machnął groźnie mieczem w jego stronę.

- Nigdy nie będziemy przyjaciółmi - oświadczył Joe. - Ale ten argument raczej nie będzie ci potrzebny. - Noe opuścił miecz. - Pójdę z tobą, ale musisz mi coś powiedzieć.

- Co tylko zechcesz.

- Obiecujesz?

- Obiecuję. Co chciałbyś wiedzieć? Co jest dla ciebie takie ważne?

W głosie tamtego pobrzmiwała miła dla ucha Joego nuta niepewności i niepokoju.

- Powiem ci w swoim czasie - odparł Joe. - A teraz może zechciałbyś mi wyjaśnić, dokąd się wybieramy.

## 2

Po drugiej stronie placu kolumn stał budynek stanowiący wzorzec ketheriańskiej estetyki. Na pierwszy rzut oka była to prosta, piętrowa budowla, ale kiedy Noe i Joe podeszli bliżej, omijając dobiegającą kresu bitwę, stało się jasne, że każdy kamień nie ozdobionych ścian obrobiono tak, by odzwierciedlić najróżniejsze oblicza szczęścia, toteż wszystkie one, na swój prosty sposób, oddawały jakąś formę doskonałości. Rezultat zapierał dech w piersiach - gmach był idealny niczym wiersz, złożony starannie wers za wersem.

Noe nie miał jednak czasu, aby podziwiać kamienie. Poprowadził Joego do prostych, zwyczajnych drzwi i tam, ująwszy go za rękę, rzekł:

- Obiecałem ci moc. Jest tam, w środku.

- Co to za miejsce?

- Świątynia.

- Czyja?

- Chyba się domyślasz.

- Zehrapushu? - spytał niepewnie Joe.

- Oczywiście. One cię lubią, Afrique. Jeśli ktokolwiek może tam wejść, to właśnie ty.

- A co jest w środku?

- Już mówiłem, moc.

- W takim razie, czemu ty tam nie wejdiesz?

- Bo nie jestem dość czysty - odrzekł Noe.

Nawet mimo ponurej sytuacji, Joe, słysząc te słowa, wybuchnął śmiechem.

- A ja niby jestem, tak?

- Jesteś Sapas Humana. Czystym Sapas Humana.

- I 'shu to lubią?

- Wydaje mi się, że tak.

- A jeśli jednak nie? - spytał Joe, podchodząc bliżej. - Co się wówczas stanie?

- Nastąpi śmierć - padła odpowiedź.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu.

Joe spojrzął na drzwi. Jak mur, w którym były osadzone, emanowały fizycznym, zapierającym dech w piersiach pięknem. Brakowało w nich tylko klamki oraz dziurki od klucza.

- Jeżeli otworzę te drzwi i nie zostanę zabity, wejdiesz tam za mną, czy tak?

- Jesteś bardzo bystry i szybki, mój przyjacielu - rzekł Noe. - Tak, dokładnie tak.

Joe ponownie spojrzął na drzwi i poczuł narastającą ciekawość, co mogło znajdować się po drugiej stronie. Dwukrotnie patrzył 'shu prosto w oczy: najpierw na brzegu, a później w morzu wodorostów, i za każdym razem czuł bliskość tajemnicy, którą rozpaczliwie usiłował zgłębić. Może teraz mu się uda. Ukrywając ożywienie i chęć działania, odwrócił się do Noego.

- Zanim tam wejdę - rzekł - odpowiedz na moje pytanie.

- Zadaj je.

- Chcę wiedzieć, o co przez tyle lat toczy się spór między tymi dwoma rodami. Powiedz, co sprawiło, że tak zawzięcie ze sobą walczą. Dlaczego mordują się między sobą?

Noe nie odpowiedział.

- Obiecałeś - naciskał go Joe.

- To prawda - przytaknął w końcu - Obiecałem.

- Wobec tego odpowiedz mi.

Noe wzruszył ramionami

- Czy to teraz istotne? - odezwał się jakby sam do siebie. - Jakże to ma jeszcze

znaczenie? Dobrze, powiem ci... - Spojrzał raz jeszcze w kierunku bitwy i znizywszy głos do szeptu, oznajmił: - Dynastia Ezso Aetheriuma wierzy, że Iadowie istnieją, ponieważ wysnili ich Sapas Humana. Że Iadowie są ciemnością zbiorowej duszy twojego gatunku.

- A twój ród?

- My uważamy na odwrót - odrzekł Noe.

Zrozumienie tego, co przed chwilą usłyszał, zajęło Joemu kilka chwil.

- Sądzicie, że to my zostaliśmy wysnieni przez Iad Uroboros?

- Tak, Afrique. Tak właśnie uważamy.

- Kto wymyślił cały ten szajs?

Noe wzruszył ramionami.

- Któż wie, skąd pochodzą słowa mądrości?

- To nie żadna mądrość - burknął Joe. - To stek bzdur. Pieprzona głupota.

- Czemu tak twierdzisz?

- Bo nie jestem snem.

- Czy gdybyś był snem, sądzisz, że wiedziałbyś o tym? - spytał Noe.

Joe nie próbował polemizować z tym stwierdzeniem. Podniósł obie ręce w górę i rzekł:

- Dobra, zróbmy to, do cholery! - po czym, odwróciwszy się do Noego plecami, napał na drzwi. Nie otworzyły się, ale też nie pozostał przed nimi. Całe jego ciało przeszył gwałtowny ból, jakby poraził go prąd i po chwili znalazł się w przesyconej dziwnym brzęczeniem ciemności wewnątrz świątyni. Odczekał aż ból ustanie, po czym rozejrzał się dokoła, poszukując Noego. W mroku za nim coś się poruszyło, ale Joe był pewien, że jest to Noe i zanim zdążył spojrzeć raz jeszcze w tę stronę, ktoś zawołał go po imieniu. Spojrzał przed siebie i ujrzał, że ciemna powierzchnia w środku pomieszczenia zafalowała i zamigotała. Światło padało w to miejsce z odległego otworu w dachu. Joe podszedł bliżej, by lepiej przyjrzeć się temu zjawisku i nagle stwierdził, że ma przed sobą sadzawkę o średnicy około pięciu metrów.

Nie wątpił, że woda pochodziła z Quiddity. Czuł charakterystyczny aromat morza snów, a na skórze lekkie mrowienie wywołane płynącą z wody energią, kiedy jednak zbliżył się do brzegu sadzawki, otrzymał jeszcze jeden dowód na ów związek. Tuż pod powierzchnią unosił się 'shu, tak duży, że ledwie mieścił się w sadzawce zwinięty w kłębek i opleciony chmarą macek, spomiędzy których łypało połyskujące złociście, ciekawskie oko. Nie patrzyło na Joego, a w każdym razie nie bezpośrednio. Stwór spoglądał w górę, poprzez dach świątyni, na skłębioną ścianę najeźdźców.

- To on powstrzymuje Iadów... - wyszeptał Joe. - Boże mój. O Boże! 'Shu

powstrzymuje Iadów. - Ledwie to powiedział, kiedy z tyłu za nim rozległ się głos Noego:

- Czy ty też to czujesz? - zapytał. - Czujesz moc tkwiącą w tym miejscu?

- O tak - odparł półgłosem Joe. Moc była tak wyczuwalna, że niemal odczuwało się ją jako fizyczną obecność.

Jego skóra pokryła się warstewką potu, a każdy siniak, rana i skaleczenie - włącznie z obrażeniami doznanymi podczas bójki z Mortonem Cobbem - zaczęły palić go żywym ogniem - ból był taki, jakby został ranny zaledwie przed paroma minutami. Mimo to chciał podejść jeszcze bliżej, by ujrzeć to samo, co widzieli Iadowie, kiedy patrzyli w majestatyczne ślepie 'shu. Postąpił jeszcze jeden krok w stronę wody, a jego ciałem wstrząsnęły gwałtowne dreszcze.

- Przemów do niego - rzekł Noe. - Powiedz mu, czego chcesz.

- Nieważne, czego my chcemy - odparł Joe. - Jesteśmy tu niczym. Rozumiesz? Jesteśmy niczym.

- Niech cię лихо, Afrique - warknął Noe; jego głos rozległ się nieco bliżej. - Wycierpiałem już swoje. - Chcę żyć w glorii chwały, kiedy przybędą Iadowie. - Zbliżył się doń jeszcze bardziej. - A teraz włóż rękę do wody...

- Zapomniałeś już o tym, jak mówiłeś, że chcesz, aby cię pochowano w twojej ojczyźnie?

- Zapomniałem, jak cudownie jest żyć. Zwłaszcza tutaj. Nie ma wspanialszego miejsca w moim czy twoim świecie aniżeli to miasto. A ja chcę być tym, kto je uzdrowi po kataklizmie. Chcę być jego obrońcą.

- Chcesz, aby stało się twoją własnością - rzekł Joe.

- Nikt mądry nie mógłby mieć na własność b'Kether Sabbat.

- Wydaje mi się, że jesteś gotów spróbować - odparował Joe.

- Cóż, to sprawa pomiędzy mną i miastem, nieprawdaż? - uciał Noe. Przysunął się jeszcze i przytknął ostrze miecza do pleców Joego. - Idź już - ponaglił. - Dotknij tej wody, dla mnie.

- A jeżeli tego nie zrobię?

- Twoje ciało dotknie tej wody, niezależnie, czy będzie w nim życie czy nie.

- 'Shu powstrzymuje Iadów.

- Bardzo możliwe.

- Jeśli zakłócimy mu spokój...

- Iadowie zrobią, co mają do zrobienia i podążą dalej. Prędzej czy później i tak to nastąpi. Jeśli dzięki tobie stanie się to wcześniej, zmienisz bieg historii i być może

zdobędziesz również ogromną moc. To nie takie straszne, prawda? - Mocniej popchnął Joego mieczem. - Po to tu przybyłeś, pamiętasz?

Pamiętał. Ból jąder przypominał mu dokładnie, dlaczego wyruszył w tę podróż - aby nigdy już nie być bezsilnym. Gdy jednak dotarł do miasta, ujrawszy przedtem to wszystko, co widział po drodze i zrozumiawszy to, co było do zrozumienia, pogoń za potęgą i mocą uznał nagle za pustą i bezsensowną. A także prymitywną. Kochał, przeżywał gorącą miłość, a nie wszyscy ludzie mieli okazję poznać jej smak. Zaznał rozkoszy fizycznej. Poznał kobietę, której uśmiech powodował, że promieniał szczęściem, której westchnienia sprawiały, że i on wzdychał i w której ramionach czuł się po prostu bosko.

Ale to już nie wróci - te uśmiechy i westchnienia. Ból wywołany owym przeświadczeniem był stokrotnie gorszy aniżeli wszystkie cierpienia fizyczne, a przecież, mimo to, życie go nie oszukało, czyż nie? Mógł teraz umrzeć bez świadomości, że zmarnował swoje życie.

- Nie chcę... mocy - powiedział do Noego.

- Kłamca - dobiegło z ciemności.

- Możesz sobie mówić, co chcesz - odrzekł Joe. - Ja wiem, jaka jest prawda i tylko to się liczy.

Te słowa wprawiły Noego w konsternację. Wydał cichy jęk i bez słowa ostrzeżenia wbił ostrze miecza w brzuch Joego.

O Boże, jak boli! Z ust Joego dobył się niezbyt głośny okrzyk bólu, który sprawił, że Noe pchnął ostrze głębiej. A potem przekręcił je i wyszarpnął. Joe nie łudził się, że zdoła odplacić swemu zabójcy pięknym za nadobne. Bądź co bądź, sam się o to prosił. Przyłożył obie ręce do rany - gorąca krew buchała mu pomiędzy palców, ściekała na ziemię u jego stóp - po czym próbował odwrócić się do Noego plecami. Ciemność zaczęła słabnąć - na obrzeżach jego pola widzenia pojawiły się szarawe plamy. Joe chciał jednak jeszcze raz, już ostatni przed śmiercią, spojrzeć na 'shu. Napotkać jego złote spojrzenie...

Odwracał się z wolna, z całych sił przyciskając obie ręce do rany. Wciąż jeszcze czuł ból, ale owo dojmujące dotąd uczucie z każdym kolejnym uderzeniem jego serca traciło na sile. Zostało mu niewiele czasu.

- Trzymaj się... wymamrotał do siebie.

Kątem oka widział już ślepie 'shu - było ogromne. Złociste koło z czarną otoczką tak piękne w swej doskonałości i prostocie. Okrągłe i wypukłe, połyskujące złotawo, nieprzerwane, nieskalane, wspaniałe, idealne, chwalebne, dostojne...

Poczuł, jak coś przemieszcza się w jego głowie, jak gdyby jął osuwać się ku złotemu

kręgowi.

Dalej, dalej...

Och tak, to takie wspaniałe uczucie. Skończył już ze swoim rannym ciałem, skończył z sińcami i krwawiącymi jądrami, skończył z Joem.

Poczuł, że pada, a kiedy to nastąpiło - w momencie, gdy wypłynęło zeń życie - runął wprost w krąg oka 'shu. Zaznał wówczas chwili niewypowiedzianego wytchnienia - moment ów przepełniony był tak wielkim dostojenstwem i spokojem, że w zapomnienie poszły wszelkie cierpienia i ból, jakich zaznał podczas swej wędrówki tutaj i w minionych latach. Skończył się strach, dezorientacja i niewiedza. Z absolutną jasnością i przejrzystością Joe pojął, co się z nim stało. Umarł na skraju sadzawki, a jego dusza wpadła w głąb oka Zehrapushu.

Tam pozostała przez jedną błogą chwilę zapomnienia, wewnątrz złocistego kręgu. Po chwili zaś uniosła się w górę, coraz wyżej i wyżej, tak jak wzrok 'shu skierowany ku mrocznej chmurze Iadów.

Usłyszał jak w świątyni poniżej Noe wydał okrzyk wściekłości i przez ułamek sekundy, mimo iż nie miał już oczu ani głowy, w której mogłyby być osadzone, duch Joego całkiem wyraźnie widział, co tam się wydarzyło. Noe przestąpił zwłoki Joego i włożył okrwawione ręce w wody sadzawki Quiddity. 'Shu natychmiast zareagował na to wtargnięcie; jego macki zaczęły chłostać na oślep jak szalone i jedna z nich, Joe nigdy nie dowie się, przypadkiem, czy celowo, oplotła ramię Noego. Ogarnięty wściekłością Noe sięgnął po miecz, który położył na brzegu sadzawki, i bez wahania wbił ostrze w ślepie istoty.

Świat Joego przeszło silne drżenie. Przeniknęło spojrzenie, w którym unosił się jego duch oraz świątynię na dole i wypłynąwszy na zewnątrz rozeszło się poprzez plac kolumn i labirynt uliczek b'Kether Sabbat. Natychmiast zorientował się, co się stało. Moc 'shu powstrzymująca Iadów zaczęła słabnąć i ogromna fala wisząca nad miastem jęła opadać.

Joe skierował swój duchowy wzrok w stronę Iadów i ku swemu zdumieniu stwierdził, że jest już prawie u celu, mknąc niczym strzała ku skłębionej, wirującej gwałtownie ścianie.

Daleko w dole miasto przeszło rozpaczliwe drżenie i na wyspę Mem-é b'Kether Sabbat padł mroczny cień Iad Uroboros.

A Joe Flicker, człowiek, który oddał życie, ale go nie postradał, wpłynął do samego serca niszczyciela miasta i zatracił się w nim równie bezpowrotnie, jak gdyby umarł.



## Rozdział III

### 1

Skromny z wyglądu motel Sturgisa stał trochę dalej od szosy; dojeżdżało się tam żwirową drogą tak wąską, że z trudem mieściły się na niej dwa jadące w przeciwnych kierunkach samochody. Motel był parterowy, drewniany, z dużym parkingiem i pomieszczeniem biurowym, nad którym palił się jaskrawy neon, przecięty na skos napisem „BRAK WOLNYCH MIEJSC”. Najwidoczniej większość gości bawiła na festynie w Everville, kiedy bowiem Tesla zajęła pod budynek, na parkingu stały tylko trzy samochody - półciężarówka zaparkowana przed biurem, zdezelowany mustang, należący, jak sądziła Tesla, do Grillo i ford pinto, w jeszcze gorszym stanie niż poprzedni wóz.

Nie zgasła nawet silnika harleya, kiedy drzwi domku numer sześć otworzyły się i ze środka wyszedł wychudzony, łysiejący mężczyzna w przydużej koszuli i spodniach, wołając ją po imieniu. Miała właśnie zapytać go, czy się znają, kiedy uświadomiła sobie, iż mężczyzna, który ją wołał, to Grillo. Nie była w stanie ukryć osłupienia. Była w szoku. On najwyraźniej nie zwracał na to uwagi albo przestał się przejmować. Rozłożył ręce (ależ miał chude ramiona Boże, jakie były chude!) i uściskali się serdecznie.

- Nie wiesz jak się cieszę, że cię widzę - powiedział Grillo. Nie tylko jego ciało było wynędzniałe, głos również wydawał się bardzo odległy i słaby, jakby trawiąca tego mężczyznę choroba bliska była osiągnięcia nad nim ostatecznego zwycięstwa.

Pobyt nas obojga w tym świecie ma się już ku końcowi, pomyślała.

- Mam ci tyle do powiedzenia - ciągnął Grillo - ale będę się streszczał. Przerwał, jakby czekał, aż Tesla da mu pozwolenie na kontynuację wypowiedzi. Poprosiła, by mówił dalej.

- No cóż... Jo-Beth zachowuje się ostatnio naprawdę dziwnie. Miewa okresy tak wielkiego podekscytowania, że chciałem ją wręcz zakneblować. Przez większość czasu jednak zachowuje się jak w stanie katatonii.

- Czy mówi o Tommym-Ray?u?

Grillo pokręcił głową.

- Usiłowałem nakłonić ją do mówienia, ale mi nie ufa. Mam nadzieję, że może zechce porozmawiać z tobą, bo jeżeli nie zechce nam pomóc, to jak amen w pacierzu, jesteśmy ugotowani.

- Jesteś pewien, że Tommy-Ray żyje?  
- Nie wiem, czy żyje, ale jest gdzieś blisko.  
- A co z Howiem?  
- Niedobrze. Wszyscy rozgrywamy tu swoje końcówki, Tes. Zupełnie jakby wszystko zbliżało się do ostatecznego rozwiązania, i to najgorszego, jakie można sobie wyobrazić.  
- Znam to uczucie - potwierdziła.  
- Poza tym, Tes, jestem za stary na ten szajs. Zbyt stary i zbyt chory.  
- Widzę, że sprawy nie wyglądają najlepiej - mruknęła. - Jeżeli chcesz pogadać...  
- Nie - odrzekł pośpiesznie. - Nie chcę. Nie warto. I tak niczego to nie zmieni. Jest jak jest, będzie co będzie.  
- Jedno pytanie?  
- W porządku. Jedno.  
- Czy to dlatego nie chciałeś, abym się z tobą spotkała?  
Grillo pokiwał głową.  
- Wiem, to głupie. Wydaje mi się jednak, że my wszyscy staramy się uporać z tym szajsem najlepiej jak umiemy. Ja postanowiłem ukryć się i pracować w Rafie.  
- Jak ci poszło?  
- Chciałbym, abyś sama zobaczyła, Tes, jeżeli tylko wyjdziemy z tego cało.  
Nie powiedziała, że jej godziny są już policzone, skinęła jedynie głową.  
- Wiesz, być może ty zrobiłaś to wszystko sensowniej, chyba lepiej ci wyszło niż mnie. Mam na myśli powiązania. - Objął ją ramieniem. - Wejdziemy? - zapytał.

## 2

W drodze Tesla zastanawiała się nad tym, jak będzie wyglądać historia Jo-Beth McGuire i Howie'ego Katza w oczach potomności. O tym, jak w słonecznym królestwie Palomo Grove tych dwoje dorosłych ludzi poznało się i zakochało w sobie nawzajem, nie wiedząc, że ich ojcowie spłodzili ich, by kontynuowali walkę. O tym, jak namiętność zakochanych rozsierdziła ich ojców i o tym, jak rodzicielski gniew zaowocował otwartymi walkami na ulicach owego złotego królestwa. W konsekwencji wiele osób narażonych zostało na niewyobrażalne cierpienia, kilka nawet zginęło. Jakimś cudem jednak kochankowie wyszli z tej masakry cało. (Nie była to pierwsza historia o miłości niemożliwej, zwykle jednak w takich opowieściach młodzi cierpieli i umierali, jako że ludzie chcieli, żeby idealna para wyzionęła ducha, zanim związek ich utraci swą doskonałość. Lepszy zamordowany ideał, w

którym ocalona zostaje przynajmniej idea, niż ideał, który z czasem przemija) Sporządzając notatki do tej historii, Tesla niejednokrotnie zastanawiała się, co się stało ze złotymi kochankami z Palomo Grove. I oto tu, w pokoju numer sześć, kryła się odpowiedź.

Mimo ostrzeżenia od Grilla, nie była przygotowana na zmiany, które zobaczyła - oboje mieli popielatoszare twarze, w słowach i działaniach nie wyczuwało się iskielki witalności. Wymieniwszy zdawkowe powitania, Howie jął opowiadać Tesli o wydarzeniach, które sprowadziły ich do tego żalosego miejsca i stanu; przez cały ten czas małżeństwo prawie nie patrzyło na siebie. ’

- Po prostu pomóż mi zabić tego sukinsyna - rzekł do Tesli. Temat pozbawienia życia Chłopca Śmierci ożywił w nim uśpioną dotąd pasję. Tesla tłumaczyła, że nie może mu pomóc. Może Nuncjo obdarzył go swoistą nietykalnością (bądź co bądź zdołał uniknąć spalania w Pętli).

- Uważasz, że jest nieśmiertelny, tak? - spytał Grillo.

- To możliwe... tak...

- I że to z powodu Nuncjo?

- Nie wiem - odparła Tesla, wpatrując się we własne dłonie. - Ja również próbowałam Nuncjo i jestem święcie przekonana, że wciąż pozostaję śmiertelna.

Kiedy znów spojrzała na Grilla, ujrzała w jego oczach tak głęboką rozpacz, że wytrzymała siłę tego spojrzenia tylko przez chwilę, po czym odwróciła wzrok.

Ciszę przerwała milcząca dotąd Jo-Beth.

- Chcę, abyście przestali o nim teraz rozmawiać - rzuciła rozkazująco.

Howie spojrzał na żonę z ukosa.

- Jeszcze nie skończyliśmy - burknął z oburzeniem w głosie.

- Ale ja tak - odparła z nieco większym naciskiem Jo-Beth, po czym podeszła do łóżka, wzięła na ręce córeczkę i ruszyła ku drzwiom.

- Dokąd się wybierasz? - spytał ostro Howie.

- Idę zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Ale bez małej.

W tych kilku słowach zawarta była cała litania oskarżeń.

- Nie odejdę daleko...

- Nigdzie nie pójdziesz! - ryknął Howie. - A teraz połóż Amy z powrotem do łóżka i siadaj!

Zanim zdążyło wydarzyć się coś więcej, Grillo wstał.

- Wszyscy powinniśmy coś przekazać - rzekł. - Czemu nie mielibyśmy wybrać się na

pizzę?

- Chcesz, to idź - powiedziała Jo-Beth. - Ja zostaję.

- Będzie lepiej - zaproponowała Tesla - jak pójdziecie razem, ty i Howie. Ja zostanę z Jo-Beth i poplotkujemy parę minut.

Jej propozycja została przyjęta po kilku minutach niezbyt ożywionej dyskusji. Obaj mężczyźni wydawali się zadowoleni, że mogą, choć na kilka minut, wyrwać się z ciasnego motelowego pokoiku, a z punktu widzenia Tesli nadarzała się okazja do rozmowy z Jo-Beth w cztery oczy.

- Nie wydajesz się zbyt przejęta perspektywą, że Tommy-Ray pragnie cię odnaleźć - zauważyła Tesla, kiedy mężczyźni wyszli.

Dziewczyna spojrzała na dziecko leżące na łóżku.

- Nie - odrzekła, a jej głos był równie blady jak twarz. - Niby dlaczego?

- Cóż... ze względu na to, co mogło się z nim stać, odkąd widziałas go po raz ostatni. - Tesla usiłowała drażyć temat możliwie jak najdelikatniej. - Nie jest już tym samym bratem, którego znałaś w Palomo Grove.

- Wiem - mruknęła Jo-Beth z lekką pogardą w głosie. - Zabił kilkoro ludzi. I wcale tego nie żałuje. Ale mnie... nie skrzywdziłby nigdy. Nie zrobiłby tego.

- Kto wie, może już nad sobą nie panuje. Mógłby zrobić krzywdę tobie lub dziecku i nie byłby w stanie temu zapobiec.

Jo-Beth pokręciła głową.

- On mnie kocha - rzuciła krótko.

- To było dawno. Ludzie się zmieniają. A Tommy-Ray zmienił się dużo bardziej niż inni.

- Wiem - szepnęła Jo-Beth. Tesla milczała. Czekwała w nadziei, że Jo-Beth z własnej woli podejmie temat Chłopca Śmierci. Po chwili faktycznie tak się stało. - On był już wszędzie - odezwała się dziewczyna. - Widział cały świat... teraz czuje się zmęczony...

- Tak ci powiedział?

Skinęła głową.

- Chce przyznać się gdzieś na pewien czas. Przeczekać. Mówi, że widział rzeczy, które musi dogłębnie przemyśleć.

- Powiedział co to było?

- Rzeczy - tak właśnie to określił. Widział je podczas licznych wędrówek, kiedy pracował dla swojego przyjaciela.

Tesla zaryzykowała strzał w ciemno.

- Kissoona? - zapytała.

Jo-Beth uśmiechnęła się promiennie.

- Tak. Skąd wiedziałaś?

- Nieważne.

Jo-Beth przeczeswała dłońmi niemyte od dawna włosy i powtórzyła:

- On mnie kocha.

- Howie również - wtrąciła Tesla.

- Howie należy do Fletchera - odrzekła Jo-Beth.

- Nikt nie należy do nikogo - ucięła Tesla.

Jo-Beth spojrzała na nią, ale nic nie powiedziała. Jedynie chłód jej spojrzenia mroził krew w żyłach.

Czy nic nie ocaleje? pomyślała Tesla. Grillo, rozgrywający swą końcówkę, uważający Nuncjo za coś w rodzaju Wielkiego Odroczenia (choć w głębi serca w to nie wierzył); D'Amour, wspinający się na szczyt, by spędzić ostatnie chwile w cieniu krzyży i ta nieszczęśliwa dziewczyna, tak piękna i zgrabna, gotowa oddać się Chłopcu Śmierci, ponieważ miłość nie zdołała jej uratować.

Świat gasił wszystkie światła, jedno po drugim...

Podmuch wiatru zatrzęsł całym oknem. Jo-Beth, która odwróciła się od Tesli, by zająć się małą, rozejrzała się wokoło.

- Co się stało? - szepnęła Tesla.

Drugi podmuch załomotał drzwiami, jakby wiatr świadomie szukał sposobu, by wejść do pomieszczenia.

- To on, prawda? - spytała Tesla. Dziewczyna nie odrywała wzroku od drzwi. - Jo-Beth, musisz mi pomóc. - Tesla podeszła do drzwi i energicznie przekręciła klucz w zamku. Była to mizerna obrona, z czego doskonale zdawała sobie sprawę (ta moc potrafiła burzyć całe domy), niemniej dawała im sekundę lub dwie, które, kto wie, mogły zadecydować o ich życiu.

- Tommy-Ray niczego nie rozwiąże - stwierdziła - Rozumiesz?

Jo-Beth pochyliła się, aby podnieść małą Amy.

- On jest wszystkim, co mamy - powiedziała.

Teraz wiatr atakował zawzięcie okno i drzwi równocześnie. Tesla czuła jego woń, gdy przenikał przez dziurkę od klucza i szpary. Niósł ze sobą śmierć, to nie ulegało wątpliwości. Amy zaczęła pochlipywać w ramionach matki. Tesla spojrzała na drobną, wykrzywioną grymasem smutku buzię dziecka i przez chwilę zastanawiała się, jakie uczucia mogła obudzić

w Chłopcu Śmierci taka niewinność. Prawdopodobnie będzie dumny z dzieciobójstwa.

Podłoga trzęsa się tak, że klucz wypadł z zamka. Wśród zawodzenia wiatru zaś zaczęły pojawiać się głosy i ich fragmenty - niektóre mówiły po hiszpańsku, inne, jak sądziła Tesla, po rosyjsku, niektóre zawodziły histerycznie, inne zaś przejmująco szlochały.

Wyjdź na zewnątrz - mówiły. - On czeka na ciebie...

- To raczej nie brzmi zachęcająco - wyszeptała Tesla do Jo-Beth.

Dziewczyna milczała. Patrzyła na drzwi, kołysząc delikatnie niespokojne dziecko, podczas gdy głosy zmarłych jęczały, błagały, wyły i poszeptywały bez przerwy. Tesla pozwoliła im mówić za siebie. Sądząc po wyrazie twarzy dziewczyny, lepiej udało im się wyperswadować Jo-Beth wyjście z domu, aniżeli zrobiłaby to Tesla.

- Gdzie jest Tommy-Ray? - odezwała się w końcu Jo-Beth.

- Może nie przyszedł? - zastanawiała się Tesla. - Może... wymkniesz się przez okno w łazience?

Jo-Beth nasłuchiwała jeszcze przez chwilę. W końcu pokiwała głową.

- Świetnie - rzekła Tesla. - Pośpiesz się. Ja je zatrzymam.

Patrzyła, jak Jo-Beth wchodzi do łazienki, po czym odwróciła się i poczłapała ku drzwiom. Duchy po drugiej stronie musiały usłyszeć, jak się zbliżała, bo ich głosy zmieniły się w ledwie słyszalny szept.

- Gdzie jest Tommy-Ray? - rzuciła Tesla.

Nie otrzymała sensownej odpowiedzi, słychać było jedynie bezładny belkot i uparte łomotanie do drzwi. Tesla obejrzała się przez ramię. Jo-Beth i Amy zniknęły. To już było coś. Gdyby duchy spróbowały teraz wejść do środka...

- *Otwórz...* - szeptały - *...otwórz...otwórz...* - Powtarzając to, wzmogły ataki na drzwi. Drewno wokół zawiasów zaczęło pękać, podobnie było z zamkiem.

- W porządku - mruknęła Tesla, wyczuwając, że gdy się zirytują, mogą być groźniejsze niż kiedykolwiek. - Otworzę drzwi. Chwileczkę. - Schyliła się, podniosła klucz, włożyła do zamka i przekręciła. Na ten dźwięk głosy duchów i łomotanie ucichły.

Zaczerpnęła tchu i otworzyła drzwi. Chmura zjaw cofnęła się przed nią w fali gęstej kurzawy. Tesla zaczęła szukać wzrokiem Tommy'ego-Raya, ale go nie było. Zamknawszy za sobą drzwi, ruszyła na plac. W jednej ze swych nie przyjętych przez nikogo prac, w fatalnym scenariuszu pod tytułem „Póki tchu, póty życia” opisała scenę egzekucji. Teraz przyszedł jej na myśl właśnie ten fragment swego dzieła. Brakowało tylko kapelana i dyrektora więzienia.

Odwracała się we wszystkie strony, szukając Chłopca Śmierci i jej wzrok spoczął na karłowatych, poskręcanych drzewkach i chwastach porastających plac przy motelu. Na

gałęziach wisały latarnie, rzucające upiorny, bladawy poblask. Ktoś stał w jego kręgu, bardziej niż na wpół ukryty. Już chciała ruszyć w tym kierunku, kiedy głos z tyłu za nią zapytał:

- Co się tu dzieje, u diabła?

Obejrzawszy się, ujrzała kierownika motelu, wyłaniającego się ze swego biura. Wyglądał na około sześćdziesiątki, miał łysinę, ubrany był w koszulę upstrzoną plamami tłuszczu; trzymał puszkę piwa w ręce. Sądząc po tym, jak się zataczał i powłóczył nogami, raczej nie cierpiał na gripę.

- Proszę wrócić do środka - rzuciła.

Ale mężczyzna dostrzegł już latarnie i minawszy Tesłę, podreptał w ich stronę.

- To ty je tam zawiesiłaś? - spytał.

- Nie - odrzekła, ruszając za nim. - Ktoś bardzo...

- To mój teren. Moja własność. Nie wolno nikomu... - Przystanął w pół kroku, kiedy zorientował się, czym w istocie są owe latarnie. Puszka z piwem wypadła mu z ręki. - Boże... - wyszeptał.

Tesla ujrzała, że na gałęziach drzew i krzewów zawieszono moc upiornych trofeów. Były tam głowy, ręce, fragmenty torsów i mnóstwo innych, często niemożliwych do rozpoznania strzępów ciał. Wszystkie, nawet te najmniejsze, świeciły widmowym blaskiem, zapewne za sprawą Chłopca Śmierci, jak sądziła Tesla.

Kierownik tymczasem niezdarnie zaczął się wycofywać, z jego gardła zaś dobyła się cała seria dźwięków, jakie mogło wydać ogarnięte śmiertelną paniką zwierzę.

Chmura zjaw w mgnieniu oka uniosła się, poruszona jego przerażeniem i pomknęła, by go pochwycić. Został uniesiony nad ziemię, a potem ciśnięty tak mocno, że przeleciawszy w powietrzu dobrych dziesięć metrów, wylądował ciężko tuż obok drzwi swojego biura.

- Tommy-Ray? - zawołała w gęstwinę krzewów Tesla. - Powstrzymaj je! - Nie otrzymawszy odpowiedzi, dziarskim krokiem pomaszerowała ku zarośłom, nawołując Chłopca Śmierci. - Odwołaj je, do cholery! Słyszysz?

Z tyłu za nią kierownik zaczął przeraźliwie krzyczeć. Kiedy się odwróciła, ujrzała, jak mężczyzna, otoczony skłębioną chmurą widm, osuwa się na ziemię. Wrzeszczał jeszcze przez chwilę, podczas gdy upiory szarpały go za głowę. Przekreśliły ją w lewo, w prawo i jeszcze raz w lewo, z taką siłą, że oderwały ją od szyi. Krzyk ucichł..

- Nie patrz - odezwał się męski głos w zaroślach.

Odwróciła się i wbiła wzrok w plataninę gałęzi, usiłując lepiej się mu przyjrzeć. Kiedy widziała Tommy'ego-Raya po raz ostatni w Pętli Kissoona, był cieniem dawnego

chwalebego „ja”, wynędzniałym i obłąkanym. Najwyraźniej jednak upływający czas okazał się dlań życzliwszy niż dla innych postaci obecnego dramatu. Niezależnie od zadań, jakie wykonywał dla Kissoona, i co przy tym widział, jego blondwłosa uroda została zachowana. Uśmiechał się do Tesli z gęstwiny i był to oszałamiający widok.

- Gdzie ona jest? - zapytał.

- Zanim znajdziesz Jo-Beth...

- Tak?

- Chciałabym przez chwilę z tobą porozmawiać. Porównać wrażenia.

- O czym?

- O byciu nuncjatami.

- Czy tym właśnie jesteśmy?

- Owszem tak, na dobre i złe.

- Nuncjaci - wyszeptał, jakby kontemlował smak tego słowa. - Ładnie brzmi...

- Bycie jednym z nich najwyraźniej ci służy.

- O tak, czuję się wyśmienicie. Ty z kolei wyglądasz raczej mizernie. Przydałoby ci się kilkoro niewolników, takich jakich mam ja, żebym nie musiał uganiać się po świecie na własnych nogach i do tego samego - rzekł łagodnym konwersacyjnym tonem. - Wiesz, kilka razy byłem bliski odnalezienia cię.

- Dlaczego miałbyś to robić?

Wzruszył ramionami.

- Chyba jesteś mi bliska. Oboje doświadczyliśmy działania Nuncjo. Oboje znamy Kissoona

- Tommy, co on tu robi? Czego chce od Everville?

Tommy-Ray postąpił krok w stronę Tesli. Musiała opanować w sobie impuls cofnięcia się przed nim. Wiedziała, że wystarczy jedna oznaka słabości, aby utraciła swój status bratniej duszy - nuncjata. Podchodząc ku niej, odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Mieszkałaś tam kiedyś?

- W Everville?

Chłopiec Śmierci nieomal zupełnie wyszedł już z gęstwiny. Jego dzinsy i podkoszulek umazane były krwią, a twarz i ręce świeciły się od potu.

- Gdzie ona jest? - spytał.

- Rozmawialiśmy o Kissoonie.

- Skończyliśmy rozmowę. Gdzie ona jest?

- Daj jej chwilę czasu - odpowiedziała Tesla, spoglądając w stronę pokoju, jakby



spodziewała się, że lada moment wyłoni się zeń Jo-Beth. - Chciała się dla ciebie wystroić.

- Była podekscytowana?

- O tak. Czemu po nią nie pójdziesz?

- Ona nie... - przyprowadź ją!

Duchy, wciąż otaczające bezgłowe ciało, odpowiedziały gromkim pomrukiem.

- Jasne - burknęła Tesla. - Nie ma sprawy.

Ruszyła wolno w stronę motelowego domku. Znajdowała się o jakieś pięć metrów od drzwi, gdy pojawiła się w nich Jo-Beth, trzymając na rękach Amy.

- Przepraszam - rzuciła zdyszana do Tesli. - Należymy do niego. To wszystko.

Tesla usłyszała, jak na widok siostry Chłopiec Śmierci odetchnął z ulgą.

- Och, maleńka! - powiedział. - Ślicznie wyglądasz; podejdź tu.

Jo-Beth przestąpiła próg; Tesla nie próbowała jej zatrzymać. Nic by nie zyskała, a mogłaby stracić głowę. Poza tym wyraz twarzy Jo-Beth świadczył, że będzie szczęśliwa, znalazłszy się w ramionach brata. Wiatr, naturalny, czy nie, ucichł zupełnie. Rozśpiewały się nocne ptaki, a świerszcze w trawach swym graniem przypieczętowały ich ponowne połączenie.

Kiedy patrzyła, jak Tommy-Ray otwiera ramiona, by uścisnąć siostrę, ujrzała kątem oka jasną postać i obejrawszy się dostrzegła małą przyjaciółkę Buddenbauma, wciąż w bieli, od wstążek po buciki, wpatrującą się w ciało kierownika motelu. Nie poświęciła mu jednak wiele uwagi, lecz podeszła do Tesli, pozostawiając dwójkę swych towarzyszy - błazna i kretyna, aby poobserwowali go dłużej. Ten ostatni odnalazł głowę trupa i włożył mu ją pod pachę.

Tymczasem dziewczynka w bieli zbliżyła się do Tesli i szepnęła:

- Dziękuję ci za to.

Tesla spojrzała na nią z mieszaniną zakłopotania i zde gustowania.

- To nie jest gra - powiedziała.

- Wiemy o tym.

- Giną ludzie.

Dziewczynka uśmiechnęła się niewinnie.

- I zginie ich jeszcze więcej, czyż nie? - rzuciła pogodnie. - Dużo, dużo więcej.

Jak gdyby jej słowa przyspieszyły tempo całego przedstawienia, Tesla usłyszała w tym momencie perkotanie kiepsko dostrojonego silnika i na piaszczystą drogę prowadzącą do parkingu wtoczył się mustang Grilla. Zanim jeszcze przystanął, drzwi od strony pasażera otworzyły się i z wozu wyskoczył Howie, trzymając w ręku pistolet.

- Odsuń się od niej, ale już! - zawołał do Tommy'ego-Raya. Chłopiec Śmierci oderwał

wzrok od siostry i leniwie spojrzął w stronę Howiego.

- Nie - powiedział stanowczo.

Howie wypalił, bez żadnego więcej ostrzeżenia. Niestety, nie miał zbyt celnego oka. Kula wryła się w ziemię bliżej Jo-Beth, niż Tommy'ego-Raya, a Amy, która dotąd zachowywała się spokojnie, uderzyła w płacz.

Na spoconej twarzy Chłopca Śmierci pojawił się grymas zatroskania.

- Nie strzelaj! - krzyknął do Howie'ego. - Zranisz małą!

Stojąca obok Tesli dziewczynka w bieli westchnęła przeciągle:

„Och!” - jakby dopiero teraz zaczęła pojmować, co się tu dzieje. Tesla ujrzała w tym zdarzeniu związek, którego nie do końca się spodziewała. Nieomal rozkoszne tchnienie musnęło jej kark, gdy ów pęk na drzewie opowieści nabrzmiał tak, że lada moment mógł pęknąć.

- Co dalej? - spytała dziewczynka.

Jakaś drobna część Tesli chciała stanąć na uboczu i obserwować całe wydarzenie z pozycji widza. Jednak nie mogła tego uczynić. Nigdy, przenigdy.

- Howie... - powiedziała - uciekaj...

- N-n-nie b-b-bez m-m-mojej żony - wykrztusił chłopak.

Jo-Beth nie odezwała się słowem. Patrzyła na małą, jakby głucha na słowa męża. Spróbował raz jeszcze, a w każdym razie zaczął, ale ledwie tylko wymówił jej imię, gdy Grillo wcisnął pedał gazu do dechy i skierował wóz w stronę Jo-Beth. Howie rzucił się w bok i padł ciężko na ziemię, gdy wóz zahamował, wzbijając w górę kłęby kurzu. Chłopiec Śmierci jął przywoływać swój legion, ale zanim zjawy znalazły się przy nim, Grillo zatrzymał wóz i wciągnął Jo-Beth wraz z Amy do środka. Tommy-Ray ruszył z rozłożonymi szeroko rękoma i być może jakoś zdołałby ich zatrzymać, gdyby Howie nie podniósł się z ziemi i nie rzucił na Chłopca Śmierci. Zakrzywionymi palcami jak szponami przeorał urodziwe oblicze Tommy'ego-Raya, celując w oczy. Grillo tymczasem wycofywał wóz, krzycząc do Tesli:

- Wsiadaj! Wsiadaj!

- Jedź! - zawołała i machnęła do niego ręką. - Szybko!

Przez mgnienie oka widziała jego twarz po drugiej stronie przedniej szyby auta upstrzonej śladami rozgniecionych owadów. W jego oczach płonęły radosne iskierki. Uśmiechnął się do niej surowo, po czym wykręcił i odjechał.

Howie tymczasem zdołał zadać Tommy'emu-Rayowi kilka niezbyt poważnych obrażeń, rozorując palcami, całkiem zresztą głęboko, jego szyję i twarz. Z ran nie popłynęła krew. Zamiast niej pod skórą Chłopca Śmierci była dziwna jasność, jak luminescencja, którą

technął w swoje „latarnie”. Właśnie ku tym zaroślom zmierzał Tommy-Ray, brutalnie odepchnawszy od siebie Howie’ego i przewróciwszy go na ziemię. Howie podniósł się błyskawicznie, najwyraźniej mając zamiar ponownie zaatakować wroga, ale Tesla powstrzymała go.

- Nie możesz go zabić - powiedziała. - Skończy się tak, że to on zabije ciebie.

Na skraju gęstwiny Tommy-Ray przystanął i odwrócił się nagle.

- No dalej. Powiedz mu. - Spojrzał na Howie’ego. - Nie chcę cię zabić - oświadczył. - Właściwie obiecałem Jo-Beth, że tego nie zrobię, ja nie łamię danego słowa. - I znowu zwrócił się do Tesli. - Postaraj się, by zrozumiał. Ona nigdy do niego nie wróci. Ani tej nocy. Ani żadnej innej. Jest moja i co więcej, ona tego pragnie.

To rzekłszy, wszedł w zarośla i zagwizdał przeciągle, aby przywołać do siebie zjawy. Przepłynęły nad parkingiem i uniosły się w gąszcz, by ukryć Chłopca Śmierci w swych oparach.

- Pójdzie za nią - rzekł Howie.

- Oczywiście.

- Wobec tego my musimy dotrzeć do niej pierwsi.

- Tak by wypadało - mruknęła Tesla, idąc po swój motor. Howie, powłóczęgą nogami, ruszył za nią.

Kiedy przechodzili przez plac, dziewczynka w bieli zawołała:

- I co dalej, Teslo? Co dalej?

- Bóg jeden wie - odparła.

- Nie, my nie wiemy - rzekł przygłupi towarzysz dziewczynki, co mocno rozbawiło całą trójkę.

- Lubimy cię, Teslo - rzekła dziewczynka w bieli.

- W takim razie trzymajcie się ode mnie z daleka - warknęła Tesla, wskakując na motor. Howie szedł z tyłu za nią.

Kiedy przekręciła kluczyk w stacyjce, znowu powiał wiatr i legion Chłopca Śmierci uniół się ponad zaroślami, zabierając ze sobą latarnie i mężczyznę, który je zapalił. Kiedy chmura mijała ich oboje, Tesla przez moment widziała Tommy’ego-Raya. Nie tyle szedł, co raczej był unoszony w powietrzu przez zjawy, podtrzymywany wirującymi wokół kłębam kurzu. Jego twarz zaczynała się już goić, rany zamykały się, ukrywając pałającą pod skórą jasność.

- On dotrze do niej pierwszy - powiedział Howie. Wydawał się bliski płaczu.

- Weź się w garść! - rzuciła ostro Tesla - To jeszcze nie koniec.

# Rozdział IV

## 1

*Przebacz mi, Everville...*

- Tak napisał?

- Dokładnie tak.

- Hipokryta.

Erwin i Coker Ammiano szli wzdłuż Poppy Lane. Było przed dziewiątą wieczorem i sądząc po hałasie dochodzącym z pobliskich barów i restauracji, festyn trwał w najlepsze.

- Tak szybko zapominają - zauważył Erwin. - Zaledwie dziś po południu...

- Wiem, co się stało - odrzekł Ammiano. - Poczułem to.

- Jesteśmy jak dym - powiedział Erwin, nawiązując do pierwszych lekcji, które jako duch otrzymał od Dolana.

- Nawet nie. Dym wyciska ludziom łzy z oczu. My nie możemy uczynić nic. Zupełnie nic.

- Niezupełnie - pocieszył go Erwin. - Kiedy odnajdę tę kobietę, Tesłę, sam się przekonasz. Ona może mnie usłyszeć. A w każdym razie kiedyś mogła. To niezwykła kobieta, powiadam ci. Zachowuje się tak, jakby było jej obojętne, czy umrze czy pozostanie przy życiu...

- W takim razie jest głupia.

- Nie, odważna. Kiedy była w moim domu, pamiętasz, mówiłem ci o Kissoonie...

- Pamiętam - odrzekł łagodnie Coker.

- Nigdy nie widziałem kogoś równie odważnego.

- Mówisz jakbyś był zakochany, przyjacielu.

- Nonsens.

- A ja sądzę, że się zadurzyłeś. I to jak. Nie musisz się tego wypierać.

- Wcale... wcale nie...

- Czerwienisz się.

- To wręcz absurdalne - wykrztusił Erwin, przyłożywszy dłonie do policzków.

- Co takiego?

- Przecież w moim ciele nie ma krwi, ba, nie mam nawet ciała, a jednak się czerwienię.

- Miałem sporo czasu, aby zastanowić się nad tą kwestią i wieloma innymi - odrzekł Coker Ammiano.

- I doszedłeś do jakichś wniosków?

- Do wielu.

- Opowiedz mi o tym.

- To my utworzyliśmy siebie, Erwinie. Nasze energie należą do jakiejś wielkiej jedności - nieważne, jak ona się nazywa, nie zamierzam spekulować na ten temat, ale my wykorzystaliśmy ową moc, by odtworzyć nas samych, Erwina Toothakera i Cokera Ammiano. Teraz ci ludzie nie żyją i większość energii powróciła do swego źródła. Zatrzymaliśmy jednak jakąś jej cząstkę, tylko tyle, aby zachować iluzję, owo wspomnienie, choć odrobinę dłużej. Przyodziliśmy sobie w to, co dobrze znamy, a dla dodania otuchy wypełniliśmy sobie kieszenie różnymi drobiazgami. Ale to nie będzie trwać wiecznie. Prędej czy później - wzruszył ramionami - będzie po nas.

- Nie dam się! - zaprotestował Erwin - Widziałem, co stało się z Dolanem, Nordhoffem i...

- To, jak rzeczy wyglądają z zewnątrz, i jakie są od środka, to często dwie całkiem różne kwestie, Erwinie. Być może, na skrzyżowaniu byliśmy świadkami, jak Dolan i pozostali wrócili tam, skąd przybyli?

- Do twojej jedności?

- Ona nie jest moja, Erwinie. - Coker przerwał i zastanowił się nad tym przez chwilę. Po chwili rzekł: - Cofam to. Myślę, że ona faktycznie jest moja. A wiesz, dlaczego?

- Nie. Ale sądzę, że mnie w tym względzie oświecisz.

- Ponieważ, jeśli się tam znajdę, będę dosłownie wszędzie. - Uśmiechnął się z wyraźnym zadowoleniem. - I ta jedność jest w takim stopniu moja, jak wszystkich innych.

- Czemu zatem nie poddasz się jej? - dopytywał się Erwin.

- Chciałbym znać odpowiedź na to pytanie. Czasami wydaje mi się, że muszę mieć w sobie coś złego.

- Złego?

- Tak jakbym popełnił jakiś błąd. Zły czyn. Przeciwno temu, co jest dobre. Wiem...

Erwin przerwał mu w pół słowa.

- Tamten mężczyzna! - powiedział, wskazując dłonią na drugą stronę ulicy.

- Widzę go!

- Był z Teslą. Nazywa się D'Amour.

- Trochę mu się spieszy.

- Ciekawe czy wie, gdzie się ona teraz znajduje.
- Jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.
- Pójść za nim?
- Właśnie.

## 2

Przed opuszczeniem domu Cobbów D'Amour zatelefonował do Nowego Jorku. Norma ucieszyła się, słysząc jego głos.

- Miałam wczoraj gościa - powiedziała bardziej zdenerwowanym niż kiedykolwiek tonem. - Weszła przez okno i siadła na wprost mnie.

- Kto to był, u licha?

- Powiedziała, że nazywa się Lazy Susan. Przynajmniej na początku. Potem zmieniła zdanie i kto wie, może również pleć i zaczęła nazywać siebie Hammermite...

- A potem Piotr Nomad?

- Dużo później, ale owszem, tak - potwierdziła kobieta. - Zatem owa istota jest tym, za kogo się podaje?

- Tak.

- To ona zabiła Hessa?

- Jako jednego z wielu. Czego chciała?

- A czego mogą chcieć takie istoty? Trochę pobelkotała, zabrudziła mi podłogę. I prosiła, abym ci przypomniała...

- Co takiego?

Mulatka westchnęła.

- Noo... zaczęła mówić, że nadchodzi Diabeł i że już wkrótce wszyscy zostaniemy ukrzyżowani za to, co uczyniliśmy. Dość długo rozwodziła się nad tym tematem. Opowiedziała mi skróconą historię ukrzyżowali, bez której doskonale mogłam się obyć. A potem rzekła: Powiedz D'Amourowi...

- Zaczekaj, niech zgadnę: - Ja jestem tobą, a ty jesteś miłością... - Nie dokończył.

- Dokładnie - potwierdziła Norma.

- A co potem?

- Nic. Powiedziała, że mam naprawdę piękne oczy i są tym piękniejsze, że całkiem bezużyteczne. A potem odeszła. Wciąż nie mogę pozbyć się smrodu jej kału.

- Przykro mi, Normo.

- Nie ma sprawy. Mam odświeżacz powietrza.
- Chodziło mi o to wszystko. Cały ten szajs.
- Powiem ci coś, Harry. To dało mi do myślenia.
- Na jaki temat?
- Choćby o naszej rozmowie na dachu. To po pierwsze.
- Ja też sporo się nad tym zastanawiałem.

- Nie mówię, że myliłam się we wszystkim. Świat się zmienia, będzie się zmieniał i nie sądzę, aby miał się skończyć w niedalekiej przyszłości. Ale ta istota, ta Lazy Susan... - Kobieta umilkła, po chwili dokończyła: - To okropne. - Harry nie skomentował jej słów. - Wiem, co sobie myślisz - ciągnęła. - Myślisz, dlaczego ta stara krowa nie potrafi mieć własnego, niezmiennego zdania?

- Nie, wcale nie.
- Prawda jest taka, że sama nie wiem.
- Nie pozwól, by to doprowadziło cię do obłądzenia.

- Och, obawiam się, że jest już na to za późno - powiedziała Norma, a w jej głosie znów zagościła wesołość. - Co właściwie jest z tymi cholernymi demonami? Dlaczego każde ich wystąpienie musi być takie e k s k r e m a l n e?

- Bo chcą, aby taki stał się ten świat, Normo.
- Gówniany?
- Gówniany.

Rozmawiali jeszcze przez jakiś czas, ale była to w zasadzie luźna pogawędka. Dopiero pod koniec, kiedy Harry stwierdził, że musi już iść, Norma spytała:

- Dokąd się wybierasz?

- Na szczyt góry - odrzekł. - Aby ujrzeć prawdziwe oblicze Diabła, aby stanąć z nim twarzą w twarz.

Teraz, w godzinę po tej rozmowie, piął się w górę potoku, wśród drzew rosnących tak gęsto, że był niemal tak ślepy jak Norma, a po ostatnich burzliwych wydarzeniach: śmierci Dusseldorfa, masakrze Zyem Carasophia, wypadkach w Badlands oraz śmierci Marii Nazareno poczuł wyraźną ulgę, że to wszystko zmierza już ku końcowi.

Pomyślał o portrecie namalowanym przez Teda - „D’Amour na Wyckoff Street” i czarnym wężu miażdżonym pod butem bohatera. Jakże to wydawało się proste. Jak banalnie proste. Demon wije się. Demon umiera. Demon znika.

Nigdy tak nie było, chyba tylko w książkach i nawet pamiętając to, co powiedziało owo dziecko na skrzyżowaniu (o liściach na drzewie opowieści), Harry nie spodziewał się happy endu.

### 3

Pomimo usilnych namów i złorzeczeń jedynie czterech członków orkiestry zjawilo się w domu Larry'ego Głodoskiego - Bill Waits, Steve Alstead, Denny Gips i Chas Reidlinger. Larry otworzył butelkę szkockiej i przedstawił własną interpretację wydarzeń.

- Mamy tu do czynienia z jakąś dziwną manipulacją - oświadczył. - Może to substancja chemiczna, a może jakiś środek dodany do wody...

- Dobrze, że nie do szkockiej - mruknął Bill.

- Sprawa jest poważna - ciągnął Larry. - Grozi nam katastrofa, panowie.

- Co właściwie widzieliście? - zwrócił się Gips do pozostałych.

- Kobiety - powiedział Alstead.

- I światło - dorzucił Reidlinger.

- ONI chcieli, abyśmy to właśnie zobaczyli - mruknął Larry.

- Jacy oni? - zachnął się Waits. - Przecież Czerwone Zagrożenie mamy już za sobą, podobnie jak UFO. Wobec tego, z czym zetknęliśmy się tutaj? Nie zrozum mnie źle, Larry, nie twierdę, że jesteś nienormalny, bo ja też zobaczyłem cały ten szajs. Chciałbym tylko wiedzieć, z czym mamy do czynienia.

- Nie dowiemy się tego, przesiadując tutaj - odparł Alstead. - Musimy sami to zbadać.

- A czym mamy się bronić? - spytał Waits. - Naszymi instrumentami?

W tej samej chwili w progu stanął Bosley Cowhick, który chciał się do nich przyłączyć. Usłyszał o zebraniu od swojej siostry, bliskiej przyjaciółki żony Alsteada, Rebeki. Żaden z pięciu muzyków nie czuł się swobodnie w obecności podekscytowanego, szklistookiego Bosleya, ale nie mogli mu odmówić - bądź co bądź, ich grupa nie należała do szczególnie licznych. Bosley jak mógł, starał się ograniczać apodyktyczne tyrady, rzucając jedynie kilka krótkich uwag, jakoby groziła im wszystkim utrata miasta na rzecz bliżej nieokreślonych, a przerażających mocy i że w obronie Everville byłby gotów nawet oddać życie. Jego słowa ponownie skierowały myśli zebranych ku broni. Nietrudno było rozwiązać ów problem. Mieszkający przy Coleman Street szwagier Gipsa od wczesnej młodości zajmował się „pukawkami” i kiedy tuż przed dziesiątą sześciuosobowe komando zapukało do jego drzwi, z radością udzielił im pomocy. Głodoski uznał za stosowne zaprosić szwagra do udziału w



wyprawie, ale mężczyzna odmówił. Stwierdził, że jest chory i tylko by ich opóźniał. Jeśli jednak potrzebowali broni, mógł udzielić wskazówek, gdzie i jak ją zdobyć.

Następnie wyruszyli do baru Hamricka (była to propozycja Billa Waitsa), aby uczcić wyprawę szklaneczką szkockiej, mimo sprzeciwu Reidlingera. Czy nie mogli zrobić tego, co sobie założyli (wciąż trwała na ten temat zażarta debata), a potem rozejść się do domów i spokojnie usnąć? Został przegłosowany. Komando wybrało się do Hamricka i nawet Bosley dał się namówić na szklaneczkę brandy.

- Ludziom nie zależy - zauważył Bosley, rozglądając się dokoła. Niczym się nie przejmują.

W barze było tylu gości, na ilu zezwalały przepisy pożarowe i najwyraźniej wszyscy doskonale się bawili.

- Sęk w tym, Bosley - zauważył Bill Waits - że nikt nie jest pewien, co właściwie widział. Założę się, że gdybyś spytał ludzi, co właściwie wydarzyło się dzisiaj po południu, od każdego z nich usłyszałbyś co innego.

- Tak właśnie działa Zły, panie Waits - odrzekł Bosley łagodnym tonem. - Chce nas skłócić między sobą. A podczas gdy my się spieramy, on kontynuuje swoje dzieło.

- Jakie znowu dzieło? - spytał Bill. - Konkrety, konkrety...

- Daj spokój, Bill - wtrącił Chas. - Chodźmy już stąd i...

- Nie - mruknął Bosley, lekko bełkotliwym tonem. - To całkiem sensowne pytanie.

- A jak brzmi odpowiedź?

- Dzieło jest dokładnie to samo, nad którym Zły pracuje od zarania dziejów. - Podczas gdy Bosley mówił, Alstead nalał mu drugą szklaneczkę brandy. Mężczyzna opróżnił ją niemal nieświadomie, po czym mówił dalej. - Chce odciągnąć nas od Boga.

- Ja opuściłem Go już dawno temu - powiedział Waits. Nie żartował.

- Jestem pewien, że Bóg za tobą tęskni - odrzekł równie szczerze Bosley. Dwaj mężczyźni przyglądali się sobie nawzajem przez dłuższą chwilę, bez słowa.

- Dobra, Bosley, daj już temu spokój - odezwał się Alstead. - Aż mnie ciarki przechodzą. Masz, strzel sobie jeszcze jednego.

Kula w mózgu Buddenbauma nie zdołała w najmniejszym nawet stopniu zmniejszyć jego wściekłości.

- To najbardziej niewdzięczni, pełni hipokryzji, małostkowi, dwulicowi, bezmyślni,

porąbani skurwiele, z jakimi fatalnym zrządzeniem losu przyszło mi pracować - srożył się, przykładając dłoń do gojącej się czaszki. - „Och, Owenie, urządź nam kolejne przedstawienie. Miłe, zgrabne zabójstwo. Przyjemną zbrodnię namiętności. Coś z dziećmi. Coś z chrześcijanami”. Odwrócił się do Setha, który stał przy oknie wychodzącym na skrzyżowanie i wysłuchiwał tej tyrady od dobrych trzydziestu minut. - I czy kiedyś powiedziałem „nie”? - przerwał, oczekując odpowiedzi.

- Zapewne nie - odrzekł Seth.

- Otóż to! Nic, co dla nich, nie było zbyt kłopotliwe. Chcieli, aby umarł prezydent? Nie ma sprawy. Żądali jednej lub dwóch ślicznych masakr? Dało się załatwić. Nie było nic, czego nie mogłem zorganizować. Nic! - Podszedł do okna, delikatnie muskając palcami ranę. - Ale wystarczy jedna drobna pomyłka, maleńkie uchybienie i zaczynają węszyć za tą suką Bombeck. „To na razie, Owen. Zabieramy ją ze sobą, aby pogadać o pieprzonym drzewie opowieści”. - Wymienili z Sethem spojrzenia.

- Wydaje się, że chciałbyś o coś zapytać - zauważył Buddenbaum. - Masz to wypisane na twarzy.

- A ty masz na twarzy krew - odpowiedział Seth.

- Czy między nami coś się zmieniło?

- Tak. Prawdę mówiąc, z każdą chwilą coraz bardziej zmieniam zdanie o tobie.

- To jak będzie z nami?

Seth zamyślił się na chwilę.

- Chciałbym, abyśmy mogli zacząć od początku. - Powiedział. - Chciałbym, abyś właśnie teraz podszedł do mnie po raz pierwszy i zaczął mówić o aniołach - znowu przerwał. Kolejna przerwa. - Chciałbym wciąż słyszeć anioły.

- To ja ci je odebrałem, czy to chcesz powiedzieć?

- Pozwoliłem ci na to - odparował Seth.

- Pytanie...

- Że co...?

- Miałeś pytanie wypisane na twarzy.

- Tak, zastanawiałem się nad tym drzewem opowieści. To wszystko.

- Jeżeli o to pytasz, wiedz, że nie ma żadnego drzewa - oświadczył Buddenbaum. Seth wydawał się rozczarowany. - To tylko fraza wymyślona przez jakiegoś marnego poecię.

- Co właściwie oznacza?

Cała złość Owena zniknęła nagle. Oparł się o ścianę przy oknie, przez które wypadł zaledwie przed dwoma dniami.

- Co to znaczy? - mruknął. - Cóż... oznacza to, że opowieści zostają zasiane. Historie są kwiatami, pąkami, owocami, które się zbiera, przetwarza i zjada. A potem wydalamy z siebie nasiona...

- Z powrotem do ziemi?

- I tak na okrągło. - Buddenbaum westchnął - I tak na okrągło - powtórzył. - Z nami, albo i bez nas.

- Chyba nie chodzi ci o nas - zauważył półgłosem Seth. W jego słowach nie było nuty oskarżenia, jedynie tęskna melancholia. Buddenbaum chciał coś powiedzieć, ale Seth wszedł mu w słowo.

- Byłem tam, Owenie - rzekł, wskazując na ulicę poniżej. - Chciałeś to zrobić beze mnie, cokolwiek sobie zamierzyłeś.

- Zostałem zdekoncentrowany - tłumaczył się Buddenbaum. - I to wszystko. Tak długo na to czekałem. Nie mogłem pozwolić sobie, aby to utracić.

- A jednak utraciłeś - przypomniał mu Seth.

- To się już nie powtórzy - oświadczył z powagą Owen. - Nie powtórzy się, na Boga!

- Jak chcesz temu zapobiec?

- Potrzebuję twojej pomocy. I obiecuję...

- Niczego nie obiecuj - przerwał Seth. - Tak będzie lepiej.

Buddenbaum znowu westchnął.

- Tak niewiele czasu upłynęło, a tak się od siebie odsunęliśmy. Zupełnie, jakbyśmy w ciągu czterdziestu ośmiu godzin przeżyli połowę życia.

Seth wyjrzał przez okno.

- Co chcesz, abym zrobił? - zapytał.

- Znajdź Teslę Bombeck i zawrzyj z nią pokój. Powiedz, że muszę się z nią spotkać. Powiedz, co tylko zechcesz, tylko sprowadź ją tutaj. Nie, nie tutaj... - Pomyślał o June i jej wysoko upiętych włosach. - Niedaleko stąd jest mała kafejka. Nie pamiętam nazwy. Ma niebieski szyld...

- Cichy Kącik.

- Właśnie. Przyrowadź ją tam. I powiedz, żeby awatary trzymały się poza zasięgiem naszych głosów, jasne? Niech tego dopilnuje.

- Ale jak ma to zrobić?

- Znajdzie sposób.

- W porządku. I chcesz, abym przyprowadził ją do Cichego Kącika?

- Jeżeli ci się uda.

- A jeżeli nie zechce?

- Wtedy wszystko pójdzie na marne - mruknął Owen. - A ja będę żałował, że nie mam, jak ty, aniołów, których mógłbym słuchać.

## 5

Kiedy D'Amour wyłonił się spomiędzy drzew, noc kompletnie zamarła. Nie było słyhać szumu wiatru, szelestu traw ani trzasków wśród kamieni. Gdy znalazł się powyżej wierzchołków drzew, obejrzał się w dół, na Everville, na wpół spodziewając się, że ktoś jednak wydał rozkaz ewakuacji i miasto zupełnie się wyludniło. Nic z tego. Wciąż paliły się światła, a ulicami sunęły samochody. Jedynie mgła, przesłaniająca drzwi u szczytu wzniesienia, tłumiała wszystkie dźwięki do tego stopnia, iż Harry słyszał gdzieś pod czaszką bicie własnego serca.

- Tutaj się to stało - rzekł do Erwina Coker Ammiano, gdy podążali za D'Amourem w górę po zboczu, ku oparom mgieł.

- Mówisz o ukrzyżowaniach?

- Nie. O wielkiej bitwie między rodami Summy Summamentisa a Ezso Aetheriuma. Potworny dzień, który spowodowało dziecko.

- Byłeś tam?

- O tak, byłem. I niedługo potem poślubiłem to dziecko. Nazywała się Maeve O'Connell i była najcudowniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

- Jak to?

- Everville było jej snem, przekazany przez jej ojca Harmona O'Connella.

- Jak w nazwie Harmon's Heights? Wyzyna Harmona.

- Właśnie.

- Jego również znałeś?

- Nie. Umarł, zanim ją spotkałem. Dotarła tu sama i przybyła w zgoła niewłaściwym momencie. To był po prostu błąd. Zwyczajna pomyłka.

- I tylko dlatego, że tutaj przybyła, doprowadziła do masakry?

- Dlatego, że przybyła i odezwała się w niewłaściwej chwili.

- Bo odezwała się?

- Bo widzisz, tam na górze odbywała się ceremonia zaślubin. - Wskazał w stronę mgieł.

- A w świecie, z którego pochodziły oba rody, wierzono, że cisza jest święta, ponieważ

poprzedza początek. W ciszy dokonywał się akt miłości. A każdego, kto zakłóci ową ciszę, uważano za wroga.

- Czemu po prostu nie zabili tej dziewczynki?

- Ponieważ te rody były ze sobą od dawna skłócone i każdy z nich uważał, że dziecko jest agentem strony przeciwnej. Kiedy tylko przemówiło, ich członkowie zaczęli wyrzynać się nawzajem.

- Właśnie tutaj?

- Właśnie tutaj - potwierdził Coker. - Jestem pewien, że gdybyśmy chcieli, moglibyśmy odnaleźć ich kości w ziemi.

- Zostanę tu, skąd mogę widzieć niebo - mruknął Erwin.

- Piękny dziś mamy wieczór - rzekł Coker, odchylając głowę do tyłu, by przyjrzeć się gwiazdom. - Czasem mam wrażenie, jakbym był sam przez sto długich ludzkich żywotów, a niekiedy, tak jak dziś, wydaje mi się, że rozstaliśmy się zaledwie kilka godzin temu. - Wydał z siebie dziwne westchnienie; kiedy Erwin spojrzał na niego, ujrzał łzy ściekające po jego policzkach.

- Jej oczy były ostatnimi, które widziałem. Umierając czułem na sobie jej wzrok. I próbowałem, choć na chwilę, kurczowo uchwycić się życia. Próbowałem patrzeć na nią dłużej, pocieszać, jak ona mnie pocieszała... - Przerwał na chwilę, aby nad sobą zapanować. - Ale życie wypłynęło ze mnie szybciej niż z niej. A kiedy wszedłem w to - rozłożył szeroko ręce - życie po śmierci, jej ciało zostało już zabrane. I mój syn także.

- Nic dziwnego, że tak bardzo nienawidziłeś Dolana.

- O tak, nienawidziłem go. Ale był człowiekiem. Nie potrafił pomóc sam sobie.

- Czy zatem twój lud jest tak idealny? - zapytał Erwin.

- Nie ma większych różnic między twoim i moim ludem - odparł Coker. - Z wyjątkiem takich drobiazgów jak skrzydła czy też gdzieniegdzie jakiś ogon. Sercem jesteśmy tacy sami, pełni smutku i okrucieństwa - przerwał i uniósł wzrok przesuwając nim w górę po zboczu.

- Wygląda na to, że nasz przyjaciel D'Amour ma mały problem - zauważył.

W ciągu kilku minut tej smutnej i łzawej rozmowy Erwin i Coker zostali o dobre pięćdziesiąt metrów w tyle za D'Amourem. Detektyw dość żwawym krokiem wszedł w mgłę. Najwyraźniej wyczuł wroga, bo nagle ni stąd, ni zowąd przycupnął za wielkim głazem i znieruchomiał. Niedługo potem kłopot, o którym wspomniiał Coker, wyłonił się z oparów w postaci nie jednego, lecz czterech osobników, wyróżniających się wyjątkową wręcz szpetotą - jeden był chudy jak szczapa, drugi tłusty jak wieprz, trzeci potężny jak byk, czwarty natomiast miał wygląd i sposób zachowania choleryka.

Najchudszy z nich był zarazem najbardziej żwawy. Szedł w dół po zboczu (mijając miejsce, gdzie ukrywał się D'Amour), wężąc niczym myśliwski ogar.

- Mam wrażenie, że to o nas im chodzi - stwierdził Coker.

- Czym są te istoty, do licha?

- To stwory z Quiddity.

- Aż ciarki po plecach przechodzą.

- Jestem pewien, że oni myślą to samo na twój widok - zauważył Coker.

Chudy stwór schodził coraz niżej i nieuchronnie zbliżał się do dwóch zjaw.

- Co teraz zrobimy? - spytał Erwin. Im bliżej, tym chudzielec wydawał się bardziej odrażający.

- Nie może nam nic zrobić - rzekł Coker. - Ale jeśli zauważy D'Amoura...

Chudy jak tyka osobnik zdawał się patrzeć wprost na Erwina, co tego ostatniego wprawilo w nielichą irytację.

- To mnie widzi.

- Wątpię.

- Mówię ci, że mnie widzi!

- No cóż... Przez całą drogę sarkałeś, że nikt cię nie może zobaczyć. Nie może być... Do stu piorunów!

- Co?

- Znaleźli go.

Erwin spojrzał ponad chudzielcem i stwierdził, że chyba najbardziej brutalnie wyglądająca spośród czterech istot pochwyliła D'Amoura i brutalnie podźwignęła go na nogi.

- To nasza wina - rzekł Coker. - Jestem pewien, że to nas szukali.

Erwin nie był tego taki pewien, ale nie miał wątpliwości, że D'Amour znalazł się w poważnych tarapatach. Jedna z istot rozbroiła go, druga zdzieliła parę razy po twarzy. Stwór, który dotąd schodził w dół zbocza, odwrócił się od Erwina i Cokera i ruszył z powrotem do swych kompanów, którzy powlekli nie stawiającego oporu jeńca w opary mgieł.

- Co teraz zrobimy? - spytał Erwin.

- Pójdziemy za nimi. A jeżeli go zabiją, wówczas przeprosimy.

Kiedy ostatnim razem Harry wybrał się na Wyżynę, tatuaże Voighta pozwoliły mu dotrzeć do progu nie zauważonym. Tym razem jednak ta sztuczka się nie udała. Nie wiedział dlaczego i właściwie nie miało to większego znaczenia. Znajdował się w rękach wrogów: Gamaliela, chudego owada Bartho, specjalisty od ukrzyżowań, Mutepa-byczka i tłustego

Swanky'ego. Nic na to nie mógł poradzić. Nie próbował walczyć, wiedział bowiem, że nie ma żadnych szans, a poza tym wybrał się przecież na szczyt góry, aby ujrzeć oblicze Diabła, ci czterej zaś prowadzili go ku drzwiom, przez które miał przedostać się Zły, czemuż więc miałby się opierać?

Był jeszcze trzeci powód. Te istoty były krewniakami demona, który odebrał życie ojcu Hessowi. D'Amour nie pojmował co prawda ich genealogii, ale po tym, jak rozmawiali, cuchnęli i gorączkowo się krzatali, domyślał się, że musiało istnieć między nimi jakieś pokrewieństwo. Może więc w tych ostatnich minutach przed przybyciem Iadów dowie się od któregoś z tych upiornych stworzeń, co oznaczało przesłanie otrzymane od Susan.

- „Ja jestem tobą, a ty jesteś miłością”.

Czy nawet teraz, pod sam koniec to miłość wprawia w ruch ten świat?

## Rozdział V

W trzewiach Iad Uroboros nie było ani ciemno, ani jasno. Był jedynie brak - brak światła i ciemności, wysokości i głębokości, dźwięków i struktury - który sam w sobie mógłby uchodzić za ostateczne zapomnienie, gdyby Joe nie mógł wyliczyć wszystkiego, czego tu nie znalazł. Nie wątpił, że ostateczne zapomnienie było stanem absolutnego niemyślenia.

Czym zatem było owo miejsce i on w nim? Czy stał się jakimś duchem nawiedzającym czaszkę Iadów? A może duszą uwięzioną w ciele bestii, póki ta nie wyrzyga jej lub dusza nie sczeźnie? Nie czuł, by jego istnieniu cokolwiek tu zagrażało, ale podejrzewał, iż jego pojęcie o tym, kim i czym był, nikło w zastraszającym tempie. To tylko kwestia czasu, kiedy jego myśli utracą sens i pograży się w absolutnym zapomnieniu.

Perspektywa ta wydała mu się dość atrakcyjna, kiedy jeszcze stał przy sadzawce w świątyni. Przeżył swoje życie i był gotów z nim się rozstać. Teraz jednak, kiedy pławiał się (jeżeli o istocie pozbawionej substancji można by powiedzieć, że się w czymkolwiek pławi) w tej pustce, zastanawiał się, czy jego obecność nie została zaplanowana lub przewidziana przez Zehrapushu. Przypomniawszy sobie, z jak wielką uwagą przyglądał mu się badawczo pierwszy 'shu, którego napotkał na brzegu morza pod Liverpoolem. Czy stwór ów, lub raczej umysł, którego był częścią, już wtedy wyznaczał dlań rolę w mających dopiero nadejść wydarzeniach, dokonując wglądu poza jego ciało, by sprawdzić, czy przyda się na coś, gdy znajdzie się koniec końców w trzewiach Iadów? A jeżeli tak, jeśli jego obecność tutaj faktycznie miała swój cel, jego obowiązkiem wobec 'shu, którego spojrzenie stało się, bez wątpienia, jednym z najcudowniejszych doznań owej podróży, było zachować tę jego część, jaka jeszcze pozostała - jego wspomnienia, ducha, duszę - i nie poddać się zapomnieniu.

Powiedz, jak się nazywasz, pomyślał. Zapamiętaj przynajmniej to. Rzecz jasna nie miał ust ani języka, warg czy też płuc. Mógł jedynie pomyśleć: Jestem Joe Flicker. Jestem Joe Flicker.

Efekt był natychmiastowy. Stan bezmyślności uległ osobliwej przemianie i zmysły jego duszy otworzyły się na pierwsze z otaczających go form.

Nie potrafił określić rozmiarów tego, w czym się znajdował. Może stanowił drobinę w owej wyzutej z kształtów formie, jak maleńki pyłek wirujący w promieniach światła, wtedy zaś to wszystko, co rysowało się wokół niego nie było wcale gigantyczne, jak mu się



wydawało, a jedynie on, obserwator, nie grzeszył po prostu wzrostem. Jakkolwiek przedstawiała się prawda, czuł się nic nie znaczącym pyłkiem w obecności tych krystalizujących się kształtów. Rozejrzał się wokół i we wszystkich kierunkach, wznosząc się ku kopulastej ciemności powyżej, gdzie strzępiaste kształty energicznie się przesuwały, niczym drapieżne ptaki w okresie godów, i w dół, na samo dno okolone dyszącymi abstrakcjami, by stwierdzić, że od góry do dołu mrok ozdobiony był kratownicą stwardniałej jak koral materii.

Nie miał żadnej pewności, że te obrazy są równie realne, jak jego ciało leżące przy świątynnej sadzawce poniżej. Może to jedynie myśli krążące w głowie Iad Uroboros, a on znalazł się w samym środku ich wizji nieba i piekła - firmamentu nie dokończonych aniołów, otchłani nonsensu i rozciągającej się między nimi, nieskończonej w swej złożoności pajęczyny pokrętnych i plugawych wspomnień. Były tu, jak sam stwierdził, miejsca, gdzie pasma wydawały się zakrzepłe. Tworzyły się w nich wielkie, jajowate guzy. Zaciekawienie Joego, co do ich natury wystarczyło, by pchnąć go w tę stronę: ledwie zaczął się nimi interesować, gdy jego duch podpłynął w stronę największego spośród znajdujących się w pobliżu. Im bardziej się doń przybliżał, tym bardziej jego wygląd wzbudzał niepokój i wątpliwości Joego. Narośle na pajęczynie były tworami organicznymi, natomiast struktura powierzchni jaja wydawała się zupełnie odmiennego rodzaju. Była to masa nakładających się kształtów, jak kawałki jakiejś obłąkanej układanki, z których kolejne nie do końca zakrywały części leżące bezpośrednio pod nimi, a wszystkie miały obsesyjnie złożony kształt. Ich wygląd wszelako nie stanowił jedynego powodu zaniepokojenia Joego. Równie ważny był emanujący z nich dźwięk lub raczej kilka dźwięków stapiających się w jedność. Wśród nich dawało się wydzielić coś, jakby szepty dzieci, powolne, arytmiczne pulsowanie, kojarzące się z odgłosem zatrzymującego się serca. Trzecim natomiast był jęk wdzierający się w głąb myśli Joego, jakby chciał je brutalnie porozdzierać.

Kusiło go, by zawrócić, ale przewyciężył to pragnienie i zmusił się do popłynięcia dalej, z każdą chwilą coraz bardziej przekonany, że był to wielki ból, ból niemal nie do zniesienia. Powierzchnia kształtu stanowiła katalog szaleńczych ruchów - tików, spazmów i drgań, fragmenty układanki odpadały w dziesiątkach miejsc niczym zrzucone łuski, podczas gdy równocześnie obok rozkwitały inne, dopiero pączkujące, przyozdobione długimi kolcami.

Nieco po lewej coś opalizującego przykuło jego wzrok, a gdy spojrział w tę stronę, stwierdził, że wylinka na moment ukazała coś, co znajdowało się pod tą obłąkańczą, szepczącą masą. Ruszył w tę stronę i po raz pierwszy, odkąd jął się ku niemu zbliżać, jajo dało mu do zrozumienia, że jego obecność została zauważona. W miarę, jak zbliżał się do

opalizującego skrawka, ruchy jaja stały się bardziej gorączkowe, zaś z chropowatych łusek dokoła zaczął się wylewać ciemny płyn, jakby miał on przesłonić ów kawałek, dopóki nie powstanie na nim bardziej trwała powłoka. Joe nie dał się zwieść. Zbliżył się do opalizującego miejsca, pewien, że kryje się w nim jakaś istotna tajemnica i w odpowiedzi pulsowanie narosło do frenetycznego crescendo, a gdy osiągnęło swoistą masę krytyczną, z powierzchni uniosło się tuzin kształtów i otoczyło go. Żaden z nich nie był niczym konkretnym. Joe nie mógł dostrzec wśród nich żadnej kończyny, głowy, a nawet oka czy ust. A jednak ziały, wibrowały, drgały i nabrzmiewały w istnej paradzie obrzydliwości. Coś, co nie miało wnętrzości, a jednak żyło, coś, co zostało usunięte aborcyjnie, lecz żyło, coś co zgniło, tak że było jedynie rozmięktą, cuchnącą masą, a jednak żyło. Mimo iż opuścił swoje ciało i wydawał się od niego uwolniony, te koszmary przypominały mu o każdym obrażeniu, jakiego doznał, o każdej chorobie i dolegliwości.

Zbyt jednak zbliżył się do tego opalizującego miejsca, aby dać się zastraszyć. Odwracając wzrok od zjaw, przesunął się przez ich sieć i wpłynął do wnętrza, aby przekonać się, jakie skrywały tajemnice.

Znalazł się w spiralnym kanale i popłynął w głąb niego. Przesmyk zaczął się gwałtownie zwężać, jak zacieśniająca się coraz bardziej spirala. Światło, które przyzywało Joego, nie straciło na sile, lecz mimo zwężających się zakrętów jarzyło się z tą samą mocą - przejście było teraz tak wąskie, że - był o tym przekonany - nie dałoby się przeciągnąć przez nie włos. A jednak zacieśniało się jeszcze bardziej, aż Joe zaczął się zastanawiać, czy nie zniknie zupełnie, a on wraz z nim. Ledwie o tym pomyślał, kiedy wyraźnie zaczął zwalniać, aż w końcu prawie przestał się poruszać. Mimo powolnego tempa i ciasnoty w spirali, obracał się w niej wokół osi dopóty, dopóki wszelki ruch nie ustał zupełnie. Zakłopotany, czekał teraz w świetlistym tunelu. I nagle z wolna jęło narastać w nim przekonanie, że nie jest tu sam. Spojrzał przed siebie i chociaż nic nie widział, był pewien, że coś na niego patrzy. Bez cienia lęku odpowiedział spojrzeniem, a gdy to uczynił, w jego myślach zaczęły pojawiać się obrazy - piękne, proste wizje świata, który zostawił za sobą. Ujrzał łąkę porośniętą gęstą zieloną trawą poruszaną podmuchami letniego wiatru. Ganek ukryty wśród kwitnących szkarłatnych bugenwilli, gdzie wesoło śmiało się dziecko o blond włosach. Ciastkarnię o zmierzchu, z gwiazdą polarną powyżej, osadzoną na czystym, bezchmurnym nieboskłonie.

Ktoś tu śni, pomyślał Joe. Tęskni za Helter Incendo. Ten ktoś był tam i widział to wszystko na własne oczy.

Człowiek. Gdzieś tutaj był jakiś człowiek. Jak przypuszczał Joe, więzień Iadów, zamknięty w świetlistej spirali, strzeżony przez pozostałości ciał i ich słabości.

Nie mógł tego kwestionować, nie wiedział, czy ów byt po prostu wtopił go w swe wizje, czy wiedział, że nie jest już sam. Jeżeli tak, to Joe może będzie w stanie go uwolnić, wyrwać z sennej celi.

Jego ciekawski duch okręcił się dokoła i zawrócił w stronę wylotu przesmyku, w nadziei, że więzień pospieszy za nim. Nie rozczarował się - po kilku sekundach przejście znów zaczęło się rozszerzać, a gdy się obejrzał, poczuł moc bezokiego spojrzenia.

Skutki ucieczki ujawniły się niemal natychmiast. Na ścianach wokół nich pojawiły się pęknięcia i popłynął z nich śluz, który Joe ujrzał po raz pierwszy wpływający między łuski, gdy zbliżał się do tajemniczego przejścia. Nie była to, jak rozumiał, krew Iadów, ale raczej ich pierwotna substancja, która dopiero po pewnym czasie przybierała te odrażające, chore kształty. Mimo jednak swej plugawości, w ich rozprzestrzenianiu się było coś, co trąciło desperacją. Czy odważy się wierzyć, że oni lub umysł, który nimi kierował, boi się? Może nie jego, ale tego, co deptało po jego widmowych piętach - śniącego bytu, który Joe obudził swą obecnością?

Im większy dystans pokonali, tym bardziej Joe upewniał się w tym przekonaniu. Pęknięcia były teraz szczelinami, błoto Iadów wylewało się z nich na drogę, którą przepływali. Obcy byli jednak szybcy jak żywe srebro. Zanim Iadowie zdążyli zablokować im wyjście drapieżnymi okrucieństwami, wymknęli się ze spirali, śmigając między widmami, które wydostawszy się z więzienia rozpierzchły się we wszystkie strony. Niektóre wyglądały, jakby z ich odartych ze skóry boków wyrastały skrzydła, inne wydawały się przenicowane, jeszcze inne przypominały stada spalonych ptaków zszyte w jedną, mrozącą krew w żyłach postać. Pomknęły za uciekinierami przerażającą, podstępą hordą. Szepty zmieniły się teraz we wrzaski, istoty wpadały na pajęczce pasma, zrywały je i ciągnęły za sobą, tak że kiedy Joe spojrział za siebie, zobaczył, jak pajęczyna trzęsie się na wszystkie strony, a z jej włókien posypał się deszcz martwej materii, która schłostała jego ducha niczym czarny grad.

Ulewa ta w okamgnieniu stała się tak gwałtowna, że Joe zupełnie utracił kontakt ze śniącym. Usiłował zawrócić i odnaleźć bratnią duszę, ale horda przyspieszyła tempa i naparła nań jak szarżujący, upiorny żywy mur, poprzedzany gęstym, siekącym gradem. Poczł jedno, drugie, trzecie uderzenie, każdy kolejny atak odrzucał go dalej w tył, jednocześnie oślepiając, aż przestał widzieć kopułę, otchłań czy cokolwiek, co znajdowało się pomiędzy nimi. Przez chwilę Joe wirował ponad ciemnościami, nie wiedząc z której strony tu przybył, gdy wtem, ku jego zdziwieniu, otulił go kokon oślepiającego światła i nagle znalazł się na otwartej przestrzeni, spadając w dół jak kamień.

Poniżej ujrzał morze snów, wzburzone wskutek nadejścia Iadów, w oddali za nim zaś

miasto i port, gdzie kotwiczące statki unosiły się na grzbietach fal tak wysokich, że już wkrótce zostaną rzucone na tamtejsze ulice.

Był to, rzecz jasna, Liverpool. Podczas gdy Joe wędrował wewnątrz żołądka lub głowy Iadów, tamta istota przepłynęła nad Quiddity i niemal znalazła się w progu przejścia pomiędzy światami. Spadając wśród gradu Iadów, Joe miał jeszcze czas spojrzeć na brzeg, w kierunku drzwi. Wciąż jeszcze spowijały je opary mgieł, ale widział już ciemną szczelinę i wydawało mu się, że dostrzegł również jedną z gwiazd błyszczącą na niebie nad Harmon's Heights.

A potem, w chmurze materii Iadów, uderzył w wodę i zanim zdołał uwolnić swego ducha od ciężaru, z głębiny pod nim podniosła się fala. Wysklepiwszy się w górę, przeniosła Joego ponad najróżniejszymi odpadkami w kierunku ulic miasta, gdzie pozostawiła go osamotnionego w posępnym cieniu potęgi, która go wydalila.

# Rozdział VI

## 1

- Szczęściarz z tego Joego - powiedziała twarz górująca nad Phoebe. Była spękana jak koryto Potoku Ungera w czasie suszy. Phoebe uniosła głowę z twardej poduszki.

- Co z nim?

- Mówię tylko, że ma cholerne szczęście, zważywszy jak o nim mówisz.

- A co mówiłam?

- Głównie powtarzałaś jego imię - odrzekł Król Teksas.

Spojrzała poza jego błotniste ramię. Jaskinia z tyłu była ogromna i wypełniona ludźmi - stojącymi, siedzącymi i leżącymi.

- Czy oni mnie słyszą? - zwróciła się do Teksasa.

Uśmiechnął się konspiratorsko.

- Nie - odparł. - Tylko ja.

- Czy coś sobie złamałam? - spytała, przesuwając wzrok po swym ciele.

- Nie - powiedział. - Nie pozwoliłbym, aby tu, na dole, została przelana choć kropla kobiecej krwi.

- Co to ma być? Pech?

- Najgorsze - odparł. - Najgorsze z możliwych.

- Co z Musnakaffem?

- A co miałyby być?

- Przeżył? - Król Teksas pokręcił głową. - A więc mnie ocaliłeś, a jego nie?

- Przecież ją ostrzegałem, czyż nie? - powiedział nieomal z irytacją w głosie. - Uprzedziłem, że go zabiję, jeżeli ona nie zawróci.

- To nie była jego wina.

- Moja również nie - odparł Teksas. - Tylko jej. Jak zawsze.

- Czemu więc nie spróbujesz o niej zapomnieć? Masz sporo towarzystwa.

- Wcale nie.

- A oni? - Wskazała na ludzi za jego plecami.

- Przyjrzyj się im uważniej - powiedział.

Zdezorientowana usiadła i już po chwili zrozumiała, jak bardzo się pomyliła. To co

wzięła za gromadę ludzi, było w rzeczywistości grupą rzeźb, wykutych w kamieniu, wykonanych z błyszczącej rudy lub granitu, tak pobieżnie, że wyglądem ledwie przypominały człowieka.

- Czyje to dzieło? - spytała. - Twoje?

- A kogóż by innego?

- Więc tu na dole naprawdę jesteś zupełnie sam?

- Nie z własnej woli, ale tak.

- Zrobiłeś te posągi, aby dotrzymywały ci towarzystwa?

- Nie. To były moje próby znalezienia formy, która mogłaby zdobyć serce Pani O'Connell.

Phoebe zwiesiła nogi z łóżka i wstała.

- Mogę się im przyjrzeć? - zapytała.

- Proszę bardzo. - Odsunął się, by ją przepuścić. Kiedy go minęła, wyszeptał: - Nie mógłbym ci niczego zabronić.

Phoebe udała, że nie słyszy jego słów, podejrzewając, że podjęłaby w ten sposób nader śliski temat, a wcale nie miała na to ochoty.

- Czy widziałeś kiedykolwiek któregoś z tych ludzi? - spytała, krążąc pomiędzy posągami.

- Jednego czy dwóch - powiedział z wyraźnym smutkiem. - Ale żaden z nich nie wywarł na niej większego wrażenia.

- Może błędnie rozumiem... - zaczęła Phoebe.

- Co błędnie rozumiesz?

- Powód, dla którego przestała się tobą interesować. Jestem przekonana, że to nie ma nic wspólnego z tym, jak wyglądasz. Poza tym ona i tak jest na wpół ślepa.

- W takim razie, czego jeszcze chce? - jęknął Król Teksas. - Wybudowałem jej autostradę, zbudowałem port. Wyrównałem grunty, aby mogła wyśnić na nich miasto.

- Czy była piękna? - spytała Phoebe.

- Nigdy.

- Ani trochę?

- Nie. Była już stara, kiedy spotkałem ją po raz pierwszy. A potem ją powiesili. Brudną, cuchnącą, wulgarną...

- Ale?

- Ale co?

- Było coś, co w niej kochałeś.

- O tak - przyznał półgłosem.

- Co?

- Po pierwsze, ten ogień, który miała w sobie. Pragnienie. I, rzecz jasna, opowieści.

- Opowiadała ciekawe historie?

- Ma w sobie irlandzką krew, więc to rozumie się samo przez się. - Uśmiechnął się do siebie. - Właśnie tak stworzyła swoje miasto - wyjaśnił. - Opowiadała je, noc po nocy. Siedziała na ziemi i opowiadała je. A potem usnęła, a rano to co opowiedziała, już tam było. Domy, pomniki, gołębie, zapach ryb, mgła, dym. Tak stworzyła to wszystko. Poprzez opowieści i sny, sny i opowieści. Cudowny widok. Wspaniale było to widzieć. Chyba nigdy nie byłem równie zakochany, jak w owe dni, rano, gdy wstawałem i patrzyłem, co nowego stworzyła.

Słuchając tych słów, Phoebe poczuła do niego większą sympatię. Teksas był prawdopodobnie naiwnym, zakochanym głupcem, jak powiedziała Maeve, i najzwyczajniej miał lekkiego bzika, ale dość dobrze rozumiała jego uczucia.

Gdzieś w górze nad nimi rozległ się głośny łoskot i z popękanego sklepienia posypał się kurz.

- Iadowie przybyli - powiedział Król.

- O Boże!

Jego oczy-kamyki wywróciły się w oczodołach.

- Obawiam się, że mogą obrócić jej miasto w perzynę - dorzucił. W głosie Teksasa pobrzmiwał przesycony smutkiem spokój.

- Nie chcę zostać tu pogrzebana.

- Nie umrzesz - mruknął - To, co powiedziałem Maeve, jest prawdą. Iadowie przetoczą się przez te ziemie, ale skała pozostanie. Tu, ze mną, jesteś bezpieczna.

Wstrząsy się powtórzyły. Phoebe zadrżała.

- Jeżeli się denerwujesz, pozwól, że cię przytulę - powiedział Teksas.

- W porządku - zapewniła go. - Nic mi nie jest. Chciałabym tylko zobaczyć, co się dzieje tam, na górze.

- Spokojnie - mruknął. - Chodź ze mną.

Król prowadził ją przez labirynt swego królestwa, na którego ścianach dziesięć tysięcy razy modelował i przetwarzał wygląd swej twarzy, przygotowując się do sceny miłosnej, która, jak teraz wiedział, nigdy nie nastąpi, głośno medytując na temat życia w skałe. Jednak jako że tumult i drgania przybierały na sile z każdym krokiem, ściany skrzybiały i trzęsły się, a ze sklepienia sypał się grad drobnych kamyków, Phoebe udało się wychwycić zaledwie

fragmenty owego monologu.

- Skala wcale nie jest tak solidna - powiedział w którymś momencie. - Wszystko płynie, a jeśli będziesz przyglądać się temu dostatecznie długo... - W chwilę później wyznał: - Serce z kamienia, oto co tkwi w mej piersi, ale mimo to wciąż przeszywa je ból, dojmujący, głęboki... Kilka chwil potem zaś dodał: - San Antonio to dobre miejsce na śmierć. Chciałbym mieć nadal ciało, by położyć się w Alamo i umrzeć...

W końcu, po jakichś dziesięciu minutach wychwytywania takich fragmentów i strzępków monologu, Phoebe weszła do wielkiej komnaty, której posadzka lśniła jak lustro. Na niej właśnie, jak w peryskopie, odbijało się to, co działo się powyżej poziomu gruntu. Był to zatrważający widok - kłębiąca się ciemność Iadów zalała uliczki miasta, którymi szła zaledwie przed kilkoma godzinami, niosąc przed sobą żalosne pozostałości tego, co owe istoty obróciły w perzynę po drodze. Ujrzała, jak jedną z ulic toczy się głowa odłupana z jakiegoś gigantycznego pomnika, rujnując budynki, które znalazły się na jej drodze. Zobaczyła coś, co wyglądało jak maleńka wysepka porzucona pośrodku miejskiego skweru. Wśród wieżyczek katedry spoczęło kilka statków, ich żagle rozpostarły się, jakby okręty miały odpłynąć przed nadejściem kolejnego podmuchu wiatru.

Wśród tych szczątków dostrzec można było nieskończone ilości istot wyłowionych z odmętów morza snów przez przechodzących nad falami Iadów. Najwięcej było fantazji na temat ryb - całe lśniące ławice najdziwniejszych form życia unosiły się falami ponad dachami miasta, by po chwili opaść w dół migotliwą, zachwycającą kaskadą. Dużo bardziej niezwykle były stworzenia wydobyte, jak sądziła Phoebe, z najgłębszych otchłani Quiddity, a ich kształty zainspirowane zostały (lub były inspiracją) opowieściami marynarzy z całego świata. Czy te śliskie zwoje nie należały do węża morskiego o ślepiach jak gorejące węgle? Czyż tamta bestia, oplatająca mackami uwięziony na mieliznie statek, nie była matką wszystkich kałamarnic?

- Do diaska! - zaklął Król Teksas. - Nigdy nie lubiłem konkurować z tym miastem o jej względy, ale nie mogę pozwolić, by spotkał je taki koniec.

Phoebe nie odezwała się ani słowem. Przeniosła wzrok ze szczątków na Iad Uroboros. To, co ujrzała, sprawiło, że jej umysł opanowała choroba - przeraźliwa, nieuleczalna, żarłoczna choroba. To nie miało żadnego oblicza. Nie znało pojęcia zła. Nie miało wyrzutów sumienia. Może nawet nie miało umysłu. Przybyło, ponieważ mogło to uczynić, ponieważ nic go nie powstrzymało.

- To zniszczy Everville! - powiedziała do Króla.

- Może.



- W tym przypadku nie ma żadnych „może” - zaprotestowała.

- Dlaczego się tym przejmujesz? - spytał. - Przecież i tak wcale ci się tam nie podobało, prawda?

- Nie - przyznała Phoebe. - Ale nie chcę również patrzeć, jak zostanie zniszczone.

- Nie musisz - mruknął. - Jesteś tutaj ze mną.

Phoebe zamyśliła się przez chwilę. Najwyraźniej nie zdoła skłonić Teksasa do interwencji w jej imieniu. Mimo to, może istniał inny sposób.

- Gdybym była Maeve... - zaczęła.

- Nie jesteś dość szalona.

- Niemniej, gdybym nią była, gdybym założyła miasto, tak jak ona założyła Everville, nie dzięki snom, lecz solidnej, wytężonej pracy...

- Tak?

- I ktoś chroniłby je dla mnie, czynił wszystko, by było bezpieczne...

Nie dokończyła. Nastąpiło piętnaście sekund kłopotliwego milczenia, podczas gdy Liverpool trząsł się i dygotał pod ich stopami. W końcu Król Teksas zapytał: - Czy pokochałabyś takiego kogoś?

- Może - odparła półgłosem.

- Mój Boże! - wyszeptał.

- Wygląda na to, że Iadowie skończyli już z miastem - zauważyła. - Zaczynają przesuwać się wzdłuż brzegu.

- Mojego brzegu - mruknął Król Teksas. - Jestem skałą, pamiętasz? Przeszedł po zwierciadle do miejsca, gdzie stała Phoebe i położył gliniastą dłoń na jej policzku. - Dziękuję - powiedział. - Dałaś mi nadzieję. Odwrócił się od niej ze słowami: - Zostań tu!

- Nie...

- Powiedziałem, zostań. I patrz.

Podczas rejsu do Mem-é b’Kether Sabbat Noe Summa Summamentis mówił o mocy Iad Uroboros, by wzbudzić grozę samą ich bliskością, ale do chwili, kiedy Joe znalazł się na ulicach Liverpoolu, nie miał okazji ujrzeć owej potęgi w działaniu. Na b’Kether Sabbat złowrogą moc Iadów trzymał w szachu ‘shu, a zanim została uwolniona, Joe stał się duchem, najwyraźniej odpornym na jej wpływy. Ich ofiarami natomiast stali się ci, którzy ocalili i krążyli pośród rumowisk wyludnionego miasta szlochając, krzycząc i błagając o uwolnienie

od ogarniającego ich szaleństwa. Niektórzy poddali się obłędowi i siedzieli wśród gruzów z beznamiętnym, tępym wyrazem twarzy. Inni, aby powstrzymać tę groźbę, posuwali się do okropnych aktów samookaleczenia, tłukli głowami o kamienie albo rozpruwali sobie piersi, by zatrzymać bijące w nich serca.

Nie mogąc w niczym pomóc, Joe szedł coraz dalej i dalej, pragnąc zapamiętać jak najwięcej obrazów zła i zniszczeń, których dopuścili się Iadowie. Może istniał gdzieś jakiś sąd, przed którym kiedyś odpowiedzą za swe zbrodnie. Jeżeli tak, gotów był zeznawać.

Na środku ulicy przed nim paliło się wielkie ognisko, jego płomienie rozjaśniały brudny półmrok. Podchodząc bliżej, ujrzał, że wokół ognia zebrało się około dwudziestu osób, które utworzywszy krąg, trzymały się za ręce i głośno modliły:

- Ty, który jesteś podzielony, stań się w naszych sercach jednością...

Niewątpliwie chodzi im o 'shu, pomyślał Joe.

- Ty, który jesteś podzielony...

Ich modły nie zostały jednak wysłuchane. Mimo iż Iadowie przerwali zagładę miasta i opuścili je, ulice przeniknięte były ich złowrogą, mroczną obecnością, a jedna z owych zjaw, wyglądająca jak czterometrowa kolumna ciemności, zbliżała się z drugiego końca ulicy do ogniska. Stojąca wraz z innymi młoda kobieta, której usta przypominały mięsistą różę, przerwała krąg i potrząsając gwałtownie głową zaczęła oddalać się od ognia. Sąsiad z lewej strony schwytał ją za rękę i pociągnął na powrót do ogniska.

- Weź się w garść! - rzucił ostro. - To nasza jedyna nadzieja!

Ale już było po wszystkim. Krąg, raz przerwany, utracił moc, którą miał posiadać i teraz wszyscy wyznawcy jeden po drugim poczuli moc złowrogiego wpływu Iadów. Jakiś mężczyzna wyjął nóż i zaczął wymachiwać nim przed sobą. Inny włożył dłoń do ogniska, wrzeszcząc, by to coś potwornego, co ujrzał, nie zbliżało się do niego.

Kiedy jednak to uczynił i uniósł wzrok, patrząc poprzez ogień, jego wykrzywiona grymasem bólu twarz nagle się rozluźniła. Wyjął rękę spomiędzy płomieni i spojrzał na Joego.

- Popatrzcie... - wymamrotał.

Joe był równie zdumiony, jak znajdujący się naprzeciw niego mężczyzna.

- Widzisz mnie? - zapytał.

Tamten nie usłyszał go jednak. Wrzeszczał jak opętany do pozostałych uczestników modłów: - Popatrzcie, popatrzcie!

Został zauważony przez kolejną osobę, kobietę, której twarz pokrywało mnóstwo

paskudnych siniaków, ale która na jego widok uśmiechnęła się ekstatycznie.

- Spójrzcie jak lśni - powiedziała.

- Zostaliśmy wysłuchani - wtrącił ktoś inny. - Modliliśmy się i zostaliśmy wysłuchani.

- Co widzicie? - zwrócił się do nich Joe.

Nic jednak nie wskazywało, że go usłyszeli. Wszyscy wpatrywali się tylko w miejsce, gdzie stał, i z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia, otwartymi ustami, nieruchomymi oczyma i nabożnym uniesieniem dziękowali, że się im objawił.

Jeden z wyznawców odwrócił się, by spojrzeć w głąb ulicy na zbliżającego się Iada. Już go tam nie było. Albo został wezwany do powrotu przez towarzyszy, albo zmusiła go do odwrotu moc radości, która nagle zaczęła się rozprzestrzeniać wokół ogniska.

Młoda kobieta, która pierwsza opuściła krąg, zbliżyła się teraz do Joego. Po jej policzkach płynęły łzy, a ciałem wstrząsały dreszcze, ale bez lęku podchodziła bliżej, pragnąc dotknąć świetlistej zjawy.

- Pozwól mi cię poznać - powiedziała, unosząc dłoń w stronę Joego. - Bądź ze mną na zawsze, na wieki.

Te słowa i pragnienie malujące się w jej oczach wprawiły go w zakłopotanie. Cokolwiek się tu wydarzyło, nic z tego nie rozumiał i bynajmniej wcale tego nie pragnął.

Nadal był Joe Flickerem. Nim i tylko nim.

- Nie mogę... - zaczął, choć wiedział, że nie mogą go usłyszeć i zmusił się do odejścia, do opuszczenia tego miejsca.

Odejście stąd było o wiele trudniejsze aniżeli przyjscie do ogniska Spojrzenia obecnych zdawały się spowalniać jego kroki i Joe musiał nieźle się natrudzić, aby się od nich uwolnić. Dopiero po przejściu pięćdziesięciu metrów, kiedy ich naturalna moc znacznie osłabła, obejrzał się za siebie. Wcześniej nie miał na to dość odwagi. Uczestnicy kręgu obejmowali się nawzajem i płakali ze szczęścia. Wszyscy, z wyjątkiem kobiety, która próbowała go dotknąć. Wciąż jeszcze patrzyła w stronę, w którą odszedł, choć był zbyt daleko, by móc ujrzeć jej oczy, wciąż czuł na sobie jej wzrok i wiedział, że niełatwo mu będzie uwolnić się od tego spojrzenia.

### 3

- Teksas! - ryknęła Phoebe. - Słyszysz mnie, do cholery?

Już dość dawno temu opuściła komnatę zwierciadlaną z tego prostego powodu, że pomieszczenie w każdej chwili groziło zawaleniem. Teraz, stojąc w tunelu z twarzami Króla,

bezwzględnie żądała, by się jej ukazał. Pamiętając, jak bardzo poruszyła go myśl o przelaniu w tym miejscu kobiecej krwi. wyszukała stopą odpowiednio ostry odłamek skały i nie namyślając się długo, rozcięła sobie przedramię tuż powyżej nadgarstka. Własna krew nigdy jeszcze nie wydawała się jej równie czerwona. Phoebe jęknęła z bólu, ale nie próbowała zatamować krwi i kiedy zakręciło się jej w głowie, oparła się plecami o kamienną ścianę.

- Co robisz?

Niemal natychmias pojawił się przed nią w postaci płynnej skały. Był wściekły.

- Powiedziałem ci: żadnego rozlewu krwi!

- W takim razie wypuść mnie stąd - rzuciła lodowatym tonem, mimo potu zalewającego jej czoło - albo będę krwawić dalej!

Drgania z każdą chwilą stawały się silniejsze. Ściany przeszywał drażniący uszy, świdrujący dźwięk, płynący jak z wielkiego, rozklekotanego silnika.

- Jestem skałą - powiedział.

- Stale to powtarzasz.

- Skoro mówiłem, że jesteś bezpieczna, to znaczy, że nic ci nie grozi.

Ściana za plecami Phoebe zatrzęsała się tak silnie, że kilka twarzy Króla spadło i roztrzaskało się o ziemię.

- Zabierzesz mnie z powrotem na górę, czy nie? - spytała ostro.

- Zabiorę - powiedział, odrywając stopy od podłoża i podszedł do niej. - Ale pójdziesz ze mną na moich warunkach.

Spojrzała na Teksasa lekko oszołomiona natrętnym pulsowaniem w skroniach.

- Co to znaczy... na twoich... warunkach? - zapytała.

Stwierdziła, że jego oblicze jest toporniejsze niż przedtem, jak maska wyciosana tępą siekierą.

- Jeżeli cię zabiorę - oświadczył - to tylko tak, w ten sposób. - Rozłożył szeroko ręce. - Dla własnego bezpieczeństwa musisz być otoczona przez skałę. Zgadzasz się?

Skinęła głową. To nie wydawało się jej takie straszne. Był skałą, Królem i nawet jeżeli miał serce z kamienia, wiedział co to miłość. Umiał kochać.

- Zgadzam się - odpowiedziała i przyłożywszy dłoń do zranionego ramienia, żeby zatamować krew, pozwoliła, by zamknął ją w swych ramionach.

## Rozdział VII

### 1

Grillo nie znał się na dzieciach, ale nie miał wątpliwości, że odgłosy wydawane przez małą, którą trzymała Jo-Beth, nie były w porządku.

- Co jest z nią nie tak? - spytał.

- Nie wiem.

- Wydaje się, jakby się dusiła

- Może powinieneś stanąć.

Dziecko zaczęło mieć lekkie konwulsje, drgawki nasilały się z każdym silniejszym wstrząsem wozu. Grillo zwolnił, ale Jo-Beth to nie zadowoliło.

- Zatrzymaj! - poleciła. - Stańmy na minutę lub dwie.

Spojrzał na małą Amy, która pochlipywała żałośnie. Z wyraźnym wahaniem zjechał na pobocze i zatrzymał wóz.

- Chce do tatusia - powiedziała Jo-Beth.

- On nas dogoni.

- Wiem - ciągnęła dziewczyna. Szloch dziecka przycichł. - Czemu nas tu nie zostawisz?  
- zapytała. - Jeżeli nas odnajdzie, przestanie interesować się tobą. Nie będzie cię ścigał.

- O czym ty mówisz, do cholery?

- Wiem, że zrobiłeś to, co uważałeś za słuszne. Ale to nie było słuszne. Amy wie o tym tak samo jak ja.

- Mówisz o Tommym-Rayu.

- Mamy być razem - powiedziała - Albo umrzemy. Wszyscy umrzemy.

Grillo spojrzał na dziecko, które tuliła.

- Nie wiem, czy jesteś otumaniona, porąbana, czy zwyczajnie obłąkana, ale nie ufam ci już i nie pozwolę zajmować się Amy.

Wyciągnął ręce, aby odebrać jej małą. Natychmiast przycisnęła dziecko mocniej do siebie, ale Grillo nie ustąpił. Brutalnie wyrwał Amy z ramion matki.

Ku jego zdumieniu Jo-Beth nie próbowała mu jej odebrać. Spojrzała na szosę.

- On nadchodzi - powiedziała i sięgnęła dłonią klamki.

- Zostań w samochodzie.

- Ale on n a d c h o d z i...

- Powiedziałem...

Za późno. Nacisnęła klamkę i otworzyła drzwiczki. Grillo schwycił ją za ramię, lecz wyslizgnęła mu się i wypadła na szosę.

- Wracaj tu! - ryknął.

Podmuch wiatru zakołysał autem. Jeden, a potem drugi, jeszcze gwałtowniejszy. JoBeth, z rękami na piersiach, stała teraz na środku drogi, kołysząc się na piętach. Wozem znowu zatrzęsło. Tym razem Grillo wiedział, że nie może na nią czekać. Gdyby wysiadł po dziewczynę, zaczęłaby uciekać, a tymczasem jej ukochany Chłopiec Śmierci wciąż zmniejszał dzielący ich dystans.

Delikatnie ułożył małą na fotelu pasażera i właśnie miał zamknąć drzwiczki, kiedy podmuch gorzkiego, brudnego powietrza uderzył go w twarz, rzucając bezwładnie na siedzenie. Rąbnął mocno głową w szybę, jednak schwycił kierownicę i znów zaczął się podnosić, jednocześnie sięgając drugą ręką po dziecko. Wtedy kurz wypełnił wnętrze samochodu tworząc palce, które sięgały oczu Grillo i wdzierały się do gardła, aż zaczął się dławić.

Oślepiiony, wciąż szukał obok siebie małej, a kołysanie wozu wzmogło się jeszcze bardziej. Grillo sięgnął po kocyk i pociągnął go ku sobie, ale w tej samej chwili duchy ustawiły samochód na dwóch kołach; auto zachybotало się niebezpiecznie, rozległo się skrzypienie karoserii. Przysuwał kocyk ku sobie, powolutku, obawiając się, że w każdej chwili zjawy z pyłu wyjmą dziecko z becika, podczas gdy legion upiorów, mocą swej woli i podmuchami wiatru, atakował samochód ewidentnie zamierzając go przewrócić. Być może niektórzy z dręczycieli Grilla zostali odwołani w inne miejsce, gdyż palce atakujące jego oczy i krtani zniknęły. Otarł ręką twarz, by odzyskać ostrość widzenia, a kiedy otworzył oczy, stwierdził, że w kocyku, który trzymał, nie było nic. Chwycił deskę rozdzielczą i podciągnął się ku otwartym drzwiom, zdecydowany za wszelką cenę odzyskać Amy. W tej samej chwili przednia szyba rozprysnęła się w drobny mak i poprzez kurz i odłamki Grillo ujrzał twarze porywaczy; było ich cztery czy pięć, wyrzeźbione w pylistym powietrzu, wyszczerzone w ironicznych uśmiechach na widok jego desperackich poczynań.

- Dranie! - ryknął. - Dranie!

Dźwięk jego głosu sprawił, że Amy zaczęła płakać. Nie zabrały jej jednak, po prostu mała zsunęła się między fotele i cała i zdrowa leżała na podłodze z tyłu za nim.

- Już dobrze - powiedział i puścił deskę rozdzielczą, aby sięgnąć po dziecko. Kiedy to uczynił, wóz przechylił się do pozycji, z której nie mógł już stanąć na czterech kołach i

przewrócił się na bok. Przez brzęk tłuczonego szkła i zgrzyt metalu Grillo usłyszał okrzyk Chłopca Śmierci:

- Przestańcie!

Rozkaz przyszedł zbyt późno. Wóz przekoziółkował na dach, który pod wpływem upadku został poważnie wgnieciony. Pozostałe szyby implodowały do wnętrza auta, ze schowka na rękawiczki wysypały się drobne przedmioty.

W panującym dokoła chaosie nad umysłem Grilla przejął kontrolę instynkt i w chwili upadku mężczyzna mocno przytulił dziecko do siebie. Jego kruche ciało pękło i rozdarło się jak stare płótno. W piersiach i żołądku poczuł pieczenie, jak przy zgadze. A potem wóz znieruchomiał i nastąpiło coś przypominającego ciszę. Przez chwilę Grillo sądził, że mała nie żyje, ale Amy najwyraźniej zamilkła wskutek szoku, ponieważ słyszał w ciemności tuż obok jej urywany, nerwowy oddech.

Leżał do góry nogami, z nogami rozrzuconymi szeroko, a z krocza po jego ciele spływało coś lepkiego. Poczował znajomy, cierpki odór. Złaził się w spodnie. Usiłował zmienić pozycję, ale coś mu to uniemożliwiał. Uniósł dłoń do piersi i palce odnalazły kawałek śliskiego, mokrego i ostrego metalu wystający z jego ciała o kilka centymetrów od lewego obojczyka. Nie czuł bólu, choć nie miał wątpliwości, że szpikulec przebił go na wylot.

- O Boże... - wyszeptał Grillo i niezdarnie, z wahaniem sięgnął ręką do miejsca, skąd dobiegał oddech Amy. Wydawało mu się, że ruch ten zajął mu całe wieki. W czasie, kiedy tak sięgał w jej stronę, mógł spokojnie pomyśleć o Tesli i ludzić się nadzieją, że nie zobaczy go takim jak teraz, w oplakany stan. Tyle wycierpiała i mimo tak długich poszukiwań i ciężkich przeżyć tak mało osiągnęła.

Jego palce odnalazły twarzyczkę dziecka i powolutku dłoń mężczyzny przesuwająca się po maleńkim ciałku. Ręka zaczynała już drętwieć, ale o ile mógł to stwierdzić - i to dodało mu otuchy - mała nie krwawiła. Po chwili raz jeszcze sięgnął dłonią do buzi Amy, a mała ujęła go za palec i przytrzymała. Zdumiała go jej siła. Jak również ucieszyła, bowiem oznaczało to, że dziewczynka nie odniosła żadnych poważniejszych obrażeń. Zażądał, aby jego ciało zaczerpnęło jeszcze jeden, lekki oddech i mięśnie wypełniły polecenie. Pozwolił, by odrobina powietrza napłynęła do jego spragnionych płuc. Wystarczyło go w sam raz na wypowiedzenie paru słów.

Wykorzystał je właściwie.

- Jestem tu - rzekł do Amy i umarł tak cicho, iż nawet nie zorientowała się, że odszedł.

Zanim jeszcze skręcili za róg, Tesla usłyszała upiorną kakofonię; narastający jęk skargi. Zatrzymała motocykl i zaparkowała przy zakręcie.

- Cokolwiek tam napotkamy - rzekła do Howie'ego, kiedy zsiadli z siodełka - pamiętaj, trzymaj nerwy na wodzy.

- Chcę tylko odzyskać żonę i dziecko.

- Odzyskasz - zapewniła go Tesla. - Ale wiedz, że brutalna siła nie zda się nam na wiele. Jedno słowo i jesteśmy martwi. Zastanów się nad tym. Martwy nie przydasz się na nic Jo-Beth ani Amy.

To rzekłszy skręciła za róg. Nie ustawiono tam ulicznych latarni, ale droga była dość jasno oświetlona blaskiem księżyca i gwiazd. Bez trudu ujrzeli wóz Grilla, przewrócony i porozbijany. Obok auta stała, najwyraźniej cała i zdrowa, Jo-Beth. Nie było nigdzie widać Grilla ani małej.

Tommy-Ray karciał swoje wojska; widma płożyły się u jego stóp jak zbite psy.

- Głupcy! - wrzeszczał na nie. - Cholerni głupcy!

Sięgnął w głąb wirujących oparów i wyjąwszy dwie strzępiaste garście mglistej substancji uniósł je na wysokość twarzy. Zwisaly żałośnie między jego palcami.

- Dlaczego nie potraficie nauczyć się tak prostych rzeczy?

Szept duchów był teraz pełen trwogi. Niektóre błagalnie odwracały ku niemu udręczone twarze, inne ukrywały i pochylały głowy, najwyraźniej wiedząc, co je czeka.

Tommy-Ray otworzył usta szerzej niż pozwalała na to anatomia i włożył dwie garści eterycznej substancji między zęby. Następnie wessał je w siebie, pochłaniając jednym potężnym haustem. Tesla ujrzała szlochające i wzdychające widmowe twarze, jak znikaly w przetyku Chłopca Śmierci, podczas gdy następne w kolejności widma jęły cofać się gorączkowo, usiłując uniknąć losu swych poprzedników. Lekcja wszelako najwyraźniej dobiegła końca, ponieważ Tommy-Ray, ująwszy skrawki materii zwisające z kącików jego ust, z całej siły zacisnął zęby, miażdżąc widmowe tkanki. Strzępki eteru opadły łagodnie. Chłopiec Śmierci nie próbował ich chwycić.

Ci, którzy ocaleli, wybełkotali niezborne słowa wdzięczności i kuląc się pokornie wycofali się na bezpieczną odległość.

Całe to zdarzenie nie trwało dłużej niż piętnaście sekund. W tym czasie Tesla i Howie pokonali połowę dystansu od rogu ulicy do samochodu. Do auta pozostało jeszcze około dwudziestu pięciu metrów i groziło im, że zostaną zauważeni, jeżeli Tommy-Ray obejrzy się w ich stronę. Na szczęście ten miał obecnie inny obiekt zainteresowania - Jo-Beth. Podszedł do niej i zaczęli rozmawiać o czymś z ożywieniem. Nie cofnęła się przed nim. Nawet kiedy



Chłopiec Śmierci uniósł dłonie ku jej twarzy i zaczął gładzić policzki, włosy i wargi, stała przed nim kompletnie niewzruszona.

- Chryste... - wyszeptał Howie.

Tesla obejrzała się przez ramię.

- Tam jest coś żywego - powiedziała, wskazując samochód Grilla.

Howie wyteżył wzrok.

- Nic nie widzę - powiedział, powracając wzrokiem do bliźniaków. - Nie powinien był tego robić - warknął i minawszy Tesłę ruszył w ich stronę.

Uczył to tak szybko, że Tesla nie miała innego wyjścia, jak również wziąć się do dzieła. Pospieszyła w stronę samochodu, wpatrując się we wnętrze ciemnej bryły zmaltretowanego metalu w poszukiwaniu oznak życia. Dostrzegła jakieś delikatne poruszenie. Od samochodu dzieliło ją teraz może dziesięć metrów, woń benzyny drażniła nozdrza. Pochylona, rażno obeszła samochód, by oddzielić ją od Tommy'ego-Raya. Mimo iż starała się od tego odciąć, wiatr przywiał do niej strzępki słów, które Chłopiec Śmierci kierował do Jo-Beth.

- Będzie więcej... - mamrotał. - Dużo więcej...

Tesla uklękła w kałuży rozlanej benzyny i zajrzała do wraku, po czym licząc, że słowa Tommy'ego-Raya zagłuszą jej głos, zawołała:

- Grillo?

Kiedy to powiedziała, jej wzrok zaczął wychwytywać pokręcone kształty wylaniające się przed nią z mroku. Odwrócony fotel, rozsypane mapy. A wśród nich - och! - rękę Grilla. Tesla dotknęła jej, ponownie szepcząc jego imię. Odpowiedzi nie było. Wsunęła głowę do auta przez wybitą szybę i zaczęła wyrzucać na zewnątrz rzeczy, które blokowały jej dostęp do leżącego. Strużka oleju pociekła jej na włosy i spływała po twarzy. Wytarła ją wierzchem dłoni i ponownie wzięła się do pracy. Tym razem usunęła fragment fotela - odrzuciła go na bok, dzięki czemu zdołała go wreszcie ujrzeć. Twarz miał na wpół odwróconą w jej stronę, a gdy go zobaczyła, raz jeszcze wymówiła jego imię, choć w tej samej chwili zrozumiała, że tylko marnuje czas. Grillo nie żył, przebity jakimś metalowym szpikulcem. Pomimo iż wyglądało to dość koszmarnie, wyraz twarzy Grilla świadczył, iż umierając nie cierpiał. Wyglądał niemal pogodnie.

Kiedy przesunęła palcem po jego policzku, w ciemności coś się poruszyło. Amy, to była Amy! Tesla wsunęła się ostrożnie do rozbitego auta, aż jej twarz znalazła się w pobliżu przebitej metalowym szpikulcem piersi Grilla i spojrzała ponad jego ramieniem w mrok. Leżało tam dziecko; oczka miało wilgotne i rozszerzone, w rączce ścisnęło palec wskazujący

lewej dłoni zmarłego. Nie było mowy o poruszeniu trupa. Tesla nie miała co do tego żadnych wątpliwości, Grillo i jego samochód byli teraz nierozłączni. Jediną nadzieją dla niej - i małej Amy - było, że zdoła sięgnąć ponad ciałem i unieruchamiającym go prętem, po czym przeciągnie jakoś dziecko przez wąski przesmyk ograniczony od dołu fotelem z martwym ciałem, od góry zaś silnie wgniecionym dachem. Wpełzła do wraku na tyle, na ile była w stanie i wyciągnęła ręce ponad trupem Grilla - jej piersi dotknęły lepkiego od krwi torsu, aby dosięgnąć małej.

W tej samej chwili, gdy to uczyniła, usłyszała głos Tommy'ego-Raya.

- Martwy... - mówił.

Tym razem wyraźnie usłyszała odpowiedź. Nie była to odpowiedź Jo-Beth lecz Howie'ego. Tesla wychwyciła tylko kilka słów; to wystarczyło jednak, aby zorientowała się, że adresował je do żony, a nie do jej brata.

- Mów dalej - szepnęła Tesla. Im dłużej Howie odwracał uwagę Tommy'ego-Raya, tym większą miała nadzieję, że wydostanie małą z wraku.

Dzięki łagodnej perswazji zdołała zdjąć rączkę Amy z palca Grilla i uniosła dziecko nad ciałem zmarłego, wycofując się przy tym tyłem z samochodu. Przez cały czas mała była dziwnie spokojna i cicha. To skutek szoku, skostatowała Tesla.

- Już dobrze - powiedziała łagodnie, usiłując uśmiechać się do małej uspokajająco. Amy spoglądała na nią mętym wzrokiem. Prawie wydostały się z auta. Przekonana, że już nigdy nie ujrzy Grilla, Tesla po raz ostatni przyjrzała się jego twarzy.

- Już niedługo - obiecała. - Bardzo niedługo.

A potem uklękła, tuląc do siebie małą i wolno zaczęła się podnosić.

Po drugiej stronie wraku Tommy-Ray krzyczał. W jego głosie brzmiał chór innych z donośnością, jakiej Tesla nigdy dotąd nie słyszała, jakby wspomagał go zespół pozartych niedawno umarłych, których głosy splatały się teraz z jego własnym.

- Powiedz mu! - Głosy zwróciły się do Jo-Beth: - Powiedz mu prawdę...

Oddaliwszy się od wraku, Tesla wreszcie odważyła się wstać, przypuszczając (jak się okazało słusznie), że Chłopiec Śmierci będzie zbyt zajęty, aby spojrzeć w jej stronę. Stał za siostrą, trzymając obie dłonie na jej ramionach.

- Powiedz mu, jak to jest między nami - rozkazały głosy.

Rysy Jo-Beth nie były już beznamiętne. Zwrócona twarzą do męża, którego niepokój był aż nazbyt widoczny, mogła jedynie biernie poddawać się manipulacji. Tommy-Ray potrząsnął nią lekko.

- Dlaczego tego z siebie nie wydusisz? - spytał z naciskiem.

- Nic już nie wiem - odrzekła dziewczyna.

Na dźwięk jej głosu dziecko w ramionach Tesli zaczęło pochlipywać. Tesla zamarła, gdy trzy pary oczu skierowały się w jej stronę.

- Amy! - zaszlochała dziewczyna i pozostawiwszy dwóch mężczyzn, między którymi stała, z wyciągniętymi ramionami rzuciła się w stronę dziecka. - Oddaj mi ją!

Znajdowała się o metr lub dwa od wraku, kiedy Tommy-Ray zawołał:

- Zaczekaj! - Krzyknął takim tonem, że Jo-Beth musiała go usłuchać. - Zanim dotkniesz tego dziecka - ostrzegł Tommy-Ray - chciałbym wyjawić mu, czyje ono jest.

W przeciwieństwie do obu mężczyzn Tesla mogła teraz dostrzec twarz Jo-Beth. Widziała, że w sercu kobiety toczy się zażarta walka.

- O czym t-t-ty m-m-mówisz? - zapytał Howie.

- Ona chyba nie chce ci tego powiedzieć - odrzekł Tommy-Ray. - Ale ja chcę. Chcę, abys wreszcie się tego dowiedział. Już od jakiegoś czasu się kontaktowaliśmy, bo chciałem wiedzieć, jak się miewa moja mała siostrzyczka i nie uwierzyłbyś, ale zgraliśmy się wręcz idealnie. Dzieciak jest mój, Katz.

Howie skierował wzrok na Jo-Beth.

- Powiedz mu, że k-k-kłamię - wykrztusił. Dziewczyna nawet nie drgnęła. - Jo-Beth? P-p-powiedz mu, że k-k-kłamię! Wyjął z kieszeni pistolet - Tesla widziała jak upuścił go na parking; najwidoczniej podniósł go, zanim ponownie wsiadł na motor, po czym machnął bronią w stronę żony.

- Chcę, żebyś m-m-mu p-p-powiedziała! - wrzasnął. - On k-k-kłamię!

Tesla powiodła wzrokiem od jego twarzy, przez pistolet, twarz Jo-Beth, ku wilgotnej ziemi i w jej umyśle pojawiły się wspomnienia Pasazu Handlowego w Palomo Grove. Fletcher, cały w benzynie, pragnący umrzeć w płomieniach. Pistolet w jej dłoni, gotowy, by skrzesać iskrę...

Tylko nie znowu, modliła się. Proszę Boże, tylko nie to.

Nie znowu.

Tommy-Ray wciąż szydził.

- Nigdy jej nie miałeś, Katz. Nie tak naprawdę. Tak ci się tylko wydawało, ale ona umie posuwać się bardzo głęboko, głębiej niż tobie kiedykolwiek udało się ją zgłębić. - Mówiąc te słowa poruszał wymownie wargami. - Naprawdę głęboko.

Howie spuścił wzrok, przyjrzał się kałuży benzyny rozlanej wokół stóp wroga i bez wahania nacisnął spust. Cała sekwencja wypadków - spojrzenie i strzał - nie trwała dłużej niż trzy lub cztery sekundy, ale tyle wystarczyło Tesli w zupełności, aby zaczęła się zastanawiać

nad rolę, jaką dla drzewa opowieści odgrywa synchroniczność zdarzeń.

Potem zaś pojawiła się iskra i płomień, a powietrze wokół Tommy'ego-Raya stało się złociste.

Howie wydał przeciągły okrzyk triumfu i przeniósł wzrok na żonę.

- Wciąż go chcesz? - zawołał.

Jo-Beth zachlipała.

- On mnie kocha - powiedziała.

- Nie! - krzyknął Howie i zaczął iść w jej stronę - Nie! Nie! Nie! To ja cię kocham... - Wskazał palcem na siebie. - Zawsze cię kochałem. Kochałem cię, zanim cię jeszcze poznałem...

Kiedy do niej podchodził, ogień buzujący dokoła Chłopca Śmierci zaczął przesuwać się po ziemi w tamtą stronę. Ale Jo-Beth go nie widziała. Wpatrując się w męża krzyczała: - Przestań, na Boga, przestań!

- Howie! - wrzasnęła Tesla. Spojrzał na nią. - Howie, ogień!

Teraz i on to zobaczył. Upuścił pistolet i pobiegł do Jo-Beth, krzycząc na całe gardło. Zanim pokonał połowę dzielącego ich dystansu, płomień, które przesłaniały Chłopca Śmierci, rozsunęły się na boki niczym kurtyna, i spoza nich wyłonił się Tommy-Ray. Palił się od stóp do głów. ogień buchał mu z ust, oczodołów, brzucha i krocza. To, że płonął, najwyraźniej niezbyt mu przeszkadzało. Szedł w stronę siostry powolnym, niemal swobodnym krokiem.

Ta widziała, jak się zbliżał i niewątpliwie rzuciłaby się do ucieczki, ale ziemia dookoła stała w ogniu i gdy Jo-Beth się cofnęła, jej sukienka znalazła się w płomieniach. Zaczęła krzyczeć i usiłowała gwałtownymi uderzeniami dłoni zdusić ogień, ale płomień żarłocznie pochłonął cienki materiał, przygotowując się do strawienia znajdującego się pod nim ciała.

Howie znajdował się teraz o kilka metrów od płomieni i rzucił się w nie bez wahania, rozkładając szeroko ramiona, aby pochwycić żonę.

O metr od niego znajdował się jednak Chłopiec Śmierci i schwycił go płonąca dłonią za kołnierz. Howie odwrócił się, usiłując uwolnić się z jego chwytu, wolną ręką zaś sięgnął po krzyczącą przeraźliwie Jo-Beth. Ogień dotknął jej długich włosów i zajęły się natychmiast - z czaszki Jo-Beth uderzył w górę wysoki słup ognia. Howie usiłował dosięgnąć żony; najwyraźniej zamierzał wynieść ją z pożogi. Ramiona miała rozłożone szeroko, a kiedy ją pochwycił, zacisnęła je wokół niego.

Tesla, podczas wędrówek, które doprowadziły ją w to miejsce, widziała wiele różnych koszmarów, żaden jednak - ani Pętla, ani Punkt Zero - nie przygotował jej na taką

potworność. Jo-Beth już nie krzyczała. Targała konwulsyjnie całym ciałem jak w tańcu Świętego Wita; drgawki były tak silne, że Howie nie mógł wyciągnąć jej z ognia. Nie mógł również uwolnić się od niej. Poczerniałe ręce kobiety zaciskały się wokół niego, czyniąc zeń więźnia otoczonego feerią płomieni.

Tommy-Ray zaczął nagle krzyczeć - był to piskliwy, obłąkańczy dźwięk. Zaczął odciągać Howie'ego od Jo-Beth lub przynajmniej próbował, ale ogień przeniósł się z żony na męża i teraz ciała obojga stały się jedną wielką kolumną płomieni. Konwulsyjne skurcze Jo-Beth ustały. Bez wątplenia nie żyła. W Howie'em jednak wciąż tliła się iskierka życia, na tyle mocna, że uniósł rękę z tyłu za głowę żony i położył na jej ramieniu, jakby mając za nic ogień i żar, tańczyli sobie swobodnie wśród pożogi.

Ten czuły gest był, jak się okazało, ostatnim. Przeżarte przez ogień nogi Howie'ego ugięły się i upadł na kolana, pociągając za sobą Jo-Beth. Do samego końca nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Para małżonków zdawała się klęczeć pośród ognia twarzą w twarz, dłoń Howie'ego wciąż podtrzymywała głowę Jo-Beth, która spoczywała oparta o ramię męża.

Tymczasem Tommy-Ray oddalił się od zwłok na przeciwną stronę drogi, gdzie oczekiwał go widmowy legion. Na wydane przezeń polecenie lub może bez niego, duchy zbliżyły się do Tommy'ego-Raya i unosząc się w górę, przesłoniły go zupełnie. Płomienie zostały stłumione i Chłopiec Śmierci osunął się ciężko na ziemię pośród swych wojsk. Z jego ust dobył się szloch. Raz po raz powtarzał imię swej siostry.

Tesla przeniosła wzrok na płomienie otaczające Howie'ego i Jo-Beth. Utraciwszy paliwo, ogień szybko zaczął przygasać. Ciała były szerniałe i pokurczone, ale wciąż można było dostrzec ramiona zmarłych obejmujących się wzajemnie.

Tesla usłyszała dochodzący zza jej pleców szloch. Nie zadała sobie trudu, by się odwrócić. Wiedziała, kto to.

- Zadowolona? - zwróciła się do dziewczynki. - Wracasz do domu?

- Już wkrótce - padła odpowiedź.

Tym razem nie usłyszała dźwięcznego głosiku dziecka. Tesla obejrzała się, zdezorientowana. Z tyłu za nią znajdował się trawiasty pagórek z tuzinem okazałych krzewów - obecnie uschniętych. Trójka świadków zasiadała na najwyższych gałęziach krzewów, ale wydawała się tak lekka, jakby zupełnie nic nie ważyła. Porzucili poprzedni wygląd na rzecz - jak przypuszczała Tesla - prawdziwych twarzy. Przypominali porcelanowe lalki; głowy mieli małe, proste rysy i niemal białą skórę. Ubrani byli z istic królewskim przepychem w wielowarstwowe, bogato złożone stroje. Nie różnili się zbytnio wzajemnie od siebie, ale Tesli najbliższa była chyba Panna Perfekcja, która, nawiasem mówiąc, właśnie się

do niej odezwała.

- A więc wybór był rzeczywiście trafny - powiedziała ona lub on. - Jesteś tą, o którą nam chodziło. Nasze nadzieje się ziściły.

Tesla przeniosła wzrok na Tommy'ego-Raya. Wciąż rozpaczał, otoczony oparem mgieł. Ale prędzej czy później przyjdzie po małą. Nie miała czasu na szczegółowe wypytywanie jej niechcianych protektorów. Tylko kilka pytań i będzie musiała zmykać.

- Kim jesteście, u licha?

- Jesteśmy Jai-Wai - odparła istota. - A ja jestem Rare Utu. Znasz już Yie i Haheha.

- Nic mi to nie mówi - stwierdziła Tesla. - Chciałabym wiedzieć kim, do cholery, jesteście.

- To zbyt długa historia, aby ją teraz opowiadać - odrzekła Rare Utu.

- Wobec tego nigdy jej nie poznam - mruknęła Tesla.

- Może tak będzie lepiej - uciął Yie. - Chyba powinnaś już jechać.

- Tak, jedź - włączyła się trzecia z istot. - Chcemy wiedzieć, co będzie dalej...

- Nie dość już się naoglądaliście? - burknęła Tesla.

- Nigdy dość - powiedziała niemal ze smutkiem Rare Utu.

- Buddenbaum pokazał nam dużo. Naprawdę dużo.

- Ale nie dość - dodał Yie.

- Może powinniście spróbować się zaangażować - zaproponowała Tesla  
Rare Utu się wzdrygnęła.

- Nie wolno nam. Nie ma mowy - powiedziała. - Nigdy.

- W takim razie nigdy nie będziecie usatysfakcjonowani - zauważyła Tesla i odwróciwszy się od nich ruszyła pędem w stronę swego motocykla. Raz po raz popatrywała przez ramię na Tommy'ego-Raya. Nie musiała się nim przejmować. Wciąż otaczały go skłębione opary legionu. Tesla wyjęła ze skrzynki narzędziowej dwa pasy bungee i starannie przypięła małą do siodełka. Następnie uruchomiła silnik, w głębi duszy oczekując, że na ten dźwięk widma natychmiast rzucą się w jej kierunku. Okazało się, że nie. Kiedy skręcała za róg, stwierdziła, że ani Chłopiec Śmierci, ani jego zjawy nie ruszyli się z miejsca. Minęła ich, oglądając się za siebie jeden jedyny raz, by sprawdzić czy Jai-Wai zniknęli z pagórka. Oczywiście już ich nie było. Nasycili się do woli w tym miejscu potrójną tragedią, niech ich piekło pochłonie, poszli szukać rozrywek gdzie indziej. Wobec tej trójki odczuwała tylko głęboką odrazę i pogardę. Nie ulegało wątpliwości, że należeli do istot wyższego rzędu, ale ich zainteresowanie ludzkimi cierpieniami budziło w niej wstręt. Tommy-Ray nie mógł sam sobie pomóc. Oni owszem.

Mimo wściekłości, jaką czuła wobec nich Tesla, wciąż powracały do niej słowa, które wypowiedzieli. I które - jak przypuszczała - będzie słyszeć w myślach, póki nie ogarnie jej wieczna cisza śmierci.

Co będzie dalej? - Brzmiało odwieczne pytanie. Co będzie dalej? Co będzie dalej? Co będzie dalej?

# Rozdział VIII

## 1

- Czy oni zamierzają cię ukrzyżować, D'Amour?

Harry odwrócił się od krzyży i spojrzał na małpiopodobne indywiduum, które wyłoniło się z mgły. Przybysz wydawał się wzorcem prostoty, jego ciemne ubranie nie zawierało nawet najmniejszego elementu próżności. Był ostrzyżony do gołej skóry, a szerokiej, pyzatej twarzy brakło kolorów. Mimo to miał w oczach coś, co Harry natychmiast rozpoznał.

- Kissoon? - Oblicze przybysza wykrzywił kwaśny grymas. - Mam rację, mam rację, prawda?

- Skąd wiedziałeś?

- Rozwiąż mnie, to ci powiem - zaproponował Harry. Był przywiązany do białego w ziemię pala.

- Nie jestem zainteresowany - burknął Kissoon. - Czy mówiłem ci już, jak bardzo podoba mi się twoje nazwisko? Nie imię, nie Harold. Harold brzmi idiotycznie. Nazwisko. D'Amour. Może przejmę je, kiedy znajdziesz się tam, na górze. - Skinął w stronę środkowego krzyża; Gamaliel i Bartho zdejmowali właśnie ciało kobiety. - Może będę miał setkę nazwisk - ciągnął Kissoon. I nagle, zniżając głos do szeptu, powiedział: - A może ani jednego. - To najwyraźniej go ucieszyło. Tak, chyba tak będzie najlepiej. Będę Człowiekiem Bez Imienia. - Uniósł dłonie do policzka. - I może również Człowiekiem Bez Twarzy.

- Wydaje ci się, że Iadowie uczynią cię Królem Świata? - zapytał Harry.

- Rozmawiałeś z Teslą.

- To się nie stanie, Kissoon.

- Znasz dzieła Filipa Psalmisty? Nie? Był pustelnikiem. Mieszkał na wyspie, maleńkiej wyspie u wybrzeży Piły Almotha. Mało kto odważył się tam dotrzeć, obawiano się prądów, które znosiły żeglarzy od brzegów wysepki Psalmisty i wyrzucały na klifach Iadów, ci jednak, którzy powrócili, posiadli część jego wiedzy...

- To znaczy?

- Zaraz do tego dojdę. Chodzi o to, że Filip Psalmista był ongiś władcą miasta b'Kether Sabbath i należał do przywódców wyrozumiałych, prawych i roztropnych, o których lud zawsze się modli i wspomina z szacunkiem, nawet gdy już odejdą. Mimo to, w jego mieście i



tak kwitły przemoc, nienawiść i zło. „Nie potrafię radzić sobie ze skazami Sapas Humana” rzekł któregoś dnia Filip i udał się na wyspę, by zostać pustelnikiem. Pod koniec życia, kiedy ktoś zapytał go, czego by życzył światu, odparł: „Marzę jedynie o kresie odwagi, współczucia i oddania. O kresie ludzkiej siły i ludzkiej wytrzymałości. Końcu więzi rodzinnych. Kresie zuchwałości kończącej się smutkiem i pociechy mającej swój koniec w radości. Kresie nadziei. Wówczas wszyscy będziemy mogli powrócić do stadium ryb i będziemy naprawdę szczęśliwi”.

- I ty pragniesz tego samego? - zapytał Harry.

- O tak. Pragnę końca...

- Czego?

- Po pierwsze, tego miasta - odparł Kissoon, skinąwszy głową w stronę Everville. Podeszedł nieco bliżej. Harry przyjrzał się jego twarzy, poszukując jakiejś szczeliny w masce, ale nie udało mu się znaleźć żadnej. - Straciłem sporo czasu na pozamykanie wszystkich Neirik na całym kontynencie - oznajmił. - Chciałem się upewnić, że kiedy w końcu Iadowie nadejdą, wejdą przez drzwi na tej właśnie górze.

- Nie wiesz nawet, czym oni są...

- W gruncie rzeczy to bez znaczenia. Przynoszą kres wszystkiemu, a tylko to się liczy.

- A co stanie się z tobą?

- Będę miał to wzgórze i będę patrzył ze szczytu na świat ryb.

- A jeżeli się mylisz?

- W jakiej kwestii?

- Choćby w kwestii Iadów. Jeżeli to papierowe tygrysy?

- D'Amour, oni są tym wszystkim, co mamy w sobie zepsutego. Są każdą paskudną, cuchnącą, porąbaną, złą rzeczą, która karmi się naszym ścierwem i tylko czeka, by zostać uwolniona, kiedy akurat nikt nie będzie patrzył. - Podeszedł jeszcze bliżej i stanął tuż poza zasięgiem Harry'ego. Uniósł dłoń do piersi. - Zagładałeś ostatnio do ludzkich serc? - zapytał.

- W ciągu paru ostatnich dni, nie.

- To niewiarygodne, co można w nich odnaleźć...

- Może w twoim.

- W każdym z nich, D'Amour, w nich wszystkich! Gniew, nienawiść i nienasycone żądze. - Skręcił w stronę drzwi. - I to właśnie nadchodzi, D'Amour. Nie będzie miało ludzkiej twarzy, ale na pewno będzie mieć ludzkie serce. Gwarantuję ci to.

Ciało Kate O'Farrell spadło na ziemię. Detektyw spojrzał na nie i dostrzegł cierpienie ostatnich chwil życia malujące się na jej twarzy.

- Straszna to rzecz, ludzkie serce - mówił Kissoon. - Doprawdy potworna.

Harry stracił dłuższą chwilę, zanim oderwał wzrok od twarzy martwej kobiety, jakby jakaś kretyńska jego część uważała, że jest w stanie uniknąć jej cierpień poprzez ich staranną kontemplację. Kiedy znów spojrział na Kissoona, ten odwrócił się i ponownie ruszył w górę zbocza.

- Przyjemnego oglądania, D'Amour - rzekł i już go nie było.

## 2

Kiedy Joe opuścił ulice miasta, podążając wzdłuż brzegu za Iadami, aby po prostu być świadkiem tego, co nastąpi, tylko świadkiem, skoro nie mógł uczynić nic innego, ziemia zatrzęsała się nagle. Morze snów na lewo wzburzyło się i spieniło bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Biegająca wzdłuż skraju plaży na prawo autostrada popękała, wypiętrzyła się i w kilku miejscach zapadła.

Masa Iadów znajdująca się teraz o niecałe dwieście metrów od przejścia najwyraźniej nie zwracała uwagi na wstrząsy. Przypominała Joemu wiele rzeczy, które ujrzał podczas swojego krótkiego pobytu wewnątrz. Ścianę, chmurę, chore ciało. Obecnie wyglądała jak rój maleńkich owadów, tak gęsty, że zmierzając ku swemu przeznaczeniu, pochłaniał każdą drobinę światła i świadomości.

Drzwi znacznie się powiększyły w ciągu tych kilku godzin, odkąd przekroczył ich próg. Mimo iż dolna ich część wciąż tonęła wśród mgieł, góra znajdowała się teraz kilkaset metrów ponad plażą i podnosiła się z każdą chwilą coraz wyżej, roztrzaskując nieboskłon. Jeśli po drugiej stronie są aniołowie, pomyślał Joe, najwyższa pora, aby ukazali swe oblicza, aby zjawili się tu i w blasku chwały rozpędzili Iadów na cztery wiatry. Ale szczelina w niebie rozszerzała się, Iadowie zbliżali coraz bardziej, a jedyna odpowiedź nadeszła nie z nieba, lecz z ziemi, na której stał jego duch...

Ruchy skał nie przeszły nie zauważone na Harmon Heights. Wstrząsy przenikały pospołu ziemię i mgłę, powodując lekkie zamieszanie w zespole Zury'ego. Harry nie widział tamtych, ale słyszał doskonale, gdy zaintonowane przez nich niedawno pieśni powitalne przerodziły się w żalosne szlochy pełnego niepokoju wyczekiwania, którym towarzyszyły coraz gwałtowniejsze drgania skał.

- Coś dzieje się na brzegu - powiedział Coker do Erwina.

- Powinniśmy trzymać się od tego z daleka - stwierdził prawnik, z trwogą popatrując na krzyże. - To wygląda gorzej, niż przypuszczałem.

- Co racja, to racja - przytaknął Coker. - Ale to nie oznacza, iż mamy być tchórzami!

Pospieszył przed siebie i mijając krzyże i związanego przy palu D'Amoura, ruszył w kierunku szczytu góry, której zbocza przenikały regularne drgania. Erwin z pewnym wahaniem pospieszył za nim, nie tyle z chęci ujżenia, co działo się powyżej, lecz z obawy, że w całym tym szaleństwie mógłby stracić jedyne go towarzysza. Tęsknił, och, jakże bardzo tęsknił za życiem, które wiódł, zanim natrafił na wyznaczenie McPhersona. Za mało znaczącymi drobiazgami, za trywialnością i tym wszystkim, co ongiś kształtowało jego poprzednie dni. Kiedy przetrząsał lodówkę w poszukiwaniu czegoś, co się zepsuło i śmierdziało, kiedy dostrzegł, że na jego ulubionym krawacie pojawiła się plama, kiedy stając przed lustrem wyobrażał sobie, iż ma bujniejszą fryzurę i mniej wydatny brzuch. Może była to miałka, nudna egzystencja pozbawiona istotnego celu czy ukierunkowania, ale lubił ją za tę właśnie banalność, i stwierdził to właśnie teraz, kiedy mu ją odebrano. Lepsze to aniżeli krzyże, drzwi i cokolwiek, co się przez nie przeciskało.

- Widzisz? - zapytał Coker, kiedy Erwin zrównał się z nim.

Zobaczył to. Jakże mógł tego nie ujrzeć? Drzwi wznosiły się pośród mgieł, jakby chciały strącić z nieba wszystkie gwiazdy. Brzeg po ich drugiej stronie, każdy głaz i kamyk, unosiły się na grzbiecie wielkiej fali. A najgorsza ze wszystkich była skłębiona ściana energii sunąca wzdłuż owego brzegu.

- Czy to jest to? - zwrócił się do Cokera.

Spodziewał się bardziej namacalnej i wyrazistej manifestacji zagłady, którą to ze sobą sprowadzało. Narzędzi katowskich, spojrzenia oprawcy, szaleńczego pędu - czegoś, co jawnie wyrażałoby zło. Zamiast tego miał przed sobą obraz, który mógł ujrzeć, zamykając oczy. Skłębioną wirującą ciemność pod powiekami.

Coker zawołał coś przez ramię w odpowiedzi, ale jego głos utonął w przepotwornym hałasie. Brzeg po drugiej stronie przejścia wibrował i wyginał się konwulsyjnie, jak człowiek podczas ataku padaczki; każdy spazm wyrzucał w powietrze głazy wielkości domów i ciskał je raz po raz, jeden po drugim, coraz to wyżej i wyżej. Drgania narastały z każdą chwilą, czego Erwin nie omieszkał zauważyć. Coker tymczasem ruszył dalej, ziemia wokół niego stawała się coraz bardziej płynna, kamienie, gleba i rośliny roztopiły się w breję o konsystencji gulaszu. Sięgała mu obecnie do piersi i wyglądało na to, iż nawet jego widmowe ciało podatne jest na wpływy wstrząsów, ponieważ dwukrotne falowanie zbiło go z nóg i odrzuciło w tył, w stronę Erwina.

Nie stawiał czoła falom tylko po to, by móc lepiej przyjrzeć się miotanemu drganiem brzegowi. W uścisku tej płynnej ziemi znajdowały się jeszcze dwie ludzkie sylwetki - stara kobieta uczepona pleców mężczyzny, który wydawał się dogorywać - i Coker rozpaczliwie starał się do nich dotrzeć. Z potwornej rany na boku głowy mężczyzny lała się krew. Coś, najprawdopodobniej kamień, oderwało mu ucho i rozplatało skórę do kości. Erwin nie pojmował, dlaczego Coker zainteresował się tą dwójką ludzi, ale podszedł bliżej, aby się tego dowiedzieć. Tym razem usłyszał, co woła jego towarzysz.

- Święta Mario, Matko Boża, spójrz na nią. Spójrz!

- Patrę, no i co? - odkrzyknął Erwin.

- To Maeve, Toothaker, t o m o j a ż o n a!

Narastające drgania skał nie odwiodły Bartha od jego obowiązków. Im bardziej trzęsła się i falowała ziemia, tym więcej uwagi poświęcał swym czynnościom, jakby od dokończenia dzieła ukrzyżowania D'Amoura zależało jego ostateczne odkupienie.

Właśnie skończył rozwiązywać Harry'ego, aby przenieść go pod krzyż, kiedy jeden z akolitów Zury'ego, istota o pызatej, okrągłej twarzy i niezdarnym, kaczym chodzie zjawiła się obok niego i sięgnęła po młotek. Oprawca polecił mu odłożyć narzędzie, ale akolita zamiast usłuchać, rzucił się na niego i uderzył w twarz tak szybko i z taką siłą, że większy odeń mężczyzna runął na ziemię. Zanim zdążył się podnieść, akolita wymierzył mu drugie i trzecie uderzenie. Z pękniętej czaszki Bartha wypłynął jasny płyn, a z jego ust dobyło się przeciągłe zawodzenie. Jeśli miało to być wezwanie pomocy, to nie spotkało się z najmniejszym nawet odzewem, gdyż zagłuszył je hałas towarzyszący trzęsieniu ziemi. Gdy wołanie urwało się, Barth znów zaczął się podnosić, ale młotek był już w pogotowiu i kolejne uderzenie rozłupało czaszkę mężczyzny od czoła do podbródka. Osunął się na ziemię, zalewając się krwią i padł, targany konwulsyjnymi drgawkami u stóp pustego krzyża.

Harry tymczasem zaczął szarpać zębami więzy krępujące mu nadgarstki, zanim jednak zdążył się uwolnić, akolita odrzucił zakrwawiony młotek, wyjął zza pasa trupa nóż i podszedł kaczym chodem, aby przeciąć jeńcowi pęta.

- Niewiele potrzeba, co? - rzucił do Harry'ego świszczącym, nosowym głosem. - Kawalek mocnego sznurka i zostajesz zredukowany do poziomu zwierzęcia. - Odwrócony plecami do szczeliny, zaczął przecinać gruby sznur. - Co się tam dzieje? - zapytał. - Nie mogę się zorientować.

Sznur został przecięty i opadł na ziemię.

- Dziękuję - rzekł D'Amour. - Nie wiem, czemu...

- To ja, Harry. Raul.

- Raul?

Okrągła twarz się rozpromieniła.

- W końcu mam swoje własne ciało - stwierdził. - No, może nie do końca. Jest tu ze mną coś jeszcze, ale tak naprawdę to skończony kretyn.

- Co się stało z Teslą?

- Zostałem od niej oddzielony, na progu przejścia. Moc, która tam się znajduje, jest doprawdy potężna. Wyciągnęła mnie z jej głowy.

- Gdzie jest teraz Tesla?

- Wydaje mi się, że pojechała szukać Grilla - powiedział Raul. - Zanim to się skończy, postaram się ją odnaleźć. Chcę się z nią pożegnać. A co z tobą?

Wzrok Harry'ego przesunął się w stronę rozszalałej kipieli dokoła drzwi.

- Kiedy nadejdą Iadowie... - zaczął mówić Raul.

- Wiem. Pochwyć moją głowę i wypełnij ją szajsem.

W powietrzu wyczuwało się już oznaki zbliżania się niszczycielskiej siły. Harry'ego paliły oczy, szumiało mu w głowie, bolały go zęby.

- Raul, czy to jest Diabeł? - zapytał.

- Jeżeli chcesz, aby nim był - odparł Raul.

Harry pokiwał głową. To była równie dobra odpowiedź jak każda inna.

- A więc nie idziesz? - spytał Raul.

- Nie - odrzekł Harry. - Przybyłem tu, aby ujrzeć jak wygląda Odwieczny Wróg i dopnę swego.

- W takim razie powodzenia! - pożegnał go Raul, kiedy kolejna fala wstrząsów przeniknęła ziemię. - Wynoszę się stąd, D'Amour!

To rzekłszy odwrócił się i znikł między krzyżami, pozostawiając Harry'ego, by mógł podjąć przerwany marsz na szczyt góry. W ziemi dookoła pojawiały się większe i mniejsze szczeliny. Najszersza miała metr średnicy, ale wszystkie stale się powiększały. Z miejsc wokół rozpadlin wypływała lepka, gęsta ciecz, płynna magma, i ściekała w głąb szczelin.

Znajdująca się poza tym wszystkim Neirica, od której dzieliło Harry'ego obecnie około trzydziestu metrów, pozwalała detektywowi dojrzeć całkiem spory fragment brzegu po drugiej stronie. Nie było to już urzekające miejsce, które miał okazję zobaczyć w sekretnych pomieszczeniach Zyem Carasophii. Gigantyczna masa Iadów przesłoniła morze snów, a sam brzeg był dźwigającą się ciężko w górę kaskadą ziemi i skał. Wszelako to nie przeszkodziło, by bliskość Iadów skalala jego myśli. D'Amour poczuł falę dojmującej nienawiści i odrazy

wobec samego siebie, plugawiącą jego umysł. To była trawiąca go choroba, owo pragnienie ujrzenia tej odrażającej rzeczy, spojrzenia wrogowi prosto w twarz. Śmiertelna choroba, która go w końcu zabije.

Próbował usunąć truciznę ze swoich myśli, lecz bezskutecznie. Wciąż napotykał w nich obrazy śmierci - ciało Teda Dusseldorfa, przykryte prześcieradłem; zmasakrowane zwłoki członków Zyem Carasophii zaścielające podłogę w miejscu ich sekretnych spotkań, trup Marii Nazareno klęczącej przed zapaloną świecą. Usłyszał ich wszystkich wokół siebie, szlochających, rozpaczających, domagających się wyjaśnień.

- Nigdy tego nie pojąłeś.

Spojrzał w prawo i w jednej ze szczelin ujrzał ojca Hessa zaklinowanego, z rękoma uwięzionymi wzdłuż boków. Rany, które zadała mu Lazy Susan wiele lat temu, wydawały się tak świeże, jakby stało się to zaledwie przed chwilą.

- Nie przyszedłem tu, by cię oskarżać, Harry - powiedział.

- Ciebie tu nie ma. I kropka - stwierdził D'Amour.

- Daj spokój, Harry - mruknął Hess - od kiedy to ma jakiegokolwiek znaczenie? - Uśmiechnął się. - To nie rzeczywistość powoduje wszelkie kłopoty, Harry, lecz iluzje. Powinieneś był się do tej pory zorientować.

Harry wiedział, że to wszystko jest ni mniej, ni więcej tylko iluzją. Magiczną sztuczką. Wszystko bez wyjątku. Każde słowo, każda kropla krwi. Czemu więc nie odwróci wzroku i nie ruszy w dalszą drogę?

- Ponieważ mnie kochałeś - odpowiedział Hess, jakby Harry zadał to pytanie na głos. - Byłem dobrym, prawym człowiekiem, lecz przyszło coś, od czego nie mogłem się ocalić. - Kaszlnął, wyrzucając z siebie strugi brudnej, zmieszanej z żółcią wody. - To musiało być okropne - dorzucił. - Czuć się tak bezsilnym. Spojrzał na Harry'ego z politowaniem. - Prawdę mówiąc, wciąż jesteś bezsilny - mruknął. - Wciąż pragniesz przyjrzeć się wrogowi i ujrzeć go z bliska, bardzo wyraźnie, jeden raz, choć ten jeden jedyny raz.

- Skończyłeś? - spytał Harry.

- Trochę bliżej - poprosił Hess.

- Co?

- Powiedziałem, podejdź trochę bliżej. - D'Amour zbliżył się do zjawy. - Już lepiej - mruknął Hess. - Nie chcę tego rozpowiadać wszystkim dokoła. - Zniżył głos do szeptu. - To wszystko dzieje się dzięki lustrum - powiedział i nagle jego ręce wyprysnęły ze szczeliny, a dłonie zacisnęły się na klapach marynarki Harry'ego. Detektyw usiłował uwolnić się z chwytu wytworu iluzji, lecz ten z wolna ściągał go w dół, a gdy to czynił, skóra i tkanki z

jego twarzy zaczęły schodzić płatami. Pod spodem nie było kości, jedynie brązowa maź.

- Widzisz? - zapytał stwór, poruszając ustami, a raczej bezkształtną dziurą w ich miejscu. - Lustrzani ludzie. Obaj nimi jesteśmy. Ty i ja.

- Pieprzę cię! - ryknął detektyw i wyzwoliwszy się z uchwytu Hessa, bezwładnie zatoczył się do tyłu.

Hess wzruszył ramionami.

- Nigdy tego nie zrozumiałeś - powiedział. - A przecież powtarzałem ci to raz po raz, raz po raz, raz po raz. - Harry odwrócił się do bezkształtnej twarzy plecami. - Raz po raz...

D'Amour spojrzał w kierunku przejścia. Miał może sekundę lub dwie, by zorientować się, że Iadowie lub jakaś ich część nie znajdowali się już w tamtym, lecz byli w tym, w jego świecie. A potem, ni stąd, ni zowąd, ziemia wokół Uroboros podźwignęła się w górę potężnym solidnym murem i wszystko to, co miało miejsce dotychczas - hałas, wstrząsy i uczucie odrazy - mogło wydawać się apoteozą spokoju, ciszy i niezmałconej harmonii.

### 3

Dla Phoebe była to podróż życia. Otoczona kamienną osłoną unosiła się w objęciach skały mającej zablokować drogę Iadom. Teksas obiecał, że będzie bezpieczna - i była; jej kapsuła przedzierała się przez wstrząsany konwulsjami grunt i podążała w górę w gejzerach płynnej skały z taką łatwością i delikatnością, że gdyby Phoebe zechciała nawlec igłę, odrywając wzrok od tego, co jej pokazywał, zapewne udałoby się jej to już za pierwszym razem. Skała była protoplazmatyczną głową ukształtowaną i kierowaną mocą jego woli. W jednej chwili opadała w otchłań, ku grotom, gdzie Quiddity toczyło swe wody w lodowatym mroku, w następnej zaś warstwy rozdzielały się na jej oczach na mnóstwo oszałamiających woali, w jeszcze innej odnosiła wrażenie, że znajduje się w samym środku silnego, żywego ciała, w którego żyłach płynęła gorąca magma, a dokoła rozleżał się łoskot wielkiego, kamiennego serca Króla. Niekiedy słyszała jego głos w ścianach osłony, mówiący, aby się nie lękała

Nie bała się. Ani trochę. Czuwała nad nią żyjąca potęga; złożyła jej obietnicę, której nie mogła nie dotrzymać. Phoebe wierzyła jego słowom.

Iadowie natomiast sposobem poruszania się i celowością działań przypominali śmierć. Lub raczej jej preludium: cierpienia i bezradność, które jak widziała Phoebe nieodparcie towarzyszyły kresowi. Kiedy zbliżyli się do drzwi i ziemia podniosła się, by zastąpić im drogę, w ich masę wbiła się skała i z wnętrza posypały się bryły ciemnej materii,

przypominającej jaja; tym bardziej plugawe, że było ich mnóstwo i błyszczały w odrażający sposób. Nawet jeżeli to jaja, pomyślała Phoebe, to również były śmiercią. Każda lśniącą bryłą, co do jednej. Spadając na brzeg pękały, a ich szara płynna zawartość zalewała kamienie, jakby wyczuwała i usiłowała odnaleźć zalegającą pod nimi ciemność.

Chociaż zostali zranieni, Iad Uroboros wciąż mieli apetyt na Kosmos. Otoczeni skałą, brnęli nieugięcie do przodu, mimo iż brzeg, po którym sunęli, stał się drugim morzem, falą kamieni unoszącą się ku górze, by odeprzeć ich w tył.

Phoebe miała trudności ze zorientowaniem się, co się właściwie działo w chaosie panującym na zewnątrz, aczkolwiek wyglądało na to, że Iadowie zdołali skierować fragment swej potężnej masy ku przejściu i mieli właśnie przekroczyć próg, kiedy Teksas podźwignął w górę gigantyczną ścianę ziemi z taką szybkością, że oddzielił szukającą przejścia kończynę od korpusu istoty. Iadowie wydali dźwięk, jakiego Phoebe nigdy jeszcze nie słyszała, a gdy to się stało i przeraźliwy jęk cierpienia przeniknął w głąb ziemi, cały rozciągający się wokół obszar, autostrada, wydmy i brzeg morza wywinęły nagle koziołka.

Ujrzała, jak Iadowie opadają w dół, pękając w tysiącu miejsc i rozbryzgując wszędzie znajdujące się wewnątrz płyny, kiedy to, co przed chwilą znajdowało się w poziomie, podźwignęło się w górę, by wznieść się powyżej. A potem wszystko to opadło na wrogą niczym walące się, solidne, trwałe, kamienne niebo i wbiło zranioną masę w głąb ziejącej otchłani, gdzie ongiś znajdował się brzeg morza.

Kiedy to widowisko rozegrało się na jej oczach, Phoebe poczuła drgania przenikające w głąb kokonu, a potem w błyskawicznym tempie została odciągnięta poza obszar gwałtownych, konwulsyjnych trzęsień, miotających niespokojnym gruntem aż na obrzeża miasta, gdzie brzeg był wciąż jeszcze nietknięty.

Kiedy tylko się zatrzymała, kokon pękł i rozsypał się w proch, pozostawiając ją bezpieczną na powierzchni ziemi. Mimo iż znajdowała się o dobre dwie mile od przejścia, grunt trząsł się i falował, a wokół niej raz po raz lądowały kamienie różnej wielkości, w tym również takie, które trafiwszy w nią mogłyby zrobić jej krzywdę. Phoebe domyślała się, że by uczynić to, co uczynił, Teksas zużył wszystkie swe siły i nie mogła już liczyć na jego wsparcie czy ochronę. Wstała, mimo iż utrzymanie się na nogach na tym niepewnym, drgającym gruncie graniczyło z cudem i osłaniając głowę rękami, zawróciła niepewnym krokiem w stronę miasta.

Od czasu do czasu spoglądała pilnie wzdłuż brzegu, ale kaskady kurzu i kamieni wciąż jeszcze nie ustały i pośród strug kamiennego deszczu oraz bijących w górę chmur pyłu trudno jej było cokolwiek dostrzec.



Nie dostrzegła zarówno Iadów, jak i drzwi, przez które dostała się do tego potwornego miejsca.

Wyglądało na to, że zniknęli pospołu - wróg i przejście do jej świata.

#### 4

Pierwszą ofiarą na Harmon's Heights był Zury, który stał w pobliżu progu, kiedy brzeg po drugiej stronie wybuchł. Znalazłszy się w zasięgu eksplodujących skał, został odrzucony w tył i plusnął w rozmyty, płynny grunt. Akolici pospieszili mu z pomocą, podczas gdy awangarda Iadów, oddzielona od reszty murem, miotła się z wściekłością, burząc niebo i ziemię i wzniecając nieopisany chaos. Powywracani wstrząsami gruntu uczniowie Błogosławionego utonęli wraz ze swoim mistrzem. Mimo iż odnoga Iadów stanowiła jedynie małą część najeźdźców, była naprawdę ogromna. Ta rozszalała, kłębiąca się masa kształtów i form bryzgała krwią w progu Neiriki. Szczelina dygotała konwulsyjnie na całej swojej długości, jakby dokonany tu akt przemocy miał doprowadzić do jej rychłej zagłady.

Po drugiej stronie niebo i ziemia jakby zamieniły się miejscami. A potem runął grad kamieni, szczelina zamknęła się niczym zatrzaśnięte drzwi i na Wyżynie pozostał tylko chaos pośród chaosu.

Harry został ciśnięty na miotaną wstrząsami ziemię, zanim jeszcze pojawili się Iadowie i przekonany, że nawet gdyby wstał, i tak nie utrzymałby się na nogach, pozostał w pozycji horyzontalnej. Widział z tego miejsca, jak Kissoon podchodzi po masie płynnej skały do rannych Iadów. Wydawało się, że nie zauważał drgań i nie przejawiał lęku, gdy z głową odrzuconą do tyłu przyglądał się rozszalałemu najeźdźcy. Stwór najwyraźniej ginął; rozszczepiał się, a fragmenty jego materii unosiły się spiralnie ku górze, ciągnąc za sobą wstęgi tkanek; inne jego strzępy, najmniejsze wielkości człowieka, największe dziesięciokrotnie przewyższające go rozmiarami, wirowały w powietrzu, jakby żarłocznie pragnęły pożreć same siebie. Jeszcze inne opadły na płynny grunt i wsącżyły się w ziemię.

Kissoon sięgnął za pazuchę i wyjął spod płaszcza różdżkę, którą Harry widział w akcji w sekretnym miejscu spotkań Ziem Carasophia. Wówczas była to broń. Teraz jednak, kiedy uniósł ją nad głowę okazało się, iż wskazuje Iadom punkt ogniskowania. Kierowali się ku niej ze wszystkich stron; ich rozdarte ciała wylewały nań cały swój brud i plugastwo. A on uniósł twarz ku górze, jakby zraszały ją strugi ciepłego, wiosennego deszczu.

Harry nie mógł już dłużej na to patrzeć. Jego myśli przepelniały obrazy śmierci i umarłych, oczy palił widok Kissoona kąpiącego się w brudzie Iadów. Jeżeli teraz nie

odejście, ogarnie go czarna rozpacz. Zaczął się odczołgiwać, niemal nie zdając sobie sprawy, w którą stronę zmierza, dopóki nie dojrzał odcinających się wyraźnie na tle nieba sylwetek prostych krzyży. Nie spodziewał się, że jeszcze kiedykolwiek je ujrzy i jego piekące oczy wypełniły się łzami.

- Wróciłeś - dobiegł go głos z ciemności. To był Raul.

- A ty... zostałeś - odparował detektyw.

Raul podszedł i przykucnąwszy delikatnie, pomógł Harry'emu wstać.

- Byłem ciekaw - powiedział.

- Drzwi się zamknęły.

- Widziałem.

- A Iadowie, którzy przedostali się na tę stronę...

- Tak?

Harry otarł łzy z oczu i zatrzymał wzrok na krzyżu, gdzie o mało nie został przybity.

- Krwawią - dokończył i wybuchnął głośnym śmiechem.

# Rozdział IX

## 1

W Everville przestano kwestionować fakty, a wtedy ucichła także muzyka. Nawet ci tak pijani alkoholem i miłością, że zapominali swoich imion, nie byli już w stanie udawać, że świat jest w jak najlepszym porządku. Na górze coś się działo. To wstrząsało niebem. Wstrząsało ulicami. Wstrząsało ludzkimi sercami.

Niektórzy z uczestników festynu wyszli na świeże powietrze, aby móc lepiej przyjrzeć się Wyżynie i snuć przypuszczenia dotyczące tego, co się działo.

Niektóre z wysuwanych teorii były racjonalne, inne absurdalne.

To było trzęsienie ziemi albo upadek meteorytu. To było lądowanie kosmitów, to erupcja z głębi ziemi.

Powinniśmy wynieść się stąd, mówili niektórzy, i w pośpiechu zaczęli przygotowywać się do wyjazdu.

Powinniśmy zostać, powiadali inni, i przekonać się, czy wydarzy się coś, co będziemy pamiętać do końca naszych dni.

Owen Buddenbaum siedział samotnie w opuszczonym Cichym Kąciku, obsesyjnie czekając na Tesłę Bombeck. Dość późno została włączona do obsady tego dramatu, lecz wszystko wskazywało na to, że zaczynała grać w nim główną rolę.

Naturalnie poznał jej niedawną historię. Zadał sobie wiele trudu, aby tego dokonać. Nie okazała się - o ile był to w stanie stwierdzić - wielką wizjonerką, nie ujawniła również jak dotąd mocy taumatycznych. Była nieustępliwa, co do tego nie miał Owen wątpliwości. Ale takie bywały również teriery. I choć przyznawał to z niechęcią, posiadała w sobie sporą dozę surowej odwagi, połączonej z umiłowaniem ryzyka.

Krażyła o niej pewna historia, przepięknie ukazująca owe aspekty jej natury. Podobno Tesla Bombeck targowała się z Randolphem Jaffe w lub pod ruinami Palomo Grove. Miało to miejsce w okresie, kiedy Jaffe nie spełnił swych aspiracji jako Artysta i jak głosiły plotki, postradał rozum. Potrzebowała jego pomocy. On zaś niezbyt chciał jej udzielić. Zwiodła go jednak na tyle, że dał jej jeden z medalionów, identyczny jak ten zakopany na Rozstajach, i powiedział, że jeśli zdoła w określonym czasie pojąć jego znaczenie, pomoże jej. Gdyby jej

się nie udało, miał ją zabić.

Rzecz jasna, przyjęła to wyzwanie i zdołała rozszyfrować zagadkę krzyża, a tym samym przynajmniej na pewien czas dżaff został jej sprzymierzeńcem. W mniemaniu Buddenbauma to, że zdołała pojąć znaczenie symboli, nie było niczym szczególnym - w przeciwieństwie do faktu, iż postawiła na to swoje życie.

Kobieta podejmująca tak wielkie ryzyko była dużo niebezpieczniejsza niż wizjonerski duch. Jeżeli Seth przyprowadzi ją tutaj, Buddenbaum musi być gotów uśmiercić ją w okamgnieniu...

## 2

Tesla znajdowała się na ścieżce wiodącej do domu Phoebe, gdy ujrzała jakąś postać podnoszącą się z progu.

- Wszędzie cię szukałem - odezwał się; był to chłopak ze skrzyżowania, uczeń Buddenbauma o ziemistej, niezdrowej cerze. - Jestem Seth - powiedział.

- Czego chcesz?

- Nie chodzi o to, czego ja chcę...

- Jeżeli coś sprzedajesz, wiedz, że nie jestem zainteresowana - odrzekła ostrym tonem. - Muszę zająć się dzieckiem.

- Pozwól, że ci pomogę - zaproponował. - W jego słowach było coś żalnego. - Jestem dość dobry w opiekowaniu się dziećmi.

Była zbyt wyczerpana, aby mogła odmówić. Rzuciła mu klucze.

- Podnieś je i otwórz drzwi - rozkazała.

Zrobił to, a Tesla spojrzała w stronę wierzchołka góry, ledwie widocznego pomiędzy domami naprzeciwko. Wokół szczytu unosił się spiralnie opar gęstej mgły.

- Wiesz, co się dzieje tam, na górze? - zapytał Seth.

- Podejrzewam, że tak.

- To coś niebezpiecznego, zgadza się?

- Mało powiedziane...

- Buddenbaum mówi...

- Otworzyłeś już te drzwi?

- Taa. - Otworzył je na oścież.

- Zapal światło. - Zrobił to. - Nie chcę rozmawiać o Buddenbaumie, dopóki nie upewnię się, że z małą wszystko w porządku - rzekła, wchodząc do domu.

- Ale on mówi...

- Gównu mnie obchodzi co on mówi - powiedziała ze spokojem. - A teraz albo mi pomożesz, albo zjeżdżaj stąd.

### 3

Harry i Raul dotarli nieomal do linii drzew, kiedy Raul nagle przystanął.

- Ktoś coś mówi... - powiedział.

- Nic nie słyszę.

- Ale ja słyszę - odrzekł, rozglądając się dokoła. Nikogo nie było widać. - Słyszałem już takie głosy, kiedy jeszcze przebywałem w głowie Tesli.

- Kto to może być?

- Wydaje mi się, że umarli.

- Hmm.

- Niepokoi cię to?

- To zależy, czego chce.

- Mówi coś o żonie, o odnalezieniu swej żony...

- On mnie słyszy! - zawołał Coker. - Bogu dzięki. On mnie słyszy!

Erwin obejrzał się w stronę wierzchołka góry, ponownie mając w myślach słowa Dolana, które ten wypowiedział, stojąc przed swoim sklepem: „Jesteśmy jak dym”. Może bycie dymem okaże się nie takie złe, jeżeli światem miało zawładnąć to, co niedawno ujrzał, nadchodzące przez szczelinę w niebie.

Coker tymczasem wciąż mówił do istoty, która ocaliła D'Amoura, i teraz kierowała go między drzewa...

Wśród cieni znajdowało się dwoje ludzi. Pierwszą była podeszła wiekiem kobieta. Oparła się plecami o pień drzewa i popijała ze srebrnej piersiówki. Drugą - mężczyzna leżący twarzą do ziemi o kilka metrów od niej.

- On nie żyje - powiedziała kobieta, kiedy detektyw nachylił się, aby przyjrzeć się leżącemu. - Niech go licho.

- Jesteś od Zury'ego? - zwrócił się do niej Harry.

Kobieta chrząknęła i splunęła gęstą flegmą, trafiając w ziemię obok stopy Harry'ego.

- Święta Mario, Matko Boża czy wyglądam jak ktoś od Zury'ego? Wskazała palcem Raula. - Ten jest jednym z nich.

- Może przypomina ich wyglądem - odparł detektyw Harry. - Ale to dusza człowiek.

- Wielkie dzięki - rzekł Raul.

- No dobrze, czy jesteś dostatecznie męskim facetem, aby znieść mnie na dół? - spytała kobieta, zwracając się do D'Amoura. - Chciałabym zobaczyć moje miasto, zanim cały świat pójdzie do piekła.

- Twoje miasto?

- Tak, moje! Nazywam się Maeve O'Connell i gdyby nie ja, tego cholernego miejsca - wskazała ręką w dół zbocza, w kierunku Everville - w ogóle by nie było!

- Posłuchaj jej - perorował Coker. - Boże w Niebiesiech, posłuchaj jej. - Klęczał obok staruchy, a jego drapieżne, zwierzęce oblicze przepelniał wyraz anielskiej błogości.

- Erwinie, teraz już wiem, dlaczego nie pogrążyłem się w ostatecznym zapomnieniu. Teraz wiem, dlaczego czekałem na tej górze przez tyle lat. Aby być tutaj i ujrzeć jej twarz. Aby usłyszeć jej głos!

- Ona nigdy się nie dowie - zauważył Erwin.

- Ależ dowie się. Ten typek, Raul, będzie moim pośrednikiem. Dzięki niemu dowie się, jak bardzo ją kochałem. I jak bardzo nadal ją kocham.

- Zabierz ode mnie te wstrętne łapy! - ryknęła na Raula Maeve. - Albo wsiądę temu mężczyźnie na plecy, albo sama spełnę z tej góry na czworakach. - Odwróciła się do Harry'ego. - To jak, weźmiesz mnie na barana, czy nie?

- To zależy.

- Od czego?

- Od tego, czy potrafisz trzymać język za zębami, czy nie.

Kobieta wyglądała, jakby ktoś ją spoliczkował. A potem jej wąskie wargi wykrzywiły się w uśmiechu.

- Jak się nazywasz?

- D'Amour.

- To znaczy po francusku: miłość.

- Zgadza się.

- Właśnie przez nią nie zdołałam osiągnąć tego wszystkiego, co sobie zamierzałam.

- Ona nie mówiła tego serio - rzekł Coker. - Nie mogła...

- Ludzie się zmieniają - wtrącił Erwin. - Ile to już lat?

- Ja się nie zmieniłem - zaprotestował Coker.

- Nie powinieneś tego oceniać - odrzekł Erwin. - Poza tym nie ma sensu, abyś łamał

sobie serce z powodu czegoś takiego.

- Łatwo ci mówić. Czy ty kiedykolwiek odczuwałeś coś takiego?

- Mniej niż powinienem - odparł półgłosem Erwin.

- Przepraszam - mruknął Coker. - Nie chciałem cię urazić.

- To bez znaczenia. Taka jest prawda - powiedział Erwin, odwracając wzrok od kobiety, która właśnie wsiadała D'Amourowi na plecy i ponownie przyjrzał się Wyżynie.

- Wydaje ci się, że masz więcej czasu - mruknął na poły do siebie. - Ale zawsze jest go mniej, niż sądzimy. Zawsze jest go za mało. Zawsze.

- Idziesz z nami? - zapytał Coker.

- Cieszę się podobnie jak ty - odrzekł Erwin. - Cieszę się, że znowu ujrzałeś swoją żonę.

- Chcę, abys ty także w tym uczestniczył, Erwinie.

- Miło, że to powiedziałeś. Ale wiesz co, będzie lepiej, jeżeli zostaną tutaj. Na szlaku. - Coker objął Erwina ramieniem.

- Co tu jest do oglądania? - perswadował. - No chodź, bo zostaniemy w tyle. Oni już poszli, musimy ich dogonić.

Erwin obejrzał się przez ramię. Tamci znajdowali się już o dwadzieścia metrów od nich, schodzili ze zbocza.

- Chodź, zobaczysz miasto, które zbudowała dama mego serca - rzekł Coker. - Chodź je zobaczyć, zanim przestanie istnieć.

## Rozdział X

Po hałasie nastąpiła cisza.

Ulewa kamieni zmieniła się w lekką mżawkę, a potem ustała zupełnie. Wzburzone morze uspokoiło się i muskało leniwie brzeg rozmyty bezlitosnymi falami. Na płyciznach nie było widać żadnych oznak życia, jeżeli nie liczyć połyskujących szczątków jaj Iadów, które kołysały się w plugawym bloku - ale czyż można było określić je mianem życia? Nie było również ptaków.

Phoebe siedziała pośród gruzów dawnego liverpoolskiego portu i płakała. Z tyłu, za nią, na ulicach spoczywały pogruchotane resztki okrętów, tak niedawno unoszących się na falach zatoki. Same ulice zmieniły się w wąwozy otoczone z dwóch stron stertami dymiących gruzów.

Co teraz? - zastanawiała się Phoebe. Drogę powrotną do domu miała w oczywisty sposób odciętą. Teraz zaś, kiedy w tym chaosie utraciła swych przewodników, jej szanse na odnalezienie Joego spadły praktycznie do zera. Mogła pogodzić się z myślą, że nigdy już nie zobaczy Everville, to nie powinno być specjalnie trudne, ale rozdzielenie na zawsze z Joem wydawało się jej nie do zniesienia. Musi przynajmniej na pewien czas wyrugować tę myśl ze swego umysłu, w przeciwnym razie nieodwołalnie oszaleje.

Zaczęła zastanawiać się nad losem Króla Teksasa. Czy skała może umrzeć? - zapytywała samą siebie. A może po prostu na pewien czas się wycofał i przyczaiwszy się, usiłował odzyskać siły? Jeżeli żył, może znów się jej pokaże i pomoże w poszukiwaniach. Niewątpliwie szanse na to były dość nikłe, ale tylko ta myśl powstrzymywała ją przed popadnięciem w czarną rozpacz. Po pewnym czasie poczuła ssanie w żołądku i zdając sobie sprawę, że głód tylko pogłębi tkwiące w niej frustracje oraz rozpacz, wstała i ruszyła na wędrowkę wśród ruin w poszukiwaniu czegoś nadającego się do jedzenia.

Zaledwie kilka kilometrów od ulic, którymi wędrowała Phoebe, Joe stał pośród kłębow wciąż opadającego pyłu w miejscu, gdzie niedawno znajdowały się drzwi i zastanawiał się nad znaczeniem wszystkiego, czego był świadkiem. Nie było to, jak wiedział, absolutne zwycięstwo; miał dość rozsądku, aby się co do tego nie łudzić. Po pierwsze, pewna część Iadów zdołała przedostać się przez próg do Kosmosu, zanim brzeg się podniósł i zagroził drogę reszcie. Po wtóre, nie miał wcale pewności, że większa część tej masy, zagrzebana



gdzieś w ziemi pod jego stopami, była martwa. Po trzecie zaś wątpił, aby kontynent, z którego przybyli najeźdźcy, był kompletnie opuszczony. Grupa inwazyjna mogła zostać pokonana, ale nacja, która ją wysłała, pozostawała bezpieczna gdzieś poza Efemerydami. Wiedział, że oni znowu przybędą. I jeszcze raz, i jeszcze. Niezależnie od tego, czymkolwiek byli, śniącymi czy efektami śnienia, niezależnie, jakie kierowały nimi pobudki, wysłali dziś do Helter Incendo siły inwazyjne, gdzie niewątpliwie będą mogły przygotować się do potężniejszego i być może ostatecznego najazdu.

Joe nie wiedział czy ma do odegrania jakąś rolę w obronie Kosmosu i w gruncie rzeczy niezbyt się tym przejmował. Miał do rozwiązania kilka ważniejszych kwestii dotyczących niego samego, jego tożsamości. Zatoczył krąg, przeżywając wspaniałą historię, która doprowadziła go aż do tego miejsca - przeżył rejs „Fanacapanem”, cudowne zjednoczenie z Phoebe w morzu wodorostów, wyprawę do b’Kether Sabbat, ostatnie spotkanie z Noem, odkrycie tego, co znajdowało się w trzewiach Iadów i każda z tych przygód była niewiarygodna. Teraz jednak podróż dobiegła końca. „Fanacapan” poszedł na dno; Phoebe znajdowała się gdzieś w Everville i zapewne go opłakiwała; b’Kether Sabbat zostało prawdopodobnie obrócone w perzynę; Noe nie żył; Iadowie zostali pogrzebani.

A czymże jest on, który podjął tę wyprawę? Na pewno nie żyjącym człowiekiem. Utracił wszystko, co łączyło go z mężczyzną imieniem Joe, z wyjątkiem myśli, które obecnie kształtował, a czym one właściwie są? Czy jest przeto jakąś funkcją morza snów? A może ułamkiem Zehrapushu? Czy też może wspomnieniem samego siebie, które z czasem przestanie istnieć?

Czym jest, u licha, czym jest?

W końcu, rozdrażniony tymi rozważaniami, postanowił wrócić na ulice miasta w poszukiwaniu strażników ognia, którzy zdawali się postrzegać go jako odpowiedź na ich modły. Może gdyby odnalazł wśród nich kogoś, kto wiedział, jak to było z życiem po śmierci, może wtedy zdoła opracować jakiś system porozumiewania się i nauczy się rozumieć swój stan. A jeżeli to mu się nie uda, może w końcu jakoś się z tym pogodzi.

Phoebe wróciła do domu Maeve O’Connell przy Canning Street bardziej przez przypadek niż z rozmysłem, choć kiedy stanęła przed drzwiami frontowymi, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że nie zjawiała się tu przypadkiem. Sprowadził ją tutaj instynkt.

Dom znajdował się w lepszym stanie niż większość z tych, które mijala po drodze, ale nawet on nie przetrwał kataklizmu nienaruszony. Połowa dachu zapadła się, ukazując nagie belki stropowe i znajdujące się poniżej sypialnie, ścieżka przed frontowymi drzwiami zasłana

była dachówkami, kawałkami rynny i potłuczonego szkła.

Kiedy weszła do środka, stwierdziła, że parter wyglądał niemal tak samo, jak go pozostawiła. Żołądek wciąż przypominał jej o swym istnieniu, toteż niezwłocznie pomaszzerowała do kuchni, gdzie przed paroma godzinami popijała sok żalozejynowy, i przyrządziła sobie coś na ząb. Tym razem nie wybierała z rozmysłem. Wystawiła po prostu wędlinę, pikle, ser, chleb i rozmaite owoce na środek stołu i zabrała się do dzieła. Po mniej więcej dziesięciu minutach żołądek został oblaskawiony i Phoebe trochę zwolniła tempo konsumpcji, popijając posiłek szprycerem składającym się w dwóch trzecich z wody i w jednej trzeciej z soku. Opróżniwszy pół szklanki poczuła, że ogarnia ją znajome przyjemne otępienie i pozwoliła sobie na chwilę rozmyślań nad sprawami, które wcześniej wyciskały z jej oczu łzy.

Może mimo wszystko było parę rzeczy, za które powinna być komuś wdzięczna. Nie umarła i graniczyło to nieomal z cudem. Nie popadła w obłąd. Nigdy już nie zaśnie i nie obudzi się w łóżku, które przez tyle lat dzieliła z Mortonem, nie będzie także smutnych poniedziałkowych poranków, kiedy o bladym świetle zastawała przed gabinetem doktora kolejkę zirytowanych, trawionych grypą, zgryźliwych pacjentów. Czy jednak miała się z tego powodu smucić lub żałować tego, co utraciła? Nie. Podążyła za swoją nadzieją na szczęście i przestąpiła próg drzwi, które zamknęły się za nią. O powrocie nie było mowy, nie miała się cozukiwać.

Kiedy się posilała, wiatr przybrał na sile. Wzbijał tumany kurzu i atakował nimi kuchenne okno, przez co wewnątrz pomieszczenia natychmiast zrobiło się ciemniej. Phoebe wstała i znalazłszy lampę naftową, zapaliła ją, po czym zaniósła na górę, zapalając wszystkie lampy, które znalazła po drodze. Było tu trochę dziwnie. Puste korytarze, puste pokoje, obrazy na ścianach, na które nie zwróciła uwagi podczas swej pierwszej wizyty tutaj - a które okazały się nader pikantne i zdawały gapić się na nią, gdy pod nimi przechodziła.

W końcu odnalazła apartament Maeve O'Connell, gdzie sufit pozostał nadal nietknięty i czując się jak złodziejka (ale nie było to niemiłe wrażenie) jęła przeszukiwać zawartość trzech szaf i komódki. Znajdowało się w nich mnóstwo ubrań, a do tego kapelusze, książki, perfumy i cała masa najróżniejszych drobiazgów, caczuszek i bibelotów.

Czy stara kobieta wyśniła to wszystko, zastanawiała się Phoebe, tak jak, zgodnie ze słowami Króla Teksasa, wyśniła to wielkie miasto? Czy opowiedziała o tych strojach, a potem położyła się na spoczynek, by raniem odnaleźć je wiszące w szafach, gotowe do założenia i pasujące na nią jak ulał?

Jeżeli tak, Phoebe będzie musiała nauczyć się tej sztuczki, ponieważ praktycznie nic, co

znajdowało się w szafach, na nią nie pasowało, a z letniej sukienki pozostały strzępy. Może gdy będzie je śnić, pozwoli sobie również na odrobinę nowoczesnego luksusu. Telewizor (czy będzie musiała wyśnić również programy? Jeżeli tak, czekają ją same powtórki), nowoczesną toaletę (kanalizacja w domu była bardzo prymitywna) i może jeszcze automat do lodów. A także kogoś do towarzystwa. W sumie dlaczego nie? Phoebe, skoro miała tu spędzić resztę życia - a wyglądało na to, iż nie ma większego wyboru - nie zamierzała pozostawać przez tyle lat samotna. Idąc tutaj widziała wprawdzie ludzi, którzy przeżyli kataklizm, ale czemu miała szukać pocieszenia u obcych, skoro mogła wyśnić sobie kogoś wymarzonego?

Kiedy w końcu przetrząsnęła cały pokój wzdłuż i wszerz, stwierdziła, że nie porozsuwała zasłon i wytężywszy siły (zasłony były grube i zapewne nie ruszono ich od lat), po chwili dopięła swego. Nie była przygotowana na wspaniałości widoku, jaki się przed nią roztoczył. Okno za zasłonami okazało się olbrzymie. Ujrzała w nim panoramę tego, co było niegdyś portem i sporej przestrzeni Quiddity, którego jeszcze niedawno rozszalałe fale ponownie się uspokoiły. Mimo iż na niebie nie było słońca, Phoebe widziała całą tę scenę wyjątkowo wyraźnie. Gdyby wykazała odrobinę chęci i cierpliwości, mogłaby z pewnością policzyć każdą zmarszczkę na powierzchni morza snów.

Spoglądając na morze, z westchnieniem powróciła w myślach do spotkania z Joem wśród podwodnych wodorostów.

Z rozkoszą wspomniała jak o mało nie utraciła swej cielesności i nie porzuciła formy, kiedy jej kochanek wraz wodorostami doprowadził ją do ekstazy. Czy mogła wyśnić Joego? Zamknąć oczy i przywołać ze wspomnień mężczyznę, którego utraciła? Naturalnie nie byłby tym jedynym, prawdziwym, ale lepsza udana kopia niż nic.

Może nawet będzie dzielił z nią łóżko.

Przyłożyła dłoń do policzka. Był rozpalony.

- Powinnaś się wstydzić, Phoebe Cobb - powiedziała do siebie z lekkim uśmiechem.

A potem zdjęła narzutę i poduszkę z wielkiego łóżka Maeve (nie była w stanie zasnąć pośród strzępów podartych przez Panią listów miłosnych Króla Teksasa) i ułożywszy się na spoczynek z obrazem lśniącego morza snów w tle, zastanawiała się, czy zdoła wyśnić kopię mężczyzny, którego kochała.

# Rozdział XI

## 1

- Ktoś jest na zewnątrz - powiedział Seth.

Znawali się w kuchni, gdzie Tesla usiłowała nakłonić Amy do zjedzenia kilku łyżek płatków rozmoczonych w ciepłym mleku, Seth zaś pojadał zimną fasolkę z puszki, wyglądając na ciemne podwórko.

- Sądysz, że to awatary?

- Prawdopodobnie - odparła Tesla. Uniosła wzrok i wbiła go w półmrok. Nie widziała, ale czuła ich spojrzenia.

- Owen mi powiedział... - zaczął mówić Seth.

- Owen?

- Buddenbaum. Twierdzi, że jesteśmy dla nich niczym małpy. Kiedy nam się przyglądają, to tak jakby obserwowali zwierzęta w zoo.

- Czyżby? - mruknęła Tesla. - W swoim czasie nauczyłam się od małpy paru ciekawych rzeczy.

- Masz na myśli Raula.

Spojrzała ze zdziwieniem na chłopaka.

- Skąd o nim wiesz?

- Owen wszystko mi o tobie opowiedział. Wie dokładnie, kim jesteś, gdzie byłeś i z kim...

- Dlaczego tak się mną interesuje, do cholery?

- Powiedział, że byłeś... że... ee...

- Wykrztuś to z siebie.

- Znaczącą niestosownością - Seth się rozpromienił. - Dokładnie tak powiedział. Zapytałem, co to znaczy, a on odparł, że twoja obecność tutaj jest dziełem absolutnego przypadku, ponieważ nie przynależysz do tej opowieści...

- Pieprzyć opowieść.

- Nie sądzę, aby to było możliwe - odparł Seth. - Cokolwiek czynimy, dokądkolwiek się udajemy, wciąż nieodmiennie opowiadamy jakąś historię.

- Znów Buddenbaum.

- Nie, Seth Lundy. - Postawił puszkę. - Dobrze, zaczekaj - powiedział. - Daj, ja ją nakarmię.

Tesla nie miała nic przeciw temu. Oddała Sethowi małą, która jak dotąd skutecznie opierała się jej poczynaniom i wyszła na podwórze, skąd jak sądziła powinien rozciągać się widok na Wyżynę. Jej przypuszczenia okazały się trafne. Musiała oddalić się trochę od domu, zanim budynek przestał przesłaniać jej wierzchołek góry, ale koniec końców opłaciło się. Mgły wokół szczytu były postrzępione, a gdy przyjrzała się bliżej dziurom w oparzę, dostrzegła poruszające się w nich wielkie, gruzłowate kształty.

- Iadowie przybyli - oznajmiła.

- Aż do tej pory nie wiedzieliśmy o tym - dobiegł ją głos z ciemności.

Nie odwróciła się, by spojrzeć, kto wypowiedział te słowa. Ktoś ze znanego jej tria, a kto konkretnie - było kwestią czysto akademicką.

- Buddenbaum wam nie powiedział? - zapytała Tesla.

- Nie.

- Dziwne.

- Nie jesteśmy pewni, czy on o tym wiedział - rozległ się inny głos. Tym razem rozpoznała go, należał do dziewczynki, Rare Utu.

- Aż trudno mi w to uwierzyć - odparła Tesla, wciąż wpatrując się w górę. Co oni tam robili? Zakładali gniazdo? - Wy tu jesteście. Są tu Iadowie. To nie żaden przypadek.

- Masz rację - padła odpowiedź. - Ale to wcale nie oznacza, iż wydarzenia zostały zaplanowane. Historia Sapas Humana roi się od przykładów synchroniczności.

Odwróciła się do nich. Stali w ciemnościach, kilka metrów od niej, gdzie ledwie docierało światło płynące z okien kuchni. Teraz, kiedy się im przyglądała, stwierdziła, że nie są nie do odróżnienia jak wcześniej sądziła. Rare Utu stała nieco na prawo, a jej twarz wyglądała dziewczęco, dokładnie tak jak sobie zaplanowała. Trochę dalej stał osobnik pozujący na komika, wielkouchy Haheh. I tym razem, mimo iż jego rysy były nader delikatne i subtelne, mimo wszystko dawało się je zauważyć. Najbliżej Tesli stało debilne dziecko, Yie. Jego twarz nosiła najwyraźniejsze oznaki przyjętej osobowości. Z całej trójki właśnie on przyglądał się Tesli najbardziej podejrzliwie.

- Wygląda na to, że dobrze znacie ludzi - zauważyła.

- O tak - odparł Haheh. - Nigdy nie nudzimy się oglądaniem Wielkiego Sekretnego Widowiska.

- Mój Boże - szepnęła. - Byliście w Palomo Grove?

- Niestety nie - odrzekła Rare Utu. - To akurat przeoczyliśmy.

- Prawdę mówiąc od tego właśnie zaczęły się nasze spięcia z Buddenbaumem - dorzucił Haheh. - Znudziły nas wciąż te same, stare, nudne rzezie. Mieliśmy ochotę na coś bardziej, jakby to określić...

- Apokaliptycznego - podpowiedział Yie.

- A więc on to zaaranżował? - spytała Tesla.

- Na to wygląda - potwierdził Haheh. - Ale utracił swój geniusz. Weźmy dzisiejsze popołudnie. To powinien być wielki triumf, a w rezultacie skończyło się wielką klapą. Byliśmy bardzo rozczarowani. Dlatego zaczęliśmy poszukiwać ciebie. Chcemy kolejnego Palomo Grove. Ludzi doprowadzanych przez ich własne koszmary do utraty zmysłów.

- Nie macie za grosz współczucia? - wybuchnęła Tesla.

- Oczywiście, że mamy - odrzekła Rare Utu. - Bardzo cierpimy, oglądając wasze cierpienie. Gdyby było inaczej, po co w ogóle mielibyśmy na nie patrzeć?

- Powiedz to jeszcze raz - rzuciła Tesla.

- Lepiej jej pokaż - mruknął Haheh.

- Jesteś pewny, że to rozsądne? - spytał Yie. Jego paciorkowate oczy zwęziły się w szparki.

- Ufam jej - oznajmił Haheh, wychodząc spośród cieni i minąwszy Yie stanął obok Tesli. Otulające go niczym kokon szaty się rozchyliły. Od środka wyglądały jeszcze wspanialej niż z zewnątrz, ozdabiały je klejnoty, których barw nie potrafiłaby nawet nazwać. Niektóre miały wielkość owoców, brzoskwiń i gruszek, ale wszystkie wyglądały jak przejrzale, emanowały bowiem płynnym, lepko-słodkim blaskiem.

- Ten - rzekł Haheh, wskazując szczytkową kończyną klejnot wielkości jaja - zdobyłem w Des Moines, będąc świadkiem wyjątkowo okrutnej tragedii. Trzy pokolenia, a może cztery...?

- Cztery - poprawiła Rare Utu.

- Cztery pokolenia uśmiercone jednej nocy w wyniku eksplozji gazu. Cały ród, jedno nazwisko, bezpowrotnie przestały istnieć. To była wielka tragedia. Straszna i żalсна. A ten - tu wskazał klejnot, który miał więcej odcieni bursztynu aniżeli zachód słońca w Key West - pochodzi z Arkansas z egzekucji człowieka niesłusznie oskarżonego o morderstwo. Patrzyliśmy, jak się smażył, mając świadomość, że prawdziwy sprawca właśnie w tej chwili zabijał kolejne małe ofiary. To było ciężkie. Bardzo ciężkie. Czasami widzę w bańkach mleczny opar i to przypomina mi o tych dzieciach...

Słuchając tego monologu, Tesla stwierdziła, że pełne przepychu odzienie, które rozsunęło się przed nią, nie było w rzeczywistości ubiorem - to było ciało. Klejnoty-bańki, jak

je nazywał Haheh, były w rzeczywistości czymś w rodzaju owoców wyrosłych ze smutku i ciała. Po części wspomnienia, po części ozdoby, po części trofea, stanowiły jedyne w swoim rodzaju, chlubne blizny, znaczące miejsca, które napiętnowały odczucia.

- Widzę, że jesteś pod wrażeniem - zauważyła Rare Utu.

- I chyba odrobinę zniesmaczona - dodał Yie.

- Troszeczkę - przyznała Tesla.

- No cóż - odrzekł ze zrozumieniem Yie - jest się czym napawać. - Spojrzał przenikliwie na Teslę. - Buddenbaum był zbyt skryty, nie pozwalał nam poznać swych odczuć. Spokój i łatwość, z jaką kryje własne uczucia, to chyba konsekwencja jego introwertyzmu.

- Podczas gdy ty... - mówił Haheh.

- Jesteś taka naga - mruknęła Utu. - Już samo bycie z tobą jest widowiskiem samym w sobie.

- Moglibyśmy naprawdę świetnie się bawić - zagruchał Haheh.

- Czy o czymś nie zapominacie? - spytała Tesla.

- To znaczy?

- Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, powiedzieliście, że wiecie, że już wkrótce umrę. I tak się składa, że wiem, iż jest to prawda.

- Szczegóły, szczegóły - odrzekła Rare Utu. - Życie jest naszym darem, Teslo. Sama widziałaś, jak Buddenbaum oszukuje śmierć. Dziś po południu zarobił kulkę w głowę, a do tego czasu prawie na pewno odzyskał już siły.

- Nie możemy obdarzyć cię nieśmiertelnością - odezwał się Haheh.

- Ani nawet byśmy tego nie chcieli - dodał Yie.

- Ale możemy zaproponować ci przedłużenie życia. Będzie ono dość znacznie przedłużone, jeżeli tylko nasza współpraca okaże się owocna.

- Jeżeli zatem powiem tak, będę żyć, tak długo, jak tylko będę dostarczać wam nowych wrażeń?

- Dokładnie. Spraw, byśmy czuli. Teslo Bombeck. Obdarz nas opowieściami, które poruszą nam serca.

Podczas gdy Rare Utu mówiła te słowa, w głowie Tesli Bombeck odezwały się dwa zażarte, sprzeczne z sobą głosy.

*Przyjmij propozycję!* - wołał pierwszy. - *Po to przyszedłaś na ten świat! To nie wymyślanie bzdurnych scenariuszy dla opychających się popcornem imbecyli! Będziesz pisać samo życie!*

Drugi głos był równie twardy i niewzruszony.

- *To groteskowe. Oni są emocjonalnymi pijawkami! Przyjmij ich propozycję, a porzucisz jednocześnie swoje człowieczeństwo!*

- Żądamy odpowiedzi, Teslo - powiedział Haheh.

- Wyjaśnijcie mi jedną rzecz - poprosiła. - Dlaczego nie zrobicie tego sami?

- Ponieważ nie wolno się nam mieszać - odrzekła Rare Utu. - To by nas skalało.

Splugawiło.

- Zniszczyło - dorzucił Yie.

- Rozumiem.

- No i? - dopytywał się Haheh. - Masz już odpowiedź?

Tesla zamyśliła się przez chwilę.

- Owszem, mam.

- Jak brzmi? - spytała Rare Utu.

Zastanawiała się jeszcze przez chwilę.

- Może - odparła.

Kiedy wróciła do domu, zobaczyła, że Seth zniósł małą do saloniku i tam, siedząc na sofie, delikatnie ją kołysał.

- Zjadła choć trochę?

- Taa - mruknął. - Wszystko w porządku. - Spojrzał czule na Amy. - Śliczne maleństwo - powiedział. - Słyszałem, jak z nimi rozmawiałaś. Czego chcą?

- Moich usług - odparła Tesla.

- Zamiast Owena? - Tesla pokiwała głową. - Domyślił się, że o to właśnie im chodzi.

- Gdzie on jest teraz?

- Powiedział, że będzie czekał na ciebie w Cichym Kąciku. To mała restauracyjka przy Main Street.

- W takim razie nie każmy mu dłużej czekać - mruknęła Tesla.

Seth podniósł się powoli, aby nie przestraszyć Amy.

- Pójdę z tobą. Zajmę się małą, gdy ty będziesz załatwiać swoje sprawy z Owenem.

- Powinieneś coś wiedzieć o Amy...

- Ona nie jest twoja, prawda?

- Nie. Jej matka i mężczyzna, o którym sądziłam, że był jej ojcem, nie żyją. A facet, który może być jej prawdziwym ojcem, na pewno będzie jej szukał.

- Kim on jest?



- Nazywa się Tommy McGuire, ale woli, by nazywać go Chłopcem Śmierci. - Podczas gdy udzielała mu tych wyjaśnień, jej wzrok padł na karty rozłożone na stoliku. - Twoje? - zapytała.

- Nie. Myślałem, że należą do ciebie.

Od razu zorientowała się, co przedstawiały. Piorun, chmura, mała, komórka, wszystkie stacje krzyża Quiddity.

- To muszą być karty Harry'ego - stwierdziła i zgarnawszy je ze stolika, włożyła do kieszeni, po czym skierowała się ku drzwiom.

## 2

Na wysokości dwóch trzecich zbocza, mijając zagajnik porośnięty drzewami gęściej niż gdzie indziej, kobieta siedząca na plecach Harry'ego powiedziała:

- Zatrzymaj się na chwilę, dobrze? Obejrzała teren wokół. - Jestem pewna, że to właśnie w tym miejscu zamordowano mego ojca.

- Czy on również padł ofiarą linczu? - rzucił Raul.

- Nie - odparła. - Zastrzelił go człowiek, który sądził, że mój ojciec to sługa Szatana.

- Dlaczego tak uważał?

- To długa i smutna historia - odrzekła Maeve O'Connell. - Ale znalazłam sposób, aby pamięć o nim nie przeminęła.

- Jaki? - zapytał detektyw.

- Nazywał się Harmon - wyjaśniła, a gdy ruszyli w dalszą drogę, opowiedziała Harry'emu i Raulowi całą gorzką historię. Była to smutna relacja ostatnich godzin jej ojca i tego, jak pokazał swoją wizję Everville córce.

- Wiedziałam, że wybudowanie miasta i nazwanie go Everville jest moim obowiązkiem, ale nie było to proste. Miasta nie pojawiają się z dnia na dzień, ponieważ ludzie tworzą je w swoich snach, a przynajmniej nie w tym świecie. Musiał być po temu powód. Dobry powód. Miejsce nad rzeką, na wysokości brodu. Albo żyły złota w ziemi. Ale moja dolina miała tylko niewielki, płytki strumień i nikt nigdy nie znalazł tu złota, musiałam więc znaleźć inny sposób, żeby ściągnąć tu ludzi, by pobudowali tu domy i sprowadzili swoje rodziny. Nie było to proste, nawet w najlepszych czasach, a czasy wówczas nie należały do najlepszych. Widzicie, człowiek, który zabił mego tatę, był kaznodzieją w Silverton i z kazalnicy szerzył najwymyślniejsze plotki, jakoby na zboczach Harmon's Heights znajdowały się otwarte wrota piekielne i nocami wylatywały stamtąd spragnione ludzkich dusz diabły i demony.

Tak więc po kilku latach prawie samotnego pobytu tutaj postanowiłam wybrać się do Salem, gdzie miałam nadzieję znaleźć grupkę ludzi, którzy nie słyszeli kazań pastora Whitneya. Któregoś dnia wdałam się w rozmowę ze sprzedawcą w sklepie z artykułami spożywczymi, opowiedziałam mu o mojej pięknej, wspaniałej dolinie i dodałam, że powinien przyjechać tu, aby obejrzeć ją na własne oczy - a on na to wyjął z kieszeni srebrną dolarówkę, cisnął ją na kontuar i rzekł: „Pokaż mi”. Ja na to - „To dość daleko stąd”. A on kładzie mi rękę na udzie, podnosi spódnicę i mówi: „Nie, całkiem blisko”. Wówczas zorientowałam się, o co mu chodziło, obrzuciłam go najgorszymi wyzwiskami, jakie tylko znałam i wyszłam, wściekła. Jednak w drodze do domu przemyślałam to, co od niego usłyszałam, i doszłam do wniosku, że najlepszym sposobem na ściągnięcie do doliny mężczyzn będzie sprowadzenie tu najpierw kobiet.

- Sprytne - pochwalił Raul.

- Nie wszyscy ludzie są religijni i nie zawsze kierują się zdrowym rozsądkiem. Ale za kobietami pójdą jak w dym. Są w stanie wycierpieć dla nich najgorsze katusze. Wielokrotnie zostało to udowodnione. - Poklepała Harry'ego po ramieniu. - Robiłeś głupie rzeczy z powodu kobiet, czyż nie?

- Zdarzało się - przyznał detektyw.

- Widzisz zatem, że miałam swoją metodę. Wiedziałam jak ściągnąć mężczyzn do mojej doliny. A gdy już się tu zjawili, mogli zacząć budować dla mnie miasto snów mojego ojca.

- Teoretycznie wszystko to rozumiem - powiedział Raul. - Ale jak to wyglądało w praktyce?

- Mój ojciec dostał krzyż od mężczyzny nazwiskiem Buddenbaum.

- Buddenbaum? - powtórzył Harry. - Chyba nie ten sam...

- Słyszałeś o nim?

- Czy o nim słyszałem? Zastrzeliłem go dziś po południu.

- On nie żyje?

- Nie. Kiedy widziałem go ostatnim razem, był jak najbardziej żywy i zdrowy. Jednak, jak już wspomniałem, to nie może być ten sam Buddenbaum.

- Ależ oczywiście, że może - zaproponowała Maeve. - A jeżeli to on, och, jeśli to on, bardzo chciałabym zadać temu skurwielowi kilka pytań.

dołożyć zdrowo każdemu, kto odważyłby się stanąć im na drodze. Mieli broń i Boga po swej stronie, byli silni, zwarci, gotowi - czegoż więcej potrzeba wojsku?

Cywilni mieszkańcy miasta nie byli aż tak krwiożerczy. Wielu ludzi, zwłaszcza turystów, uznało, że cokolwiek działo się na górze, lepiej będzie obejrzeć relację w jutrzejszych wiadomościach niż na własne oczy i zarządziło pospieszny, dość bezładny odwrót. Wielokrotnie idący wzdłuż Main Street mężczyźni musieli ustępować z drogi samochodom pełnym gości festynowych.

- Tchórze! - ryknął Waits, kiedy cudem uniknął rozjechania, w ostatniej chwili schodząc z ulicy na chodnik.

- Niech sobie jadą - rzucił bełkotliwie Glodoski. - Nie potrzeba nam gapiów. Tylko by nam przeszkadzali.

- Wiecie co? - zapytał Reidlinger na widok zapłakanej kobiety wpychającej dziecko do auta. - Będę musiał was tu zostawić, chłopaki. Przykro mi, ale odpuszczam to sobie. Mam dzieciaki, Larry, gdyby coś im się stało...

Glodoski spojrzał nań mętym wzrokiem,

- W porządku - powiedział. - To na co jeszcze czekasz? - Reidlinger chciał raz jeszcze przeprosić, ale Glodoski nie pozwolił mu dokończyć. - Idź już - uciął krótko. - Nie jesteś nam potrzebny. - Reidlinger oddalił się, zawstydzony. - Czy ktoś jeszcze chce się odłączyć? Jeżeli tak, niech to zrobi, póki jeszcze czas - oznajmił Larry.

Alstead chrząknął i odezwał się: - Wiesz, Larry, wszyscy mamy swoje obowiązki. To znaczy... może powinniśmy zostawić tę sprawę władzom.

- Ty też dezerterujesz? - dopytywał się Glodoski.

- Nie, Larry. Mówię tylko...

Bosley wszedł mu w słowo.

- Spójrzcie - powiedział, wskazując na dwoje ludzi zmierzających w ich stronę. Znał i gardził obojgiem. Kobieta za jej niewyparzoną, plugawą gębą, a chłopakiem za perwersyjne, zboczone preferencje seksualne. - Tych dwoje jest niebezpiecznych - oznajmił. - To współnicy Buddenbauma.

- Nie jest ich dwoje - zauważył Bill Waits - tylko troje. Lundy niesie dzieciaka.

- Zaczęli kraść dzieci - rzucił Bosley. - Jak nisko upadną?

- Czy to nie ona była na skrzyżowaniu? - wtrącił Larry.

- Ona.

- Panowie, jest zadanie do wykonania - oznajmił Larry, wymijając Bosleya. - Ja to załatwię. Wy miejcie oczy szeroko otwarte.

Tesla i Seth ujrzeli podpity kwartet i przeszli na drugą stronę ulicy, aby go ominąć. Glodoski zastąpił im drogę, i zapytał bełkotliwie:

- Czyj to dzieciak? - Jego pytanie zostało zignorowane. - Nie zamierzam powtarzać dwa razy - oznajmił. - Czyje to dziecko?

- Nie twój zasmarkany interes - odwarknęła Tesla.

- Co zamierzacie z nim zrobić? - rzucił piskliwym głosem Bosley.

- Zamknij się, Bosley - powiedział Larry.

- Oni je zamordują!

- Słyszałeś, co on powiedział, Bosley - rzekła Tesla. - Stul dziób.

Teraz Bosley przejął kontrolę nad sytuacją, wyjmując zza pazuchy pistolet.

- Połóż dziecko na ziemi - rozkazał piskliwie.

- Powiedziałem, że ja się tym zajmę - warknął Glodoski.

Bosley zignorował go i podszedł do Tesli, unosząc broń do strzału.

- Jezu - szepnęła Tesla. - Nie macie nic innego do roboty? - Wskazała palcem w stronę Wyżyny. - Coś schodzi ze szczytu tej góry i raczej nie chcielibyście być tutaj, kiedy się tu zjawi.

Jakby na podkreślenie jej ostrzeżenia latarnie uliczne zamrugały i jedna po drugiej zaczęły gasnąć. Ze wszystkich stron dobiegały okrzyki zaniepokojenia.

- Uciekamy? - szepnął Seth do Tesli.

- Nie możemy ryzykować - odrzekła. - Nie z Amy.

Kilka latarni ponownie się zapaliło, ale ich blask był słaby i migotliwy. Bosley tymczasem postąpił naprzód, by odebrać dziecko z rąk Setha.

- Nie masz prawa tego robić - zaprotestował chłopak.

- Jesteś chujolizem, Lundy - warknął Alstead. - A co za tym idzie, mamy pełne prawo zrobić to, co chcemy.

Bosley ujął dziecko, ale Seth nie chciał go puścić.

- Alstead! - zawołał Bosley. - Pomóż mi!

Alstead nie potrzebował powtórnego zaproszenia. Zaszedł Setha od tyłu i złapał go za ramiona. Larry tymczasem wyjął swój rewolwer i wymierzył w Tesłę, aby nie próbowała przyjść chłopakowi z pomocą.

- Co się tam dzieje? - zwrócił się do niej, wskazując w stronę Wyżyny.

- Nie wiem. Ale wiem, że jeżeli to dotrze tutaj, wszyscy znajdziemy się po uszy w gównie. Jeżeli chcecie zrobić coś dobrego, dlaczego zamiast porywać dzieci, nie pomożecie w ewakuowaniu ludności?

- Ona ma rację, Larry - zauważył Waits. - Tu jest sporo starszych ludzi...

- Dotrzemy do nich! - wybuchnął Glodoski. - Wszystko już zaplanowałem.

Amy, kiedy Bosley wyrwał ją z ramion Setha, uderzyła w płacz.

- Brakuje jej twojego cycka, Lundy - rzucił drwiąco Alstead, sięgając dłonią piersi chłopaka.

Seth odpowiedział wbijając tamtemu łokieć w żołądek na tyle silnie, by wycisnąć zeń oddech. Alstead, klnąc jak szewc, obrócił chłopaka i wymierzył mu dwa, trzy ciosy w twarz, rozkrwawiając mu usta i nos. Seth zatoczył się do tyłu, nogi go zawiodły i runął na ziemię. Alstead podbiegł, by kopnąć leżącego, ale Waits go powstrzymał.

- Dobra, wystarczy!

- Mały obciążacz!

- Daj mu już spokój, dobra? - ryknął Waits. - Nie przyszliśmy tu chyba, aby bić dzieciaki. Larry...?

Glodoski spojrzał na Waitsa i gdy to uczynił, Tesla przemknęła pod jego ręką i rzuciła się, zamierzając go rozbroić. Próba nie powiodła się jednak. Szamotanina była krótka, broń dwukrotnie wypaliła w powietrze - aż w końcu Larry zdołał wymierzyć Tesli potężny cios na odlew. Upadła.

Tymczasem Waits podźwignął z ziemi zakrwawionego Setha, wołając jednocześnie do Alsteada, aby się nie zbliżał. Bosley sięgnął do kieszeni po rewolwer, który schował przed odebraniem chłopakowi dziecka.

- Tesla! - zawołał Seth. - Uważaj!

Odzyskała ostrość wzroku, by ujrzeć nie jedną, lecz dwie wycelowane w siebie lufy.

- Uciekaj! - rzucił Seth.

Miała tylko ułamek sekundy na podjęcie decyzji i pomógł jej w tym niezawodny instynkt. Zanim Glodoski czy Bosley zdążyli wystrzelić, rzuciła się rozpaczliwie do ucieczki. Usłyszała, jak z tyłu za nią Glodoski krzyczy coś niezrozumiale. A potem wypalił. Kula wyłobowała rowek w chodniku, na prawo od niej.

- Larry, przestań! - ryknął Waits. - Czyś ty oszalał?

Glodoski wypalił ponownie. Tym razem kula strzaskała znajdujące się za Teslą okno wystawowe. Skręciła za róg budynku, zanim padł trzeci strzał, a obejrzwawszy się przez ramię, ujrzała, że Waits schwycił Glodoskiego i próbował wyszarpnąć mu broń. Nie czekała, by zobaczyć jak zakończy się ta szamotanina, lecz pobiegła dalej i znikła im z oczu.

Żałowała, że straciła Setha i Amy, ale spotkanie to będzie miało określone skutki i Glodoski wraz z jego kolesiami srodze tego pożałują. Jeśli istniała moc, którą Tesla mogła

przejąć, skraść lub wyblagać od Buddenbauma, zdobędzie ją i przestanie bawić się w konwenanse.

4

Kiedy Harry, Maeve i Raul przekroczyli Potok Ungera, latarnie uliczne na ulicach przed nimi, od kwadransa migające, zgasty zupełnie. Cała trójka przystanęła na chwilę, póki inne zmysły nie dostroiły się do ciemności, które ich nagle otoczyły. Zmysły te nie przyniosły im jednak uspokojenia. Usłyszeli jedynie przeraźliwe wrzaski dochodzące od strony miasta, podczas gdy w zagajniku i wyżej, wśród drzew, panowała cisza, jakby każdy nocny ptak i owad wiedział o czymś, co nie dane było Sapas Humana - że zbliża się śmierć i ci krzyczący najgłośniejszostaną dopadnięci jako pierwsi. Co się tyczy innych zmysłów, odbierane przez nie informacje wcale nie były lepsze. Letni wietrzyk przyniósł ze sobą woń, którą Harry poczuł, wchodząc do budynku na rogu ulic Dziewiątej i Trzynastej - fetor gnijących ryb i palonych przypraw. Czuł ten smak na języku i żołądek nieomal podszedł mu do gardła.

- Oni nadchodzą - rzekł Raul.

- Musiało się tak stać.

- Czy wobec tego mógłbyś się pospieszyć? - rzuciła Maeve. - Chciałabym zobaczyć moje miasto, zanim wszyscy pójdziemy do piekła.

- Masz na myśli jakieś konkretne miejsce? - spytał Harry.

- Owszem, tak, skoro już zapytałeś - odrzekła Maeve. - Jest tam duże skrzyżowanie...

- Co jest z tym cholernym skrzyżowaniem? - mruknął Harry.

- Tam właśnie mieszkałam. Zbudowaliśmy tam nasz dom, mój mąż i ja. Muszę bez fałszywej skromności przyznać, iż był to naprawdę piękny dom. Dom przez duże D. Dopóki nie spaliły go te łajdaki.

- Dlaczego to zrobili?

- Powód był dość typowy. Zbyt wiele prawości i zbyt mało pasji. Ileż dałabym za odrobinę, choćby tylko namiastkę tego jak było na początku, kiedy wciąż jeszcze mieliśmy nadzieję... - Zamilkła na kilka chwil, w końcu jednak zawołała z nowym ożywieniem: - Zabierz mnie tam! Zabierz mnie tam! Chcę zobaczyć miejsce, gdzie się to wszystko zaczęło!

## Rozdział XII

### 1

Tesla zastała Buddenbauma siedzącego w Cichym Kąciku, dokładnie tak jak powiedział jej Seth. Mała kafejka była opuszczona i mroczna, jeżeli nie liczyć płomienia roznieconego przez Buddenbauma na talerzu, który podsycił strzępkami menu.

- Już myślałem, że nie przyjdiesz - powiedział, z niemal szczerym uśmiechem.

- Coś mnie zatrzymało.

- Miejscowi?

- Tak. - Podeszła do stolika i usiadła naprzeciw Owena. Wyjęła serwetkę z serwetnika, aby otrzeć spocone czoło. Po chwili wzięła jeszcze jedną i wydmuchała nos.

- Wiem, o czym myślisz - odezwał się Buddenbaum.

- Czyżby?

- Myślisz: Dlaczego, u licha, mam się przejmować tymi pieprzonymi ludźmi? Są głupi i okrutni, a gdy się boją, stają się jeszcze głupszy i okrutniejsi.

- Wyjąwszy nas, ma się rozumieć.

- Oczywiście. Ty jesteś Nuncjatem, a ja...

- Człowiekiem Jai-Wai.

Buddenbaum skrzywił się.

- Czy oni wiedzą, że tu przyszłaś?

- Powiedziałam im, że idę się przejść, aby przemyśleć pewne sprawy. - Sięgnęła do kieszeni i wyjęła talię kart. - Nawiasem mówiąc, widziałeś je już kiedyś? - Położyła je na stoliku. Owen przyjrzał się im niemal nabożnie, a jego wargi zacisnęły się mocno.

- Do kogo należały? - zapytał, zawiesiwszy nad nimi dłonie, ale nie dotykając żadnej z kart.

- Nie wiem.

- Były w potężnych rękach - powiedział z uznaniem.

Tesla sięgnęła do kieszeni w poszukiwaniu zagubionej karty i wyjęła resztki skręta skonfiskowanego pilnującej krzyży miłośnicze śpiwu. Powąchał. Cokolwiek znajdowało się w środku, miało bardzo ostrą woń. Zdjęła z talerza pasek płonącego kartonu, włożyła niedopałek do ust i przypaliła.

- Będiesz dla nich pracowała? - zapytał Buddenbaum.
- Dla Jai-Wai? - rzuciła. Pokiwała głową. - Wątpię.
- Dlaczego nie?
- To świry, Buddenbaum. Rajcuje ich ludzkie cierpienie.
- Czyż nie jest tak z nami wszystkimi?
- Nie. - Zaciągnęła się lekko i zatrzymała dym.
- Dajże spokój, Bombeck - mruknął Buddenbaum. - Pisywałaś scenariusze filmowe.

Wiesz, co rajcuje ludzi.

Wydmuchnęła kłęb liliowego dymu.

- Różnica jest następująca: - to się dzieje naprawdę.

Buddenbaum nachylił się do przodu.

- Dasz się zaciągnąć? - zapytał. Podała mu niedopałek nad płomieniem. Narkotyki wywoływał subtelne halucynacje wzrokowe. Ogień tańczył teraz wolniej, a kropelki potu na czole Buddenbauma stały się krystalicznie czyste. Zaciągnął się i wstrzymawszy oddech powiedział: - To co rzeczywiste dla nas, niekoniecznie jest realne dla reszty świata. Wiesz o tym. - Skierował wzrok ku ciemnej ulicy. Chodnikiem szła pięcioosobowa rodzina, dzieci płakały. - Cierpią - rzekł, wydmuchując dym - i nie zamierzam umniejszać ich odczuć, ale ich cierpienie to jedynie prosta, zwierzęca reakcja. Nie jest prawdziwa, w tego słowa znaczeniu. To minie. Wszystko prędzej czy później przemija.

Przypomniała sobie Kissoona w domu Toothakera. On również tak uważał.

- Życie ciała, życie zwierząt jest przemijające. Topnieje, rozplywa się, niknie. To jednak, co ukryte jest w ciele, tkwiący w nim duch, jest trwały, a nawet może mieć nadzieję na w i e c z n e t r w a n i e. To od nas zależy, czy ta nadzieja stanie się rzeczywistością.

- To dlatego pragniesz osiąść Sztukę?

Buddenbaum ponownie zaciągnął się dymem, oddał Tesli skręta i rozparł się wygodnie na krześle.

- Ach... Sztuka - powiedział.

- Byłam przy tym, kiedy posiadał ją džaff. Wiesz o tym?

- Oczywiście.

- Nie wyszło mu to raczej na zdrowie.

- To również wiem - rzekł Buddenbaum. - Ale był wówczas słaby. I szalony. Ja taki nie jestem. Żyję już dwa i pół raza dłużej niż przeciętni ludzie i poświęciłem ten czas na przygotowanie się na to, co się tu rozpoczęło. Jestem gotowy, aby przejąć władzę.

- W takim razie do czego ja jestem ci potrzebna?



Buddenbaum wywrócił oczami i wbił wzrok w sufit.

- Dobra ta gandzia - powiedział. - Prawda jest taka, że to nie ciebie potrzebuję. Teslo.

- Tylko Jai-Wai.

- Niestety.

- Zechcesz mi wyjaśnić, dlaczego?

Owen zamyślił się przez chwilę.

- Jeżeli chcesz, abym ci pomogła - powiedziała Tesla - musisz mi najpierw zaufać.

- To trudne - mruknął. - Przez tyle lat działałem samotnie i zawsze strzegłem starannie swych tajemnic.

- Ułatwię ci to - rzuciła Tesla - Powiem ci, co wiem. Lub czego się domyśliłam. Podniosła karty i przetasowała w blasku ognia a gdy zaczęła mówić, wpatrywała się z uwagą w oblicze Buddenbauma. - Zakopałeś na skrzyżowaniu jeden z medalionów Szkoły i przez te wszystkie lata zdołał on zgromadzić niemałą moc. A teraz jesteś gotów ją wykorzystać, aby osiąść Sztukę.

- Świetnie... - rzekł Buddenbaum - mów dalej.

Odsunęła płonący talerz na bok i zaczęła wykladać na obrus karty jedną po drugiej.

- Dżaff nauczył mnie tego i owego - powiedziała - kiedy byliśmy razem w jaskiniach pod Palomo Grove. Patrzyłam na krzyż, który miał on, usiłując rozszyfrować znaczenie symboli, tych symboli - machnęła talią kart w powietrzu. - Powiedział mi tak: „Aby coś pojąć, musisz to najpierw osiąść. Kiedy poznasz znaczenie symbolu, automatycznie przestaje być on symbolem. Ta rzecz trafia do twojej głowy, a to jedyne odpowiednie dla niej miejsce”. - Przez chwilę wpatrywała się w karty. Kiedy ponownie spojrzała na Buddenbauma, jego wzrok był zimny jak lód. - Na skrzyżowaniu dróg wszystko się rozmywa, mam rację? Ciało i duch, przeszłość i przyszłość, wszystko to obraca się w Umysł. Odnalazła wszystkie karty przedstawiające ciało rozpięte pośrodku krzyża i zaczęła je układać. - Ty jednak, aby osiąść Sztukę, musiałeś zdobyć wszystkie możliwości, jakie są dostępne. Właśnie tam, na Rozstajach. Elementy ludzkie. Elementy zwierzęce. Elementy snów... - Przerwała i znów spojrzała na niego. - I jak mi idzie? - zapytała.

- Chyba wiesz - odrzekł Buddenbaum.

- To na czym skończyłam?

- Elementy snów.

- Och, tak. I rzecz jasna ostatnie z elementów. Elementy dopełniające układankę. - Miała tę kartę w ręku, symbol, którego miejsce było u szczytu pionowego słupa krzyża. Odwróciła ją w jego stronę.

- Elementy boskości.

Buddenbaum westchnął.

- Jai-Wai - rzekła i rzuciła kartę na blat stolika.

Nastąpiła trwająca dwadzieścia, może trzydzieści sekund cisza. W końcu Buddenbaum powiedział:

- Zdajesz sobie sprawę, jak trudno to było zaaranżować? Znaleźć miejsce, gdzie mogłem mieć nadzieję na zejscie się wszystkich tych elementów? To skrzyżowanie nie było, rzecz jasna, jedynym miejscem, gdzie zakopałem krzyż. Pozostawiłem ich całe mnóstwo. Ale w tym miejscu było coś szczególnego...

- To znaczy?

Zamyślił się przez chwilę.

- Dziewczynka, Maeve O'Connell - powiedział.

- Kto?

- To ona zakopała za mnie ten krzyż, zanim jeszcze powstała tutaj osada. Pamiętam, jak ojciec zwracał się do niej po imieniu - „Maeve, Maeve”, pomyślałem, że to jest znak. To irlandzkie imię, oznacza ducha odwiedzającego mężczyzn w snach. A kiedy poznałem jej ojca, uświadomiłem sobie, jak łatwo można zaszcześcić w nim marzenie. Sprawić, by zbudował dla mnie wielkie miasto, do którego przybędą najróżniejsze istoty, a umieszczony pośrodku mały krzyżyk będzie stopniowo nabierał mocy.

- Everville jest twoim dziełem?

- Nie, nie mogę tego sobie przypisywać. Moja była jedynie i n s p i r a c j a i to wszystko. Reszty dokonali zwykli ludzie, wkładający w to miejsce część siebie.

- Ale wszystko miałeś pod kontrolą?

- Przez pierwsze trzy lub cztery lata odwiedzałem to miejsce, jednak nasienie nie chciało zakiełkować. Ojciec zginął na górze, a córka poślubiła dziwne indywiduum z drugiej strony, toteż ludzie trzymali się od nich na dystans.

- Ale miasto w końcu powstało?

- Ostatecznie tak, choć nie mam pojęcia, w jaki sposób. Nie byłem tam przez dłuższy czas, a gdy wreszcie przyjechałem, wiesz co ujrzałem? Wielkie Everville. Nie była to może metropolia, którą sobie wyobrażałem, ale miało swoje mocne strony. Wiedziałem, że od czasu do czasu zaglądali tam wędrowcy z Metakosmosu ot tak, z sentymentu. Ich ścieżki przecinały się ze ścieżkami Sapas Humana, potem ruszali w dalszą drogę, a przez cały ten czas medalion w ziemi gromadził moc.

- Długo czekałeś.

- Musiałem być dobrze przygotowany. Randolph Jaffe nie był jedynym, który stracił rozum przekonany, że jest w stanie zawładnąć Sztuką. Jak już wcześniej nadmieniałem, żyłem dłużej niż zwykli śmiertelnicy, dzięki Rare Utu i jej koleśiom. Wykorzystałem ten czas, aby przygotować samego siebie.

- I teraz już jesteś gotów?

- Teraz tak. Tyle tylko, że jeden element mojej układanki właśnie postanowił zdezerterować.

- A więc chcesz, bym sprowadziła ich do ciebie.

- Gdybyś była tak łaskawa - potwierdził Buddenbaum, lekko unosząc głowę.

- Jeżeli mi się to uda, czy pomożesz mi powstrzymać Iadów przed zniszczeniem miasta?

- Mogę ci to obiecać.

- Skąd mam wiedzieć, czy znalazłszy się na wyższym poziomie istnienia, nie olejesz wszystkiego i nie pozwolisz, abyśmy my wszyscy, cała reszta, zginęli w płomieniach?

- Musisz wierzyć, że nie złamię ostatniej obietnicy złożonej jako śmiertelnik - odparł Buddenbaum.

Tesla nie uważała tej oferty za szczególnie korzystną, ale nie mogła raczej liczyć na nic więcej. Kiedy się nad tym zastanawiała, Buddenbaum rzekł:

- Jest jeszcze coś.

- Tak?

- Kiedy już przyprowadzisz Jai-Wai na Rozstaje, chciałbym, abyś natychmiast wyjechała z miasta.

- A to czemu?

- Ponieważ dziś po południu, kiedy wszystko miałem już zapięte na ostatni guzik, próba, którą podjąłem, zakończyła się fiaskiem i to z twojego powodu.

- Jak na to wpadłeś?

- Nie mogło być innej przyczyny - odparł Buddenbaum. - Jesteś Nuncjatem. Moc nie umiała wybrać, do którego z nas ma przepłynąć i pozostała w miejscu swego nagromadzenia.

- W porządku. Wyjadę.

- Teraz ja domagam się obietnicy.

- Masz ją.

- Świetnie - mruknął Buddenbaum - A teraz... może spalisz te karty?

- Dlaczego?

- W geście... dobrej woli.

Tesla wzruszyła ramionami.

- Nie ma sprawy - powiedziała i zebrawszy karty, rzuciła je na płonący talerz. Zajęły się szybko. Kołyszące się leniwie jęzory ognia powiększyły się nagle.

- Pięknie - rzekł Buddenbaum, wstając od stolika. - Wobec tego do zobaczenia na Rozstajach.

- Będę tam.

## 2

Wyczuła obecność wroga, kiedy tylko wyszła na ulicę. W jej myślach pojawiły się wspomnienia Punktu Zero - osamotnienia, kurzu i Iadów unoszących się jak wielka, rozszalała fala. Wkrótce tu będą, przynosząc ze sobą obłęd i pragnienie szaleństwa, rujnując to miasto, którego jedyną zbrodnią było to, iż założono je w imię transcendencji.

A kiedy już zostanie obrócone w perzynę, co wtedy? Czy wyruszą dalej, do Ameryk, aby szukać nowych ofiar, nowych magnesów?

Wnioskując po tym, co ujrzała podczas swoich wędrówek, w wielu miejscach nie byłiby niemiłe widziani. W tym podzielonym kraju wielu ludzi łaknęło katastrofy, knując spiski, by powitać milenium w orgii zniszczeń i rozlewu krwi. Słyszała ich przy barowych stolikach, jak mamrotali do kubków z kawą, widywała ich przy autostradach, jak miotali się z wściekłości, mijała ich na zatłoczonych ulicach (uznając większość z nich za całkiem normalnych, w schludnych, czystych ubraniach do pracy): ludzi, którzy pragnęli zagłady świata, ponieważ byli nim rozczarowani.

Po przybyciu Iadów nie będą już mrużyć do siebie. Nie będą musieli wygrażać niebiosom ani błyskać fałszywym uśmiechem, gdy tak naprawdę mieli ochotę krzyczeć. Otrzymają swój upragniony Dzień Gniewu, a moc którą Tesla ujrzała uwolnioną w Punkcie Zero, stanie się nagle w porównaniu z tą potęgą śmiesznie mała, żeby nie powiedzieć absurdalna!

Boże Jedyny, kiedyś ją również można było zaliczyć do grona tych ludzi!

Nie musiała iść daleko, aby odnaleźć Jai-Wai. Po przejściu stu metrów od Cichego Kącika dostrzegła jakieś zamieszanie i szukając jego źródła ujrzała szefa policji, usiłującego uspokoić gromadę około pięćdziesięciu evervillan, którzy domagali się, aby uczynił coś, cokolwiek, by ochronić miasto. Wielu z nich miało latarki i oświetlało obiekt zbiorowego gniewu. Szary jak popiół, zlany potem Gilholly robił co mógł, aby ich uspokoić, ale okoliczności sprzysięgły się przeciwko niemu. Wpływ Iadów, którzy schodzili z Wyżyny,

przybierał na sile i oszalały tłum z wolna tracił poczucie rzeczywistości. Ludzie zaczęli histerycznie szlochać albo wyć na całe gardło. Ktoś spośród tłumu przemawiał w obcym języku.

Uświadamiając sobie, że traci kontrolę nad tłumem, Gilholly wyjął rewolwer i wypalił w powietrze. Zebrani nieco przycichli.

- A teraz słuchajcie! - zawołał Gilholly, przekrzykując głosy i szlochy.

- Jeżeli zachowamy spokój, to jakoś sobie z tym poradzimy. Chcę, żeby wszyscy przeszli teraz do ratusza i zczekali tam, aż przybędzie pomoc.

- Pomoc? Skąd? - rzucił ktoś z tłumu.

- Miałem już wiele telefonów, proszę się nie obawiać - odrzekł Gilholly. - W ciągu pół godziny powinniśmy otrzymać pomoc z Moliny i Silverton. Znowu będzie prąd i...

- A co z tym, co się dzieje na górze?

- Zajmiemy się wszystkim - zapewnił Gilholly. - A teraz, czy zechcecie w końcu opuścić to miejsce, aby nikomu nic się nie stało, kiedy dotrą tutaj posiłki? - Jął przedzierać się przez tłum, nakłaniając zebranych, aby szli za nim. - No dalej, jazda! Idziemy!

Gdy ludzie ruszyli w końcu za szefem policji, Tesla ujrzała przez moment błysk krótkiej białej kurtki i udawszy się niezwłocznie w tę stronę napotkała Rare Utu, jak zwykle pod postacią małej dziewczynki, obserwującej z nikłym uśmiechem na ustach to, co się działo. Na widok Tesli dziewczynka się rozpromieniła.

- Oni wszyscy umrą - oznajmiła radośnie.

- To nie będzie zabawne.

- Podjęłaś decyzję?

- Tak - odrzekła Tesla. - Przyjmuję ofertę. Z jednym zastrzeżeniem.

- Jakim? - spytał Yie, również w swej ludzkiej postaci, wyłaniając się z tłumu.

- Nie chcę być tą osobą, która powie o tym Buddenbaumowi. Wy musicie to zrobić.

- Niby dlaczego? - rzucił Haheh, stając u boku Yie. - Po co mielibyśmy w ogóle to robić?

- Ponieważ służył wam wiernie przez te wszystkie lata - wyjaśniła Tesla. - I choćby przez to zasługuje na odrobinę szacunku.

- Nie umrze z chwilą naszego odejścia, nie grozi mu to - stwierdził Haheh. - Będzie, co prawda, starzał się dużo szybciej, kiedy wiek zacznie go doganiać, ale to nie takie straszne.

- Wobec tego powiedzcie mu to - rzekła Tesla. Spojrzała na Rare Utu. - Nie chcę, aby zaczął polować na mnie z maczetą, ponieważ przejęłam jego posiadłość.

- Rozumiem - mruknęła dziewczynka.

Yie się skrzywił.

- Pierwszy i ostatni raz spełniamy jakieś twoje życzenie - oświadczył. - Powinnaś być wdzięczna, że możesz nam służyć.

- Jestem - odparła Tesla. - Chcę wam opowiadać cudowne historie i pokazać wiele przepięknych rzeczy. Najpierw jednak...

- Gdzie on jest? - rzucił Haheh.

- Na Rozstajach.

### 3

- Dzięki Bogu, że jest ciemno - powiedziała Maeve, kiedy przemierzali spowite mrokiem ulice. - Przysięgam, że gdybym ujrzała całą tę szpetotę za dnia, rozplakałabym się. - Zażądała, by postawiono ją na ziemi przed Hamburger Hangout i był to dla niej prawdziwie wielki szok. - Wstrętne, brzydkie, obrzydliwe - narzekała. - Wygląda jak coś, co zrobiono dla dzieci.

- Nie przejmuj się tym tak bardzo - pocieszył ją Raul. - Nie postoi już tutaj długo.

- Mieliśmy wybudować miasto, które byłoby wieczne - powiedziała Maeve.

- Nic nie trwa tak długo.

- Nieprawda - zaoponowała. - Wielkie miasta stają się legendami, a legendy nie umierają. - Zerknęła koso na restaurację. - Wszystko byłoby lepsze niż to - skostatowała. - Sterta gruzów! Nawet dziura w ziemi!

- Możemy już iść dalej? - zapytał Harry, spoglądając w stronę góry.

Błądzili wśród uliczek miasta dobrych dwadzieścia minut. Maeve pewnym głosem wydawała mu polecenia, jakby doskonale pamiętała drogę do miejsca, gdzie mieszkała, aczkolwiek nie ulegało wątpliwości, że się zgubiła. Tymczasem Kissoon i jego legion Iadów schodzili z wierzchołka góry. Ich splątanej masy nie było obecnie widać, a zatem musieli dotrzeć już do podnóża stoku. Kto wie, może nawet byli w mieście i rozpoczęli już proces zagłady, o którym z taką lubością wypowiadała się Maeve.

- To niedaleko - powiedziała starszka, dotarłszy bez niczyjej pomocy do najbliższego skrzyżowania, i rozejrzała się na wszystkie strony. - Tędy! - oznajmiła, wskazując kierunek ręką.

- Jesteś pewna? - zapytał detektyw.

- Jestem pewna - potaknęła. - Mój burdel znajdował się w samym środku miasta. Właściwie był to pierwszy dom, jaki tu w ogóle powstał.

- Powiedziałaś: b u r d e l?

- Naturalnie spalili go do cna. Czy już o tym wspominałam? Spalili przy okazji pół dzielnicy, bo ogień przeniósł się na sąsiednie domy. - Odwróciła się do Harry'ego. - Tak powiedziałam: b u r d e l. A jak ci się wydaje, jak wybudowałam to miasto? Nie miałam rzeki. Nie miałam złota. Dlatego Coker i ja postawiliśmy tu burdel, a ja sprowadziłam doń najładniejsze dziewczęta, jakie udało mi się znaleźć. To przywabiło mężczyzn i niektórzy z nich zostali. Pożenili się, wybudowali własne domy. I tak oto - rozłożyła szeroko ręce, śmiejąc się w głos - patrzcie i podziwiajcie, powstało dzisiejsze Everville!

#### 4

Śmiech? - pomyślał Bosley, słysząc echo głosu rozbawionej Maeve pośród uliczek. Jakie to żalodne. Ktoś w całym tym chaosie utracił rozum.

Schronił się przy bramie Masonic Hall, aby nikt nie mógł dojrzeć go z ulicy (ani dziecka, które tulił do piersi). Dziesięć metrów dalej Larry przyparł do muru młodego Lundy'ego i przesłuchiwał go brutalnie. Chciał wiedzieć, gdzie ukrywa się ten sodomita Buddenbaum. ale Seth nie puszczał pary z ust. Za każdym razem, kiedy chłopak kręcił głową, Larry wymierzał mu cios. Czasami był lekki, czasami nie. Waits i Alstead stali w pewnym oddaleniu.

Waits włamał się do sklepu monopolowego Dana przy Coleman Street, wyniósł stamtąd parę butelek bourbona i z nieskrywaną przyjemnością oglądał przesłuchanie ponad ramieniem Larry'ego. Alstead siedział na chodniku z zadartą do góry koszulą, oglądając sińce i zadrapania, jakie odniósł podczas wcześniejszej szamotaniny z Lundym. Zapowiedział już Larry'emu, że kiedy skończy, on zabierze się do chłopaka. Bosley nie dawał Lundy'emu większych szans.

Zaczął modlić się w duchu. Nie tylko o zbawienie swoje i tego dziecka, lecz również o to, by potrafił wyjaśnić Bogu, że nie chciał, aby tak się to wszystko skończyło.

Absolutnie.

- Pragnąłem jedynie wypełniać Twoją wolę - mówił, starając się nie słyszeć jęków Setha i odgłosów kolejnych uderzeń. - Ale wszystko tak się pomieszało. Nie wiem już, co jest słuszne, Panie...

Gdzieś w pobliżu dały się słyszeć nowe krzyki, zagłuszając jego błagalne słowa. Zamknął oczy, rozpaczliwie usiłując zachować spójność myśli. Kiedy jednak wyłączył jeden ze zmysłów, jał wyraźniej odbierać bodźce przekazywane mu przez pozostałe. Poczul w

powietrzu woń, przypominającą fetor śmieci na tyłach jadłodajni w upalny dzień, przesycony dziwną słodyczą, od której żołądek podchodził do gardła. Oprócz smrodu pojawił się również dźwięk, rozlegający się głęboko w głowie, jakby ktoś wypróbował kamerton, uderzając nim o jego czaszkę.

Nie mógł pozostać tu ani chwili dłużej. Powiadamiając pozostałych, że zamierza się oddalić, wymknął się z bramy i skręcił w najbliższą przecznicę, by znaleźć się na Clarke Street.

Ulica była kompletnie pusta i w głębi duszy Bosley cieszył się z tego. Mógł stąd z łatwością bocznymi zaułkami dostać się z powrotem do swej restauracyjki. Odpocznie tam trochę, a potem spakuje rzeczy i wyniesie się z miasta. Zabierze ze sobą dziecko, aby móc chronić je w imię Boże.

Przechodził przez jezdnię, kiedy dopadł go podmuch zimnego powietrza. Dziecko natychmiast zaczęło pochlipywać.

- Już dobrze - wyszeptał. - Cii, cichutko, cii, maleństwo...

Powiało znowu, podmuch był tym razem zimniejszy i dużo silniejszy.

Bosley mocniej przytulił dziecko do piersi i gdy to uczynił, w mroku po drugiej stronie ulicy coś się poruszyło. Spośród cieni popłynął głos równie niepokojący jak wiatr, który go przywiał.

- Znalazłeś ją - powiedział głos i po chwili z mroku wyłonił się jakiś człowiek. Był spalony, bardzo spalony. Miejscami czarny, miejscami żółto-biały. Kiedy podchodził, przed nim na ziemi kładł się kobierzec żywego kurzu.

Bosley znowu zaczął się modlić.

- Nie! - rzucił spalony mężczyzna. - Moja matka często się modliła. Nie znośłem tego.

- Rozłożył ręce. - Oddaj mi tylko moją małą dziewczynkę.

Bosley pokręcił głową. To ostatni sprawdzian, pomyślał, spotkanie, do którego przygotowywały go wcześniejsze incydenty z wulgarną jędzą i sodomitami. Teraz przekona się, ile warta jest jego wiara.

- Nie dostaniesz jej - oznajmił z przekonaniem. - Nie jest twoja.

- Owszem, ona jest moja - odparł spalony mężczyzna. - Nazywa się Amy McGuire, a ja jestem jej ojciec, Tommy-Ray.

Bosley cofnął się o krok, czyniąc w myślach obliczenia. Jak daleko stąd do rogu ulicy? Czy gdyby teraz krzyknął, Glodoski usłyszałby go poprzez jęki Lundy'ego?

- Nie chcę cię skrzywdzić - oświadczył Tommy-Ray McGuire. - Nie pragnę kolejnych śmierci... - Mówiąc te słowa, pokręcił głową i z jego zwęglonej twarzy posypały się płatki



materii. - Zbyt wiele już widziałem... zbyt wiele...

- Nie mogę oddać ci jej - powiedział Bosley z emfazą. - Może gdybyś zdołał odnaleźć jej matkę...

- Jej matka nie żyje - odrzekł Tommy-Ray łamiącym się głosem. - Nie żyje. Odeszła na zawsze.

- Przykro mi.

- Ta mała jest teraz wszystkim, co mam. Znajdę jakiś odległy zakątek, gdzie ja i moja mała dziewczynka będziemy mogli wieść spokojny żywot.

„Moja mała dziewczynka!” - Boże w Niebiosach, pomyślał Bosley, zabierz temu nieszczęśnikowi obłąd, który go trawi. Weź od niego cierpienie i obdarz go spokojem.

- Daj mi ją - rzekł Tommy, ponownie ruszając ku Bosleyowi.

- Obawiam się, że to... niemożliwe - mruknął, wycofując się w stronę końca ulicy. Dotarłszy tam, zawołał: - Glodoski! Alstead! - i pobiegł co sił w nogach, ciesząc się w duchu, że jego kompani wciąż dręczyli Lundy'ego.

- Gdzieś ty polazł, u diabła? - warknął Larry.

Bosley poczuł zimny podmuch omiatający mu plecy i obejrzawszy się przez ramię, ujrzał wychodzącego zza rogu McGuire'a, wokół którego unosiły się tumany kurzu.

- Chryste Panie! - krzyknął Larry.

- Biegnij! - ryknął Alstead. - Dogania cię!

Bosley nie potrzebował lepszej zachęty. Gnał w stronę przyjaciół, a wokół jego stóp zaczęły wiać się macki kurzu, jakby chciały sprawić, aby się potknął.

- Z drogi! - zawołał Larry i popędził ku niemu.

Bosley skręcił, a Glodoski wypalił do McGuire'a, który stanął jak wryty. W tej samej chwili wiatr i kurz cisnęły Glodoskiego na ścianę budynku. Larry zaczął rozpaczliwie wzywać pomocy, ale zdołał wykrztusić zaledwie kilka słów, zanim kurz nie zdławił jego próśb. Chmura pyłu zakryła go całego, a jego ciało, wciąż przyszpilone do ściany, zostało uniesione nad ziemię.

Alstead, który z wyraźną niechęcią przerwał katowanie Seta, pozwolił, by chłopak osunął się ciężko na ziemię i ruszył na pomoc kierownikowi orkiestry. Kurz jednak zdążył już zrobić swoje. W przeciągu dziesięciu sekund mózg Larry'ego rozprysnął się po ceglany murze; obecnie wiatr i pył zajęły się Alsteadem. Ten natychmiast zaczął się wycofywać, unosząc dłonie w geście poddania, ale kurz dopadł go niczym wściekły pies i zapewne uśmierciłby go tak jak Glodoskiego, gdyby Bosley nie ubłagał Tommy'ego-Raya o darowanie życia koledze,

- Dostyc już zabijania! - powiedział.

- W porządku - zgodził się McGuire i przywołał kurz do swych stóp, pozostawiając Alsteada szlochającego na chodniku, o kilka metrów od Waitsa, który zemdlał i leżał w ryszotku nieprzytomny.

- A teraz oddaj mi dziecko - zwrócił się Tommy-Ray do Bosleya. - Kiedy to zrobisz, odejdę.

- Nie zrobisz jej nic złego? - spytał Bosley.

- Nie.

- Nie rób te... - wykrztusił Seth, podźwignąwszy się z ziemi. - W imię Boga, Bosley!

- Nie mam wyboru - odparł tamten i podał dziecko ojcu.

Seth wstał i z przeraźliwym, łamiącym się krzykiem ruszył chwiejnie w stronę Bosleya. Jednakże jego zmaltretowane, pokryte sińcami ciało nie zareagowało dostatecznie szybko - Tommy-Ray odebrał małą z rąk Bosleya i przytuliwszy dziecko do spalonej piersi, zagwizdał na chmurę zabójczego kurzu, aby podążyła za nim.

Seth przystanął obok Bosleya, szlochając z wściekłości.

- Jak... mogłeś...?

- Już mówiłem - nie miałem wyboru.

- Mogłeś uciec.

- Odnalazłby mnie - odrzekł Bosley, wpatrując się tępo w ciemność, która przed chwilą otuliła Tommy'ego-Raya.

Seth nie próbował z nim się spierać. W jego potwornie sponiewieranym ciele nie zostało na to dość energii, a czekał go jeszcze przecież długi marsz na Rozstaje, na główne skrzyżowanie w mieście, gdzie miały znaleźć swój kres wszystkie wędrówki rozpoczęte tego wieczoru.

## Rozdział XIII

### 1

Na skrzyżowaniu Buddenbaum wbił wzrok w ziemię, w mrok, gdzie spoczywał nabierający mocy medalion.

Koniec jest bliski, pomyślał. Koniec opowieści, które stworzyłem, tych które były efektem moich manipulacji, tych w których odegrałem epizodyczne role jak i tych, w których brałem udział pod przymusem, niczym więzień. Koniec moich ulubionych banałów, tragicznych w skutkach pomyłek i farsowych spotkań, smętnych zejść i przekleństw rzucanych z łoża boleści. Koniec z „Pewnego razu...”, „Teraz się okaże...” i „Własnym oczom nie wierzę...” Finał ostatniego aktu, scen pogrzebu i końcowych monologów poprzedzających opadnięcie kurtyny. Kres kresów. Pomyśl o tym.

Będzie mu brakowało przyjemności, jakie czerpał z opowieści, zwłaszcza tych, w których pojawiał się w niezwykłych przebraniach - ale już wkrótce nie będzie ich potrzebował. Stanowiły pocieszenie dla reszty społeczeństwa, ludzkości nurzającej się w plugawości czasu i rozpaczliwie usiłującej dostrzec choć fragment Wielkiego Schematu. Cóż mogli począć ze swymi marnymi żywotami, jak tylko cierpieć i snuć kolejne opowieści?

Nie mam nic, prócz ciebie, moja słodka serenissimo - powiedział, obracając się na pięcie i spoglądając na ulicę. Jesteś moim rozumem, moją normalnością, moją duszą...

W przeszłości wielokrotnie porażał go ból tych słów. Obecnie słyszał tylko muzykę - słowa były przepiękne w swej prostocie, lecz nie na tyle, by kiedykolwiek jeszcze mógł za nią zatęsknić.

Jeżeli teraz ode mnie odejdiesz, zatracę się w wielkich ciemnościach między gwiazdami...

Kiedy to mówił, ujrzał Teslę Bombeck idącą ulicą w jego kierunku. Za nią szli dziewczynka, błazen i debil. Mówił dalej: - I nawet tam nie będę mógł umrzeć, albowiem żyć muszę, póki ty nie zatrzymasz mego serca. - Uśmiechnął się do Tesli i pozostałych, rozłożył szeroko ręce w geście powitania. - Zatrzymaj je teraz! - Spojrzała na niego z zakłopotaniem, które trochę go rozbawiło. - Zatrzymaj je teraz! - powtórzył. Był to silny, przenikliwy głos, istny ryk pośród wrzasków i szlochów, podczas gdy jego ofiary wciąż zbliżały się ku niemu. - Błagam cię, zatrzymaj je, zrób to teraz i przerwij mą udrękę, spraw, aby me cierpienia

wreszcie dobiegły kresu!

Starając się możliwie jak najlepiej ukryć zdenerwowanie, Tesla obejrzała się przez ramię w stronę Iadów. Nie dostrzegła samego najeźdźcy, ale na ulicach u podnóża góry pojawiły się dwa źródła ognia - wielkie płomienie przy wtórze kaskad iskier przeskakiwały z jednego dachu na drugi. Niezależnie od tego, co je wywołało, rozpaczliwe próby obrony czy przypadek, pożary rozprzestrzeniały się coraz bardziej. I będą się rozprzestrzeniać, a co za tym idzie do rana najeźdźca będzie panem miasta zwęglonych ruin i popiołów.

Powróciła wzrokiem do Buddenbauma, który porzuciwszy teatralne sztuczki stał teraz pośrodku skrzyżowania, z rękoma za plecami. Wciąż dzieliło ich ze trzydzieści metrów, a jedyny blask oświetlający to miejsce stanowiła luna odległych pożarów i słaba poświata nielicznych gwiazd. Tesla nie była w stanie dostrzec wyrazu jego twarzy. Zastanawiała się, czy da jej sygnał do odwrotu, kiedy ona już doprowadzi Jai-Wai na właściwą odległość... Co to będzie? Skinienie głowy? Mrugnięcie? W duchu karciała samą siebie, że wcześniej tego nie ustalili. Cóż, teraz już na to za późno.

- Buddenbaum? - odezwała się cicho.

W odpowiedzi lekko uniósł głowę.

- Co tutaj robisz? - zapytał.

Nieźle, pomyślała. Zachowywał się bardzo przekonująco.

- Przyszłam, żeby... chyba przyszłam się pożegnać.

- Jaka szkoda - powiedział. - Żałuję, że nie mieliśmy okazji, aby się lepiej poznać.

Tesla spojrzała na Rare Utu.

- Teraz ty! - rzuciła, obserwując w półmroku twarz Jai-Wai. To, że nie znalazła na niej żadnych oznak podejrzeń, o niczym jeszcze nie świadczyło. Ta twarz była przecież maską. - Może już pójdę, resztę załatwicie między sobą - zaproponowała.

- Skoro tak wolisz - odparła Rare Utu, mijając Teslę i podchodząc do Buddenbauma.

- Wydaje mi się, że powinnaś zostać - mruknął Yie. - To nie potrwa długo.

Tesla ponownie spojrzała na Buddenbauma, który zdawał wpatrywać się we własne stopy. Ręce miał zwieszony wzdłuż boków, dłonie zaciśnięte w pięści. On coś powstrzymuje, pomyślała. Stara się sprawić, aby tamci nie zorientowali się, co się dzieje.

Było jasne, że nie wytrzyma długo. Haheh minął Teslę, porzucając przy tym swą ludzką postać i najwyraźniej zorientował się, że cała ulica niemal niedostrzegalnie wrze.

- Czy masz dla nas jakąś niespodziankę, Owenie? - zapytał łagodnie.

- Zawsze... starałem się... dać z siebie wszystko... aby... was... zabawić - odrzekł Buddenbaum. W jego głosie słychać było, ile wysiłku kosztuje go to, co robi.

- Służyłeś nam dobrze przez te wszystkie lata - odezwała się Rare Utu. Wydawała się niemal zasmucona.

- Dziękuję - mruknął Owen. - Robiłem, co w mojej mocy, na pewno zdajecie sobie z tego sprawę.

- Wiemy również, że wielkie opowieści mają swój schemat - ciągnęła Utu. - Pączkują, rozkwitają, a potem, co nieuniknione...

- Skończ z tym wreszcie! - zawołał Yie spoza Tesli. Odwróciła lekko głowę i dostrzegła go kątem oka. On również porzucił ludzką skórę na rzecz swego cielistego kokonu. Nawet w półmroku empatyczne bańki ludzkiego cierpienia roztaczały delikatny blask.

- Nie jesteśmy winni temu człowiekowi żadnych wyjaśnień. Dość tych frazesów! - rzucił Yie. - Powiedz mu, co masz do powiedzenia i skończ to.

- Co macie mi do powiedzenia? - zapytał Buddenbaum.

- Że to już koniec - odrzekł łagodnie Haheh. - Że mamy kogoś nowego, aby pokazywał nam cuda drzewa opowieści.

Buddenbaum wyglądał na zaskoczonego.

- Tak po prostu? - spytał z niedowierzaniem, lekko podnosząc głos. - Wymieniacie mnie, bez choćby jednego ostrzeżenia? To łamie mi serce!

Ostrożnie, pomyślała Tesla. Ta wzmianka o sercu zabrzmiała dość fałszywie.

- To było nieuniknione - oznajmiła Rare Utu, robiąc krok w stronę Buddenbauma. W końcu ona również porzuciła człowiecze kształty, jej dziecięce ciało powiększyło się i zaczęło błyszczeć, odzyskując przymioty swej osobliwej boskości. - Zapas opowieści w ludzkim umyśle jest ograniczony, a twój. Owenie, właśnie wyczerpaliśmy.

- Żebyście się nie zdziwili - rzucił Buddenbaum. - A raczej zdziwilibyście się, jak wielu rzeczy jeszcze wam nie opowiedziałem.

- Cóż, teraz jest już na to za późno - odezwał się Haheh. - Podjęliśmy decyzję i jest ona ostateczna. Tesla Bombeck będzie naszą przewodniczką i to ona wprowadzi nas w nowe milenium.

- Pozostaje mi tylko pogratulować - Buddenbaum zwrócił się do Tesli i stanąwszy obok niej znalazł się między Hahehem i Utu. Dopiero teraz Tesla mogła ujrzeć wyraźnie jego twarz i odczytać informację zawartą w jego spojrzeniu. Chciał, aby odeszła stąd i to jak najszybciej. Cofnęła się, jakby zdeprymowana jego bliskością.

- Nie chciałam, żeby tak się stało - zaoponowała - Nie pragnęłam tego.

- Szczerze mówiąc - mruknął - nic mnie to nie obchodzi. - Wyciągnął rękę i zacisnął palce na kruchym ramieniu Rare Utu.

Było to najwyraźniej coś niespodziewanego, wręcz niespotykanego, bowiem Jai-Wai zadrżała i z wyraźną konsternacją spojrzała na swą rękę.

- Co robisz, Owenie? - zapytała, podczas gdy fałdy jej ozdobionego klejnotami ciała zadygotały jak galareta.

- Żegnam się - odpowiedział.

Haheh powiódł wzrokiem do miejsca na skrzyżowaniu, które przed chwilą opuścił Buddenbaum. Asfalt był tam wyraźnie jaśniejszy i bardziej miękki.

- Coś ty znowu wykombinował? - mruknął, przyglądając się z uwagą podejrzanemu miejscu.

Zza pleców Tesli dobiegł głos Yie: - Cofnij się! - ale Haheh nie usłuchał ostrzeżenia. Postąpił krok naprzód, podczas gdy ulica rozjarzyła się jeszcze bardziej. Rare Utu tymczasem próbowała uwolnić się z uścisku Buddenbauma. Jednak Owen okazał się niewzruszony. Wpatrując się w Teslę uśmiechnął się przez zaciśnięte zęby i powiedział:

- Żegnaj!

Zaczęła się odwracać, ale w tej samej chwili miejsce, na którym stał Haheh, wystrzeliło promieniami światła, otaczając go od stóp do głów przeraźliwą bielą. Rare Utu wyrzuciła z siebie: - Owenie! - co zabrzmiało jak wrzask i zaczęła z nim się szarpać, podczas gdy ciało Haheha topiło się jak masło na silnym ogniu, bańki jarzyły się niezliczonością barw i rozpływały po asfalcie.

Tesla widziała już dość. Dalsze pozostanie tutaj było niebezpieczne, może nawet śmiertelnie niebezpieczne. Nie potrafiła jednak odwrócić wzroku od czegoś, co mogło przynieść jej pewną wiedzę. Napawała się rozgrywającą się przed nią sceną, dopóki Buddenbaum nie ryknął: - Spieprzaj stąd!, popychając równocześnie Rare Utu w stronę światła, które pochłonęło Haheha. Z krzykiem wpadła w światło, ale głos ucichł jak ucięty nożem, w momencie gdy spowił ją oślepiający blask. Odrzucając głowę do tyłu, rozłożyła ręce na boki, jakby poddając się temu, co się z nią działo.

- Powiedziałem: wynoś się! - warknął Buddenbaum do Tesli i tym razem oderwała wzrok od niezwykłego widowiska, a potem odwróciła się na pięcie... by poczuć podmuch zimnego, kwaśnego powietrza i ujrzeć biegnącego w jej stronę Yie.

- Oszukałaś nas! - warknął ostrym jak skalpel głosem. Z odwagi Tesli pozostały w tym momencie tylko strzępy. Zamarła, wpatrując się w jego lalkowate oblicze, podczas gdy z tyłu za nią Rare Utu wydała drżące westchnienie i wyszeptwała:

- To... cudowne...

- Co jej zrobiłeś? - rzucił Yie. Skierował to pytanie do Buddenbauma, ale równocześnie

schwycił mocno Tesłę i przyciągnął do siebie. Jego ręce wcale nie były silne i mogłaby się wyrwać, gdyby tylko zechciała. Ale nie mogła. To ciało działało na nią niczym peyotl. Poczwała, że ogarniają słabość. - Uwolnij ich! - polecił Yie Buddenbaumowi.

- Obawiam się, że jest już na to za późno - odparł Owen.

- Jeżeli tego nie zrobisz, zabiję tę kobietę - ostrzegł trzeci Jai-Wai.

- Ona nie jest moja - padła odpowiedź. - Zrób, co uważasz za konieczne.

Tesła jak przez sen spojrzała na Buddenbauma i w świetle bijącym z ziemi po raz pierwszy ujrzała go naprawdę wyraźnie. Był żałośnie zimny, jego człowieczeństwo wypaliło się dawno temu, podczas działań, które doprowadziły go do tego miejsca. Niewątpliwie wszystkie jego przechwałki, którymi uraczył ją w Cichym Kąciku, były prawdziwe. Przeżyte lata uczyniły go roztropniejszym i mądrzejszym od dzaffa, wiedza ta nie przyniosła mu jednak nic dobrego. Sztuka złamałaby go podobnie jak wcześniej Randolpha. Zdruzgotałaby rozum i stopiła umysł do cna.

Z tyłu za nimi Rare Utu prawie zniknęła w powodzi światła, ale nawet teraz, kiedy jej substancja wsiąkała w ziemię, gdzie parę chwil temu roztopił się Haheh, odezwała się jeszcze drżącym głosem:

- Co będzie dalej? - zapytała.

- Wyciągnij ją stamtąd! - ryknął Yie do Buddenbauma.

- Przecież mówiłem, że już jest za późno - odrzekł tamten. - Poza tym wydaje mi się, że ona wcale tego nie chce.

Rare Utu wybuchnęła śmiechem.

- Co będzie dalej? - powtarzała raz po raz, a jej śmiech stawał się coraz bardziej histeryczny. - Co? Co? Co?

Ziemia u jej stóp była równie miękka jak ona, wstęgi jasności rozchodziły się dalej wzdłuż ulicy.

- Zatrzymaj to! - zawołał Yie tak gwałtownie, że ciało Tesli nagle zupełnie się poddało. Nogi ugięły się pod nią, pęcherz puścił i wyrwawszy się z rąk Yie ruszyła chwiejnie w stronę jasności.

- Nie, nie możesz! - krzyknął Buddenbaum, zastępując jej drogę do miejsca, gdzie stała Rare Utu. - Sztuka jest moja!

- Sztuka? - zapytała Rare Utu, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, co naprawdę było celem tej pułapki. - Nigdy, Buddenbaum... - jej głos przybierał na sile z każdą sylabą. - Nie dostaniesz jej!

Ten przenikliwy głos okazał się nie do zniesienia dla umęczonego ciała Tesli. Poczwała,

że czaszka na dwoje jej pęka, język wiotczeje w ustach, powieki opadają. Kiedy zrobiło jej się ciemno przed oczami, ujrzała jak rozjarzona blaskiem ziemia rozstępuje się przed nią...

I oto był - krzyż krzyży, znak znaków lśniący w głębi ziemi. W czasie swego długiego, powolnego upadku w śmierć z niejaką tęsknotą przypomniła sobie, jak rozwiązała zagadkę owego krzyża; ujrzała cztery podróże, które zostały przedstawione na jego ramionach. Jedną do świata marzeń, jedną do rzeczywistego, jedną do świata zwierzęcego i jedną do boskiego. A w samym sercu owych wypraw, w miejscu gdzie się przecinały ich drogi, gdzie się one rozdzielały, gdzie następował ich kres i skąd brały swój początek - znajdowało się miejsce ludzkiej tajemnicy. Owa tajemnica nie dotyczyła materii, nie chodziło w niej o wiszące na krzyżu pokiereszowane, umęczone i zmasakrowane ciało, ani o triumf ducha nad cierpieniem. Chodziło o żyjący sen, marzenie umysłu, które stworzyło ciało i ducha i wszystko to, z czego czerpały one rozkosz.

Przypominała sobie teraz owo objawienie - czas między tamtą chwilą a tą - i wszystkie lata, które poświęciła na wędrówkę po Amerykach zwinęły się, skurczyły i szczęły. Dojrzała przez mgnienie oka przepastny eternal tkwiący w ziemi pod Palomo Grove; teraz patrząc nań umierała, jej powieki się zamknęły, serce przestało bić.

Gdzieś z oddali dobiegł ją wrzask Yie i wiedziała, że tkwiąca w tym miejscu moc pochwyciła go, tak jak przejęła pozostałych.

Tesla chciała mu powiedzieć, by się nie lękał, bo udawał się do miejsca, gdzie spoczywała, czekając, przyszłość istnienia. Do czasu poza czasem, kiedy osobliwość, z której wywodziły się wszystkie rzeczy, znowu stanie się jedną całością.

Nie miała jednak języka. Ani tchu. Ani życia.

Było po wszystkim.

## 2

Harry, Raul i Maeve O'Connell znaleźli się przy skrzyżowaniu w chwili, gdy Tesla uwolniła się z uchwytu Yie i potknąwszy się, runęła do przodu. Mimo iż od Rozstajów dzieliło ich około stu metrów, światło wyglądało niezwykle osobliwie i nie ukryło przed oczyma D'Amoura najdrobniejszego nawet szczegółu wyrazu twarzy kobiety. Umarła lub umierała, ale jej rozluźnione rysy ukazywały ogromne zadowolenie.

Świetlisty grunt w miejscu, gdzie upadła, nie był już twardy ani stały. Przyjął ją niczym lśniący, jasny grób i zniknęła w nim.

- Jezu... - westchnął Harry. - Chryste Panie...



Przyspieszył kroku i pobiegł w kierunku skrzyżowania za splatającymi się strużkami światła przepływającymi w ziemi pod jego stopami. Z tyłu, za nim, Maeve zaczęła krzyczeć.

- Znam tego człowieka! - wołała. - To Buddenbaum! O Boże, to Buddenbaum! Ten skurwiel rozpoczął to wszystko! - Po czym, wyrwawszy się Raulowi, kuśtykając pospieszyła za D'Amourem.

- Czy zechciałbyś ją zatrzymać? - ryknął Coker do ucha Raula.

Ten był nazbyt zszokowany zniknięciem Tesli, aby coś zrobić. Coker krzyczał tak długo, aż Raul odpowiedział:

- Sądziłem, że odszedłeś.

- Nie, nigdy - odparł Coker. - Umilkłem, bo jest taka zgorzkniała. Teraz zaś błagam, przyjacielu, nie pozwól, by mi ją odebrano. Chcę, aby wiedziała co do niej czuję, aby dowiedziała się o tym chociaż raz.

Raul przełknął ślinę, tłumiąc szloch. Tak wiele osób odeszło, a ta ostatnia była wręcz niezastąpiona. To nie do pomyślenia. Tesla przeżyła kulę Kissoona i tyle prochów, że można by powalić nimi konia. Ale teraz również ona odeszła.

- Proszę - błagał Coker. - Idź za nią, idź za Maeve.

- Zrobię, co w mojej mocy - mruknął Raul i pospieszył za staruchą. Mimo swej niedołężności zdołała już pokonać całkiem sporą odległość.

- Zaczekaj! - zawołał do niej. - Ktoś chce z tobą porozmawiać!

Gdy się z nią zrównał, zmierzyła go srogim spojrzeniem.

- To ja chcę z nim porozmawiać! - warknęła, wskazując na Buddenbauma. - Z nim!

- Posłuchaj mnie przez chwilę - rzekł Raul, chwytając ją za rękę. - To nie przypadek, że cię odnaleźliśmy. Ktoś nas do ciebie doprowadził. Rozumiesz? Ktoś, kto teraz jest tutaj, z nami.

- Czyś ty oszalał? - spytała Maeve, rozglądając się dokoła.

- Nie widzisz go, ponieważ on nie żyje.

- Nie obchodzą mnie zmarli - ucięła Maeve. - Żądam odpowiedzi od żywych. Buddenbaum! - zawołała.

Teraz do rozmowy wtrącił się Erwin.

- Powiedz jej, kim jesteś - rzucił do Cokera.

- Chciałem, aby ta chwila była naprawdę wyjątkowa - odrzekł tamten.

- Zmarnowałem całe życie w oczekiwaniu na te „wyjątkowe chwile” - odparł Erwin. - Nie mamy wyboru. - To rzekłszy popchnął swego towarzysza w stronę Raula. - Powiedz jej,

że to Coker. Dalej, powiedz jej!

- Coker? - rzucił na głos Raul.

Maeve O'Connell przystanęła.

- Coś ty powiedział? - westchnęła.

- Ten zmarły ma na imię Coker - powiedział Raul.

- Jestem jej mężem - oświadczył Coker.

- Mówi, że jest...

- Wiem, kim on jest - odrzekła i zaczerpnąwszy nerwowo tchu, zapytała: - Coker? Mój Coker? Czy to możliwe?

- Tak, to prawda - zapewnił ją Raul.

Łzy napłynęły jej do oczu, ale nie przestała powtarzać jego imienia:

- Coker... Och, mój Coker... Mój najdroższy Coker...

Harry usłyszał, jak z tyłu za nim Maeve zaczyna płakać i obejrzawszy się ujrzał ją, stojącą z głową odchyloną do tyłu, jakby mąż zasypywał ją pocałunkami, a ona pławiła się w nich z rozkoszą. Powróciwszy wzrokiem do Rozstajów, zobaczył Buddenbauma. Jak klęczał na ziemi, w miejscu gdzie zniknęła Tesla, i brutalnie walił pięściami w zastygły, zestalony asfalt. Znajdował się o krok od apopleksji, z jego czoła skapywały kropelki potu, w kącikach ust zebrały się piana i ślina, z oczu płynęły łzy.

- Nie możesz, suko! - wrzeszczał do ulicy. - Nie dostaniesz jej!

Z ziemi wciąż wydobywała się energia, wokoło były w górę smugi i spirale światła. Usiłował chwycić je zakrwawionymi dłońmi, jakby wciąż mogły dokonać jego przemiany, ale te, które pochwyciła, natychmiast gasły mu w rękach, a pozostałe wymykały się i rozplywały w ciemnościach powyżej. Jego wściekłość i furia wciąż narastały. Odwrócił się, wydając przeraźliwy okrzyk gniewu:

- To niemożliwe! To nie może się stać! Nie może!

Harry usłyszał, jak stojąca za nim Maeve powiedziała:

- Widzisz to, Coker? Tam, na Rozstajach?

- Widzi to - odrzekł Raul.

- Właśnie tam zakopałam medalion - ciągnęła Maeve. - Czy Coker o tym wie?

- Tak.

Maeve podeszła i stanęła obok Harry'ego. Twarz miała mokrą od łez, ale uśmiechała się promiennie.

- Mój mąż jest tutaj... - powiedziała z dumą. - Wyobraź sobie...

- To cudowne.

Wskazała ręką w głąb ulicy.

- Tam stał nasz burdel. Dokładnie tam. To żaden zbieg okoliczności, prawda?

- Nie - odrzekł D'Amour. - To nie ma z tamtym nic wspólnego.

- Całe światło bije z medalionu.

- Na to wygląda.

Jej uśmiech stał się jeszcze szerszy. - Chciałabym zobaczyć to sama.

- Na twoim miejscu nie robiłbym tego.

- Na szczęście nie jesteś na moim miejscu - ucięła ostro. - Robię to, co uważam za stosowne. Trochę się uspokoiła i uśmiech ponownie wrócił na jej wargi. - Wydaje mi się, że o tym, co się dzieje, wiesz tyle samo co ja. Mam rację? - zapytała.

- Mniej więcej - potwierdził detektyw.

- Skoro więc nie wiesz, czego należy się obawiać, czemu w ogóle miałbyś się lękać? - skonstatowała. - Raul? Chcę mieć cię po lewej. A ty, Coker, chciałabym, abyś był po mojej prawej stronie.

- Pozwól, że pójde pierwszy - powiedział Harry i nie czekając na pozwolenie ruszył w stronę Buddenbauma, który ponownie tłuki pięściami w asfalt. Dostrzegł kątem oka zbliżającego się Harry'ego.

- Nie podchodź! - wychrypiał. - Ta ziemia jest moja. I jeśli spróbujesz mi ją odebrać, wiedz, że wciąż jeszcze mam w sobie moc.

- Nie zamierzam ci niczego odbierać - powiedział Harry.

- Ty i ta suka Bombeck spiskowaliście przeciwko mnie.

- Nie było żadnego spisku. Tesla nigdy nie chciała brać w tym udziału.

- Oczywiście, że chciała! - odparł Buddenbaum. - Nie była głupia. Pragnęła osiąść Sztukę, jak wszyscy inni. - Spojrzał na D'Amoura, a jego gniew przerodził się w przygnębienie. - Ale wiesz co, ja jej zaufałem. To był mój błąd. A ona mnie okłamała! Uderzył otwartą dłoń w asfalt. - To była moja ziemia. Mój cud.

- Łżesz jak pies! - zawołała Maeve. Harry odstąpił na bok. - To ty jesteś kłamcą, nie ona! - warknęła. - Ta ziemia należy i zawsze będzie należała do mnie!

Na obliczu Buddenbauma pojawił się wyraz głębokiego zaskoczenia.

- Czy ty... jesteś tą... kim myślę, że jesteś?

- Czemu tak cię to dziwi? - spytała Maeve. - Zestarzałam się, to fakt, ale nie każdy z nas może zawrzeć pakt z Diabłem.

- Nie zawierałem paktu z Diabłem - odrzekł półgłosem Buddenbaum. - Gdyby tak było,

zapewne spisałbym się dużo lepiej. Co tutaj robisz?

- Przyszłam tu, aby uzyskać kilka odpowiedzi - oznajmiła Maeve. - Nie uważasz, że mi się to należy, zanim oboje znajdziemy się w grobach?

- Nie wybieram się do grobu - burknął Buddenbaum.

- Co ty powiesz? - odparła z ironią Maeve. - Mój błąd. - Machnięciem ręki odprawiła Raula i sama, bez pomocy, podeszła do miejsca, gdzie klęczał Buddenbaum. - Pragniesz kolejnych dwustu pięćdziesięciu lat? - zapytała. - Proszę bardzo. Ja po tym wszystkim mówię: pas. Odchodzę tam, gdzie nie będą mnie boleć wszystkie kości. Gdy to mówiła, jedna ze świecących wstęg bijących z wnętrza ziemi zaczęła płynąć w jej kierunku. Staruszka wyciągnęła w jej stronę rękę, a struga światła zamiast odsunąć się, oplótła jej poskręcane, zdeformowane przez artretyzm palce.

- Widziałeś kiedyś dom, który tu zbudowaliśmy? - zapytała, przyglądając się ruchliwej wstędze. - Ależ to był widok. To dopiero było coś.

Świetlna smuga oddaliła się, ale kolejne wstęgi i cząstki wypłynęły z ziemi w kierunku Maeve.

- Co czynisz, kobieto? - zapytał Buddenbaum.

- Nic - odrzekła, wzruszając ramionami.

- Nawet jeżeli ta ziemia nie jest moja, tkwiąca w niej magia należy do mnie!

- Nie odbieram ci jej - powiedziała łagodnie Maeve. - Jestem za stara, aby móc cokolwiek posiadać. Może tylko wspomnienia. One są moje, Buddenbaum... - Drobiny świetlne stawały się coraz bardziej niespokojne, jakby pobudzały je te słowa. - A obecnie zrobiły się bardzo wyraziste. Wyjątkowo wyraziste. - Przymknęła powieki i nowa fala światłości buchnęła z ulicy, unosząc się w górę, i przez chwilę muskała jej dłonie i twarz, a następnie odpłynęła w dal.

- Czasami wydaje mi się, że pamiętam swoje dzieciństwo lepiej niż dzień wczorajszy... - dodała kobieta i wyciągnęła rękę. - Coker? - zapytała. - Jesteś tam?

- Jest - potwierdził Raul.

- Weźmiesz mnie za rękę? - spytała.

- Mówi, że to właśnie robi - powiedział Raul. I po chwili dorzucił: - Trzyma cię bardzo mocno.

- Wiesz, wydaje mi się, że nawet to czuję. - Maeve uśmiechnęła się.

Buddenbaum schwycił Harry'ego za rękaw.

- Czy ona oszalała?

- Nie. Duch jej męża jest tu, z nami.

- Chyba powinienem go zobaczyć - zauważył monotonnym głosem. - Ach, te końcówki... są naprawdę okropne...

- Lepiej do tego przywyknij - mruknął detektyw.

- Nigdy nie lubiłem tego sentymentalnego szajsu - odrzekł Buddenbaum.

- Wydaje mi się, że to coś więcej - powiedział D'Amour, spoglądając na wstęgi i plamki światła, które dotknęły skóry Maeve. Nie rozproszyły się w mroku jak poprzednie, lecz wisiały w powietrzu niczym pszczoły nad klombem kwiatów, czekając cierpliwie. W miejscach, gdzie przepływały, pozostawiały ślady światła, które uwolnione rozrastały się i rozwijały opisując mnogość form w ciepłym, nocnym powietrzu. Raul jako pierwszy przyznał się, co zobaczył.

- Dom... - rzekł ze zdumieniem. - Widzisz to, Harry?

- Widzę.

- Wystarczy - rzucił Buddenbaum, odganiając obraz machnięciem ręki, jakby przyprawiał go o mdłości. - Skończyłem z przeszłością. Skończyłem!

Ukrywając twarz w dłoniach zaczął się wycofywać, podczas gdy wspomnienia Maeve przywoływały w powietrzu świetlny obraz jej domu schadzek - ściany, okna, schody i sufity. Obok D'Amoura pojawił się podest i schody wiodące ku frontowym drzwiom i hol za nimi. Na prawo, za kolejnymi drzwiami, znajdował się salonik, a za jeszcze jednymi kuchnia. Przez następne drzwi wychodziło się do ogrodu, gdzie rosły kwiaty. Równocześnie z zakwitającymi kwiatami w każdym z pokoiw pojawiały się meble, dywany, rośliny, wazon, najdrobniejsze szczegóły świadczące o tym, że z chwilą rozpoczęcia tego procesu wszystkie przedmioty należące do owego miejsca powracały tu same z siebie. Ich materialne postaci rozsypały się w proch wiele dziesiątek lat temu, ale ich formy - idee - pozostały zakodowane w pamięci miejsc, w których istniały. I obecnie przychodziły, przypominając się w całej swej doskonałości.

Żadna z nich nie była jednak dość materialna, aby na dłużej zatrzymać na sobie wzrok Harry'ego. Widział drewniany płot otaczający podwórze i przepyszną hiszpańską terakotę na frontowym stopniu. Dostrzegł smukłe schody pierwszego i drugiego piętra, na których znajdowały się dwie łazienki i pół tuzina wspaniale urządzonych sypialni.

Teraz natomiast, zanim jeszcze dom otrzymał nowy-stary dach, w pokojach pojawiły się dusze tych, którzy kiedyś w nich zamieszkiwali.

- Ach! - rzekł z rozkoszą w głosie Raul - kobiety.

Pojawiały się wszędzie. Na podestach pięter, w sypialniach, salonach i w kuchni; ich głosy i uśmiechy brzmiały niczym szeptała muzyka.

- Jest tam Bedelia - powiedziała Maeve. - I Hildegarda, i Jennie, kochana Jennie, popatrzcie na nią...

To nie takie złe miejsce, D'Amour, aby oczekiwać w nim na koniec świata, pomyślał. Zwłaszcza w otoczeniu takich wspomnień. Mimo iż zaledwie jedną lub dwie spośród kobiet można by uznać za piękności, biorąc pod uwagę obecne standardy, panowała tu aura spokoju, rozluźnienia i rozkoszy; wszystko wyraźnie świadczyło, iż dom spełniał swą rolę miejsca uciech cielesnych i nieskrępowanego radosnego śmiechu.

Jeśli chodzi o klientów odwiedzających ów przybytek, wyglądali jak duchy duchów; mgliste, ulotne sylwetki wylaniały się z sypialni lub łazienek, a ich odzienie i ciała miały nieodmiennie szarawy odcień. Od czasu do czasu Harry dostrzegał wyraźniej czyjąś twarz, ale nigdy nie trwało to dłużej niż mgnienie oka, jakby dom starał się ukryć tożsamość owych mężczyzn, oddając wiernie skrytość i obłudę, z jaką się tu zjawiali - z jednej strony pożądając, z drugiej zaś wstydzając się swych chuci.

U kobiet trudno byłoby dostrzec jakiegokolwiek oznaki zawstydzenia. Stały na schodach półnagie, na podestach zaś zupełnie nagie. Rozmawiały między sobą, wypróżniając się bądź oddając moc. Pomagały sobie podczas kąpieli, brania prysznica lub golenia, zarówno nóg, jak i tego, co między nimi.

- Tam - rzekła Maeve, wskazując obficie obdarzoną przez naturę kobietę siedzącą w kuchni i wyjadającą palcami pudding z porcelanowej miski - to Mary Elizabeth. Była droga. Musiałeś mieć sporo grosza, by móc sobie na nią pozwolić. Zawsze miała całą listę oczekujących. A ta na górze - pokazała ręką szczupłą bladą dziewczynę karmiącą papugę - miała na imię Dolores. A papuga... jak ona miała na imię? - Spojrzała na Raula. - Zapytaj Cokera - rzekła. Odpowiedź padła natychmiast:

- Eliasz.

- Eliasz. Maeve uśmiechnęła się. Oczywiście. Zaklinała się, że umie przepowiadać przyszłość.

- Byłaś tam szczęśliwa? - zwrócił się do niej Harry.

- Nie tego się w życiu spodziewałam - przyznała - ale tak. Byłam szczęśliwa. Może nawet z b y t szczęśliwa. I ludzie zaczęli mi zazdrościć.

- Czy dlatego spalili ten przybytek? - zapytał D'Amour, podchodząc do schodów, by się przyjrzeć wchodzącej na górę Mary Elizabeth. - Ponieważ ci zazdrościli?

- Poniekąd tak - odrzekła. - A poniekąd z poczucia moralności. Nie chcieli, abyśmy ja i mój interes deprawowali prawych obywateli miasta. Wyobrażasz to sobie? Beze mnie, bez tego domu i tych kobiet nie byłoby żadnych mieszkańców, żadnych obywateli, bo w ogóle nie

byłoby miasta. I oni o tym wiedzieli. Dlatego czekali tylko na dogodną okazję...

- To znaczy?

- Nadarzyła się przez naszego syna, naszego nienormalnego syna, który zbyt mało przypominał ojca, natomiast nazbyt przypominał mnie. Coker był zawsze łagodny, ale krew O'Connellów zawierała domieszkę szaleństwa i jego objawy uaktywniły się właśnie u Clayтона. Co więcej, popełniliśmy błąd, tłumacząc mu, że jest kimś szczególnym i któregoś dnia weźmie w swe ręce władzę, ponieważ jest dzieckiem dwóch światów. Nie powinniśmy byli tego robić. To sprawiło, iż zaczął uważać się za kogoś, kto stoi ponad wszelkimi normami, tak prawnymi, jak i moralnymi, i że jeżeli uzna za stosowne, może zachowywać się w sposób okrutny i barbarzyński, ponieważ jest o niebo lepszy od każdego przeciętnego człowieka. - Zadumała się. - Ujrzałam, jak pewnego razu, gdy miał około dziesięć lat, patrzył w stronę szczytu Harmon's Heights i spytałam: „o czym myślisz?” Wicie co odpowiedział? „Będę miał tę górę i będę z niej patrzył w dół, na świat ryb”. Wielokrotnie myślałam, że te słowa okazały się swego rodzaju znakiem. Powinnam była już wtedy skrócić jego cierpienia. Tyle że to dziecko kosztowało mnie i Cokera tak wiele bólu, trudu i cierpień...

Podczas gdy Harry jednym uchem przysłuchiwał się historii przyjścia na świat Clayтона O'Connella - Maeve opowiadała, jak moc i magia Cokera obdarzyły ją przedłużoną młodością, spowalniając jednocześnie procesy owulacyjne i jak w końcu, w wieku blisko siedemdziesięciu lat, powiła chłopca - w głębi duszy koncentrował się na tym, co usłyszał chwilę wcześniej. O słowach dziecka, mającego spoglądać ze szczytu góry na świat ryb. Ta wzmianka o czymś mu przypominała.

- Co się stało z Claytonem? - zapytał, zastanawiając się intensywnie, gdzie wcześniej słyszał te słowa.

- Został powieszony.

- Widziałas go martwego?

- Nie. Jego ciało porwały wilki albo niedźwiedzie...

I wtedy, myśląc o dzikich, górskich bestiach przypomniał sobie.

- Raul? - powiedział. - Zostań tu z Maeve, dobrze?

- Nigdzie się nie wybieram. - Raul uśmiechnął się i poczerwieniał.

- Nie odchodź - poprosiła Maeve, kiedy Harry zaczął oddalać się od nich.

- Wrócę - odrzekł krótko - a ty wspominaj dalej.

To powiedziawszy, kilkoma krokami przeciął hol na parterze i wyszedł przez drzwi, nie otwierając ich, na ulicę.

- Żywoty to liście na drzewie opowieści - powiedział ongiś Tesli mężczyzna, który chodził po falach Quiddity. Odrzekła na to, że wszystkie jej opowieści nie były warte funta kłaków.

- Nieprawda - odrzekł. - Stworzyłaś przynajmniej jedną, która okazała się ważna. Swoją własną. Swoją własną...

Naturalnie była to prawda. Opowiadała tę historię każdym mrugnięciem oka, każdym uderzeniem serca, każdym słowem i uczynkiem, tym łagodnym jak i okrutnym.

W tym wszystkim tkwiła jednak pewna tajemnica - bowiem nawet teraz, kiedy jej serce przestało bić, oczy patrzeć, a ona sama w świecie żywych nie wypowie już ani słowa do nikogo, jak również niczego więcej nie uczyni, opowieść, nie wiedzieć czemu, nie chciała się skończyć.

Tesla była martwa, to nie ulegało wątpliwości. A jednak pióro przesunęło się dalej. Wyglądało na to, że pozostało jeszcze wiele do opowiedzenia..

Jasność, w którą wpadła, wciąż ją otaczała, aczkolwiek zdawała sobie sprawę, iż nie postrzega jej swymi oczyma, widziała bowiem własne ciało zawieszone pośród światłości. Leżało twarzą do góry, z rozrzuconymi bezwładnie rękoma i nogami i rozcapierzonymi palcami, w pozie, którą znała aż za dobrze. Pokazała tę pozycję Buddenbaumowi pół godziny temu. W ten właśnie sposób ukazano postać pośrodku medalionu. Teraz pozę tę przyjęło jej ciało, podczas gdy jaźń krążyła dokoła niego z pewnym zaciekawieniem, lekko zdezorientowana i zaintrygowana znaczeniem tego wszystkiego, aczkolwiek podejrzewając, iż odpowiedź może wykraczać poza jej możliwości pojmowania.

W ziemi, trochę poniżej jej ciała, znajdował się krzyż - źródło energii, które zmieniło stały grunt w jedyną w swoim rodzaju jarzącą się zupę, a kiedy duch Tesli spojrział w stronę talizmanu, przeniósł jej myśli w czterech kierunkach na raz, wzdłuż świetlistych promieni wybiegających z jego ramion. Po jednej stronie znajdowały się wędrówki ludzkie ogółu kobiet i mężczyzn, którzy przybywali i przekraczali to skrzyżowanie, a każde z nich przyniosło ze sobą bagaż snów i marzeń. Po przeciwnej stronie ciągnęła się procesja istot tylko nieznacznie przypominających ludzi, przybyłych do Everville jako do miejsca pielgrzymek wygnańców z Metakosmosu, których profetyczne zdolności przyciągały w to właśnie miejsce. Z trzeciej strony przybywały zwierzęta, zarówno dzikie jak i udomowione. Psy na smyczach, szukające miejsca, by oddać mocz, wędrujące ptaki kołujące po niebie, zanim odleciały na południe, muchy będące utrapieniem dla Dolana w jego sklepie ze



słodyczami, gąsienice, które stały się plagą miasta w ubiegłym roku. Wszelkie formy zwierzęce, nawet te najniższe.

I w końcu najbardziej odległy element tej koniunkcji - istoty boskiej natury, które pomogła schwytać.

- Co się teraz stanie? - dopytywała się Rare Utu, kiedy pochłaniała ją oślepiająca jasność.

To pytanie już Tesli nie dręczyło. Ogarnął ją błogostan. Było jej naprawdę dobrze, wręcz wspaniale. Jeżeli nawet uświadomiła sobie w końcu, że umarła, to bez wielkiego żalu pogodziła się z tym faktem. A skoro pióro wciąż niezmiennie się poruszało i opowieść wciąż postępowała naprzód, to zapewne i z tym przyjdzie jej się pogodzić.

Na razie Tesla nurzała się w świetle i obserwowała, podczas gdy płynąca z ziemi jasność zaczęła już rozchodzić się we wszystkie strony, w ciele zaś, które do niedawna oglądała w lustrze, rozpoczęły się pierwsze procesy gnilne.

#### 4

Harry znajdował się o dwie przecznice od skrzyżowania, zdążając w stronę miejsca, gdzie dawali popisy Iadowie, kiedy usłyszał wołanie Buddenbauma.

- Pomóż mi, D'Amour! - poprosił Owen, zmierzając niepewnym krokiem w jego kierunku. Wszystko wskazywało na to, iż nie opuści miejsca swych działań bez zdobycia choćby namiastki tego, o co tak długo i zawzięcie walczył. Smugi światłości przywierały do jego twarzy i rąk, ale były jedynie drobną częścią tego, co pragnął osiągnąć. - Nie winię cię za to - rzekł idąc środkiem ulicy. - Była twoją przyjaciółką, więc musiałeś z nią spiskować. Nie miałeś wyboru.

- Nie było żadnego spisku, Buddenbaum.

- Czy był, czy też nie, chyba nie zostawisz jej tam, na dole, nieprawdaż? - zapytał słodko Owen.

- Ona nie żyje - odparł detektyw.

- Wiem.

- A więc to, gdzie zostanie pochowana, jest kwestią czysto akademicką. Zejdiesz mi łaskawie z drogi?

- Dokąd się wybierasz?

- Chcę odnaleźć Kissoona.

- Kissoona? - spytał tamten. - A cóż on może uczynić dla ciebie dobrego?

- Więcej, niż ci się wydaje.

- Nieprawda - oburzył się Buddenbaum. - Daj mi tylko parę minut, a odechce ci się spoglądać wstecz. Nie będzie przeszłości, do której chciałbyś powrócić. Ani przyszłości. A jedynie...

- Jeden nie kończący się dzień? - D'Amour pokręcił głową. - Daj spokój, na miłość boską. Miałeś swoją szansę i dałeś plamę.

Skręcił za róg i tam właśnie, na samym końcu ulicy, znajdował się nieprzyjaciel. Detektyw przystanął na chwilę, starając się dostrzec i pojąć to, co ujrzał, ale najbliższe pożary szalały o kilka ulic dalej i migotliwa poświata tylko wprowadziła w błąd jego wzrok. Był pewien jednego - Iadowie nie byli już ogarniętą paniką i chaosem istotą lub istotami jak na szczycie góry. Nawet z tej odległości i przy tak słabym oświetleniu dostrzegł, że wróg zrzucił postrzępioną skórę i płynął teraz w powietrzu jak węzowata machina, której potężne kształty falowały w rytm nieustannych ruchów perystaltycznych.

Harry zakasał rękawy, obnażając swe tatuaże. Któż wiedział, ile mogły mu pomóc? Prawdopodobnie niewiele. Mimo to potrzebował każdego możliwego wsparcia.

- Co zamierzasz? - dopytywał się Buddenbaum. - Wyzwać to na pojedynek na pięści? Nie masz szans. Nie masz najmniejszych szans, nie dysponując odpowiednią mocą.

Detektyw nie odpowiedział. Zacerpnął tchu i ruszył wolno w głąb ulicy w stronę Iadów.

- Uważasz się za bohatera, co? - rzucił Buddenbaum. - To samobójstwo. Jeżeli chcesz zrobić coś pożytecznego, możemy pomóc sobie nawzajem.

- W czym?

- Chciałbym, abyś kopał dla mnie, D'Amour.

- Mam k o p a ć?

Buddenbaum uniósł przed sobą obie ręce. Wyglądały okropnie. Kiedy gorączkowo starał się zdobyć to, co utracił, waląc pięściami w asfalt, rozbił je na krwawą miazgę. Kilka palców sterczało pod dziwnym kątem, tkwiące w nich kości zostały pogruchotane.

- Nie mogę zrobić tego sam. A zanim wydobrzeję, będzie już za późno.

- To się nie uda - odparł Harry.

- A skąd ty, u licha, możesz wiedzieć, czy to się uda, czy nie?

- Gdybyś miał posiąść Sztukę, to już by nastąpiło. Wtedy, na Rozstajach. Ale tak się nie stało.

- To przez Teslę...

- Być może. A może po prostu nie jest ci dane ją posiąść.

Buddenbaum stanął jak wryty.

- Nie mów tak. Nie życzę sobie tego słuchać - rzucił gniewnie.

- Jak sobie chcesz - odparł Harry, wymijając go.

- I nie pozwolę pozbawić się tego, co jest moje! - dodał Buddenbaum kładąc jedną ze zmasakrowanych dłoni na ramieniu D'Amoura - Nie zostało mi już wiele mocy - powiedział - ale wystarczy, aby cię okaleczyć. Może nawet zdołałbym cię zabić.

- I co by ci to dało?

- Pozbyłbym się jednego z moich wrogów.

Harry poczuł falę energii przenikającą od dłoni Buddenbauma do jego ramienia i potwierdzającą zasadność groźby.

- Zamierzam dać ci jeszcze jedną szansę - rzeki tamten.

Tatuaze Harry'ego zaczęły upiornie swędzieć. Coś ścisnęło go w żołądku. Wiedział, że powinien wziąć nogi za pas, ale odmówił mu posłuszeństwa.

- Co robisz, Owenie? - zapytał ktoś.

Swędzenie zamieniło się w ból, a ucisk w żołądku w tępe rwanie. Harry próbował odwrócić głowę w stronę skąd dobiegł głos, ale nie był w stanie nią poruszyć. Miał władzę jedynie nad oczami i gdy przesunął wzrok, z niemałym trudem zdołał dostrzec chłopaka z Rozstajów. Jego blada twarz była pokryta krwią i sińcami.

- Puść go, Owenie - powiedział. - Proszę.

Buddenbaum wydał dźwięk, którego Harry nie był w stanie rozpoznać. Może szloch?

- Nie zbliżaj się do mnie, Seth - powiedział.

- Co się stało? - dopytywał się chłopak.

- Zostałem oszukany - odparł Owen, zduszonym przez łyzy głosem. - Już ją prawie miałem...

- I ten mężczyzna ją przejął?

- Nie!

- Wobec tego, co? Będziesz zabijał wszystkich, którzy wejdą ci w drogę? Nie jesteś aż tak okrutny.

- Ale będę - mruknął Buddenbaum. - Od tej pory żadnej litości, żadnego współczucia...

- Żadnej miłości?

- Żadnej miłości! - wykrzyknął. - I trzymaj się odtąd z dala ode mnie albo tobie również coś się stanie!

- Nie zrobisz tego - powiedział Seth łagodnym, lecz zdecydowanym tonem.

Harry poczuł, że ból w oczach słabnie; odzyskał władzę nad mięśniami. Nie wykonywał

żadnych gwałtownych ruchów, aby Buddenbaum nie zaczął wszystkiego od początku. Delikatnie odwrócił głowę i ujrzał, że Seth podniósł rękę Owena i przyłożył ją do ust.

- Wszyscy nacierpieliśmy się tyle, że wystarczy nam bólu do końca życia - wyszeptał, całując pogruchotaną dłoń. - Musimy zacząć powoli wracać do zdrowia.

- Na to już za późno.

- Daj mi szansę, a udowodnię, że się mylisz - odrzekł chłopak.

Detektyw przeniósł wzrok na Buddenbauma. Wściekłość Owena minęła. twarz jego była wolna od wszelkich emocji.

- Lepiej już idź - rzekł Seth do D'Amoura.

- Dasz sobie z nim radę?

- Pewno, że tak - odparł półgłosem chłopak, obejmując Owena ramieniem. - Poradzimy sobie. I jego, i mnie czeka długa droga. Naprawdę daleka droga.

Nie było czasu na dalszą konwersację. Pozostawiwszy tę parę, aby doszła jakoś do porozumienia, Harry pomaszerował dalej ulicą. W ciągu ostatniej minuty odkąd spoglądał na Iadów, zbliżyli się już do największego budynku w okolicy - był to, jak oceniał Harry, gmach sądu albo ratusz. Budowla znajdowała się o sto pięćdziesiąt metrów od niego i obecnie z każdym krokiem detektyw czuł narastające plugawe efekty Iadów; słyszał bezmyślny, tępy hałas, jaki czynili, przenikający inne odgłosy świata.

Owe bezmyślne dźwięki, zważywszy na okoliczności i możliwości wyboru, wydały mu się niemal zachęcające - wołał je anizeli przeraźliwe wrzaski i mrozące krew w żyłach jęki ludzi uwięzionych wewnątrz budynku. Dziwił się dlaczego ofiary nie uciekają tylnym wyjściem, dopóki nie ujrzał Gamaliela opuszczającego się w dół po ścianie budynku z czymś, co wyglądało jak ludzka głowa w rękach. Skoro był tu Gamaliel, to zapewne również i jego bracia i kto wie, może reszta ocalałych członków klanu Zury'ego; byli tu wszyscy, którzy chcieli obejrzyć Widowisko.

Gdzie wobec tego podziwiał się Kissoon? To on opracował plan tej nocy zemsty, więc na pewno był tu gdzieś, aby móc podziwiać swe dzieło.

Harry zaczął biec, wołając Kissoona. Mogło wydawać się dziwne, że w ogóle nawoływał kogokolwiek po imieniu w panującym dokoła, rozdzierającym uszy chaosie, ale czyż to nie sam Kissoon powiedział, że Iadowie, niezależnie od tego jak wyglądają, muszą mieć ludzkie serce? Ludzie nie są bezimienni. Każdy z nich miał swoją przeszłość; nawet Kissoon, który z taką dumą mówił o byciu nikim, zaledwie oczami, spoglądającymi ze szczytu góry w dół, na świat ryb.

Mury ratusza pękały, w miarę jak coraz silniej napierało na nie koło Iadów. Im bardziej

Harry zbliżał się do budynku, tym bardziej imię Iadów wydawało mu się sensowne. Uroboros - wąż, który pożera sam siebie, opasujący Ziemię i połykający własny ogon. Wyobrazenie mocy jako samonapędzającej się maszyny, nieprzejednanej, niepojętej, nieskalanej.

Tym razem w pobliżu nich nie doświadczył żadnych halucynacji - nie było ojca Hessa miotającego oskarżenia ze swego prowizorycznego grobu ani demona zasypującego go zagadkami - jedynie ów krąg zła i nieprawości. roztrzaskujący skorupę oddzielającą go od ofiar. Z każdą chwilą D'Amour postrzegał to coraz wyraźniej. Miał wrażenie, że to popisywało się przed nim, nękając i dręcząc go faktem, iż pomimo wyrazistości tego co ujrzał, wciąż nie potrafił nic pojąć - nie dostrzegał niczego, co zdołałby rozpoznać, ani jednej formy, która byłaby dlań znajoma, głowy, szponu, oka. Jedynie mnogość kształtów przyprawiających swym widokiem o mdłości - łapy, ogony, strzępki, kawałki i strupy, twarde kontury nieokreślonej barwy (tu sine, ówdzie czerwone, gdzie indziej całkiem bezbarwne), wszystkie bezduszne i beznamiętne. Naturalnie nie było tu również ani jednej ludzkiej twarzy, jedynie zniekształcone namiastki, jak odbicia z krzywych zwierciadeł; owe echa mogły sprawiać wrażenie, iż zawierały w sobie jakiś sens, ale w gruncie rzeczy nie posiadały ani jednego, ani drugiego.

Musiał odnaleźć serce. To była jego jedyna nadzieja: odnaleźć serce.

Hałas w głowie Harry'ego stał się tak silny, że wydawało mu się, iż lada moment pęknie mu czaszka, ale mimo to brnął krok za krokiem w kierunku źródła dźwięku, im był bliżej - sześćdziesiąt metrów, pięćdziesiąt, czterdzieści - tym wyraźniej słyszał szept obecny pośród ogłuszającego, rozdzierającego bębrenki jazgotu. Ten szept był kojący, jak balsam.

*Nie ma się czego bać...* - mówił do siebie i zdumiała go własna odwaga. - *Nic, czego byś już wcześniej nie widział...*

Zdumiała i uspokoiła.

*Pozwól, aby to cię otuliło...*

Chwileczkę, pomyślał, skąd się wzięła ta myśl?

*Już niedługo będziemy tylko my dwaj... niedługo...*

To nie ja. To Iad.

*Och, nie ma sposobu aby nas rozdzielić...* odpowiedział szept gasnąc tak, że D'Amour zdołał go w końcu zidentyfikować. *Wiesz o tym w głębi serca...* powiedziało to... *W głębi twego ludzkiego serca...*

A potem głos ucichł, a Harry znalazł się o dziesięć metrów od ogromnego, poruszającego się wolno koła. Wrzaski płynące z budynku zagłuszył bezmyślny hałas, rozbrzmiewający w jego głowie. Na prawo ujrzał Gamaliela zmierzającego w jego stronę. To

zabiłoby go w okamgnieniu. Bez słowa modlitwy, bez wahania. Jedno jedyne zabójcze uderzenie.

Zostało mu kilka sekund życia. Kilka sekund, aby sprowadzić Kissoona.

D'Amour wziął głęboki oddech i choć nie słyszał już własnego głosu, ryknął pośród hałasu i jazgotu.

- Szukam Claytona O'Connella!

Początkowo nie było żadnego odzewu. Koło wciąż się obracało; bezsensowne, nic nie znaczące formy nakładające się jedna na drugą przepływały przed jego umęczonymi, wyczerpanymi oczami. I wtem, gdy Gamaliel był już o krok od Harry'ego, wyciągając dłonie ku jego szyi, Iad Uroboros nagle zaczęło zwalniać. Musiał paść jakiś niesłyszalny rozkaz, albowiem tamten zatrzymał się w pół kroku, a potem cofnął lekko.

Hałas pod czaszką Harry'ego również nieco zelżał, mimo iż nie ucichł zupełnie - a detektyw stanął na wprost wroga, dysząc ciężko niczym więzień, którego więzy poluzowano na tyle, że mógł swobodnie oddychać.

W ciele Iadów coś się poruszyło; coś się rozsupało i rozdzieliło, a potem otwarło i na tronie z wnętrzościami, które stanowiły równie niepojętą i nieodgadnioną masę jak tkanki zewnętrzne, ukazał się siedzący sztywno Kissoon. Wyglądał identycznie jak na górze - był naturalny i pogodny.

- Jak wpadłeś na to kim byłem? - zapytał. Mimo znacznej odległości między nimi jego głos brzmiał równie blisko jak szept Iadów.

- Nie wpadłem - odrzekł Harry. - Powiedziano mi.

- Kto ci powiedział? - rzucił Kissoon, wstając i wychodząc ze swego żywego sanktuarium na ulicę. - Kto ci powiedział?

- Twoja matka.

Twarz na wprost niego pozostała beznamiętna. Nie dostrzegł nawet najlżejszego drgnięcia mięśni, najdrobniejszego ruchu powiek.

- Nazywa się Maeve O'Connell, na wypadek gdybyś zapomniał - oznajmił detektyw. - Została powieszona wraz z tobą i twoim ojcem.

- Rozmawiasz z umarłymi? - spytał Kissoon. - Od kiedy?

- Ona nie umarła. Żyje i całkiem nieźle się trzyma.

- Co to za sztuczki? - warknął Kissoon. - Uważasz, że w ten sposób kogokolwiek uratujesz?

- Ona uciekła, Clayton. Gałąź pękła, a twoja matka zdołała przedostać się do Quiddity.

- Niemożliwe.

- Przejście na szczycie góry istniało przez cały czas i było otwarte, szczelina, mimo że mała, ale jednak była.

- Jak ona zdołała się przedostać na drugą stronę?

- Posiadała pewną moc, czyż nie? I siłę woli, aby jej magia mogła zadziałać. Powinieneś zobaczyć, czego dokonała na skrzyżowaniu. - Harry obejrzał się przez ramię. - To światło... - powiedział. Wokół domu publicznego na niebie jaśniała wielka luna. - To jej dzieło.

Kissoon przyglądał się przez chwilę osobliwemu zjawisku, a detektyw z zadowoleniem dostrzegł na jego twarzy cień powątpiewania. Tylko cień, ale to wystarczyło.

- Nic... o tobie nie wiem... D'Amour. Wciąż mnie zdumiewasz.

- To samo mogę powiedzieć o tobie.

- Jeżeli kłamiesz...

- Czemu miałbym to robić?

- Aby zyskać na czasie.

- Po co miałbym zadawać sobie tyle trudu? - odparł Harry. - Prędzej czy później i tak zrobiłbyś to, co sobie zamierzyłeś.

- I zrobię to - oświadczył Kissoon. - Nie zmieniłem zdania. Niezależnie, czy moja matka żyje czy też nie. - Wbił wzrok w lunę na niebie. - Co ona robi? - zapytał.

- Odtworzyła burdel - powiedział Harry. - Przez pamięć dawnych czasów.

Kissoon zamyślił się nad tym przez chwilę, a w końcu rzekł:

- Dawne czasy? Pieprzyć dawne czasy. I nie mówiąc nic więcej ruszył w stronę Rozstajów, pozostawiając D'Amourowi decyzję, czy ma pójść za nim.

Detektyw nie musiał patrzeć za siebie, aby wiedzieć, że Iadowie przerwali atak na budynek ratusza i również podążyli za Kissoonem, jakby mimo całego swego legendarnego już zła i okrucieństwa brakowało im woli lub być może chęci, aby działać bez czyichś poleceń. Hałas w głowie Harry'ego przeszedł w szept i detektyw przez chwilę zastanawiał się nad obecną sytuacją, zakładając, że dla Iadów jego procesy myślowe są teraz całkiem obojętne.

Najwyraźniej to, iż jego matka przeżyła, nie zdołało ułagodzić Kissoona. Spotka się z nią, ale bardziej z ciekawości aniżeli dlatego, że odezwały się w nim głębsze uczucia. Już od dzieciństwa miał ściśle opracowany plan działania. Fakt, że kobieta, która go powiła, przeżyła lincz, nie odwiódł Claytona od pragnienia kompletnej odmiany świata i wypełnienia go rybami. Detektyw żywił jeszcze nikłą nadzieję, że podczas tego spotkania po latach Kissoon w jakiś sposób się odkryje i stanie się podatny na atak, ale nawet gdyby rzeczywiście się tak

stało, jaka broń mogłaby go zranić? I czy w razie zamachu na życie Kissoona Iadowie będą stać biernie na uboczu? Wydawało się to, najkrócej mówiąc, mało prawdopodobne.

- Nie tego się spodziewałeś, prawda? - zapytał Kissoon, gdy skręcili w sąsiednią ulicę. - Myślę o Iadach.

Harry patrzył, jak za nimi pojawia się wielkie koło, na powierzchni którego przelewały się i kotłowały najróżniejsze kształty, narastające niczym fale grożące w każdej chwili przerwaniem wałów ochronnych. Wydawało się wręcz, że Iadowie zmieniają napotykaną po drodze powietrze, wykorzystując ciemność dla własnych celów.

- Nie wiem, czego oczekiwałem - odparł Harry.

- Miałeś mnóstwo diabłów spośród których mogłeś wybierać - zauważył Kissoon. - Ale nie sądzę, abyś brał pod uwagę akurat tego. - Nie czekając na potwierdzenie bądź zaprzeczenie mówił dalej: - To naturalnie się zmieni. I będzie się zmieniać stale i wciąż, bez końca. I jedyne, co można o tym powiedzieć, to że nigdy nie będzie martwe.

Detektyw przypomniał sobie słowa Normy na temat świata. Czy były one prawdziwe również gdy chodziło o Iadów? Że podlegali zmianom, ale ogólnie rzecz biorąc są niezniszczalni?

- I, rzecz jasna, to tylko drobna część tego, co czeka po drugiej stronie.

- Cieszę się, że nie będzie mnie tu, aby to zobaczyć - rzekł Harry.

- Czyżbyś się poddawał? Rozsądne posunięcie. Nic już nie wiesz na pewno i to przepelnia cię zgrozą. Lepiej się poddaj. Wróć do domu i do końca świata oglądaj telewizję.

- Tak bardzo nienawidzisz świata?

- Z drzewa ściągnęły mnie wilki. Ocknąłem się w ciemnościach, podczas gdy wilki targały zajadle sznurem pętli, którą wciąż miałem na szyi. A kiedy już je rozszarpałem i stałem pośród zwłok zboczony krwią pomyślałem: „To nie byli moi wrogowie”. To nie te stworzenia wywlekły mnie nagiego z łóżka i powiesiły na pobliskim drzewie. To w krwi tamtych chciałem się unurzać. To gardła morderców miałem ochotę poprzegryzać. Pytanie brzmiało: Jak? W jaki sposób na wpół szalone zero, jak ja, którego matka była burdelmama, a ojciec-dziwoląg pił na umór w knajpie, mogłoby skoczyć do gardeł Sapas Humana? - Przerwał i odwrócił się, a potem uśmiechnął. - Teraz już wiesz.

- Teraz już wiem.

- Mam do ciebie jeszcze jedno pytanie, D'Amour, zanim dojdziemy na miejsce.

- Tak?

- Tesla Bombeck.

- Co Tesla Bombeck?



- Gdzie jest teraz?

- Nie żyje. - Kissoon przez chwilę przyglądał się Harry'emu, jakby szukał na jego twarzy oznak kłamstwa. Nie znalazłszy ich, mruknął:

- Wiesz, to była doprawdy niezwykła kobieta. Prawie z tęsknotą wspominam czas, który wspólnie spędziliśmy w Pętli. - Znów się uśmiechnął. - Naturalnie w końcu okazało się, że nie należała do właściwej ligi. Mimo to, potrafiła być na swój sposób rozbijająca. Przerwał i spojrzawszy poza Harry'ego, na Iadów, zapytał: Wiesz, dlaczego to pożera własny ogon?

- Nie.

- Aby udowodnić swą doskonałość - odrzekł Kissoon i odwróciwszy się do detektywa plecami, dotarł do kolejnego skrzyżowania.

Skręciwszy w nie ujrzeli w końcu Rozstaje i dom, który wzniosła tam Maeve. Postać dodana tu, okno ówdzie, jakieś schody, rynsztok - wspomnienia nakładały się na siebie. Kissoon nie wyraził słowami swych odczuć na widok tego niezwykłego zjawiska, ale szedł ku domowi dużo wolniejszym niż dotąd krokiem.

- Gdzie jest moja matka? - rzucił.

- Podejrzewam, że gdzieś w środku - odrzekł Harry.

- Przyprowadź ją. Nie chcę tam wchodzić.

- To tylko iluzja - mruknął D'Amour.

- Wiem - odburknął Kissoon. Czyżby w jego głosie pobrzmiwało lekkie drzenie? I dodał: - Chciałbym, abyś ją przyprowadził.

- Dobrze - powiedział Harry i minąwszy go ruszył w stronę frontowych schodów.

Drzwi otworzyły się przed nim i wszedł do jedynej w swoim rodzaju erotycznej Krainy Czarów. Ściany były ozdobione brokatem i obrazami, głównie kopiami klasycznych dzieł w rodzaju - „Sądu Parysa”, „Ledy z łabędziem” czy „Porwania Sabine”. Wszędzie wokoło widział kobiety - uchwycone na płótnie i odwzorowane z takim kunsztem, że ich ciała w świetle wydawały się piękniejsze od rzeczywistych. Kobiety w stanikach i reformach, plotkujące w saloniku. Kobiety z rozpuszczonymi włosami, obmywające piersi. Kobiety leżące na łóżkach, z dłońmi między nogami, zabawiające się i uśmiechające do widmowych klientów.

Przemierzając zatłoczony korytarz w poszukiwaniu Maeve, Harry czuł, jak wbrew rozsądkowi zaczyna odzyskiwać nadzieję i rezon. Bez wątpienia życie tutaj musiało być ciężkie. Zdarzały się choroby, brutalność i przychodziły na świat bękarty. Niewątpliwie pracujące tu kobiety traktowane były przez klientów z pogardą i wykonując swój zawód, niejednokrotnie pragnęły z nim zerwać. Wyzwolić się, uciec jak najdalej od znieawidzonego

miejsca. Tego tu jednak nie było. Maeve wolała pamiętać radość panującą w domu schadzek i chociaż Harry wiedział, że z pewnością nie trwała ona długo, nie miało to znaczenia. Z wdzięcznością przyjął oferowaną mu iluzję.

- Harry?

W kuchni, pośród grupki rozgadanych kobiet stał Raul.

- Gdzie byłeś?

- Wybrałem się na poszukiwanie dziecka Maeve. Gdzie ona jest?

- Za domem - odrzekł Raul. - Powiedziałaś: dziecka?

- Kissoona, Raul - wyjaśnił Harry, udając się w stronę tylnego wyjścia. - To Clayton O'Connell.

Raul porzucił towarzystwo kobiet i podążył za nim.

- Czy on wie? - zapytał.

- Oczywiście, że wie! Czemu miałby nie wiedzieć?

- Bo ja wiem... tyle tylko, że... trudno jest mi wyobrazić sobie, że to dzieciak Maeve wymordował członków Szkoły czy stworzył Pętlę...

- Każdy ma gdzieś swój początek - rzekł doń Harry. - I każdy ma swoje powody.

- Gdzie jest teraz?

- Przed domem. Z Iadami. - Harry wyszedł do ogrodu. Maeve zapamiętała go tak, jak musiał wyglądać późną wiosną. Właśnie kwitły wiśnie, powietrze przesyciła słodka, dusząca woń.

Staruszka nie była sama. Jedna z dziwek siedziała na trawie, wpatrując się w gwiazdy.

- Ma na imię Christina - przedstawiła ją Maeve. - Zna wszystkie gwiazdozbiory.

- Odnalazłem Claytona.

- Co?

- Jest tutaj.

- Niemożliwe - powiedziała. - To niemożliwe. Mój syn nie żyje.

- Może byłoby lepiej dla nas wszystkich, gdyby faktycznie tak się stało - odparł Harry. - To on sprowadził tu Iadów, Maeve. To jego zemsta za to, co się stało z wami.

- Spodziewasz się, że... nauczę go choć odrobiny współczucia?

- Jeżeli potrafisz.

Odwróciła wzrok. Najpierw spojrzała na miłośniczkę gwiazd, a potem w górę, na gwiazdy.

- Przeżyłam tu wiele cudownych chwil. Mam wrażenie jakbym w ogóle nie opuszczała tego miejsca.

- On chce, żebym cię przyprowadził.

Skierowała wzrok na Raula stojącego przy wejściu.

- Czy jest tu mój Coker? - Skinął głową. - A zatem wie? - Znów pokiwał głową. - I co o tym myśli?

Raul przez chwilę słuchał głosu umarłego.

- Nakazuje ostrożność, chłopak zawsze był trochę stuknięty i zły.

- Nie zawsze - rzuciła Maeve, ruszając w stronę domu. - Nie był stuknięty ani zły, gdy nosiłam go w sobie. My go tego nauczyliśmy, Cokerze. Bóg wie, jak to się stało, ale to my go nauczyliśmy.

Weszła z kamienną twarzą do domu i odmawiając pomocy ze strony Harry'ego, przeszła przez kuchnię i salonik do frontowych drzwi.

Wciąż były otwarte. Kisoona stał przy nich i z jego twarzy można było się domyślić, że już od dłuższego czasu obserwował matkę przez woale domu schadzek. Małpie oblicze, które przybrał, było teraz skażone. Kalał je wyraz gorzkości i głębokiego przygnębienia.

- Spójrz na siebie! - rzucił, gdy Maeve pojawiła się w drzwiach.

- Clayton? - zapytała, przystając, by mu się przyjrzeć.

- Wyglądasz na bardzo chorą. - Jej widok najwyraźniej dodał mu odwagi. Wszedł do środka. - Powinnaś nie żyć, mamó - powiedział.

- Ty również.

- Och - zagruchał - przecież ja nie żyję. Żyje we mnie jedynie nienawiść. - Zbliżył się do Maeve i uniósł lewą rękę. Trzymał w niej krótką, cienką różdżkę, tę samą, której użył już dwukrotnie. Miała zabójczą moc.

Harry usiłował ostrzec Maeve i rzucił się ku niej, próbując zablokować uderzenie, ale Kisoona był zbyt szybki. Uderzył matkę w głowę i runęła bezwładnie, a wyściełaną dywanem podłogę splamiły strugi rozbryźniętej krwi.

W świetlistym grobie poniżej Tesla odebrała to morderstwo jak powtórny śmierć. Wstrząśnięta, uniosła wzrok i ujrzała na swym nieboskłonie powiększającą się plamę. Z ust kobiety dobył się ostatni, agonalny szloch...

D'Amour schwycił Kisoona za rękę i usiłował go odciągnąć od matki, ale mężczyzna był silniejszy. Jednym ruchem ramion uwolnił się od Harry'ego i odrzucił go brutalnie w tył. Detektyw przeleciał przez kilka widmowych ścian i wylądował ciężko na wznak pod kuchennym stołem. Podnosząc się dostrzegł, że Raul rzucił się na Kisoona, atak był jednak

na tyle nieudolny, iż ten nie zadał sobie nawet trudu, aby uwolnić się od napastnika. Osunął się na kolana obok Maeve, unosząc ponownie różdżkę, aby dopełnić matkobójstwa. Broń opadła raz, drugi, trzeci, czwarty, dom chwiał się i dygotał w posadach przy każdym ciosie, w miarę jak umysł, który go spłodził, nieuchronnie zaczął gasnąć.

Zanim D'Amour zdołał dotrzeć do Kissoona, było już po wszystkim. Zbрызganym krwią Maeve, z oczyma wilgotnymi od łez, mężczyzna wolno podźwignął się z ziemi. Wytarł nos wierzchem dłoni jak uliczny łapserdak i rzekł do Harry'ego:

- Dziękuję. Podobało mi się.

Tesla nie chciała słyszeć. Nie chciała się poruszać. Nie chciała niczego, prócz możliwości zatopienia się w tej pustce tak długo, jak długo będzie w niej przebywać.

A jednak odgłosy okrutnego czynu dochodziły do niej z góry ostro i wyraźnie, i mimo że się starała, nie była w stanie powstrzymać narastającego gniewu. Jej ożywienie poruszyło grunt wokół i tym samym dźwignęło jej duszę z powrotem ku unoszącemu się powyżej, martwemu ciału. Im bardziej zbliżała się do niego, tym gwałtowniejsze stawały się otaczające ją energie. Pragnęły ponownego złączenia, tak się jej przynajmniej wydawało; chciały, aby powróciła do swego ciała.

Dlaczego? Odpowiedź uzyskała w chwili, gdy ponownie zajęła przestrzeń za swymi oczami. To chciało, aby jej serce zaczęło bić, aby jej płuca znów napelniły się powietrzem. Przede wszystkim zaś to pragnęło wejść do jej żyjącego ciała i sprawić, aby stało się ono jądrem wszystkiego, co się tu unosiło - miejscem, gdzie umysł był w stanie odnaleźć sens w chaosie zagadek materii; gdzie zwierzęta oraz istoty boskie mogą utracić swe formy i rozpocząć dzieło zjednoczenia.

Krótko mówiąc, to pragnęło obdarzyć ją Sztuką.

I nie sposób było odmówić. Wiedziała o tym od chwili, kiedy to w nią weszło, zrozumiała, że wraz z tym otrzymała również i ten dar. Wiedziała, że zmieni się na wiele sposobów, również na takie, które obecnie wydawały się jej niepojęte i niewyobrażalne; zdawała sobie sprawę, że przy tego typu zmianach różnice pomiędzy życiem a śmiercią staną się nic nie znaczącymi błahostkami.

Był moment, pomiędzy pierwszym a drugim uderzeniem serca, kiedy jeszcze mogła odrzucić ów dar i opuścić swe ciało. Pozwoliłaby temu umrzeć ponownie, sczeznąć i zniknąć. Zanim jednak uświadomiła sobie, że właśnie dokonuje wyboru, została wybrana.

I Sztuka posiadała ją.

- Co to jest? - warknął Kisson, kiedy ziemia w miejscu, gdzie leżało ciało jego matki,

rozstąpiła się i buchnęły stamtąd promienie jasnego światła.

Harry nie potrafił odpowiedzieć. Mógł jedynie patrzeć, podczas gdy widowisko rozkręcało się na całego. Trup starej kobiety skurczył się i wysechł na wiór, jakby światło - które nie wydzielalo ciepła - powoli dokonywało jego kremacji. Jeżeli tak było, światło okazało się równie zdolnym twórcą, jak niszczycielem, w tej samej chwili bowiem gdy zwłoki Maeve O'Connell obróciły się w proch, z jej popiołów wyłoniła się inna kobieca postać.

Wyglądała jak kobierzec utkany z ognia, ale to była ona. Boże w Niebiesiech, to była ona!

Harry usłyszał, że hałas, jaki Iadowie czynili w jego czaszce, zmienia się w skomlenie przerażonego zwierzęcia. Kissoon wycofywał się ku frontowym drzwiom, najwyraźniej równie strwożony jak jego pozbawiony twarzy sprzymierzeniec, ale zanim zdołał dotrzeć do progu, Tesla zawołała go po imieniu. Jej głos po dokonaniu się przemiany nie był już łagodny i dźwięczny.

- To niewybaczalne - rzekła. Nitki ognia płonęły jak gorejące węgle; jej ciało znów przypominało to poprzednie, z krwi i kości. - Zwłaszcza tu, ze wszystkich możliwych miejsc, gdzie się oboje narodziliśmy.

- Oboje? - zapytał Kissoon.

- Urodziłam się tu i teraz - odparła. - A ty jesteś tego świadkiem. Możesz poczytywać to sobie za niemały zaszczyt.

Przepełniony niepokojem i dezorientacją jazgot Iadów podczas tej wymiany zdań stale przybierał na sile; spoglądając ponad Kissoonem w mrok za blaknącymi ścianami Harry stwierdził, że abstrakcje rozsypywały się i rozdzielały, koło zaczęło się rozpadać.

- Ty to robisz? - zwrócił się do Tesli.

- Może - odrzekła, przyglądając się swemu ciału, które z każdą chwilą coraz bardziej odzyskiwało materialną postać. Wydawała się szczególnie zainteresowana dłońmi. Harry w mig zorientował się, co było tego przyczyną. Przypomniała sobie dżaffa, z którego rąk wręcz buchała Sztuka. Tryskała, a potem zostały zgruchotane.

- Buddenbaum miał rację - powiedział detektyw.

- W jakiej kwestii?

- Ciebie i Sztuki.

- Nie miałam tego w planie - wyznała z pewnym zakłopotaniem i zażenowaniem. - Gdyby nie przelał tej krwi...

Przestała wpatrywać się w dłonie i przeniosła wzrok na Kissoona, który wycofał się do

miejsca, gdzie kiedyś znajdowały się drzwi. Ich iluzoryczne wspomnienie było ledwie widoczne. Natomiast formy Iadów wirowały w powietrzu za jego plecami, wchłaniając w swe sploty ciemność i wtapiały się w szarość cieni. Wkrótce były już tylko miejscami, w których nie świeciły gwiazdy. Niedługo przestały być nawet tym.

- To początek końca - oznajmił Kissoon.

- Wiem - odparła Tesla, której na ustach gościł widmowy uśmieszek.

- Powinnaś się bać - powiedział do niej Kissoon.

- Dlaczego? Ponieważ jesteś człowiekiem zdolnym do zabicia własnej matki? - Pokręciła głową. - Świat od samego początku pełen jest takich szumowin - oświadczyła półgłosem. - A jeżeli koniec oznacza, że już ich więcej nie będzie, to czy powinniśmy się tym przejmować? Bądź co bądź to nie taka wielka strata, czyż nie?

Patrzył na nią przez chwilę, jakby zastanawiając się nad odpowiednią ripostą. Nie znalazłszy żadnej mruknął tylko: - Jeszcze zobaczymy... - i wtapiając się w tę samą ciemność, która pochłonęła Iadów, znikł w okamgnieniu.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy, dłuższa niż poprzednia, podczas gdy ściany domu schadzek stały się jeszcze bardziej przejrzyste. D'Amour przykucnęła, a w jego oczach pojawiły się łzy ulgi, gdy ucichło ostatnie, przeciągłe echo brzęczenia Iadów. Tesla przeszła kilka metrów od miejsca, w którym ponownie się pojawiła - obecnie wyglądało całkiem zwyczajnie, jak normalna ulica - i przeniosła wzrok na płomienie. Z oddali dobiegał jęk syren. Wybawiciele byli w drodze, z sikawkami, „kogutami” i dyktowanymi przez zdrowy rozsądek słowami.

- Jakie to uczucie? - zwrócił się do niej Harry.

- Próbuję... udawać, że nic mi się nie stało - powiedziała szeptem szorstkim jak żwir. - Jeżeli będę to przyjmowała powoli... bardzo powoli... to może nie oszaleję...

- A więc nie jest tak jak mówię?...

- Nie widzę przeszłości, jeżeli o to ci chodzi.

- A co z przyszłością?

- Nie z miejsca, w którym stoję. - Wzięła głęboki oddech. - Nie opowiedzieliśmy jeszcze tej historii. Oto dlaczego.

Od strony ogrodu dał się słyszeć perlisty śmiech.

- Twój przyjaciel wydaje się szczęśliwy.

- To Raul.

- Raul? - Na twarzy Tesli wykwitł niepewny uśmieszek. - To jest Raul? O Boże, a ja myślałam, że go straciłam... - Zamilkła, jej spojrzenie odnalazło Raula stojącego wśród

ostatnich kwitnących drzew. - Spójrz na nich - powiedziała.

- Na co? - zapytał Harry.

- No tak, oczywiście - mruknęła. - Ja postrzegam rzeczy oczami śmierci. - Zamyśliła się przez chwilę. - Zastanawiam się... - odezwała się w końcu, unosząc przed sobą rękę i prostując palce, wskazujący i środkowy. - Chcesz czegoś spróbować?

Harry podniósł się z wahaniem.

- Pewno że tak.

- Podejdź tu.

Zbliżył się do niej niepewnie.

- Nie wiem czy to się uda, czy nie - ostrzegła. - Ale kto wie, może będziesz miał szczęście. - Delikatnie dotknęła palcami jego tętnicy szyjnej. - Czujesz coś? - zapytała.

- Jesteś zimna.

- To wszystko, hę? Dobra, spróbujmy... Tutaj. - Tym razem dotknęła jego czoła. - Wciąż czujesz tylko zimno? - zapytała. Nie odpowiedział, tylko lekko się skrzywił. - Chcesz, żebym przestała?

- Nie. Nie... tylko... to trochę... dziwne...

- Spójrz jeszcze raz na Raula - rzekła Tesla.

D'Amour odwrócił wzrok w stronę drzew i z jego ust dobył się cichy jęk radosnego zdumienia.

- Widzisz ich?

- Tak - potwierdził. - Widzę.

Raul nie znajdował się sam w nienakrytym ogrodzie. Obok niego stała Maeve, nie otoczona mgiełką i dymem, lecz odziana w długą, jasną suknię. Nie wyglądała już staro. Była kobietą w kwiecie wieku, piękną, mniej więcej czterdziestoletnią, a u jej boku stał mężczyzna, wśród przodków którego musiał ongiś znaleźć się lew. On również ubrany był odpowiednio na letni wieczór i patrzył na swoją żonę, jakby trwała właśnie pierwsza godzina ich małżeństwa. Nie ulegało wątpliwości, że był zakochany po uszy.

Tę niezwykłą grupkę dopełniała czwarta osoba.

Jeszcze jeden duch, Erwin Toothaker - jak przypuszczał detektyw - w workowatej kurtce i obwisłych spodniach przyglądał się z pewnego oddalenia, jak zakochani wymieniają czule spojrzenia.

- Przyłączymy się do nich? - zapytała Tesla. - Mamy parę minut, zanim zjawią się gapie.

- A co będzie, kiedy się zjawią?

- Już nas tu nie będzie - odrzekła Tesla. - Nadchodzi czas, aby każdy z nas zrobił porządek ze swym życiem, niezależnie czy ten ktoś jest żywy, umarły, czy też „żywy inaczej”. Zbliża się pora, aby pogodzić się z tym, co trzeba, i załatwić wszelkie niezbędne sprawy. Abyśmy mogli przygotować się na to, co nastąpi.

- A ty nie wiesz, co to będzie?

- Wiem, co n i e b ę d z i e - stwierdziła, prowadząc go do ogrodu.

- To znaczy?

- Nie będzie to nic, co kiedykolwiek komukolwiek się śniło.



## **Część siódma**

### **Liście na drzewie opowieści**

# Rozdział I

## 1

Weekend osobliwych zjawisk, znaków i manifestacji w Everville nie został nie zauważony. W następnych dniach po wydarzeniach festynowej soboty i niedzielnego poranka Everville znalazło się pod lupą, jak to zwykle ma miejsce w przypadku miast, z których wywodzą się masowi mordercy lub kandydaci na urząd prezydencki. Nikt nie zaprzeczał, że wydarzyło się tam coś, co wywołało nader dziwne konsekwencje. Nikt jednak nie potrafił określić, co się konkretnie stało, nawet ci, którzy znaleźli się w samym sercu wypadków. Prawdę powiedziawszy, ludzie, którzy powinni okazać się najlepszymi, najbardziej wiarygodnymi świadkami (czyli ci, którzy znajdowali się w sobotnie popołudnie na Rozstajach i ci, którzy około drugiej w nocy w niedzielę zostali uwięzieni w gmachu ratusza), byli, delikatnie mówiąc, najslabiej zorientowani. Nie tylko przeczyli sobie nawzajem, przeczyli również temu, co sami mówili, z godziny na godzinę, z zeznania na zeznanie. Ich opowieści o trzęsieniach ziemi, pożarach i kaskadach kamieni mieszały się ze szczegółami tak nieprawdopodobnymi, że przez tydzień nie schodziły z pierwszych stron najbardziej popularnych brukowców.

Kiedy tylko szczegóły na temat osobliwych wydarzeń znalazły się na łamach prasy wraz, co nieuniknione, z porównaniami do innych słynnych miejsc masakr w rodzaju Jonestown i Waco, miastem zaczęli interesować się innego typu badacze: jasnowidze, media, ufolodzy, wizjonerzy apokalipsy; ich pojawienie się oraz wypowiedzi jeszcze bardziej zaszkodziły wiarygodności całej historii. Telewizja, która jeszcze we wtorek omawiała wydarzenia z pewną dozą sympatii, pod koniec tygodnia zmieniła ton wypowiedzi na ostrożny, a nawet cyniczny. *Time* zainteresował się ową historią, zanim jeszcze zaczęła rozpisywać się o wszystkim prasa, koncentrując się na jednym z wydarzeń, które doprowadziły do ogólnego chaosu i rozprzestrzeniły płomień szaleństwa w całym Everville. Artykuł opatrzony był zdjęciem, notabene nader niepochlebnym, Dorothy Bullard, którą ukazano w koszuli nocnej, za siatkowymi drzwiami, dzięki czemu wyglądała jak zagubiona dusza w areszcie domowym. Artykuł nosił tytuł: *Czy Ameryka traci zmysły?*

Nie można było już zaprzeczać, że w ubiegły weekend straciło życie wielu ludzi i większość z nich umarła w straszliwy sposób. Liczbę ofiar ustalono ostatecznie na

dwadzieścia siedem, włącznie z kierownikiem motelu Sturgisa i trzema ciałami odnalezionymi na drodze za miastem - dwa były spalone, tak że jakakolwiek identyfikacja okazała się niemożliwa - oraz trzecim dawnego dziennikarza nazwiskiem Nathan Grillo. Dokonano autopsji, a FBI i policja przeprowadziły jawne i sekretne dochodzenia i wydano oficjalne oświadczenia co do różnych okoliczności śmierci. Rzecz jasna, pojawiły się również plotki, z których tylko kilka przedostało się do prasy. Na pierwszej stronie *Enquirer*a pojawił się artykuł, jakoby w motelu odnaleziono dwie skóry wykonane z jakiejś obcej, sztucznej substancji. Plotka o trzech krzyżach, na które rzekomo natrafiono na szczycie Harmon's Heights z dwoma wiszącymi ciałami oraz zwłokami niehumanoidalnej istoty pod trzecim nie przedostała się do prasy.

W drugim tygodniu doniesień prasowych, gdy hipotezy zaczęły stawać się coraz bardziej niewiarygodne, świadkowie coraz bardziej rozmowni, zaś interpretacja wydarzeń z *Time'a* jęła zyskiwać coraz więcej zwolenników, historia ożyła z nową siłą po samobójstwie jednego z najbardziej lubianych i szanowanych mieszkańców Everville, Bosleya Cowhicka. Znalaziono go o szóstej piętnaście, w środę rano, w kuchni jego niewielkiej restauracji, tydzień i trzy dni po owym zadziwiającym festynie. Zastrzelił się, pozostawiając przy kasie list pożegnalny, którego treść przedostała się następnego dnia do prasy, pomimo usilnych starań Jeda Gilholly'ego, aby ostatnie słowa Bosleya pozostały dla innych tajemnicą.

List nie miał adresata. Było to w gruncie rzeczy tylko kilka linijek tekstu nagryzmołonych na odwrocie menu.

*Mam nadzieję, że Bóg wybaczy mi to, co zamierzam uczynić - napisał. - Ale nie potrafię dłużej żyć z tymi wszystkimi wspomnieniami. Wiem, że ludzie mówią, iż jestem szalony, lecz widziałem to, co widziałem, i może postąpiłem niewłaściwie, niemniej uczyniłem to dla dobra dziecka. Seth Lundy wie, że to prawda. On także wszystko widział i wie, że nie miałem wyboru, wciąż jednak mam wrażenie, iż Bóg zesłał mi to dziecię, aby mnie poddać próbie, ja zaś nie byłem dość silny, by wypełnić Jego wolę, nawet jeśli to, co uczyniłem, zrobiłem w dobrej wierze. Liczę, że Bóg to zrozumie i przyjmie mnie, albowiem jest moim stwórcą i wie, że zawsze starałem się czynić wszystko zgodnie z Jego wolą. Tyle że czasami to nas przerasta. Przepraszam wszystkich, których skrzywdziłem. Żegnajcie.*

Wzmianka o Lundym w tym żalonym liście pożegnalnym stała się przyczyną poprowadzenia śledztwa zupełnie nowym torem, jako że Seth był jedną z osób uważanych od owego pamiętnego weekendu za zaginione. Bill Waits przyznał, że widział jak chłopak został

napadnięty przez dwóch jego koleśków muzyków, lecz historia ta nie znalazła żadnego potwierdzenia. Jeden z owych mężczyzn - Larry Glodoski - zmarł w wyjątkowo podejrzanych okolicznościach, podczas gdy drugi - Ray Alstead przebywał w areszcie w Salem, podejrzany o zamordowanie szefa orkiestry. Alsteadowi podawano środki uspokajające, aby pohamować jego ataki przemocy, którym zdawał się towarzyszyć lęk, że zmarły przybędzie po niego, ponieważ zobaczył zbyt wiele. Co konkretnie ujrzał, nie chciał powiedzieć, ale obsesja więźnia na punkcie mściwego trupa potwierdziła przekonanie policyjnych psychiatrów, iż mógł on być odpowiedzialny za niektóre spośród dokonanych tamtej nocy mordów. Policyjna teza głosiła, iż wyruszył on na morderczą krucjatę i obecnie lękał się, że ofiary, które zabił, przyjdą po niego, by wymierzyć mu okrutną karę. Waits, rzecz jasna, gwałtownie i stanowczo temu zaprzeczał, twierdząc, że większość wieczoru spędził w towarzystwie Alsteda, ale jako że nadużył dość mocno alkoholu, nie mógł zostać uznany za wiarygodnego świadka.

Teraz natomiast, wraz ze śmiercią Bosleya Cowhicka, władze straciły potencjalnie użytecznego świadka i pozostały z całą gamą nie rozwiązanych zagadek. Co się stało z Sethem Lundym? Kim było dziecko, którego oddanie tak bardzo przeżył bogobojny Bosley? A jeżeli owo dziecko rzeczywiście istniało, to komu je oddał?

Nie zanosilo się, aby w najbliższym czasie poznano odpowiedzi na wszystkie te pytania. Bosley Cowhick został pochowany na cmentarzu Potterów, obok swoich rodziców i babki ze strony matki. Ray Alstead pozostał w celi w Salem, gdzie adwokat rozpoczął usilne starania o uwolnienie go na podstawie braku wystarczających dowodów winy; nie zgłoszono wszak zaginięcia dziecka i jego tożsamość pozostała nieznana. Co się tyczy zniknięcia Seta Lundy'ego, za jego sprawą ujawniona została ostatnia z tajemnic Everville i na światło dzienne wypłynęła owiana aurą niesamowitości postać Owena Buddenbauma. W przeciwieństwie do sprawy dziecka nikt nie wątpił w istnienie Buddenbauma. Widziano go, jak wyleciał przez okno, był badany w szpitalu w Silverton, znajdował się w samym centrum sobotnich wydarzeń, które zakończyły się tak wielkim zamieszaniem, i pozostał w mieście po zmierzchu - widziało go i doniosło o jego obecności w Everville kilka wiarygodnych osób. W rzeczy samej wydawał się niepoślednim czynnikiem sprawczym i uczestnikiem weekendowych wypadków do tego stopnia, że niektórzy sugerowali wręcz, iż stanowił żywe jądro całego cyklu wydarzeń: jak wielki mistrz, sprawował kontrolę nad zjawiskiem będącym sprytnie spreparowanym oszustwem, fenomenem paranormalnym bądź przypadkiem masowej hysterii (w zależności od punktu widzenia). Powszechnie sądzono, że gdyby go odnaleziono i skłoniono do złożenia zeznań, byłby w stanie wyjaśnić większość, jeżeli nie wszystkie, tajemnicze kwestie, pozostające jak dotąd bez odpowiedzi.

Sporządzono dość udany portret pamięciowy i wydrukowano go w kilku krajowych czasopismach oraz w *Oregonian* i *Everville Register*. Prawie natychmiast otrzymano pierwsze doniesienia na temat Buddenbauma. Dwa lata wcześniej widziano go w Luizjanie; zaledwie w ubiegłym tygodniu spacerował po Miami, zauważono go w Disneylandzie, przedzierał się przez tłum podziwiający Electric Parade. Doniesień takich były całe tuziny, niektóre mówiły o wypadkach sprzed dziesięciu lat, lecz nawet jeśli świadek miał okazję poznać bliżej tajemniczego pana Buddenbauma, okazało się, iż dowodów przeciwko niemu praktycznie brak. Nie opowiadał o cudach na Marsie czy sekretnych mechanizmach rządzenia światem, przychodził i odchodził, pozostawiając po sobie wrażenie, jakby nie przynależał do obecnej epoki.

Raporty, mimo iż liczne, nie były dość dziwaczne, aby utrzymać Everville w czołówce krajowych doniesień i skupić na tym miasteczku przez dłuższy czas zainteresowanie opinii publicznej. Kiedy tylko pogrzeby dobiegły końca, fotografowie wspięli się na szczyt Harmon's Heights, aby go obejrzeć (władze zrobiły tam taki porządek, że reporterzy i dziennikarze mogli co najwyżej podziwiać piękne widoki); kiedy opowiedziano ze szczegółami o samobójstwie Bosleya Cowhicka, a potok doniesień na temat Owena Buddenbauma płynął wartką falą, opowieściom z Everville nagle zabrakło nowych wątków.

Pod koniec września cała sprawa była już mocno opatrzona; w miesiąc później zaś prezentowano ją jedynie jako upiorną historię, w sam raz na święto Halloween, lub kompletnie o niej zapomniano.

## 2

„Urodziłam się tu i teraz” - powiedziała Tesla Kissoonowi, stojąc wśród żalonych ruin domu Maeve O'Connell i była to prawda.

Ziemia, która miała stać się jej grobem, okazała się łonem, z którego wyszła kompletnie odrodzona. Nic więc dziwnego, że następne tygodnie przypominały jej dzieciństwo, drugie i o niebo dziwniejsze od poprzedniego. Jak już wspomniała D'Amourowi, nie czuła się kimś, kto doznał objawienia. Dar, który przypadkiem otrzymała lub - a wcale nie negocowała takiej ewentualności - który ją mimowolnie doścignął, nie dawał jej zbyt głębokiego wglądu w naturę i strukturę rzeczywistości. A może jak dotąd nie potrafiła właściwie otworzyć się na ich obecność. Obecnie nawet tak mało znaczący cud, jak ten, którego dokonała owej nocy w domu publicznym - pozwalając Harry'emu postrzegać świat oczami umarłych - wydawał jej się teraz czystym szaleństwem. Nie da się skusić i nie ponowi tej próby dla innych ludzi,

przynajmniej dopóki nie nabierze pewności, że panuje nad własnymi poczynaniami - a nie wątpiła, iż minie wiele czasu, zanim to nastąpi. Miała wrażenie, że jej umysł był bardziej zamknięty aniżeli przed jej wskrzeszeniem, jakby instynktownie zawężyła swe pole postrzegania, z obawy aby nie zatracić się wśród rozciągających się teraz przed nią przestrzeni i możliwości, utraciłaby bowiem w ten sposób ową drobną namiastkę świadomości tego, kim i czym się stała.

Obecnie wróciła do swojego starego mieszkania w Zachodnim Hollywood, dokąd udała się natychmiast po wyjeździe z Everville nie dlatego, że czuła się tam szczęśliwa, lecz dlatego, że potrzebowała otuchy i wsparcia ze strony tego, co doskonale знаła. Wiele twarzy sąsiadów pozmieniało się, ale nawet po pięciu latach dramaty i komedie rozgrywające się wokoło były wciąż te same. Każdego sobotniego wieczoru oczekujący na operację transseksualista w mieszkaniu piętro niżej wpadał w melancholijny nastrój i do czwartej nad ranem grał smętne, chwytające za serce melodie; w budynku obok pewna para co najmniej dwa razy w tygodniu urządzała karczemne kłótnie, kończące się zażartą rywalizacją na wyzwiska; każdego dnia czyjś kot wymiotował na schodach. Nie wydawało się to może zbyt zachęcające, niemniej był to dom i właśnie tu, w tej ciasnej klitce z tanimi meblami i popękkanymi ścianami, mogła przynajmniej przez czas jakiś udawać, że jest normalną kobietą wiodącą normalne życie. Nie było to może normalne życie według standardów przyjętych w Ameryce Środkowej, ale z pewnością dość udana jego namiastka. Tu oczekiwała na sukces i usiłowała zrealizować większość swych zamierzeń i nadziei. Tu koła zranione ego, kiedy odrzucano jej prace. Tu dochodziła do siebie po zawodach miłosnych, kiedy przyłapała Clausa na zdradzie i kiedy Jerry wyjechał do Miami, aby nigdy już nie powrócić. Tak, przeżyła również ciężkie chwile, było ich sporo. Niemniej to właśnie wspomnienia pomogły jej przypomnieć sobie, kim była, jakie nosiła na sobie i w sobie blizny i całą resztę. Stało się to obecnie ważniejsze aniżeli rozkosze oszukiwania samej siebie.

Naturalnie w tym właśnie mieszkaniu w splotach Kissoonowego liksa zginęła Mary Muralles i tutaj również Lucien, nieszczęsny, niewinny Lucien mówił, że ludzie są naczyniami nieskończoności.

Nigdy nie zapomni tego zdania. Mogłaby uznać je za swoistą przepowiednię, gdyby nie wierzyła w to, co powiedziała D'Amourowi - że przyszłość zawsze pozostaje nie opowiedziana, a tym samym nieopowiadalna. Nie sposób ją opisać. Przepowiednia czy też nie, Tesla stała się czymś w rodzaju naczynia dla rzekomo nieskończonej potęgi. A teraz posiadała ową moc i postanowiła solennie, że nie pozwoli jej zniszczyć. Nauczy się posługiwać Sztuką jako Tesla Bombeck albo pozwoli, by tkwiąca w niej siła pozostała

bezużyteczna.

W owym czasie odbudowywania samej siebie kilkakrotnie dzwonił do Tesli z Nowego Jorku Harry D'Amour, sprawdzając, czy wszystko u niej w porządku.

Zachowywał się w sposób bardzo taktowny i delikatny; wiedział, iż jej stan jest dość niestabilny, toteż rozmowy obojga brzmiały raczej banalnie. Nigdy nie upadli tak nisko, by dyskutować o polityce, lecz rozmawiali na luźne, lekkie tematy, Harry zaś miał nadzieję, iż o naprawdę ważnych sprawach zaczną mówić, gdy Tesla poczuje się silniejsza.

Zdarzało się to nader rzadko. Zwykle gawędzili o niczym i rozmowy te do niczego nie prowadziły. W końcu jednak, gdy poczuła się na siłach - w dobrych kilka tygodni po owych wydarzeniach - i zaczęła wierzyć, że da sobie radę z nowo otrzymanymi mocami - zrazu nieśmiało podjęła temat Everville; tego, co się tam wydarzyło, oraz długotrwałych konsekwencji, jakie pociągnęły za sobą wypadki owego pamiętnego weekendu. Zapytała Harry'ego czy słyszał, co właściwie stało się z Iadami i gdzie się obecnie znajdują? Czy wie, co dzieje się z Kissoonem? (Odpowiedź brzmiała w obu przypadkach „nie”). A co z Tommym-Rayem oraz małą Amy? (D'Amour znów musiał odpowiedzieć, że nie wie).

- Mam wrażenie, że wszyscy pochowali się w mysie dziury - rzekł detektyw. - Przyczaili się i liżą rany. Czekają i obserwują, kto zrobi pierwszy ruch.

- Nie wygląda, abys specjalnie się tym przejmował - zauważyła Tesla.

- Wiesz co? Wydaje mi się, że Maeve miała rację. Powiedziała mi: „Skoro nie wiesz, co cię czeka, dlaczego miałbyś się tego obawiać?” Jest w tym sporo prawdy.

- Ale nie zapomnij, Harry, że zginęło wielu ludzi, i oni naprawdę mieli się czego bać.

- Wiem. Nie próbuję udawać, że wszystko jest ładnie-pięknie, bo nie jest i doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Tylko że poświęciłem w swoim życiu mnóstwo czasu na poszukiwanie wroga...

- A teraz miałeś okazję go ujrzeć.

- Owszem, widziałem go.

- Mam wrażenie, jakbyś się uśmiechał.

- Bo się uśmiecham. Cholera, uśmiecham się, chociaż nie wiem dlaczego. Grillo mówił, że podchodzę do tej sprawy bardzo naiwnie i że jestem łatwowierny. Stało się to powodem dość ostrej kłótni między nami, ale mam nadzieję, że on może teraz mnie słyszy, bo muszę przyznać, że miał rację. Grillo miał rację, Teslo.

Dalsza rozmowa jakoś się nie kleiła, ale wzmianka Harry'ego o Grillu sprawiła, że i Tesla zaczęła o nim myśleć, a gdy już zaczęła, nie potrafiła przestać. Aż do teraz obawiała się myśleć o nim i o swych uczuciach do niego, lękając się, że zapuściwszy się na te burzliwe

wody, utraci z takim trudem zdobytą namiastkę samoświadomości i własnego „ja”. To, co się stało, było dla niej tak wielkim zaskoczeniem, że stanęła przed wyborem - albo pozwoli wspomnieniom narastać jak tocząca się w dół śnieżna kula, albo spróbuje coś uczynić, by je powstrzymać, i mimo obaw okazało się to wcale nie takie straszne. Wręcz przeciwnie, wspomnienia o Grillu przyniosły jej ulgę i pocieszenie. W ciągu ośmiu lat ich znajomości bardzo się zmienił, utracił swą idealistyczną postawę oraz większą część wcześniejszych przekonań, a ich miejsce zajęły osobliwe obsesje. Mimo tego niezbyt pochlebnego wizerunku Grillo pozostał (przynajmniej w oczach Tesli) tym samym, co dawniej, czarującym, dziecinny, wybuchowym mężczyzną, którego znała. Nigdy nie byli kochankami i od czasu do czasu nawet tego żałowała. Żaden mężczyzna w jej życiu nie zagrzał miejsca tak długo jak Grillo i żaden nie żywił wobec niej głębszych niż on uczuć. Nawet ostatnimi czasy, kiedy podróżowała i bywało, że nie rozmawiali przez wiele miesięcy, wystarczyło kilka prostych zdań i mogło się wydawać, że od ich ostatniego spotkania upłynęło zaledwie parę minut.

Przypominając sobie te zamiejscowe rozmowy prowadzone z barów dla kierowców ciężarówek czy przydrożnych stacji benzynowych, powróciła myślami do dzieła, które pochłaniało Grilla przez całe pięć lat od czasu wydarzeń w Palomo Grove. Rafa. Opowiadał jej o tym niejedną raz, jako o swym życiowym dziele, dla wykonania którego znalazł się na tej planecie i choć wymagało więcej energii, sił i cierpliwości niż, jak mu się zdawało, posiadał, czy też mógł włożyć w ową pracę, wiedziała, iż do samego końca wierzył, że podoła swemu zamierzeniu.

Zaczęła się zastanawiać, czy Rafa wciąż pozostawała nietknięta? Czy nadal gromadziła historie o nie wyjaśnionych, niezwykłych zjawiskach z całego obszaru Ameryk? Im dłużej Tesla nad tym rozmyślała, tym bardziej pragnęła ujrzeć ów zbiór doniesień o obserwacjach i fenomenach nie z tej ziemi. Przypomniała sobie, że Grillo podał jej kilka numerów, pod które mogła zadzwonić, gdyby chciała wejść do systemu lub zostawić wiadomość, ale zgubiła je. Jedynym sposobem, aby sprawdzić, czy Rafa wciąż funkcjonowała, było pojechać na miejsce i przekonać się osobiście.

Tesla nie miała ochoty na przelot samolotem. Zawsze mierzyła ją myśl, że miałyby powierzyć kontrolę nad swym ciałem i życiem jakiemuś indywiduum w mundurze - a co dopiero teraz, w jej obecnym stanie. Jeżeli miała się tam wybrać to na dwóch kółkach, jak za dawnych, dobrych czasów.

Poddała motor drobiazgowemu przeglądowi i szóstego października wyruszyła w podróż, która miała doprowadzić ją z powrotem do miasta, gdzie wiele lat temu Randolph Jaffe, pracownik poczty, zatrudniony w dziale listów nie doręczonych, zaczął gromadzić



pierwsze elementy klucza do zagadki, która, obecnie już rozwiązana, znajdowała się uśpiona w komórkach jej ciała.

# Rozdział II

## 1

Mimo najlepszych chęci Phoebe nie zdołała wyśnić Joego pierwszej nocy spędzonej w sypialni Maeve O'Connell. Śniła natomiast o Mortonie. O nikim innym, tylko właśnie o nim i nie był to przyjemny sen. Stała na brzegu morza, który wyglądał dokładnie tak, jak przed działaniami Króla Teksasa, gdzie wszystko było jak dawniej włącznie z ptakami, które o mały włos nie zakończyły przedwcześnie jej przygód. I oto pośród stada ptaków ujrzała swego męża, ubranego jedynie w kamizelkę i najlepsze, niedzielne skarpetki.

Na jego widok instynktownie zasłoniła piersi, postanowiwszy sobie w duchu, że nigdy już nie pozwoli mu ich dotknąć niezależnie od tego, czy chciał sprawić jej przyjemność, czy też ból.

Jak się okazało, Morton wymyślił zupełnie coś innego. Wyciągając zza pleców okazałych rozmiarów płócienną torbę powiedział:

- Pójdziemy na dno razem, Phoebe. Wiem, że tak właśnie powinno być.

- Na dno? - spytała zdeorientowana.

Wskazał ręką wodę.

- Tam - rzekł, podchodząc do Phoebe i pokazując zawartość torby.

Były w niej zebrane na brzegu kamienie; nie mówiąc więcej ani słowa, Morton zaczął je wpychać jej do ust. Gdy chciała unieść ręce, okazało się to niemożliwe, były bowiem jak przyklejone do piersi. Nie mogła uczynić nic, by stawić mu opór. Nie miała wyboru, musiała połykać wciskane jej do ust na siłę kamienie. Mimo że niektóre były wielkości pięści, przełykała je gładko jeden po drugim, dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści. Stopniowo czuła, że robi się cięższa, waga kamieni powaliła ją na kolana. Morze tymczasem wystąpiło z brzegów, najwyraźniej zamierzając ją utopić. Phoebe zaczęła stawiać opór i dławiąc się, z niemałym trudem wykrztusiła:

- Nie chciałam, żeby coś ci się stało...

- Nic cię to nie obchodziło - mruknął.

- Obchodziło - zaprotestowała. - Na początku. Kochałam cię. Myślałam, że będziemy wiecznie szczęśliwi.

- Cóż, pomyliłaś się - warknął i sięgnął do torby po kamień, który, jak wiedziała, okaże

się większy od pozostałych i po przełknięciu przewróci się i pozostanie tak, we wzbierającej bez przerwy wodzie. A Morton zostawi ją i pójdzie sobie.

- Żegnaj, Feebs - powiedział.

- Niech cię diabli! - warknęła. - Dlaczego nie potrafisz spojrzeć na sytuację z innego punktu widzenia niż twój własny?

- Bo nie mam ochoty - odrzekł.

- Ależ z ciebie dureń.

- No, nareszcie...

- Niech cię diabli, niech cię piekło pochłonie!

Kiedy to mówiła, poczuła, jak jej żołądek zaczyna się poruszać, a tkwiące w nim kamienie rozkruszają się, trąc jeden o drugi. Usłyszała, jak pękają i rozsypują się. Morton również.

- Co robisz? - zapytał, pochylając się nad nią. Z ust śmierdziało mu jak z popielniczki.

W odpowiedzi chlusnęła strugą pokruszonych kamieni, dziurawiąc go jak sito od stóp do głów. Odłamki trafiały go niczym grad kul. Morton runął na wznak do wody, upuszczając płócienną torbę. Jego rany nie krwawiły. Kamyki, którymi go poszatkowała, utkwiły po prostu w jego ciele i uczyniły je ciężkim. W przeciągu kilku sekund łakome wody zakryły Mortona i pochłonęły, pozostawiając Phoebe na brzegu samą, gdy wypluwała z ust kurz - pozostałość po startych kamieniach.

Kiedy się obudziła, poduszkę miała mokrą od śliny.

To doświadczenie umniejszyło entuzjazm Phoebe, dotyczący stwarzania rzeczy przez ich wyśnienie. A gdyby we śnie nie zabiła Mortona - zastanawiała się - czy pojawiłby się następnego dnia w progu jej domu, z płóciennym workiem w dłoni? Nie była to ani miła, ani pocieszająca myśl.

Jej podświadomość chyba zrozumiała o co w tym wszystkim chodziło. Przez pewien czas nie śniła w ogóle, a jeżeli nawet, to nic nie pamiętała.

Czas płynął i Phoebe postanowiła najlepiej, jak to możliwe, zadomowić się w dawnej rezydencji Maeve. W procesie tym pomogło jej przybycie dziwnej, miewającej tiki kobiety imieniem Jarrieffa, która przedstawiła się jako druga żona Musnakaffa. Wyjaśniła, że służyła w rezydencji - sprzątała i gotowała - i pragnęła, aby ponownie przyjęto ją do pracy, dzięki czemu mogłaby mieć dach nad głową. Phoebe przystała na to z radością, a kobieta natychmiast się wprowadziła wraz z czwórką dzieci, z których najstarszy i najzdolniejszy był Enko, mówiący o sobie z dumą, iż jest bękartem zrobionym jego matce nie przez jednego,

lecz dwóch marynarzy (obecnie już nieżyjących). Krzyki i śmiech dzieci bardzo szybko ożywiły dom, który był jednak na tyle duży, że Phoebe zawsze mogła znaleźć w nim cichy kącik, by usiąść i pomedytować w samotności. Obecność Jarrieffy i jej dzieci nie tylko uwolniła ją od bólu spowodowanego rozłąką z Joem, ale pomogła również w określeniu upływu czasu. Aż do ich przybycia Phoebe kierowała się zwykle kapryсами i potrzebą chwili. Spała, gdy miała na to ochotę, podobnie było z jedzeniem. Obecnie dni nabrały zgoła innego kształtu. Mimo że niebiosa wciąż wzbraniały się przed przyjęciem choćby pozorów regularności w kwestii rozgraniczenia nocy i dnia - zmrok zapadał niespodziewanie i również bez ostrzeżenia robiło się jasno, Phoebe bardzo szybko nauczyła się ignorować owe zjawiska. Ponadto zaprowadzony w domu ład odbijał się szerokim echem wśród uliczek, które codziennie przemierzała. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, trwały prace naprawcze. Odbudowywano domy, odgruzowano port. Okręty poreperowano i ponownie spuszczone na wodę. Nie ulegało wątpliwości, że tutejsi nie posiadali zdolności Maeve do stwarzania rzeczy w snach, w przeciwnym razie nie musieliby tak się trudzić, ale mimo żmudnej pracy, wydawali się szczęśliwi. Kilku sąsiadów wkrótce zaczęło ją rozpoznawać i witało ją chłodnymi spojrzeniami lub lekkimi kiwnięciami głowy. Nie próbowali jednak wdawać się z nią w rozmowę, a wszelkie wysiłki w celu nawiązania konwersacji żałośnie spełzały na niczym.

Doszła do wniosku, że głównym jej problemem może stać się izolacja, jeżeli nie znajdzie jakiegoś sposobu na przyłączenie się do tutejszej wspólnoty, zaczęła nawet obmyślać możliwości wkupienia się w jej szeregi. Może powinna wydać przyjęcie na ulicy przed domem? Albo zaprosić do swego domu kilkoro wybranych gości, którym mogłaby opowiedzieć swoją historię?

Zastanawiając się nad możliwościami wyboru, dokonała odkrycia, które okazało się przełomowe. W jednej z szaf odnalazła ukryte tam książki i gazety. Kiedy zaczęła je przeglądać, stwierdziła, że żaden z owych tytułów nie mógł zostać wyśniony przez Maeve. Najprawdopodobniej przeszmuglowali je do Metakosmosu (lub przenieśli nieświadomie) inni śmiałkowie z krwi i kości, którzy dostali się tu w ten sam sposób co ona. Jakże inaczej można by wytłumaczyć obecność podręcznika wyższej matematyki, traktatu o historii wielorybnictwa i zwilgotniałego egzemplarza *Dekameron* Boccaccia? Największe wrażenie wywarła na niej ta ostatnia książka - nie z uwagi na tekst, który był dość oschły - lecz na czarno-białe, zdobiące go akwaforty. Dwóch spośród artystów - rysunki wykonane były przez trzech różnych autorów - przedstawiało wybrane epizody z dzieła, trzeci natomiast interesował się wyłącznie seksem. Nie wyróżniał się szczególnie zręcznym stylem, lecz braki

nadrabiał bezczelną dość śmiałością. Ludzie na jego ilustracjach tarzali się w spazmach seksualnych uniesień i żaden z nich nie wydawał się ani trochę zawstydzony. Mnisi prezentowali potężne członki w stanie wzwodu, wieśniaczki leżały na sianie z rozrzuconymi szeroko nogami, pary kochały się w błocie - ot, błoga, rozkoszna chwila absolutnego zapomnienia.

Wyobraźnię Phoebe poruszyła szczególnie jedna ilustracja. Przedstawiała klęczącą na polu kobietę z zadartą do góry suknią, dzięki czemu kochanek mógł brać ją od tyłu. Kiedy przyglądała się tej scenie, poczuła przeszywającą ją falę rozkoszy, jej ciało zaczęło przypominać sobie to, co umysł tak usilnie próbował zapomnieć - dłonie Joego, jego usta, jego dotyk! Poczuła jego ręce na swym brzuchu i piersiach. Poczuła jego biodra dotykające jej pośladków.

- O Boże... - westchnęła w końcu i wrzuciwszy książkę do szafy, czym prędzej zatrzasnęła drzwi.

Na tym jednak historia się nie zakończyła. Absolutnie. Kiedy kilka godzin później Phoebe ułożyła się na spoczynek, wciąż miała w pamięci ową ilustrację oraz własną reakcję na rysunek. Wiedziała, że nie zaśnie bez choćby odrobiny rozkoszy, toteż leżąc na miękkim łóżku, które stało, jak poprzednio, pod oknem, wpatrywała się w falujące niebo i pieściła się, dopóki nie zmorzył jej sen.

Śniła. O mężczyźnie. I tym razem nie o Mortonie.

Joe nie odnalazł już strażników ognia, którzy wierzyli, że był manifestacją 'shu ani też podczas długich wędrówek po mieście nie spotkał nikogo, kto mógłby go zobaczyć. Czyżby ta widmowa obecność, którą posiadał, strzępek jego istoty, który ujrzeli czuwający przy ogniu, rozplynęła się w nicość? Obawiał się, że tak. Wątpił, czy gdyby ujrzeli go ponownie, powitaliby go z równym uwielbieniem.

Kilkakrotnie miał nawet ochotę opuścić Liverpool - ani obrazy, ani dźwięki towarzyszące odbudowie miasta nie przyniosły pocieszenia, przypominały mu jedynie o tym, jak bardzo oddalił się od życia - niemniej coś powstrzymywało go przed wykonaniem tego zamiaru. Usiłował nadać swemu wahaniu jakiś racjonalny sens (potrzebował czasu, by dojść do siebie, opracować sensowny plan i zrozumieć stan, w jakim się znalazł), ale żadne z owych wyjaśnień nie było w pełni prawdziwe. Coś trzymało go w tym mieście, niczym niewidzialna smycz zadzierzgnięta wokół jego niewidzialnej szyi.

I nagle, pewnego pochmurnego dnia, gdy obserwował okręty w porcie, coś go pociągnęło.

Początkowo nie chciał posłuchać tego wezwania, twierdząc, iż jest jedynie jego wymysłem, pobożnym życzeniem, Ale owo wrażenie powróciło, raz, drugi, trzeci - aż w końcu pozwolił sobie na odrobinę podniecenia i ekscytacji. Po raz pierwszy od spotkania ze strażnikami ognia poczuł jakąkolwiek więź z otaczającym go światem.

Nie próbował opierać się wezwaniu. Opuściwszy port, podążył za pozbawionym słów wołaniem.

Phoebe śniła, że znów znalazła się w gabinecie doktora Powella, a Joe malował sufit w korytarzu, gdzie ujrzała go po raz pierwszy. Lało jak z cebra. Słyszała, jak krople deszczu tłuką o szyby pustej poczekalni i bębnią o dach.

- Joe? - powiedziała.

Jej późniejszy kochanek stał półnagi na drabinie, jego potężną pierś upstrzyły kropelki zielonej farby. Wyglądał tak pięknie, z krótko przyciętymi, kędzierzawymi włosami, cudowną twarzą, odstającymi uszami i tą kępką włosów na wysokości nerek, znikającą za paskiem spodni w szczelinie między pośladkami.

- Joe? - powtórzyła, mając nadzieję, że na nią spojrzy. - Chciałabym coś ci pokazać.

Mówiąc to podeszła do niskiego biurka ustawionego pośrodku poczekalni i zwaliwszy na podłogę wszystkie leżące tam, mocno sfatygowane czasopisma, położyła się na nim, zwrócona twarzą do Joego. Z jakiegoś powodu sufit zaczął przeciekać i poczuła na swoim ciele zimne, ciężkie krople deszczu. Woda nie tylko zmoczyła ubranie Phoebe, ale zaczęła je zmywać, jakby bluzka i sukienka były namalowane na jej ciele. Kolory spływały z niej, tworząc kałuże wokół nóg biurka, aż stała się naga, dokładnie tak jak tego pragnęła.

- Możesz już się odwrócić - powiedziała do Joego, wkładając dłoń pomiędzy uda. Zawsze lubił patrzeć, jak zabawiała się ze sobą.

- No dalej - ponaglała go. - Odwróć się i spójrz na mnie.

Mijał już wcześniej ten dom na wzgórzu i zastanawiał się, kto w nim mieszkał. Wkrótce się dowie.

Podszedł do schodów, otworzył drzwi i wszedł do środka. U szczytu schodów ktoś coś szeptał; Joe nie wychwycił słów. Nasłuchiwał przez chwilę. Szeptała kobieta - tyle zdołał ustalić, ale ponieważ wciąż nie rozumiał słów, zaczął wchodzić po schodach na górę.

- Joe?

Usłyszał ją, nie miała wątpliwości. Odłożył pędzel i wolno wycierał ręce, odwlekając

ten moment, wiedział bowiem, że dzięki temu chwila, kiedy ich spojrzenia się spotkają, będzie jeszcze wspanialsza.

- Długo na to czekałam... - oświadczyła.

Nie ośmielił się uwierzyć w to, co usłyszał. Nie chodziło o same słowa, mimo iż były doprawdy przejmujące - chodziło o głos, który je wypowiadał.

Phoebe t u t a j? Jak to możliwe? Przecież była w Everville, w świecie, który Joe opuścił i utracił na zawsze. Nie tutaj, nie w tym cuchnącym stęchlizną domu, i do tego wzywająca go po imieniu. Nie mógł ludzi się nadzieją, że coś takiego się ziści.

- Och, Joe... - wzdychała kobieta i, Boże Wszechmogący, ten głos... był tak podobny... tak bardzo podobny...

Podszedł do drzwi wiedząc, że osoba, której szept słyszał, znajdowała się za nimi i nagle ogarnął go lęk. Bał się wejść, obawiał się, że zobaczy tam jakąś zupełnie nieznaną kobietę. Przystanął na chwilę, przygotowując się na nieuchronne, bolesne rozczarowanie, po czym wśliznął się do środka. Pokój był olbrzymi, panował w nim bałagan. Wzrok Joego podążył natychmiast w stronę łóżka na drugim końcu pomieszczenia. Spoczywało na nim mnóstwo poduszek i strzępów podartego papieru, ale nie zauważył tajemniczej kobiety.

I nagle z płataniny prześcieradeł na podłodze dobiegł głos, jej głos, przepelniony ciepłem i radością ze spotkania.

- Joe - powiedziała - tak mi cię brakowało.

Spojrzał na nią. W końcu na nią patrzył. Uśmiechnęła się, a on odpowiedział uśmiechem, zszedł z drabiny i podszedł do biurka, na którym leżała, pokryta od stóp do głowy kroplami deszczu.

- Cała jestem twoja - powiedziała.

To była ona. Boże w Niebiesiech, to była ona! Nieważne skąd się tu wzięła. Ani dlaczego. Liczyło się tylko to, że znajdowała się tu, jego Phoebe, jego cudowna Phoebe, którą tak opłakiwał, i obawiał się, że już nigdy jej nie ujrzy.

Czy wiedziała, że był tuż obok?

Powieki miała zamknięte, gałki oczne poruszały się pod nimi, ale nie wątpił, że śniła o nim. Skóra jej twarzy i nóg lśniła od potu. Tak bardzo pragnął odkryć to, co znajdowało się pomiędzy nimi, ucałować to miejsce i spenetrować penisem, kochać się z nią, jak w owe popołudnia w Everville, gdy ciała obojga łączyły się tak, jakby nigdy nic nie miało ich rozdzielić.

- Podejdź bliżej - powiedziała przez sen.

Zrobił to. Stał u nóg łóżka i spojrzał na nią. Jeżeli miłość miała swoją wagę, to Phoebe teraz ją czuła. Jeżeli miała zapach, musiała go czuć, podobnie jeżeli miłość mogła rzucać cień. Nie obchodziło go, jak odczuła jego obecność, grunt, że się tak stało. Jakimś sposobem zrozumiała, że wyśniewszy go, po otwarciu oczu ujrzy jego ducha stojącego tuż obok, przygotowanego na chwilę jej przebudzenia, która uczyni go realnym.

Stał teraz między jej nogami, zabrudzony farbą. Miał ją na włosach, na twarzy, na ramionach i na piersi. Wyciągnęła ku niemu obie ręce.

We śnie i poza nim uniosła ręce...

Poczuł jej dotknięcie. Mimo że nie miał ciała, poczuł dotknięcie w miejscu, gdzie znajdował się jego brzuch.

- Spójrz, jak ty wyglądasz - powiedziała Phoebe, przesuując palcami od jego brzucha w górę, do mocno rozbudowanej klatki piersiowej i muskając jego niewidzialną postać to kciukiem, to pozostałymi palcami. A w miejscach, gdzie go dotykała, jak się po chwili przekonał, powietrze zaczynało burzyć się i zasupywać, jakby - czy ośmieli się ludzi nadzieją? - śniąc o nim, Phoebe przywracała go do życia.

Farba schodziła, kawałek po kawałku. Phoebe zdrapała płatek z policzka Joego, z nosa, lewego ucha i z twarzy, wokół oczu. Potem, mimo iż pozostało jeszcze do zdrapania całe mnóstwo farby, kilkoma szybkimi ruchami rozpięła mu pasek. Uśmiechnął się porozumiewawczo i pozwolił, by rozpięła guzik i suwak w spodniach, które, mimo iż luźne, nie ukrywały erekcji. Wydawało się, że jej palec posiadał zdolności deszczu, ponieważ materiał wokół jego krocza rozplątał się, podobnie jak jej sukienka i bluzka, pozostawiając go zupełnie nagim. Położył obie dłonie na czubku głowy i z uśmiechem wysunął biodra do przodu, podczas gdy ona wodziła palcami po jego jądrach i członku.

Nie sposób było opisać tej rozkoszy słowami, podobnie jak widoku jego pojawiającego się z powrotem ciała w miejscach, które pieściła. Jądra zostały odtworzone w idealnym stanie, członek wyglądał tak, jak go pamiętał Joe, a może nawet lepiej. I nagle - niech to szlag! - z któregoś z pokoiów na dole dobiegły okrzyki dzieci. Dłoń Phoebe znieruchomiała, jakby ów hałas wdarł się do jej snu.

Dzieci? Co w gabinecie lekarskim robiły, dzieci? O Boże, a przecież Joe był tu, całkiem



nagi! Zamarła w nadziei, że sobie pójdą i na kilka chwil wrzaski ucichły. Czekala, wstrzymując oddech. Pięć sekund, dziesięć. Czy sobie poszły? Chyba tak. Uniosła ręce w stronę Joego, aby przyciągnąć go do siebie i w siebie, ale gdy to uczyniła...

Zaczęły krzyczeć znowu, biegając z tupotem po schodach. Bawiły się w jakąś dziecięcą grę. Z przyjemnością udusiłaby w tej chwili oba bachory i żaden kochanek nie mógłby jej za to potępić. Ale najgorsze, co mogło się stać, już się stało. Dłoń Phoebe opadła z powrotem na jej pierś. Śpiąca wydała cichy, pełen irytacji jęk.

A potem jej powieki zatrzepotały i uniosły się z wolna...

Ach, cóż za sen; i jakie okrutne przebudzenie. Będzie musiała powiedzieć Jarrieffie, żeby na przyszłość dzieci...

Coś poruszyło się przed nią, jakiś kształt na tle okna. Przez jedno uderzenie serca sądziła, że to coś było na zewnątrz, jakiś niesiony wiatrem strzęp czy stara szmata, ale nie. To było razem z nią, w sypialni; coś postrzępionego i niewyraźnego wycofywało się między cienie.

Krzyknęłyby, ale najwyraźniej owo coś było bardziej przerażone niż ona. Nic dziwnego. To coś było postrzępione, wilgotne, surowe i gdy tak miotano się w osobliwych drgawkach, nie mogło jej zrobić krzywdy...

- Czymkolwiek jesteś, do kurwy nędzy - warknęła - spieprzaj stąd, ale już!

Wydawało się jej, że to próbowało coś powiedzieć, ale dzieciaki, które dotarły prawie do drzwi sypialni, robiły taki hałas, że nie mogła być pewna.

- Nie wchodźcie tu! - zawołała, ale albo ją zignorowały, albo nie usłyszały zakazu, gdyż w tej samej chwili drzwi otwarły się na oścież i do pokoju wpadła młodsza dwójka dzieci Jarrieffy, tłukąc się aż miło.

- Wynocha! - zawołała Phoebe ponownie w obawie, że jeśli nawet intruz nie może zrobić nikomu nic złego, to jest w stanie przynajmniej napędzić im niezłego stracha. Dzieci uspokoiły się, a młodsze z nich ujrawszy sylwetkę czającą się wśród cieni, wybuchnęło płaczem.

- Już dobrze - powiedziała Phoebe i wstała, aby wyprowadzić maluchy z pokoju.

W tej samej chwili istota wyłoniła się z szarości i podążyła ku otwartym drzwiom, przystając na moment, aby raz jeszcze spojrzeć na Phoebe. Ujrzała, że to miało oczy, ludzkie oczy ze smugami ciemnego ciała sięgającego aż do ucha, i fragmentem policzka, a powietrze w obrębie jego konturów wirowało i pulsowało wraz ze znajdującymi się w nim fragmentami

tkanek, jakby owa istota była w trakcie jakiegoś osobliwego procesu tworzenia siebie.

I nagle ów cień zniknął, wymykając się obok przerażonych dzieci na korytarz.

Phoebe usłyszała, że Jarrieffa wchodzi po schodach, dopytując się o przyczynę nagłych hałasów. Zanim sama zdążyła wyjść na podest, tamta, szlochając z przerażenia, kurczowo przywarła do barierki, nie odrywając wzroku od śmigającej zwałowo po schodach na dół ciemnej istoty. Nagle, zebrawszy w sobie odwagę podjęła marsz na piętro, nawołując dzieci.

- Nic im nie jest - zapewniła ją Phoebe. - Przestraszyły się i to wszystko.

Podczas gdy Jarrieffa mocno przytuliła do siebie oba maluchy, Phoebe stanęła u szczytu schodów, wypatrując intruza. Frontowe drzwi były otwarte na oścież. Nieproszony gość zniknął.

- Pójdę po Enka - rzekła Jarrieffa.

- W porządku - mruknęła Phoebe. - On nie chciał... Nie dokończyła, gdy zatrzymawszy się w połowie drogi do drzwi, w połowie schodów, uświadomiła sobie, czyje spojrzenie napotkała podczas tego ułamka chwili, zanim ciemna istota rzuciła się do ucieczki.

- O Boże! - szepnęła.

- Enko zastrzeli to coś - mówiła Jarrieffa.

- Nie! - wykrzyknęła Phoebe. - Nie...

Wiedziała już, co uczyniła - na wpół go wyśniła, a potem przegnała precz, niekompletnego. To było straszne.

Z trudem chwytając powietrze, zbiegła po schodach i dopadła frontowych drzwi. Niebo było zachmurzone, światło słabe, ale bez trudu stwierdziła, że na ulicy nie było żywego ducha.

Joe zniknął.

## 2

Pomimo że ciało Grilla zostało zidentyfikowane, wyglądało na to, iż zdołał umiejętnie zatrzeć za sobą wszelkie ślady, które mogły w przypadku jego śmierci doprowadzić władze do Ruffy. Tesla, dotarwszy do domu w Omaha, stwierdziła, iż nikt go ostatnio nie odwiedzał. Wszystkie sprzęty pokrywała warstwa kurzu, pleśń zalęgła się w lodówce na wszystkim, co mogło być kiedyś jadalne, przy drzwiach frontowych zebrała się mała kupka listów, a podwórko za domem zarosło tak, że nie było widać ogrodzenia.

Mimo to Ruffa działała nadal i pracowała bez zarzutu. Tesla posiedziała przez kilka minut w dusznym, pozbawionym okien gabinecie Grillo, zdumiona jak ogromną ilość sprzętu

można było tu zgromadzić - sześć monitorów, dwie drukarki, cztery faksy, a na trzech ścianach od góry do dołu półki ugięły się pod ciężarem taśm, kaset i pudeł z najróżniejszymi notatkami. Na znajdujących się przed nią ekranach bez przerwy pojawiały się kolejne doniesienia, co zapewne trwało od czasu gdy Grillo opuścił ten gabinet. Opanowanie systemu i dostępu do informacji nie będzie prostą sprawą. Zostanie tu uziemiona na dobrych parę dni.

Wybrała się do pobliskiego sklepu - kupiła kawę, mleko, bagietki, brzoskwinie i (choć od czasu swego wskrzeszenia nie tknęła alkoholu) butelkę wódki, po czym wykonała w mieszkaniu kilka ważnych prac (było tu zimno jak w psiarni, toteż natychmiast włączyła ogrzewanie; musiała również wyrzucić zepsutą żywność z lodówki, bo zaczynało już śmierdzieć) i dopiero wtedy mogła zająć się na serio poznawaniem sekretów wielkiego dzieła Grilla.

Tesla nigdy nie miała talentu do maszyn. Prawie dwa dni zajęło jej nauczenie się obsługi poszczególnych urządzeń, musiała robić to wolno, by przez przypadek nie wykasować jakichś cennych danych zarejestrowanych w plikach. Pomogły jej w tym notatki Grilla przypięte pineskami oraz przyklejone taśmą bądź klejem do poszczególnych urządzeń i półek. Bez nich na pewno nie dałyby sobie rady.

Gdy opanowała już podstawowe zasady obsługi i działania systemu, zaczęła przeglądać poszczególne pliki. Było ich tysiące. Nazwy mówiły same za siebie: Latające spodki z Syriusza; Anielskie wizje, Pożarcy przez zwierzęta - ale Grillo użył większości tych określeń dla własnej rozrywki, i musiała wywoływać każdy tytuł, jeden po drugim, aby dowiedzieć się co zawierały. Niektóre oznaczenia miały w sobie pewną poezję i zawierały typowe dla zmarłego gierki słowne oraz niejasności. Żarłoczna pieśń; Zoo-filia, Diabelska Wenus. Ani tu, ani tam, lista zdawała się nie mieć końca.

Wkrótce stało się jasne, że chociaż Grillo starannie kolekcjonował i sortował te doniesienia, w żaden sposób nie próbował ich uporządkować. W plikach nie było rozróżnienia pomiędzy niewielką osobliwością a jakimś straszliwym wydarzeniem na ogromną skalę, były tu zarówno doniesienia sprawdzone i potwierdzone, jak plotki i typowe kaczki dziennikarskie. Niczym kochający rodzic, który nie chce faworyzować jednego ze swych dzieci na niekorzyść drugiego, Grillo pieczołowicie notował każdą nadesłaną doń informację.

Coraz bardziej zniecierpliwiona Tesla przeglądała kolejne strony, w nadziei, że zdoła mimo wszystko odnaleźć klucz do tajemnicy tkwiącej w jej komórkach. A gdy się tak trudziła, ze wszystkich stron nadchodziły kolejne raporty.

Jakaś kobieta z Kentucky donosiła, że dwukrotnie została zgwałcona przez „Wyższe

Istoty” - nie precyzując, czym one były, dodając że gwałciciele przesuwali się obecnie na południowy wschód, ku granicy stanu i jutro o zmierzchu będzie można ich ujrzeć jako żółtą chmurę przypominającą „dwa anioły związane plecami do siebie”.

Z Nowego Orleanu niejaki doktor Tournier pragnął podzielić się swoim odkryciem, że choroba została wywołana niemożnością mówienia „prawdziwym językiem” i że uleczył ponad sześciuset pacjentów, których stan uważał za krytyczny, nauczając ich podstaw języka nazwanego przezeń Nazque.

Z Filadelfii nadszedł fragment maniakalnego tekstu kogoś (był to bez wątpienia mężczyzna) używającego imienia Cockatrice, ostrzegającego świat, że od następnej środy osiągnie apogeum swej mocy i tylko niewidomi będą w stanie znieść blask jego chwały...

Pozostała więźniem Rify przez kolejne trzy dni. Jak ateista zamknięty w bibliotece Watykanu, pełen pogardy i wręcz odrazy powracała z mroczną fascynacją do półek uginających się od książek, by odnajdywać w nich kolejne bulwersujące dogmaty. Nawet w przyływie najgłębszej frustracji nie była w stanie wyzbyć się przeczucia, że gdzieś tam, wśród tych jawnych oznak szaleństwa, znajdowały się prawdziwe perły - wiedza na temat Sztuki i wiadomości dotyczące Iadów. Gdyby tylko zdołała je odnaleźć! Coraz częściej dochodziła jednak do wniosku, że zwyczajnie mogła je przeoczyć, z uwagi na zbyt dużą niejasność lub wręcz zakodowaną formę doniesienia.

Wreszcie, po południu piątego dnia powiedziała sobie: Jeśli posiedzisz tu dłużej, dostaniesz kota jak ci, co pisali wszystkie te bzdury. Wyłącz to, kobieto. Po prostu wyłącz to cholerstwo.

Powróciła do listy plików i już miała wyłączyć urządzenie, gdy jedna z nazw niespodziewanie przykuła jej wzrok.

Plik nazywał się „Przejażdżka skończona”.

Może wcześniej przeoczyła te dwa słowa, ale poruszyły w niej czułą strunę. „Przejażdżka skończona” - taki tytuł chciał nadać Grillo swemu ostatniemu raportowi z Palomo Grove; później powiedział jej, że gdyby tylko chciała, mogłaby wykorzystać ten tekst do scenariusza filmu, o ile rzecz jasna film byłby dostatecznie tani i komercyjny. Prawdopodobnie był to tylko zbieg okoliczności, ale wywołała plik postanawiając, że będzie to ostatni zapis Rify, który przejrzy.

Gdy na ekranie pojawiły się pierwsze słowa, serce Tesli o mało nie wyskoczyło z piersi.

*Tesla - pisał Grillo. - Mam nadzieję, że to ty tam siedzisz. Jednak w gruncie rzeczy nie*

*ma to większego znaczenia, bo jeżeli czytasz ten tekst (kimkolwiek jesteś), znaczy to, że ja już nie żyję.*

Była to ostatnia rzecz, jaką spodziewała się odnaleźć, ale teraz, gdy zobaczyła ową wiadomość, w gruncie rzeczy wcale się nie zdziwiła. Wiedziała, że umierał i choć zawsze nienawidził pożegnań, nawet tych codziennych, był dziennikarzem z krwi i kości. I oto miała przed sobą jego ostatni artykuł, przeznaczony dla jednego jedyne czytelnika.

*Jest teraz koniec czerwca - napisał - przez ostatnie tygodnie czułem się fatalnie. Doktor mówi, że mój stan pogarsza się szybciej niż to bywało wu innych przypadkach. Chce przeprowadzić serię testów, ale powiedziałem, że wolę przeznaczyć ten czas na pracę. Zapytał, nad czym pracuję, a ja naturalnie nie mogłem powiedzieć mu o Rafie, toteż skłamałem, że piszę książkę.*

*(To dziwne. Gdy to piszę, wyobrażam sobie ciebie, Tes, siedzącą tam i czytającą te słowa, słyszącą mój głos twojej głowie.)*

Słyszała go. Głośno i wyraźnie.

*Próbowałem pisać. Zaczęłem, gdy dowiedziałem się, że kiepsko ze mną. Nie jestem pewien, czy to faktycznie miała być książka, ale spróbowałem i zebrałem kilka wspomnień, aby sprawdzić, jak będą wyglądać na kartce papieru. I wiesz co? Wszystkie co do jednego okazały się banalne. Ot, schematy i nic więcej. To, co zapamiętałem, było dość realne - zapach cygar mojego taty, letnie miesiące w Chapel Hill w Karolinie Północnej, kilka świąt spędzonych w Maine z moją babcią. Nie było w tym jednak niczego, co nie pojawiłoby się w milionach autobiografii. Nie umniejszało to moich wspomnień, ale czyniło zamiar spisania ich zbytecznym. Pomyślałem sobie więc: dobra, może opiszę to, co wydarzyło się w Grove, spiszę to wszystko - nie tylko to, co stało się na Coney Eye, ale wspomnę również o Ellen (sporo o niej ostatnio myślę) o jej synu Philipie (nie pamiętam, czy go poznałaś czy nie) i o Fletcherze w pasażu handlowym. Plan ten spalił jednak bardzo szybko na panewce. Byłem zajęty pisaniem, a tymczasem z jakiejś pipidowy w Ohio nadchodziły doniesienia o aniołach, UFO albo skunksie mówiącym różnymi językami. I kiedy powróciłem do swego raportu, słowa były już zimne jak martwe od wielu dni ciało. Były puste i sine, pozbawione choć odrobiny smaku.*

*Wkurzałem się na siebie. Oto ja, wyrobnik pióra, piszący o czymś, co wydarzyło się w*

*realnym świecie, nie potrafiłem natchnąć ich melodią, nie umiałem dokonać tego, co udawało się szaleńcom wysyłającym do mnie najdziwniejsze wytwory swych chorych umysłów.*

*I nagle zacząłem pojmować, dlaczego...*

Tesla wychyliła się do przodu, jakby dyskutowała z Grillem przy kieliszku i jej rozmówca dochodził właśnie do sedna swego wyводу.

- Powiedz mi, Grillo - szepnęła do ekranu - powiedz mi, dlaczego.

*Nie dawałem ujścia prawdzie. Chciałem opisywać wydarzenia tak, jak miały one miejsce (nie, nie, wróć - raczej jak je zapamiętałem), toteż pragnąc być precyzyjny, zabiłem to, do czego właściwie dążyłem. Powinienem był pozwolić, aby rzeczy odnalazły własną melodię, powinienem był puścić to na żywioł. Powinienem był pozwolić, aby wszystko, co zapisuję, było nawet chaotyczne i sprzeczne, jak to zwykle z opowieści.*

*Co naprawdę wydarzyło się w Palomo Grove, nie ma już większego znaczenia. Liczą się historie, które opowiadają na ten temat ludzie.*

*Pisząc te słowa myślę, że to wszystko jest bez sensu, to tylko fragmenty, chaotycznie porzucane kawałki. Może ty zdołasz połączyć je dla mnie w całość, Tes, bo to jest najważniejsze, czyż nie? Łączenie wszystkiego.*

*Wiem, że gdybym mógł sprawić, że skóra mojej matki, święta w Maine, Ellen, Fletcher, mówiące skunksy - każda pieprzona rzecz, którą widziałem bądź odczułem - stanie się częścią tej samej historii, a potem, gdybym nazwał ową opowieść mną, zamiast stale szukać czegoś oddzielającego mnie od tego, co widziałem bądź czułem, byłoby mi wszystko jedno, że już wkrótce umrę, bo stałbym się częścią tego co się dzieje i co będzie trwać - łącznikiem i złączem. Tak jak to widzę teraz, historii jest obojętne, czy jesteś prawdziwy czy nie, czy żyjesz czy nie. Historia chce jedynie być opowiadana. I chyba koniec końców ja także tego pragnę.*

*Zrobisz to dla mnie, Tes?*

*Uczynisz mnie częścią tego, co opowiadasz? Na zawsze?*

Otarła łzy z oczu, uśmiechając się do ekranu, jakby dostrzegła tam Grilla, rozpartego w swoim fotelu, popijającego wódkę w oczekiwaniu na jej odpowiedź.

- Masz to u mnie jak w banku - powiedziała, sięgając po szklaneczkę. - No to... - co będzie dalej? - dokończyła stare jak świat pytanie.

Nastąpiła chwila niepewności, gdy szklaneczka zadrżała w dłoni Tesli. Ale zaraz potem zrozumiała. I знаła już odpowiedź.

# Rozdział III

## 1

Wrzesień był dla Harry'ego miesiącem dochodzenia do siebie. Doprowadził do realizacji zamiar wysprzątania swego małego biura przy Czterdziestej Piątej i spotkał się z przyjaciółmi, których nie widział całe lato. Próbował nawet odnowić kilka bardziej zażyłych znajomości. W tym ostatnim przypadku poniósł sromotną klęskę. Tylko jedna z kobiet, którym pozostawił wiadomości, odpowiedziała na jego telefon, a i to wyłącznie aby mu przypomnieć, że pożyczył od niej pięćdziesiąt dolców.

Toteż z prawdziwą przyjemnością zobaczył pod drzwiami swego mieszkania pewnego październikowego wieczoru, we wtorek, zbuntowaną z wyglądu nastolatkę. Miała w lewym skrzydełku nosa kolczyk, ubrana była w czarną sukienkę, zbyt krótką, aby się nie przeziębici - i trzymała pod pachą paczkę.

- Ty jesteś Harry? - zapytała.

- Taa.

- Jestem Sabina. Mam coś dla ciebie.

Paczka miała cylindryczny kształt, ponad metr długości i owinięta była w brązowy papier.

- Weźmiesz ją ode mnie? - zapytała Sabina.

- Co to jest?

- Zaraz upuszczę... - powiedziała i zrobiła to. Harry złapał paczkę, zanim spadła na podłogę. - To prezent.

- Od kogo?

- Dostanę colę czy coś takiego? - Sabina zajrzała do wnętrza mieszkania.

- Jasne - bąknął D'Amour, a dziewczyna bezceremonialnie minęła go i weszła do środka. Braki w dobrym wychowaniu nadrabiała krągłościami, skonstatował wodząc za nią wzrokiem. - Kuchnia jest po prawej - powiedział, ale Sabina udała się wprost do pokoju.

- Masz coś mocniejszego? - rzuciła.

- W lodówce powinno być piwo - odrzekł zatraskując stopą frontowe drzwi i wchodząc za dziewczyną do pokoju.

- Po piwie mam gazy - mruknęła.

Harry upuścił paczkę na podłogę.

- Chyba mam jeszcze rum.

- Może być - odrzekła, jakby to Harry zaproponował jej poczęstunek, którym w gruncie rzeczy wcale nie była zainteresowana.

Wszedł do kuchni po butelkę i zaczął szukać w kredensie nie obtłuczonej szklaneczki.

- Nie jesteś taki dziwny, jak sądziłam, że będziesz - powiedziała tymczasem Sabina. - To mieszkanie nie ma w sobie nic szczególnego.

- A czego się spodziewałaś?

- No wiesz, czegoś bardziej szalonego. Słyszałam, że babrzesz się w różnych, dość chorych sprawach.

- Kto ci to powiedział?

- Ted.

- Znałaś Teda?

- Więcej niż tylko znałam - oświadczyła, stając w drzwiach kuchni. Usiłowała wyglądać ponętnie, ale jej twarz mimo różu, cieni i krwistoczerwonej szminki była zbyt okrągła i dziewczęca, aby sztuczka mogła się udać.

- Kiedy to było? - zapytał detektyw.

- Och... trzy lata temu. Miałam czternaście lat, kiedy go poznałam.

- To do Teda podobne.

- Nigdy nie robiliśmy niczego, czego bym nie chciała - powiedziała, biorąc od Harry'ego szklaneczkę z rumem. - Zawsze był dla mnie miły, nawet gdy miewał trudne chwile.

- Bo to był dobry facet - odrzekł Harry.

- Powinniśmy za niego wypić - zauważyła Sabina.

- Jasne. - Stuknęli się szklaneczkami. - Za Teda.

- Gdziekolwiek jest - dorzuciła Sabina. - Czy zechcesz teraz otworzyć prezent?

Był to obraz. Arcydzieło Teda, „D'Amour na Wyckoff Street” - wyjęte z ram, pozbawione usztywnienia i przewiązane dość haniebnie postrzępionym sznurkiem.

- Chciał, abys ty go dostał - wyjaśniła Sabina, kiedy Harry odsunął sofę, aby rozłożyć obraz na podłodze. Płótno wywarło na nim równie silne wrażenie jak poprzednio. Niepokojący podkład ulicy, dobór barw, z których wyłaniała się jego twarz, i rzecz jasna, ów szczegół, na który Ted z taką dumą zwrócił Harry'emu uwagę w galerii - stopa, but, wąż wijący się pod obcasem zgniatającym go na proch.



- Podejrzewam, że gdyby ktoś zaoferował mu za ten obraz dziesięć patyków, zaproponowałby ci coś innego - mówiła Sabina - ale nikt go nie kupił, więc pomyślałam sobie, że wpadnę i przyniosę ci go.

- W Galerii nie mieli nic przeciw temu?

- Nie wiedzą, że go zabrałam - odparła Sabina. - Wstawili go do magazynu wraz z innymi płótnami, których nie sprzedali. Podejrzewam, że spodziewali się, iż prędzej czy później znajdzie się nabywca, ale ludzie nie chcą wieszać na ścianach obrazów Teda. Chcą kiczu. - Podeszła do Harry'ego. Poczł jej miodowy zapach. - Jeśli chcesz - zaproponowała - mogę zrobić do niego nowe usztywnienie. Mógłbyś powiesić go nad łóżkiem - uśmiechnęła się łobuzersko - czy gdzie indziej.

D'Amour nie chciał urazić dziewczyny. Niewątpliwie wypełniła życzenie Teda, przynosząc tu ten obraz, niemniej perspektywa budzenia się co dzień z widokiem Wyckoff Street nie wydawała mu się nazbyt kusząca.

- Widzę, że chcesz się nad tym zastanowić - rzekła Sabina i zbliżywszy się pocałowała Harry'ego tuż obok ust.

- Wpadnę w przyszłym tygodniu, dobrze? - zapytała. - Wtedy mi odpowiesz. - Dopła rum i oddała Harry'emu pustą szklaneczkę. - Naprawdę miło było cię poznać - powiedziała nagle słodkim, acz dziwnie oficjalnym tonem. Zaczęła wolno wycofywać się ku drzwiom, jakby oczekiwała, że D'Amour zaproponuje jej, by została.

Kusiło go, by to uczynić. Zdawał sobie jednak sprawę, że gdyby wykorzystał sytuację, następnego ranka nie miałby o sobie zbyt dobrego zdania. Na Boga, ona miała siedemnaście lat. Naturalnie w kategoriach Teda zaliczała się już do emerytek. Była wszakże w Harrym jakaś cząstka, która pragnęła, aby siedemnastolatki wciąż snuły marzenia o romantycznej, pięknej miłości, a nie oszołomione rumem szły do łóżka z dwakroć od nich starszymi facetami.

Najwyraźniej zdała sobie sprawę, że nic z tego nie będzie, gdyż uśmiechnęła się do niego żartobliwie.

- Naprawdę nie jesteś taki, jak przypuszczałam - mruknęła, wyraźnie zawiedziona.

- Chyba Ted nie znał mnie tak dobrze, jak mu się wydawało.

- Och, dowiedziałam się o tobie nie tylko od Teda - rzuciła Sabina.

- Tak? A od kogo jeszcze?

- Od wszystkich i nikogo - odparła, leniwie wzruszając ramionami. Była już przy drzwiach. - To do następnego razu. Może - powiedziała i otworzywszy drzwi, wyszła, pozostawiając Harry'ego z tęsknym pragnieniem, aby pobyła z nim jeszcze choć przez

chwilę.

Kiedy później, o trzeciej nad ranem szedł do toalety przystanął przed obrazem i zaczął się zastanawiać czy przy Wyckoff Street stoi jeszcze dom Mimi Lomax. Pytanie to nie dawało mu spokoju gdy obudził się rano i gdy udał się do swego biura, a także później, gdy zajął się zaległą papierkową robotą. W gruncie rzeczy sama odpowiedź na to nie miała znaczenia, liczył się jej ukryty sens. I D'Amour wiedział, dlaczego wciąż go to nawiedzało. Bał się. Mimo iż widział koszmar w Palomo Grove i w Everville stanął twarzą w twarz z Iadami, upiór Wyckoff Street nigdy nie został zeń we właściwy sposób wyegzorcyzmowany. Może nadeszła pora, aby uczynić to właśnie teraz - rozprawić się raz na zawsze z ostatnim zakamarkiem jego jaźni, nękanym wizją zła pożądającego ludzkich dusz.

Zastanawiał się nad tym przez resztę dnia i dzień następny, w głębi duszy wiedząc, że prędzej czy później będzie musiał podjąć decyzję lub problem zacznie go przerastać.

Gdy w piątek rano poszedł do biura, ujrzał, że ktoś przysłał mu w liście zmumifikowaną małpią główkę, przymocowaną pieczołowicie do czegoś, co podejrzenie przypominało ludzką kość. Nie pierwszy raz otrzymywał podobne przesyłki - niektóre miały stanowić dlań ostrzeżenie, inne były talizmanami nadesłanymi przez życzliwie nastawionych ludzi, jeszcze inne trafiły po prostu pod niewłaściwy adres. Tego dnia jednak pojawienie się owego przedmiotu i jego woń zmusiły Harry'ego do podjęcia ostatecznej decyzji.

Czego się obawiasz? - zdawała się pytać mała, zasuszona czaszka. To, co żyje, umiera i gnije, ale popatrz tylko, ja się śmieję.

Detektyw schował małpi łepkę z powrotem do pudełka i już miał wrzucić je do kosza, kiedy coś w nim pękło. Jego zabobonna natura doszła do głosu. Zamiast wyrzucić przesyłkę, Harry zostawił ją na środku biurka i rzuciwszy krótkie: - Niedługo wrócę - udał się na Wyckoff Street.

## 2

Dzień był chłodny. Nie mroźny (takie nastaną w Nowym Jorku za miesiąc - do sześciu tygodni), ale na tyle chłodny, że można było już na dobre zapomnieć o wychodzeniu w samej tylko koszuli. Nie przejął się tym zbyt. Najwięcej problemów miewał zwykle w miesiącach letnich - ten rok nie stanowił wyjątku od reguły - i z niejaką ulgą przyjął nadejście jesieni. Nie martwił się tym, że wokół niego wszystko sypało się i opadało. No to co, że drzewa stawały się nagie, liście gnily, a dni były coraz krótsze? Potrzebował snu.

Stwierdził, że okolica wokół Wyckoff Street sporo się zmieniła od jego ostatniej tutaj wizyty i im bardziej zbliżał się do celu, tym większą miał nadzieję, że okaże się, iż budynek, ku któremu zmierzał został wyburzony.

Nic z tych rzeczy. Wyckoff Street wyglądała niemal dokładnie tak samo jak przed dziesięcioma laty. Domy tak jak wtedy były szare i ponure. W Oregonie mogły topić się skały, a niebo pękać jak skorupa jajka, ale tu ziemia była ziemią, niebo niebem, a to, co żyło między nimi nigdzie się raczej nie wybierało.

Harry chodnikiem zasłanym najróżniejszymi śmieciami dotarł do domu Mimi Lomax, spodziewając się, iż ujrzy go w ruinie. I tym razem się pomylił. Obecny zarządca budynku najwyraźniej troszczył się o swoją własność. Dom miał nowy dach, nowy komin, nowe podstrzesza. Drzwi, do których detektyw zapukał, zostały niedawno odmalowane.

Początkowo nikt mu nie odpowiedział, choć z wnętrza domu doszedł go niewyraźny szmer głosów. Zapukał raz jeszcze i po jakiejś minucie lub dwóch drzwi uchylły się leciutko i przez szparę wyjrzała kobieta w średnim wieku, o surowej, bladej twarzy i podkrążonych, zaczerwienionych oczach.

- Czy ty jesteś nim? - zapytała. Miała słaby, zmęczony głos. - Ty jesteś D'Amour?

- Tak, jestem D'Amour - odrzekł Harry, czując, że zaczyna ogarniać go niepokój. Z miejsca, gdzie stał, czuł odór kobiety - kwaśną woń potu i brudu.

- Skąd pani wie, kim jestem? - zapytał.

- Ona powiedziała... - odrzekła kobieta, uchylając drzwi nieco szerzej.

- Ona, to znaczy kto?

- Trzyma na górze mojego Stevie'ego. Przetrzykuje go tam już trzy dni. - Kiedy kobieta to mówiła, po jej policzkach spłynęły strużki łez. Nie próbowała ich wytrzeć. - Powiedziała, że go nie wypuści, dopóki nie przyjdiesz. - Cofnęła się od drzwi. - Musisz coś zrobić, aby go uwolniła. Mam tylko jego.

Harry wziął głęboki oddech i wszedł do domu. Przy końcu sieni stała dwudziestokilkuletnia dziewczyna. Długie, czarne włosy i wielkie oczy lśniły w półmroku.

- To Loretta. Siostra Steviego.

Dziewczyna ścisnęła w dłoniach różaniec i wpatrywała się w D'Amoura jakby był współnikiem kogoś, kto znajdował się na górze.

Starsza kobieta zamknęła drzwi i podeszła do Harry'ego.

- Skąd to wiedziało, że przyjdiesz? - wyszeptwała.

- Nie mam pojęcia - odrzekł Harry.

- To powiedziało, że jeśli spróbujemy uciec... odezwała się Loretta głosem znizowanym do

szeptu - zabije Steviego.

- Dlaczego mówicie „to”?

- Ponieważ to nie jest człowiek. - Skierowała przerażony wzrok w stronę schodów. - To istota z piekła - dodała. - Nie czujesz?

Faktycznie cuchnęło okropnie. Nie był to rybi smród, jak w miejscu sekretnych spotkań Zyem Carasophii. To cuchnęło gównem i ogniem.

Czując, że serce podchodzi mu do gardła, Harry zbliżył się do schodów.

- Zostańcie tu - zwrócił się do obu kobiet i zaczął wchodzić na piętro, przestępując miejsce na piątym stopniu, gdzie spoczęła głowa ojca Hessa, kiedy umierał. Z góry nie dochodziły żadne odgłosy, z dołu zresztą też nie. Wchodził na piętro bezszelestnie, wiedząc, że oczekująca nań istota nasłuchiwała choćby jednego skrzypnięcia drewnianych schodów. Nie chciał, aby pomyślała, że usiłuje zbliżyć się do niej ukradkiem, ale jego zamiar i tak się nie powiodł i D'Amour sam z własnej woli zakłócił ciszę.

- Idę do ciebie, czy tego chcesz czy nie - powiedział.

Odpowiedź nadeszła natychmiast. I ledwie ją usłyszał, wiedział już, z czym ma do czynienia.

- Harry - odezwała się Lazy Susan. - Gdzieś ty się podziewał? Nie, nie mów mi. Widziałeś się z Szefem, czyż nie? Podczas gdy demon mówił, detektyw dotarł do szczytu schodów i podszedł do drzwi. Farba była złuszczone. - Potrzebujesz pracy. Harry? - ciągnęła Lazy Susan. - Nie winię cię za to. Czasy stają się naprawdę fatalne.

Drzwi były już uchylone. D'Amour pchnął je lekko i otwarły się na oścież. W pokoju za nimi panował niemal zupełny mrok, zasłony były zaciągnięte, a lampę na podłodze pokrywała tak gruba warstwa zaschniętych ekskrementów, że prawie nie dawało się dostrzec bijącego z niej światła. Na łóżku leżał tylko materac, spalony i czarny jak węgiel. Spoczywał na nim twarzą do dołu młody chłopak w brudnym podkoszulku i bokserkach.

- Stevie? - rzucił Harry.

Chłopak nawet nie drgnął.

- On teraz śpi - dobiegł z ciemności głos Lazy Susan. - Był ostatnio bardzo zajęty.

- Dlaczego nie pozwolisz temu dzieciakowi odejść? Przecież to o mnie ci chodzi.

- Przeceniasz się, D'Amour. Czemu miałabym pragnąć twojej pochrзанionej duszy, skoro mogę mieć takie wspaniałe, niewinne чудо?

- Więc po co mnie tu sprowadziłaś?

- Nie sprowadziłam cię. To fakt. Sabina mogła zaszczepić tę myśl w twojej głowie, ale tak czy inaczej zjawiłeś się tu z własnej woli.

- Sabina to twoja przyjaciółka?

- Wolę określenie „kochanka”. Zerznąłeś ją?

- Nie.

- Ach, D'Amour - powiedział Wędrowiec z rozdrażnieniem - a ja zadałem sobie tyle trudu, aby zrobiło jej się mokro. Chyba nie zamierzasz zostać pedałem, co? Nie, jesteś prawym, prostym hetero, na dodatek nudnym. Nudny jesteś, D'Amour... Jak bardzo nudny...

- To może już sobie pójdę? - zaproponował detektyw, kierując się ku drzwiom.

Z tyłu za nimi coś się poruszyło, usłyszał zgrzyt sprężyn i jęk Stevie'ego.

- Zaczekaj - syknął Wędrowiec. - Nigdy nie odwracaj się do mnie tyłem!

Obejrzał się przez ramię. Istota wspięła się na łóżko i teraz kościsto-błotniste ciało nachylało się nad ofiarą. Miało barwę fekaliów na lampie, lecz było wilgotne, a aż nazbyt widoczne szczegóły anatomiczne pulsowały w odrażającym rytmie.

- Dlaczego to zawsze musi być gównem? - zapytał Harry.

Wędrowiec przekrzywił głowę. Jego rysy przypominały otwarte rany.

- Ponieważ gówno jest wszystkim, co mamy, Harry, dopóki nie powrócimy do chwały. To jedyne, czym Bóg pozwala się nam bawić. Może od czasu do czasu mały pożar, jeżeli On akurat nie patrzy. A skoro o ogniu mowa, widziałem któregoś dnia ojca Hessa, jak smażył się w swej celi. Powiedziałem mu, że może wkrótce zobaczą się z tobą...

Harry pokręcił głową. - To ci się nie uda - powiedział.

- A to czemu?

- Rutynowe działania upadłych aniołów. Już w to nie wierzę. - Ruszył w stronę łóżka. - Wiesz, dlaczego? W Oregonie widziałem paru twoich krewniaków. Prawdę mówiąc, o mało mnie nie ukrzyżowali. Brutalni mali skurwiele, tyle że brakowało im twoich aspiracji. Oni robili to po prostu dla krwi i gówna. - Wciąż zbliżał się do łóżka, nie wiedząc do końca, co w tej sytuacji uczyni demon. Ongiś wypruł Hessowi wnętrza kilkoma szybkimi ruchami, a detektyw wątpił, aby owa kreatura przez kilka lat zdołała wyjść z wprawy. Czymże jednak była, odarta z fałszywej autobiografii? Zwykłym oprawcą po kilkudniowym przeszkoleniu w rzeźni.

- Stój - warknął stwór, kiedy Harry znalazł się o metr od łóżka. Mebel dygotał od nóg po wezłowie.

- Jeżeli podejdziesz bliżej, zabiję małego Stevie'ego. I zrzucę go ze schodów jak Hessa.

Harry uniósł obie ręce w ironicznym geście poddania.

- W porządku - rzucił. - Już bliżej nie podejść. Chciałem tylko sprawdzić rodzinne podobieństwo. Wiesz, jest niesamowite.

Wędrowiec pokręcił głową.

- Byłem aniołem, D'Amour - powiedział drżącym głosem. - Pamiętam Niebo. Naprawdę. Tak, jakby to było wczoraj. Chmury, światło i...

- I morze?

- Morze?

- Quiddity.

- Nie! - ryknął stwór. - Byłem w Niebie. Pamiętam serce Boga, bijące równym rytmem, ten rytm...

- Może urodziłeś się na plaży.

- Już raz cię ostrzegłem - uprzedził. - Zabiję chłopaka

- I czego to ma dowieść? Że jesteś upadłym aniołem? Czy raczej drobnym rzeźnikiem, tak jak powiedziałem?

Wędrowiec uniósł obie dłonie do groteskowej twarzy.

- Sprytny jesteś, D'Amour - westchnął. - Bardzo sprytny. Ale Hess też taki był. - Rozcapierzył palce i zionął cuchnącym oddechem. - I spójrz, co się z nim stało.

- Hess nie był sprytny - zauważył półgłosem Harry. - Kochałem go i szanowałem, ale on się mylił. Ty jesteś do niego bardzo podobny. Po namyśle dochodzę do wniosku, że przypominasz go pod wieloma względami. - Nachylił się w stronę demona - Wydaje ci się, że zostałeś strącony z Nieba. On myślał, że mu służy. Koniec końców ty również w to uwierzyłeś. Głupio zrobiłeś zabijając go. Niewiele miałeś, a i tak to utraciłeś.

- Nadal mam ciebie - odrzekła istota. - Mógłbym pieprzyć się z twoją głową aż do czasu pojawienia się Szczeliny Zguby.

- Nie - odparł, prostując się Harry. - Już się ciebie nie boję. Nie potrzebuję modlitw...

- Czyżby? - warknęła istota.

- Nie potrzebuję krzyża. Potrzebuję tylko moich oczu, one mi wystarczą. Dzięki nim widzę przed sobą anoreksyjnego małego gównojada.

Nagle demon rzucił się na niego, wrzeszcząc jak szalony, a wszystkie rany w jego czaszce rozchyliły się szeroko. Harry cofał się, ślizgając się po zafajdanej podłodze i o włos omijając mordercze szpony, aż plecami dotknął ściany. I wtedy stwór dopadł go, mierząc pazurami w głowę D'Amoura. Detektyw uniósł ręce, aby osłonić oczy, ale mordercza istota nie chciała mu ich wyłupić - a przynajmniej jeszcze nie teraz. Zagłębiła szpony w karku Harry'ego, a pazury stóp wbiła w ścianę po obu stronach ciała detektywa

- Powtórzmy to sobie, D'Amour - wychrypiała.

Poczuł strużki krwi ściekające mu po kręgosłupie i usłyszał trzask pękającego kręgu.

- Czy jestem aniołem? - Głowa demona znajdowała się obok twarzy Harry'ego, głos wydobywał się ze wszystkich jej otworów na raz. - Żądam odpowiedzi, D'Amour. To dla mnie ważne. Byłem kiedyś w Niebie, czyż nie? Powiedz to!

Wolno, bardzo wolno Harry pokręcił głową. Pod czaszką czuł upiorne pulsowanie.

- Och, D'Amour - demon westchnął, zdejmując jedną dłoń z karku Harry'ego i gładząc ją pieszczotliwie jego tchawicę. Głos istoty nie był już warkotliwy i ochryply. Przestała być Wędrowcem i znowu przemieniła się w Lazy Susan.

- Będzie mi ciebie brakowało - powiedziała, gdy jej palce rozorały skórę na gardle D'Amoura. - Nie było nocy, żebym o nas nie myślała - dodała ze smutkiem - o nas razem, tu, pośród ciemności.

Chłopiec leżący na łóżku jęknął przeciągle.

- Cii! - szepnęła Lazy Susan.

Stevie nie dał się jednak uciszyć. Pragnął pocieszenia w modlitwie.

- „Święta Mario, łaski pełna...” - zaczął.

Istota spojrzała na chłopaka; znowu pojawił się Wędrowiec, który wrzasnął na niego, aby w końcu zamilkł. Kiedy to się stało, Harry pochwycił rękę ściskającą go za szyję, rozorując sobie palce o szpony, a potem runął całym ciężarem do przodu. Stopy Wędrowca oderwały się od ściany i dwa splecione ze sobą ciała upadły na środek pokoju.

Demon natychmiast wbił pazury głębiej w kark D'Amoura.

Detektyw półprzytomny z bólu obrócił się dokoła, obiecując sobie w duchu, że zrobi wszystko, by nie upadli na chłopaka. Wirowali dokoła w obłądnym tańcu, dopóki D'Amour nie stracił równowagi i nie runął do przodu pociągając za sobą Wędrowca.

Jego ciało uderzyło w zwężone drzwi, które pod naporem podwójnego ciężaru rozsypały się w drobny mak. Przez załzawione oczy Harry dostrzegł przed sobą groteskowe oblicze przeciwnika. Zaraz potem znaleźli się na podeście. Było tu jasno w porównaniu z półmrokiem panującym w sypialni. Dla Wędrowca nawet za jasno. Światło sprawiło demonowi ból, zaczął więc się konwulsyjnie w uścisku Harry'ego, z jego ust buchnęły strugi gorącej flegmy. Detektyw wykorzystał tę chwilę, aby zerwać dłoń stwora ze swego karku, a potem obaj znaleźli się przy barierce, drewno zatrzeszczało, lecz nie pękło i przelecieli nad poręczą schodów.

Spadli jakieś cztery metry niżej, Wędrowiec znalazł się pod Harrym i wrzasnął jak obdzierany ze skóry. Uderzyli o schody, przetoczyli się po nich w dół i zatrzymali się wreszcie o kilka stopni od ich podnóża.

Pierwsze, co przyszło Harry'emu do głowy, to - Boże, jaka cisza, jaki spokój. A potem

otworzył oczy. Znajdował się twarzą w twarz z upiorną istotą, jej pot drażnił mu skórę. Sięgając ręką w stronę zachlapanej barierki zaczął podciągać się w górę, jego lewe ramię, bark, żebra i szyja pulsowały tęnym bólem, ale nie do tego stopnia, by nie mógł poczuć satysfakcji, widząc co jest u jego stóp. Wędrowiec dogorywał - jego ciało, jeszcze bardziej żałosne i odrażające w świetle dnia, niż wydawało się w pokoju na piętrze, było jedną wielką masą rozkładających się tkanek.

- Jesteś... tam? - spytał demon.

Jego głos utracił zarówno jedwabisty, jak i chrapliwy ton; podobnie nie było już widać przymiotów fizycznych używanych przez obie jaźnie.

- Jestem - odrzekł Harry.

Stwór próbował podnieść do góry jedną rękę, ale bez powodzenia.

- Czy... ty... umierasz? - zapytał.

- Nie dzisiaj - odparł półgłosem D'Amour.

- To nie w porządku - powiedział stwór. - Musimy odejść razem. Ja... jestem... tobą...

- Nie zostało ci wiele czasu - oznajmił Harry. - Nie marnuj go na te bzdurne frazesy.

- Ale to prawda - ciągnął stwór: - Ja... jestem... tobą... a ty... jesteś... miłością...

Detektyw pomyślał o obrazie Teda; o wężu zmiażdżonym pod butem. Trzymając się mocno barierki, podniósł stopę do góry.

- Zamknij się - rzuci! oschle.

Stwór zignorował go.

- Jesteś miłością... - powtórzył. - A miłość jest...

D'Amour postawił obcas buta na czaszce demona.

- Ostrzegam - warknął.

- ...Miłość jest tym, co...

Nie powtórzył ostrzeżenia, lecz wbił stopę w tę gnijącą, rozkładającą się masę tak mocno, jak pozwoliło na to jego utrudzone ciało. Poczul, że pod jego butem rozstępuje się warstwa łąjna i błota, cienkie niczym opłatek kości pękają, a siła nacisku wypycha cuchnące płyny z wnętrza czaszki potwora. Delikatne drżenie przebiegło kończyny istoty aż po okrwawione koniuszki szponów. I nagle, całkiem niespodziewanie Wędrowiec znieruchomiał, nie dokończywszy tego, co zamierzał powiedzieć.

W sieni poniżej Loretta kontynuowała modlitwę rozpoczętą przez jej brata.

- „Święta Matko, łaski pełna, Pan z tobą, Błogosławionaś Ty między niewiastami...”.

Te słowa, po kakofonii wrzasków i gróźb brzmiały w uszach Harry'ego niczym najpiękniejsza melodia.



- ...I błogosławiony owoc żywota Twego, Jezus...

Naturalnie to nie powstrzyma śmierci i nie uchroni niewinnych przed cierpieniem. Ale piękno także miało swoją wartość, zwłaszcza w tym świecie, gdzie o piękno jest naprawdę trudno.

Słuchając modlitwy, zdjął obcas z głowy Wędrowca. Tkanki demona, gdy zabrakło woli, która je kształtowała, zaczęły się już rozpląwać i ściekać po schodach w dół.

Pięć stopni od dołu, zauważył Harry. Tak samo jak Hess.

Zwycięstwo miało swoją cenę. Oprócz pokiereszowanej szyi i zranionego gardła Harry miał złamany obojczyk, cztery pęknięte żebra, stłuczoną prawą rękę i lekki wstrząs. Co się tyczy Stevie'ego, który przez trzy dni był zakładnikiem Wędrowca, jego uraz był bardziej psychologicznej niż fizycznej natury. Upłynie trochę czasu, zanim dojdzie do siebie, jeżeli to w ogóle nastąpi, niemniej pierwszy krok uczyniony został już następnego dnia po śmierci demona. Rodzina wyprowadziła się z domu przy Wyckoff Street, pozostawiając budynek na łaskę plotek. Tym razem nikt nie będzie próbował go wykupić. Opuszczony przez lokatorów przez zimę błyskawicznie obróci się w ruinę. I nikt już nigdy w nim nie zamieszka.

Jeszcze jedna zagadka pozostała nie rozwiązana. Dlaczego ów stwór starał się zwabić D'Amoura na Wyckoff Street? Po co to zrobił? Czyżby zaczął wątpić we własną mitologię i zaaranżował ponowny pojedynek ze starym wrogiem, aby odzyskać wiarę w siebie? A może po prostu pewnego wrześniowego dnia zaczął się nudzić i ot tak, dla zabawy, poszedł na całość, chcąc się rozerwać starą gierką - pokusami i rzezią?

Harry podejrzewał, że nigdy nie pozna odpowiedzi na to pytanie. Lista pytań bez odpowiedzi robiła się coraz dłuższa i to wcale mu się nie podobało.

Co się tyczy wielkiego dzieła Teda, po kilku dniach namysłu Harry postanowił zawiesić je w pokoju. Jako że obecnie miał sprawną tylko jedną rękę, zajęło mu to blisko dwie godziny, ale kiedy już skończył (przybił obraz bezpośrednio do ściany), płótno wyglądało lepiej niż w galerii. Bez ram wizja Teda zdawała się wypływać wprost ze ściany i rozlewać po niej niczym krew.

Po cudownej Sabinie, która zapewne na polecenie Wędrowca dostarczyła Harry'emu płótno, zaginął wszelki ślad. Mimo to, niejako na wszelki wypadek, D'Amour zamontował przy drzwiach wejściowych dwa dodatkowe zamki.

W niecałe dwa tygodnie po końcówce na Wyckoff Street ni stąd, ni zowąd detektyw odebrał telefon od przerażonego Raula.

- Chciałbym, abyś jak najszybciej tu przyleciał, Harry. Cokolwiek teraz robisz...
- Gdzie jesteś?
- W Omaha. Przyjechałem tu w poszukiwaniu Tesli.
- I?
- Znalazłem ją. Ale... jest niezupełnie taka, jak się spodziewałem.
- Wszystko z nią w porządku? - zapytał Harry. Po drugiej stronie linii zapadła cisza. -

Raul?

- Taa, jestem, jestem. Nie wiem, czy z nią wszystko w porządku. Musisz sam to ocenić.
- Jest w domu Grilla?
- Tak. Wpadłem na jej ślad w L.A. Powiedziała sąsiadom, że wyjeżdża do Nebraski. W Hollywood to oznaka totalnego szaleństwa. Jak szybko możesz tu dotrzeć?
- Jeśli tylko złapię jakiś samolot, to lecę jeszcze dzisiaj. Mógłbyś wyjechać po mnie na lotnisko? Nie jestem w najlepszej formie.
- Co się stało?
- Wdepnąłem w gówno. Ale już go nie ma.

## Rozdział IV

### 1

Phoebe nie powiedziała Jarrieffie, że zna tożsamość ich gościa. Po pierwsze, było to nazbyt bolesne, po drugie zaś obawiała się, że wtedy przerażona służąca wraz z dziećmi czym prędzej wyniosłaby się z domu. A ona wcale tego nie chciała i to nie ze względu na nich, lecz na siebie. Przyzwyczała się do ich nieporządku i hałasu, a gdyby została w rezydencji Maeve O'Connell, sama świadomość tego, co uczyniła stałaby się dla niej niemożliwa do zniesienia.

Jarrieffa miała oczywiście mnóstwo pytań i niektóre odpowiedzi Phoebe wcale jej nie zadowolily. Jednak w miarę upływu czasu, gdy dzieci coraz rzadziej miały koszmary i coraz rzadziej zdarzały się spontaniczne wybuchy płaczu, dom powrócił do dawnego rytmu, a ewentualne wątpliwości Jarrieffa skrzętnie zachowała dla siebie.

Phoebe tymczasem zaczęła systematycznie przetrząsać miasto w poszukiwaniu Joego. Domyślając się, że nie wyparował ot tak sobie, tuż po opuszczeniu budynku (wątpiła, aby tak się stało, był co prawda niekompletny, ale przecież już częściowo zmaterializowany) doszła do wniosku, że jego ucieczka nie mogła pozostać zupełnie nie zauważona. Nawet w tym mieście, chlubiącym się, że na jego ulicach z każdym kolejnym przybijającym do portu statkiem pojawia się coraz więcej osobliwych stworzeń i istot o dziwacznym wyglądzie, Joe w jego obecnym stanie musiał zwracać na siebie uwagę. Ktoś na pewno go zauważył.

Wkrótce pożałowała, że tak niechętnie i powoli nawiązywała i zacieśniała stosunki ze swymi sąsiadami. Mimo że większość z nich była wobec Phoebe względnie uprzejma, kiedy o coś pytała, nie ulegało wątpliwości, iż traktowali ją z pewnym dystansem. Czula się przy nich kimś z zewnątrz i obawiała się, że jeżeli nawet znali odpowiedzi na zadawane pytania i tak nie zechcieliby ich jej udzielić. Kilka dni z rzędu wracała do rezydencji zirytowana i wykończona po zmudnych wędrówkach od domu do domu (na niektórych ulicach od jednej budowy do drugiej), gdy próbowała zasięgnąć informacji - i w miarę jak powiększał się obszar poszukiwań, narastało w niej uczucie desperacji. Straciła apetyt i poczucie humoru. Bywały dni, kiedy opuściwszy kolejne dwa posiłki, wędrowała ulicami, oszołomiona i bliska łez, nawołując Joego po imieniu, jak obłąkana. Któregoś razu zgubiła się i zbyt zmęczona, by szukać drogi powrotnej, zasnęła na ulicy. Kiedy indziej zawędrowała do dzielnicy, gdzie

trwał spór terytorialny pomiędzy dwoma rodami, i mało nie poderżnięto jej gardła. Mimo to każdego dnia kontynuowała poszukiwania w nadziei, że natrafi w końcu na ślad, który doprowadzi ją do kochanka.

Jak się okazało, informacja, której poszukiwała Phoebe, była bardzo blisko. Któregoś dnia, gdy przygotowywała sobie kąpiel po dobrych dwunastu godzinach krążenia po mieście, ktoś zapukał do drzwi jej sypialni. To Enko prosił, by zechciała z nim przez chwilę porozmawiać. Uważała go za najmniej przychylnie do siebie nastawionego członka rodziny Jarrieffy. Chłopak był wysoki, nawet jak na nastolatka i choć twarz miał ludzką, zdobiły ją na czole i karku symetrycznie umieszczone cętki, a od policzków po szyję ciągnęły się równoległe rzędy skrzeli.

- Mam przyjaciela - wyjaśnił. - Nazywa się Vip Luemu i mieszka dwie przecznice stąd. W tym domu z oknami zabitymi deskami.

- Znam ten dom - powiedziała Phoebe.

- Mówił mi, że wypytujesz w mieście o... no wiesz, to coś, co było tu tamtej nocy.

- To prawda

- No... Vip wie coś na ten temat, ale matka zabroniła mu z tobą rozmawiać.

- Jak miło z jej strony - zauważyła z przekąsem Phoebe.

- Nie chodzi o ciebie - wyjaśnił Enko. - To znaczy i tak, i nie. Przede wszystkim chodzi o to, co działo się tu, no wiesz, w dawnych czasach, a kiedy statki znowu zaczęły przybijać do portu, wszyscy doszli do wniosku, że zamierzasz otworzyć interes jak Pani O'Connell.

- Interes? - spytała Phoebe.

- Tak. No wiesz, kobiety.

- Nie bardzo rozumiem, Enko.

- Kurwy - rzekł chłopak, a cętki na jego twarzy ściemniały.

- Kurwy? - powtórzyła Phoebe. - Chcesz powiedzieć, że ten dom... był burdelem?

- I to najlepszym. Tak twierdzi ojciec Vipa. Zjeżdżali się tu faceci ze wszystkich stron.

Phoebe wyobraziła sobie Maeve, pływającą się w królewskim przepychu, jak siedzi wśród miękkich poduszek i podartych liścików miłosnych i snuje rozważania na temat bezsensu miłości. Nic w tym dziwnego. Ta kobieta była burdelmama. Madam. Miłość nie pasowała do jej interesu.

- Mógłbyś wyświadczyć mi wielką przysługę - rzekła Phoebe - i poprosić Vipa, żeby ogłosił wszem i wobec, iż nie zamierzam w najbliższym czasie ponownie rozkręcać interesu.

- Zrobię to...

- A teraz... mówiłeś, że on coś widział?

Enko skinął głową.

- Słyszał, jak jego ojciec mówił, że w porcie widziano Misamee.

- Misamee?

- To marynarski zwrot. Oznacza coś, co zostało znalezione na morzu, a nie jest jeszcze w pełni ukształtowane.

Na wpół wyśniona, pomyślała. Jak mój Joe. Mój Misamee Joe.

- Dziękuję, Enko.

- Nie ma sprawy - powiedział chłopak, odwracając się, by odejść. Jednak dotknąwszy dłonią drzwi, odwrócił się jeszcze. - Wiesz, Musnakaff nie był moim ojcem.

- Słyszałam.

- Był kuzynem mego ojca. Poza tym stale opowiadał wszystkim, jak wyszukiwał kobiety dla Pani O'Connell.

- Wyobrażam sobie - rzekła Phoebe.

- Wszystko wyjaśnił. Dokąd należy się wybrać, co mówić. Dlatego... - Enko przerwał, wpatrując się we własne buty.

- Dlatego, gdybym chciała kiedykolwiek znów rozkręcić interes... dokończyła Phoebe. - Chłopak rozpromienił się. - Będę o tobie pamiętać.

Phoebe zostawiła stygnącą wodę w wannie i znów się ubrała, w ciepłe rzeczy, bo wiatr był w ostatnich dniach wyjątkowo chłodny, a nad wodą wiało naprawdę mocno. Następnie poszła do kuchni, napełniła jedną ze srebrnych piersiówek Maeve sokiem z żalożyzyn i wybrała się do portu, postanawiając w duchu, że jeśli w ciągu roku z okładem nie odnajdzie Joego ponownie otworzy burdel ot tak, na złość sąsiadom, którzy zawiedli ją, gdy potrzebowała pomocy. I jak Maeve zestarzeje się i zgorzknienie pośród przepychu, czerpiąc bajeczne zyski z płatnej, wyzutej z uczuć miłości.

## 2

Raul tak jak obiecał czekał na lotnisku Eppley, chociaż Harry początkowo go nie rozpoznał. Przydał rumieńców nieco zbyt bladej cerze swego nosiciela subtelnym makijażem, a srebrzyste tęczówki ukrył za przyciemnionymi szklami okularów. Na łysą głowę włożył czapkę baseballową. Nie prezentował się może najkorzystniej, ale przynajmniej nie wyróżniał się w tłumie.

W drodze powrotnej do domu Grilla, jadąc starym fordem sedanem (którego prowadził

Raul, niemiłosiernie zgięty i z trudem wciśnięty za kółko choć, jak się przyznał, nie miał prawa jazdy) wymienili się opowieściami o tym, co się im ostatnio przydarzyło. Harry opowiedział Raulowi o wszystkim, co zaszło na Wyckoff Street, Raul zaś zrewanżował się relacją o swym powrocie do Misji Św. Katarzyny na półwyspie Baja, gdzie Fletcher odkrył i zsyntetyzował Nuncjo.

- Dawno temu wybudowałem tam świątynię - powiedział - którą się opiekowałem, dopóki nie odnalazła mnie Tesla. Byłem przekonany, że ta budowla zniknie, ale nie, wciąż stoi jak stała. Mieszkanki wioski nadal odwiedzają ruiny, aby modlić się i prosić Fletchera o interwencję, jeśli ich dzieci zaczynają chorować. Muszę przyznać, że to dość wzruszające. Spotkałem tam jedną czy dwie kobiety, które znałem, ale, rzecz jasna, one mnie nie rozpoznały. Odnalazłem pewną staruszkę - Bóg jeden wie, że musi mieć teraz chyba z dziewięćdziesiąt lat, jeżeli jeszcze żyje - i powiedziałem jej kim jestem. Ta kobieta jest całkiem niewidoma i ma lekkiego bzika, ale przysięgała, że go widziała w dniu, kiedy straciła wzrok.

- Masz na myśli Fletchera?

- Oczywiście. Powiedziała, że stał na krawędzi skały, wpatrując się w słońce. Często to robił.

- Sądzisz, że on wciąż gdzieś tam jest?

- Dziwniejsze rzeczy okazywały się prawdziwe - stwierdził Raul. - Obaj wiemy o tym doskonale.

- Ściany stają się coraz cieńsze, co? - mruknął Harry.

- Można tak powiedzieć.

Przez pewien czas jechali w milczeniu.

- Tak sobie pomyślałem, że skoro już jestem w Omaha - odezwał się wreszcie Raul - odbędę jeszcze jedną pielgrzymkę.

- Pozwól że zgadnę. Do Biura Listów Nie Doręczonych.

- Jeżeli nadal istnieje - odpowiedział. - Budynek, o ile wciąż jeszcze stoi, z pewnością nie jest cudem architektury, ale gdyby nie został zbudowany, nie byłoby nas teraz tutaj.

- Wierzysz w to?

- Och, jestem pewien, że gdyby nie pojawił się Jaffe, Sztuka znalazłaby sobie kogoś innego. Tyle tylko, że my wtedy nie dowiedzielibyśmy się o niej. Bylibyśmy jak ci, tam - skinął głową w stronę mijanych domów i ludzi na ulicach, zajętych własnymi, przyziemnymi sprawami - którzy sądzą, że to, co postrzegają jest wszystkim, co istnieje.

- Chciałbyś, aby tak było? - zapytał detektyw.

- Przyszedłem na świat jako małpa. - Wiem, co to znaczy ewoluować. - Raul zachichotał. - Przyznam ci się, że to naprawdę wspaniałe.

- I sądzisz, że o to w tym wszystkim chodzi? - rzekł Harry. - O ewoluowanie?

- Chyba tak. Urodziliśmy się, aby się rozwijać. Postrzegać więcej. Więcej poznawać. Może nawet, by któregoś dnia dowiedzieć się wszystkiego. - Zatrzymał samochód przed wielkim, posępnym budynkiem. - Co sprowadza nas na powrót do Tesli - powiedział i poprowadził D'Amoura przez zarośnięty podjazd, gdzie stał motocykl Tesli, do frontowych drzwi.

Wciąż było popołudnie, ale od środka dom wydawał się jeszcze mroczniejszy niż z zewnątrz, ściany wydawały się nagie, powietrze przesycone wilgocią.

- Gdzie ona jest? - zwrócił się Harry do Raula, usiłując zdjąć marynarkę.

- Pozwól, że ci pomogę.

- Dam sobie radę - odrzekł D'Amour, z pewnym zniecierpliwieniem. - Zaprowadź mnie tylko do Tesli, dobrze?

Raul pokiwał głową - usta miał ściągnięte w wąską kreskę - po czym poprowadził Harry'ego na tyły domu.

- Musimy być ostrożni - powiedział, gdy dotarli do zamkniętych drzwi. - Mam wrażenie, że cokolwiek się tam dzieje, jest bardzo ulotne.

To rzekłszy otworzył drzwi. Pokój zastawiony był sprzętami ukochanej przez Grilla Ruffy, których widok mimowolnie skojarzył się Harry'emu z maleńkim sanktuarium Normy, gdzie trzydzieści ekranów zaciekle broniło zagubionym duszom dostępu do mieszkania medium. Tu, jak wiedział detektyw, trwał zgoła odwrotny proces. To miejsce było przystanią zagubionych i szalonych dusz - schronieniem, gdzie mogły wyzbyć się ciężącego im brzemienia. Ich raporty pojawiały się raz po raz na monitorach włączonych bez przerwy komputerów. Przed nimi, z zamkniętymi oczami, siedziała Tesla.

- Tak ją właśnie zastałem - powiedział Raul. - Gdyby cię to ciekawiło, ona oddycha, ale ledwo-ledwo. I bardzo powoli.

Harry postąpił krok w jej stronę, ale Raul zatrzymał go.

- Uważaj! - rzucił półgłosem.

- Dlaczego?

- Kiedy próbowałem do niej podejść, poczułem coś w rodzaju pola siłowego.

- Ja nic nie czuję - mruknął D'Amour i zrobił jeszcze jeden krok w kierunku Tesli. W tej samej chwili coś musnęło jego twarz, delikatnie, bardzo delikatnie, jak mydlana bańka. Chciał się cofnąć, ale zrobił to zbyt wolno. Bąbel jak gdyby jednocześnie wchłonął go w

siebie i pękł. Pokój zniknął, a Harry pomknął niczym pocisk wystrzelony w gorejące serce szkarłatnego słońca, którego barwy nie sposób było opisać słowami. Zatrzymał się tam przez chwilę i wyprysnął po drugiej stronie, zmierzając ku następnemu, tym razem niebieskiemu - i kolejnym: żółtemu, zielonemu i fioletowemu. Kiedy tak leciał od jednego słońca do drugiego po lewej i prawej stronie, u góry i u dołu, zaczęły pojawiać się obrazy, to przybliżające się, to znowu oddalające do granic jego pola widzenia

Ze wszystkich stron w przestrzeni pojawiały się jakieś kształty, podkradające światło słońcom, przez które się przebijał, a których jasność przygasiała, w miarę jak zaczął koncentrować uwagę na owych formach. Przybywały ku niemu z każdej strony, bombardując go tak wielką masą obrazów, że jego umysł nie był w stanie uchwycić choćby jednego z nich. W miarę jak atak się nasilał D'Amour czuł, że ogarnia go panika i zaczął obawiać się, że jeśli w tym szaleńczym wirze nie odnajdzie jakiejś stałej formy, jakiegoś punktu zaczepienia, niechybnie straci zmysły.

I nagle dobiegł go głos Tesli:

- H a r r y?

Ten głos wyłonił z chaosu jednolitą, pojedynczą wizję. Była bardzo wyrazista. Kawałek zaoranej ziemi o barwie ochry. Dziura i suka która stoi obok, gryząc się w zad. Z jamy wyłania się dłoń z ogryzionymi do żywego paznokciami i rzuca na leżącą na ziemi szmatę okruch jakiegoś naczynia. Tesla - albo jakiś jej fragment - gdzieś obok jamy, dłoń i suka.

- Bogu dzięki - powiedział Harry, ale ucieszył się zbyt szybko. Obraz zniknął, a on pomknął dalej, gorączkowo nawołując Tesłę.

- Już dobrze - powiedziała - Trzymaj się!

Jej głos znowu go zatrzymał. Kolejna scena, kolejne szczegóły. Tym razem zmierzch. Odległe wzgórze. Drewniany szałas na polu falujących traw i kobieta, biegnąca ku niemu z płaczącym dzieckiem na rękach.

Z tyłu, za nią, trzy ścigające ją, ciemne, drobne istoty o wielkich łbach i złotych ślepiach. Uciekająca kobieta szlochała z przerażenia, ale dziecko płakało ze zgoła innych powodów, wyciągając drobne rączki ku mrocznym prześladowcom. Kiedy dziecko zaczęło tłuc matkę małymi piąstkami w głowę, Harry zrozumiał dlaczego. Mimo iż maleństwo wyglądało na ludzkie, jego oczy również były złote.

- Co się tu dzieje? - rzucił Harry.

- Wiem tyle co i ty - odparła Tesla. Kiedy się odwróciła, w pobliżu szałasu dostrzegł kolejny jej fragment. - To wszystko jest częścią Rify.

W chwili gdy dziecko zaczęło wysłizgiwać się z ramion matki, scena zniknęła, tak jak



poprzednia, a Harry pomknął dalej. Jego umysł usiłował wychwycić choć drobne fragmenty dramatów, przez które się przebijał. Nigdy nie zdołał ujrzeć więcej niż drobnego ich kawałka - stada ptaków w locie, krwawiącej monety leżącej na ziemi; kogoś kto siedział na płonącym krześle i śmiał się do rozpuku - ale było tego dosyć, by D'Amour zrozumiał, że każdy z owych niezliczonych obrazów stanowi część jakiegoś większego schematu.

- Zdumiewające - wyszeptał.

- Prawda? - odpowiedziała Tesla i ponownie zatrzymała go swym głosem. Tym razem miasto. Nisko zwieszające się niebo i drobinki światła, które spływały zeń niczym zwierciadlane pióra. Na chodnikach poniżej ludzie zajmowali się własnymi sprawami, nie postrzegając tego cudownego zjawiska i tylko jedna twarz uniesiona była ku niebu - twarz starca wpatrującego się w górę i krzyczącego na całe gardło.

- Co ja oglądam? - zapytał Harry.

- Opowieści... - odrzekła Tesla i usłyszawszy ją, Harry wypatrzył z tłumu kolejny element mozaiki. To, co Grillo zdołał tu zebrać. Setki tysięcy opowieści.

Ulica zaczęła się przesuwać.

- Tracę cię... - ostrzegł Harry.

- Po prostu się puść - odpowiedziała uspokajająco. - Złapię cię gdzie indziej.

Zrobił, jak mu poleciła. Ulica umknęła gdzieś, a on z zapierającą dech w piersiach prędkością został uniesiony w dal; kolejne opowieści natychmiast zaczęły bombardować go ze wszystkich stron. Znów postrzegał je tylko jako migawki. Zdołał jednak opracować sposób na interpretację owych obrazów, mimo iż trwały one tak krótko. Były tu historie epickie i legendy, lokalne podania i mity, starotestamentowe opowieści i okrutne baśnie.

- Chyba nie zniosę tego dłużej - uznał w końcu. - Mam wrażenie, że tracę zmysły.

- Znajdziesz sobie nowe - ucięła Tesla i ponownie zatrzymał się w połowie jakiejś historii.

Tym razem jednak było w niej coś innego. Znał tę opowieść.

- Poznajesz? - zapytała.

Oczywiście było to Everville. Rozstaje, sobotnie popołudnie, promienie słońca oblewające scenę, która łączyła w sobie elementy farsy i szaleństwa. Poprzewracani członkowie orkiestry; Buddenbaum, spragniony chwały, kopie w ziemi, w powietrzu unoszą się wizje dziwek. Harry zapamiętał to nieco inaczej, ale czy to cokolwiek zmieniało? Najważniejsze, że było tu wszystko, co miał okazję ujrzeć tamtego popołudnia

- Czy ja jestem tutaj? - zapytał.

- Teraz tak!

- Co?

- Grillo popełnił błąd nazywając to „Rafą” - powiedziała Tesla. Rafa jest tworem martwym, a to wciąż się rozrasta. Opowieści nie umierają, Harry...

- One się zmieniają?

- Właśnie. Postrzegając to wszystko powodujesz, że zaczyna się rozrastać, wzbogacać, ewoluować. Nic nigdy nie ginie. Nic nie zostaje stracone. To jedna z rzeczy, których się nauczyłam.

- Zamierzasz tu zostać? - zapytał Harry, obserwując jak dramat na skrzyżowaniu bez przerwy się rozbudowuje.

- Przez pewien czas - padła odpowiedź. - Jeżeli uda mi się dotrzeć do korzeni, może zdołam uzyskać odpowiedzi, których poszukuję, a wiem, że one tam są.

Mówiąc te słowa wyciągnęła obie ręce w stronę Harry'ego i D'Amour stwierdził, że wciąż ma przed sobą elementy, które widział po drodze do tego miejsca.

Część niej była wyrzeźbiona z kawałka ziemi w kolorze ochry, a część z ziejącej w niej jamy. Część przypominała szalas na polu, a część złotoookie dziecko. Część tworzyły zwierciadlane płatki, a część starzec, który wskazywał na niebo. I oczywiście fragmenty tworzyły również owo słoneczne popołudnie i Owena Buddenbauma, który będzie wściekać się na Rozstajach tak długo, jak długo będą opowiadane owe historie.

Wreszcie, mimo iż nie widział tego skrawka, wiedział, że Tesla była również stworzona z niego, bowiem i on znajdował się gdzieś wewnątrz tej opowieści.

- Ja jestem tobą... - wymamrotał Wędrowiec w głowie Harry'ego.

- Rozumiesz coś z tego? - zwróciła się doń Tesla.

- Zaczynam.

- To jest jak miłość, Harry. Nie, nie, wróć. Nie tak. Wydaje mi się, że to może j e s t miłość. - Uśmiechnęła się, wyjaśniając mu swoją teorię.

I gdy to się stało, kontakt między nimi został przerwany. Harry odpłynął od niej, pośród feerii oślepiających barw oraz przy trzasku pękającego bąbla i powracając znalazł się znów w cuchnącym stęchlizną pokoiku, który opuścił.

Raul czekający tam na niego był cały rozdygotany.

- Boże, D'Amour! - powiedział. - Już myślałem, że cię straciłem.

Detektyw pokręcił głową.

- Mało brakowało - stwierdził. - Wybrałem się z Tesłą na małą wycieczkę. Pełniła rolę mojej przewodniczki.

Spojrzał na ciało siedzące w fotelu przed monitorami. Nagle to ciało i kości wydały mu

się zbędne. Prawdziwa Tesla, być może prawdziwy Harry i kto wie może prawdziwy cały świat znajdowali się tam, skąd właśnie powrócił - opowiadali historie samych siebie wśród nie mających końca gałęzi na drzewie opowieści.

- Czy ona wróci? - dopytywał się Raul.
- Kiedy już dotrze tam, dokąd pragnie się dostać - odrzekł Harry.
- To znaczy gdzie?
- Z powrotem do początku - wyjaśnił. - A gdzież by indziej?

### 3

Pierwsza wyprawa do portu okazała się bezowocna. Phoebe nie spotkała nikogo, kto wiedziałby coś o Misamee. Drugiego dnia wszelako jej nieustanne wypytywania dały pierwszy efekt. Tak, powiedział jeden z właścicieli knajpy przy Drodze Do Doków, wie, o co pytała. Kilka tygodni temu widziano tu istotę, która bardzo cierpiała i wyglądała na nie dokończoną. Prawdę mówiąc, jeśli dobrze pamiętał, próbowano nawet pojmać owo szkaradztwo w obawie, że mogło mieć mordercze skłonności. Nie, o ile mu było wiadomo, stworza nie pojmano. Może, sugerował, to coś powróciło do wód skąd, jak chodzą słuchy, wyłonił się wszyscy, a więc także i ono. W takim przypadku fale odpływu musiały wynieść stworzenie na pełne morze.

Ta informacja zawierała zarówno dobre, jak i złe wieści. Phoebe uzyskała potwierdzenie, że prowadzi poszukiwania we właściwej dzielnicy (to ta dobra wiadomość). Fakt jednak, że ostatnio nikt nie widział Joego sugerował, iż teoria właściciela tawerny mogła okazać się prawdziwa i wtedy rzeczywiście utraciłaby ukochanego na rzecz morza. Obecnie zaczęła szukać kogoś kto brał udział w pościgu za ową istotą, lecz w miarę upływu czasu podążanie tym śladem stawało się coraz trudniejsze. Każdego dnia do portu zawijały nowe statki - od jednomasztowców po dziesiątki łodzi rybackich, które bladym świtem wypływały na morze, by o zmierzchu powrócić z sieciami ciężkimi od ryb.

Phoebe często zdarzało się przerwać poszukiwania, by posłuchać z zaciekawieniem rozmów marynarzy i robotników portowych. Snuli oni opowieści o tym, co leżało poza spokojnymi wodami zatoki, na odległych, rzadko odwiedzanych akwenach morza snów.

Naturalnie słyszała o Efemerydach, a Musnakaff opowiedział jej o Plethoziac i Trophette. Było ich jednak dużo więcej. Krainy i miasta, których nazwy przywoływały skojarzenia niewypowiedzianych wspaniałości. Niektóre z tych miejsc były prawdziwe (przywożone stamtąd towary wyładowywano w porcie), inne należało zaliczyć do

legendarnych. Wśród pierwszych znajdowała się wyspa Opończa zwana Bergera, gdzie raz po raz ginęły załogi kolejnych jednostek, wycinane w pień przez istoty tak nieprawdopodobne, że ich ofiary umierały z niedowierzania. Do drugich natomiast zaliczało się miasto Nilpallium, które założone zostało przez kompletnego idiotę, a którym rzekomo mądrze i sprawiedliwie rządziły jego psy, kiedy założyciel umarł, a jego ciało pożarły wierne ogary.

Najbardziej zainteresowała jednak Phoebe historia Kicaranki Rojandi. Mówiono, iż była to wieża z płonącej skały wylaniająca się wprost z odmętów morza i mająca wysokość kilkuset metrów. Stworzenia, które próbowały się na nią wspiąć nie ginęły wszakże w płomieniach, lecz musiały co chwilę wskakiwać do parującej wody, aby ochłodzić nagrzane ciała, i gdy to nastąpiło, podejmowały wspinaczkę od nowa, popychane pragnieniem zdobycia i zapłodnienia królowej, żyjącej pośród płomieni na samym szczycie owej wieży.

Najbardziej niedorzeczne spośród owych historii stanowiły dla Phoebe możliwość oderwania się choć na chwilę od trapiących ją kłopotów i smutków; te prawdziwe natomiast wywierały na nią osobiście budujący wpływ, stanowiły dowody na to, jak wiele było w tej krainie cudownych i niezwykłych odmian istnienia.

Jeżeli mieszkańcy b'Kether Sabbath mieli odwagę żyć w odwróconej piramidzie, a ogniści wspinacze z Kicaranki Rojandi z takim oddaniem szturmowali swą wieżę, w przekonaniu, że któregoś dnia uda im się dotrzeć do królowej, czyż Phoebe nie powinna kontynuować poszukiwania swego Misamee?

I wówczas nadszedł dzień sztormu. Starzy żeglarze w portowych knajpach prorokowali jego przyjście już od pewnego czasu. Burza miała mieć tak wielką siłę, że jak powiadano, zdoła podźwignąć z podwodnych rowów najróżniejsze gatunki ryb głębinowych i wyrzucić je na powierzchnię całymi ławicami. Przedsiębiorczy rybacy byli dla nich gotowi zaryzykować pośród wzburzonych fal wodnej kipieli nawet utratę sieci, łódki, a kto wie może również i życia. Przewidywane połowy miały być tak obfite, że warto było postawić wszystko na jedną kartę. Kiedy zaczął się wiatr, Phoebe wygrzewała się przy kuchennym kominku, dzieci siedziały nieopodal, pałaszując gulasz, a ich matka zagniała chleb.

- Słyszałam, że gdzieś trzasnęło okno - powiedziała Jarrieffa, kiedy pierwsze krople deszczu zabębniły o kuchenny parapet i pospieszyła, by je zamknąć.

Phoebe wpatrywała się w ogień, słysząc, jak wiatr hula i świszcze w kominie. W porcie niedługo rozpocznie się nie lada widowisko, pomyślała. Okręty kołyszące się na kotwicach, morze tłukące zawzięcie o falochron. Któż może wiedzieć, co taki sztorm jak ten wyrzuci na brzeg?

Uzmysłowiwszy to sobie, Phoebe natychmiast się podniosła. Któż może wiedzieć? Otóż to!

- Jarrieffa? - zawołała, wyjmując płaszcz z szafy. - Jarrieffo, wychodzę!

Kobieta szła po schodach, na jej twarzy malowało się zatroskanie.

- W taką pogodę? - zapytała.

- Nie martw się, nic mi nie będzie.

- Zabierz ze sobą Enka. Na zewnątrz czyha wiele niebezpieczeństw.

- Nie Jarrieffo, to tylko deszcz. Dam sobie radę. Zostań tu w ciepłe i dalej piecz chleb.

Służąca, wciąż protestując przeciwko tak nieroztropnemu postanowieniu, doprowadziła ją do drzwi i wyszła na schody.

- Wracaj do środka - poleciła Phoebe. - Niedługo wrócę.

I po chwili zniknęła w strugach ulewy.

Deszcz oczyścił ulice równie skutecznie jak Iadowie. Przemierzając wąskie alejki i ciemne zaułki, które znała teraz równie dobrze jak Main Street czy Poppy Lane w Everville napotkała zaledwie kilka osób. Im bliżej portu, tym trudniej było jej stawiać opór furii nadciągającej burzy. Aby dotrzeć do Drogi Do Doków Phoebe musiała iść pod wiatr i niejedną raz przyszło jej złapać się ściany lub barierki, aby podmuchy wiatru nie zbiły jej z nóg.

Na nabrzeżu i pokładach statków krzątało się dużo więcej ludzi niż na ulicach, którymi tu przyszła. Załogi okrętów refowały żagle i pospiesznie mocowały ładunek w ładowniach. Jakiś jednomasztowiec zerwał się z kotwicy i na jej oczach został ciśnięty na falochron. Wręgi statku popękały, a większość załogi czym prędzej opuściła pokład, skacząc w spienioną kipieli. Phoebe nie czekała, by przekonać się czy statek zatoni. Pospieszyła dalej, mijając przystań, i przez sąsiadującą z nią dzielnicę magazynów dotarła na brzeg.

Fale były wysokie, powietrze zaś tak gęste od kropelek wody morskiej i deszczu, że ograniczało to widoczność do kilku metrów. Mimo to posępna wściekłość owej sceny pasowała do nastroju Phoebe. Szła potykając się na ciemnych, śliskich kamieniach, jak gdyby prowokując fale, by podniosły się dostatecznie wysoko, by ją pochłonąć. Po drodze raz po raz nawoływała Joego.

Wichura porwała sylaby wprost z ust, ale Phoebe szła uparcie przed siebie, a jej łzy mieszały się z deszczem i wyrzucanymi w górę kaskadami morskiej wody.

Wreszcie zmęczenie oraz rozpacz wzięły nad nią górę. Osunęła się na kamienie, przemoczona do suchej nitki, z gardłem zdartym nieomal do żywego i palącym bólem w płucach, nazbyt wyczerpana, aby mogła jeszcze choć raz wykrzyczeć imię kochanka.

Palce zdrętwiały jej z zimna, pod czaszką czuła upiorne pulsowanie.

Uniosła dłonie do ust, aby ogrzać palce ciepłym oddechem i dochodziła właśnie do wniosku, że jeśli jak najszybciej stąd nie pójdzie, zamarznie na śmierć, gdy wtem wśród mgieł na plaży dostrzegła jakąś postać. Ktoś zbliżał się do niej - był to mężczyzna; jego i tak skąpe odzienie zmieniło się w strzępy, a ciało stanowiło osobliwe połączenie form i odcieni. Miejscami był fioletowy i te partie ciała pokrywały łuski. W innych częściach jego skóra miała niemal srebrzysty odcień. Jednak jego trzon - ciało wokół oczu i ust, fragmenty szyi, pierś i brzuch - pozostał czarny. Phoebe zaczęła się podnosić; imię, które wykrzykiwała pośród wichury, okazało się zbyt dużym wyzwaniem dla jej warg, zastygłych w grymasie zdumienia.

To nie miało znaczenia. Zobaczył ją, ujrzał ją oczami, które sama wyśniła. Przystanął o kilka metrów od niej i uśmiechnął się promiennie.

Nie usłyszała jego głosu, fale huczały zbyt głośno, ale poznała kształt swego imienia, kiedy je wymówił.

- Phoebe...?

Ruszyła niepewnie w jego stronę; dzieląca ich odległość zmniejszyła się o połowę, ale Phoebe wciąż pozostawała poza zasięgiem jego ramion. Być może plotki o morderczych skłonnościach stwora były prawdziwe. A jeśli nie, to skąd wziął fragmenty tkanek, by uzupełnić swoje ciało?

- To ty, prawda? - zapytał. Była dostatecznie blisko, aby go usłyszeć.

- To ja - potwierdziła.

- Wydawało mi się, że tracę zmysły. Albo że to wszystko jest jedynie dziełem mojej wyobraźni.

- Nie - odparła. - Wyśniłam cię, Joe. Ja to zrobiłam.

Teraz to on zbliżył się do niej, wpatrując się w swe dłonie.

- To prawda, nałożyłaś na mnie część tych tkanek - powiedział. - Ale dusza - jedną ręką dotknął szerokiej piersi - to, co tkwi tutaj, to ja, Joe, którego odnalazłaś w morzu wodorostów.

- Byłam pewna, że cię wyśniłam.

- Bo faktycznie to zrobiłaś. A ja usłyszałem cię, i przyszedłem do ciebie. Wiedz jednak, Phoebe, że nie jestem stworzoną przez ciebie iluzją. To ja, Joe. Prawdziwy ja.

- Wobec tego co się z tobą stało? - spytała. - Skąd...

- Skąd wzięła się reszta m n i e?

- Tak.

Joe skierował wzrok w stronę wody.

- 'Shu. Duchowi przewodnicy. Ryby-piloci.

Phoebe przypomniała sobie krótki wykład Musnakaffa na ich temat: „To cząstki stwórcy”, - powiedział. - „A może nie”.

- Rzuciłem się do morza w nadziei, że utonę, ale one mnie odnalazły. Otoczyły mnie i wyśniły do końca. Uzupełniły te fragmenty, których brakowało. - Uniósł przed siebie obie dłonie, aby mogła im się przyjrzeć. - Jak widzisz - dodał - czyniąc to, tchnęły we mnie również cząstkę własnej natury. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Dopiero teraz zauważyła, że jego ręce wyglądają trochę dziwnie - palce połączone były błoną, skórę pokrywały delikatne fałdki.

- Czy to cię mierzi?

- Na Boga, nie! - zawołała. - Cieszę się, że znów jesteś przy mnie. Dopiero teraz rozłożyła szeroko ramiona i podeszła do niego. A Joe przytulił ją do swego ciała, które pomimo deszczu i lodowatego wiatru, było przyjemnie ciepłe, uścisk zaś równie żarliwy jak uścisk Phoebe.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że przyszedłeś za mną aż tutaj - wyszeptał.

- A cóż mogłam zrobić innego? - odparła.

- Wiesz, że nie ma już dla nas powrotu, prawda?

- Dlaczego mielibyśmy tego pragnąć? - zapytała.

Zostali na brzegu jeszcze dłuższą chwilę, trochę rozmawiali, ale głównie tulili się mocno. Nie kochali się. Odłożyli to na inny dzień, na wiele innych dni. Będą mieli na to jeszcze sporo czasu. Teraz wymieniali jedynie uściski, pocałunki i delikatne pieszczoty, aż w końcu sztorm szalejący dokoła ucichł.

Kiedy w kilka godzin później wracali nabrzeżem, niebo było już czyste i błękitne, a powietrze rześkie i mało kto odwracał wzrok w ich stronę. Ludzie byli zbyt zajęci. Musieli zająć się naprawą uszkodzonych kadłubów statków, szyciem podartych żagli oraz zebraniem i zabezpieczeniem porzucanych towarów w ładowniach.

Za tych zaś dzielnych rybaków, którzy odważyli się rzucić wyzwanie sztormowi i powrócili cało, odprawiano na nabrzeżu dziękczynne modły. Modlono się, dziękując za to, że powrócili żywi i że morze snów przyniosło im tak obfity połów. Nie omylili się prorocy przepowiadający potężny sztorm i jego wspaniałe skutki. Rozszalały żywioł rzeczywiście wyniósł z głębin niezliczone masy najprzedziwniejszych ryb.

Podczas gdy kochankowie, nie zwracając niczyjej uwagi, zmierzali powoli w stronę domu na wzgórzu (z czasem mieli stać się postaciami znanymi w mieście) na nabrzeżu

portowym rozpoczęto wyładunek ciężkich od ryb sieci. Z głębin Quiddity, z niezmiernych otchłani morza snów, sztorm wyrzucił na powierzchnię istoty, które nawet przywykłym do najróżniejszych osobliwości żeglarzom musiały wydać się dziwaczne i niesamowite. Niektóre z nich wyglądały jak stworzenia powstałe w pierwszych dniach istnienia świata, inne przypominały dziecięce bazgroły na murze.

Kilka nie miało bliżej określonych kształtów, wiele zaś mogło poszczycić się nie mającymi dotąd nazw barwami. Niektóre nawet za dnia emanowały własnym, migotliwym blaskiem.

Tylko 'shu ciśnięto z powrotem do morza. Resztę przebrano, wrzucono do koszyków i zanesiono na targ rybny, gdzie zgromadziły się już tłumy oczekujące z niecierpliwością rezultatów tego nader obfitego morskiego żniwa. Nawet te najbrzydsze, najprymitywniejsze dziecinne bazgroły zaspokoją czyjś apetyt. Nic nie zostanie zmarnowane. Nic nie zostanie stracone. Nic nie przepadnie.